

CATHY
KELLY

Lekcje uczuć



Kelly Cathy

Lekcje uczuć

Miłość, wierność, zdrada oraz trzy kobiety złapane w sidła namiętności. Są w różnym wieku, niosą ze sobą bagaż różnych doświadczeń, ale wciąż wiele się od siebie mogą nauczyć.

Niektóre z tych lekcji przyniosą im ulgę, inne rozpacz i ból. Trzy kobiety. Trzy miłości. Trzy powody, by pozwolić najbliższej osobie odejść – to wszystko składa się na kolejną, doskonałą powieść irlandzkiej autorki bestsellerów.

Izzie Silver opuściła przed laty małe irlandzkie miasteczko Tamarin, by zrobić karierę w Nowym Jorku. W dużym mieście wiecie jej się doskonale – dopóki nie łamie jednej ze swych zasad i nie zakochuje się w żonatym mężczyźnie. Po drugiej stronie oceanu ciotka Izzie, Annaliese, na własnej skórze poznaje ból niewierności. Do tego wszystkiego Lily, mądrą i pełną wyrozumiałości głowę rodziny dotyka poważna choroba. Izzie wraca natychmiast do Irlandii i przesiadując przy łóżku chorej, odkrywa przeszłość, o której jej babcia nigdy nie wspominała ani słowem. Lekcje, jakich życie udziela każdej z tych kobiet niosą ze sobą radość i cierpienie. A najtrudniejsze, czego przyjdzie im się nauczyć to pozwolić najbliższej osobie odejść.

PROLOG

Rozum jej mówił, że to, co robi, jest niewłaściwe. Świtało. Leżała z otwartymi oczami, czując przy sobie jego nagie ciało, ciepłe pomimo panującego w pokoju chłodu. Nigdy wcześniej nie spała nago, a teraz zastanawiała się, jak można to robić inaczej.

Oczywiście obok musiało znajdować się drugie ciało; ciało takie jak to, twarde od ćwiczeń fizycznych, umięśnione i szczupłe, bez grama tłuszczu, i tak niesamowicie silne.

A jednocześnie był wobec niej taki delikatny. Jego dłonie ze szczupłymi palcami pianisty robiły zeszłej nocy kółka na jej jasnej skórze, oczy błyszczały w łagodnym świetle słabej żarówki.

Pod tym dotykiem jej ciało stało się takie, jakim go wcześniej nie znała: skarbem stworzonym tylko po to, by on mógł je uwielbiać.

- Jesteś taka piękna. Chciałbym, aby ta chwila trwała wiecznie - rzekł do niej niskim głosem, który tak kochała. Właściwie kochała w nim absolutnie wszystko. Był idealny. I nie należał do niej.

Ich wspólny czas był kradziony: kilka godzin tu, kilka godzin tam, uścisk rąk pod stołem podczas kolacji, ich przytulone ciała na szerokim hotelowym łóżku, niczym rozbitkowie na tratwie. Przez tych kilka godzin był jej, ale jedynie pożyczony.

Ponownie wezbrała w niej rozpacz powodowana rozstaniem.
Fizyczny, rozdzierający ból.

Niedługo się obudzi. Będzie musiał wyjść przed siódmą, by zdążyć na pociąg.

Gdyby to ona była tą, która pierwsza musi opuścić hotelowy pokój, na pewno nie zdołałaby tego zrobić. Ale on tak. Wzywał go obowiązek.

W pokoju było ciemno i tylko wskazówki budzika zdradzały, że jest już rano. Wyślizgnęła się z łóżka i odchyliła ciężką zasłonę, by wpuścić do środka nieco szarego światła. Padał deszcz ze śniegiem, taki strasznie wychładzający całe ciało.

Z ulicy dochodziły poranne odgłosy. Trzaskanie drzwi, klaksony, ulice budzące się do życia. Wokół nich toczyło się normalne życie: niczym mrówki robotnice harujące w mrowisku, nikt nie zwracał uwagi na życie osoby obok. Nikt nie zwracał uwagi na jej życie.

Poruszył się na łóżku, więc pośpiesznie do niego wróciła, desperacko pragnąc wykorzystać tę ostatnią cenną godzinę ich wspólnego czasu. Jeśli zamknie oczy, zdoła poudawać, że nadal jest noc i że mają jeszcze sporo czasu.

Ale on już się budził, pocierając powieki i brodę z ciemnym zarostem. Niedługo stąd wyjdzie.

Płakała, kiedy przysunął się do niej, a jego ciało było ciężkie i ciepłe.

- Nie smuć się - rzekł, opuszczając głowę i scałowując jej słone łzy.

- Nie smucę - odparła, jeszcze bardziej płacząc. - To znaczy nie chciałam. Będę za tobą tęsknić, nie mogę tego znieść.

- Musisz, oboje musimy.

Nikt jej nigdy nie powiedział, że miłość może być jednocześnie tak radosna i tak bolesna. Każda pieszczota przybliżała ich do rozstania. Za każdym razem, gdy ją dotykał, mi-

mowolnie myślała: „Czy robimy to po raz ostatni? Czy jeszcze go kiedyś zobaczę?”.

Nie umiała powstrzymać łez. Ale on tak, ponieważ musiał.

W końcu leżała w milczeniu na łóżku i patrzyła, jak on się szykuje. Tuż przed wyjściem usiadł obok niej, przytulił się mocno i pocałował tak, jakby była powietrzem niezbędnym mu do oddychania.

Otoczyła go dłońmi, jedną zarzuciła na szyję, drugą tuliła jego głowę. Całowali się z zamkniętymi oczami, by tego nigdy nie zapomnieć.

- Muszę iść. Kocham cię.

Nie odezwała się, żeby się znowu nie rozplakać.

- Do widzenia.

Nie obejrzał się, wychodząc, i zastanawiała się, czy taka jest właśnie różnica pomiędzy mężczyznami a kobietami. Mężczyźni patrzyli przed siebie, wojownicy skupieni na przyszłości. Kobiety wodziły wzrokiem dokoła. Szukały, zastanawiały się, modliły się do jakiegoś boga, o bezpieczeństwo dla ukochanych.

Położyła się z powrotem w łóżku, nadal wypełnionym ciepłem jego ciała, i zastanawiała się, czy go jeszcze kiedyś zobaczy.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Słońce w Nowym Meksyku wisiało wysoko na niebie, kiedy sesję zdjęciową dla katalogu Zest wreszcie przerwano, uznając, że czas na lunch. Izzie Silver wstała i przeciągnęła całe metr siedemdziesiąt z okładem swego ciała, upajając się senną aurą, w której zdążyła się już nabawić piegów na ramionach, choć starannie smarowała się filtrem pięćdziesiątką.

Prawdziwi Celtowie - z mlecznobiałą cerą, plamkami piegowi niebieskawymi żyłkami na nadgarstkach - pod wpływem słońca przybierali wyłącznie jeden kolor: czerwień raka. Kolor ten zaś nigdy nie kojarzy się z modnym wyglądem, może jedynie kojarzyć się z wczesnym stadium czerniaka.

Izzie przebywała tu od dwóch dni i czuła, jak jej krew naturalizowanego nowojorczyka spowalnia bieg, dopasowując się do tempa życia na pustyni. Bardzo, bardzo odległe wydawały się i Manhattan, i Agencja Modelek Perfect-NY, która poleciła jej tu dopilnować właściwego przebiegu wartej milion dolarów sesji z udziałem ich trzech modelek.

Gdyby znajdowała się teraz w Nowym Jorku, siedziałaby za biurkiem, tak jak pozostałe bookerki: słuchawki telefoniczne na uszach, na biurku nietknięta latte z odtłuszczonym mlekiem i sarta wiadomości do odebrania. Biuro znajdowało się w eleganckim biurowcu przy Houston, wypełnionym mnóstwem przeszklonych ścian i akrylowych żyrandoli, niewiele zaś w nim było prywatności.

Podczas przerwy na lunch pognałaby do niewielkiego salonu piękności na Siódmej na regulację brwi albo urządziłaby sobie pospieszną wycieczkę do Anthropologie na Zachodnim Broadwayu, by sprawdzić, czy mają jeszcze te śliczne mydelniczki w kształcie muszli. Co wcale nie znaczy, że jej łazienka pragnie kolejnych drobiazgów; i tak wyglądała już jak salon spa.

Układając plan dnia innym ludziom, w myślach analizowałaby swój, zastanawiając się nad wieczornymi zajęciami pilates i kwestią, czy ma na nie dość energii. I myśląc o nim. O Joem.

Dziwne, jak ktoś mógł być dla ciebie zupełnie obcy, a potem, w jednej dosłownie chwili, stać się całym twoim światem. A tak w ogóle to jak do tego doszło?

I dlaczego on? Przecież był dla niej najmniej odpowiednim kandydatem na ukochanego. Właśnie wtedy, gdy sądziła, że rozgryzła sens życia, pojawił się Joe i pokazał jej, że nic nigdy nie dzieje się tak, jak człowiek by chciał. Zero kontroli - wszystkim rządzi przypadek.

Izzie nie znosiła przypadku, wręcz nim pogardzała. Sama lubiła sprawować kontrolę.

Tutaj miała przynajmniej czas na myślenie, nawet jeśli przepadały jej przez to regulacja brwi, pilates lub - co najważniejsze - kolacja z Joem. Ponieważ Joe zajmował w jej myślach i sercu tyle miejsca, że nie była w stanie jasno myśleć, gdy znajdował się w pobliżu.

Tutaj, na Ranczu Chaco, wśród otaczającego ją zewsząd piachu i bezkresnego nieba, które zdawało się sięgać daleko poza horyzont, jasne myślenie było czymś niemal obowiązkowym.

Izzie czuła się tutaj jak w domu, jakby siedziała na ganku u babci w Tamarin, gdzie trawę przetykały storczyki, a powietrze wypełniał zapach oceanu.

Ranczo Chaco, ledwie trzydzieści minut drogi od gwarnej Santa Fe, było przestronnym, parterowym, pomalowanym

na białym domem, niczym wyjątkowy turkus umiejscowionym pośrodku bezkresu czerwonej ochry.

I choć geograficznie miejsce to położone było daleko od Tamarin, małego miasteczka na wybrzeżu Irlandii, gdzie wychowywała się Izzie, jedno i drugie posiadało tę samą rzadko spotykaną właściwość, a mianowicie przekonanie, że *mañana* to zdecydowanie zbyt nagłe słowo i że może „pojutrze” to odpowiednia pora na realizację zadań.

Ranczo pozbawione było dostępu do morza, strzegły go zaś olbrzymie kaktusy, jadłoszyny i wznoszące się za nimi góry. Tamarin z kolei przycupnięte było na skałach, a domy przytulały się mocno do stromych wzgórz, jakby miał je zburzyć ryk Atlantyku.

Izzie uznała, że w obu tych miejscach krajobraz wyzwala w ludziach świadomość tego, jak bardzo są maleńcy w porównaniu z potęgą natury.

Niezmacony spokój panujący na ranczu wywierał na wszystkich co najmniej taki wpływ, jak dwie godziny Bikram jogi.

Bookerki rzadko jeździły na sesje zdjęciowe: ich praca ograniczała się do czterech biurowych ścian, telefonów oraz e-maili, za których pomocą bez większego wysiłku żonglowały losami swych modelek. Ale Zest to ważny klient i przełożeni Izzie uznali, że jej obecność może się przydać, na wypadek gdyby coś miało się nie powieść podczas tej pierwszej sesji z zupełnie nową kolekcją.

- Strasznie mi się tu podoba - oświadczyła Izzie jasnowłosej właścicielce rancza poprzedniego ranka, kiedy pojawiła się cała ekipa z ilością ciuchów, kosmetyków, lakieru do włosów i sprzętu fotograficznego, która by wystarczyła do nakręcenia krótkiego filmu, oraz ilością adrenaliny mogącą zapewnić energię sporemu miastu.

Charakteru nadawały temu miejscu inspirowane meksykańską sztuką łukowate nadproża, marokańskie lampki,

oświetlające wyłożony płytkami dziedziniec, i prześliczne, wykonane przez tubylców makatki. Utwory miejscowych artystów wisiały tuż obok dzieł światowych, zaś dwie ściany poświęcono fotografiom przedstawiającym ruiny Anasazi.

Właścicielka rancza machnęła szczupłymi, brązowymi rękami, o nadgarstkach pobrzękujących srebrnymi bransoletkami z turkusami, i wyjaśniła, że w kanionie Chaco, gdzie zrobiono jej ukochane zdjęcia, żyją pchły nadal przynoszące dzumę.

- Moglibyśmy dostać trochę tych pcheł? - zapytała ze śmiertelną powagą Izzie. - Naturalnie nie dla mnie, ale jest parę osób, które chętnie podsunęłabym takim pchłom do pogryzienia.

- Myślałam, że wy, ludzie mody, nie macie poczucia humoru - uśmiechnęła się w odpowiedzi blondynka.

- To tylko ja jestem inna, przykro mi - rzekła Izzie. - Prawdę mówiąc, w świecie mody poczucie humoru stanowi przeszkodę. Niektórzy płaczą nocami z powodu długości sukienek, a jeśli nie jesteś Prawdziwym Wyznawcą Mody, próbują cię zabić szpilkami od Manola albo zatłuc na śmierć egzemplarzem „Vogue'a”, wydaniem z Nowymi Kolekcjami. Osobiście uważam, że poczucie humoru bywa pomocne.

- A pani nie jest Prawdziwym Wyznawcą Mody? - zapytała kobieta, przyglądając się z zaciekawieniem wysokiej, rudowłosej rozmówczyni.

- Hej, proszę tylko na mnie spojrzeć - zaśmiała się Izzie, przesuając dłońmi po swym jędrnym, pełnym krągłości ciele. - Prawdziwi Wyznawcy Mody uważają, że jedzenie jest dla mięczaków, więc ja się z całą pewnością nie kwalifikuję. Nigdy nie stosowałam diety South Beach ani Atkinsa i po prostu nie potrafię się wyrzec węglowodanów. A w świecie Prawdziwej Mody to kwestia zasadnicza.

W alternatywnym wszechświecie Izzie Silver mogłaby być modelką. Wszyscy tak jej mówili, kiedy dorastała w Ta-

marin. Miała *look*. Wielkie oczy barwy jakby przykurzonego błękitu, gęste rzęsy i pełne usta, które sprawiały, że podczas uśmiechu jej policzki zmieniały się w promieniejące jabłuszka. Dzięki gęstym włosom w odcieniu toffi wyglądała niczym Walkiria, stojąca na dziobie łodzi z powiewającymi lokami i pełnym majestatu obliczem. Izzie była także wysoka, miała długie, zgrabne nogi idealnie się nadające do baletu, a przynajmniej do chwili, gdy urosła tak bardzo, że górowała nad pozostałymi małymi balerinami.

Był tylko jeden problem: jej rozmiar. Jako dwunastolatka miała metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i ważyła pięćdziesiąt kilo.

Teraz, w wieku trzydziestu dziewięciu lat, nosiła amerykański rozmiar dziesięć. W branży, gdzie chudość stanowiła dobro największe z możliwych, Izzie Silver wyróżniała się z wielu powodów.

Dysponując figurą idealnej klepsydry, niczym większych rozmiarów Wenus, stanowiła dowód na to, że duże jest piękne. Kochała jeść, na ulicy oglądano się za nią, a ofiary mody z zapadniętymi oczami wyglądały przy niej jak wątłe gałązki, którym groziło rychłe złamanie.

Lubiła swoje kształty i nigdy nie stosowała żadnej diety.

W świecie mody stanowiło to odpowiednik stwierdzenia, że poliester to twój ulubiony materiał.

Tego dnia, kiedy się poznali, Joe Hansen był lekko zdziwiony, kiedy mu powiedziała, że pracuje w modzie. Siedzieli naprzeciwko siebie przy stole podczas charytatywnego lunchu - imprezy, na której Izzie znalazła się z dziwnego i najzupełniej przypadkowego powodu, co potwierdzało jej tezę, że to przypadek rządzi światem.

Nie podejrzewała, że ją w ogóle zauważy, dopóki w pewnej chwili nie dostrzegła błysku w jego oczach: błysku, który stanowił dodatek do obecnych na sali mozaikowo-lu-strzanych promieni.

„Witaj” - pomyślała tęsknie.

Już tak dawno żaden mężczyzna nie wydawał jej się atrakcyjny, że z trudem zidentyfikowała dziwne trzepotanie w brzuchu. Ale jeśli był to pociąg, próbowała go w sobie stłumić. Nie miała już czasu na mężczyzn. Wszystko komplikowali, mieszały w głowach i powodowali same kłopoty. Praca - dobra, porządna praca, w której się natrudziło i osiągnęło coś rzeczywistego, czego nikt ci nie mógł odebrać - oraz posiadanie prawdziwych przyjaciół, na tym właśnie polegało życie.

Ale nawet jeśli Izzie go zignorowała, on z całą pewnością nie zignorował jej. Siedząc po przeciwnej stronie stołu, czuła, jak Joe przygląda jej się z podziwem, rejestrując zdumiony, że jest taka pragmatyczna i prawdziwa. Zjadła z lubością bułeczkę, a nawet zlizwała z palca odrobinę masła. Węglowodany i tłuszcze: prawdziwa zbrodnia. W tym mieście aż się roiło od ludzi mody i wszyscy wiedzieli, że są to chude, drogie w utrzymaniu osoby, zawsze przestrzegające jakiejś skomplikowanej diety. Izzie wcale nie próbowała być inna. Ona jedynie nigdy nie starała się być taka sama.

- Bozia dała ci tyle wzrostu po to, by mężczyźni mogli cię podziwiać - tak zawsze mówiła babcia.

Babcia zajęła miejsce jej matki, która zmarła na raka, gdy Izzie miała zaledwie trzynaście lat. Izzie nie do końca wiedziała, jak babci udało się nią pokierować na tej niełatwej drodze, którą przemierzać musiała duża dziewczyna w świecie kobiet, które pragną być chude. Jakoś jednak babci się udało.

Izzie podobała się sobie. No i facetowi naprzeciwko chyba też.

Otaczały go chude królowe imprez dobroczynnych, układające elegancko swe patykowate nogi przy złożonych krzesłach na równie patykowatych nogach, on natomiast wpatrywał się w nią. Nie, wpatrywanie się nie było właściwym słowem: on ją pożerał wzrokiem.

Wielu mężczyzn patrzyło na Izzie w taki właśnie sposób. Zdążyła się przyzwyczać; nie traktowała tego w sposób nonszalancki i najzupełniej obojętny, ale rzadko reagowała na takie spojrzenia. Naprawdę nie były jej potrzebne do poczucia spełnienia. Kiedy jednak Joe Hansen spojrział na nią w taki właśnie sposób, wywrócił jej życie do góry nogami.

Najbardziej szokujące było to, że czuła, jak pod dotykiem jego wzroku dawna Izzie - bezkompromisowa, silna, świetnie się czująca we własnej skórze - oddala się, a zastępuje ją kobieta, która pragnie, by ten fascynujący nieznajomy uważał ją za piękną.

- Z tego, co słyszę, to ten cały świat mody to niezła harówka - westchnęła teraz właścicielka rancza, odrywając myśli Izzie od hotelu Plaża i jej pierwszego spotkania z Joem. - Raz próbowałam diety South Beach, ale to całe przygotowywanie muffinek z białek i szpinaku pochłania mnóstwo czasu.

- Za dużo roboty - przyznała Izzie, pracująca w biurze, w którym lodówka pękała w szwach od tego typu przekąsek. Obecnie na topie była kwinoa, czyli komosa ryżowa. Izzie spróbowała jej raz i uznała, że smakuje jak ręczniki kuchenne moczone przez noc w kocich sikach. Przynajmniej wyobrażała sobie, że tak właśnie kocie siki smakują. Jeśli chodzi o nią, to najlepszy był talerz makaronu w Da Sikano z podwójną porcją tartego parmezanu.

- Ja to najbardziej lubię makarony - oświadczyła.

- Spaghetti z małżami - dodała rozmówczyni.

- Risotto. Z leśnymi grzybami i serem - jęknęła Izzie. Niemalże czuła w ustach smak potrawy.

- Naleśniki z syropem klonowym i masłem.

- Wystarczy - zaśmiała się Izzie. - Zaraz zacznę się ślinić.

- Założę się, że te chudziutkie dziewczyny nigdy nie pozwalają sobie na naleśniki - stwierdziła kobieta, wskazując dwie modelki, które paliły jednego papierosa za drugim.

Izzie pomyślała, że nawet z papierosem w ustach wyglądają pięknie. Nieustannie odczuwała pokorę wobec urody kobiet, z którymi dane jej było pracować, nawet jeśli wiedziała, że czasami ta uroda bywa jedynie powierzchowna. Ale za to jaka.

- To prawda - powiedziała teraz. - Właściwie w ogóle niewiele jedzą.

- Smutne to. Izzie skinęła głową.

Właścicielka rancza oddaliła się do swoich spraw, Izzie zaś zeszła niespiesznie z tarasu, na którym robiono ostatnie zdjęcia, i udała się wyłożonymi płytkami schodami na werandę na tyłach budynku. Tam osiemnastoletnia Tonya, najmłodsza z modelek agencji Perfect-NY, zmieniła właśnie osobowość, zmieniwszy kolorową sukienkę bez rękawów Zest na swoje prywatne ciuchy.

Tonya, brunetka o wydatnych kościach policzkowych, siedziała na fotelu plażowym. Nogi długie jak u żyrafy odziane miała w dżinsy-rurki Gap i zaciągnęła się dopiero co zapalonym papierosem w taki sposób, jakby od tego zależało jej życie. Pod jakimkolwiek kątem się na nią patrzyło, była czystą fotograficzną magią.

A jednak pomimo migdałowych oczu i pełnych ust, których pragnąć będą miliony kobiet, zdaniem Izzie w Tonyi było coś tragicznego.

Dziewczyna była śliczna, smukła niczym łodyga lilii i stuprocentowo pokrecona. Ale Izzie wiedziała, że większość ludzi tego nie dostrzeże. Będą widzieć jedynie naturalne piękno, pozostając w błogiej nieświadomości, że kryjąca się za nim osoba to przerażona nastolatka z małego miasteczka w Ne-brasce, która wygrała konkurs piękności, ale psychicznie nie nadąza za tym wszystkim, co dzieje się w jej życiu.

Praca Izzie Silver w Perfect-NY polegała również na tym, by dostrzec przerażone dziecko pod warstwą starannie nało-

zonego makijażu. Chlebem powszednim były dla niej dwiętnastolatki z przyszłością na pokazach Ralpa Laurena, przeszłością pośród mieszkającej w przyczepach kempingowych biedoty i mnóstwem fatalnych wyborów pomiędzy.

Oficjalnie Izzie zajmowała się zarządzaniem karierami swych podopiecznych i znajdowaniem im pracy. Nieoficjalnie opiekowała się nimi jak starsza siostra. W świecie modelin-gu pracowała od dziesięciu lat i każdego tygodnia spotykała osobę, dzięki której czuła, iż zawód modelki powinien łączyć się z bezpłatnymi sesjami terapeutycznymi.

- Dlaczego ludzie uważają, że uroda jest najważniejsza? - Ona i Carla, jej najlepsza przyjaciółka, także bookerka, zastanawiały się nad tą kwestią przynajmniej raz na tydzień. To było pytanie retoryczne w świecie, gdzie ceniono bardzo specyficzny typ piękna zewnętrznego.

- Bo nie widzą tego, co my — odpowiadała niezmiennie Carla. - Modelek, które ćpają, żeby nie jeść, ćpając żeby mieć czystą cerę, i ćpają, by radzić sobie z tym wszystkim.

Jak wiele bookerek, Carla sama pracowała kiedyś jako modelka. Pół Latynoska, pół Afroamerykanka, była wysoka, miała skórę w kolorze kawy i wolała życie po drugiej stronie aparatu fotograficznego, gdzie odrzucenie nie było tak brutalne.

- Kiedy dziesiąta osoba w danym tygodniu mówi o tobie tak, jakby cię przy tym nie było, i twierdzi, że twoje nogi są za grube, tyłek za wielki, albo że twój cały wygląd jest już niemodny, zaczynasz w to wierzyć - powiedziała kiedyś.

Obecnie rzadko opowiadała o czasach, gdy pracowała jako modelka. Razem z Izzie - z którą zaprzyjaźniła się, gdy w tym samym czasie zaczęły pracować w agencji i przekonały się, że są w tym samym wieku - rozmawiały natomiast o założeniu własnej firmy, gdzie panowałyby zupełnie inne zasady.

Nikt nie zamierzał mówić modelkom w Agencji Silver-webb - nazwa ta aż się sama prosiła: Izzie Silver, Carla Webb

- że są za grube. A to dlatego, że agencja ta miała reprezentować modelki w większym rozmiarze: piękne i duże. Kobiety z krągłościami, z ciałami krzyczącymi „bogini” i skórą, która była autentycznie aksamitna, a nie sztucznie opalana, ponieważ modelka miała niedowagę i trądzik wywołany fatalnym trybem życia.

Dla dwóch kobiet, które posiadały gen rozsądku i które męczył fakt, że ich praca łączyła się z wymaganiem od modelek, by były wiotkie jak trzciny, coś takiego wydawało się oczywistym wyborem.

Pięć miesięcy temu - przed Joem - jadły lunch na schodkach przeciwpożarowych kamienicy na West Side, gdzie mieściła się siedziba Perfect-NY, rozmawiając o pewnej modelce z innej agencji, która z powodu uzależnienia od heroiny wylądowała na odwyku.

Ważyla niewiele ponad czterdzieści kilo, miała metr osiemdziesiąt wzrostu i wciąż czekało na nią całe mnóstwo zleceń.

- Ale wkurzająca historia, co nie? - westchnęła Carla, jedząc lunch. - Przecież to takie destrukcyjne. Mówić tym dziewczynom, że się nie nadają, nawet jeśli są przepiękne. Kiedy to się skończy? Kto decyduje o tym, co jest piękne, skoro te naprawdę piękne dziewczyny nie są wystarczająco piękne?

Izzie pokręciła głową. Nie знаła odpowiedzi. Przez dziesięć lat pracy w branży widziała, jak ideał modelki zmienia się z typowej Amerykanki, wysportowanej i silnej, aczkolwiek szczupłej, na wysoką, tyczkowatą i niepokojąco wychudzoną. Przerażało to wszystkich w Perfect-NY i innych szanowanych agencjach.

- Dojdzie do tego, że dziewczynom będzie potrzebna operacja plastyczna, nim przyjmie je jakaś agencja, ponieważ „wygląd sezonu” jest zbyt dziwaczny i nie znajdzie się go u prawdziwych ludzi - stwierdziła. - Co to mówi o świecie mody, Carla?

- Nie pytaj mnie.

- A my należymy przecież do tego świata - rzekła posepnie Izzie. Skoro nie były częścią rozwiązania, w takim razie stanowiły część problemu. Można przecież chyba dokonać jakiejś zmiany, będąc wewnątrz? - Wiesz co - dodała po namyśle - gdybym miała własną agencję, naprawdę nie pracowałabym chyba ze zwykłymi modelkami. Jeśli nawet nie są porąbane od początku, stają się takie, zanim skończą.

- Ugryzła kawałek tortilli z kurczakiem. - Projektanci chcą coraz młodszych dziewczyn. Niedługo na liście naszych klientów będą wyłącznie dwunastolatki.

- Co oznacza, że my, jako kobiety prawie czterdziestoletnie - Carla skrzyżowała palce, by odgonić te apokaliptyczne urodziny - jesteśmy starymi próchnami.

- Starymi próchnami, w moim przypadku wymagającymi ciuchów w dwucyfrowym rozmiarze - przypomniała jej Izzie.

- Hej, jesteś kobietą przez wielkie K, a nie chłopczycą

- odparła Carla.

- Masz rację i dziękuję ci, niemniej jednak jestem anomalią. A prawda jest taka, że to kobiety takie, jak ty i ja mają kasę, by kupować te cholerne ciuchy.

- Święte słowa.

- Nastolatków nie stać na wydanie ośmiuset dolarów na sukienkę będącą ostatnim krzykiem mody, którą prawdopodobnie prać można tylko w pralni chemicznej i która za sześć miesięcy będzie już niemodna.

- Sześć? Ja bym powiedziała, że cztery - zripostowała Carla. - Co roku są cztery kolekcje, nie licząc śródsezonowej. Nie zdążysz odwinąć ciucha z bibułki, a już jest niemodny.

- To prawda - przyznała Izzie. - Domy mody zarabiają na tym krocie. Ale nie to mnie tak naprawdę wkurza, tylko koszmarna przepaść dzieląca grupę docelową i modelki.

- Dorosłe ubrania na małych dziewczynkach? - zapytała domyślnie Carla.

- Właśnie.

Jako skupiona na karierze singielka, posiadająca własne mieszkanie w Nowym Jorku, musiała się sama o siebie troszczyć, zajmując się wszystkim, od odetkania zlewu do rozliczania podatków, no i jeszcze musiała ostro grać z potężnymi konglomeratami, dla których jej modelki były jedynie pionkami.

A jednak kiedy te przedsiębiorstwa prezentowały ubrania skierowane do kobiet pokroju Izzie, wykorzystywały do tego delikatne dziewczynki.

Wiadomość przekazywana przez eleganckie, piękne ubrania brzmiała: „Jesteśmy sobie równi i nie zapominaj o tym”.

Wiadomość od modelki z pełnymi, różowymi ustami i kolanami grubszymi od ud brzmiała następująco: „Zaopiekuj się mną, tatusiu”.

- Popieprzony jest ten świat - orzekła. - Uwielbiam nasze dziewczyny, ale są takie młode. Potrzebne im matki, a nie bookerki.

Umilkła. Wielu ludzi mówiło, że bookerka to w połowie matka, w połowie menadżerka. Z jakiegoś powodu ostatnimi czasy nie dawało jej to spokoju. Wcześniej nie przeszkadzało jej, jak się ją nazywa, ale teraz czuła skrepowanie, gdy opisywano ją jako matkę osiemnastolatki. Nie była matką i szokiem okazała się dla niej świadomość, że ma tyle lat, by być matką innej dorosłej osoby. Dlaczego teraz ją to niepokoiło? Chodziło o kwestię wieku? Czy jeszcze o coś innego?

- Taa. - Carla skończyła jeść i zabrała się za kawę. - Ale by było super pracować z kobietami, które przed pojawieniem się na wybiegu miały szansę dorosnąć, no nie?

- O tak - odparła z żarem Izzie. - I którym nie każe się głodzić po to, by ciuchy zwisały im z łopatek.

- Mówisz o modelkach w większym rozmiarze... - rzekła powoli Carla, patrząc na przyjaciółkę.

Izzie znieruchomiała w połowie gryzionego kęsa. To było właśnie to, o czym od zawsze myślała. O ile przyjemniej pracowałoby się z kobietami, którym wolno wyglądać jak kobiety i których nie wciska się do pudełka z jedną pożądaną figurą. Figurą „chuda, zero piersi, zero brzucha i zero pupy”.

Carla wzamysłeniu objęła dłońmi kubek z kawą. Znajome odgłosy, towarzyszące im na schodkach przeciwpożarowych

- szum przejeżdżających samochodów i potężny klimatyzator na dachu, który ryczał i rzeźił niczym szykująca się do startu rakiet - dziwnie ucichły.

- Mogłybyśmy...

- ... założyć własną agencję...

- ... dla modelek w większym rozmiarze... Chwyciły się za ręce i zapiszczały jak małe dziewczynki.

- Myślisz, że mogłybyśmy to zrobić? - zapytała poważnie Izzie.

- Z całą pewnością istnieje obecnie zapotrzebowanie na większe modelki - oświadczyła Carla. - Pamiętasz, jeszcze parę lat temu nikt nie chciał większych dziewczyn, ale teraz jak często słyszymy pytanie, czy mamy jakieś modelki w większym rozmiarze? Bez przerwy. Skończyły się czasy, kiedy duże dziewczyny wykorzystywano jedynie do katalogów robótek ręcznych. A że wiele kasiastych domów mody wypuszcza większe linie, chcą bardziej realistycznych modelek. Jest na to rynek, jak najbardziej. Niszowy, ale rozwijający się.

- Niszowy: tak, to idealne słowo - zgodziła się Izzie.

- Lubię niszowość. Jest wyjątkowa, elitarna, inna.

Miała dość pracy w Perfect-NY i codziennego użerania się z trójką wspólników, którzy już dawno temu przeszli na ciemną stronę mocy pieniądza. Agencyjnych Przedstawicielei Ciemnej Strony nie obchodzili ludzie, ani pracownicy, ani modelki. Można się było spodziewać, że lada chwila wizyta

w toalecie będzie wymagała karty magnetycznej i automatu wydzielającego odpowiednią ilość papieru toaletowego.

Poza tym poświęciła tej firmie dziesięć lat i czuła, że jej życie znalazło się na rozdrożu. Wisiało nad nią widmo czterdziestki. Życie pędziło jak oszalałe i - nagle do Izzie dotarło, co jest z nią nie tak, dlaczego ostatnio tak dziwnie się czuje - ona czuła się odstawiona na bok.

Miała wszystko, czego zawsze pragnęła: niezależność, własne mieszkanie, wspaniałych przyjaciół, niezwykle wakacje, bogate życie towarzyskie. A nie opuszczało jej poczucie, że czegoś brakuje. Przypominało to pęknięcie w ścianie, które generalnie nie psuje efektu, ale jednak jest obecne, jeśli się o tym pomyśli. Izzie nie przyjmowała do wiadomości, że tym brakującym czymś może być miłość. Miłość niosła ze sobą wyłącznie problemy. Obecność pęknięcia w życiu z powodu braku kogoś do kochania było czymś cholernie banalnym, a Izzie nie zgadzała się na banalność.

Odpowiedzią była praca - własny biznes. To byłby romans jej życia, który rozwiałby dręczące, nocne wątpliwości dotyczące drogi życiowej.

- Jestem pewna, że udałoby się nam zebrać na to pieniądze - rzekła Carla. - Nie mamy nikogo na utrzymaniu. W końcu musi być jakiś bonus z bycia singielką, no nie?

Uśmiechnęły się szeroko. Izzie często powtarzała, że w Nowym Jorku z całą pewnością znajduje się największy na planecie odsetek samotnych karierowiczek.

- No i znamy przecież wielu inwestorów z Wall Street, których możemy poprosić o pomoc - dodała Carla.

Tym razem Izzie roześmiała się w głos. Ich branża przyciągała wielu bogatych mężczyzn, którzy posiadali wszystkie chłopięce zabawki - prywatne samoloty, wyspy na wakacje - i którym wydawało się, że modelka u boku stanowi idealny dodatek.

- Akurat by się z nami spotkali - zaśmiała się. - Wiesz, że na Wall Street istnieje limit wieku potencjalnej dziewczyny,

a my przekraczamy go o dziesięć lat, siostró. Nie - poprawiła się - nie dziesięć, już raczej piętnaście. Ci panowie wszechświata ze swoimi maserati i kursami pilotażu wolą dziewczyny poniżej dwudziestego piątego roku życia. Ślepną, kiedy w pobliżu pojawiają się kobiety z naszego rocznika.

- Proszę nas nie obrażać, panno Silver - odparowała Carla. - Kiedy będziemy już mieć swoją agencję, możemy zrobić to, co zawsze powtarzam naszym bossom, i stworzyć sekcję starszych modelek. I ty mogłabyś zostać wtedy naszą gwiazdą - dodała ostro. - Ci panowie wszechświata trzymają się od ciebie z dala tylko dlatego, że się ciebie boją. Jesteś zbyt dobra, jeśli chodzi o ten image „twardej laski z Irlandii”. Mężczyźni są jak psy podwórzowe, Izzie. Warczą, kiedy się boją. Nie napawaj ich przerażeniem, a wtedy przybiegną i będą skamleć.

- Już przestań - Izzie wróciła do jedzenia. - Nieważne, czy ich przerażam, czy nie: i tak wolą dziewiętnastoletnie modelki z Ukrainy. A jeśli mężczyzna pragnie dziecka, a nie kobiety, to nie jest w moim typie.

Nie zwracała sobie głowy odpowiadaniem na uwagę dotyczącą pracy modelki. To słodkie ze strony Carli, ale po pierwsze była za stara, a po drugie zbyt wiele czasu spędziła wśród modelek, by mieć ochotę wkroczyć do ich świata. Izzie pragnęła mieć kontrolę nad własnym losem, a nie pozostawiać go w rękach grupy ludzi w danym pomieszczeniu, którzy pragnęli konkretnej osoby do prezentowania konkretnego stroju i potrafili podłamać słowami: „Ciebie zdecydowanie nie chcemy”.

- Myślisz, że może nam się udać z własną agencją? - zapytała Carle. - Chodzi mi o to, ile procent nowych biznesów pada w ciągu pierwszego roku? Pięćdziesiąt?

- Już raczej siedemdziesiąt pięć.

- Och, to znacznie bardziej uspokajająca statystyka.

- No ale pewnie prawdziwa - stwierdziła Carla.

- Przynajmniej robiłybyśmy coś, w co naprawdę byśmy wierzyły - dodała Izzie.

Przez pierwszy miesiąc po tej rozmowie jedynie wspólnie analizowały pomysł. Potem zabrały się za prace przygotowawcze: rozmowy z bankami, rozmowy z konsultantami zajmującymi się małymi firmami i sporządzanie biznesplanu. Na razie nikt się nie zaoferował, że pożyczy im pieniądze, ale - jak twierdziła Carla - wystarczy, by uwierzyła w nie jedna osoba.

A potem, dwa miesiące temu, Izzie Silver znalazła miłość.

Miłość pod postacią Joego Hansena. Miłość wymazała z jej myśli wszystko inne. I podczas gdy Carla dalej mówiła o ich agencji, Izzie nie wkładała już w to serca, dlatego po prostu, że w jej sercu nie było miejsca na nic innego poza Joem.

Miłość dopadła ją niespodziewanie i nikt nie był tym faktem bardziej zaszokowany niż ona sama.

- Jeśli wszystko wypali, nie będziemy już filarem Perfect-NY - oświadczyła radośnie Carla tuż przed wyjazdem Izzie do Nowego Meksyku. - Pomyśl tylko, będziemy sze-fowymi... i bookerkami, asystentkami, księgowymi i pewnie też osobami, które wieczorem będą myć podłogę w ubikacji, ale co tam, będzie fajnie.

- Będzie - potwierdziła Izzie, myśląc, że guzik ją to wszystko obchodzi, ponieważ tak strasznie jej źle, że musi lecieć do Nowego Meksyku i być z dala od Joego. Jeszcze niedawno skakałaby z radości, że ma szansę zostawić biuro i wziąć udział w jakiejś odległej sesji zdjęciowej. Teraz, dzięki Joemu, pomysł ten wydawał jej się okropny.

- Sesje do katalogów są ciężkie - dodała Carla. - Szkoda, że nie wysłano cię zamiast tego do pilnowania sesji do edytorialu. No bo nieźle się napracujesz, skarbie.

Carla miała rację, pomyślała Izzie, prążąc się w meksykańskim słońcu i obserwując pracę modelki z Perfect-NY.

Sesje do katalogów to rzeczywiście ciężka praca. Godziny fotografowania ubrań bez chwili na refleksję, tak jak miało to miejsce podczas sesji do magazynów, kiedy sześć strojów fotografowano nawet przez cały dzień - tutaj trzeba się z tym było wyrobić w jeden ranek. Modelki musiały być wyjątkowymi profesjonalistkami. Ta milcząca dziewczyna z wyraźnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi i nieruchomym spojrzeniem właśnie do nich należała.

Przez cały ranek Izzie obserwowała Tonyę w siedmiu niesamowitych strojach i promienny uśmiech typowej amerykańskiej dziewczyny, pojawiający się za każdym razem na jej czujnej twarzy. Dopiero kiedy aparaty przestały pracować i twarz Tonyi stała się z powrotem młodzieńcza, Izzie ponownie pomyślała, jak niesamowicie młoda jest ta dziewczyna.

Teraz mieli przerwę na lunch. Fotograf i jego dwóch starszych asystentów pili kawę i wcinali jedzenie przyniesione z zewnątrz; zaś dwóch pozostałych asystentów zajętych było dźwiganiem reflektorów i przenoszeniem wielkich świateł.

Nie dla nich lunch.

Kobiety od makijażu i fryzur siedziały na dworze, wystawiając na słońce starannie wypedikiurowane stopy i radośnie obgadując znajomych.

- Upiera się, że nie miała żadnego zabiegu. Akurat! Kłamie, aż się kurzy. Gdyby skórę wokół jej oczu naciągnięto w rogach ciut mocniej, byłaby w stanie patrzeć na boki. No i ta jej gadka na temat botoksu. Już wcześniej niewiele się uśmiechała, ale teraz jest jak figura woskowa.

- Chciałaby. Figury woskowe były kiedyś ciepłe, przecież tak topi się wosk, no nie?

- Dobrze!

Kobieta z ogromnego działu marketingu Zest prowadziła głośną rozmowę telefoniczną z biurem.

- Jest fantastycznie i wszystko idzie zgodnie z planem. Spędzimy tu resztę dnia, ponieważ światło jest takie dobre

i Ivan mówi, że można robić zdjęcia co najmniej do szóstej. A jutro jedziemy do pueblo...

Dyskretnie zadzwoniła komórka Izzie. Włożyła rękę do wielkiej torby i szukała, aż w końcu ją znalazła. Uwielbiała torby, w których mogła bez problemu zmieścić organizer, kosmetyki, zapasowe buty na płaskim obcasie, gumy, awaryjne batoniki Hershey, butelkę wody i flakon ulubionych perfum, Acqua di Parma. Minusem było to, że można triumfującym gestem wyjąć z torby przez pomyłkę wkładkę higieniczną zamiast kartki papieru. Jak to możliwe, że zawsze udawało im się wymknąć z opakowania i przykleić do innych rzeczy? Do majtek nigdy się tak dobrze nie kleiły, jak do przedmiotów w torbie.

- Jak wam idzie? - zapytała Carla. Jej głos był tak wyraźny, jakby znajdowała się w sąsiednim pomieszczeniu, a nie tysiące kilometrów stąd w ich biurze na Manhattanie.

- Wszystko w porządku - odparła uspokajająco Izzie.

- Nikt na nikogo jeszcze nie krzyczał, nikt nie zagroził, że sobie pójdzie, a ujęcia są dobre.

- Odprawiasz czary, by wszystko szło gładko, co? - zapytała Carla.

- W torbie mam kocioł - odparła Izzie - i zaraz do niego wrzucę oko traszki i krew dziewicy.

Carla roześmiała się.

- Jeśli fotografem jest Ivan Meisner, to raczej nie znajdziesz w pobliżu dziewicy.

Za Ivanem ciągnęła się stosowna reputacja. Jako fotograf może i był geniuszem, o którego były się „W” i „Vogue”, ale wróżka nie ruszyła różdżką, by zadbać o osobowość.

Każdy, kto widział, jak Ivan leniwie głaszcze swój długi obiektyw, patrząc jednocześnie na młode modelki, rozumiał, że fotograf uważa się za mistrza nie tylko za swoim Hassel-bladem, ale także w łóżku.

- Widać, że wpadła mu w oko Tonya - powiedziała Izzie

- ale nic się nie martw. Już ja go przyhamuję.

- Mógłby to ktoś nagrać? - zapytała Carla. - Bardzo bym go chciała zobaczyć, kiedy już zrobisz swoje. W „Hard Copy” chętnie by zamieścili filmik, jak walisz Ivana po pysku.

Izzie się roześmiała. Carla jako jedna z niewielu osób wiedziała, że czternastoletnia Izzie Silver miała reputację chłopczycy z zabójczym prawym sierpowym. Nie było to coś, o czym miała ochotę rozpowiadać na prawo i lewo - przemoc w modzie pojawiała się tylko podczas niby ostrych sesji w podziemnych przejściach pokrytych graffiti - niemniej jednak dawało jej to przewagę.

„Nie zadzieraj z tą dużą Irlandką” - mawiali niektórzy. Izzie bez problemu stawiała czoło każdemu. Z żalem przyznawała, że na część facetów może to działać odstrasżająco. Jej ostatnia randka przed poznaniem Joego odbyła się pół roku temu. Co nie znaczy, by jakoś szczególnie się tym przejmowała: życie musiało toczyć się dalej, no nie?

- Carla, ty po prostu strasznie byś chciała zobaczyć, jak kogoś biję, prawda? - zaśmiała się teraz Izzie.

- Po tych wszystkich zajęciach z kickboxingu wiem, że to potrafisz - odparowała Carla. - Jasne, jesteś mistrzynią w uciszaniu ludzi jednym surowym spojrzeniem i oświadczeniu im, że nie dasz sobie wcisnąć kitu, ale i tak wolałabym pewnego dnia zobaczyć, jak rozkładasz kogoś na łopatki. Tak dla zabawy. Proooszę...? Wpienia mnie, jak Ivan dowalała się do młodziutkich modelek.

- Nie tym razem - oświadczyła stanowczo Izzie. - Może sobie próbować, ale donikąd go to nie zaprowadzi. Skoro już firma płaci ciężkie pieniądze za to, bym była na miejscu i wszystkiego doglądała, zrobię, co w mojej mocy. A u was coś się dzieje?

- Nie, jest dość spokojnie. Rosanna jest na zwolnieniu, więc się nie pracujemy. Lola wczoraj wieczorem spotkała w metrze olśniewającą Meksykankę. Zrobiła jej zdjęcie i dała dziewczynie swoją wizytówkę, ale ta mała pewnie

wzięła ją za urzędniczkę z imigracyjnego czy czegoś w tym rodzaju, więc możliwe, że wcale nie zadzwoni. Oszalałamiąca, tak twierdzi Lola Wysoka, niesamowita cera i fantastyczne nogi.

- Och, mam nadzieję, że zadzwoni - powiedziała Izzie.

Z racji swego zawodu nieustannie rozglądały się za następną wielką gwiazdą modelingu. Pomimo prawdziwego wysypu programów telewizyjnych, w których pojawiały się przepiękne dziewczyny, pełne nadziei, że zostaną modelkami, i tak istniało całe mnóstwo nieodkrytych piękności i najgorsze to znaleźć taką, która nie uwierzy w tę całą gadkę „pracuję dla agencji modelek”.

- Ja też. Lola bez przerwy zerka na swój telefon. Niedługo zapłonie od tych jej spojrzeń.

- Żadnych innych wieści?

- Nie. Cisza. Jaki jest ten nowy facet od marketingu z Zest? Podobno niezły z niego przystojniak.

Izzie uśmiechnęła się szeroko. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu Carla oświadczyła, że już się nigdy więcej z nikim nie umówi.

- Nie przyjechał. Przysłali zamiast niego jakąś kobietę.

- W takim razie możesz spokojnie chodzić wcześniej spać w ramach konserwowania urody - zaśmiała się Carla i zakończyła rozmowę.

Po skończeniu zdjęć cała ekipa udała się do hotelowej restauracji z częścią barową, by się zrelaksować. Panowała atmosfera zadowolenia z dobrze wykonanej pracy, ale nastroje były jeszcze nie do końca imprezowe. To zmieni się jutro wieczorem, kiedy sesja katalogowa się skończy i kolejnego dnia nikt nie będzie się musiał zrywać o świcie, a tym samym przejmować ewentualnym kacem.

Poza tym oprócz Izzie wszystkiego doglądała ta kobieta z działu marketingu Zest, a w sesję włożono zbyt dużo pieniędzy, by coś w jej trakcie schrzanić.

Izzie wiedziała, co się dzieje podczas sesji, kiedy im-prezowanie rozpoczyna się zbyt szybko. Zdarzyło się już, że zadzwoniono do niej do biura i nakrzyczano, że jej modelki poszły w tango i że następny dzień był jednym wielkim koszmarem: makijażyści musieli się nieźle napocić, by ukryć skutki braku snu, a kac gigant oznaczał, że tylko cudem udadzą się jakiegokolwiek zdjęcia.

- Oto menu - oświadczyła wesoło kobieta z Zest. Traktowała ich niczym uczeń starszej klasy odpowiedzialny za dyscyplinę, próbujący zapobiec potencjalnemu nieposłuszeństwu. - Jest także bar sałatkowy, gdyby ktoś miał ochotę na coś lżejszego.

Grupa chudych ludzi, którzy starali się zawsze jeść coś lekkiego, odpowiedziała jej ponurym spojrzeniem. A więc mojito dziś nie wchodzi w grę.

Zamówiono w końcu jedzenie wraz ze skromną ilością wina i - dzięki stylisście fryzur, który nie znosił apodyktycznych kobiet - koktajli.

- Tylko po jednym dla każdego - zaszcebiotała kobieta z Zest, która miała bądź co bądź firmową kartę kredytową, by za to wszystko zapłacić.

Zgodnie z przewidywaniami Izzie nie minęło dużo czasu, a Ivan wśliznął się na wyłożoną poduszkami drewnianą ławę, gdzie siedziała Tonya, sącząc powoli coś z listy koktajli.

Izzie usiadła na stołku naprzeciwko Ivana i Tonyi, klepiąc dziewczynę po krzepiająco po kolanie, a jego obdarzając w tej samej chwili surowym spojrzeniem, wyćwiczonym do perfekcji po latach radzenia sobie z mężczyznami jego pokroju.

- Co u Sandrine? - zapytała lekkim tonem. Sandrine była jego żoną i modelką, której cudem udało

się przesunąć swój termin przydatności dzięki temu, że określano ją mianem supermodelki. Normalne modelki uważano za stare natychmiast po przyjęciu z okazji dwudziestych pię-

tych urodzin; supermodelki z głową na karku były w stanie wytargować jeszcze dziesięć lat pracy w branży.

Ivan najwyraźniej nie pojął aluzji. Pociągnął kolejny duży łyk margarity, zerkając na Tonyę znad otoczonej solą krawędzią kieliszka.

- Jest w Paryżu. Robi rozkładówkę dla „Marie Claire” - odparł w końcu.

Tonyi to oczywiście zaimponowało. Izzie żałowała, że nie może wyjaśnić tej dziewczynie, iż splendor Sandrine nie przejdzie na nią na zasadzie osmozy. Przespanie się z mężem supermodelki nie czyniło z nikogo supermodelki. Sprawiało jedynie, że dziewczyna wychodziła na głupią, czuła się wykorzystana i zyskiwała fatalną reputację.

Izzie postanowiła raz jeszcze spróbować subtelnego podejścia. Bądź co bądź pracowała dla agencji Tonyi. Nie ma sensu rozdrażniać fotografa, który potem zrobi dziewczynie paskudne zdjęcia, rujnując zarówno jej karierę, jak i jej część sesji dla katalogu. Izzie wiedziała, że nie coś takiego miała na myśli jej przełożona, kiedy powiedziała: „Dopilnuj, by wszystko poszło dobrze”.

- Sandrine to żona Ivana - poinformowała łagodnie Tonyę, tak jakby dziewczyna o tym nie wiedziała. - Jest niesamowicie piękna i odnosi same sukcesy, ale dużo podróżuje. To musi być strasznie trudne, kiedy jest się mężatką - dodała Izzie w zamyśleniu. - Na pewno bardzo tęsknisz za Sandrine. Założę się, że nie możesz się doczekać, żeby do niej zadzwonić. W Paryżu jest ile godzin do przodu? Dziesięć, jedenaście?

Izzie nie była urodzoną kłamczuchą. Katolicka szkoła zrobiła swoje, ale dzięki pracy doszła do perfekcji, jeśli chodzi o sztukę subtelnej manipulacji. Prztyczek w nasek tu, jakaś insynuacja tam - czasem tyle wystarczy, by osiągnąć cel.

Oczami wyobraźni widziała wyścig do mózgu Ivana: pierwsza tam dotrze ognista miejscowa tequila czy też wyprzedzi ją sugestia Izzie o telefonie do żony?

Po chwili Ivan sięgnął do marynarki po telefon komórkowy. Izzie uśmiechnęła się w duchu.

Zbyt dużo kokainy i ogólna głupota wyniszczyły w nim zdolności logicznego myślenia, pozostała mu jednak krztyna najzwyczajszej inteligencji. Wiedział, że Izzie zna bookerki w agencji jego żony i że jeśli będzie się źle zachowywał, dowie się o tym Sandrine. Zaczął wystukiwać numer.

Jego żona była tego typu modelką, jaką mogła pewnego dnia stać się Tonya, zakładając, że będzie jej towarzyszyć mnóstwo życzliwości, terapii i ludzi do powstrzymywania zapędów drapieżnych mężczyzn.

Izzie nie bardzo była w stanie pojąć, dlaczego Sandrine w ogóle wyszła za Ivana. Modelki wiedziały, że fotografów ciągnie do modelek jak muchę do miodu. I że NWSNL (na wyjeździe się nie liczy) to w ich branży taki pewnik, że powinien wejść w skład przysięgi małżeńskiej. „Ślubuję kochać, szanować, być posłusznym/ną i przymykać oko na to, że on/ ona przeżyje przygodę podczas sesji w Maroku”. W przypadku supermodelek jednak ta zasada nie do końca się sprawdzała; jeśli ktoś może mieć każdego faceta na tej planecie, nie zgadza się na bycie zdradzaną.

Kiedy Tonya wyszła do toalety, Izzie szybko wślizgnęła się na miejsce młodej modelki, by mieć pewność, że Ivan po powrocie nie będzie miał szansy za bardzo się do niej zbliżyć.

W końcu dołączyła do nich reszta grupy, podano jedzenie i niebezpieczeństwo cichego *tete-a-tete* Ivana z Tonyą zostało zażegnane.

Cała grupa zjadła skromny posiłek, po czym Ivan oddalił się wraz ze swym asystentem. Izzie podejrzewała, że po to, by zdobyć gdzieś kokę - i wcale nie płynną, która działała odświeżająco. Bądź co bądź on nie musiał rano dobrze wyglądać.

Kiedy już sobie poszedł, pozostawiła Tonyę w niegroźnym towarzystwie innych modelek oraz ludzi od makijażu i stylizacji fryzur, po czym udała się do siebie.

Jej wielki pokój, urządony w kolorach delikatnej ochry, co zdawało się stanowić nieodłączną część Nowego Meksyku, miał okna wychodzące na ładny basen, otoczony ceramicznymi świecznikami. Palły się wszystkie świece, migocząc niczym gwiazdy. Otworzywszy podwójne drzwi, wiodące na niewielki taras, Izzie wyszła na chwilę na zewnątrz, by odetchnąć ciepłym nocnym powietrzem.

Na tarasie znajdowały się dwa drewniane fotele ogrodowe oraz niewielki, niebiesko-żółty stolik wyłożony płytkami. Na nim paliła się świeca do odstraszenia wielkich owadów, które zdawały się buczeć w powietrzu. Z dołu dolatywał intensywny zapach wanilii. Czuć było także jakąś potrawę z czosnkiem. Generalnie było bardzo romantycznie i aż się prosiło o kogoś wyjątkowego, z kim można by dzielić nastrój. Nawet wanna w ogromnej, przylegającej do pokoju łazience była wystarczająco duża dla dwóch osób. W pojedynkę było w niej smutno.

Izzie westchnęła i cofnęła się do pokoju. Zdjęła szmizjerkę i opadła na łóżko, próbując nie przejmować się tym, ilu innych ludzi leżało na tej ciężkiej kapie - hotele potrafiły przyprawić o gęsią skórę. Tyle osób, używających dokładnie tej samej przestrzeni, raz za razem, pozostawiających tam swoją aurę i swój pot. Od upału Izzie kręciło się w głowie. I czuła się zmęczona. Zmęczona i przepełniona emocjami.

Ponownie zerknęła na telefon. Żadnej wiadomości. Jak to ujął Oscar Wilde: że lepiej, kiedy o tobie mówią źle niż kiedy nie mówią w ogóle?

Tak samo było z komórkami. Można było na nie narzekać do upojenia, a i tak milej było, gdy dzwoniły niż gdy milczały.

Przesunęła niepomalowanym paznokciem po wyświetlaczu, pragnąc, by pojawiła się na nim jakaś wiadomość. Nie było jednak nic: pokpiwała z niej pustka.

Nie zadzwonił. Co robi?

Jakież sens być mądrą, błyskotliwą, zaradną - nad czym całe życie ciężko pracowała - skoro ryzykowała to wszystko dla mężczyzny żonatego?

Zamknęła oczy i pozwoliła, by ogarnął ją tak dobrze już jej znany niepokój. Kochała Joego. Kochała. Ale to wszystko było takie skomplikowane. Chciała, żeby już się trochę wyprostowało.

Oczywiście, że u źródeł komplikacji leżał charakter Joego. Może i był bezwzględny członkiem elity Wall Street, człowiekiem, który sam z przyjaciółmi założył fundusz hedgingowy i powoli, niepowstrzymanie parł w stronę Klubu Dużych Chłopców z co najmniej miliardem na koncie. Ale pod tą całą przykrywką był człowiekiem rodzinnym, i tu właśnie pojawiały się komplikacje.

Wychowywał się w Bronksie, ożenił w wieku dwudziestu jeden lat, rok później został tatą. Jego życie zawodowe może i było pasmem sukcesów, ale życie domowe popsulo się już dawno temu. Miał natomiast trzech synów, których uwielbiał, i choć z żoną prowadzili oddzielne życia, starali się to ukryć przed dwoma młodszymi chłopcami.

Kiedy o tym myślała, o tej zagmatwanej sytuacji, w której znalazła się przez miłość do Joego, robiła się chora. Wiedziała, że ludzie w wieku jej czy Joego dźwigają ze sobą bagaż, ale to jego bagaż czynił ich związek takim trudnym.

Nic dziwnego, że robiła się chora.

Żeby było śmieszniej, czyjaś prawdziwa choroba doprowadziła do tego wszystkiego. Chorą była Emily De Santos, jedna ze współpracownic Perfect-NY.

Kupiła bilet za dwadzieścia tysięcy dolarów na lunch w Płazie, którego dochód przeznaczony był na cele dobroczynne, a konkretnie na dzieci z ubogich dzielnic.

- Myślisz, że ci nadziani ludzie dostaliby zawału, gdyby rzeczywiście zobaczyli dziecko z ubogiej dzielnicy? - zastanawiała się Carla, kiedy rozniosły się pogłoski, że Emily - wspi-

nająca się po szczeblach towarzyskiej kariery z takim zapałem, że dźwigała własną butlę z tlenem - jest zbyt chora, aby udać się na ten lunch, i chce, by ktoś ją godnie zastąpił.

- Carla, nie bądź złośliwa - odparła Izzie, która jako jedyna z wolnym terminem w porze tego lunchu miała zaraz pobiec do domu i zamienić dzinsy i czekoladową, zapinaną na zamek bluzę Juicy Couture na strój odpowiedni na salę balową w Płazie. - Zbierają pieniądze. Czyż nie to właśnie się liczy? Poza tym wcale nie mają obowiązku robić czegoś dla innych. Mogliby sobie siedzieć w domu i kupić coś innego za te dwadzieścia tysięcy dolców.

- Frajerka - prychnęła Carla.

- Cyniczka - odparowała Izzie, pokazując przyjaciółce język.

Trochę już czasu minęło od ostatniej wizyty u fryzjera, więc jej włosom potrzebna była szybka poprawka, a Marcello, jeden z jej ulubionych fryzjerów, powiedział, że może ją przyjąć, jeśli tylko się pośpieszy.

- Jestem medium i wzywam Audrey Hepburn - oznajmił, gdy pojawiła się Izzie, która w domu zdążyła się już przebrać, zaś w taksówce spróbowała jako tako umalować.

- Powiedz jej, żeby się pośpieszyła - burknęła Izzie, opadając na fotel i wpatrując się ponuro w swoje włosy.

- Masz rację - przyznał Marcello, podnosząc grzebieniem pasmo włosów Izzie, jakby nie śmiał ich dotknąć palcami. Marcello pochodził z Brooklynu, w liceum czuł się nieszczęśliwy, ponieważ nie pozwolono mu zostać królową szkolnego balu, i wynagradzał to sobie, będąc przez resztę życia królową dramatu. - Zapomnij o Audrey. Widzę... kobietę pochylającą się nad kontenerem na śmieci, szukającą czegoś do jedzenia, która nie myła włosów od miesiąca...

- Tak, tak, jesteś taki zabawny, że powinieneś mieć własny show, Marcello. Za dwadzieścia minut muszę stąd uciekać i pędzić do Plaży, nie mógłbyś więc dojrzeć Izzie Silver

wyglądającej choć trochę ładnie? Dlaczego muszę wyglądać jak ktoś inny?

- Zasady stylu, złotko - westchnął Marcello jak ktoś, kto po raz dziesiąty tłumaczy, że Ziemia nie jest płaska. - Nikt nie chce wyglądać jak on sam. To zbyt nudne. Po co być sobą, skoro można być kimś bardziej interesującym?

- Taki jest właśnie problem, jeśli chodzi o świat mody

- stwierdziła Izzie. - Nikt z nas nie jest wystarczająco dobry jako on sam. Musimy pachnieć kimś innym, nosić ubrania kogoś innego i wyglądać jak ktoś inny.

- Jesteś na detoksie? - mruknął Marcello. - Wypij podwójne espresso, błagam cię. Znacznie łatwiej być twoim stylistą, kiedy w twoim organizmie krąży kofeina. Moda to fantazja.

Marcello zaczął coś rozpylać nad jej włosami ze skupieniem ogrodnika rozprawiającego się z kolonią paskudnych mszyc.

- No i nie mamy już kolejnego fragmentu warstwy ozonowej - zaszczębiotała Izzie.

- A kogo obchodzi warstwa ozonowa? - burknął, nie przerywając rozpylania. - Widziałaś Britney w „Enquirerze”?

Zajęli się plotkowaniem, gdy tymczasem Izzie posłusznie sączyła espresso, a Marcello odprawiał swe czary.

- Podoba ci się? - zapytał wreszcie, przytrzymując lusterko, by mogła się zobaczyć z tyłu.

Przekształcił jej karmelowe fale w zasłonę delikatnych loków, okalających twarz i łagodzących rysy. Wcześniej Marcello uznał, że Audrey to nie to. Izzie była ciemniejszą wersją Marilyn.

- Cudnie! Wyglądam niebiańsko. Co po katolicku znaczy odjazdowo - zażartowała Izzie.

- I ty uważasz, że to ja powinienem mieć własny show?

- uśmiechnął się szeroko Marcello. - To z ciebie jest niezły dowcipniś.

Świat w Płazie podczas tego lunchu tak bardzo się różnił od codziennego środowiska Izzie, że jej nowojorskie opanowanie zadrżało w posadach. Przyglądała się wszystkiemu szeroko otwartymi oczami. Przyzwyczajona do świata mody, gdzie noszenie ciuchów z American Apparel razem z czymś od McQueena uznawano za pomysłowe, dziwnie się czuła, widząc w jednym miejscu tyle dzieł najdroższych projektantów.

To było połączenie ukradkowego bogactwa - ubrania, biżuteria i dodatki tak drogie i elitarne, że nie było widać żadnej metki, a jedynie czuło się zapach dolarów - i dobrego staromodnego nowobogactwa, gdzie każdą część ciała zakrywało inne nazwisko: Tommy Hilfiger, Vuitton, Fendi.

Kobiety uzbrojone były w kamienie warte więcej niż roczny czynsz Izzie, i trudno było nie poczuć się oszołomionym tymi wystawionymi na pokaz megakarataami. Mimo to twarz Izzie nie zdradzała jej uczuć.

Najwyższa, najpotężniejsza dziewczynka w katolickiej szkole pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusa w Tamarin musiała nauczyć się wyglądać na obojętną, spokojną i opanowaną. Izzie nigdy nie unosiła wyniośle brody - nie musiała. Pewność siebie nosiła niczym długą do ziemi pelerynę, otulając się nią, by pokazać, że jest szczęśliwa, spokojna i gotowa podjąć stawiane przez świat wyzwania.

Jej włosy, dzięki Marcello, wyglądały olśniewająco. Jedwabna suknia-tuba w kolorze winogron - nowego projektanta, o którym nikt nie słyszał, a który wiedział, w jaki sposób otulać materiałem sylwetki z krągłościami - może i kosztowała ledwie ułamek tego, co mieli na sobie pozostali goście, ale Izzie wyglądała w niej fantastycznie. Wiara w siebie, jak mówiła zawsze kochana babcia Lily, była cenniejsza od każdego diamentu.

Tak więc Izzie nosiła swe bransoletki w stylu weneckim i zwisające kolczyki z dumą, ponieważ sama wypisała za nie

czek. Może i nie zapłaciła za bilet dwadzieścia tysięcy dolarów, ale była równie dobra, jak wszyscy inni zgromadzeni na tej sali.

Sala balowa była odświętna i cała kremowa: kremowe obrusy, kremowe kokardy na krzesłach, kremowe róże na środku stołów z dodatkiem subtelnej kaszki. Wszystko było bardzo ładne i emanowało pieniędzmi.

Przy jej stole siedziało sześć kobiet i dwóch mężczyzn. Jeden był młody, przystojny i towarzyszył ślicznej, bardzo szczupłej kobiecie z młodzieńczą twarzą, dekoltem wskazującym na wiek średni i szmaragdowym naszyjnikiem tak pięknym i kosztownym, że najpewniej wyjęto go z bankowego skarbca na ten tylko dzień.

Drugi siedzący przy stole mężczyzna to zupełnie inna liga. Był po czterdziestce, miał stalowoszare oczy, którymi omiatał salę jak jastrząb, krótko ostrzyżone ciemne włosy i lekko ogorzałą twarz, której świetnie by pasował kowbojski kapelusz. Zdecydowanie posiadał osobowość. Nie potrzebował nieskazitelnej perfekcji garnituru Brioni, by obwieścić, że jest jakimś potentatem.

Izzie знаła te znaki. Jeśli istniała lista kontrolna dla typowego samca alfa z władczą osobowością, ten facet w garniturze Brioni mógł zakreślić wszystkie okienka.

Elegancja, skończona pewność siebie, przelotna oznaka bezwzględności: jego to wszystko dotyczyło.

Należy także wspomnieć o tym, że jedna z siedzących przy stole kobiet, którą Izzie rozpoznała z plotkarskich magazynów, flirtowała z nim tak, jakby ostatnia arka odpływała z miasta, a ona szukała pary. Profesjonalne łowczynie zamożnych mężczyzn namierzały tylko tych naprawdę bogatych i wiele mogących.

Kobieta w szmaragdach nawijała do niego o superjachtach. Izzie leniwie zastanawiała się, co to takiego ten super jacht; z tego co zdołała usłyszeć, pływający pałac, któ-

ry wymagał sześćdziesięcioosobowego personelu, wydawał jej się bardziej liniowcem niż jachtem.

Nawet chciała o to zapytać, by ot tak, dla zabawy trochę namieszać, ale zrezygnowała z tego pomysłu.

Podczas posiłku nie mogła się powstrzymać przed ukradkowym przyglądaniem się temu mężczyźnie, szufladkując go jako ostro nadzianego kombinatora, który przez wiele lat pochłonięty był brudnymi interesami i zarabianiem pieniędzy, a teraz w końcu otrzepywał kurz ze swych rąk zawodowego boksera i rozglądał za jakimiś godnymi zainteresowania akcjami dobroczynnymi, by wspiać się po znacznie bardziej stromej drabinie: drabinie klasowej Nowego Jorku.

Nie chciała, by zobaczył, że się mu przygląda. To byłoby takie krępujące.

Nie mogła się jednak powstrzymać. „Witam”.

Nie wypowiedziała tych słów, a jedynie je pomyślała. Ten mężczyzna był z całą pewnością poza jej zasięgiem i to pod wieloma względami. Bogaci faceci preferowali młode piękności: koniec pieśni. Normalna pracująca zawodowo kobieta z Nowego Jorku nie miała u nich żadnych szans.

A jednak... spoglądał na nią, jej żołądek zaś odczyniał dzikie harce.

-.. no więc zadzwoniłam do niego, powiedziałam, że tego nie zrobię, no ale wiesz, mężczyźni nigdy nie wykazują się inicjatywą... - kontynuowała kobieta po lewej stronie Izzie.

Linda była blondynką i hojnie ostrzykiwała się botoksem, by wyglądać bardziej na lat czterdzieści niż prawdziwe swoje pięćdziesiąt. Na początek pochwaliła suknię Izzie, zachwyciła się jej biżuterią, a teraz żałośnie opisywała historie swych randek na Manhattanie, bawiąc się jednocześnie przystawką, w odpowiedni sposób przesuwając po talerzu składniki sałatki z radicchio i fetą.

Izzie udało się jakoś oderwać wzrok od surowego potentata i skoncentrowała się zarówno na opowieści sąsiadki, jak i na swoim steku z tuńczyka.

- Idziesz w takim razie na randkę z tym facetem, tak? - zapytała Lindę.

- Tak jakby. Czy to randka, jeśli on mówi, że spotkamy się na przyjęciu, na które i tak oboje się wybieramy?

Izzie się skrzywiła. Wyglądało na to, że zamożne rozwódki okazywały się ostatecznie takie same, jak zwyczajne kobiety. Uznała, że odpowie jej w taki sposób, w jaki by to zrobiła w przypadku przyjaciółki.

- Niezupełnie. Bardziej obietnica randki, chyba że pojawi się coś lepszego. - Nie ma sensu owijać w bawełnę. - On się asekuruje, Lindo.

Sąsiadka westchnęła.

- Tak właśnie i ja myślę. Chcę mu odmówić, ale podoba mi się...

- Jeśli ty podobasz się jemu, to w porządku - odparła zdecydowanym tonem Izzie. - Ale nie podawaj mu na tacy swego serca, by nie mógł się tobą bawić. Lindo, mężczyźni potrafią wyczuć randkową desperację tak samo, jak psy na lotnisku są w stanie wyniuchać dziesięć kilo haszyszu. Jeśli sobie powiesz, że niepotrzebny ci ten facet, masz większe szanse. A jeśli on nie myśli o tobie poważnie, to się przynajmniej nie skompromitujesz. Zaufaj mi.

- Taa, skąd ja to znam - westchnęła Linda. - Kiedy byłam w twoim wieku, też udzielałam takich rad. Ale teraz ani nie mam tylu lat, co ty, ani nie udzielam takich rad. Coś ci powiem, skarbie, z wiekiem stajesz się zdesperowana. Masz to gdzieś, czy oni o tym wiedzą. Do diabła, i tak wiedzą. To miasto jest pełne kobiet takich jak ja, i ci faceci doskonale o tym wiedzą. Nie chcę być sama. Po cóż mam to kryć?

Izzie poczuła żal. Chwyciła kościste ramię Lindy i uścisnęła je. Nie spodziewała się tego rodzaju szczerości w takim

miejscu. Tutaj, gdzie wszystko było na pokaz, Linda i jej bezpośredniość były czymś dziwnym, aczkolwiek krzepiącym.

- Och, jestem beznadziejna, tylko narzekam i narzekam - rzekła Linda, odkładając w końcu widelec i nóż na talerz z nietkniętym posiłkiem.

- To nie jest narzekanie, lecz szczerłość - uśmiechnęła się Izzie. - Takie rozmowy ja i moje koleżanki odbywamy bez przerwy. Wybór jest taki, że albo można już zawsze być samą i się do tego przyzwyczaić, albo wsiąść do pierwszego samolotu lecącego na Alaskę, gdzie samotni mężczyźni zrobiliby wszystko, by cię poznać.

- Dlaczego ci faceci z Alaski nie mogą przyjechać na Upper East Side? - zapytała Linda.

- Ponieważ wtedy pewnie zrobiliby się z nich rasowi nowojorczycy, nagle do ich stóp rzucałyby się supermodelki i nie chcieliby już nas, normalnych kobiet.

- Och, nic mi nie mów o modelkach - westchnęła Linda. Tym razem Izzie roześmiała się.

- Pracuję z modelkami - wyjaśniła. - Jestem bookerką w Perfect-NY. Linda spojrzała na nią z szacunkiem.

- I pomyśleć, że ja się użalam na to, że jestem samotna, podczas gdy ty musisz konkurować z czymś takim. Nie ma na świecie takiej ilości środków uspokajających, które zmusiłby mnie do pracy z modelkami.

- Tak naprawdę to po prostu dzieciaki, które wyglądają tak, a nie inaczej - stwierdziła Izzie. - Wiele modelek bywa równie popaprana, jak my wszystkie. Niesamowity wygląd nie rozwiązuje problemów ze sobą.

- Poradziłabym sobie z mnóstwem paskudnych problemów, gdybym wyglądała tak jak one - oświadczyła z żarem Linda. - Tak czy inaczej pewnego dnia one także się zestarzeją.

- Ty nie jesteś stara - upierała się Izzie. Linda popatrzyła na nią.

- W tym mieście, Izzie, kiedy zaczynasz się zbliżać do pięćdziesiątki, równie dobrze możesz sobie kupić balkonik. Co tam operacje plastyczne i botoks: mężczyźni chcą prawdziwej młodości i jędrnych małych tyłków i jajników, które wciąż produkują jajeczka. Mogą nie chcieć dziecka, ale pragną kobiety, z którą mogliby je mieć, gdyby nagle zmienili zdanie. Chcą młodości, koniec kropka.

Zabrzmiało to tak ostro, tak gorzko, że Izzie nie była w stanie nic odpowiedzieć. Choć raz straciła apetyt.

Wszystkie rozmowy ucichły, kiedy zaczęła się druga część: pokaz mody i aukcja. Kelnerzy bezszelestnie sprząтали talerze, z głośników zadudniła muzyka techno inspirowana rytmami afrykańskimi i zaczął się pokaz.

Izzie przyglądała się, jak modelki - wiele z nich pochodziło z Perfect-NY, zostały wypożyczone bezpłatnie na tę imprezę - przechadzają się po wybiegu. Zazwyczaj uważnie obserwowała swoje dziewczęta, sprawdzając, która wygląda na zadowoloną, która na znudzoną, a której źrenice zdradzają zbyt wiele łyków szampana przed pokazem. Dzisiaj jednak była zbyt wstrząśnięta rozmową z Lindą i tym, co nie zostało wypowiedziane: że ona także boi się być sama.

Dużo czasu minęło, odkąd przyznała się do tego komukolwiek, nawet sobie.

Kiedy dorastała w Tamarin, małżeństwo wydawało się czymś nieuchronnym: poznawało się kogoś i wychodziło za niego, tak po prostu. Wszystko miało stać się niejako samo.

Tyle że wyjechała z Tamarin do Londynu, a potem do Nowego Jorku, miejsca, gdzie nie obowiązywały zasady „chłopak poznaje dziewczynę i biorą ślub”. Teraz, podczas gdy wszystkie jej dawne koleżanki ze szkoły zdążyły już zaliczyć przynajmniej jedno małżeństwo, ona nie zbliżyła się nawet do zaręczyn.

Znalezienie właściwej osoby wydawało się nieco podobne do powrotu promu kosmicznego na Ziemię - istniało nie-

zwykle małe okienko szans, znacznie mniejsze, niż to sobie wszyscy wyobrażali, a jeśli się je przegapiło, pozostawało mieć nadzieję, że znajdzie się drugie okno, nim będzie za późno.

Kiedy brakowało wolnych mężczyzn, trzeba było czekać na kolejną rundę - na tych, którzy już się poženili, potem rozwiedli się i oto byli gotowi zacząć wszystko od nowa. Tyle że oni woleli młodsze kobiety, jakieś dziesięć lat młodsze. Zaś kobiety w wieku tych mężczyzn tkwiły po stronie przegranej.

Izzie pomyślała o swych czterdziestych urodzinach, które miała w listopadzie.

Namiętny Skorpion, o czym lubiła jej przypominać Tish, przyjaciółka mająca hopla na punkcie astrologii. Izzie i Tish mieszkały razem na drugim piętrze budynku bez windy w West Village, kiedy Izzie przeprowadziła się do Nowego Jorku.

Były w tym samym wieku, pracowały w tej samej branży - Tish była asystentką fotografa - i obie były imigrantkami. Dziesięć lat później śpiewny walijski akcent Tish był równie wyraźny, jak wcześniej. Była także mężatką i matką sześciomiesięcznego chłopca.

Tish wkrótce także stuknie czterdziestka, ale Izzie postrzegała ten wiek zupełnie inaczej niż jej przyjaciółka.

Wszyscy przesunęli krzesła, by lepiej widzieć pokaz, kiedy więc nadeszła pora na rozpoczęcie aukcji, mężczyzna w garniturze Brioni siedział znacznie bliżej niej niż wcześniej. Izzie zauważyła to dopiero wtedy, gdy spadł jej program aukcji, a on wstał szybko, podniósł go i podał jej.

- Dziękuję - powiedziała zaskoczona.

- Niepomalowane paznokcie, cóż za przyjemna odmiana - zauważył.

Izzie malowała paznokcie jedynie bezbarwnym lakierem. W morzu starannych manicure jej niemal nagie dłonie wyraźnie się wyróżniały.

- Nie jestem kręconą dziewczyną - odparła z roztargnieniem.

Za bardzo poruszona była wcześniejszą rozmową z Lindą, by ponownie zainteresować się tym facetem. Zresztą on i tak nie byłby nią zainteresowany: miała przecież obsychające jajniki i cerę, której nie była w stanie odmłodzić żadna dawka zabiegów kosmetycznych.

- Słucham? - zapytał.

- Nie jestem kręconą dziewczyną.

- Nie mówiłem o pani włosach.

Jego palce nie dotknęły loków w kolorze toffi, którym co sześć tygodni serwowano koszmarnie drogie miodowe pasemka w salonie Circe. Ale patrzył na nią tak, jakby o tym myślał.

Linda udała się wcześniej do łazienki, tak że jej krzesło było wolne, i zajął je teraz Garnitur Brioni, przysuwając je tak blisko Izzie, że poczuła, jak brakuje jej tchu. Była wysoką kobietą i instynktownie wiedziała, czy ludzie są od niej wyżsi. On był.

- Jestem Joe Hansen - rzekł, wyciągając rękę.

- Izzie Silver - odpowiedziała automatycznie, ujmując jego dłoń i czując, jak coś w niej podskakuje.

Może i miała czterdziestkę na karku, ale wciąż była w stanie odczuwać do kogoś pociąg.

Patrzył na nią tak, że przyszło jej do głowy, iż ten mężczyzna nie szuka dwudziestopięciolatki.

Uśmiechał się. Był to życzliwy, prawdziwy uśmiech. Sprawiający, że Izzie pomyślała o tym, iż zdziera z niego koszulę, przytula się, całuje go, wtulona się w te potężne ramiona, jego usta zamykają się na jej brązowej brodawce. Uf.

Nawet teraz Izzie potrafiła przypomnieć sobie każdy dokładny szczegół tej chwili.

- O co więc chodziło z tą „kręconą dziewczyną”? - zapytał.

Wyrzucając z myśli lubieżną wizję, Izzie się uśmiechnęła - nie był to wyrafinowany uśmiech mieszkanki Nowego Jorku, ale szeroki uśmiech dziewczyny wychowanej na wsi, który jej rodzina natychmiast by rozpoznała.

- Moja najlepsza przyjaciółka ze szkoły nazywała coś takiego „kręconym”. Nie wiem dlaczego. Czasem dziwnie się wysławiała. Kręcony oznacza osobę, która uwielbia różowe wstążki i spinki do włosów, maluje oczy tak, że wyglądają jak u jelonka Bambi i praktykuje jedzenie przed randką, tak by mężczyźni nie posądzili jej przypadkiem o wilczy apetyt.

- Zaryzykowałbym stwierdzenie, że ty nigdy w życiu tego nie robiłaś - rzekł, obrzucając ją uważnym spojrzeniem. - Nie znaczy to oczywiście, że jest coś złego w wilczym apetycie.

Fikołek, który wykonał jej żołądek, nasunął Izzie myśl, że jej sąsiadowi nie chodzi o apetyt najedzenie.

- Lubię jeść - powiedziała spokojnie.

Nie będzie uprawiać z nim żadnych gier. Po latach umawiania się na randki na Manhattanie wiedziała, jak to wszystko działa. Gierki to gierki. A to było coś rzeczywistego, nieprawdaż?

- W takim razie jakie jest twoje ulubione danie? Ostatni posiłek w życiu?

Odchyłał się na krześle Lindy, zupełnie nieświadomy otaczających ich osób. Zdażyła się rozpocząć aukcja charytatywna. Właśnie licytowano jakąś paskudną rzeźbę i inne samce alfa niemal waliły się pięściami po klatach, starając się ją kupić.

Ale Joe nie był tym zainteresowany. Sto procent uwagi poświęcał jej. Ona z kolei nie była w stanie oderwać spojrzenia od jego twarzy, od stalowoszarych oczu, które sprawiały, że czuła się jak najważniejsza osoba w tym pomieszczeniu. To nie była chyba jakaś sztuczka, prawda? Czy człowiek może udawać taką totalną fascynację?

Izzie bardziej wyczuwała niż widziała, że kobiety przy ich stole dostrzegają te umizgi, i rozumiała, że pora położyć

temu kres i wrócić do prawdziwego świata. Nim zauważy to ktoś inny. Jego nazwisko coś jej mówiło i była pewna, że pan Hansen to gruba ryba, gdy tymczasem ona jest jedynie płótką w stawie. Ale jakoś nie była w stanie tego zakończyć tak od razu. Już tak dawno nie flirtowała z mężczyzną ani nie czuła choćby jednej czwartej takiego pociągu, jak teraz. Kilka dodatkowych minut chyba nikomu nie zaszkodzi, prawda?

- Pewnie lekarstwo na kaszel i środki przeciwbólowe
- zażartowała. Robiła tak, kiedy była zdenerwowana.
- Nie chodziło mi o ostatni posiłek w szpitalu miejskim
- odparł.

Izzie uświadomiła sobie, że uśmiechał się nie tylko ustami, lecz także oczami. Niewielu ludzi tak robiło.

- Pstrąg złowiony w strumieniu niedaleko mojego domu w Irlandii, plus sałatka z rukoli z ogródka mojej babci. Twierdzi, że to świetne lekarstwo na zrzędlivość i że przywraca energię. No i jeszcze agrestowa tarta z bitą śmietaną.

- Prawdziwe jedzenie - stwierdził Joe. Jego oczy uśmiechały się jeszcze bardziej, wysyłając ciepło, które trafiało prosto do jej serca. - Obawiałem się, że możesz wybrać rzadki irański kawior lub szampana z niewielkiej winnicy, dostępnego wyłącznie w pięciogwiazdkowych hotelach w Paryżu.

- No to nie za dobrze mnie znasz - odparowała Izzie. Była pewna, że niewiele rzeczy potrafiło zaskoczyć pana

Hansena. Izzie czuła, że dokonała tego wyczynu dlatego, że była sobą. Normalnie coś takiego donikąd jej nie prowadziło w kontaktach z mężczyznami. Cudownie spotkać kogoś, komu podobala się prawdziwa Izzie Silver z niepomalowanymi paznokciami. Izzie, która miała już prawie czterdziestkę.

- Bardzo bym chciał - rzekł. - To znaczy poznać cię lepiej.

- Sprzedano za siedemdziesiąt tysięcy dolarów! - zawołał triumfalnie licytator.

Izzie podniosła głowę. Czerwony na twarzy potentat naftowy przy sąsiednim stoliku był teraz dumnym właścicielem

czegoś, co wyglądało jak zgnieciona skrzynia biegów popry-skana wściekle żółtą farbą. Też mi sztuka.

- Nudzę cię - powiedział miękko Joe.

- Nie. - Izzie zarumieniła się. Ona się nigdy nie rumieniła. Było to zachowanie godne dziewczyny polującej na mężczyzn, którego Izzie nie znosiła na równi z odrzucaniem włosów i powolnym oblizywaniu ust, na co mężczyźni zawsze dają się nabrać, neurochirurdzy na równi z taksówkarzami. Mężczyźni bywają tacy tępi. - W ogóle mnie nie nudzisz - rzekła szybko.

Z całą pewnością jednak wywoływał w niej niepokój. Co nie znaczy, by mogła powiedzieć to na głos. „Witaj, od sześciu miesięcy nie byłam na randce i dałam sobie spokój z mężczyznami, więc mnie nie nudzisz, ale napawasz przerażeniem, ponieważ mi się podobasz”. Nie, tego z całą pewnością nie mogła powiedzieć.

Znowu coś mówił. Pewnie ją uzna za totalną wariatkę, skoro tak się włączała i wyłączała.

- To dobrze. Bardzo bym nie chciał być nudny.

Tak jakby to było możliwe, pomyślała Izzie, wzdychając cicho.

W głośnikach rozbrzmiał głos licytatora:

- Kolejnym przedmiotem dzisiejszej aukcji jest portret namalowany przez legendę sztuki, Pashę Nilanhi. Kto rozpocznie od dwudziestu tysięcy dolarów?

Wszyscy wydawali stosowne odgłosy uznania. Izzie nie miała pojęcia, kim jest ta Pasha, ale sądząc po pełnych aprobaty pomrukach, inni pojęcie mieli. Albo udawali, by nie wyjść na ignorantów.

- Kolekcjonujesz sztukę? - zapytał ją, kiedy Izzie wychyliła się, by zobaczyć obraz, który właśnie noszono między stolikami.

- Tylko taką, która znajduje się na stronach magazynów - odparła z szelmowskim uśmiechem. - Zdradzę ci sekret: nie

zapłaciłam za swój bilet. Nie jestem jedną z kolekcjonujących sztukę dam, które chadzą sobie na takie lunchy.

Czekała, aż on się wycofa. I tak była za stara i za biedna.

- Ja też mam sekret - mruknął, przysuwając się, tak że Izzie instynktownie przechyliła głowę, by go usłyszeć. - Sam doszedłem do takiego wniosku. Dlatego z tobą rozmawiam.

Izzie poczuła, jak jej żołądek wywija kolejnego fikołka.

- Twierdzisz, że pasuję tu jak pięść do nosa? - zapytała, przekomarzając się.

- W pozytywny sposób - uśmiechnął się szeroko. - Zdradziło cię to, że rzeczywiście zjadłaś danie główne.

Izzie nie była w stanie się powstrzymać: roześmiała się głośno.

- Wydało mnie łakomstwo. To okropne.

- Nie łakomstwo. Hej, ja swój lunch także zjadłem.

- Ty jesteś facetem - odparła Izzie takim tonem, jakby wyjaśniała czterolatki fizykę eksperymentalną. - Faceci mogą jeść i wyglądać przy tym na macho. W naszym porąbanym świecie kobietom nie wolno jeść.

- Z wyjątkiem ciebie.

- Z wyjątkiem mnie - przyznała, czując się nagle jak jałówka.

- To dobrze, ponieważ zamierzałem zaprosić cię na lunch, a nie miałyby to sensu, gdybyś nie jadła. Chyba że lunch nie wchodzi w grę, to wtedy może kolacja?

Izzie pragnęła zakrzyknąć na całe gardło: „Tak!”. Ten elegancki mężczyzna w garniturze Brioni, który kosztował więcej niż jej miesięczny czynsz, zawładnął nią tak, jakby zamknął w klatce. Może i ubierał się jak cywilizowany człowiek, ale i tak był myśliwym, drapieżnikiem, samcem alfa.

A zabawa z samcami alfa była szaleństwem. Wiedzieli, czego chcą, i bezwzględnie dążyli do celu. Izzie nie chciała, by ją skrzywdzono.

Aby się uspokoić, sięgnęła po kieliszek z winem i obróciła go w palcach. Stół nie wyglądał już ładnie. Był smutny: menu odrzucone na bok, pogięte karteczki z nazwiskami, ubrudzone serwetki pozostawione obok filiżanek z kawą i nietkniętych ptifurek.

Cała impreza chyliła się już ku końcowi, a potem Izzie musiała wracać do pracy, do normalnego życia, w którym nie było flirtujących z nią milionerów.

Zajmowała niewielkie mieszkanie z kapiącym prysznicem, pleśnią w szafce pod zlewem, a na karcie kredytowej miała tysiąc dwieście dolarów długu, na litość boską, po tym, jak zaszalała i kupiła te platformy Louboutina i spodnie Stelli McCartney. Czy wziął ją mylnie za kogoś ze swego nadzianego, bezpiecznego świata? Wyobraziła sobie, że ludzie, których zna, dowiadują się o jej flircie z Joem Hansenem, i skrzywiła się. Nigdy nie chciała być ślicznotką bogatego mężczyzny: ślicznotka taka miała dwadzieścia kilka lat i ważyła czterdzieści kilo, z czego większość przypadła na biust, tapetę i ego.

- Wszystko jest możliwe - rzekła pogodnie tonem, jakiego używała podczas telefonicznej rozmowy ze zbolałymi modelkami, które nie zakwalifikowały się do czegoś, czego wcześniej były absolutnie pewne. - Jednak mało prawdopodobne.

- Dlaczego?

Izzie starannie dobierała słowa.

- Ponieważ mimo że cię nie znam, panie Hansen, wydaje mi się, że żyjesz w innym świecie, który nie jest mój.

- A jaki jest twój świat? - zapytał.

- Jestem bookerką w agencji modelek - odparła i wyjaśniła pokrótce, na czym polega jej praca.

- Dlaczego różni się od mojego świata? Izzie uniosła dłonie.

- Okej, zadam ci trzy pytania i jeśli udzielisz mi odpowiedzi twierdzącej choć na jedno z nich, wtedy uznamy, że pochodzisz z innego świata? Zgoda?

- Zgoda - odparł z rozbawieniem w oczach.

- Leciałeś w ciągu minionego roku liniami komercyjnymi? -

Uśmiechnęła się i on także.

- Nie - przyznał.

Izzie uniosła jeden palec. Trzeba było znacznie więcej niż przeciętnej pensji pracownika z linii produkcyjnej, by latać prywatnymi samolotami.

- Czy na czeku, który dzisiaj przekazałeś, widniały trzy zera lub więcej?

Tym razem się roześmiał.

- Bystra jesteś.

- Czy to oznacza tak?

- To oznacza tak. Uniosła dwa palce.

- Dwie odpowiedzi twierdzące - rzekła.

Ze sposobu, w jaki wcześniej chodzący od stolika do stolika organizatorzy rozplýwali się nad nim, Izzie wywnioskowała, że Joe przekazał na cele dobroczynne czek w wysokości co najmniej stu tysięcy dolarów.

- No i czy masz drugi dom na Wschodnim Wybrzeżu, powiedzmy w Hamptons, Westchester albo w jakimś innym szykownym miejscu?

Zamknął oczy i przejechał ręką po brodzie, którą już zacieniał zarost. Seksowny, pomyślała Izzie. Mężczyźni, którzy byli gładcy w każdym znaczeniu tego słowa, napawali ją niepokojem. Ten mężczyzna był bardzo prawdziwy, bardzo męski. Podobało jej się to.

- Tu mnie masz - stwierdził. - Jednak to nie tłumaczy, dlaczego nie możemy być przyjaciółmi.

Izzie obdarzyła go spojrzeniem, które mówiło bez słów: „A czek przyjdzie pocztą, tak?”.

- Nie jestem w tym dobry - dodał z żalem.

- Jesteś w tym prawdopodobnie doskonały. To ja wyszłam z wprawy.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Cóż, uwierz. Dopiero co przeprowadziłam przygnębiającą rozmowę o starości z kobietą, której krzesło zająłeś. Kobiety w Nowym Jorku od pewnego momentu starzeją się jak psy. Kiedy przekroczymy czterdziestkę, toczymy się w dół, by stać się seniorkami, które noszą obciskające majtki i wyruszają na rejsy wycieczkowe, by w bufecie na statku przytyć kolejnych pięć kilo. Podsumowując: nie wdaję się w seksowne pogawędki z obcymi.

Zrobiło jej się przykro, nim jeszcze zdążyła wypowiedzieć te słowa, niemniej jednak nie miała ochoty na rolę zabawki. Joe najprawdopodobniej tylko się z nią zabawiał, nim znajdzie sobie coś lepszego.

- Nie wyglądasz na czterdzieści lat - stwierdził. - A ja naprawdę nie jestem w tym dobry. Też wyszedłem z wprawy. Długo byłem żonaty, a teraz moja żona i ja jesteśmy, no... w separacji. - Powiedział to powoli, jakby dopiero się przyzwyczajał do używania tego zwrotu.

- Przykro mi to słyszeć.

- Dzięki, ale już od dawna się na to zanosilo. - Wzruszył ramionami. - Pobraliśmy się w młodym wieku. Długo się staraliśmy, by wszystko się jeszcze ułożyło, ale się nie udało.

- Szukasz w takim razie drugiej żony? - zapytała impertynencko Izzie.

- Ponieważ twoja sąsiadka - chodziło jej o kobietę z wyjętą z bankowego sejfów biżuterią - wydawała się ubiegać o tę rolę.

- Muffy? - zapytał. - Jest słodka, ale to naprawdę nie mój typ.

Słodka? Muffy? Była równie słodka jak grzechotnik, pomyślała Izzie, ale nie ciągnęła tematu. Podobało jej się w nim to, że nie uczynił żadnej złośliwej uwagi na temat Muffy.

- Posłuchaj - kontynuował - normalnie nie robię czegoś takiego. Minęło - skrzywił się - ponad dwadzieścia lat, odkąd to robiłem.

Położył jedną rękę na jej nagim ramieniu i Izzie musiała skryć gwałtowny wdech. Co się z nią działo?

- Podejmuję w swojej pracy ryzyko, skalkulowane ryzyko.

Systematycznie próbuję podbić rynki dzięki matematyce. Czasami podejmuję ryzykowną próbę, ale niezbyt często. Słynę z tego, że jestem uczciwy i mówię to, co myślę. Nigdy nie siadłem na imprezie dobroczynnej obok nieznanym kobiecie i nie czułem się tak, jak teraz, ani się tak nie zachowywałem. Doświadczenie mówi mi, że możesz mieć bezpośredni numer do któregośkolwiek tabloidu i przekazać im, że Joe Hansen oszalał, ale choć raz mam to gdzieś, ponieważ muszę powiedzieć to, co czuję.

Zapadła cisza. Jego palce nadal dotykały jej ramienia, ciepła skóra na cieplej skórze.

- To szaleństwo - powiedziała wstrząśnięta.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Po chwili oderwał od niej wzrok, przeklinając lekko pod nosem i wyjmując z kieszeni na piersiach małe, wibrujący telefon. Zerknął na niego pośpiesznie, po czym wsunął go z powrotem do kieszeni.

- Muszę jechać - rzekł. - Mogę cię gdzieś podzucić?

- Ja także muszę wracać do pracy - odparła. Praca wydawała się odległa o milion kilometrów. - Ale moje biuro mieści się niedaleko Houston, może ci nie być po drodze... - dodała nieprzekonująco.

- Mam czas.

I nagle zebrali się, nie żegnając się z nikim. Aukcja jeszcze się nie zakończyła. Joe wykonał telefon i kiedy wyszli na ulicę, czekał już na nich dyskretny czarny samochód. Był lśniący i luksusowo anonimowy, jak coś, co NASA mogłaby wysłać na Marsa. Izzie wsiadła do środka.

- Zdarzyło mi się wynajmować mieszkania mniejsze od wnętrza tego samochodu - zażartowała, moszcząc się wygodnie na siedzeniu z jasnokremowej skóry.

- Znam właściciela. Moglibyśmy dobić targu - odparł równie żartobliwym tonem.

Siedziała od niego jak najdalej, starając się sprawiać wrażenie, że mnóstwo czasu spędza na wożeniu się po mieście luksusowym autem.

- Wiesz już sporo o mnie, a ja nadal nie wiem niczego o tobie, panno Silver. Czym się zajmujesz? - zapytał.

Izzie wyrecytowała mu, co robi zawodowo. Kobiety były zazwyczaj zainteresowane światem mody i wydawały odgłosy pełne współczucia, na wieść o pracy z pięknościami. Mężczyźni byli albo znudzeni, albo ich twarze się rozjaśniały i chcieli wiedzieć - niektórzy w sposób subtelny, inni wprost przeciwnie - czy ich agencja zatrudnia któreś z dziewcząt Victoria's Secret.

Joe tak nie uczynił.

Zapytał ją o agencję i problemy wiążące się z prowadzeniem interesów w świecie, gdzie głównym towarem jest człowiek. Gdy samochód sunął przez Nowy Jork, dzięki przyciemnianym szybom izolując pasażerów od deszczowych ulic, Izzie rozkręciła się, opowiadając mu o wadach branży.

Nim się zdążyła zorientować, co się dzieje, zapomniała o wszystkim z wyjątkiem potrzeby wyjaśnienia temu mężczyźnie, że nie znosi oglądać tak wielu dziewcząt poddawanych wymogom świata mody, pragnącego korzystać z usług wyłącznie najchudszych dzieciaków, jakie uda się znaleźć.

- Oficjalnie ludzie związani z modą twierdzą, że to nie ich wina, iż na topie jest wygląd „rexy”. Połączenie sexy i anoreksji - wyjaśniła, kiedy na jego twarzy pojawiła się dezorientacja. - Ale oczywiście to cała branża jest za to odpowiedzialna. No pomyśl, jeśli jesteś czternastoletnią dziewczyną i w każdej reklamie telewizyjnej czy magazynie widzisz chudą, opaloną dziewczynę, w końcu zaczynasz myśleć, że tak właśnie powinnaś wyglądać, nawet jeśli jest to fizycznie niemożliwe.

I wtedy witaj anoreksjo lub bulimio.

- Cieszę się, że mam synów - stwierdził Joe.

- Synów? Ile mają lat? - Izzie w błyskawicznym tempie wróciła na ziemię. Oczywiście, że miał dzieci. Mówił przecież o długotrwałym małżeństwie: dzieci stanowiły jego część.

- Dwadzieścia trzy, dwanaście i czternaście - odparł, a jego twarz złagodniała. - Tom jest najstarszy. Przebywa obecnie we Francji, pracując nad swoim francuskim i pewnie nad zdobywaniem dziewczyn. Następny w kolejności jest Matt, spora różnica wieku, wiem, i jego akurat bardzo interesuje muzyka. Przez cały czas gra na gitarze, a nie chce tknąć pracy domowej z matematyki. Ironia losu, biorąc pod uwagę to, w jaki sposób ja dorobiłem się majątku. Bardziej nauką interesuje się Josh. W jego szkole mają w tym semestrze dodatkowe zajęcia językowe, japoński, i on się na nie zapisał. - W głosie Joego słychać było dumę. - Tom twierdzi, że jego młodszy brat jest szalony. Dzieci, co?

- A mieszkają oni z...? - sondowała Izzie.

- Z nami. Mieszkamy w jednym domu, dopóki wszystkiego nie załatwimy - odparł. - Już od dawna zanosilo się na separację, ale dopiero niedawno ją sformalizowaliśmy. Mamy duży dom - dodał. - Chcemy, żeby chłopcy ucierpieli jak najmniej, a to jest właśnie najlepszy sposób. Że tata się nie wyprowadził, a przynajmniej na razie.

- Ach - rzekła Izzie. Pora się wycofać. Bez względu na to, jaki natychmiastowy pociąg poczuła do tego mężczyzny, nie miała ochoty mieszać się w separację i rozwód, czy też być jego pociechą po rozstaniu z żoną. Po tylu latach małżeństwa na pewno niełatwo się pocieszyć. - Tutaj pracuję - powiedziała kierowcy, gdy przed nimi pojawił się biurowiec z siedzibą Perfect-NY.

Samochód zatrzymał się. Joe położył rękę na klamce, by wypuścić ją od swojej strony, po stronie chodnika.

- Wybrałabyś się któregoś dnia ze mną na lunch? - zapytał.

- Jesteś nadal żonaty - odparła Izzie. - Według moich zasad ma to wpływ na cały proces umawiania się. Robi się wtedy niefajnie, miałam już to okazję widzieć. Nie chcę tego doświadczyć.

- Tylko lunch.

Jego stalowoszare oczy zdawały się roztopiać, gdy wpatrywał się w nią. Izzie ponownie to poczuła: dreszczyk podekscytowania. Mogła z ręką na sercu powiedzieć, że jeszcze nigdy w życiu czegoś takiego nie czuła, ale po cóż miałyby to robić? Mogła połączyć ich jedynie przyjaźń, ich związek nie miał przyszłości. Wplątując się w to, uczyniłaby coś naprawdę głupiego.

- Nie wychodź - rzekł Joe do kierowcy. - Sam wypuszczę pannę Silver.

- Jak pan sobie życzy, panie Hansen.

„Jak pan sobie życzy, panie Hansen” - pomyślała bezradnie Izzie, czując ponownie falę pożądania.

Tylko jeden mały lunch. Cóż może być w nim złego?

ROZDZIAŁ DRUGI

Krawędzie czarno-białej fotografii były pogięte i lekko wyblakłe, a jednak emanowało z niej życie, jakby została zrobiona przed chwilą, a nie przed siedemdziesięciu laty.

Cztery kobiety i pięciu mężczyzn stało wokół dużego kamiennego kominka, wszyscy ubrani w stroje wieczorowe z lat trzydziestych: kobiety miały loki wyciskane na żelazku, delikatne ręce i suknie, które otaczały ich kostki niczym morze jedwabiu; mężczyźni z surowymi minami odziani byli w smokingi, mieli bujne wąsy, otaczała ich zaś aura władczości. Jeden z nich, najstarszy w grupie, trzymał w ustach grube cygaro, inny uniósł w stronę fotografa kryształową szklaneczkę, jedną nogę opierając leniwie na osłonie paleniska, idealny obraz rozluźnionego dżentelmena.

Z obydwu stron otaczały ich zabytkowe stoliki udekorowane kwiatami i oprawionymi w srebrne ramki fotografiami. Na parkiecie przed nimi leżała tygrysia skóra.

Cała ta scenka emanowała pieniędzmi, klasą i przywilejami.

Jodi niemalże słyszała trzeszczący gramofon, grający w tle Ivora Novello albo Kit Kat Band, muzykę, która była bardzo sugestywna.

„Urodziny lady Irene. Rathnaree, wrzesień 1936” - głosił wyblakły napis na odwrocie.

Jodi zastanawiała się, która z tych czterech pań to lady Irene. Jedna z dwóch blondynek czy może kobieta z wysa-

dzanym kamieniami diademem wplecionym w gęste, ciemne włosy niczym u indiańskiej tancerki?

Zdjęcie wetknięte było za okładkę *Ligi biedrzeńca*, znalezionego w miejscowej bibliotece. Jodi Beckett o mały włos go nie przegapiła. Do biblioteki w Tamarin wybrała się pewnego ranka, kiedy jej komputer po raz trzeci się zepsuł, i była taka wściekła, że po prostu musiała wyjść gdzieś z małego domku, którego wciąż nie traktowała jak swego domu, mimo że ona i Dan mieszkali w Tamarin już od dwóch miesięcy. Niesłabnący deszcz oznaczał, że nawet spacer nie okazał się ucieczką, i wtedy Jodi przypomniała sobie o bibliotece, znajdującej się na końcu ich ulicy.

Wiele godzin spędziła w bibliotece uniwersyteckiej, kiedy studiowała w rodzinnym Brisbane, ale w ciągu ostatnich kilku lat rzadko miała okazję zawitać do jakiegokolwiek. Mijała Bibliotekę Publiczną w Tamarin każdego dnia w drodze po zakupy i nigdy nie wstąpiła do środka. Tego ranka przebiegła przez ulicę Delaney, chowając w ramionach głowę przed deszczem, który kłuł niczym małe igielki, po czym znalazła się w oazie spokoju.

W bibliotece nie było nikogo oprócz starszego pana, pochłoniętego czytaniem najświeższych gazet, i dwudziestoparoletniej bibliotekarki z inteligentną twarzą, włosami ufarbowanymi na kruczoczarny kolor, kolczykiem w nosie i fioletową szminką, dobraną do koloru puszystego sweterka z angory, robionego na drutach. Panowała cisza, napawająca Jodi takim spokojem, jakby w jej głowie odtwarzana była płyta do medytacji.

Niepostrzeżenie minęła godzina, gdy tymczasem ona przechadzała się między regałami, wybierając książkę za książką, uśmiechając się do tych, które już czytała i kochała, notując w głowie tytuły tych, których jeszcze nie знаła.

I wtedy z *Ligi biedrzeńca* wypadło to zdjęcie, a Jodi poczuła dreszczyk fascynacji, zapamiętany z pewnego lata, kie-

dy jako studentka wyjechała na wykopaliska archeologiczne do Turcji.

Archeologia okazała się nie dla niej: uwielbiała historię, ale nie była przygotowana na fizyczny aspekt grzebania w ziemi. Ta fotografia wywołała w niej jednak tę samą ekscytację, poczucie znalezienia czegoś, czego nikt nie widział od dziesiątek lat, poczucie, że na odkrycie czeka tajemnica.

Bibliotekarka była zachwycona tym, że poproszono ją o udzielenie informacji, i wyjaśniła, że Rathnaree to wielka rezydencja w miasteczku.

- Byli znani jako rodzina Lochraven, Lord Lochraven z Tamarin. Nieźle brzmi, co? Byli miejscową szlachtą - rzekła. - To nadal jest piękny dom, choć nieco zrujnowany. Nikt tam nie mieszka od wielu lat. No, przynajmniej odkąd ja sięgam pamięcią - dodała.

- Czy są jakieś książki na temat tego domu albo rodziny? - zapytała Jodi.

Bibliotekarka pokręciła głową.

- Nie, ani jednej, co jest dziwne. Lochravenowie mieszkali w tym domu co najmniej przez dwieście lat, może nawet dłużej, musi się więc z tym wiązać mnóstwo interesujących faktów.

Jodi ponownie poczuła atmosferę tajemnicy.

- Wiem, że to zdjęcie oficjalnie stanowi pewnie własność biblioteki - powiedziała - ale czy mogłabym je pożyczyć i zrobić kopię? Jestem pisarką - dodała, co technicznie rzecz biorąc było prawdą. Była pisarką, ale nie wydała nic od czasu pracy magisterskiej na temat dwiętnastowiecznych poetów amerykańskich, a przez ostatnie siedem lat pracowała w branży wydawniczej jako adiustorka. - Chętnie bym zebrała informacje na temat Rathnaree. Obejrzała dom, posłuchała o tych ludziach... napisała o tym książkę.

No i proszę, powiedziała to. Dan ciągle ją namawiał, by zabrała się za pisanie, ale Jodi nie wiedziała, czy ma iskrę potrzebną do tworzenia beletrystyki, a do dziś nie miała pomysłu na literaturę faktu.

- Książka o Rathnaree! Cudnie! - odparła bibliotekarka. - Istnieje przewodnik po miasteczku z informacjami o tym domu, ale to wszystko. Proszę się nie ruszać! Znajdę go dla pani. Spodoba się pani ten dom. Jest piękny. Ale by było super mieszkać w takiej rezydencji.

Kopia zdjęcia leżała teraz na fotelu pasażera w samochodzie Jodi, a obok niej mały miejscowy przewodnik po okolicy, w którym znajdowała się fotografia Rathnaree House, pochodząca z lat pięćdziesiątych. Pokonała ostatni zakręt alei prowadzącej do domu, w duchu utyskując na beznadziejność zawieszenia tego auta i wyboistość nawierzchni. Uznała, że aleja to zdecydowanie zbyt szumna nazwa, bo choć wysadzana okazałymi bukami i ciągnąca się co najmniej przez półtora kilometra, stanowiła najwyżej wiejski dukt z porośniętym trawą wałem pośrodku.

Nagle wyszła z ostatniego zakrętu, minęła przerośniętą różową azalię, i zobaczyła dom. Jej stopa automatycznie wcisnęła pedał hamulca, zatrzymując samochód na pozostałości po żwirowym podjeździe.

- A niech mnie - powiedziała głośno Jodi, wpatrując się w budynek.

Ziarniste czarno-białe zdjęcie w przewodniku po Tamarin nie oddawało piękna domu. Pośród całego mnóstwa drzew, idealnego nigdyś żywopłotu i pnących róż znajdowało się coś, co przewodnik opisywał jako „doskonały przykład wiktoriańskiego palladianizmu”. W rzeczywistości oznaczało to starannie zaprojektowany szary budynek z eleganckimi lukami i kamiennymi filarami charakterystycznymi dla architektury palladiańskiej oraz wielkimi symetrycznymi oknami wychodzącymi na miękkie zielony trawnik przetykany stokrotkami i dmuchawcami.

Ogromny dom ciągnął się bez końca, a potem powiększał o stajnie, pomieszczenia dla służby, wiktoriańską oranżerię po prawej stronie, po lewej zaś porośnięte pnączami ściany otaczające ogród kuchenny. Olbrzymie kamienne cokoly z pełnymi chwastów donicami sygnalizowały początek ogrodu z ziołami, starannie rozplanowanego, teraz zarośniętego bujnym rozmarynem leśnym i lawendą, które wypełniały powietrze intensywną wonią.

Nie było tu żadnych dam w wymyślnych kapeluszach ozdobionych kwiatami i w długich sukniach, stojących obok surowych, wąsatych mężczyzn, nie było też ani śladu długich, szerokich samochodów z błyszczącymi maskami. Ale to Rathnaree, mimo że starsze i znacznie mniej zadbane od wersji z obu fotografii, nadal miało w sobie charakterystyczną majestatyczność Wielkiego Domu.

Do prowadzenia takiej posiadłości potrzebna była cała flota służących, a do zapłacenia za to wszystko tysiące akrów ziemi.

To był inny świat, czasy, kiedy Tamarin było małym miasteczkiem, gdzie potężna rodzina Lochravenów posyłała swoich służących po sprawunki. Teraz Tamarin było dobrze prosperującą miejscowością, gdy tymczasem Rathnaree stało puste, Lochravenów już dawno nie było, z wyjątkiem właściciela domu, dalekiego kuzyna, który ani razu się tu nie zjawił. Tego wszystkiego Jodi dowiedziała się od bibliotekarki.

- Rathnaree to zangielszczona wersja nazwy. Tak naprawdę brzmi ona *Rath na ri*, co w języku irlandzkim znaczy fort króla - kontynuowała wyjaśnienia. - Nie pamiętam połowy tego, czego uczyłam się w szkole, ale wszystkim nam to wbijano do głowy. Miałam nauczycielkę historii, która bardzo interesowała się Lochravenami, twierdziła, że w latach trzydziestych jej matka bywała na balach organizowanych po polowaniach w Rathnaree; były one bardzo formalne, z kamerdynerem i kobietami w długich sukniach i rękawiczkach. Tylko sobie proszę wyobrazić! Podobają mi się tego typu suknie, ale nie dałabym się namówić na rękawiczki. Narysować pani mapkę, jak tam dojechać?

- Nie - odparła Jodi. - Wiem mniej więcej, gdzie to jest. Mieszkam tu już od dwóch miesięcy.

- Naprawdę? Gdzie? - Dziewczyna oparła się przyjacielsko o biurko.

- Mój mąż i ja przeprowadziliśmy się tu z Dublina - wyjaśniła Jodi, co czyniła nader często, odkąd ona i Dan przyjechali do Tamarin.

Tutaj nie sposób było nie znać swoich sąsiadów.

Bardzo się to różniło od ich mieszkania w Clontarf, gdzie mieszkali przez dwa lata, a sąsiadów znali jedynie po odgłosach zza cienkiej ściany. Po jednej stronie mieli Krzyczków Podczas Seksu, po drugiej nałogowych widzów serialu *CSI: Kryminalne zagadki*, którzy mieli cyfrową telewizję i całe wieczory spędzali z telewizorem podkreconym na maksa, tak by usłyszeć każdy fragment sekcji zwłok. Ani Dan, ani Jodi nie rozpoznaliby nikogo z sąsiadów w windzie, chyba że jedno z nich zawołałoby „o tak, TAK!”

Ich nowy dom w Tamarin na ulicy Delaney był niewielki, miał krzywe ściany i maleńkie bielone podwórze jako ogród. Nie minął tydzień od ich przyjazdu, a zdążyli już zjeść kolację z sąsiadami z obu stron, sąsiedzi z naprzeciwka zaofiarowali im rudego kociaka, a z listonoszem byli po imieniu. W dawnym domu ani razu nie widzieli listonosza.

- Dan, mój mąż, pracuje w Szkole St Killian's - wyjaśniła Jodi. - Jest nowym wicedyrektorem...

- Och, pan Beckett! Moja młodsza siostra chodzi do szóstej klasy. Teraz już panią znam! - Bibliotekarka była uradowana. - Pani jest Australijką, prawda?

Jodi uśmiechnęła się szeroko.

- Macie tu świetną pocztę pantoflową.

- Działa lepiej niż szerokopasmówka - odparła z uśmiechem dziewczyna.

- Nic mi proszę na ten temat nie mówić. Pracuję w branży wydawniczej i do szaleństwa doprowadzają mnie próby uzyskania połączenia. Technik mówi, że to dlatego, że jesteśmy na końcu linii na naszej ulicy, ale to przecież bez sensu.

- Wszystkim tak mówi, proszę to puszczać mimo uszu. W tym właśnie momencie pojawiła się grupa uczniów

i ich nauczycielka z misją dowiedzenia się czegoś na temat pozostałości po wczesnej epoce brązu i bibliotekarka, uśmiechając się przepraszająco do Jodi, odwróciła się, by zająć się ich potrzebami. Jodi gestem wyraziła podziękowanie i wyszła.

Udała się do domu wraz z cennym zdjęciem i tego wieczoru, kiedy Dan wrócił z pracy, zaznajomiła go ze swoim pomysłem.

- Chcesz napisać książkę o tych ludziach - powiedział, siadając przy ich maleńkim kuchennym stole, by przyjrzeć się uważnie zdjęciu. - Mnie się ten pomysł podoba. Przecież zawsze ci powtarzam, że powinnaś napisać książkę, no nie?

- Tak, ale nigdy nie miałam na nią pomysłu - odparła Jodi, siadając mu na kolanach.

Dan objął ją i przytulił.

- Przepraszam za dzisiaj - rzekła.

Zadzwoiła do niego do pracy, kiedy jej komputer zepsuł się po raz trzeci, krzycząc, że ma dość tego cholernego miasta i że on to ma dobrze: ma pracę i spotyka się z ludźmi, a co z nią.

- W porządku. Wiem, że jest ci trudno. - Dan wtulił usta w jej włosy. - Kocham cię, ty głupia krowo, wiesz?

- Ja ciebie też - odparła, dając mu się pocieszać.

Od czasu poronienia czuła się tak rozdrażniona, napięta niczym struna, że nie pozwalała Danowi, by ją pocieszał. Przeprowadzka z powodu jego nowej pracy miała im pomóc, tak się jednak nie stało. Tutaj, w tym ładnym, akwa-

relowym miasteczku czuła się obco i nie na miejscu. Nawet ich dawne mieszkanie z hałaśliwymi sąsiadami było lepsze. To tam zrobiła test ciążowy: siedząc na sedesie w maleńkiej niebieskiej łazience, podczas gdy Dan pochylał się nad nią niecierpliwie.

To tam była w ciąży. W Tamarin nie była. I może już nigdy nie będzie.

A teraz ta stara fotografia przywołała odrobinę dawnej Jodi, dała jej malutką nadzieję, że może znowu będzie sobą.

Przytuliła się do Dana i zamknęła oczy. Będzie musiała poszperać trochę w Internecie. I rozwiązać problem laptopa. Nie da przecież rady pracować na rozklekotanym komputerze.

Dwa dni później stała przed piękną rezydencją Rathnaree, otoczona zapachem lawendy.

Obeszła opuszczone ogrody, pozaglądała do środka przez wielkie okna, ale niewiele się dało przez nie zobaczyć: okna były brudne i miały od wewnątrz spuszczone żaluzje.

Wejście na dziedziniec za domem blokowała wielka zardzewiała brama. Jodi potrząsnęła nią ze złością.

Pragnęła dostać się do środka, pragnęła zobaczyć Rathnaree i dowiedzieć się czegoś na temat historii tego miejsca.

Jej lista osób do przepytania coraz bardziej się rozrastała. Odkąd powiedziała Danowi o zdjęciu, w jej głowie co i rusz pojawiały się nowe pomysły. Po pierwsze musiała porozmawiać z kimś, kto wie wszystko o okolicy i będzie w stanie skontaktować ją z właściwymi ludźmi. Yvonne, która mieszkała po sąsiedzku wraz z mężem i dwójką dzieci, natychmiast podyktowała jej długą listę ewentualnych pomocników.

- Lily Shanahan, to z nią powinnaś porozmawiać. Ma prawie pięćdziesiąt lat, ale wygląda najwyżej na siedemdziesiąt. A jej umysł pozostał niesamowicie sprawny, mogę cię zapewnić. Jest ostra jak brzytwa, ale w taki uroczy

sposób - dodała szybko Yvonne. - Jej rodzina pracowała dla Lochravenow i ona także, kiedy była młodsza, choć wydaje mi się, że nigdy nie przepadała za nimi tak, jak jej matka. Była tam przez wiele lat gospodynią i ubóstwiała wprost lady Irene. Lily jednak nie była fanką pani dziedziczki. Ale jestem pewna, że będzie ci mogła opowiedzieć sporo historii o Rathnaree. Mało jest tu wydarzeń, których nie była świadkiem. Jodi szybko to sobie wszystko zanotowała.

- Myślisz, że powinnam najpierw zadzwonić do jej rodziny, by się dowiedzieć, czy ze mną porozmawia?

- No coś ty. W przypadku Lily nie ma mowy o formalnościach. Dam ci jej numer telefonu - odparła Yvonne. - Mieszka sama na Sea Road. Od jakiegoś czasu ma pomoc domową, która trochę jej pomaga, ale generalnie jest bardzo niezależna.

- Ma jednak rodzinę? - Jodi nadal uważała, że może lepiej zbliżyć się do Lily przez inną osobę. Dziewięćdziesięciolatka z całą pewnością była słabowita i strachliwa.

- Jej cała rodzina jest przemiła. Edward Kennedy, siostrzeniec, i jego żona, Anneliese. Pracuję z Anneliese w sklepie Lifeboat w poniedziałki. Jej imię wymawia się jak Anna-Lisa, ale ma nietypową pisownię. Jest chyba austriackie. Są wspaniałą parą. Anneliese jest urodzoną ogrodniczką. Lily miała córkę, Alice, ale niestety zmarła. Rak. A wnuczka Lily, Izzie, mieszka w Nowym Jorku i pracuje z supermodelkami. W życiu byś nie zgadła - uśmiechnęła się Yvonne. - Izzie jest bardzo normalna pomimo tych supermodelek i w ogóle. Można powiedzieć, że to Lily ją wychowywała, a ona twardo stąpa po ziemi.

- Masz adres e-mailowy albo numer telefonu do tej wnuczki? - zapytała Jodi. - Najpierw mogłabym skontaktować się z nią.

- Bzdura. Idź od razu do Lily. Będziesz nią zachwycona, tak jak wszyscy.

- Mówiłaś, że pracowała dla Lochravenow?

- Owszem, w młodości. Ale potem wyjechała do Londynu, by szkolić się na pielęgniarkę podczas drugiej wojny światowej i chyba już więcej nie pracowała w Rathnaree. Zresztą i tak wszystko się pozmieniało - dodała Yvonne. - Nic już nie było takie samo, jak mawiała moja matka.

Jodi przykazała sobie w duchu, by dowiedzieć się więcej na temat II wojny światowej. Tak mało o niej wiedziała, a nie chciała wypytywać tej starszej pani, samej nie znając faktów z przeszłości.

Potrząsając po raz ostatni zardzewiałą bramą, Jodi postanowiła, że zadzwoni do Lily Shanahan zaraz po powrocie do domu. Brama pozostała niewzruszona i można przez nią było zobaczyć jedynie mały fragment dziedzińca.

Miała tylko nadzieję, że pamięć starszej pani nie szwankuje. Skoro liczyła sobie teraz prawie dziewięćdziesiąt lat, to miała siedemnaście albo osiemnaście w roku 1936, kiedy zrobiono to zdjęcie, a to było strasznie dawno temu. No ale w końcu Yvonne powiedziała, że starość nie odebrała Lily ani odrobiny bystrości. Jodi liczyła bardzo na jej pamięć. W Rathnaree było coś, co sprawiało, że miała ochotę dowiedzieć się więcej o samej posiadłości i o ludziach, którzy w niej mieszkali.

ROZDZIAŁ TRZECI

Anneliese Kennedy usiadła w wielkim fotelu, z którego widać było morze, i wzięła do ręki jeden ze swoich starych katalogów kwiatowych. Na białym trzcinowym stoliku obok fotela zawsze leżała sterta katalogów z pozaginanymi rogami, które chętnie przeglądała, kiedy brakowało jej energii na gazetę.

Normalnie wystarczyło, by przesunęła palcami po stronach, a przepełniało ją uczucie zadowolenia. Strony z nasionami i zdjęciami pąków kwiatów przypomniały jej o godzinach spędzonych w ogrodzie, dłoniach umazanych ziemią, pielęgnowaniu i myśleniu tylko i wyłącznie o roślinach.

Dzisiaj magia nie zadziałała. Była jedynie sterta podniszczonych katalogów i leżąca na nich dłoń z widocznymi żyłami i suchymi skórkami wokół paznokci.

- Masz takie ładne dłonie, powinnaś o nie dbać - westchnęła jej matka trzydzieści siedem lat temu, kiedy Anneliese wychodziła za mąż i zmywała naczynia bez gumowych rękawic, nie mając ani czasu, ani ochoty, by o nich pomyśleć.

Anneliese była szybką osobą. Wcale nie lekkomyślną, o nie. Szybka, praktyczną i sprawną. Rękawice i krem do rąk były dla pokolenia jej matki, a nie dla dwudziestolatki z ogromnymi pokładami energii i całym życiem w perspektywie.

- Dłonie artystki i ręka do roślin - rzekł z dumą Edward, gdy stali przed kościołem w dniu, gdy ich córka, Beth, wychodziła za mąż. Anneliese kilka godzin poświęciła układaniu le-

dwie rozwiniętych różowych róż w bukiety przypięte do ławek w kościele.

Anneliese wolała hodować róże w zaciszu Centrum Ogrodniczego Tamarin niż układać z nich bukiety, ale związała je nawet zębami, byle widzieć radość na twarzy idącej do ołtarza Beth.

Działo się to cztery lata temu. Najlepszy dzień w jej życiu - widzieć Beth wreszcie usatkwoną. Jej córka sama była jak róża: jedna z tych rzadkich odmian herbacianych, które Anneliese i Neil, właściciel centrum ogrodniczego, hodowali w zaciszu ogromnej szklarni.

Madame Alfred Carriere, bardzo piękna i oszałamiająco pachnąca, ale także z mnóstwem kolców, wymagająca i potrzebująca wielu godzin czulej opieki. W dniu, w którym Beth wyszła za Marcusa - łagodnego, dobrego i szalejącego na jej punkcie - Anneliese wiedziała, że ktoś inny będzie zapewniał tę czułą opiekę albo przynajmniej dzielił się nią.

Jeśli Beth była różą, to Edwarda można było przyrównać do drzewa, solidnego dębu, wysokiego i silnego, opierającego się wiatrowi od morza. A Anneliese? Kiedy poznała Edwarda, była niczym topola: wysoka, szczupła i pełna życia od czubka jasnej głowy do nieustannie poruszających się palców u stóp.

Ale teraz nie wiedziała już, czym jest. Zmieniły ją czas i życie.

Kiedyś, gdy zaczęła pracować w ogrodnictwie, sądziła, że sztuka uprawiania roślin jest odpowiedzią na wszystkie pytania. Ziemia uczyła spokoju, czekania, uczyła, że cykle się zmieniają, ale że wszystko znowu powróci: po ostrej zimie przyjdzie w końcu wiosna. Niczego, ani problemów, ani rozwiązań, nie można było popędzać - tak jak nie dało się ponaglić przebiśniegu. Kwiat ten wystawi sennie główkę z ziemi dopiero wtedy, kiedy będzie na to gotowy.

To stało się mottem Anneliese. Na wszystko przychodził czas.

A teraz wyglądało na to, że się myliła.

Wstała, udała się do kuchni i nastawiła czajnik. Działanie odruchowe. Kiedy nie miała nic do roboty, wciskała ten przycisk i zajmowała się rytuałem zaparzania herbaty. Najczęściej nie wypijała nawet połowy filiżanki.

Edward nie należał do miłośników herbaty, wolał kawę. W szafce wciąż stał słoik jego ulubionej i strasznie drogiej Blue Mountain z delikatesów Fortnum & Mason.

Anneliese nie cierpiała kawy, ale lubiła jej zapach. Teraz już nikt nie będzie tu robił kawy, w powietrzu nie będzie się roznosił intensywny zapach, który mówił jej, że Edward jest w kuchni i leniwie słucha radia, czekając, aż kawa się zaparzy.

Nie będzie innej osoby, która przełoży gdzieś ścierkę do naczyń czy poduszkę, otworzy gazetę. Czy po trzydziestu latach mieszkania z drugim człowiekiem Anneliese przyzwyczai się do życia w pojedynkę? Może to właśnie samotność była przeznaczeniem człowieka, a nie platońska wizja dwojga ludzi. Miała taką nadzieję.

Wyłączyła czajnik, chwyciła klucze i udała się do tylnych drzwi. Zmieniwszy płaskie pantofle na kozaczki, założyła starą pikowaną kurtkę, która wisiała razem z kilkoma innymi na wieszaku w niewielkim korytarzu. Drzwi wychodziły na morze i kiedy Anneliese je otworzyła, mocny podmuch morskiego powietrza pozbawił ją tchu.

Jej płuca wypełnił zapach piasku i morza i przez chwilę gwałtownie łapała powietrze.

Dom położony był osiemset metrów od plaży. Osiemset metrów, na których nieustępliwe skarłowaciałe krzewy i morskie orchidee trzymały się kurczowo ziemi, by w końcu ustąpić, ukazując półksiężyc wysypany małymi kamykami, które zmoczone przez morze połyskiwały niczym drogocenne kamienie. Teraz był akurat odpływ i przed nią rozciągał się pas płowego piasku, tworząc wielką podkowę. Była to za-

toka Milsean, niewielka sąsiadka znacznie większej zatoki Tamarin - oddzielał je poszarpany klif, który schodził aż do samego morza.

Strona klifu od zatoki Milsean stanowiła najbardziej odsłoniętą część cypla, gdzie od piasku i wody rdzewiały samochody, a z domów odpadała farba, przez co miały kolor wyrzucanego na brzeg drewna.

Po drugiej stronie klifu położone było Tamarin, chronione przed wiatrem i wodą przez półksiężyc skał.

Dolinę, która biegła przez Tamarin aż do zatoki, gdzie kawał lodowca miliony lat temu wyrzył ścieżkę, zajmowała zarówno rzeka Bawn, jak i szeroka droga do miasta. W słonecznym zakątku na łuku doliny znajdowało się centrum ogrodnicze, gdzie do zeszłego roku pracowała Anneliese.

Przed laty Anneliese uważała, że chętnie spokojnie by sobie mieszkała w zatoce Tamarin, gdzie wiatr co prawda i tak poruszał szybami w oknach, ale w pobliżu znajdowali się sąsiedzi, co było ważne podczas tych nocy, gdy następowała awaria prądu. W zaciszu stworzonym przez klify i wzgórza panował bez mała mikroklimat i w centrum ogrodniczym Anneliese uprawiała rośliny i kwiaty, o których po stronie Milsean mogła sobie tylko pomarzyć.

Ciotka Edwarda, Lily, miała w ogrodzie drzewo figowe, na litość boską: duże, okrągłe i obecnie nierodzące już zbyt wielu owoców, niczym stary dżentelmen, który nie zawraca sobie głowy wydajnością po przekroczeniu siedemdziesiątki, niemniej jednak było to drzewo figowe, roślina charakterystyczna dla cieplejszego klimatu.

Teraz jednak Anneliese cieszyła się, że ona i Edward dwadzieścia lat temu przeprowadzili się do tego domu. Odpowiadało jej poczucie izolacji. Wiatr nie był w stanie wykrzyzczyć więcej bólu i gniewu niż ona, no i gdyby zachciało jej się siedzieć na smaganym wiatrem ganku i pić wino, podczas gdy w tle wyląby *Tosca*, nikt nie nazwałby jej wariatką

ani nie zadzwonił do jej krewnych z prośbą o „zamienienie kilku słów”.

Na plaży roiło się od muszelek i śliskich wodorostów. Wysoko na linii brzegowej widać było ślady kopyt, zostawione przez porannych jeźdźców, którzy galopowali po plaży na koniach ze stadniny położonej pięć kilometrów w głębi lądu. Pewnego lata Edward porobił im zdjęcia: czarno-białe ujęcia wściekłości galopu, drżących nozdrzy i powiewających grzyw.

Jedna z tych fotografii nadal wisiała w domu, a Anneliese widziała ją za każdym razem, gdy wchodziła głównymi drzwiami. To było piękne ujęcie.

- Mógłbyś zająć się na poważnie fotografią - powiedziała mu wtedy.

Edward miał artystyczną duszę, mimo że w branży ubezpieczeniowej nie było specjalnego zapotrzebowania na artystów.

- Jestem jedynie amatorem, skarbie - odparł, ale wiedziała, że jest zadowolony. W dzieciństwie nie miał okazji słyszeć komplementów. Jego matka była zdania, że chwalenie to słowo, którego używa się jedynie w kościele, chwalać Pana. Anneliese zawsze starała się wynagrodzić mężowi ten brak.

- Jak na amatora to całkiem dobre zdjęcia.

- Jesteś ślepa, wiesz? - odparł z uśmiechem Edward. - Widzisz tylko moje dobre cechy.

- Ślepotą wybiórcza - uśmiechnęła się do niego Anneliese. - Widzę te cechy, które mi się podobają, a podoba mi się większość.

Idąc teraz plażą, wiedziała, że po powrocie do domu będzie musiała zdjąć to zdjęcie ze ściany. Jego widok zbyt mocno by ją ranił.

Wiatr smagał jej twarz, kłuł w oczy. Anneliese opuściła wzrok na piach, pełna determinacji, by znaleźć coś, co odwróciłoby jej uwagę od kłującego bólu w sercu. Kilka metrów

dalej leżał kawałek wyrzuconego przez morze drewna, zamotany w intensywnie niebieską sieć rybacką.

Schyliła się powoli i podniosła go. Miał jakieś trzydzieści centymetrów długości i był powykręcany niczym zwój liny. Niektóre kawałki drewna wyrzucane przez morze były piękne, wyrzeźbione przez wodę, budzące zachwyt.

Były też inne kawałki: drewno wyrzucone na brzeg po ciężkich przeżyciach w morskiej pianie, zniszczone, spróchniałe, brzydkie i niechciane. Takie jak ten kawałek. Takie jak ona.

Nie była rośliną - była wyrzuconym przez morze drewnem. Dla większości ludzi brzydkim, pięknym jedynie dla nielicznych.

Z całą skumulowaną w sobie energią cisnęła drewno z powrotem do morza i zawołała:

- Nienawidzę cię, nienawidzę cię, nienawidzę!

W pobliżu nie było nikogo, kto by ją usłyszał. Jej głos porwał wiatr i poniósł ze sobą w niebo, gdzie mewy nie zwróciły na niego żadnej uwagi.

Edward wydawał się nie zwracać żadnej uwagi tamtego ranka, kiedy wstała o ósmej i powiedziała, że wybiera się na dziewiątą na mszę, a potem może zajrzy do Lily. Mruknął coś, co brzmiało jak zgoda, po czym przewrócił się na drugi bok, zabierając kołdrę. Anneliese to nie przeszkadzało. Ona była skowronkiem, on sową. Przeciwności i tego typu sprawy.

Dziesięć minut później wykąpana i ubrana wypijała kubek zielonej herbaty, po czym wyszła spiesznie z domu. Polubiła zieloną herbatę, mimo że przez wiele lat nie znosiła jej, po tym jak akupunkturzysta powiedział, że działa korzystnie na zdrowie. Jak to jest, że do tego, co ma na ciebie dobry wpływ, trzeba się długo przyzwyczajać, podczas gdy rzeczy złe natychmiast uzależniają?

Wczesna msza w kościele na rynku w Tamarin była perfekcyjna. Promienie chłodnego, wiosennego słońca sączyły się

do środka przez ozdobione witrażami okna, oświetlając wiszące w powietrzu drobinki kurzu, przez co wyglądało to tak, jak na obrazach biblijnych, gdzie ogniki niebiańskie błogosławią wiernych. Porannej mszy nie towarzyszyła muzyka.

Chór śpiewał na mszy o jedenastej, podczas której pan Fitzpatrick wyduszał hymny z reumatycznych organów, wierni się krzywili, a Ojciec Sean uśmiechał się dzielnie, mając nadzieję, że ludzie nie zaczną otwarcie się śmiać.

Drogi Ojciec Sean. Miał wspaniałe poczucie humoru, które musiał pohamowywać, ponieważ nie wszystkim podobał się duchowny opowiadający dowcipy. Anneliese było go żal, że musi się tak podporządkowywać.

Msza o jedenastej była także mszą rodzinną, podczas której maluchy klękały na ławkach i obrzucały znudzonymi spojrzeniami ludzi siedzących za nimi. Urocze, aczkolwiek rozpraszające.

O dziewiątej w niedzielny ranek kościół był tylko w jednej czwartej pełny, a to bardzo Anneliese odpowiadało. Bardzo lubiła panujący wtedy spokój. Miała czas na rozmyślania, ale nie na tyle dużo, by jej myśli zbaczały na ciemne tereny. Nie, tego akurat nie lubiła. Na szczęście nigdy się tak nie działo podczas mszy. Chyba miało to coś wspólnego z rytualnym wstawaniem i klękaniem, mrużeniem odpowiedzi na modlitwy, które miała wyryte w duszy z powodu wypowiedania ich od tylu lat.

Dla Anneliese religia była bezpiecznym miejscem do medytacji, nie zaś głęboką, doktrynerską wersją.

Wtedy jej głowę bez ostrzeżenia zaatakowała migrena; nie ta pelnoobjawowa odmiana, która wymagała leżenia w łóżku, niemniej jednak przenikliwy ból.

Nie było sensu czekać: musiała wrócić do domu i się położyć. Później zadzwoni do Lily i ją przeprosi. Jej ciotka, cóż, właściwie to ciotka Edwarda, nie pogniewa się. Lily miała wiele wspaniałych cech - była wesoła, ciepła, miała fantastyczne poczucie humoru - lecz chyba najlepszą było to, że nigdy się nie dąsała ani na nic nie obrażała.

- Dbaj o siebie, Anneliese, i zajrzyj, kiedy już poczujesz się lepiej - tyle tylko by powiedziała.

Anneliese знаła całe mnóstwo ludzi, którzy pielęgowali w sobie urazę i wszędzie się jej dopatrywali. Kojąco działała na nią świadomość, że Lily do nich nie należy.

Wróciła powoli do domu, czując, jak wiatr porusza samochodem, po czym natychmiast pospieszyła do środka, myśląc jedynie o cudownej uldze, jaką da jej położenie się do łóżka, i jedynie kątem oka rejestrując, że zaparkowany przed domem samochód należy do jej przyjaciółki Neli. To Edward będzie musiał ją zabawiać. Neli się nie pogniewa: ona i Edward świetnie się ze sobą dogadywali, poza tym wiedziała, że kiedy Anneliese dopada migrena, myśli ona jedynie o tym, by móc się w spokoju położyć.

I wtedy weszła do kuchni, gdzie ujrzała Edwarda i Neli, siedzących razem przy stole, jego ciemna głowa przy jej jasnej, splecione ze sobą dłonie.

Nie było sentymentalnej muzyki ani nastrojowego oświetlenia, wszystkie części odzieży pozostawały na swoim miejscu. Ale ich oczywista zażyłość zadała Anneliese cios niczym nóż zagłębiający się w piersi kurczaka.

- Anneliese! - zawołała na jej widok Neli. Odsunęli się od siebie jak na komendę. W innym świecie

Anneliese może i by zażartowała na temat tego, co ten gwałtowny ruch może uczynić rwie kulszowej Edwarda czy szyi Neli, która była w nie najlepszej kondycji. Wiedziała jednak z całkowitą pewnością, że w ich bliskości nie ma niczego niewinnego. Migrena zadudniła głośniejsze w jej głowie, walcząc o prymat z mdłościami, które natychmiast ją ogarnęły.

- My tylko... - zaczęła niezręcznie Neli, a potem urwała, jakby nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Neli nigdy nie miała problemu z mówieniem. W przeciwieństwie do Anneliese, która często wołała milczenie, Neli potrafiła rozmawiać z każdym i wszystko skomentować.

Na przykład deszcz: „To byłby cudowny kraj, gdyby tylko komuś udało się nad nim rozłożyć parasol”. Ludzie to uwielbiali.

Albo jej opinii na temat pieniędzy: „Wydawaj je teraz: w całości nie ma kieszeni”.

A teraz Neli nie miała nic do powiedzenia.

- Anneliese, to nie jest tak, jak myślisz - zaczął Edward.

Jego twarz była niespokojną maską, gdy podszedł do żony i próbował ująć jej dłonie. Włosy miał mokre. Minęło dopiero dwadzieścia pięć minut, odkąd wyszła z domu. Musiał wskoczyć pod prysznic od razu, gdy zamknęły się za nią drzwi.

- Chętnie posłucham, jak to jest, w takim razie - powiedziała Anneliese, delikatnie zabierając swoje dłonie. W głowie miała mętlik, ale instynktownie nie pozwalała mężowi się dotknąć.

- Jezu, Anneliese, proszę, uwierz, nie zrobilibyśmy niczego, co mogłoby cię zranić - zaczęła Neli.

Zerknęła niespokojnie na Edwarda, błagając go bezgłośnie, by sam to wyjaśnił.

Anneliese wiedziała, że po oczach można odgadnąć, co inni naprawdę myślą.

Przez te wszystkie lata ona i Edward wymienili ze sobą wiele znaczących spojrzeń. Ona i Neli także je wymieniały - przyjaźniły się od prawie dwudziestu lat, a to praktycznie wieczność.

Tyle że nigdy nie była świadoma tego, że tych dwoje ważnych w jej życiu ludzi patrzy na siebie w taki sposób. Aż do teraz.

Anneliese czuła się tak, jakby oglądała ostatnią scenę filmu, w której łączą się ze sobą wszystkie wątki fabuły.

Neli i Edward byli osobami wymieniającymi znaczące spojrzenia, ponieważ w tej scenie to oni byli parą: nie Anneliese i Edward, lecz Neli i Edward.

- Proszę, Anneliese, usiądź.

Edward nadal stał obok niej pełen niepokoju, ręce zaś miał uniesione błagalnie.

- Żałuję, że musimy to robić, ale chyba nie mamy wyjścia. Teraz albo nigdy, no nie? - rzekł, wyglądając na przygnębionego, lecz pełnego determinacji, by odbyć tę paskudną rozmowę.

I wtedy Anneliese wiedziała już z całkowitą pewnością, że Edward zostawiają dla Neli.

Jej mąż nie znosił konfrontacji żadnego rodzaju. Był do niczego podczas tych okazji, kiedy Beth zalewała się łzami, zrozpaczona z jakiegoś powodu.

Skoro proponował rozmowę, która mogła zakończyć się krzykiem, to Anneliese wiedziała już wszystko.

- Odchodzisz, prawda? Odchodzisz do Neli? Edward kiwnął bez słowa głową i uniósł błagalnie ręce,

jakby mówiąc: „Cóż innego mogę zrobić?”

Anneliese usiadła wtedy i położyła dłonie na stole.

- Wróciłam wcześniej, ponieważ mam migrenę - powiedziała przed siebie.

- Przynieść ci tabletki? - zapytał Edward. Kiwnęła głową.

Wyszedł spiesznie z kuchni, ciesząc się, że może choć na chwilę opuścić to pomieszczenie.

- Może herbata ci pomoże - dodała Neli i odwróciła się, by otwierać szafki, bez problemu odnajdując kubki i torebki z herbatą. Spędziła tu tyle godzin, dzieląc herbatę i życie z Anneliese, że wiedziała, gdzie się wszystko znajduje.

- Herbata prawdę mówiąc nie pomoże - rzekła ostro Anneliese. - Nic nie pomoże.

Neli siadła przygnębiona na drugim końcu stołu.

Anneliese uświadomiła sobie, że jej włosy wyglądają inaczej. Zazwyczaj ciemnoblonde kręcone włosy Neli były potargane wiatrem, nawet gdy było bezwietrznie. Rzadko mocniej

się malowała i jak na kobietę w jej wieku - prawdę mówiąc także w wieku Anneliese, pięćdziesiąt sześć lat - miała zaskakująco gładką cerę, jedynie z kilkoma piegami i małymi zmarszczkami, które odchodziły promieniście od jej śmiejących się oczu. Dzisiaj jej włosy były starannie wyszczotkowane, użyła także szminki i tuszu do rzęs. Wyglądała na odszykowaną, gotową na jakieś wydarzenie.

A tym wydarzeniem było odejście razem z mężem Anneliese.

- Dlaczego, Neli, dlaczego?

- Och, przestań tak siedzieć i wyglądać na zaskoczoną

- warknęła Neli, której nigdy dotąd nie zdarzyło się warknąć na Anneliese. - Musiałaś wiedzieć. Edward twierdził, że nie, ale ja wiem, że było inaczej. Kobiety wiedzą. Przymykałaś na to oko i tyle. Co mówi wiele o waszym związku, że nie dość cię obchodziło...

- Nie wiedziałam - przerwała Anneliese, zaszokowana tym nowym wydaniem Neli, która zaledwie kilka chwil temu twierdziła, że nigdy nie zamierzała skrzywdzić przyjaciółki.

- Czy gdybym wiedziała, to chciałabym się dalej z tobą przyjaźnić, chodzić z tobą na lunch, zapraszać tutaj na kolację? - Urwała, ponieważ czuła zbyt wielkie odrętwienie, by szukać kolejnych przykładów. - Od jak dawna to trwa? - wyszeptała.

Anneliese wiedziała, że powinna przywołać wściekłość i gniew, ale jedyne, co czuła w tej chwili, to potworną słabość w nogach i poczucie, że tak strasznie się myliła w odniesieniu do ludzi w swym życiu.

Gdyby zdradził ją albo Edward albo Neli, to drugie stałoby przy niej murem i przypominało, że nadal ją kocha. Ale zdradzili ją oboje. Razem.

- Nie udawaj, że nie wiedziałaś. Musiałaś wiedzieć - syknęła Neli.

Po raz kolejny Anneliese wzdrygnęła się w duchu, słysząc gorzki głos przyjaciółki.

- Nie okłamuj mnie, Anneliese. Siebie możesz okłamywać, ale nie mnie. Gdybyście byli szaleńczo w sobie zakochani, to czy Edward przyszedłby do mnie? Odpowiesz mi na to pytanie? Nie, nie przyszedłby. Zwrócił się do mnie, ponieważ ty go nie potrzebowałaś, odizolowałaś go. Miałaś tak wiele i nie dbałaś o to, nie zdawałaś sobie z tego sprawy. No, a ja i tak nie mam zamiaru cię za to przeproszać.

Anneliese poczuła na sobie ciężar wściekłości Neli: z powodu tego, że Anneliese miała wspaniałego Edwarda całego dla siebie i nie uświadamiała sobie, jaki posiada skarb, skarb, który głupio straciła.

Cofnęła się myślami do tych wszystkich sobotnich wieczorów, kiedy zapraszała Neli na kolację do ich domu, sprawiając, by brzmiało to tak, jakby byli trójką przyjaciół spożywających razem posiłek, a nie szczęśliwą parą wyciągającą przyjacielską dłoń do wdowy, która pewnie musiałaby siedzieć sama w domu. Erie, mąż Neli, zmarł przed dziesięcioma laty i od tamtej pory Anneliese bardzo się starała, by Neli uczestniczyła w ich życiu. Ona traktowała to jako przejaw czystej przyjaźni, ale być może Neli widziała w tym coś innego: litość? Albo może przechwałki? Jakby mówiła: „Ja mam męża, a ty nie. Chodź do nas na kolację i poczuj zazdrość, dobrze?”. Co jeszcze Neli błędnie zinterpretowała?

- Sądziłam, Neli, że znasz mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że gdybym zdawała sobie sprawę, że ty i Edward macie...

Wypowiedzenia na głos tych słów było takie trudne.

- ...macie romans, coś bym powiedziała. Może i mam dużo wad, ale na pewno jestem uczciwa. Pamiętasz, ile odbyłyśmy rozmów na temat wartości przyjaźni, w której liczy się szczerłość? Jak nie znosiłyśmy fałszywych przyjaciół, ludzi, którzy mówili to, co należy i kiedy należy, zupełnie nie mając tego na myśli?

Nagle w sercu Anneliese pojawił się gniew. Okłamali ją. Oboje twierdzili, że cenią prawdę, a teraz się okazało, że

prawda zniknęła z ich życia już dawno temu. Co gorsza, Neli próbowała zrzucić winę na Anneliese.

- Nie miałam pojęcia o tym, co się dzieje - kontynuowała ostrym tonem. - Może poczułabyś się lepiej, gdybyś mogła myśleć, że wiedziałam i że udzieliłam ci milczącej zgody na kradzież męża, aleja o niczym nie wiedziałam.

- Przykro mi, Anneliese. - Edward stanął w drzwiach z opakowaniem tabletek na migrenę w dłoni i wyrazem bezbrzeżnego smutku na twarzy. - Wiedziałem, że nie wiesz. Chciałem myśleć, że wiesz, ponieważ tak byłoby łatwiej, ale wiedziałem, że jest inaczej.

- Od jak dawna to się dzieje, to coś między wami? - zapytała Anneliese, celowo nie patrząc już na Neli.

- Wcale nie tak długo - odparł Edward.

- Od czasu zbiórki pieniędzy na łódzie ratunkowe - wtrąciła Neli, wyraźnie niechętna ograniczeniu szkód i powiedzenia wszystkiego w sposób delikatny.

Dobrze ponad rok.

- Zakładam w takim razie, że czekaliście na odpowiedni moment, by mnie o tym powiadomić. Moje urodziny? Boże Narodzenie?

- Kiedyś i tak musiało wyjść na jaw - oświadczyła chłodno Neli. - Równie dobrze może to być teraz.

Obie kobiety spojrzały na Edwarda, który wzruszył bezradnie ramionami.

Anneliese zalała kolejna fala gniewu, tym razem naprawdę potężnego.

Z jej ust wydostały się słowa, nim zdążyła się nad nimi zastanowić:

- Powinieneś się spakować, Edwardzie. Neli, proszę, byś zaczekała na zewnątrz. Nie życzę sobie widzieć już ciebie w moim domu. Możesz zresztą pojechać do siebie i zaczekać na przyjazd Edwarda. Będzie potrzebował miejsca na swoje rzeczy.

Jakimś sposobem wstała i udała się do salonu, gdzie postąpiła całkowicie wbrew swoim przyzwyczajeniom i naląła sobie mocnej brandy z tego głupiego barku na alkohol w kształcie globusa, który Edward uwielbiał, a którego ona od zawsze nie znosiła. Od niego może zacząć pakowanie.

Do jej uszu dobiegła przytłumiona rozmowa w kuchni, a potem odgłos zamykanych drzwi i uruchamianego silnika. Dobre i to.

Nie zniosłaby dłużej obecności Neli w domu. Sama jej obecność była trująca: to najgorszy rodzaj trucizny, takiej, o której się nie wiedziało, że jest niebezpieczna.

Po pierwszym drinku Anneliese naląła sobie drugiego. To absurdalne pić w takiej chwili, ale potrzebowała czegoś, co wprawi ją w stan odrętwienia. Przysiadła na parapecie okna wychodzącego na zatokę i starała się nie słuchać odgłosów pakowania.

Kiedy Beth była nastolatką, Anneliese nabrała wprawy w słuchaniu. Różniło się ono od nasłuchiwania małego dziecka myszkującego w kuchni: słyszenia dźwięku otwieranej lodówki, mozolnego zdejmowania nakrętki od mleka, odgłosu picia i głośnego wdechu, kiedy trochę się wylało. To było nieszkodliwe nasłuchiwanie.

Ale matki nastolatków muszą słuchać w inny sposób; doskonałym miernikiem było to, jaka płyta jest akurat puszczana.

Oasis i Counting Crows to dobry znak. Wszystko spokojne i marzycielskie mogło oznaczać, że Beth jest zrelaksowana. Ale Suzanne Vega była fatalna w skutkach. To sygnał, że w jej córce wrze.

Będzie oczywiście musiała powiedzieć o tym Beth. Anneliese zamknęła oczy na myśl o tej rozmowie.

Usłyszała odgłos zamykanych drzwi i podskoczyła. Edward sobie poszedł. Podbiegła do okna z boku domu, by zobaczyć, jak wkłada do samochodu jedną walizkę i tor-

bę sportową. Uznała, że zabrał bardzo mało, jedynie swoje ubrania. Czy to znaczyło, że jednak chciał zostać, czy też tak bardzo pragnął być z Neli, że nie dbał o resztę swoich rzeczy? Kto to wiedział?

Wieczór zarzucał na plażę swą szarą pelerynę i pomimo pikowanej kurtki Anneliese zadrżała. Plaża zrobiła się bezbarwna, kiedy zniknęły z niej resztki słońca: niczym dzika dżungla, która w ciągu dnia pokazywała swe łagodniejsze oblicze, ale z nadejściem wieczoru ludzie mieli się usuwać, by miejsce to mogło powrócić do swego zdiczającego, dziewięczonego stanu.

Nadchodził przyływ, powoli i niepowstrzymanie. Anneliese stanęła na skraju wody i patrzyła, jak fale podchodzą i się cofają, za każdym razem wdzierając się głębiej na ciemniejszy piasek. Niezłomne. Do przodu i do tyłu, i znowu do przodu. Tak jak życie, nacierające na nią bez wytchnienia, kiedy ona chciała, by dało jej spokój.

Przyglądała się jak zahipnotyzowana, dopóki woda nie dotarła do jej butów i wtedy dopiero cofnęła się zaskoczona.

Gdyby ktoś ją teraz zobaczył, pomyślałby, że jest szalona, i może była: samotna kobieta na wpół oszalała, stojąca nad brzegiem morza, zablokowana w każdym znaczeniu tego słowa. Wtedy odwróciła się i udała w stronę domu, pozostawiając za sobą wieczorny mrok.

W domu panowała napawająca lękiem cisza i Anneliese obeszła go, włączając wszędzie światło, by stworzyć pozory ciepła. W sypialni wzięła do ręki torbę z przyborami do robienia na drutach i popatrzyła ze smutkiem na poplątane kłęбки kolorowej wełny, które leżały na samym wierzchu.

Wzdrygała się na myśl o telewizji czy choćby radiu. Ale mogła zająć się robótką. Ta czynność działała na nią kojąco. To było prawie nowe hobby. Prawie nowe w tym sensie, że przed laty robiła na drutach: papucie, dziecięce ubranka, kocyki dla lalek Beth. Nigdy jednak nie była w tym mistrzy-

nią. Wróciła do tego przed rokiem, kiedy przestała pracować w centrum ogrodniczym i uznała, że potrzeba jej czegoś, czym będzie się mogła zająć.

Zastanawiała się nad nauką nowego języka albo obsługi komputera i wtedy Marcus, jej zięć, pomógł jej, dając w prezencie stary laptop. Choć przeproszał bez końca za jego wiek i stan, laptop działał, a Anneliese była nim zachwycona.

- Jest przestarzały - mówił ze skrucą Marcus.

- Jest wspaniały - uśmiechnęła się Anneliese.

- Ma dziesięć lat. W świecie komputerów to praktycznie dinozaur - kontynuował.

- Tak jak ja - odparła Anneliese, klepiąc go po ramieniu.

Bardzo go polubiła, a surfując po necie - jak uwielbiała wypowiadać te słowa! - natrafiła pewnego dnia na stronę z rękodzielnictwem, gdzie znalazła różnego rodzaju dzianiny, w niczym nieprzypominające średnio udanych kapci i dziecięcych sweterków, które kiedyś robiła.

Z tym robieniem na drutach łączyło się także robienie torebek z filcu, dzierganie niby-koronkowych szali i robienie różnych rzeczy do powieszenia na ścianie.

Bardzo jej się to spodobało i natychmiast zamówiła zestaw do takich robótek. Następnie w chwili z gatunku "Jak kraść, to miliony" weszła na forum Szalonych Dziewiarek i zapisała się jako osoba początkująca. Na stronie tej kobiety z całego świata dzieliły się swymi dzianinowymi doświadczeniami.

Długo trwało, nim napisała pierwszą wiadomość: było coś przerażająco ostatecznego w wysłaniu swoich myśli tam, gdzie każdy mógł je przeczytać, ale Anneliese czuła się bezpiecznie dzięki anonimowości, jaką dawał Internet.

Anneliese z Irlandii to mógł być każdy.

W domu z zapalonymi wszystkimi światłami zalogowała się, kliknęła na swoją ostatnią wiadomość i ze zdumieniem popatrzyła na to, co napisała zaledwie przed kilkoma dniami. Było to takie normalne, takie zwyczajne.

Jestem w połowie różowo-szarej torby. Jest taka ładna i prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać, kiedy skończę, ponieważ chcę zobaczyć, jak wygląda razem z filcem. Wczoraj wieczorem siedziałam aż do północy przy włączonym telewizorze i robiłam na drutach. Jednym okiem oglądałam jednocześnie dwa dramaty medyczne oraz program o sztucznej wyspie w Dubaju i wciąż dziergałam. Chciałabym robić to szybciej i nie jestem pewna, jak zrobić ten kwiatek - czy ktoś ma może dla mnie jakieś wskazówki?

Anneliese cofnęła się myślami do tamtego wieczoru. Edward śmiał się z jej maniackiego dziergania i poszedł spać, zostawiając ją w towarzystwie drutów i telewizora. Wtedy czuła się winna, że posyła go do łóżka samego. Dla niej było to równie niedobre jak posiadanie oddzielnych sypialni. To tylko dowodzi jej ślepoty.

Ona się martwiła tym, że jej mąż musi się kłaść sam spać, gdy tymczasem on prawdopodobnie cieszył się, że może od niej uciec.

Ból był nadal zbyt świeży, by powodować coś więcej niż odrętwienie, ale przez krótką chwilę Anneliese poczuła prawdziwe katusze. Edward odszedł do Neli. A przez cały ten czas ona nie miała pojęcia, co się dzieje pod jej nosem. Wydawało jej się zawsze, że ma tak wielką intuicję, tak silną więź z wszechświatem. Najwyraźniej było inaczej. Ta intuicja i więź były kolejnymi błędnymi wyobrażeniami.

W czym jeszcze myliła się, jeśli chodzi o jej życie?

Nagle Anneliese poczuła, że nie jest w stanie poradzić z tym sobie sama. Musiała to jakoś przytępić. Poszukała korkociągu i butelki bardzo drogiego czerwonego wina, które Edward oszczędzał na jakąś okazję. Do diabła z zabawą w konesera, pomyślała, nalewając sobie duży kieliszek.

Następnie z kieliszkiem w dłoni zasiadła z powrotem przed laptopem i poczuła wdzięczność z powodu istnienia

tych innych ludzi na świecie, którzy może siedzą teraz sami, tak jak ona.

Trunek gryzł ją w przełyk. Miało zbyt kwaśny smak, ale być może wina leżała po jej stronie. Przez cały dzień miała w ustach dziwny, metaliczny smak: czy tak właśnie smakował żal? Opróżniła jednak kieliszek i zastanowiła się, czy ktoś na forum Szalonych Dziewiarek miał jakieś rady na okazję odejścia męża po trzydziestu siedmiu latach pożycia. Przez te pięć miesięcy udzielania się na forum Anneliese pisała jedynie o swoich robótkach - różowo-szarej torbie w kwiaty, której dzianie trwało trzy miesiące, ponieważ wzór był skomplikowany. Inni ludzie rozmawiali o swoim życiu, ale ona nie należała do osób, którzy otwierają się przed obcymi. Teraz, kiedy ogarnęło ją to niespodziewane pragnienie, by podzielić się bólem, było to zbyt ważne, by o tym mówić.

Przesunęła w dół stronę z wpisami. MariLee wkleiła zdjęcie niesamowitego koronkowego szala z motywem tęczy i Anneliese przemknęło przez głowę, czy ona kiedykolwiek będzie w stanie wydzierać coś tak skomplikowanego. Ta torba z kwiatami była trudna tylko dlatego, że składała się z dużej ilości elementów. Wzory tak naprawdę nie były trudne, a jedynie żmudne i wiele czasu pochłaniało połączenie wszystkiego w jedną całość.

Lily niesamowicie spodobał się efekt końcowy.

- Prawdziwe cudo - oświadczyła, kiedy Anneliese zjawiała się u niej, by dumnie zaprezentować swe dzieło. - Bardzo lubiłam robić na drutach, kiedy byłam młodsza, ale teraz już nie mogę - dodała z żalem, pokazując na powykręcane artretyzmem palce. - To działa kojąco na duszę.

- Ja tak naprawdę to nie potrafię robić na drutach - odparła Anneliese. - Wciąż się zastanawiam, czy nie zdobyć wzoru na sweter czy coś podobnego, ale nie jestem pewna, czy poradziłabym sobie z czymś tak skomplikowanym.

- Anneliese, jesteś w stanie zrobić wszystko, co tylko sobie postanowisz - uśmiechnęła się Lily.

- Nie jestem za stara na naukę? Na te słowa Lily roześmiała się.
- Nigdy się nie jest za starym na naukę, skarbie - rzekła.
- Ja wciąż się uczę, a spójrz tylko na mnie, dziewięćdziesiątka na karku. Ty jesteś jeszcze dzieckiem, Anneliese. Jak to teraz się mówi? Izzie mi to kiedyś powiedziała... - Lily zamyśliła się.
- Atak, już pamiętam: dziewięćdziesiątka to nowa osiemdziesiątka! A więc pięćdziesiąt sześć to praktycznie lata nastę.

Anneliese westchnęła. Ciotce także będzie musiała powiedzieć o Edwardzie.

Nie znaczy to, że z Lily będzie tak jak z biedną, kochaną Beth i że po rozmowie trzeba się z nią będzie ostrożnie obchodzić. Lily mało co było w stanie zaszokować, choć wyglądała na delikatną starszą panią. Kiedyś Lily była wysoka, ale czas bezlitośnie upodobnił ją trochę do ptaka: nadal miała te niesamowicie inteligentne chabrowe oczy, które niczego nie przegapiały, była jednak krucha i delikatna. Aczkolwiek w jej umyśle i sposobie myślenia nie było nic kruchego.

A więc to nie myśl o zaszokowaniu Lily sprawiała, że Anneliese nie chciała jej powiedzieć - to była litość, którą by zobaczyła na jej twarzy. Najbardziej ze wszystkiego Anneliese nie znosiła, gdy się nad nią litowano.

Dopiła wino i zaczęła pisać. Może koleżanki-dziwiarki posiadały mądrość, która jej była potrzebna.

Przepraszam, że zawracam wam głowę, ale nie mam z kim porozmawiać, a muszę to z siebie wyrzucić. Widzicie, dzisiaj odszedł ode mnie mąż. Nie będę was zanudzać szczegółami, krótko mówiąc, wróciłam do domu, gdzie nakryłam na rozmowie jego i moją najlepszą przyjaciółkę, i już wiedziałam. Mieli ze sobą romans. Odszedł do niej. Nie wiem, co zrobić ani co myśleć. Jeszcze nikomu o tym nie powiedziałam - mamy córkę, ale ona jest bardzo uczuciowa. Można ująć to tak, że nie za dobrze radzi sobie z rzeczywistością.

Najtrudniejsza jest świadomość, że w ogóle go nie znałam - ani jej, tak swoją drogą. To jak śmierć. Myślę, że przeżywam żałobę. Czuję to, co ludzie muszą czuć, kiedy odkrywają, że ktoś, kogo kochają, jest gwałcicielem czy mordercą. Jestem taka zdumiona tym, że o niczym nie wiedziałam, i zastanawiam się, czy wszystko było kłamstwem. Z pewnością. A ja nigdy niczego nie dostrzegłam.

Jak to możliwe? W jak wielu innych sprawach mnie okłamał? Że mnie kocha? Że jestem jedyną kobietą, z którą chce się kochać? Że chce ze mną być? Teraz to wszystko równie dobrze mogło być kłamstwem, ponieważ skoro udało mu się okłamywać mnie w tak ważnej kwestii, to skąd mogę mieć pewność, że wszystko inne także nie jest kłamstwem?

Widzę stąd wiszące na ścianie zdjęcie, na którym jesteście całą rodziną, i patrzę na nie, starając się dostrzec tę inną osobę, która musiała być tam przez cały czas, tyle że ja jej nie zauważałam. To nasze zdjęcie - ja, on i nasza córka, kiedy miała mniej więcej dziesięć lat - zostało zrobione podczas wakacji, gdy byliśmy na pikniku, i teraz wygląda zupełnie inaczej. Mieliśmy wtedy stare kombi, a obok niego rozłożony jest naprawdę brzydki koc w kratkę, ja się uśmiecham i on także, a Beth tańczy - zafascynowana była wtedy baletem. Kiedyś gotowa byłam przysiąc na własne życie, że wiem, co w tamtej chwili dzieje się w jego głowie: że jest z nami szczęśliwy. A teraz - cóż, nie wiem.

Tak więc to, co teraz zrobił, sprawiło, że kwestionuję każdy najmniejszy szczegół całego naszego wspólnego życia. Nie mam już wspomnień, ponieważ nie wiem, czy to, co pamiętam, było prawdziwe, czy wprost przeciwnie.

To tak, jakby ktoś ci pokazał obraz z zarysem wazy, a potem oświadczył, że może on również przedstawiać dwie twarze z profilu, i kiedy już zobaczy się ten nowy obraz, nie da się patrzeć na niego i widzieć tylko wazę.

I jak ja mam o tym powiedzieć córce? Ma trzydzieści sześć lat, jest zamężna - i można by sądzić, że to ona powin-

na się mną teraz opiekować, ale prawda jest taka, że jest odwrotnie. Bez względu na to, co przytrafi się mnie, to Beth będzie się trzeba zająć. Czy więc ktoś ma dla mnie jakąś radę? Jestem zrozpaczona.

Anneliese już-już miała kliknąć „wyślij”, kiedy zmieniła zdanie. Jednym klawiszem usunęła całą wiadomość.

W jej głowie rozległ się głos matki, zdenerwowanej, że Anneliese zatrzaskała drzwi do swojego pokoju i nie chciała wyjść:

- Anneliese, nie uda ci się wszystkiego rozwiązać, zamykając się przed nami wszystkimi, wiesz?

Zamykanie drzwi może i nie działało, ale sprawiało, że lepiej się czuła. Zawsze tak było. Może jej pomóc i teraz. Nie na darmo instynkt nazywano instynktem.

Zamknęła drzwi na klucz i sprawdziła, czy okna są pozamykane. To zawsze należało do obowiązków Edwarda: męskie zajęcia, przygotowanie domu na noc. Anneliese odsunęła od siebie poczucie krzywdy i ból, towarzyszący myślom o mężu. To były tylko drzwi: sama mogła je zamknąć.

Obeszła metodycznie cały dom, gasząc po drodze światła, po czym udała się na górę do ich sypialni. Teraz jej sypialni.

Belki na piętrze zrobione były z surowego drewna, rozjaśnionego tak jak wszystkie deski podłogowe. Ich sypialnia miała jasnoniebieskie ściany, białe meble, dwa dywaniki na podłodze i białe zasłonki, gęsto marszczone i zasunięte, by chronić przed zimnem. Anneliese obrzuciła jednym spojrzeniem duży, wysoki stelaż łóżka i białą pikowaną narzutę, po czym wycofała się z pokoju. Nie była w stanie spać tu dzisiejszej nocy. Przypominałoby to leżenie w łożu kłamstw.

Pokój Beth to był ciągle pokój Beth, mimo że rodzinny dom opuściła wiele lat temu. Beth lubiła widzieć tam wszystkie swoje dziecięce rzeczy: lalki Barbie, ich różne samochody

i ubrania nadal poustawiane na drewnianych półkach, stojące w szeregu książki Enid Blyton.

Pokój gościnny był bardzo mały. Miał pomalowane na biało ściany i mieściło się w nim tylko łóżko, komoda z jasnego drewna z poukładanymi na niej muszelkami i mały stolik nocny z jedną szufladą, na którym stała stara, mosiężna lampa. Przez dwadzieścia lat Anneliese nigdy nie spała w tym pokoju. Dzięki czemu teraz świetnie się do tego nadawał.

W szafce w łazience poszukała niewielkiego opakowania tabletek nasennych, wzięła jedną i popiła wodą z kranu. W pokoju Beth znalazła starą koszulę nocną córki i włożyła ją. Nie chciała niczego ze swojej sypialni. Wślizgnęła się do łóżka w pokoju gościnnym, wyłączyła światło i leżała z zamkniętymi oczami, dopóki nie nadszedł chemicznie wywołany sen.

Sklep Lifeboat w Tamarin cieszył się dużym powodzeniem. Może powodem była głośna bliskość morza, ale wszyscy - zarówno miejscowi, jak i turyści - posłusznie się tu zjawiali w poszukiwaniu okazji, wiedząc, że pieniądze za każdą kupioną przez nich bluzkę z second handu przeznaczone są na utrzymanie tutejszych łodzi ratunkowych. Nawet gdy morze w zatoce połyskiwało pogodnie w słoneczny dzień, odczuwało się potężną moc wody: pięknej, ale wszechwładnej.

Poniedziałek był jednym z dni, w które Anneliese sprzedawała w tym sklepie. Drugim była środa, a pracowała tak od czasu, gdy zrezygnowała z etatu w centrum ogrodniczym. Kiedy obudziła się wcześniej nazajutrz po odejściu Edwarda, wiedziała, że musi udać się do sklepu.

Gdyby się nie pojawiła, wszyscy by myśleli, że jest chora i może ktoś by zobaczył Edwarda i zapytał go, jak ona się czuje, a on mógłby powiedzieć prawdę i...

Anneliese nie była w stanie tego znieść. Nie chciała, by wszyscy wiedzieli o tym, co się stało, a przynajmniej do czasu, dopóki sama nie poukłada sobie wszystkiego w głowie.

Nie miała pewności, kiedy będzie w stanie to uczynić - tabletka nasenna sprawiła, że myślenie okazało się niemożliwe, jako że zwała ją z nóg dwadzieścia minut po zażyciu, a rano, aby odgonić uczucie samotności, Anneliese włączyła głośno radio, woląc słuchać mnóstwa świeżych wiadomości niż być sam na sam z myślami.

Uznała, że jej myśli są niebezpieczne, i nie chciała stawiać im sama czoła.

Anneliese wolała poranki w sklepie.

Ci, co chodzili do kościoła, pojawiali się po mszy, natomiast panie odprowadzające dzieci do szkoły wpadały potem na szybki przegląd. Ludzie, którzy wcześniej mieli przerwę na lunch, pospiesznie przegryzali kanapki, by móc pogrzebać wśród stojaków z ubraniami i przejrzeć półki pełne książek.

To było przyjemne miejsce pracy, pozbawione napięć, z wyjątkiem chwil, gdy trafiało do nich coś cennego i cały personel panikował lekko w związku z ustaleniem odpowiedniej na to ceny, na wypadek gdyby pojawił się oryginalny właściciel i uznał, że jego dar nie został stosownie oszacowany.

Dzisiaj trzeba się było zająć pięcioma workami rzeczy, więc Anneliese usiadła z nimi na tyłach sklepu, gdzie mieścił się magazyn, aneks kuchenny i toaleta, po czym zaczęła wszystko uważnie przeglądać. Worki zawierały mnóstwo ubrań, głównie damskich, maskotki pokryte jeszcze kurzem i ubranka dziecięce, a także bibeloty, trochę książek i sztucznej biżuterii. Mniej więcej połowa była w dobrym stanie i Anneliese zabrała się za mrówczą pracę oddzielania ziaren od plew.

To niesamowite, co według niektórych ludzi nadawało się do oddania na cele dobroczynne, pomyślała, trzymając w rękach męską koszulę z wytartym kołnierzykiem, kilkoma brakującymi guzikami i podejrzaną żółtą plamą na rękawie. Curry? Pylek kwiatowy? Rzuciła ją do pudła z napisem „śmieci”.

Yvonne, druga wolontariuszka, zajmowała się w tym czasie sklepem i prowadziła nieustanne pogawędki z klientami.

Anneliese lubiła pracować z Yvonne, ponieważ ta nie wymagała od niej zaangażowania. Yvonne mówiła i wydawała się nie dbać o to, czy ktoś jej słucha, czy nie. To zazwyczaj odpowiadało Anneliese, ponieważ lubiła pracować w spokoju, jedynie z radiem grającym cicho w tle. Dzisiaj z kolei dlatego, że nie była pewna, czy byłaby w stanie prowadzić rozmowę, choćby nawet zależało od tego jej życie.

Anneliese wiedziała, że wygląda okropnie i wyjaśniła, że nie spała tej nocy, chociaż chemia zapewniła jej pełne osiem godzin snu. Ale wyglądała znacznie gorzej, niż gdyby rzeczywiście nie zmrużyła w nocy oka. Przeżyła szok, kiedy rankiem ujrzała się w lustrze. Ból i smutek postarzały ją przez noc, wyglądała, jakby kości chciały przedrzeć się jej przez skórę w proteście przeciwko temu całemu cierpieniu. Czuła się tak, jakby z jej twarzy zniknęły ostatnie, drobne ślady młodości, pozostawiając jedynie ostre kąty, wgłębienia i wielkie oczy w kolorze indygo, które odziedziczyła po niej Beth. Gęste, białe włosy - niegdyś w oszałamiającym kolorze ja-snoblonde, teraz po prostu jedwabiście białe - które starannie spinała, nie wyglądały już kobieco. Sprawiały natomiast, że wyglądała na starszą, niż wskazywałaby na to metryka: starszą i jędzowatą.

Anneliese ledwie rozpoznała kobietę, która kiedyś usłyszała od adoratora, wiele lat temu, że wygląda jak primabalerina z tą swoją długą, elegancką szyją i oczyma lani. Pomyślała ze smutkiem, że jakiś milion lat temu była jedną z piękności Tamarin, a przynajmniej tak właśnie mówił jej Edward.

Kto pomyślałby tak teraz?

Uznała, że makijaż jest dzisiaj niezbędny. Podkład, trochę korektora, by ukryć cienie pod oczami, tusz, by unieść powieki i odrobina różu na policzki: makijaż Anneliese był zawsze staranny.

To była jedyna rzecz, co do której ona i jej matka się zgadzały.

Skoro już Anneliese zamierzała się poświęcić pracy w ogrodnictwie, w takim razie powinna dbać o cerę i nie wychodzić z domu bez szminki - tak zawsze mówiła jej matka.

Miała także stanowcze poglądy na temat tego, że kobiety nie powinny pić mocnych alkoholi. Anneliese tego *dictum* także się trzymała i teraz żałowała brandy i wina z poprzedniego dnia. W nieprzyzwyczajonej do picia głowie czuła głucho pulsowanie.

- Powiedziałam, że psy i tak będą się załatwiać na plaży - mówiła właśnie Yvonne do jakiegoś klienta. - Znaki, oto, czego nam trzeba; znaków na plaży nakazujących sprzątanie po psach.

Anneliese była jedną z osób, które się nie zgadzały z tym punktem widzenia, woląc już psie kupy od mnóstwa brzydkich znaków, besztających ludzi za to, że nie sprzątaję po swoich pupilach. Znaki zniszczyłyby skaliste, nagie piękno tej plaży.

Zachowała jednak milczenie i zaczęła się zastanawiać, co by pomyślała Yvonne, gdyby jej o wszystkim opowiedziała.

„Edward mnie zostawił. Mieszka z Neli Mitchell. Tak, tą Neli, moją najlepszą przyjaciółką. No i proszę. Jak to jednak ludzie się nie znają nawzajem, prawda?”

Nie najlepiej to brzmiało.

Spróbowała jeszcze raz, wypowiadając słowa powoli w myślach, by się przekonać, czy mają one sens.

„Przechodziliśmy niełatwy okres, Edwardija, ibyćmoże było to dla niego zbyt trudne, a Neli jest taka niefrasobliwa, a w końcu tak dobrze się znają...”

- Anneliese, co mówiłaś?

Yvonne spoglądała na nią wyczekująco. Klient zdążył już wyjść i znajdowały się w sklepie same.

- Nic takiego. Mówiłam do siebie.

- Mnie się też to zdarza. - Yvonne westchnęła i wróciła do przeglądania lokalnej gazety. - Nikt nie zwraca uwagi na

to, co mówię. Mamo, mówią mi dzieci, pleciesz trzy po trzy, a kiedy próbujemy ci coś odpowiedzieć, to ty i tak dalej nadajesz, więc cię z tym zostawiamy. Dzieci!

- Tak, dzieci. - Anneliese pokiwała głową, podczas gdy tak naprawdę myślała „mężowie” i „najlepsze przyjaciółki”.

- Ale i tak je kochamy, prawda? - ciągnęła Yvonne, nadal mówiąc o dzieciach i zupełnie nieświadoma faktu, że w ogóle z koleżanką nie nadają na tych samych falach.

Anneliese uderzyła myśl, jak naprawdę łatwo oszukiwać ludzi, kiedy się tego nie spodziewają. Jak łatwo było oszukać ją? Najpewniej żenująco łatwo.

Przerwała sortowanie ubrań, by się nad tym zastanowić. Jakimi kłamstwami raczyli ją Edward i Neli? Przychodzili do domu w te dni, kiedy Anneliese pracowała w sklepie i leżeli na jej łóżku, uprawiając seks?

Musiała pobiec do maleńkiej toalety, by zwymiotować. Zwróciła jedynie żółć i wczorajsze wino.

- Anneliese, wszystko w porządku? - zapytała Yvonne.

- Tak - skłamała. - Zgaga. Zapiekanka z wędzonej ryby na kolację.

Ciekawe, skąd się wzięła ta wymówka, zastanawiała się, prostując się i przyglądając w lustrze swym zaczerwienionym oczom. Czy kłamstwo to tylko kwestia praktyki?

W sklepie na szczęście przez cały ranek panował ruch. Yvonne zajmowała się gawędzeniem i obsługą kasy, natomiast Anneliese udawała mocno zapracowaną, porządkując po klientach półki i wieszaki.

Jej spojrzenie często umykało w stronę ulic Tamarin w poszukiwaniu znajomej sylwetki przechodzącego męża. Edward pracował w miejscowym biurze projektowania maszyn i urządzeń i czasem zaglądał do sklepu.

Uznała, że dzisiaj na pewno tak się nie zdarzy.

Mimo to wyglądała przez okno, zastanawiając się, czy on i Neli będą wtedy przechodzić.

Miasteczko zaprojektowano w kształcie połowy wieloramiennej gwiazdy i wszystkie ulice kierowały się w dół w stronę portu, gdzie zbiegały się na Harbour Square, szerokim placu z przysadzistymi palmami w stylu śródziemnomorskim, kafejką na wolnym powietrzu, która nazywała się U Doroty, i portem w kształcie podkowy, który wyglądał niczym dwa ramiona wyciągnięte w stronę morza - albo jak przednie szczypce kraba, jak kto wolał.

Sklep Lifeboat mieścił się na ulicy Fillibert, w połowie drogi pomiędzy Harbour Square a małym Church Square, gdzie znajdował się kamienny kościół.

Jej zmiana w sklepie kończyła się o drugiej i o tej godzinie przychodziła Corinne Brady, by przejąć pałeczkę, a wraz z nią pojawiały się powiewające szale, długie koraliki i odurzający zapach olejku piżmowego, kupionego bardzo dawno temu w lokalnym sklepie ze zdrową żywnością. Anneliese wiedziała o tym, ponieważ Corinne zawsze jej powtarzała, że nowoczesne perfumy są szkodliwe i że nie mają stare dobre piżmo.

- Naturalne zapachy są najlepsze, Anneliese - mówiła radośnie Corinne, wymachując lepką buteleczką. - Te wszystkie nowoczesne perfumy powodują raka, wiesz?

W normalnych okolicznościach Anneliese tolerowała ekscentryczność Corinne i jej dziwaczne teorie medyczne, ale dzisiaj nie była w stanie. Skończyły się jej zapasy ludzkiej życzliwości i nie sądziła, by mogła ją kupić w którymś z miejscowych sklepów.

- Witaj, Yvonne, spójrz na to! Nowa dostawa pluskwicy groniastej. No dobrze, Yvonne, wiem, że nie chcesz rozmawiać o tej całej menopauzie...

Anneliese skrzywiła się. Biedna Yvonne. W przypadku Corinne nie było szansy na dyskretną rozmowę na temat kobiecych problemów. Nie kontrolowała natężenia swego głosu. Ryczała nawet wtedy, gdy próbowała mówić szeptem.

- To jest naprawdę fantastyczne - mówiła właśnie.

- Krzycz jeszcze głośniej - odparła gniewnie Yvonne. - Chyba nie usłyszało cię całe miasto.

- E tam. - Corinne ani trochę się nie przejęła. - Wszystkie tu jesteśmy kobietami i jesteśmy dumne z naszych ciał. To cykl życia, Yvonne. Potężna moc życia, która porusza się w naszych ciałach, ponieważ tak chciała Matka Natura.

Normalnie Anneliese uśmiechnęłaby się szeroko na te słowa. Nie dało się zaprzeczyć, że Corinne bywała niezwykle zabawna, kiedy wpadała w ten swój cały trans na temat Matki Natury. Matka Natura była odpowiedzialna za praktycznie wszystko, włączając w to uzależnienie Corinne od mlecznej czekolady i doktora Burke'a z *Chirurgów*. Gdyby Corinne miała okazję się nad tym zastanowić, to uznałaby, że niewątpliwie Matka Natura ponosi odpowiedzialność za to, że Edward odszedł do Neli. Potężna moc życia ulegała ciągłym zmianom czy coś w tym rodzaju. Anneliese wzdrygnęła się na myśl, że ten ostry fizyczny ból mógłby stać się tematem rozważań Corinne. Ciekawe, czy udałoby jej się wyjść stąd niezauważenie. Za późno...

- Witaj, Anneliese... o rety, wyglądasz na strasznie zmęczoną. Biedactwo. Mam coś odpowiedniego w torbie... - zaczęła Corinne, sięgając do przepastnej patchworkowej torby ze skóry, którą wszędzie ze sobą taszczyła. Torba brzydko pachniała, jako że rozlało się w niej zbyt wiele buteleczek z olejkami i różnymi miksturami. - To może wyglądać nieco dziwnie, kochana, ale to grzyb i należy dodawać do niego wody i wypijać syrop i...

- Corinne, dziękuję ci - przerwała jej szybko Anneliese, bojąc się, że zwymiotuje ponownie na samą myśl o picciu syropu z grzyba. - Obawiam się, że muszę lecieć. Pa.

Niemal wybiegła ze sklepu, trzymając w ręce torbę i żakiet. Nie była w stanie poradzić sobie z Corinne. Nie teraz.

Corinne, pomimo swej słusznej postury, była bardzo szybka, więc ze strachu przed pogonią Anneliese popędziła

ulicą Fillibert, rozglądając się za kryjówką. Księgarnia Fly Leaf. Była mała i ekscentryczna, miała rozbudowany dział kryminałów i przyciemniane szyby, tak by trudno było dojrzeć coś z zewnątrz. Doskonale. Tutaj nikt z nią nie będzie rozmawiał.

To była Zasada Księgarska: tylko się uśmiechaj i kiwaj głową.

Weszła pospiesznie do cichej księgarni i ruszyła na oślep w stronę regałów na samym końcu. Dział klasyki. Dotykała palcami grzbietów książek, zastanawiając się, ile czasu minęło, odkąd czytała Jane Austen.

W końcu nieco się uspokoiła. Corinne nie przygnała tu za nią. Teraz, kiedy już wyszła z Lifeboat Shop, mogła przestać udawać i znowu być sobą. Tyle że nie była pewna, kim właściwie jest. To było dziwne, niepokojące uczucie. Anneliese czuła się otumaniona, jakaś taka nierzeczywista. Tak jakby teleportowano ją do tego ciała i tego życia i nic nie było ani odrobinę znajome.

O nie, proszę, nie.

Przeszła z działu klasyki do poradników. Jej oddech ponownie przyspieszył. Nie. Oddychaj głęboko. Wdech, policz do czterech, i wydech. Po dłuższej chwili ponownie skupiła się na zawartości półek. Poradniki. Wiele razy miała okazję przeglądać książki z tego działu i wiedziała, że nie znajdzie tu pozycji zatytułowanej *Medytacje dla wkurzonych na cały świat*.

Wyraźna luka na rynku, pomyślała ponuro. Nie było także *100 sposobów na zabicie męża i byłej najlepszej przyjaciółki*.

Ale znajdowało się tam wiele pozycji na temat depresji, którą można było leczyć terapią, pozytywnymi wizualizacjami lub spożywaniem odpowiednich suplementów, zależnie od tego, jaką książkę się czytało.

Anneliese przeczytała ich całe mnóstwo, pragnąc się wyleczyć. Przejrzała półki, myśląc, że prawdopodobnie wszystkie

te książki ma w domu, z wyjątkiem może najnowszych pozycji. Żadna z nich nie pomogła. Depresja nie była czymś, od czego można się odciąć dzięki przeczytaniu poradnika.

Była ona znacznie ciemniejsza i sięgała dużo głębiej. Anneliese wpatrywała się gniewnie w książki, wściekła na ich autorów za to, że mają czelność udawać, iż wiedzą, jak to jest.

Książki na temat depresji pisali cholerni psychiatrzy i guru zdrowia psychicznego, a nie prawdziwi ludzie, którzy rzeczywiście tkwili w tym podziemiu: miejscu, gdzie nie istniało normalne, szczęśliwe życie; miejscu, gdzie funkcjonowanie niemalże nie wchodziło w rachubę.

„Anneliese, wyjdź ze swojego pokoju i porozmawiaj ze mną, proszę”. W jej głowie ponownie rozbrzmiał głos matki. Kochana mama. Anneliese wiedziała, że bardzo się starała, ale przypadła jej w udziale córka z obłokiem ciemności w swym wnętrzu i ich rodzina - zwykła, sympatyczna, prosta - nie wiedziała, co zrobić z kimś takim, jak ona.

- Gdybyś mi tylko powiedziała, co jest nie tak - błagała ją matka.

- Nie wiem, co jest nie tak - odpowiadała Anneliese. Bo taka była prawda. Nikt jej nie uderzył ani nie skrzywdził. Ale odczuwała wszystko tak głęboko, znacznie głębiej niż Astrid, jej starsza siostra, najbardziej zbliżona do niej wiekiem. W niektóre dni w jej głowie znajdowała się po prostu chmura, chmura strachu, niepokoju i ciemności. Nie wiedziała dlaczego - po prostu tam była i już.

Minęło ponad czterdzieści lat od czasu, gdy zdała sobie z tego sprawę. Miała piętnaście, kiedy odkryła, że inni ludzie tego nie czują, że to ona jest inna.

I wtedy, w księgarni Fly Leaf w Tamarin, Anneliese Kennedy ogarnęło to znajome, irytujące uczucie ciemności w głowie, i coś jeszcze, załączek czystej paniki. Za oczami wyczuwała jakieś dudnienie, coś jak walące w oddali bębny. Powolny, nieustępliwy dźwięk, który nie był prawdziwy - wiedziała to

- ale w tej akurat chwili odczuwała go jako bardziej rzeczywisty niż cokolwiek innego. Już od dawna go nie słyszała, ostatnio pojawiał się już tylko w koszmarach sennych, ale wiedziała, co to takiego: strach i panika.

Czytała kiedyś, że pewnego rodzaju sytuacje sprawiają, iż w mózgu zaczyna dominować rdzeń przedłużony. Ta część była odpowiedzialna za przetrwanie i znajdowała się poniżej międzywzgórza, konarów mózgu i kory mózgowej.

Rdzeń przedłużony do głosu dochodził wtedy, gdy człowieka ogarniał ogromny, pierwotny strach. Artykuł naszpikowany był mnóstwem długich medycznych określeń i Anneliese podczas lektury nieco się wyłączyła, ale zapamiętała jedno: że rdzeń przedłużony to podstawa przetrwania i uaktywnia się wtedy, kiedy ktoś jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Tak jak teraz. Kiedy panika nacierała na nią z przeogromną mocą. Ledwie zdążyła o tym pomyśleć, a zaczęło brakować jej tchu i oddychała chrapliwie, czując ściskanie w klatce piersiowej. Jej serce waliło jak oszalałe.

Anneliese ruszyła przed siebie tak szybko, że wpadła na mężczyznę, który przeglądał pozycje w dziale sportowym.

- Przepraszam - wydyszała, przeciskając się obok niego. Musiała stąd wyjść i wrócić do domu. Musiała się znaleźć w bezpiecznym miejscu, gdzie będzie mogła odgonić od siebie ten strach i ciemność.

Całe lata minęły od czasu jej ostatniego ataku paniki, całe lata. Zdążyła już zapomnieć, jakie są one straszne, jak zawsze czuła, że zaraz umrze.

Jej ręce tak bardzo się trzęsły, że miała problem z wyjęciem z torby kluczyków, a potem ledwie zdołała włożyć je do zamka i przekręcić. Ale się udało. Była teraz choć trochę bezpieczna.

Usiadła na fotelu kierowcy, trzęsąc się, próbując uspokoić oddech.

Wdech, policz do czterech, wydech.

Kiedy poczuła, że jest już w stanie to zrobić, uruchomiła silnik i włączyła głośno radio, pragnąc, by prowadzona tam dyskusja zablokowała inne myśli w jej głowie. Nie miała ochoty myśleć.

Kiedy dotarła do domu, panowała w nim cisza - nie cisza domu, do którego niedługo może wrócić ktoś jeszcze, ale martwa cisza miejsca, w którym mieszka tylko jedna osoba. Anneliese zaparzyła sobie herbatę ziołową Niebiański Spokój, z której Edward lubił lekko żartować. Chowając puszkę do szafki, zmieniła zdanie i wyjęła z niej jeszcze jedną torebkę, po czym ją także wrzuciła do kubka. Potrzebna jej była podwójna dawka spokoju.

Następnie wzięła kubek oraz stary polarowy koc i wyszła na taras.

Z kubkiem w dłoni, owinięta kocem, wpatrywała się w rozbijające się o brzeg fale i oddychała powoli.

Oddychaj. Wdech i wydech. Powoli i głęboko. Skoncentruj się na każdym oddechu, pozwól płucom wypełnić się i rób powolny wydech przez nos. Wdech i wydech. To wszystko, co musisz robić każdego dnia - oddychać.

Cholera, cholera, to nie działało. Pomimo głębokich oddechów wciąż czuła, jak serce wali w szaleńczym tempie, a w tyle jej głowy czaiła się ciemność, coraz bardziej się zbliżając.

Pierdol się, Edwardzie, za to, że mi to robisz, pomyślała z goryczą Anneliese.

Mocniej otuliła się kocem, szukając ciepła.

Nie miała zamiaru wrócić do tabletek, nie po raz kolejny.

Edward był taki dobry i wyrozumiały w kwestii jej depresji, nawet jeśli nie do końca ją pojmował.

- Mnie też czasami jest trochę smutno, wiesz? - powiedział na początku ich małżeństwa. - To nie jest tak, jak

w twoim przypadku, skarbie, ale rozumiem cię, albo przynajmniej staram się.

Anneliese, która zawsze starannie dobierała słowa, kiedy mówiła o depresji, tak by go nie wystraszyć ani nie wzbudzić w nim podejrzeń, że ożenił się z wariatką, przy której trzeba mieć w pogotowiu kaftan bezpieczeństwa, musiała się powstrzymać, by nie roześmiać się w głos.

Nie mógł wiedzieć ani rozumieć tego, że depresja jest jej częścią: umiała radzić sobie z codziennym życiem jak wszyscy inni, ale podczas gdy niektórzy mieli zapisane w genach piegi czy śliczną oliwkową cerę, ona miała depresję. To część niej: czasami obecna, czasami nie. Całe miesiące, lata nie ogarniała jej ta przytłaczająca ciemność, ale kiedy tak już się działo, było to coś znacznie gorszego niż zwykły smutek. Lecz mimo to kochała go, kochała go za to, że się stara.

- Kocham cię, mój słodki mężczyzno - powiedziała żarliwie.

Edward zaśmiał się i przytulił ją, a potem Anneliese siedziała mu na kolanach, tulili się do siebie i czuła się naprawdę kochana.

Ten życzliwy mężczyzna tak naprawdę nie rozumiał, przez co ona przechodzi, ale się bardzo starał. To była miłość: próba zrozumienia partnera, nawet jeśli pozostawało to poza zasięgiem twoich możliwości.

Pamięta także, jak rozmawiała o tym z Neli. To akurat bolało: myśl, że ta cholerna Neli wiedziała o wewnętrznym bólu przyjaciółki, a mimo to uciekła z jej mężem. Anneliese zadrżała pod ciepłym kocem.

Zaczynała nienawidzić Neli.

- Jak to możliwe, że tak się czujesz, no wiesz, depresyjnie, a jednak wychodzisz z domu i jesteś normalna? - zapytała ją kiedyś Neli, kiedy Beth była mała i Anneliese zaprowadziła ją na przyjęcie urodzinowe koleżanki z klasy, a potem

wróciła do domu, by przez bite dwie godziny płakać. W takim stanie zastała ją Neli.

- Zakłada się wtedy maskę - odparła zwięźle z twarzą zalaną łzami. - Nie da się siedzieć w kącie i wpatrywać w nicość, gdy ma się dziecko. Po prostu nie da.

Wiele razy tak się czuła, ale miłość matczyna to potężna siła. Bywało wiele dni, kiedy Anneliese miała ochotę zostać w łóżku, owinać się kołdrą niczym zbroją i przeczekać ten beznadziejny stan. Ale nie mogła zrobić tego swej córce.

Kiedy Beth podrosła i stało się jasne, że odziedziczyła po matce nie tylko niebieskie oczy, ale także skłonność do depresji, chronienie Beth stało się sensem życia Anneliese. Beth, która potrzebowała mnóstwa miłości i uwagi, znalazła się na szczycie listy jej priorytetów.

Kolejne miejsce zajmowała sama Anneliese, czasami utrzymująca się na powierzchni, a czasami spadająca w otchłań, tak że niechętnie musiała udawać się do lekarza i przyjmować te cholerne antydepresanty. Szczerze ich nie znosiła. To było niczym przyznanie się do porażki i gdyby przeczytała raz jeszcze artykuł mówiący o tym, że depresja jest jak cukrzyca, i że człowiek chory na cukrzycę nie wykręca się od zażywania insuliny, to chyba by kogoś zamordowała.

Edward, kochany, życzliwy Edward, na liście priorytetów swej żony zajmował wyraźnie trzecie miejsce.

Kobiety zawsze najbardziej kochają i martwią się o swe dzieci, o ile je mają. Natomiast dla mężczyzn na pierwszym miejscu stoją ich kobiety.

Czy to właśnie odepchnęło Edwarda - że zawsze był trzeci w ich małżeństwie? Jak to możliwe, że nie wiedział, iż nie stało się tak z wyboru, ale z powodu zasad zwykłego przetrwania?

Anneliese westchnęła i popatrzyła na widok, który sprawił, że przed laty ona i Edward kupili ten dom. W ostrym

świetle zatoka Milsean była niczym lustro osadzone w dolinie, w którym zmieniał się obraz: od białego piasku do tor-fiastej zieleni pól.

Poniżej znajdował się Ocean Atlantycki, gdzie nurkowały mewy, a biała piana rozpryskiwała się na wszystkie strony. „Bądźcie ostrożni”, ryczała woda. To była lekcja, której tubylcy nigdy nie zapominali. Turyści wypożyczali łodzie, by zapuścić się do osłoniętej zatoki, i wmawiali sobie, że morze jest bezpieczne, a potem trzeba ich było ratować, kiedy ich łodzie fale wyrzucały na otwartą, dziką przestrzeń Atlantyku.

Rekiny długoszpary widać było czasami z klifów nad miejscem, gdzie majestatycznie stał dolmen. Anneliese pamiętała dzień, w którym ona i Edward zabrali małą Beth, by zobaczyła dolmen, pragnąc wpoić w nią poczucie dumy.

- To nasza historia, Beth - wyjaśnił córce Edward.

A teraz on napisał od nowa historię ich rodziny. Anneliese nie wiedziała, czy mu to kiedykolwiek wybaczy. Nie istniało żadne usprawiedliwienie na coś takiego, żadne.

Oczywiście dla Edwarda nie miał znaczenia fakt, czy mu wybaczy czy nie. Nie był już częścią jej życia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W mieszkaniu Izzie na Manhattanie było zimno, a w porównaniu z hotelem w Nowym Meksyku wyglądało na nagie. Nawet jej ukochany Nowy Jork był dzisiaj chłodno bezosobowy: kierowca taksówki, którą przyjechała z lotniska, nie był klasycznie ekscentryczny, a jedynie nudny, poza tym padało, i to tak mocno, że w jednej chwili można było przemoknąć do suchej nitki.

Mokra i zmęczona, Izzie zatrzasnęła za sobą drzwi i porzuciła na podłodze bagaż, starając się wybadać, skąd w niej to poczucie niezadowolenia. W życzliwej atmosferze panującej w pueblo było coś, za czym tęskniła. W końcu była dziewczyną z małego miasteczka i teraz zalała ją fala tęsknoty za Tamarin. Ostatnio dużo myślała o rodzinnych stronach. Czy działa się tak dlatego, że czuła się taka samotna, kiedy Joe wychodził późnym wieczorem, a jej myśli kierowały się ku jej rodzinie, ku ludziom, którym na niej zależało?

A może to z powodu rosnącego w niej niepokoju na temat związku, który był tak trudny do wyjaśnienia, że nawet nie próbowała tego robić, ani Carli, ani swemu tacie, ani babci.

Zdjęła ociekającą wodą marynarkę i dopiero wtedy pozwoliła sobie spojrzeć na automatyczną sekretarkę. Ekranik wiadomości pokazywał wielkie, okrągłe zero. Ani jednej wiadomości.

Cholerny automat. Wpatrywała się gniewnie w telefon, jakby to była jego wina, że Joe nie zadzwonił.

Włączyła lampy, by w mieszkaniu zrobiło się jaśniej, po czym ciężkim krokiem poszła do łazienki, rozebrała się i weszła pod prysznic, chcąc zmyć z siebie kurz mesy. Zaczynała wpadać w obsesję, jeśli chodzi o mycie. Czy zaburzenia obsesyjno-kompulsywne były skutkiem pogmatwanych romansów? Jeszcze nigdy nie wchodziła tak często pod prysznic - zawsze myła się i nacierała olejkiem w nadziei, że kiedy już znajdzie się pod prysznicem, to zadzwoni telefon. Kiedyś tak było. Ale nie teraz. Joe nie dzwonił już od pięciu dni.

Pięć dni.

- Odezwę się - wymruczał tego ranka, kiedy wylatywała do Nowego Meksyku.

- Koniecznie - odparła, żałując, że nie może odwołać tego wyjazdu, aby móc być blisko niego, ponieważ myśl o przebywaniu w innym niż on mieście budziła jej niechęć. O co w tym wszystkim chodziło?

Ale on nie zadzwonił.

Nawet tego ostatniego wieczoru, kiedy wszyscy poszli w tango, kiedy odgłosy imprezowania wywołałyby zazdrość u każdego normalnego kochanka - dlatego właśnie Izzie miała nadzieję, że zadzwoni właśnie wtedy, tak by miała szansę odejść na bok i od niechcienia powiedzieć, że Ivan tańczy limbo, i sprawić, by wydawało się to oszałamiające. Tak oszałamiające, że poczułby zazdrość, iż ona jest tam bez niego... Tyle że on tego nie zrobił. Nie zadzwonił.

Izzie wyszła spod prysznic, nadal rozdrażniona.

Nie, prysznic nie był dobrym pomysłem. Kąpiel, ona byłaby idealna.

Odkręciła wodę, naląła do wanny przynajmniej połowę cennego olejku różanego Jo Malone, otworzyła butelkę białego wina i przygotowała sobie szprycera, po czym zanurzyła się w pachnącej pianie.

Napiła się szprycera, zamknęła oczy i próbowała się odprężyć. Ale tym razem nie było mowy o błogiej nieświadomości.

mości, którą przynosiła jej zawsze kąpiel w wannie i która pozwalała zapomnieć o wszystkim. Tak jak zawsze, odkąd poznała Joego, to on wypełniał jej myśli.

Na ten pierwszy wspólny lunch umówili się w niewielkiej, ekscentrycznej włoskiej restauracji w Village, miejscu, o którym wcześniej Izzie nie pomyślałaby, że Joemu może się podobać. Podejrzewała, że woli bardziej szykowne lokale, gdzie obsługa rozpoznaje każdego miliardera w mieście. Następny jego plus.

Przy zakąskach gawędzili swobodnie, a im więcej mówił, tym bardziej Izzie czuła, że wpada po same uszy.

Skończył studia biznesowe, po czym wziął udział w programie podyplomowym J. P. Morgana.

- Wtedy właśnie mnie to wzięło - oświadczył, częstując się kawałkiem ciabatty posmarowanej oliwą z bazylią.

- Transakcje giełdowe przynoszą natychmiastowy efekt i strasznie mi się to spodobało.

- To nie jest stresujące? - zapytała, myśląc o traceniu milionów i o tym, że gdyby to ona miała taką pracę, trzeba by jej aplikować znieczulenie.

- Nigdy nie odczuwałem stresu - odparł. - Uwielbiałem to. Dokonywałem iluś tam transakcji, na niektórych traciłem, na innym wygrywałem, a potem wracałem do domu i kładłem się spać. Wielu ludzi się wypalało: godziny pracy, mentalność ostrego gracza, wielu dawało to w kość, ale nie mnie.

W wieku dwudziestu dziewięciu lat zarządzał własnym funduszem transakcyjnym - funduszem hedgingowym.

- A więc to właśnie jest ten cały fundusz hedgingowy

- ucieszyła się Izzie. - Nigdy nie wiedziałam, co to takiego.

Im wyżej się wspinał po szczeblach kariery, tym większe było ryzyko, ale także większe prowizje, aż w końcu objął stanowisko dyrektora działu transakcji w jednym z potężnych banków.

- Zasadniczo jest to próba systematycznego pobicia wszystkich rynków dzięki matematyce - wyjaśnił. - Sprze-

dawaliśmy i kupowaliśmy dosłownie wszystko. Byliśmy funduszem zamkniętym.

Izzie, która usta miała pełne pieczonych papryczek, spojrzała na niego pytająco.

- To znaczy, że jedynie inwestowaliśmy ponownie zyski i nie mogli w to wejść żadni nowi inwestorzy.

- Ach. - Pokiwała głową. To było niczym klasa mistrzowska na Wall Street. Tyle lat znała tych wszystkich facetów obracających pieniędzmi i nie miała pojęcia, o czym oni właściwie mówią.

W końcu Joe i jego przyjaciel Leo Guard założyli własny zamknięty fundusz hedgingowy, HG.

- Po jakimś czasie szło nam tak dobrze, że zmieniliśmy strukturę opłat z dwóch i dwudziestu na pięć i czterdzieści.

- Dodaję za pomocą palców - oświadczyła Izzie. - Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Uśmiechnął się szeroko i podał jej chleb.

- To typowa struktura opłat: dwa i dwadzieścia oznacza, że otrzymuje się dwa procent za zarządzanie i dwadzieścia procent zysków.

- O rety. A wasze transakcje warte były miliony? Kiwnął głową.

- Wyobraź sobie zarządzanie sześcioma setkami. Izzie nie lubiła sprawiać wrażenia tępej.

- Sześciuset milionami dolarów? - zapytała, by się upewnić.

Przytaknął.

- W takim razie jesteś bogaty - stwierdziła, złoścąc się na siebie, że najadła się przystawkami, a jeszcze nie pojawiły się dania główne.

Joe się roześmiał.

- Niezły z ciebie numer, Izzie Silver - oświadczył. - Podoba mi się to.

- Jestem szczerą - rzekła, odsuwając talerz. - Nie każdemu to się podoba.

- Mnie tak. Owszem, można powiedzieć, że jestem bogaty.

- Ale nie jesteś właścicielem superjachtu? - zapytała z błyskiem w oku.

Ponownie się roześmiał.

- Nie. Chciałabyś taki mieć czy też po prostu chciałabyś się umawiać z mężczyzną, który takowy posiada?

Izzie uśmiechnęła się, myśląc o jego niewinności.

- Ty nic nie wiesz, prawda? - zapytała spokojnie. - Od kobiety, która pragnie mężczyzny z superjachtem dzieli mnie taka odległość, jakbyśmy się znajdowały na różnych kontynentach. - Przetawiała na stoliku sól i pieprz. - Pieprz to ja. - Ustawiła go na jednym końcu stołu. - A sól... - przesunęła ją na przeciwny koniec stołu - to typ kobiety, która pragnie znać stan konta mężczyzny, nim umówi się z nim na drinka. Widzisz? Wielka odległość, wielka różnica. Potężna.

- Przepraszam.

- Po prostu więcej tego nie rób - zażartowała. - Ani razu w całym moim życiu nie spotykałam się z mężczyzną z powodu stanu jego konta. Nigdy. Krótko, właściwie to jednorazowo, umówiłam się z sąsiadem z mojego dawnego mieszkania, ponieważ wiedział, jak działa ogrzewanie i naprawił mi je pewnego dnia, kiedy coś się zepsuło, no i poszłam z nim na randkę, ale to by było na tyle. Raz i koniec.

- W takim razie umówiłaś się ze mną, ponieważ podwiozłem cię do biura? - przekomarzał się z nią.

- Właśnie tak - odparła. - No to kontynuuj opowiadanie historii swego życia. Przejdź do części osobistej.

Miał czterdzieści pięć lat, jego żona parę mniej, wzięli ślub w młodym wieku, właściwie to byli wtedy jeszcze dziećmi. Izzie żałowała, że zapytała o część osobistą.

- Potem dość szybko na świecie pojawił się Tom - rzekł dumnie. - Wtedy wszystko się zmienia. Masz dzieci?

Tak, schowane w torebce, miała ochotę odpowiedzieć.

- Niestety nie. Nie wiem więc, jak wszystko zmienia.

- Zapewniam cię, że owszem. Zmienia się dynamika pary, tak bardzo pochłaniają was dzieci. Ale przecież nie zjawiłem się tutaj, by opowiadać o moich chłopcach.

- Okej, po co się tutaj zjawiłeś?

Ona nie była pewna swoich motywów. Joe był zbyt skomplikowany, w jego życiu zbyt wiele się działo. Mężczyzna na zakręcie życia potrzebny był jej jak dziura w moście.

Poza tym on jeszcze wcale nie był na etapie rozpoczynania nowego życia: nadal przeżywał zakończenie wieloletniego związku. Mężczyzna szukający nowej partnerki niekoniecznie miał ochotę rozmawiać o żonie i dzieciach.

Szkoda, pomyślała ze smutkiem. Był uroczy, seksowny i sprawiał, że jej żołądek wyczyniał takie harce, jakich nie pamiętała.

Po prostu kolejny dowód na to, o czym wiedziała i co potwierdziła Linda: wszyscy porządni faceci byli zajęci. Ale ten tutaj był czarującym mężczyzną i mogła przecież cieszyć się tym lunchem i potraktować to jako nowe doświadczenie.

- Nadal nie wiesz, po co się tu zjawiłem? - zapytał. Izzie posiała mu cierpkie spojrzenie.

- Może chcę się dowiedzieć więcej na temat branży modelingowej, by móc w nią zainwestować - kontynuował.

- A może chciałeś, bym cię przedstawiła długonogim modelkom? - odparowała. - Zazwyczaj dobra jestem w rozpracowywaniu, czy mężczyznę interesuje we mnie tylko to, że może dzięki mnie poznać modelki. Choć ty... - obrzuciła go uważnym spojrzeniem - nie jesteś typowy. Jesteś zbyt miły.

Udawał, że wciąga gwałtownie powietrze.

- Miły? To nie jest słowo, którym zbyt często się mnie określa. Nazywają mnie rekinem, wiesz?

- Jesteś miły - Izzie uśmiechnęła się do niego.

To była prawda. Choć był samcem alfa z wrodzoną arogancją i inteligencją, miał w sobie także coś rzetelnego i cie-

plęgo, coś niesamowicie atrakcyjnego, co mówiło, że może i jest bogaty, ale wychowano go tak, by dbał o innych, by chronił swoją rodzinę i swoją kobietę. Izzie poczuła ukłucie, że nigdy nie dane jej będzie stać się rzeczoną kobietą. Cudownie byłoby mieć faceta, który się o nią troszczy.

- Możesz sobie udawać, że jesteś rekinem, ale tak naprawdę jesteś łagodny jak baranek - kontynuowała, drażniąc się nieco. - Poza tym wiem, że nie jestem ci potrzebna do tego, by cię przedstawiać modelkom. Jesteś wystarczająco bogaty, by samemu to sobie kupić. Pieniądze są niczym karta upoważniająca do wstępu absolutnie wszędzie, nieprawdaż?

- Taka młoda, a taka cyniczna - uśmiechnął się szeroko.

- Nie jestem młoda, mam prawie czterdzieści lat - odparła. Gdyby uważała, że jest nią zainteresowany, powiedziałaaby, że trzydzieści dziewięć. - Niedługo będę mieć z górki.

Kilka dni temu to mogło być żartem. Ale od czasu Lindy i lunchu w Płazie Izzie nie czuła zadowolenia na myśl o zbliżających się urodzinach.

- Ty nigdy nie będziesz mieć z górki - powiedział to tak niskim głosem, że zaraz zaczęła myśleć, co było absurdalne, o tym, że jest z nim w łóżku i że on powoli zdejmuje z niej ubrania.

- Czy pan ze mną flirtuje, panie Hansen? - zapytała głośno, chcąc ukryć zmieszanie. - Sądziłam, że to przyjacielski lunch.

- Karty na stół - odparł. - Flirtuję z tobą.

- No to przestań - nakazała. - Właśnie mi opowiedziałeś o swojej żonie i cudownych dzieciach. Nie wiem, jakiego rodzaju kobiety miałeś okazję poznawać, ale ja się nie piszę na miłość na pół etatu. Przeżyłam trzydzieści dziewięć lat bez umawiania się z żonatymi i nie planuję tego zmieniać.

- Myślisz, że siedziałbym teraz tutaj, gdyby moje małżeństwo było nadal udane? - zapytał ostro. - Doceń mnie choć trochę, Izzie. Owszem, mam żonę i dzieci, ale jesteśmy

w separacji i mieszkamy razem tylko z powodu dzieci. Nie słuchałaś mnie? Mówiłem ci, że Elizabeth i ja pobraliśmy się w młodym wieku. Już od lat nie jesteśmy parą, niczyja wina, to było po prostu nieuchronne. W końcu kilka miesięcy temu uznaliśmy, że to się nie sprawdza na żadnym poziomie i że trzeba wszystko sformalizować.

- Och - rzekła Izzie, czekając. Mówił poważnie? Czy też nadal był na tym okropnym etapie tuż po rozstaniu, kiedy się stara przekonać samego siebie, że nowy związek okaże się receptą na wszystko?

- Kocham ją, zawsze będę ją kochać - rzekł - ale to tak, jakbym kochał siostrę. Spędziliśmy razem dwadzieścia cztery lata, to cała wieczność, ale nasze małżeństwo skończyło się już dawno temu. Staramy się zachowywać pozory dla dobra młodszych chłopców. Tom byłby w stanie poradzić sobie z naszym rozstaniem, ale Matt i Josh nie. Nasz dom w Nowym Jorku jest taki duży, że to żaden problem. Wielu ludzi tak robi: jeśli ma się wystarczająco dużo miejsca, to można bez problemu razem mieszkać. Ja mam swoje życie, ona swoje. Rodzice Elizabeth są rozwiedzeni, więc zależało jej, by chłopcy nie pochodzili z rozbitej rodziny. Pewnie dlatego ze sobą byliśmy, ale to zbyt trudne. Nie mogę tak dłużej.

- A gdyby jedno z was zakochało się i chciało być z kimś innym? - zapytała Izzie, próbując zrozumieć ten dziwny układ. Czuła się, jakby stała na urwisku i miała zaraz z niego spaść. Nie chciała spaść, nie wiedząc, czy on będzie czekał z rozłożonymi ramionami.

- Tak się nigdy nie stało. Jak na razie - dodał celowo powoli. - Gdyby się tak stało, wtedy wszystko musiałyby ulec zmianie.

- Czy inni o tym wiedzą?

- Większość naszych znajomych tak. Nie rozgłaszamy tego na prawo i lewo. Matt i Josh są jeszcze za mali. Uważają, że w wieku dwunastu i czternastu lat o życiu wiedzą już

wszystko, ale to nadal dzieci. Teraz widzą, że ich rodzice żyją w zgodzie w tym samym domu, mają poczucie stabilizacji. To nasz priorytet.

- Rozumiem - odparła, myśląc z nagłym smutkiem o swoim życiu, kiedy miała dwanaście czy czternaście lat.

- Naprawdę?

Pokiwała głową i jakimś sposobem on natychmiast wyczuł, że ją nagle ogarnęło poczucie melancholii.

- Co się stało? - zapytał.

- Miałam trzynaście lat, gdy zmarła moja mama - wyjaśniła. - Rak. Poszło tak szybko, że nie było na nic czasu. Sześć tygodni po usłyszeniu diagnozy nie żyła. - Zadrżała na to wspomnienie. Lata całe trwało, nim była w stanie wypowiedzieć na głos słowo „rak”: miało takie przerażające konotacje, niczym złe słowo rzucające urok, jakby samo jego wypowiedzenie sprowadzało niebezpieczeństwo i ból. - Ojciec i babcia starali się mnie ochronić, ale nie byli w stanie.

- Przykro mi - rzekł. - Musiało ci być ciężko.

Kiwnęła głową. Ciężej, niż to sobie można było wyobrazić. Można powiedzieć, że radziła z tym sobie w taki sposób, że wszystko od siebie odsuwała: zamknęła się w sobie, by nic nie mogło jej zranić, nie płakała, nie rozmawiała wiele z nikim, nawet z ukochaną babcią, która sama była zdruzgotana i dla dobra Izzie starała się to skrywać.

Tata, wujek Edward i Anneliese byli na wyciągnięcie ręki, gotowi rozmawiać, śmiać się i płakać, gotowi na każde jej skinienie. Jedynie kuzynka Beth - dziwaczna, drażliwa i łatwo wpadająca w irytację - pozostała sobą. Tak naprawdę to właśnie Beth najbardziej jej pomogła w tym pierwszym roku. Pewnego dnia doprowadziła Izzie do płaczu, krzyżąc na nią, i ten prosty fakt, że jedna osoba z jej otoczenia nie chodziła wokół niej na paluszkach, sprawił, że Izzie z powrotem się otworzyła.

- Twój ojciec żyje? - zapytał łagodnie Joe.

Izzie uśmiechnęła się.

- Tak, tata jest świetny. Czasem trochę zakręcony; nieustannie kończy mu się cukier albo śmietana i musi biegać albo do domu mojej ciotki Anneliese, albo do babci. Można powiedzieć, że opiekują się nim, choć oczywiście nie dopuszczają do tego, by tak sobie pomyślał. Strasznie by tego nie chciał. No ale się opiekują. Donoszą mi, jak sobie radzi.

- Kawa, deser? Więcej wina? - zapytał kelner.

Kiedy odszedł, zabrawszy brudne talerze i zamówienie na kawę, Joe ponownie się ku niej nachylił.

- Opowiedz mi jeszcze o sobie - poprosił niecierpliwie. Ale Izzie uważała, że wyjawiała wystarczająco dużo na

swój temat. Rzadko rozmawiała o swojej matce, a już z całą pewnością nie z kimś, kogo dopiero poznała.

- Hej, wystarczy o mnie - odparła, starając się, by zabrzmiało to wesoło. - Pan jest bardziej interesujący, Panie Potencie. No więc powiedz mi, jesteś zainteresowany kupnem agencji modelek?

-Nie.

- Tak też właśnie myślałam, ale...

- Ale musiałaś dowiedzieć się, na czym stoisz?

- Klasztorna edukacja, dopada cię wszędzie - westchnęła.

- Siostra Mary Jakaś tam nie zaakceptowałyby mnie? - zapytał.

Izzie poczuła, jak stopą dotyka pod stołem jej stopy.

- Wydaje mi się, że jesteś tego typu mężczyzną, którego miały na myśli, kiedy kazały nam na randki zabierać książki telefoniczne. - Widząc na jego twarzy konsternację, wyjaśniła: - Jeśli trzeba było usiąść jakiemuś chłopcu na kolanach, najpierw kładło się na nich książkę, a dopiero potem siadało. Trzycentymetrowa bariera.

- Już raczej dziesięciocentymetrowa, jeśli się mieszkało na Manhattanie.

- Nie chwal się tak - uśmiechnęła się Izzie.
- Tak więc możliwe, że znowu się pani ze mną spotka, panno Silver, skoro już pani wie, że wszystko ze mną w porządku?
- Możliwe.
- Wiesz, mam w swoim biurze kolekcję sztuki...
- Nie licytowałeś tego obrazu Pashy na lunchu charytatywnym - przerwała mu.
- Niewykluczone, że licytowałbym, gdyby mnie ktoś nie rozpraszał - mruknął. - Jutro po południu muszę zajrzeć do studia pewnego malarza i przyjrzeć się kilku obrazom. Masz ochotę mi towarzyszyć?
Izzie postanowiła zaryzykować. Oglądanie obrazów - cóż mogło być w tym złego?
- Pewnie. O której?
- Powiedzmy o jedenastej?
- Powiedziałaś „po południu” - przypomniała skonsternowana.
- Ten malarz mieszka w Tennessee, w Smoky Mountains. Będziemy tam musieli polecieć.
Izzie jeszcze nigdy nie leciała prywatnym samolotem. Najpierw ona i Joe udali się helikopterem na lotnisko Teter-boro, gdzie na pasie czekał już na nich Gulfstream. Byli jedynymi pasażerami.
- Jest fantastyczny - oświadczyła z podziwem, gdy weszli do kabiny.
Wnętrze samolotu wydawało się mniejsze, niż to sobie wcześniej wyobrażała, ale obecny w nim luksus przechodził jej najśmielsze oczekiwania. Cały wystrój był w kolorze kremowym i wewnątrz znajdowało się tylko osiem lub dziewięć szerokich skórzanych foteli.
Szafki z jasnego dębu miały blaty z marmuru, a nie samolotowego plastiku. To był luksus do potęgi trzeciej. Nawet

leżące na fotelach koce były takie miękkie, że nie mogły być wykonane ze zwykłej wełny.

- Kaszmir? - zapytała stewardesę, stojącą z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Kobieta kiwnęła głową.

- Siedzenia dla większego komfortu stanowią połączenie wełny i skóry.

- W tym samolocie można robić dosłownie wszystko - rzekł Joe, siadając i sięgając po kufel zimnego piwa, który stewardesa miała już dla niego naszykowany. - Oglądać DVD, dzwonić sobie w kosmos - co tylko zechcesz. Na pokładzie mają nawet defibrylator. Musiałaś go już używać, Karen? - zapytał stewardesę.

- Panie Hansen, dobrze pan wie, że nie mogę tego powiedzieć - odparła, uśmiechając się szeroko.

Lądowali w Gatlinburgu, ale Izzie zdążyła jedynie rzucić okiem na malownicze uliczki tego historycznego miasteczka, ponieważ od razu pojechali dalej. Dwadzieścia minut później znaleźli się na terenie posiadłości usytuowanej na pogórzcu Great Smokies.

- Rozumiem, dlaczego malarz może mieć ochotę pracować akurat tutaj - rzekła Izzie, podziwiając rozciągające się wokół niej potężne góry, gdy szli w stronę drzwi domu w stylu ranczerskim. Ta zieleń przypominała jej nieco rodzinne strony, ale w Irlandii nie było takich gór: gigantycznych szczytów, dominujących nad krajobrazem.

Malarz, który miał na imię AJ, przygotował im coś do picia i oprowadził niespiesznie po swojej pracowni. Opowiadał o obrazach, w sposób charakterystyczny dla tubylców przeciągając samogłoski. Izzie wcześniej martwiła się, że malarz może się zastanawiać, kim ona jest, czego następstwem będzie niezręczna rozmowa, tak się jednak nie stało. Zupełnie jakby przebywanie w obecności Joego czyniło ją natychmiast członkiem takiego klubu, w którym akurat gościli. Odkryła, że jej się to podoba.

Joe chciał kupić wiele obrazów AJ.

Malarz uściskał go w taki luzacki sposób. Izzie zastanawiała się, ile to wszystko musiało kosztować, ale uznała, że lepiej nie pytać. Nie była pewna, czy poradziłaby sobie z odpowiedzią.

Podczas lotu powrotnego, jedząc rybę po kreolsku według ulubionego przepisu mieszkańców Gatlinburga, przygotowaną na cześć odwiedzanego dzisiaj miasta, Izzie wspomniała od niechcienia o swym początkowym niepokoju związanym z tym, że AJ mógłby się zastanawiać, kim ona jest.

- A kogo obchodzi, co myślą inni i nad czym się zastanawiają? - Joe był wyraźnie zdumiony.

- Może i nikogo - odparła ostrożnie Izzie. - Ja tylko... Urwała. Przerazało ją tak wiele rzeczy wiążących się

z Joem: to, jak bardzo go lubiła, jak przemożnie atrakcyjny jej się wydawał. Ale musiała myśleć także o wszystkich ewentualnych komplikacjach. Izzie czuła, że kroczy teraz po śliskim zboczu - nie chciała poślizgnąć się i spaść.

Bała się także tego, że może wyglądać jak typ kobiety, którego nie lubiła: wielofunkcyjna dziewczyna bogatego mężczyzny. Nie znaczy to, by była już jego dziewczyną. Na razie nawet jej nie dotknął i nie miała pewności, czy to jest działanie zamierzone, czy nie.

Mam swoją karierę i własne życie - miała ochotę zakrzyknąć. Lubie go za to, kim jest, a nie z powodu zasobności jego portfela.

Odwiózł ją do domu limuzyną. Żadne z nich się nie ruszyło. Izzie była rozdarta: z jednej strony pragnęła zaprosić go na górę i przekonać się, co będzie dalej. Z drugiej nie chciała niczego przyspieszać, ponieważ wydawało się to takie wyjątkowe, takie inne.

Gdyby tylko to on coś zrobił, coś powiedział, wtedy wiedziałyby, jak zareagować.

Ale on najwyraźniej uprawiał jakąś dżentelmeńską gierkę, czekając, aż to ona uczyni pierwszy krok.

- Rozmawiałeś ze swoją żoną o tym, że mnie poznałeś? - zapytała. Jęknęła w duchu. I po co to powiedziała? Już ona wie, jak w kilka sekund popsuć romantyczną atmosferę.

- Nie rozmawiamy ze sobą o innych osobach w naszym życiu - odparł szorstko. - Dziwnie bym się wtedy czuł.

- Dlatego, że byłbyś zazdrosny? - zapytała ostrożnie Izzie.

- Dlatego, że dla dobra chłopców staramy się pozostać rodziną, a coś takiego wywoływałoby jeszcze większe napięcie.

A potem nachylił się nad nią i delikatnie pocałował w usta. Nie był to pocałunek Pana Myśliwego, lecz rodzaj łagodnego, czułego pożegnania. Izzie zamknęła oczy i czekała na więcej, czekała na to, by zatracić się w pocałunku. Ciąg dalszy jednak nie nastąpił.

- Zadzwoń jutro i dzięki, że ze mną pojechałaś.

- Dziękuję, że mnie zaprosiłeś - odparła spokojnie. Usiłowała pojąć, dlaczego porządnie jej nie pocałował. - Jeszcze nigdy nie byłam w Tennessee. Czy dwugodzinna wizyta może się liczyć za pierwszy raz?

Popatrzył na nią z namysłem.

- Tak - odparł.

- Narazka - rzuciła, wysiadając, gdy kierowca otworzył drzwi.

Narazka? Co się z tobą dzieje, Izzie? Najpierw to dziwne pytanie o żonę, a potem „narazka”. Zadzwoił nazajutrz.

- Miałabyś ochotę umówić się ze mną na następną randkę? - zapytał.

Randkę? A więc to jednak była randka. Izzie niemalże podskoczyła z radości.

- Tak - odparła i zdusiła w sobie refleksję, że właśnie spadła ze śliskiego zbocza.

Leżąc wygodnie w wannie i sącząc szprycera, Izzie myślała o tych pierwszych dniach, kiedy się czuła jak najszcześniejsza osoba na świecie.

Joe siedział w jej głowie przez cały czas, odsuwając na dalszy plan bardziej przyziemne sprawy, jak na przykład problem z modelką, która wpadła w depresję z powodu niezłapania się do kampanii reklamowej kosmetyków, czy wielka afera z pięcioma modelkami, które nie zdążyły na samolot do Mediolanu, ponieważ do późna imprezowały.

To był cudowny sekret, którym bez końca się delektowała. Izzie przyłapywała się na tym, że zachowuje się, jakby jej życie było filmem, a Joe obserwuje jej każdy krok.

Każdego dnia nosiła najlepsze ciuchy, by wyglądać olśniewająco, na wypadek gdyby zadzwonił. Wyciągnęła z szafy szpilki, na które wcześniej tak narzekała, i nosiła je razem z elegancką spódnicą *a la* lata czterdzieste, która ciasno opinała jej pupę

1 sprawiała, że robotnikom na budowach opadały szczęki.

Dwa razy w tygodniu chodzili na lunch i kolację, trzymając się pod stołem za ręce, i całowali w samochodzie w drodze do jej biura lub mieszkania. Rozmawiali bez końca i siedzieli tak długo, aż ich kawy robiły się zimne.

Ale nigdy nie przyprowadziła go do siebie, nigdy nie posunęła się dalej niż do pocałunku. Coś ją powstrzymywało.

Tym czymś było wrażenie, że życie Joego jest bardziej skomplikowane, niż jej opowiedział. No bo czemu ich relacje cechowała taka dyskrecja? Miałoby to sens tylko wtedy, gdyby Joe nie był do końca szczery, a jej trudno w to było uwierzyć. Był przecież taki uczciwy, taki bezpośredni. Nie chciała go męczyć pytaniami. Pozostawało jej więc milczenie i nadzieja.

Przez miesiąc zalecali się do siebie - tylko takie staromodne słowo mogło to opisać: spacerowanie po parku w porze lunchu i wspólne jedzenie przekąsek z delikatesów Dean & DeLuca's.

A potem, w słoneczny czwartek, odwiedzili kolejnego malarza w ogromnym lofcie w dzielnicy TriBeCa. Izzie przyglądała się wielkim płótnom, gdy tymczasem Joe, malarz i jego menedżer dobijali targu. Izzie czuła dreszcz, który nie miał nic wspólnego z podziwianiem prac artysty: fakt, że Joe ją tutaj przyprowadził, świadczył o tym, że nie była dla niego brudnym sekretem. W przeciwnym wypadku nie zabrałby jej tu ze sobą, prawda?

Niektórzy krytycy porównywali olbrzymie abstrakcyjne obrazy Silvio Cruza do dzieł wielkiego Pollocka. Nawet Izzie, która nie miała bladego pojęcia o sztuce, dostrzegała siłę i piękno tych płócien, i uwielbiała słuchać, jak Joe o nich opowiada.

Wiedziała od niego, że nie dorastał w otoczeniu dzieł sztuki na ścianach: w jego rodzinnym domu w Bronksie luksusem była wystarczająca ilość jedzenia na stole. Tak więc z radością słuchała, jak opowiada z wielką pasją o świecie, do którego wkroczył dzięki swej błyskotliwości.

W końcu ona, Joe i Duarte, menedżer, wsiedli do skrzypiącej windy towarowej, by zjechać na dół.

- Jutro wieczorem jest benefis Marshalla na rzecz AIDS - rzekł Duarte do Joego. - Wybieracie się z Elizabeth?

Izzie zamarła.

- Raczej tak - mruknął Joe.

- Słyszałem, że Danny Henderson przekazuje De Kooninga. Kurde, to poważna kasa. Tutaj Danny też był, ale nie bardzo mu podchodzi wizja Silvia - kontynuował Duarte, nieświadomy nagłej zmiany temperatury w windzie.

Elizabeth raczej wybierała się razem z nim? Co się stało z prowadzeniem przez nich osobnego życia?

Na ulicy Izzie rozejrzała się za nieodłączną czarną limuzyną Joego, a potem uświadomiła sobie, że nie jest w stanie wsiąść do niej razem z nim. Nie była pewna, co jest gorsze: wrażenie, że Joe miał ochotę, by Duarte się przymknął i nie

mówił o tym przyjęciu, czy też założenie Duarteego, że ona, Izzie, tam się nie wybiera.

Skoro Joe Hansen był oficjalnie wolny, w takim razie dlaczego ktoś miałby zakładać, że na benefis zabiera żonę? I dlaczego Joe miałby odpowiedzieć, że raczej tak?

Istniała tylko jedna odpowiedź i na myśl o niej Izzie robiło się niedobrze.

Bez słowa odwróciła się i zaczęła oddalać szybkim krokiem od dwóch mężczyzn i limuzyny, która bezszelestnie podjechała na miejsce.

- Izzie! - zawołał Joe, ale ona dalej szła.

Dogonił ją, złapał mocno za ramię i pociągnął, by odwróciła się do niego.

- Nie odchódź - błagał.

- Dlaczego? - zapytała ostro. - Okłamałeś mnie. Z żoną wcale jeszcze nie skończyłeś. Kłamałeś.

- Związek mój i Elizabeth to przeszłość - upierał się.

- Pieprzę ciebie i twoje kłamstwa! - odparowała Izzie.

- To nie są kłamstwa. - Puścił ją i jego ręce opadły bezwładnie. - Ten związek należy do przeszłości, Izzie, po prostu trudno jest wszystko zakończyć. Elizabeth jest inna niż ja, ma problemy z przyjęciem tego do wiadomości. Powiedziałem jej, że może zatrzymać dom tutaj, posiadłość w Hamptons, co tylko chce. To się skończyło na długo przed tobą, nie kłamałem w tej kwestii. Ale ona dopiero próbuje pogodzić się z faktem, że ja chcę odejść.

- A więc teraz odchodzisz? Przecież mieszkaliście razem dla dobra dzieci - rzekła Izzie, starając się nie rozplakać.

- Próbowaliśmy, ale się nie udało. Elizabeth wytrącało to ciągle z równowagi, ona chce wszystko albo nic, i teraz to już tylko kwestia tego, by to zaakceptowała i żebyśmy powiedzieli chłopcom. Obiecuję, Izzie. Proszę cię, nie odchódź.

Izzie przyglądała mu się uważnie. Umiała dobrze ocenić czyjś charakter, do diaska, a on nie był typem kłamcy, mimo udawania rekina biznesu.

- Dlaczego od razu nie powiedziałeś mi prawdy? - zapytała ostro.

- Nie poszłabyś wtedy ze mną na lunch - odparł z lekkim uśmiechem, który przypominał Joego, którego znała i kochała.

Kochała. Kochała go. Kochała go, niech Pan ma ją w swojej opiece. Bezwiednie wplątała się w to wszystko i teraz nie potrafiła tak po prostu odejść. Mimo to potrzebowała czasu, by wszystko przemyśleć.

- Muszę wracać do pracy, Joe - rzekła. - Później zadzwonię.

- Podwiozę cię, dobrze?

- Nie, wezmę taksówkę.

Jakby zesłana przez anioła pojawiła się przed nią taksówka z zapaloną lampką na dachu i Izzie uniosła rękę. Pomachała Joemu, gdy już siedziała na tylnym siedzeniu, by po chwili odjechać.

- Co się z tobą dzieje? - warknęła po południu Carla. - Nie słuchasz, nic nie mówisz, patrzysz przed siebie jak jakaś rozmarzona licealistka. Co ci jest?

Izzie się zawahała. Ona i Carla spędziły wiele nocy na rozmowach o mężczyznach, uznając, że lepiej żadnego nie mieć niż zmieniać się po to, by jakiegoś zdobyć.

- Oddana żona, psiakrew! Po co udawać Pollyannę, by go zdobyć, a po ślubie wracać do dawnej siebie? Komu aż tak bardzo potrzebny jest facet?

Dobrze się znały. Ale do tej pory coś powstrzymało Izzie przed powiedzeniem Carli o Joem. Może był to szósty zmysł albo miała po prostu przecucie, że to jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Miała przecucie, że wyjaśnianie skomplikowanej sytuacji rodzinnej Joego uruchomi wewnętrzny alarm Carli zatytułowany Mężczyźni To Dupki, i że nic jej wtedy nie powstrzyma. Carla nie zrozumiałaby niuansów tego wszystkiego.

Cóż, teraz by zrozumiała, pomyślała z goryczą Izzie. Teraz to już nie było wcale takie skomplikowane - po prostu kolejny facet, który robił skok w bok, tyle że tym razem z Izzie Silver, która nigdy nie zadawała się z żonatymi.

I jak mogła wytłumaczyć to wszystko Carli, mówiąc również o swoich uczuciach, których nie zmienił nawet dzisiejszy dzień? Że na myśl o Joem jej ciało płonęło. Że jego głos sprawiał, iż cała się rozpływała. Że zakochała się w nim jak jakaś cikliwa baba, którą nigdy dotąd nie była. Że była na niego wściekła za to, że ją okłamał, ale że jej zdradziecki umysł zadawał sobie pytanie: „A gdybym została z nim mimo wszystko...?”

Nie, nie mogła powiedzieć tego Carli, dopóki nie dowie się, co będzie dalej.

- Patrzyłam przed siebie? - zapytała Izzie. - Myślałam po prostu o Laetitii. Będziemy musiały mieć ją na oku, gdyż ponownie zaatakował ją trądzik, czym się strasznie przejmuję. Powiedziałam jej o kosmetyczce, która działała cuda z cerą Fifi, ale ona mówi, że się zastanawia nad zdobyciem recepty na coś...

Izzie wiedziała, że temat modelek stosujących leki prze-ciwtrądzikowe w walce z problemami skóry jak nic zajmie myśli Carli. Jej przyjaciółka uważała, że chude dziewczyny, których pożywienie stanowiły papierosy i napoje dietetyczne, nie powinny się faszzerować dodatkowymi lekami.

- Ona nie potrzebuje żadnych leków! - wybuchła Carla, natychmiast się denerwując.

Izzie przełączyła się z powrotem na myślenie o Joem.

Naturalna reakcja Carli - gdyby jej o wszystkim powiedziała - byłaby tą właściwą. Ten związek nie miał przyszłości i Izzie musiała go dziś wieczorem zakończyć.

Smutne było to, że wierzyła Joemu. Wierzyła w jego uczucie do niej, ale wszystko było zbyt skomplikowane, zbyt poplątane, a on nie był jeszcze gotowy, by odciąć się od przeszłości.

Gdyby Izzie z nim została, byłaby tą złą kobietą, która zniszczyła jego małżeństwo. Historia ze złą kobietą cieszyła się większym powodzeniem niż ta o oddaleniu się od siebie małżonków.

- Izzie, znowu się wyłączasz. Co się dzieje? - zapytała ostro Carla.

- Jestem po prostu zmęczona - odparła, rumieniąc się. Nie wystarczyło, że Joe mieszał w jej sercu, ale musiał także mieszać w jej pracy. Musiała się od niego uwolnić, ponieważ w głębi duszy wiedziała, że Joe ma dość mocy, by zranić ją tak mocno, jak jeszcze żaden mężczyzna.

Teraz cieszyła się, że ich związek nie wszedł w fazę fizyczną. O ironio, wcześniej sądziła, iż dzisiejszy wieczór może się okazać przełomowy pod tym względem. Dziękowała Bogu choć za to. Można by odnieść wrażenie, że jakaś siła fizyczna powstrzymywała ją od kochania się z nim, ponieważ gdyby do tego doszło, nie byłoby już odwrotu. Teraz musiała się z tego wyplątać, szybko, dopóki jeszcze była w stanie.

Przed kłótnią w TriBeCa umówili się, że o wpół do dziesiątej wybiorą się w jakieś eleganckie miejsce na kolację. Izzie nie mogła czekać tak długo. Musiała zrobić to szybciej, zaraz po pracy, inaczej chyba eksploduje. Musiała wyrzucić Joego ze swego życia i spróbować o nim zapomnieć. Choć, prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, jak tego dokonać.

Na komórce Joego zostawiła wiadomość, by spotkał się z nią o siódmej w małym barze przy Pier Nine. To miejsce było anonimowe i spokojne i stanowiłoby idealne tło dla powiedzenia Joemu, że nie chce już go więcej widzieć.

O siódmej w barze znajdowało się sporo ludzi: studenci, mężczyźni i kobiety w strojach służbowych i ludzie niespecjalnie przejmujący się modą. Na ścianach wisiało mnóstwo plakatów z filmów takich jak *Love Story* czy *Flashdance*, brakowało natomiast w zasięgu wzroku shakera do koktajli.

Izzie pomyślała, że Carli by się tu spodobało, po czym uświadomiła sobie, że nie może opowiedzieć jej o tym barze, ponieważ po dzisiejszym wieczorze nie będzie nic do powiedzenia.

Nie czekała jej żadna przyszłość z wyjątkiem cierpienia. Boże, zarabiała na życie, powtarzając młodym, pięknym dziewczynom, że nie ma dla nich przyszłości z potentatami, których poznają na przyjęciach. Były jedynie strawą dla bogatych; łatwą zdobyczą w świecie łatwych dochodów.

I kto to mówi. Głupia, głuuupia.

Siedziała, sącząc drinka, przez piętnaście minut, nienawidząc siebie, aż w końcu ogarnął ją gniew, ponieważ Joe się spóźnił. Jak on śmiał?

Po tym wszystkim, przez co musiała przez niego przejść, jak on śmiał się teraz spóźnić?

Izzie ze złością wstała z niskiej sofy i zabrała z niej torebkę.

- Wychodzisz? Przepraszam za spóźnienie.

Postać w grafitowym płaszczu obsypanym maleńkimi diamentkami deszczu zablokowała jej drogę. Wyglądał na skruszonego i zmęczonego. Od razu wiedziała, że nie bawi się z nią w żadne gierki. Ale ich cały związek opierał się na półprawdach, a tego akurat nie znosiła.

- Joe. - Opadła z powrotem na sofę, nagle wyczerpana. - Chciałam się z tobą widzieć, ponieważ nie mogę tak dłużej. To nie jest właściwe i nie w moim stylu. Od początku nie czułam się dobrze z tym, że nadal mieszkasz z żoną, w separacji czy nie, a dzisiejszy dzień pokazał mi jasno, że miałam rację. Nie chcę być tą drugą kobietą. Nigdy o to nie prosiłam.

Przesunął się, by usiąść obok niej.

- Wiem, przepraszam - odparł. W jego głosie słychać było rezygnację.
- Idź, Izzie, masz rację. Nie mam ci nic do zaoferowania.

Pomyślała, że to nieprawda. Poczula w sercu pragnienie. Miał jej wiele do zaoferowania. Ale był nadal żonaty z inną,

nadal zaangażowany w ich związek z powodu dzieci. Dlaczego to nie mogło być proste?

Jednym płynnym ruchem Joe wstał z sofy. Poruszał się z niesamowitą elegancją, czuł się dobrze we własnej skórze.

Kiedy Izzie tego ranka obudziła się z perspektywą wspólnej kolacji, uznała, że pragnie poczuć jego nagą skórę na swojej. Nie należała do kobiet lubujących się w jedwabnej bieliznie. Nosiła zwykłą czarną, białą lub cielistą. Żadnych falbanek czy koronek. Aż jakiś niewidzialny magnes przyciągnął ją do Bloomingdales i działu z bielizną, gdzie dosłownie oszalała, czyniąc jeszcze większe spustoszenie na swoim koncie. Czowała teraz pod ubraniem efekty tego szaleństwa, delikatne i takie inne.

Pójście z nim teraz do łóżka, po raz pierwszy i ostatni, było dziwnym pomysłem. A może jednak nie. Gdyby mogła go mieć, czuć, jak dotyka jej ten jeden jedyny raz, wtedy może umiałaby odejść. Tak jak w immunoterapii: jeden dotyk i już zawsze byłaby na niego odporna.

Szczepionka przeciw Joemu.

Izzie zamknęła oczy.

- Chcesz iść? - zapytał. Zdecydowanie łagodniej.

- A ty tego chcesz?

- Nie. - Jego głos był niski z pożądania.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Chciałem być z tobą szczerzy, ale kiedy cię poznałem, wiedziałem, że nie spotkałabyś się ze mną ponownie, gdybym ci powiedział, jak jest naprawdę. Ze mną i Elizabeth koniec, przyrzekam. Ale nie sądziłem, że w to uwierzysz, a już na pewno nie na początku.

Z zamkniętymi oczami myślała o jego żonie, Elizabeth, i o synach, dwupoziomowym mieszkaniu w Vail, notowaniu w „Fortune”, asystentce asystentki, wszystkim tym, co czyniło to wszystko niemożliwym.

Następnie otworzyła oczy i spojrzała na niego, na tę twarz, którą musiała znać w in-

nym życiu, bo w przeciwnym wypadku przecież nie nauczyłaby się jego twarzy na pamięć w tak krótkim czasie. Nagle reinkarnacja nabrała sensu. Ona i Joe z całą pewnością znali się w innym życiu.

Może miał się pojawić w jej życiu wcześniej, ale pojawił się teraz. Wiedziała, że jest tym jedynym.

- Nie chcę iść.

Nie usiadł obok niej; nachylił się i ujął jej twarz w dłonie, przesuwając palce zarazem delikatnie i namiętnie, po czym przycisnął jej usta do swoich. Ona była równie dzika, dłonie wbiła w jego ramiona, przyciągając go do siebie. Takich pocałunków jeszcze nie dzielili. Do tej pory zachowywali się ostrożnie, obchodząc to na paluszkach, gdyż oboje wiedzieli, że jeśli należycie się dotkną, nie będzie odwrotu.

Izzie jęknęła, wiedząc, że jest zgubiona.

Oderwali się od siebie z nabrzmiętymi ustami i oczami ciemnymi z pożądania.

- Chodźmy - rzekła Izzie.

Przed barem czekał na niego samochód: dyskretny lincoln town car, który podjechał płynnie od razu, gdy Joe uniósł palec. Izzie uświadomiła sobie, że za każdym razem widuje innego kierowcę. Ktoś pokroju Joego z całą pewnością miał stałego kierowcę, ale on akurat znałby jego żonę, załatwiał dla niej różne sprawy, odwoził dzieciaki do szkoły.

Joe nie mógł ryzykować, że ten akurat kierowca zobaczy ją ponownie po tym lunchu w Płazie. Była sekretem, który musiał pozostać ukryty do czasu, aż wszystko zostanie załatwione z żoną, z żoną, która nie chciała zakończyć ich małżeństwa. Izzie, która przez całe życie wystawała z tłumu, a często marzyła, by choć na jeden dzień stać się malutką, by po prostu sprawdzić, jak to jest, odsunęła od siebie te myśli. Była sekretem. I co z tego? Nie potrwa to długo, jedynie do czasu, aż Joe zakończy to, co i tak jest już skończone.

Gdy znaleźli się w jej mieszkaniu, wypaliła bez namysłu:

- Założę się, że nie podejrzewałeś istnienia takich małych mieszkań, co?

- Nie przyjechałem tutaj, by oglądać nieruchomości - odparł.

- A po co w takim razie?

- Po to.

Jeden swobodny ruch i jego ramiona obejmowały ją w talii, mocno przyciskając do siebie. Izzie poczuła napięcie, jakby ją podłączono do jakiegoś niezemskiego źródła zasilania, i opierając się plecami o ścianę, przyciągnęła pożądliwie jego głowę do swojej i pocałowała go. Jego miękkie usta stopiły się z jej ustami, pochłaniając ją. Izzie przez chwilę zatracala się w tym pocałunku, po czym nagle się odsunęła.

Pragnęła przez chwilę mieć nad wszystkim kontrolę, by mu pokazać, że nie pozwoli, by z nią zadzierano. Popychała go, aż znalazł się pod przeciwległą ścianą, ona zaś stanęła na palcach i zaczęła go ponownie całować.

- Ja pierwszy - mruknął, odrywając usta.

Jedną ręką złapał jej dłonie i przytrzymał za jej plecami, a drugą przytrzymał jej głowę, gdy ją całował. Posuwał się naprzód, niemalże ją unosząc, aż znowu znaleźli się pod drugą ścianą.

- Lubisz ostro? - zapytała bez tchu, walcząc, by uwolnić dłonie.

- Nie - odparł, przerywając, by czule pogłaskać ją po policzku. - Nigdy. Nie chcę cię skrzywdzić, ale chcę mieć cię pod sobą. Czy w tych seksualnie oświeconych czasach czyni to ze mnie neandertalczyka?

Izzie roześmiała się. Wzięła go za rękę i poprowadziła do maleńkiego salonu.

- Należę do tego typu dziewczyn, które są na górze. Ponownie przyciągnął ją do siebie.

- Może za drugim razem - mruknął.

- Nie jestem taka, jak inne - oświadczyła Izzie.

Pozostając w jego uścisku, udało jej się odwinąć szalik i rozpiąć płaszcz. On swój zerwał z siebie jednym ruchem.

- Nigdy cię za taką nie uważałem.

- Nie mów mi więc, co mam robić, a czego nie - dodała.

- Nawet w łóżku?

Rozluźniał właśnie krawat i widok tego zazwyczaj starannie ubranego biznesmena, przeistaczającego się w człowieka pierwotnego, sprawił, że poczuła słabość w kolanach.

- Może w łóżku - drażniła się z nim Izzie, przesuwając palcami po bluzce i rozwiązując kokardki. Skomplikowany kawałek materiału z granatowego jedwabiu w grochy z wiązaniami z przodu, był tego rodzaju częścią garderoby, która aż się błagała o to, by ją zerwać. Spojrzenie Joego pożądliwie podążało za jej palcami, które zwalniały granatowe wstążki.

- Mam nadzieję, że nie jest droga - mruknął chrapliwie, chwytając ją ponownie. Szarpiąc niecierpliwie za kokardki, rozerwał delikatny materiał.

Jej pełne usta ponownie złączyły się z jego, a razem z nimi gorące oddechy i gorące języki. Izzie miała ochotę na więcej. Pragnęła go tak bardzo, jak nigdy żadnego mężczyzny.

Czuła, jak każdy jej nerw płonie z pragnienia. Brodawki stanowiły twarde paki pożądania, a pod skromną ołówkową spódnicą odziane w jedwabną bieliznę ciało płonęło, ponad wszystko pragnąc uwolnienia i nagości.

- Stać mnie na nową - odparła Izzie. To nie była prawda, ale też nie był to właściwy moment na rozmyślanie o stanie konta.

- To dobrze.

Rozsunął bluzkę i jego dłonie i usta zaczęły penetrować delikatną skórę jej piersi, całując, liżąc, a potem ssąc. Następnie jego dłonie wślizgnęły się pod spódnicę i palce objęły łono, ona zaś poczuła całe morze wilgoci.

Izzie jęknęła z rozkoszy. Jeśli to miało być jej szczepienie, to pragnęła, by trwało bardzo, bardzo długo.

Nie zasłoniła okien i po wszystkim światła miasta zapewniały delikatną iluminację ich łóżka ze zmiętą pościelą. Joe leżał z głową na poduszkach, przykryty kołdrą do pasa. Izzie leżała na boku z głową wspartą na łokciu, patrząc niezupełnie na niego, lecz gdzieś przed siebie. To była dziwna chwila: zarazem intymna i dziwacznie formalna.

Izzie, która wcześniej nie miała oporów, by dosiąść tego mężczyzny i pozwalać mu oglądać swą twarz, gdy krzyczała z rozkoszy, teraz odczuwała skrepowanie. Nagle zaczęła się zastanawiać nad tym, jak czyste fizyczne pożądanie i przyciąganie potrafi sprawiać, że ludzie robią to, co oni właśnie zrobili. Tylu rzeczy o sobie nie wiedzieli. Ona nie wiedziała, jaką kawę on lubi rano, nie znała imienia jego pierwszego zwierzaka, nie wiedziała, czy kochał swoją matkę.

Wcześniej żadna z tych rzeczy nie miała znaczenia. Teraz te braki w wiedzy czyniło to, co wydarzyło się w jej mieszkaniu, wstrętnym i brudnym. Jaki w takiej sytuacji obowiązywał protokół?

„Stokrotne dzięki, skarbie, pieniądze leżą na gzymsie kominka”? W przypadku miliardarów może być inaczej. „Futro z norek dostarczy ci kurier, złotko, do widzenia...”.

Mimowolnie zadrżała. Nigdy, przenigdy nie chciała stać się tego typu kobietą. A teraz była nią przecież, czyż nie?

- Pewnie nie masz papierosa? - zapytał.

- Nie sądziłam, że palisz - odparła zaskoczona. Wielu rzeczy mogła się spodziewać, ale nie tego.

- Nie palę. Rzuciłem dziesięć lat temu. Ale czasami...

- Na przykład wtedy, gdy leżysz w łóżku z kobietą, która nie jest twoją żoną? - zapytała Izzie, dotkniętą insynuacją. - Ile paczek miesięcznie wypalasz?

- Ani jednej - odparł spokojnie. - Nie bądź taka, Izzie.

- Jaka?

- Taka.

- Nic na to nie poradzę.

Nie była w stanie. Teraz, kiedy przekroczyła linię i znalazła się po drugiej stronie, stronie kochania go. Teraz on był w stanie ją zranić, a ona czuła się naga i bezbronna. Chciała więc ranić jako pierwsza.

- Przepraszam, że nie byłem z tobą szczerzy od początku - rzekł. - Żałuję, że nie powiedziałem ci wszystkiego.

- Ja też żałuję - odparła z goryczą, ale gorycz, którą odczuwała teraz, skierowana była przeciwko niej samej.

- Żałujesz, że się kochaliśmy?

- Tak. - I wybuchnęła płaczem.

- Izzie - rzekł, po czym przyciągnął ją do siebie i przytulał, mrużąc jej imię.

A potem, kiedy już przestała płakać, on dalej ją tulił i powoli masował jej plecy, czule przesuwając dłonie w dół, aż dotarły do łuku pośladków, a potem ponownie się kochali, nawet z większą intensywnością niż za pierwszym razem. Gdy Joe prężył nad nią swe ciało, zanurzając się w niej aż do końca, zaś Izzie sekundy dzieliły od zatracenia się w orgazmie, dotarło do niej, że nie jest w stanie z tego zrezygnować. Ten rodzaj miłości i namiętności był najbardziej uzależniającym narkotykiem.

To się działo dwa miesiące temu. Od tamtej pory nikt nie mógł powiedzieć, że Izzie Silver i Joe Hansen romansują ze sobą na pół gwizdka - ich związek toczył się pełną parą, to pewne. Codziennie ze sobą rozmawiali, spotykali się tak często, jak tylko Joe był w stanie, zaś Izzie bardzo się starała radzić sobie zarówno z niepewnością wiążącą się z jej pozycją, jak i faktem, że kochanie się z mężem innej kobiety jest absolutnie wbrew jej zasadom moralnym.

- Och, Izzie, ty żałosna idiotko - powiedziała głośno. Leżała w stygnącej kąpieli, na wypadek gdyby zadzwonił jej mężczyzna. Czy na tym właśnie polegała nowoczesność, bycie dorosłą i niezależną?

Jeśli zadzwoni, to zadzwoni. Dokończyła szprycera, po czym wstała, a pachnąca różami woda spłynęła po jej ciele. Zdażyła się owinać ręcznikiem, kiedy zadzwonił telefon domowy.

- Cześć, to ja.

Izzie poczuła, jak jej całe ciało ogarnia ulga.

- Witaj - powiedziała delikatnie, jakby to ona była osobą szepczącą, wykonującą ukradkowy telefon. - Co u ciebie, Joe? Tęskniłam.

Wiedziała, że najpewniej nie są to najważniejsze słowa, ale nie zgadzała się na uprawianie gierki.

- Ja też tęskniłem.

On także ich nie uprawiał.

- Czemu nie zadzwoniłeś? - Okej, więc to rzeczywiście była odrobinę gierka. Ale nie mogła nic na to poradzić. No bo dlaczego nie zadzwonił?

- Przepraszam - odparł miękko.

- To nie jest odpowiedź. - Izzie poczuła, jak jej gardło zaczyna zaciskać znajomy niepokój. Nigdy wcześniej nie czuła się tak w związku. No ale przecież nigdy wcześniej nie była w takim związku: skrywanym.

- To skomplikowane.

- Dooobra.

- Naprawdę. Nie mogę teraz rozmawiać. Jestem w domu.

Dlaczego to słowo tak bardzo bolało? „Dom”. Miał swój dom, w którym jej nie było. Jak to możliwe? Podczas gdy ona czuła, że jest w domu tylko wtedy, gdy przebywała z nim? Kiedy to wszystko stało się tak jednostronne?

- Cóż, skoro nie możesz rozmawiać... - rzuciła ostro, wiedząc, że szkodzi tym samej sobie. Tak bardzo pragnęła tego telefonu, cholera.

- Nie mogę, przepraszam - odparł spokojnie.

- Po co w takim razie zadzwoniłeś? - Te słowa po prostu same wydostały się z jej ust.

- W tej akurat chwili sam sobie zadaję to pytanie - rzekł Joe, a w jego głosie słychać było nutkę irytacji. - Powinniśmy porozmawiać, kiedy już będziesz tego chciała.

- Ja chcę z tobą rozmawiać, ale nie wtedy, gdy szepczesz, by cię ktoś przypadkiem nie usłyszał - syknęła Izzie.

I w tym właśnie tkwiło sedno sprawy: wielka miłość jej życia mówiła do niej cicho przez telefon, podczas gdy ona pragnęła, by wykrzyczał swe uczucie z dachów domów. Jak bardzo trudne może być dla niego powiedzenie żonie, że forma-lizuje w końcu to, o czym rozmawiali od lat?

- Przykro mi, że tak się czujesz - rzekł, nadal spokojny. Jego spokój doprowadzał ją do szału. To on był stroną

sprawującą kontrolę. Nad wszystkim. Tymczasem ona czuła, że absolutnie nie kontroluje głębi swych uczuć do niego. I nie miała żadnej kontroli nad ich związkiem, ponieważ to on dyktował warunki.

Przypominało to chodzenie po linii bez upręży ani siatki asekuracyjnej.

- Muszę kończyć - rzuciła nagle, pragnąc go sprowokować do tego, by ją błagał, aby tego nie robiła. - Właśnie wyszłam z wanny i woda kapie na podłogę.

Nie połknął przynęty.

- Dobrze - rzekł.

- Nie, nie dobrze. Nic nie jest, cholera, dobrze! - warknęła i rozłączyła się.

A potem, ponieważ tak desperacko pragnęła do niego oddzwonić i powiedzieć mu, że go kocha, ale nie mogła z powodu tego, jaka okropna była przed chwilą, wybuchnęła płaczem. Gdyby nie była tak strasznie zakochana w Joem, żałowałyby, że go w ogóle poznała. Ponieważ bardziej boleć to już nie mogło, prawda?

Następnego ranka oczy miała czerwone jak królik, a twarz spuchniętą ze zmęczenia. W nocy nie zasnęła nawet na chwilę, a w ciągu tych godzin, gdy leżała na łóżku, w jej oczach

nieustannie wzbierały łzy. Zupełnie, jakby w głowie miała gejzer.

- Fuj - skrzywiła się, widząc swe odbicie w lustrze. Potrzebowała środków nadzwyczajnych. Jako że szafka w łazience pełna była najnowocześniejszych „naprawiaczy”, Izzie nie miała problemu ze znalezieniem balsamów, łagodzących kremów i kropli do oczu oraz maseczek likwidujących opuchliznę.

Pół godziny później wyglądała odrobinę lepiej.

- Jak osoba z migreną - uznała ponuro, przeglądając się w lustrze.

Jej oczy już nie były czerwone - przez te krople przez chwilę łzawiły, ale potrafiły zdziałać cuda - jednak reszta nadal wyglądała nieciekawie.

Nieciekawie, surowo i niebezpiecznie, uznała, wkładając spodnium. Nigdy by tego nie włożyła na spotkanie z Joem; dla niego uwalniała kobiecą stronę swej osobowości, upajając się jedwabiem i koronkami, szpilkami i strojami opinającymi figurę.

Ale on jej nie chciał, więc włoży spodnium.

- Chora jesteś? - zapytała Louisa, recepcjonistka Perfect-NY, kiedy pojawiła się Izzie, groźnie wyglądająca w męskim stroju.

- Tak. I zmęczona.

- Na biurku masz osiem wiadomości. Ludzie z katalogu Zest chcą, byś zadzwoniła, najlepiej wczoraj, a Carlę dopadł wirus, więc dziś jej nie będzie.

Izzie odetchnęła z ulgą. Carla miała w oczach rentgen, który potrafił wykryć wciskany kit. Nieszczęśliwie zakochana Izzie miała przynajmniej nadzieję, że powie innym, iż po prostu kiepsko spała. Utrzymywanie związku z Joem przekształcało ją w kłamczuchę i nie znosiła tego.

Joe zadzwonił o dziesiątej.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Odpieprz się.
- To miłe z twojej strony - odparł łagodnie.
- Nie mam zamiaru być miła - odparowała.
- Rozłączę się teraz i zadzwonię ponownie, kiedy będziesz mniej na mnie wkurzona?
- Proszę bardzo.

Izzie pierwsza się rozłączyła, co dało jej pewną dziecienną satysfakcję, trwającą sekundę. Jęknęła. Kochała go, do diaska. Potrzebowała go. Czy on nie wiedział, że ona tylko mówi te wszystkie rzeczy? Że pragnęła, by potrzebował jej tak bardzo, aby pomimo jej gniewu zjawiał się natychmiast w Perfect-NY, na oczach wszystkich padł na kolana i oświadczył, że ją kocha? Że Elizabeth będzie się z tym musiała pogodzić. Że jego dzieci - i Bóg jeden wie, że podziwiała to, co robił dla swych dzieci, aleją i tak to bolało - pogodzą się z rozstaniem rodziców. Dzieci nie były głupie. Wiedziały, kiedy ich rodzicom się nie układa, prawda? Czytała o tym w jakimś czasopiśmie psychologicznym. Lepiej dla dzieci, by widziały, jak rodzice stawiają czoło problemom, a nie je ukrywają, udając, że wszystko jest w porządku. Ale nie mogła powiedzieć tego Joemu, ponieważ nie uchodziła za eksperta od dzieci. Sam musiał do tego dojść.

Jej komórka ponownie zadzwoniła.

- Tak? - Wcisnęła przycisk, nim sygnał zdążył rozbrzmieć po raz drugi.

- Izzie, z tej strony Amanda z Zest...

„Nie blokuj mi, cholera, telefonu, bo może mój kochanek próbuje się ze mną teraz skontaktować!!!” - tak Izzie miała ochotę zawołać. Zamiast tego przybrała ton profesjonalistki.

- Witaj, Amando. Doszłaś już do siebie po Nowym Meksyku? A Ivan przesłał zdjęcia z sesji? - zapytała spokojnie.

Podczas przerwy na lunch Izzie celowo wyszła i kupiła sobie kanapkę w taniej restauracji, którą Joe znał jako jej ulubio-

ną, na wypadek gdyby na nią czekał i chciał się z nią zobaczyć. Usiadła w jednej z wnek blisko wyjścia, zmuszona dzielić ją z trzema odzianymi w garnitury mężczyznami, ponieważ panował tam spory ruch. Udawała, że czyta gazetę, jednocześnie do bólu pragnąc, by zjawił się Joe i wyciągnął ją na ulicę.

„Kocham cię, nic innego mnie nie obchodzi. Chcę z tobą być” - tak by powiedział i wszyscy by się uśmiechali, słysząc ten dowód istnienia prawdziwej miłości na ulicach Nowego Jorku i wszystko ułożyłoby się idealnie, ponieważ wybrał ją.

„Poczekaj” - błagałby. - „Poczekaj na mnie, proszę, Izzie. Wszystko się ułoży, przyrzekam”.

Nie pojawił się.

Izzie wróciła do biura, ale na niczym nie mogła się skoncentrować, dopóki nie zabrała się za przeglądanie „Post”, gdzie natrafiła na artykuł o imprezie dobroczynnej w Muzeum Historii Naturalnej, która miała się odbyć dziś wieczorem.

„Post” donosił jednym tchem, że zjawią się tam wielcy i dobrzy, włącznie z Elizabeth Hansen, która wchodziła w skład komitetu dobroczynnego, i jej mężem, Joem, który był głównym dobroczyńcą. Izzie czuła, jak z głowy odpływa jej krew. Jeszcze nigdy w życiu nie zemdląca, ale mogło się to stać teraz. Joe wybierał się z Elizabeth na tę galę dobroczynną, po tym jak przysięgał, że powiedział żonie, iż muszą przestać to robić. Izzie tak bardzo bolało, kiedy wybrał się na tę imprezę na rzecz AIDS dzień po tym, jak się kochali.

- Musiałem - rzekł jej wtedy.

- Skoro prowadzicie osobne życie, to nie musisz! - zawołała.

- Wiem, przepraszam. Powiem jej, że nie możemy już tego robić. Po prostu... ona jest w wielu komitetach i odbywa się tyle różnych uroczystości...

- Joe, jeśli związek twój i Elizabeth jest zakończony, to w porządku - oświadczyła zimno Izzie. - Jeśli nie, to wynoś się z mojego życia.

- Jest zakończony - odparł. - Przrzekam. Niedługo się wszystko ułoży, Izzie, obiecuję.

- Chyba się zaraziłam grypą od Carli - rzuciła w przestrzeń, zamykając „Post”. Po prostu musiała uciec z biura, gdzie podskakiwała na każdy dzwonek telefonu.

Izzie nie miała dotąd okazji brać udziału w gali w muzeum, widziała jednak w gazetach zdjęcia i wiedziała, jak to wygląda Szerokie romańskie schody rozciągały się majestatycznie, na dole zaś zatrzymywały się samochody, z których bogaci wysiadali prosto na puszysty, czerwony dywan.

Stała w tłumie gapiów i czekała, a z każdą minutą ogarniało ją coraz większe szaleństwo. Czowała się jakstalker, czekający na ulubioną gwiazdę filmową, stojąc w deszczu i chłodzie po to tylko, by przez sekundę dojrzeć kogoś, kogo się podziwia na ekranie. Po cóż miałby ktoś to robić? Żaloszny był taki objaw braku własnego życia.

I wtedy pomyślała, jak bardzo żaloszna jest ona sama: stojąca i czekająca na to, by przez chwilę widzieć swojego kochanka i jego żonę, żeby się przekonać, czy jest w stanie odkryć prawdę. Była żaloszna i tyle.

Nienawidząc samej siebie, Izzie odwróciła się, porzuciła niewielki tłum gapiów, i nie myśląc, dokąd idzie, znalazła się w pobliżu ciemnej limuzyny, która przywiozła czworo pasażerów na galę.

Dwaj mężczyźni i dwie kobiety, których otaczała aura przywilejów i bogactwa. Po jednej stronie limuzyny znajdował się Joe i blondynka, która musiała być jego żoną. Wyglądała lepiej niż na zdjęciach, które Izzie znalazła w Google: szczupła, wysoka, nogi konia wyścigowego, które te kobiety z towarzystwa ze Wschodniego Wybrzeża dziedziczyły po swych matkach, i wysokie, wysokie szpilki z charakterystycznymi czerwonymi podeszwami, zdradzającymi markę Christian Louboutin. Izzie miała tylko jedną taką parę. Były prześliczne, ale stanowczo za

drogie dla kogoś z jej zarobkami. Poczwała zazdrość w stosunku do kobiety, która nosiła je beztrąsko podczas deszczu. No i te jej ubrania... Izzie wpatrywała się w nie z zazdrością. Elizabeth miała na sobie piękny płaszcz wieczorowy - dopasowany śliwkowy jedwab, z całą pewnością Lanvin, ponadczasowy Oczywiście, że nie była ona osobą pozbawioną gustu. Tak jakby w życiu Joego ktokolwiek taki mógł istnieć.

Izzie pomyślała o kupionej w sieciówce kopii tego właśnie płaszcza, wiszącej w jej szafie: płaszcz, który raz założyła dla mego, a on oświadczył, że jest seksowny, ale że woli to co znajduje się pod nim, i rozpiął gruby pasek w kształcie kokardy i kochali się na dywanie w jej salonie.

Jej płaszcz był tani. Taki, jak ona. Ona miała podrabianego Lanvina, wiele par podróbek butów Louboutina i podróbkę chłopaka. Co było jak najbardziej odpowiednie dla kogoś, kto jest tani.

Właśnie wtedy Joe odwrócił się i Izzie miała absolutną pewność, że dostrzegł ją w tłumie. Przez ułamek sekundy patrzyli na siebie, po czym on się odwrócił. Wyraz jego twarzy tak naprawdę nie uległ zmianie, ale ona wiedziała, że ją zauważył. Stojącą w tłumie niczym łobuziak z pobrudzoną twarzą i nosem przyciśniętym do szyby sklepu ze słodyczami: patrzącą na zakazane skarby.

Jego twarz była bez wyrazu, Izzie zaś poczuła się tak, jakby była najtańszą dziwką na świecie.

Tak tania, że aż darmowa. Powinna wydrukować wizytówki i poroznosić je po budkach telefonicznych. „Chcesz się zabawić, zero opłat, zadzwoń do Izzie Silver...” Nawet żarty nie były w stanie poprawić tej sytuacji.

Jego żona powiedziała coś do niego i chwyciła go za ramię dłonią, na której połyskiwał diament wielkości jaja drozda. Tiffany, pomyślała Izzie. Pierścionek zaręczynowy czy po prostu koktajlowy? Nie była pewna, na którym dostrzegła go palcu.

Joe natychmiast odwrócił się do Elizabeth i przechylił głowę w taki sam sposób, jak wtedy, gdy rozmawiał z Izzie. Jak mogła być tak głupia?

Powiedział, że kochał Elizabeth, że nadal ją kocha po dwudziestu czterech latach, ale że ich związek się skończył i że pragnie się z niego wypłatać. Powiedział, że potrzebuje i pragnie Izzie.

Izzie wcześniej sądziła, że żaden człowiek nie może kochać dwóch osób jednocześnie, dlatego po prostu, że nie byłby w stanie. Zakładała, że on uważa tak samo.

Teraz widać, jak bardzo się myliła.

Joe był w stanie kochać żonę, a jednocześnie okłamywać Izzie i pieprzyć się z nią. Koniec pieśni.

Izzie odwróciła się, walcząc zaciekle z napływającymi do oczu łzami. Tym razem nie będzie płakać. Koniec ze łzami z powodu Joego. Przez tę miłość porzuciła wszystkie swoje zasady. Wiedziała, że to skomplikowane i zagmatwane, a i tak ciągnęła to dalej.

Była równie zła, jak te drapieżne kobiety, polujące na mężczyzn, nie cofające się przed niczym, byle tylko zdobyć obrączkę. Wcześniej Izzie sądziła, że jest ponad to. Okazało się, że nie. One przynajmniej wiedziały, co robią, ona natomiast nie. Była dziwką, głupią dziwką.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Lily Shanahan usiadła na drewnianej ławce na niewielkim dziedzińcu kościoła w Tamarin, wygrzewając się w kwietniowym słońcu.

Dochodziło wpół do jedenastej i na dziedzińcu nie było nikogo z wyjątkiem pary gołębi, szukających okruszków wśród szarych płyt chodnikowych. Cała reszta znajdowała się w kościele, słuchając łagodnego głosu Ojca Seana. Do uszu Lily dobiegał pomruk modlitw niewielkiej grupy wiernych, zgromadzonych na mszy w ten czwartkowy poranek.

Szła właśnie do kościoła, kiedy poczuła lekkie zawroty głowy i nieodpartą chęć, by posiedzieć na słońcu i oddawać cześć w inny sposób.

Nie trzeba było rozmawiać z Bogiem akurat w kościele. Skoro to On stworzył słońce i niebo, w takim razie radowanie się nimi było czymś jak najbardziej właściwym. Podeszła więc powoli do drewnianej ławki i postanowiła, że dzisiaj pomodli się tutaj.

Bóg to zrozumie. W kościele byłoby ciepło i duszno i jeszcze bardziej kręciłoby jej się w głowie. Tutejszy kościół był bardzo piękny pod względem architektonicznym, szwankował w nim natomiast obieg ciepła i zimna. Zimą pomimo przestarzałych kaloryferów było w nim zimno jak w lodówce. W cieplejsze miesiące kościół zmieniał się w szklarnię i niejedna panna młoda przekonała się, jak fatalnym posunięciem było przystrajanie go kwiatami w wieczór poprzedzają-

cy ślub, jako że nawet paki lubiące gorąco wiedły i nazajutrz zwiślały żałośnie.

Kiedy już Lily usadowiła się na ławce, zdjęła beżowy bawełniany kapelusik i zamknęła oczy, zwracając twarz ku słońcu. Przed wyjściem z domu miała zamiar użyć tego drogiego kremu, który Izzie podarowała jej podczas ostatniej wizyty; to było coś fantastycznego, tak twierdziła jej wnuczka.

- Odbudowa skóry. Zapobiega zmarszczkom. Powinnaś dbać o cerę, babciu.

Lily uśmiechnęła się na to wspomnienie. Ostatnio Izzie nieczęsto przyjeżdżała do domu. Zajęta była własnym życiem w Nowym Jorku i choć Lily za nią tęskniła, była to w stanie zaakceptować. Zadaniem Lily jako babci, która zajęła miejsce Alice, zmarłej matki Izzie, było zapewnienie ukochanej wnuczce korzeni i skrzydeł.

Powtarzała to jej, kiedy Izzie ogarniały wyrzuty sumienia z powodu tego, że przegapiła jakieś ważne wydarzenie ze świata Tamarin.

- Korzenie i skrzydła, kochanie: na tym właśnie polega miłość - mówiła i cieszyła się, że naprawdę tak uważa i że jej słowa działają uspokajająco na Izzie.

Poza tym nie ma sensu mówić takich rzeczy, jeśli się potem narzeka, gdy część o skrzydłach oznacza, że ta osoba buduje własne życie z dala od ciebie. Lily nie miała czasu dla ludzi, którzy lubili wygłaszać tego typu prawdy, natomiast nie mieli ochoty żyć w zgodzie z nimi. Czego, jak czego, ale hipokryzji po prostu nie znosiła; to tak, jakby najpierw kazała Izzie mieć własne życie, a potem była z tego powodu niezadowolona.

Nie, Lily nie można było zarzucić tego, że jest hipokrytką. Pewnie też nie tego, że jest kobietą stosującą drogie kremy nawilżające, pomyślała i zachichotała cicho.

Cenny krem Izzie świetnie się wchłaniał, kiedy Lily rzeczywiście go użyła, ale generalnie wychodziła z domu, nie

pamiętając o nim, i nigdy nie chciało jej się wracać, by naprawić to zaniedbanie. W jej wieku czas, grawitacja i życie zdążyły dokonać spustoszeń, jakich nie był w stanie naprawić żaden krem - chyba że ładny szklany słoiczek skrywa czystą magię.

Miło jednak, że wnuczka nadal uważała, iż warto dbać o babciną cerę. Izzie, która pracowała z pięknymi kobietami o cerze aksamitnej jak u noworodka, nie spisała jej na straty.

Niektórzy owszem - tak jakby pomarszczona skóra była czapką niewidką. Tak jak to miało miejsce przed laty z uniformami służących, pomyślała cierpko Lily. Szybko się tego nauczyła. Gdy człowiek wkładał strój służącej, momentalnie wtapiał się w tło.

Służące w Rathnaree nosiły nieładne granatowe sukienki z gabardyny z guzikami na plecach i białymi kołnierzykami, które trzeba było nieustannie prać i krochmalić. Matka Lily, Mary, nie musiała nosić tego uniformu dzięki swej cennej posadzie gospodyni, i lady Irene zaopatrzyła ją w dwie granatowe spódnice z serży. „Z Harrodsa” - mawiała Mary z respektem, który czuła na samą myśl o posiadaniu odzieży ze sklepu, gdzie zaopatrywała się arystokracja.

Mary wkładała do tych spódnic śnieżnobiałe bluzki i szary rozpinany sweter z wełny.

Na wspomnienie matki w tym stroju, z kluczami zwisającymi z paska, okularami na sznureczku wokół szyi, Lily zawsze krzywiła się na myśl o całej tej służalczości.

Służące w Rathnaree lubiły swoje uniformy i to, że dzięki nim nie niszczyły własnych ubrań.

Lubiła je nawet Vivi, najlepsza przyjaciółka Lily.

- Moje rzeczy są za to czyste, Lily - rzekła raz pogodnie, wciskając loki pod wykrochmalony czepeczek służącej. - Powiesz mi w końcu, dlaczego masz takiego fioła na punkcie tego uniformu?

- Wcale nie mam - odparła Lily, co absolutnie nie było prawdą.

Vivi była taką nieskomplikowaną istotą i Lily wiedziała, że nie dałaby rady wyjaśnić jej, że nienawidzi faktu, iż włożenie tego uniformu czyni z niej mebel, czego właśnie pragnęła lady Irene: wielu służących z pozbawionymi wyrazu twarzami, biegających i wypełniających jej polecenia. Lily może i przyszła na świat w klasie służących, ale nie musiało jej się to podobać.

Lady Irene nie zapominałaby o stosowaniu drogiego kremu przeciwzmarszczkowego, pomyślała Lily i uśmiechnęła się do siebie.

Jeśli istniała kiedyś kobieta zakrecona na punkcie odsuwania od siebie spustoszeń czynionych przez wiek, była nią lady Irene. W tych dawnych czasach, kiedy Lily pracowała w Rathnaree, kremy takie jak to cudo od Izzie były z całą pewnością przywilejem klas wyższych. Zwyczajna kobieta z miasteczka nigdy nie używała żadnych kosmetyków, nie mówiąc już o kosztownym kremie do twarzy. Matka Lily myła twarz wodą z mydłem i tyle. Sprzątała orzechową toaletkę lady Irene z poustawianymi na niej wieloma słoiczkami i buteleczkami ze srebrnymi zakrętkami, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, by samej czegoś takiego używać.

Lily pamięta, jak mając dwadzieścia lat, kupowała kosmetyki Maxa Factora i wyzywająco ustawiała je na parapecie przy łóżku. Strasznie wtedy chciała, by zobaczyła je lady Irene i zrozumiała, że dziewczyna z małej chatki ma równe jak ona prawo do piękna.

- Widzi pani, lady Irene, te rzeczy nie są tylko dla takich, jak pani - powiedziała, trzymając w ręce szminkę w odcieniu Chińskiej Czerwieni, którą uwielbiała i którą malowała się tak samo, jak Joan Crawford, przedłużając łuk warg. Plama Crawford, tak to nazywano, i koszmarnie ciężko było ją zmyć, gdyż zostawiała ciemnoczerwony ślad, przez który człowiek wyglądał, jakby się właśnie objadał malinami.

Czy ona naprawdę była taka młoda i zawzięta? Tak pełna gniewu? Nie znosiła Lochravenow i tego wszystkiego, co sobą wtedy reprezentowali: bogactwa, przywilejów i niefrasobliwego, beztroskiego podejścia do życia. Lady Irene była z nich zdecydowanie najgorsza. Od momentu, gdy wstawała z łóżka, pozostawiając filiżankę na krawędzi toaletki, zrzucając jedwabną pościel na podłogę, pani domu zajmowała się swoimi sprawami z niezachwianą pewnością, że ktoś będzie za nią chodził i po niej sprzątał. Lily nie przejmowała się tym tak bardzo, kiedy to ona była służącą chodzącą w ślad za swą panią. Była młoda, pełna energii i miała zdrowe stawy: mogła trzymać wtedy buzię na kłódkę. Ale tak strasznie nie znosiła, kiedy jej matka, gospodyni lady Irene, musiała się schylać i sprzątać.

- Można by pomyśleć, że sama się czasem po coś schyli

- mówiła Lily z gniewną miną, kiedy jej matka wracała późnym wieczorem do wielkiej kuchni w Rathnaree, wykończona po całym dniu pracy, ale nie mogąc jeszcze wrócić do domu.

- Cśśś - odpowiadała mama, bojąc się, że ktoś usłyszy, mimo że w domu było wiele innych ludzi, którzy zgadzali się z Lily i milczeli, biorąc po prostu swoją pensję. - Jaśnie pani nie wychowano tak, by po sobie sprzątała.

- Tym gorzej - warknęła Lily.

Miała dość wysłuchiwanie o tym, jak lady Irene, lady z urodzenia, a nie dzięki małżeństwu, wychowywała się we wspanialej rezydencji w Kildare, w której było trzy razy tyle służby, co w Rathnaree. W okresie poprzedzającym przyjęcia z polowaniami słyszano, jak jaśnie pani użala się i opowiada o życiu w CastleEdward, gdzie jej matka, lady Constance, miała tak dużo czasu dla siebie, ponieważ jej liczna służba niemalże sama sobą dowodziła.

- Dlaczego w takim razie ta głupia krowa tam nie wróci?

- warczała Lily do Vivi.

Teraz Lily uśmiechała się na wspomnienie gniewnej, młodej siebie. Wtedy sądziła, że wszystko wie i rozumie, tak jednak nie było. Nie rozumiała tego, że pieniądze i przywileje nie zapewniają ucieczki przed bólem życia. Istniały rzeczy, które trzeba było przeżyć samemu i nic nie było w stanie ulżyć cierpieniu, nieważne, czy było się jaśnie panią, czy służącą. Tak naprawdę wszystkie były siostrami.

Gwar w kościele przybrał na sile. Wierni recytowali wyznanie wiary. Za dziesięć minut wyjdą z kościoła i zaczną robić zamieszanie wokół Lily, martwiąc się i zastanawiając, czy nie powinni wezwać lekarza.

Jej przyjaciółka, Mary-Anne, będzie przejęta i niespokojna, gdy się dowie o zawrotach głowy, i najpewniej słabo jej się zrobi z tego wszystkiego, i będzie musiała usiąść. Każdy musiał mieć jakieś hobby: Mary-Anne miała hipochondrię. W wieku osiemdziesięciu sześciu lat była niewolnicą tabletek i wizyt u lekarza.

Lily stanowiła jej przeciwieństwo. Nie chciała zamieszania. Odejdzie stąd, nim ktoś się zdąży pojawić, być może przejdzie powoli na drugą stronę dziedzińca, a potem na Patrick Street. Filiżanka mocnej herbaty w kafejce U Doroty postawi ją na nogi.

Mogłaby usiąść i popatrzeć sobie na port i wpływające do niego łodzie rybackie. Czwartek był dniem, kiedy Czerwony Vinnie - zwany tak z powodu jaskrawoczerwonego sztormiaka - przywoził więcierze do połowu homarów. Vinnie zawsze miał czas na pogawędkę i opowiadał o fokach, które widział, jak wygrzewają się w słońcu kawałek za Lorcan's Point, albo o mewach z dziwnymi żółtymi paskami na skrzydłach, których nigdy dotąd nie widział, a już trzydzieści lat pracował jako rybak.

Był wciąż na tyle młody, by zmiany go szokowały, pomyślała z zadumą Lily. Ona żyła już na tyle długo, by wiedzieć, że w życiu nie ma wcale tak wielu zmian, jak się ludziom wy-

daje: świat poruszał się zgodnie z pewnym cyklem i wszystko inne przesuwało się razem z nim. Tylko ktoś w jej wieku potrafił to dostrzec. Wystarczyło odpowiednio długo poczekać, a ponownie nadchodziła kolej na przeszłość, która stawała się rzeczywistością.

Przeszłość - Rathnaree, lady Irene, kochana Vivi - zajmowała ostatnio sporo miejsca w jej myślach z powodu tej słodkiej Australijki, która tak miło z nią rozmawiała przez telefon i która bała się zadzwonić do takiej wiekowej staruszki.

Jodi Beckett, bo tak nazywała się ta dziewczyna, miała zdjęcie z Rathnaree z roku 1936, z przyjęcia urodzinowego lady Irene.

- Jest tam pięknie i olśniewająco i ci ludzie wyglądają, jakby grali w filmie - oświadczyła z podekscytowaniem Jodi.

- Stoją przed kominkiem, a przed nimi leży tygrysia skóra. Nie podoba mi się, ponieważ to prawdziwy tygrys. To takie okrutne, ale reszta jest po prostu niesamowita. Ubrania są niezwykle, oszałamiające...

Tak właśnie było, zgodziła się Lily, uśmiechając się cierpko: bardzo olśniewająco, choć może nie tak bardzo dla kogoś, kto wybierał popiół z tego kominka o szóstej w zimny poranek, z kolanami na twardym, marmurowym palenisku, starającą się być cicho, żeby nie zbudzić domowników, którzy nie mieliby żadnych skrupułów odnośnie obudzenia ciebie, gdyby czegoś potrzebowali.

Ale tego akurat nie powiedziała tej dziewczynie. Jodi, ładne imię. Opowiedziała Lily, że wyszła za Irlandczyka, który był nowym wicedyrektorem tutejszego liceum. I że jej prapradziadkowie pochodzili z hrabstwa Cork i jej rodzina w Brisbane uważała się za Irlandczyków i kochała wszystko, co celtyckie.

- Powinnam zajmować się badaniem przeszłości Irlandii

- wyjaśniła Jodi przez telefon. - Tyle wiedziałam o Irlandii, zanim tutaj przyjechałam. Uwielbiam ten kraj.

Lily pomyślała o tym, jak przeszłość nabiera cech romantycznych dzięki żywiowości technicoloru i Hollywood, gdzie nie widać służących - z wyjątkiem scen, w których uchylają swych czapek i są potulnie zadowoleni z własnego służalczego losu - zaś bogaci są olśniewający i świetnie się bawią.

Tak wiele historii mogła opowiedzieć młodej Jodi o tamtych czasach, ale może nie takich historii oczekiwała.

Tak, były jedwabne suknie, które odsłaniały blade, wypięczone plecy, oraz blask rodzinnych diamentów i szmaragdów, wyjmowanych na przyjęcia i bale z kasetek z biżuterią. Ale to tylko jedna strona medalu. Tą mniej olśniewającą stroną były całe rodziny praktycznie przeznaczone do służby przez to tylko, że przyszły na świat w wielkich majątkach ziemskich, rodziny, od których oczekiwano, że służalczość mają we krwi. Tyle że nie wszyscy mieli ochotę nosić uniform, wykonywać niekończące się dygnięcia i być na rozkazy ludzi, którzy byli dokładnie tacy sami, jak oni, tyle że za arystokracją stały pieniądze.

Lily знаła to uczucie aż za dobrze, ponieważ taki właśnie miała stosunek do osób pokroju lady Irene.

Westchnęła, myśląc o czasach młodości, o gniewie i urazie, które w sobie nosiła. Teraz ludzie nie rozumieli znaczenia słowa „klasa”. Teraz za pieniądze można było kupić wszystko. Ale wtedy pieniądze były niczym w kontakcie z murem zaciętego podziału klasowego. Kto przyszedł na świat w klasie chłopskiej, w takiej też umierał. Złość na żelazne bariery niczego nie zmieniała. Jodi jednak nie spodziewała się takich złożonych wspomnień.

- Zabrałam się za poznawanie historii Rathnaree, ale niewiele znalazłam na ten temat. Nie ma ani jednej książki, co jest niezwykle, prawda? Na pewno zna pani mnóstwo historii i w ogóle. Bardzo bym chciała je usłyszeć, ale... - Jodi zawahała się. - Tylko wtedy, jeśli pani ma ochotę ze mną porozmawiać. Nie chciałabym pani zmęczyć.

- Ach, kochanie - odparła życzliwie Lily - rozmowa mnie nie męczy. Możemy się spotkać i wtedy o wszystkim porozmawiać.

Jodi bardzo by się spodobał karton, który Lily trzymała schowany w pokoju dla gości, a w którym znajdowały się listy, fotografie i jej cenny pamiętnik, a także programy sztuk teatralnych, karty dań z restauracji, puzderko ze sztucznego złota, kiedyś wypełnione pudrem Tea Rose, zasuszone kwiatki z jej niewielkiego bukietu ślubnego, stara książeczka z kartkami żywnościowymi, różne drobiazgi towarzyszące życiu przed pięćdziesięciu laty. Kiedy Lily rozmawiała z Jodi, jej myśli natychmiast pomknęły ku temu kartonowi.

Wyjęła go z kryjówki i postawiła obok fotela w salonie, planując go otworzyć i ponownie przejrzeć zawartość. Nie uczyniła tego jednak. Karton stał tam nadal, zakurzony i zamknięty.

Lily uznała, że ma ochotę spotkać się z tą młodą Australijką, ale nie była pewna, czy chce podzielić się ze światem cenną zawartością swego kartonu. Skrywał on tajemnice - nic, co zagrażałoby bezpieczeństwu państwowemu, uśmiechnęła się do siebie. Niemniej jednak tajemnice. Rzeczy, o których nigdy nikomu nie powiedziała.

Istniała tylko jedna osoba, której skłonna by była powierzyć swe tajemnice, a osobą tą była Izzie.

Może najlepiej byłoby napisać dla Izzie kartkę i nakleić ją na kartonie, który znalazłaby pewnego dnia, gdy Lily by już odeszła. Ale może Izzie nie była jeszcze gotowa na tajemnice swej babci.

Poza tym Lily była pewna, że Izzie absorbują jakieś własne sekrety. Ilekroć ostatnio dzwoniła z Nowego Jorku, sprawiała wrażenie zatroskanej, nieco skrepowanej, trochę tak, jak kiedy była młodsza i miała coś do ukrycia.

- Wszystko w porządku, skarbie? - zapytała ją Lily w niedzielny wieczór, podczas ich ostatniej rozmowy.

- Tak - odparła dziarsko Izzie w sposób, który Lily boleśnie przypominał Alice, matkę Izzie.

Izzie mówiła dokładnie tak, jak jej matka: miała ten sam miękki głos, w ten sam sposób podkreślała pewne słowa, tak że jej głos płynął niczym woda, szybka i bystra. Kiedy Izzie dorosła, kilka lat po śmierci matki, dla Lily słuchanie jej głosu było czasami nieznośnie wzruszające: czuła się, jakby Alice wróciła do świata żywych.

Wyglądem bardzo się od siebie różniły: Izzie była wysoka i silna, miała oczy Lily i mleczną celtycką cerę, do której pasowały śliczne włosy w kolorze toffi. Alice była niska i drobna, miała ciemne włosy i oliwkową cerę babci Lily, budzącej strach babci Sive.

Babcia Sive była potomkinią duchów - tak mówili ludzie, kiedy Lily była mała, czym dawali jednocześnie do zrozumienia, że boją się jej jak diabli.

Ale Lily nigdy się jej nie bała. Babcia Sive była po prostu t bezkompromisowa i inna, nowoczesna kobieta w dawnych czasach. Nic dziwnego, że wszyscy się jej lękali.

Babcia Sive to by dopiero miała całe mnóstwo świetnych historii do opowiedzenia.

Jaka szkoda, że w swoim czasie nie pojawił się nikt, kto by ich wysłuchał.

Lily westchnęła. Miała nadzieję, że postąpiła właściwie w kwestii pamiętnika i całego kartonu. Niełatwo było odgadnąć, czy coś jest właściwe. Ale od czasu telefonu od Jodi Beckett Lily dręczył niepokój. Miała - jak by to opisać - poczucie, że czas przyspieszył. Tak jakby musiała zadzwonić do Izzie i z nią porozmawiać, ale dziwnie by to zabrzmiało, gdyby zadzwoniła w środku tygodnia i powiedziała, że czuje się nieswojo. Biedna Izzie jeszcze by pomyślała, że jej babcia dziecinnieje.

Wczoraj wieczorem zadzwoniła do Anneliese, by jej powiedzieć, co czuje, ale uruchomiła się automatyczna sekretarka i Lily rozłączyła się, nie zostawiając wiadomości. Nie zносиła

automatycznych sekretarek, był to jeden z tych nowoczesnych wynalazków, których nigdy nie polubiła, no a poza tym jak można było zostawić tego typu wiadomość automatowi?

Anneliese, czuję się niespokojna i przestraszona. Proszę, powiedz mi, że nie dziecinnieję, dobrze?

Zabrzmiałoby to zbyt dziwnie i z całą pewnością niedołącznie. Strasznie się bała utraty rozumu: przytrafiło się to tak wielu znanym jej ludziom. Nawet urocza, pełna życia Vivi uległa temu i teraz mieszkała w domu opieki za miastem. Laurowe Ogrody, tak się nazywał. Ładna nazwa dla miejsca, w którym Lily nigdy nie chciała się znaleźć.

Pamiętnik... Jej myśli ciągle do niego wracały. Szkoda, że jednak nie zadzwoniła do Izzie. Już ona by wiedziała, co zrobić. Kochana Izzie, która zdecydowała, że jedzie do Nowego Jorku, bez względu na wszystko.

- Mam to gdzieś, czy będę zarabiać grosze i spać w tym mieszkaniu, gdzie nawet chomik miałby ciasno, nie mówiąc o kocie - oświadczyła przed laty. - Będę jednak w NOWYM JORKU. Ty kiedyś wyjechałaś i mieszkałaś za granicą, babciu, na pewno wiesz, o czym mówię? Lily kiwnęła głową.

- Masz rację, Izzie, skarbie, wybac mi. Zapomniałam.

- Babciu, ty nigdy niczego nie zapominasz – zaśmiała się Izzie.

Siedząc teraz w słońcu, Lily żałowała, że to prawda. Dobrze by było nie pamiętać.

Ostatnio tyle myślała o przeszłości. Czy to znaczyło, że niewiele ją dzieli od końca jej życia? Czy głosy z przeszłości zjawiły się po to, by ją ostrzec? Widywała ich teraz wszystkich w swoich snach: mamę, tatę, Tommy'ego, babcię, wujka Pata, Jamiego, Robby'ego i swą ukochaną Alice. Alice była najgorsza. Żaden rodzic nie powinien doczekać śmierci własnego dziecka. Alice miała w jej sercu miejsce, którego Lily nie była w stanie dotknąć, nawet teraz, dwadzieścia siedem lat po śmierci córki.

W jej życiu było tyle śmierci. Wszyscy ci młodzi, zdrowi ludzie, umierający dlatego, że niedaleko nich zrzucono bombę, albo mężczyźni wysłani do domu z ranami na ciele i duszy, których nikt nie widział, ale które były równie zabójcze.

Jako dziewczyna, która wychowywała się na wsi, Lily oswojona była ze śmiercią. Podczas pogrzebów nie trzymano dzieci z dala od trumny - każdy, młody i stary, nachylał się, by ucałować lodowate czoło zmarłego spoczywającego w drewnianym pudle. Lily siedziała cichutko podczas czuwania przy zmarłym, słuchała dawnych pieśni i przyglądała się, jak odprawia się żałobę za zmarłego. Ale to, jak ktoś umiera, zobaczyła dopiero podczas tych pierwszych dni na oddziale.

Była zdumiona tym, że życie nie opuszcza ludzi z fanfarami - wymykało się cicho, pozostawiając jedynie stygnące ciało, podczas gdy lekarz przechodził płynnie do kolejnego pacjenta. Dopiero znacznie później, kiedy sprzątano zakrwawione bandaże i instrumenty, zaś amputowane kończyny zabierano do spalarni, ktoś znajdował czas, by oporządzić martwych pacjentów.

Lily często później o nich myślała, kiedy siedziała ściśnięta między dziewczętami - Maisie i Dianą - i piła gorącą herbatę lub różowy dzin: wtedy pozwalała sobie na wspomnienie. Co oczywiście zawsze okazywało się błędem.

Każdy z tych młodych ludzi mógł być jej młodszym bratem, Tommym, który znajdował się gdzieś nad Morzem Śródziemnym, ale w listach nie mógł jej napisać dokładnie gdzie, i w jej głowie zaczynały się pojawiać „a jeśli?” - a jeśli to on leżał zimny na stole...

Dlatego właśnie wszystkie zamawiały następną kolejkę różowego dzinu.

-*M7 bastardi carborundum!*-wołała wtedy Diana, co w łacinie kuchennej znaczyło: Nie pozwól tym draniom cię dopaść.

Pomimo tak częstego kontaktu ze śmiercią były takie młode, że nie myślały o tym, że same także mogą zginąć.

Śmierć była dla innych ludzi. Im dopisze szczęście, a na wszelki wypadek każdego dnia będą żyć pełnią życia.

A teraz śmierć na nią czekała, tyle że Lily nie bała się odejść. To był wspaniały dar podeszłego wieku: gotowość do pójścia dalej. Nie został nikt, kim by się musiała opiekować. Gdy umrze, nikt nie będzie szlochał, że to się stało zbyt wcześnie. Bóg pozwolił jej żyć, by mogła się opiekować swym dzieckiem; będzie musiała Mu za to podziękować, gdy Go zobaczy. Choć możliwe, że udawała się w przeciwnym kierunku, do tego miejsca z ogniem i diabłem. Lily uśmiechnęła się szeroko. Nie bała się diabła, już od lat śmiał się jej do ucha.

Jeśli wszystko, co przez całe swoje życie słyszała w kościele, było prawdą, spotka wszystkich ludzi, których w przeszłości kochała. Na przykład ukochaną Alice. Pozwolić Alice odejść było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie musiała uczynić.

Lily zamknęła w słońcu oczy i pozwoliła sobie marzyć, aż w jej głowie zapadła ciemność.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Sześć kilometrów dalej Anneliese parzyła sobie w kuchni herbatę w nadziei, że może ten napój ją obudzi. Znowu źle spała, przez większość nocy wpatrując się w budzik. Zasnęła dopiero wtedy, gdy nad linią horyzontu zaczął pojawiać się świt.

Teraz była ubrana i pełna determinacji, by iść na spacer plażą i nie siedzieć w domu, ale głowę miała ciężką i otepiałą. W normalnych okolicznościach siadłaby na werandzie i poczytała książkę albo gazetę i w końcu poczułaby przyływ energii, ale teraz nie była w stanie cieszyć się tymi małymi przyjemnościami. Każda otwierana przez nią gazeta zawierała jakiś artykuł, który dogłębnie ją ranił.

Wczoraj w pozornie niewinnym magazynie dołączanym do codziennej gazety znajdował się wywiad z aktorką, grającą w filmie o niewierności.

Anneliese z odrazą wyrzuciła magazyn do kosza.

Książki z biblioteki, leżące obok łóżka, też nie okazały się pomocne: wcześniej nie zdawała sobie sprawy z tego, jak lubi powieści o związkach. Gdyby ktoś ją zapytał, odpowiedziałaby, że czyta wszystko, ale wszystkie książki, które wypożyczyła z biblioteki, z wyjątkiem jednego thrillera i autobiografii Marii Antoniny, traktowały o rodzinach, parach i łączących ich relacjach.

Drugą filiżankę herbaty wypila na werandzie. Był śliczny, słoneczny poranek z zapowiedzią prawdziwego ciepła w po-

wietrze, i udając się na spacer, Anneliese nie zawracała sobie głowy cienką kurtką przeciwdeszczową. Szary polar był wystarczający; zaraz się rozgrzeje. Jeśli uda się wzdłuż plaży, oddalając się od Tamarin, prosto do skalnej wychodni, zaznaczającej koniec niewielkiej zatoki Milsean, i z powrotem, przejdzie nieco ponad trzy kilometry. Tyle wystarczy, by się rozgrzać.

Po wyjściu zauważyła kilka osób na plaży od strony miasta, więcej niż zazwyczaj o tej porze. Wyteńczyła wzrok, by zobaczyć, co się dzieje. Sześcioro lub siedmioro ludzi stało na wzniesieniu pomiędzy dwiema zatokami i wyglądało to tak, jakby wpatrywali się w morze.

Łódź. O nie, pomyślała. Zaginęła łódź rybacka. To był paskudny lęk, który trapił każdą nadmorską miejscowość.

Kiedy zaginęła jakaś łódź, cała społeczność zatrzymywała się w bezruchu, ludzie modlili się, ratownicy prowadzili poszukiwania z powietrza i wody, zaś rodziny siedziały otępiałe. Anneliese pamiętała, jak kiedyś w kościele odprawiano czuwanie, kiedy łódź z trzema pokoleniami rybaków wyróciła się do góry dnem; praktycznie całe Tamarin tłoczyło się w zimowym chłodzie kościoła, tak jakby intensywność modlitw mogła sprowadzić łódź i jej załogę do domu. Nie mogła. Tylko jeden członek załogi powrócił, kiedy jego ciało zostało wyrzucone przez fale na skały osiem kilometrów na południe.

Nie powinna tak beznadziejnie się czuć, skoro ona straciła jedynie męża - który nadal żył - gdy tymczasem jakaś biedaczka w Tamarin przygotowywała się na prawdziwą utratę swego mężczyzny.

Mimo że Anneliese czuła się zbyt poraniona, by radzić sobie z bólem związanym z zaginięciem rybaków, czuła obowiązek, by zejść do ludzi na plaży. Stanowiła część miejscowej społeczności i jeśli potrzebna była pomoc lub modlitwa, ona także musiała tam być.

Ale gdy szła szybko po piasku, zbliżając się do wilgotnego pasa plaży, uświadomiła sobie, że ludzie nie patrzą na morze ze smutkiem: przyglądali się w czemuś w wodzie.

- Co się dzieje, Claire? - zapytała kobietę, która mieszkała w głębi lądu i często pojawiała się na plaży z trzema czarno-białymi owczarkami collie, taplającymi się radośnie w morskiej pianie.

- Witaj, Anneliese - odparła kobieta. Psy stały przy jej nogach i popiskiwały, ponieważ miały ochotę iść dalej, a nie beczynnienie stać. - To wieloryb, popatrz tylko. Przypląnął zbyt blisko i teraz nie wie, jak się wydostać.

- Biedny wieloryb - odezwał się ktoś inny i przesunął, by Anneliese mogła stanąć w najwyższym miejscu i sama go zobaczyć.

W wodach zatoki Tamarin widać było ciemny kształt, zataczający powolne, bezcelowe kółka. Musiał być bardzo duży, ponieważ znajdowali się prawie kilometr od niego, a on był dobrze widoczny. Gdy Anneliese zastanawiała się, skąd wszyscy wiedzą, co to za stworzenie, ono wychyliło się z gracją z wody, ukazując aksamitne, granatowe ciało, i teraz już i ona wiedziała, że to jakiś gatunek wieloryba.

Z jego nozdrzy wytrysnął wysoki strumień wody, po czym potężny ssak schował się ponownie w wodach zatoki.

- Podskakują, kiedy są zdenerwowane - wyjaśnił ktoś. - Nie wie, co ma zrobić.

Anneliese wcześniej nie zauważyła tego mężczyzny w grupie tubylców. Miał ciemne spodnie i wielki sweter i można go było wziąć za rybaka, tyle że знаła większość tutejszych rybaków, a tego widziała po raz pierwszy. Był wysoki i miał siwiejącą brodę, która pasowała do gęstych, nieco zbyt długich włosów.

- Co powinniśmy zrobić?

- Przykro mi to mówić, ale guzik jesteśmy w stanie zrobić - odparł.

- Ale musi być przecież jakiś sposób! - odezwała się Anneliese, wściekła z powodu rezygnacji w jego głosie. Nie obchodziło go to? Ten biedny wieloryb był taki, jak ona: zagubiony i samotny, a teraz nikt nie chciał mu pomóc. Nie mogło tak być. - Czy ktoś dzwonił do ludzi od morskiej fauny, by im o nim powiedzieć?

- Do kogoś takiego jak ja - odparł nieznajomy. - Jestem miejscowym ekspertem od morskiej fauny. Mieszkam w Chatce Delfinów.

Chatka Delfinów była bardziej stodołą niż domem, umiejscowioną pośród piaszczystych wydm Ballyvolane Strand, następnej zatoki w kształcie podkowy za Milsean. Przysadzisty budynek pomalowany na niebiesko przez człowieka, zaś przez Boga wymyty na beżowo, był jednym z miejscowych domów stale wynajmowanych.

- Jestem Mac - dodał. - Mac Petersen.

Anneliese wpatrywała się w niego gniewnie, nie ujmując wyciągniętej przez niego dłoni. Przez całe życie zachowywała się uprzejmie, koniec z tym.

- I nie może pan mu pomóc? - warknęła.

- Kiedy wieloryby zostają uwięzione w płytkich portach, często umierają - rzekł, ze spokojem ignorując jej niegrzeczność.

- A więc to tyle? - zapytała, wymachując ręką w stronę grupy. - Mamy stać i przyglądać się, jak umiera? Super. Świetna robota, panie Morski Specjalisto.

Gdy Anneliese odwróciła się, by ponownie zobaczyć ciemny kształt, przesuwaną się bezszelestnie pod wodą, poczuła większą empatię z tym potężnym stworzeniem niż z otaczającymi ją ludźmi. Oni nie mieli o niczym pojęcia. Ból, strata, strach - nic o tym nie wiedzieli. Ale wieloryb, krążący ze strachem po zatoce, on wiedział.

Mężczyzna mówił coś jeszcze, ale ona nie chciała go słuchać.

Łzy szczypały ją w kącikach oczu, gdy odwróciła się na pięcie i zaczęła się oddalać poruszona.

Wiedziała, że jej reakcja jest przesadna, ale miała to gdzieś. Skrywanie uczuć donikąd jej w życiu nie zaprowadziło. Nie zależało jej aż tak na świecie, by skrywać, kim i czym jest. Niech ten cholerny świat sam sobie z tym radzi.

W chwili gdy wchodziła do domu, rozbrzmiał ostatni sygnał telefonu, po czym włączyła się automatyczna sekretarka. Komunikat nagrany był głosem Edwarda, który mówił wszystkim, że on i Anneliese są zajęci i nie mogą podejść do telefonu, ale że proszą o pozostawienie wiadomości. Dziwnie zabrzmiało to, że wiadomość zostawił także głos Edwarda.

- Anneliese, skarbie, przykro mi, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale właśnie dzwonił do mnie Brendan i... Naprawdę mi przykro, kochanie, Lily jest w szpitalu, lekarze uważają, że miała wylew. Siedziała przed kościołem w miasteczku i tam ją znaleziono po porannej mszy. W każdym razie jest w szpitalu, zabrała ją karetka. Brendan właśnie tam jedzie. Nie mogę jechać do szpitala w tej chwili, mam... - zawahał się - ... coś innego do zrobienia, ale zjawię się po południu, jeśli mogę, jeśli... - ponownie uczynił pauzę - to znaczy jeśli ty nie będziesz miała nic przeciwko temu. Neli tam oczywiście nie będzie, aleja chciałbym wesprzeć Brendana i ciebie. No dobrze, do widzenia, Anneliese. Przykro mi, że przekazuję ci taką straszną wiadomość.

Telefon umilkł. Anneliese wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym podbiegła i wcisnęła jeden z guzików szybkiego wybierania, by zadzwonić do Brendana. Brendan Silver był zięciem Lily i kuzynem Anneliese, cóż, przybranym kuzynem, jeśli ktoś taki istniał. Tak naprawdę był kuzynem Edwarda. Dobrym, serdecznym człowiekiem, ale nie osobą, która sprawdzała się w sytuacji kryzysowej, a biedna, kochana Lily znajdowała się w takiej właśnie sytuacji. Anneliese czuła, jak całym sercem łączy się cierpieniem z ukochaną

ciotką. Lily może i nie łączyły z Anneliese więzy krwi, ale była jedną z najważniejszych osób w jej życiu. To dziwne, jak Lily - która praktycznie wychowała swą wnuczkę, Izzie, po śmierci jej matki - zdawała się rozumieć, jak trudne było życie dla Anneliese i Beth. Anneliese nie wyobrażała sobie, by jej ciotka doświadczała kiedykolwiek ataków paniki czy depresji. Była taka spokojna, taka pogodna, a mimo to rozumiała. Musiała się zmierzyć z najgorszym, co może się przydarzyć człowiekowi: śmiercią córki, Alice. Lily rozumiała, czym jest ciemność.

Kiedy Beth i Izzie były nastolatkami, Lily często zaglądała i zapraszała Beth, by została na noc, gdy Izzie spędzała u niej kilka dni. Anneliese nie znosiła samej idei nocowania poza domem, ale w przypadku Lily było inaczej: kiedy Beth przebywała w jej domu razem ze swoją kuzynką, Anneliese mogła się odprężyć. Dziewczęta podobne były do siebie jak dzień do nocy, poza tym Izzie była trzy lata starsza, ale kochały się i dobrze ze sobą dogadywały pomimo sprzeczek. Dla Beth było to także korzystne urozmaicenie. Lily nigdy nie mówiła, dlaczego to robi, w żadnym wypadku nie oświadczała zuchwale: „Widać, że masz depresję, zabiorę od ciebie twoje dziecko”.

Nigdy tak nie było. Ale rozumiała, że Anneliese czasami potrzebuje przestrzeni, by dojść do siebie, by jej życie ponownie mogło się toczyć swoim torem. Lily była nierozzerwalną częścią jej życia, odkąd trzydzieści siedem lat temu Anneliese zjawiała się w Tamarin, a teraz jej potrzebowała.

Komórka Brendana była wyłączona, ale i tak zostawiła na niej wiadomość.

- Z tej strony Anneliese, właśnie się dowiedziałam o Lily, zaraz jadę do szpitala. Najpierw zajadę do jej domu i zabiorę kilka rzeczy.

Anneliese najpierw zabrała kilka rzeczy dla siebie. Monety do telefonu w szpitalu, ładowarkę do komórki, kilka

torebek herbaty uspokajającej, obszerną bluzę i skarpetki na wypadek, gdyby musiała zostać na noc, zestaw do robienia na drutach i zapasowe klucze, które wiele lat temu otrzymała od Lily na wszelki wypadek. Następnie zamknęła dom, wrzuciła do samochodu torbę i odjechała. W oddali nadal widać było stojących na wydmach ludzi, wpatrzonych w zatokę Tamarin. Pomyślała o wielorybie, który kręcił się bezcelowo w wodzie, nie wiedząc, gdzie się znajduje ani jak ma się wydostać. Pomimo wszystkich przyglądających mu się ludzi i życia tętniącego w Atlantyku za zatoką Tamarin, wieloryb na pewno czuł się opuszczony i zupełnie sam na tym świecie.

Minął zaledwie tydzień od jej ostatniej wizyty w domu Lily. Tak wiele się wydarzyło przez ten tydzień. Edward od niej odszedł, a teraz Lily leżała w szpitalu. Anneliese ponownie ogarnęły wyrzuty sumienia z powodu tego, że nie porozmawiała z nią o swym rozstaniu z Edwardem. Nie była po prostu w stanie się z tym zmierzyć, z bólem i litością na pięknej, starej twarzy Lily.

- Och, skarbie, tak bardzo mi przykro. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Anneliese wiedziała, co powiedziałyby Lily i obawiała się, że te słowa nie okazałyby się dla niej żadnym pocieszeniem, tak więc nie powiedziała jej o niczym. A teraz jej głupota i strach oznaczały, że być może już nigdy nie będzie jej dane tego zrobić. Lily miała prawie czterdzieści lat. W jej wieku po wylewie ciężko było dojść do siebie. I cały ból, jaki Anneliese skrywała w sobie, mógł tam pozostać na zawsze.

Podczas jazdy pozwoliła sobie na płacz. To niebyły takie łzy, które się pojawiały wraz z atakami paniki czy depresją; tamte starała się zdusić, tak jakby mogła fizycznie wcisnąć je z powrotem w głąb siebie i powstrzymać tym samym ból. Ale te łzy z powodu Lily były oczyszczające, stanowiły swego rodzaju hołd.

Anneliese i Edward zawsze bardzo lubili drogę prowadzącą do Rathnaree, która skręcała na zachód od Tamarin

i biegła wzdłuż szczytu wzgórza, skąd widać było obie zatoki: Tamarin i Milsean. Dalej ciągnęła się pod lasem, wzdłuż łąk i parku, okolona wysokim żywopłotem, który czynił ją bardzo wąską, przez co mijające się samochody musiały o niego zahaczać.

Dom Lily był jej rodzinnym domem, w którym dorastała, dawną kuźnią, która kiedyś stanowiła część olbrzymiego majątku ziemskiego Rathnaree. Stara Kuźnia nie należała już do rodziny Lochraven. Sprzedali ją wiele lat temu i teraz dom oraz cztery akry ziemi należały do Lily. Kiedyś powiedziała Anneliese, że to wiele dla niej znaczy.

- Nie sędzę, bym była tu szczęśliwa, gdyby to nadal stanowiło część majątku Lochravenów - rzekła wtedy. - Wiem, że to szalone. Jestem wystarczająco stara, by mieć to gdzieś, ale odczuwam spokój, wiedząc, że to teraz należy do mnie, a nie do kogoś innego. Nic nie może się równać z posiadaniem własnego kawałka bożej ziemi. Moja matka, niech odpoczywa w pokoju, przewróciłaby się w grobie, gdyby mnie teraz słyszała. Ale mnie podoba się to, że to moja własna ziemia i mój własny dom. Tak naprawdę to czerpię z tego niesamowitą radość.

- Dlaczego rodzina Lochravenów nigdy nie podarowała tego domu waszej rodzinie? - zapytała Anneliese.

Nie mieściło jej się w głowie, że ci niesamowicie bogaci ludzie nie darowali domów lojalnym pracownikom, którzy służyli im przez wiele lat.

Słyszając to Lily roześmiała się głośno.

- Och, Anneliese, ileż razy ja sama się nad tym zastanawiałam. W końcu doszłam do wniosku, że tego rodzaju ludzie niczego nie dają w prezencie, i dlatego właśnie pozostają bogaci. Trzymają się tego, a my jesteśmy tylko służącymi, którzy wykonują ich rozkazy, pracują do upadłego i nie dostają w zamian nic oprócz nędznych groszy. Cóż, kiedyś tak uważałam. Dawno temu. Ale teraz jestem nieco mądrzejsza.

W tych ostatnich słowach było coś ostatecznego, tak jakby Lily nie chciała ciągnąć tematu, w jaki sposób się tego dowiedziała, ale Anneliese musiała wiedzieć więcej. Trzydzieści siedem lat temu nie miała oporów przed pytaniem o wszystko. Brnęła więc dalej.

- Oboje twoi rodzice pracowali dla nich, prawda?

- Moja matka była gospodynią od tysiąc dziewięćset trzydziestego do pięćdziesiątego pierwszego - odparła Lily. - Właściwie do śmierci.

- Musiała widzieć niezwykle rzeczy, pracując w tym wielkim domu - dodała Anneliese.

- Och, widziała mnóstwo rzeczy, zgadza się - stwierdziła Lily. - Widziała wszystko. Tak właśnie nauczyłam się moich pierwszych słów po francusku. Lady Irene powtarzała często: *Ne pas devant les domestiques*. Nie przy służbie. Pracowałam tam przez jakiś czas jako pokojówka i osłuchiłam się z tymi słowami. Lady Irene nie uświadamiała sobie chyba, że w końcu niektórzy z nas mogli nauczyć się francuskiego i wiedzieć, o czym ona mówi. Boże, moja matka wpadała w szal, kiedy na nich psioczyłam - dodała Lily. - Po pierwsze bała się, że ktoś mnie usłyszy. A potem pytała: „Gdzie twoja wdzięczność?”. Nie miałam problemu z odczuwaniem wdzięczności. Tyle tylko, że ta wdzięczność była ulicą jednokierunkową. Moja matka i ojciec ciężko pracowali w Rathnaree i po prostu akceptowali fakt, że nigdy nie otrzymywali za to żadnej wdzięczności. Otrzymywali dokładnie tyle, ile się im należało, nic ponad to. Lochravenowie ochoczo powtarzali, że służba to część ich rodziny, ale wcale nas tak nie traktowali. To były jedynie słowa, puste słowa. Och, mną się nie przejmuj, Anneliese. Kiedyś uważałam, że jeśli jest się bogatym i pochodzi z wyższej klasy to ma się wszystko. Teraz jestem mądrzejsza. Życie daje im w kość tak samo, jak nam wszystkim.

Anneliese pomyślała o tym teraz, kiedy skręciła z głównej drogi w węższą, wysadzaną żywopłotem, wiodącą do domku

Lily. To było bardzo enigmatyczne stwierdzenie, jednak wyczuwała, że jej ciotka miałaby znacznie więcej do powiedzenia na ten temat, gdyby ją o to zapytać.

Anneliese żałowała teraz, że tego nie zrobiła. Każda osoba, która dożywała wieku Lily, z całą pewnością posiadała całe mnóstwo życiowej mądrości, a jej bardzo by się teraz odrobina takiej mądrości przydała. Nigdy nie była w stanie pojąć, jakim cudem ciotka po stracie jedyne dziecko nie poddała się goryczy i nie umarła z żalu.

Dom Lily już od dawna nie był kuźnią, jednak nazwa pozostała: Stara Kuźnia. Jej ojciec był kowalem, ostatnim z długiej linii kowali, pracujących dla Lochravenow. Swego czasu była to działająca kuźnia, która miała malownicze drzwi w kształcie podkowy, zaś w powietrzu unosił się zapach rozgrzanego metalu. Ostatecznie jednak kuźnia została przeniesiona do Rathnaree w pobliże ogromnych stajni. Z czasem ta pierwotna zaczęła się przekształcać w dom rodzinny, aż w końcu trudno było powiedzieć, gdzie kończyła się kuźnia, a zaczynał dom.

Przed wejściem znajdował się ogródek z ziołami, ponieważ Lily je uwielbiała, z tyłu zaś duży ogród warzywny, na którego obsiewanie i pielnie nie wystarczało jej już energii. Kiedy żył Robby, mąż Lily, hodowali także krowy i kury, zaś Lily wprawiała się w sprzedaży jajek, produkcji własnego masła, wszystkim, byle jakoś sobie poradzić podczas tych chudych lat, kiedy Robby nie bardzo mógł znaleźć pracę jako stolarz.

Od dawna już nie żył, co najmniej dwadzieścia lat, pomyślała Anneliese, przypominając sobie Lily tego ponurego dnia w kościele, kiedy zimowy deszcz smagał witraże, zaś twarz Lily wyglądała tak, jakby była wyciosana z tego samego drewna, co trumna jej męża.

„Ja jedynie straciłam męża, ale on nie odszedł na zawsze, tylko do innej kobiety”.

Wypowiedziała te słowa w myślach, sprawdzając, jak się z nimi poczuje. Edward nie odszedł na zawsze: po prostu zdecydował się ją zostawić. To było gorsze czy lepsze niż gdyby umarł? Gdyby umarł, niejako nadal by ją kochał, a to by stanowiło dla niej pocieszenie. Tak, uśmiechnęła się szeroko, odczuwając jakąś szaloną ulgę, pośród tego całego szaleństwa śmierć z całą pewnością przebijała separację.

Z zewnątrz kuźnia wyglądała mniej więcej tak samo, jak na zdjęciach, przedstawiających Edwarda i Alice, stojących przed nią jako dzieci, śmiejące się obok wielkiej beczki na deszczówkę, gdzie Lily zbierała wodę, którą rodzina wykorzystywała potem do wszystkiego, od mycia włosów po kąpiel. Wnętrze wyglądało inaczej, pełne było charakteru i ciepła, które zapewnić mógł tylko ktoś taki, jak Lily: mnóstwo książek i rodzinnych fotografii, kwiatów i ziół z ogrodu, których zapach roznosił się po całym domu. Była tam także

śliczna łazienka.

- Zawsze przysięgałam, że jeśli będę musiała mieszkać w tym domu, to będzie on miał toaletę - mawiała Lily do Anneliese. - Jako dzieci byliśmy do jej braku przyzwyczajeni, nikt nie miał toalety w domu. Z wyjątkiem Rathnaree; tam zrobiono niesamowitą łazienkę specjalnie dla lady Irene: marmury i lustra zastąpiły stare deski i wielką, popękana wannę. Nikt z nas nigdy czegoś takiego nie widział. Chyba każdy w majątku poszedł ją sobie obejrzeć. To był skończony luksus. I przyrzekałam sobie, że pewnego dnia będę mieć taką łazienkę!

I miała, pomyślała z uśmiechem Anneliese. Cóż, nie do końca taką, jak legendarna marmurowa wersja z Rathnaree, ale i tak dość luksusową: białe płytki z czekoladowo-brązowym, wijącym się wzorkiem. Cieszyła się, że Lily miała swoją śliczną łazienkę, przyjemnie było posiadać na koniec życia rzeczy, o których się kiedyś marzyło. Można było na me spojrzeć i rzec: „Pragnęłam ich, kiedy miałam dwadzieścia lat, a teraz je mam!”.

- Przestań - powiedziała głośno Anneliese.

Myślą o Lily w taki sposób, jakby już nie żyła. Lily była jednak bardzo stara i może w taki właśnie sposób miała odejść. Szybka śmierć zawsze była lepsza dla odchodzącej osoby, ale straszna dla tych, którzy zostawali. Izzie pękłoby serce, gdyby jej ukochana babcia zmarła, nim ona miałyby szansę się z nią pożegnać.

Anneliese zastanawiała się, czy nie powinna była zaoferować się, że zadzwoni do Izzie i przekaze jej, co się stało. Coś pamiętała ze swojej ostatniej rozmowy z Lily, że Izzie wyjechała na sesję zdjęciową: Meksyk, Nowy Meksyk... nie wiedziała dokładnie, kiedy ani dokąd - przez kilka ostatnich dni straciła rachubę czasu. Ledwo była sobie w stanie przypomnieć, jaki jest akurat dzień tygodnia.

Jeśli Brendan nie zadzwonił jeszcze do Izzie, ona to zrobi, kiedy przyjedzie do szpitala. Ale teraz musiała się spieszyć, a nie stać tutaj, przyglądać się starym zdjęciom i myśleć o życiu Lily. Nikomu nie przyniesie to żadnych korzyści. Udała się pospiesznie na górę do sypialni Lily i spakowała kilka koszul nocnych, trochę bielizny, lizeski i miękkie kaptcie. Pospiesz się - nakazywał głos w jej głowie.

Lily wyglądała tak krucho na szpitalnym łóżku. Choć Anneliese wcześniej dopuszczała do siebie ewentualność, że ciotka może się już nie obudzić, uderzyło to w nią z całą siłą, kiedy zobaczyła to słabe ciało, leżące nieruchomo pod kołdrą w otoczeniu mrugających i pikających urządzeń. Na oddziale intensywnej terapii było cicho jak w kościele, pielęgniarki chodziły szybko tam i z powrotem, cicho i sprawnie, gdy tymczasem pacjenci leżeli nieruchomo na czterech łóżkach. Anneliese ucieszyła się, że nie ma Brendana. Musiałaby go pocieszać. Zamiast tego mogła sobie spokojnie usiąść na krześle obok łóżka i patrzeć na Lily. Staruszka miała zamknięte oczy, ale wyglądała poważniej niż gdyby po prostu spała;

ożywienie, jakie zazwyczaj obecne było na jej twarzy, dzisiaj gdzieś znikło. Na co dzień zawsze sprawiała wrażenie, jakby pozbawiona była wieku, teraz jednak wyglądała jak staruszka z kruchymi kośćmi i skórą cieniutką jak bibuła. W jedną z delikatnych dłoni wbity miała wenflon i Anneliese skrzywiła się na myśl zarówno o bólu, powodowanym przez igłę, jak i sińcu, jaki zdążył już się rozlać dookoła.

- Och, Lily - powiedziała, ujmując drugą pergaminową dłoń i głaszcząc ją. - Przykro mi, kochana. Przykro mi, że tu jesteś i że z tobą nie porozmawiałam. Straszne jest to, co dzieje się między mną a Edwardem, i nie wiedziałam, jak ci to powiedzieć. Przepraszam, to nie fair. A teraz ty jesteś tutaj, a ja nie wiem, czego ode mnie oczekujesz. Nigdy o tym nie rozmawiałyśmy. Nie wiem, czy chcesz, by heroicznie próbowano cię sprowadzić z powrotem, czy też cieszysz się, mogąc odejść. Chciałabym to wiedzieć. Zasługujesz na to, by samej dokonać wyboru.

To dziwne, ponieważ Lily potrafiła rozmawiać o wszystkim. Nie dla niej było chowanie głowy w piasek lub myślenie, że problem przemilczany sam znika. Lily mierzyła się ze wszystkim. Ale śmierć, i kwestia tego, co zrobić w okresie ją poprzedzającym, była jednym z ostatnich tabu.

Anneliese trzymała dłoń staruszki i modliła się o wskazówki. Nie była na coś takiego przygotowana, nie teraz. Z powodu Edwarda czuła się równie krucha jak Lily.

- Och, Lily, co chcesz, żebym zrobiła?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kontrakty z firmami kosmetycznymi były świętym Graalem tej branży. Sesja dla „Vogue'a” cieszyła się wielkim prestiżem, zgoda, ale musiał on wynagrodzić brak gotówki, wiążącej się z takimi zdjęciami. Rozkładówki wspaniale wyglądały w portfolio modelki, ale reklama tuszu do rzęs oznaczała znacznie większe dochody.

Kiedy już modelka złożyła swój podpis na umowie z kosmetycznym gigantem, nie musiała się martwić kiepsko płatnymi sesjami zdjęciowymi. Kontrakty kosmetyczne gwarantowały okrągłą sumkę płatną z góry i swego rodzaju zabezpieczenie w branży, która nie należała do najstabilniejszych. Taki kontrakt czynił modelkę bardziej wartościową przez to, że milion billboardów zapewniał jej sławę i wyrabiał nazwisko. Kiedy już dziewczyna stawiała się nazwiskiem, a nie była jedynie kolejną smukłą piękną, miała szansę na znacznie więcej: więcej reklam, telewizji, lansowania. Wtedy zaś wszyscy - włączając w to agencję macierzystą - mogli się cieszyć przez całą drogę do banku.

Dzień po tym, jak wpatrywała się w Joego i jego żonę przed wejściem do muzeum i czuła, że jej życie boleśnie rozpada się na kawałki, Izzie musiała odłożyć swój ból na bok z powodu ważnego spotkania z firmą kosmetyczną w sprawie wielomilionowej kampanii skierowanej do nastolatek. Jacobman Corporation chciała, by nowa modelka sygnowała swoją

twarzą ich nową linię kosmetyków, i to właśnie agencja Perfect-NY, dzięki jakiemuś niesamowitemu łutowi szczęścia, miała im znaleźć tę dziewczynę.

To był świetny interes dla Perfect-NY i dokładnie taka praca, jakiej Izzie nie miała ochoty wykonywać dzień po tym, jak złamano jej serce.

Gdy wkraczała do olbrzymiego biurowca Jacobmana, prezentowała się doskonale - z zewnątrz. Była idealnie modna w czarnym kostiumie od Marca Jacobsa, zaczesanymi do tyłu włosami, solidną porcją podkładu Bobbi Brown w odcieniu nude, który zapewniał naturalny wygląd.

Była jednak zmęczona, miała puste spojrzenie i czuła się tak, jakby brakował jej energii choćby na dźwignięcie do ust kubka z kawą.

Spotkanie odbywało się w trzeciej sali posiedzeń Jacobman Corporation - pierwsza i druga były tak duże, że mogli w nich zagrać Jankesi - i było na nim obecnych jedynie czworo ludzi: Izzie, reprezentująca Perfect-NY, dwie osoby z kierownictwa linii kosmetyków SupaGirl! i gruba ryba z Jacobmana, Stefan Lundberg.

Firmy kosmetyczne rozpuszczały wici na wszystkie strony, kiedy szukały właściwej dziewczyny dla swoich produktów. Ale agencję Perfect-NY zaproszono do zaprezentowania wszystkich dziewcząt spełniających wymogi, ponieważ obecna pani Jacobman kiedyś pracowała jako modelka w Perfect-NY i - o dziwo - nigdy nie zapomniała agencji, która umożliwiła jej zrobienie kariery, krótkiej co prawda, ale za to pozwalającej wylądować w ramionach Ricka, spadkobiercy milionów Jacobmana. Agencje modelek postrzegały Svetlanę Jacobman jako modelkę, która wygrała największy kontrakt kosmetyczny. Pomimo podpisania bezlitosnej intercyzy Svetlana znalazła się w szeregach prawdziwych bogaczy.

- Taa, ma świeżą twarz, ale jest taka jakaś ześwirowana, no nie? - warknął jeden z przedstawicieli SupaGirl!, odrzu-

cając na bok zdjęcia trzeciej modelki, której się przyglądali. - Nie zależy nam na świrach. Chcemy normalnej amerykańskiej nastolatki.

Siedząca po przeciwnej stronie stołu Izzie wbiła sobie paznokcie w dłoń, co stanowiło odpowiednik ugryzienia się w język. Normalna nastolatka - akurat. Widziała spis wymagań i mogli sobie udawać, że szukają normalnej dziewczyny, podczas gdy tak naprawdę do reklamowania beztłuszczowego podkładu chcieli piętnastoletniej bogini, która nigdy w życiu nie widziała pryszczu.

- Lorelei jest bardzo wszechstronna - oświadczyła, kiedy już udało jej się utrzymać nerwy na wodzy.

- Nie chcemy żadnej świruski - odparła druga osoba z SupaGirl!, która wyglądała na dwanaście lat i wyraźnie przyklaskiwała wszystkiemu, co mówił jej kolega.

- Nie, w żadnym wypadku. Darujmy ją sobie. Co jeszcze macie? - warknął mężczyzna.

Pół godziny później Izzie zostały do zaprezentowania tylko cztery modelki i uznała, że bez potężnej dawki kofeiny nie da rady tego zrobić ani znieść kolejnych negatywnych ocen. A więc jednak Perfect-NY nie otrzymało szansy na zakontraktowanie jednej ze swych modelek w Jacobmanie. To wszystko było jedynie PR-ową zagrywką, która miała zadowolić Svetlanę Jacobman, a ten złośliwiec z SupaGirl! ani myślał o takim załatwianiu spraw.

- Potrzebna mi kawa - oświadczyła Izzie, przywołując na twarz wymuszony uśmiech i wstając raptownie od stołu.

- Taa, mnie też - Stefan udał się za nią.

Obok sali konferencyjnej mieściła się niewielka kuchnia, która i tak była większa od tej w mieszkaniu Izzie.

- Jak na razie nie za dobrze, ale kto wie, może jeszcze trafimy w dziesiątkę - rzekł Stefan.

Oparł się o ościeżnicę i przyglądał, jak Izzie się zastanawia, czy wybrać espresso czy kawę parzoną przez filtr. Znała

go już kilka lat; był przystojny, ale zbyt oczywisty: nażelowane jasne włosy, rozchyłona koszula, odsłaniająca imponujący tors. Izzie wyobraziła go sobie przed lustrem o poranku, zastanawiającego się, które guziki powinien odpiąć. Nie znosiła czegoś takiego: wołała mężczyzn bardziej surowych w wyglądzie, których stać było na ładne garnitury, ale nie zawracali sobie głowy tym, by wyglądać nieskazitelnie. Niestety, mężczyźni tego typu nie zawracali sobie głowy nią, co Joe Hansen dał jej wyraźnie do zrozumienia.

Irytacja z powodu Joego rozciągnęła się na całą populację.

- Nie mam wielkiej nadziei, że trafimy w dziesiątkę - warknęła. - Flip i Flap odrzucają każdą dziewczynę, którą im pokazuję.

- Au. Flip i Flap. Ostro pojechałaś. Kiepski dzień? - zapytał Stefan.

- Coś w tym rodzaju.

Izzie zdecydowała się jednak na kawę filtrowaną. Możliwe, że zaczęłyby się trząść, gdyby wlała w siebie jeszcze jedną filiżankę espresso.

- Kłopoty z facetami czy w pracy?

Izzie obrzuciła go ostrym spojrzeniem. Stefan był hetero, dlatego też nie wolno mu było poruszać tematu „kłopoty z facetami”.

W przypadku mężczyzn jego pokroju - hetero, szalejących za kobietami i mających dostęp do firmowej złotej karty kredytowej - rozmowy na temat facetów zawsze kończyły się tak, że on oferował siebie, ubranego bądź niejako ramię do wypłakania.

- Nie mam kłopotów z mężczyznami, ponieważ nie mam z nimi nic wspólnego.

- Szkoda.

- Pierdu pierdu.

- Na pewno nie chcesz pogadać?

- Stefan - warknęła. - Nie będę rozmawiać o tym z tobą. Nie jesteśmy przyjaciółmi.

- Au. - Udawał, że chwyta się za zranione serce. Izzie się roześmiała.

- W tobie podoba mi się to, że mogę powiedzieć wszystko, a ty i tak to zaakceptujesz.

- Bardzo bym chciał, żebyś cokolwiek do mnie powiedziała, ale ty mnie zawsze odtrącasz. Tak jak wtedy, kiedy cię zaprosiłem na drinka przed tą imprezą Forda...

- Musiałam pracować. Poza tym kiedy się tam zjawiłam, okazało się, że zdążyłeś już sobie znaleźć inną towarzyszkę.

Wtedy kusilo ją, by przyjąć jego zaproszenie, było to jeszcze przed tym, nim zupełnie zrezygnowała z mężczyzn. Ale Stefan torował sobie drogę w więcej niż jednej agencji modelek. Często zastanawiała się, czy ma własną ścianę ze zdjęciami modelek i systemem ich oceniania.

Tamtego wieczoru zjawiła się na przyjęciu i przekonała, że pociesza go teksańska modelka, która miała nogi do nieba, burzę platynowych włosów sięgającą kości ogonowej i ciało stworzone do reklamowania bielizny.

- Ona siedziała na ławce rezerwowych - odparł. - Ty byłeś w składzie podstawowym.

- Masz odpowiedź na wszystko, Stefan - westchnęła. - Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że gdyby na moim miejscu znalazł się ktoś inny, to zostałbyś teraz oskarżony o molestowanie seksualne? Masz szczęście, że jestem taka wyluzowana.

- Ty wyluzowana? Hej, Irlandko, nigdy nie jesteś spięta, co?

- Skoncentrujmy się na tym, co robimy.

- Nie przy kawie - jęknął. - Burzę mózgow powinniśmy robić na sali konferencyjnej.

- Trudno jest myśleć kreatywnie przy tej dołującej parze. Nie możecie zatrudniać ludzi, którym mięśnie twarzy pozwalają się uśmiechać?

- Punkt dla ciebie. Rzeczywiście są dość ponurzy. Trudno uwierzyć, ale jest spora rywalizacja o to, by znaleźć się w teamie SupaGirl! Świetne zarobki, świetna opieka zdrowotna, siłownia w podziemiach...-Stefan udał, że przeży mięśnie - ... faceci tacy jak ja, piękni i dostępni, ponieważ gorące laski z agencji modelek ciągle ich odtrącają...

- To jest to' - Izzie odstawiła gwałtownie kubek, rozlewając kawę na blacie. - Rywalizacja. A może by tak urządzić konkurs na modelkę SupaGirl?!

Już podczas wypowiedzania tych słów jej mózg pracował na najwyższych obrotach. To był głupi pomysł czy doskonały? Często dzieliła je tylko cienka linia.

- Doskonale! - oświadczył Stefan, zupełnie nie przejmując się tym, że przerwała jego gędzenie.

Izzie miała ochotę go uściskać. Może i zdarzało mu się zachowywać jak macho, ale był w każdym calu profesjonalistą.

- Doskonały pomysł. Rozgłos i promocja za jednym zamachem.

Nie, uściskanie go byłoby błędem, uznała. Stefan mógłby to niewłaściwie odebrać. Zamiast tego poklepała go po ramieniu.

- Cieszę się, że spodobał ci się ten pomysł.

- Spodobał? Jest świetny.

- Perfect-NY będzie reprezentować dziewczynę, która wygra i pomożemy wam w urzędzeniu castingów w całym kraju - kontynuowała Izzie. Nie ma sensu wpadać na świetny pomysł, a potem pozwalać, by pałeczkę przejęli ludzie z SupaGirl!

Godzinę później wyszła z biurowca niemal tanecznym krokiem i nim zatrzymała taksówkę, zadzwoniła do biura.

Wszyscy mieli pozajmowane telefony, zostawiła więc wiadomości w pocztach głosowych, po czym usiadła na podrapanym czarnym siedzeniu taksówki i uświadomiła sobie,

że nie ma do kogo więcej zadzwonić. Jej najlepszą przyjaciółką była Carla, a jej właśnie zostawiła entuzjastyczną wiadomość na poczcie głosowej.

Ale poza nią nie miała z kim porozmawiać. Nie miała nikogo wyjątkowego, do kogo mogłaby zadzwonić i wymruczeć, że wpadła na fantastyczny pomysł, nikogo, kto by jej powiedział, że jest z niej dumny. Babcia uwielbiała słuchać ojej pracy, ale Izzie ogarnęło przygnębienie na myśl, że miałyby dzwonić do domu, by połączyć się z kimś, kto ją kocha. Ponownie ogarnął ją przeraźliwy smutek, który w sali konferencyjnej odsunął się nieco na bok.

Przed Joem nigdy nie czuła potrzeby, by do kogoś zadzwonić i oznajmić mu nowiny. Ale przy nim się do tego przyzwyczaiła i teraz, bez niego, mocno odczuwała ten brak. Do diabła z resztą sparowanego świata. Miała ich wszystkich dość.

Kiedy dotarła do biura, radośnie omówiono pomysł Izzie, po czym ludzie rozeszli się na przerwę na lunch.

- Hej, wychodzisz na lunch? - zapytała ją Carla. -Nie.

- To dobrze. Chcę z tobą porozmawiać. Zaciągnęła apatyczną Izzie na schodki przeciwpożarowe, gdzie mogły liczyć na odrobinę prywatności.

- No, co się dzieje? - zapytała Izzie, otaczając się ramionami. Było jej zimno - bez względu na to, co robiła, od zeszłego wieczoru ciągle czuła chłód. Zmroziło ją chyba połączenie deszczu i wewnętrznego bólu. Nawet entuzjazm związany z SupaGirl! nie był w stanie jej rozgrzać.

- Krążą plotki - zaczęła Carla - o pewnym żonatym dżentelmenie z Wall Street, który ma gorący romansik z bookerką z agencji modelek. Czyjś kierowca opowiedział o tym innemu kierowcy, który powiedział to fryzjerowi, który powiedział klientce, pewnie zresztą wielu klientkom. Hej, znasz to miasto, wszyscy uwielbiają gadać. No i jedna z tych osób to moja znajoma i powiedziała mi o tym.

- Nowojorskie plotki są jak chińskie plotki, tyle że bardziej śmiertelne, co? - zażartowała nerwowo Izzie. To niemożliwe, by Carla wiedziała o niej i Joem.

- Powiedz, że to nie ty - rzekła Carla.

Izzie zagryzła wargę. Zawahała się tylko na chwilę, ale przyjaciółce to wystarczyło.

- O kurwa, to ty?

Izzie nie chciała spojrzeć Carli w oczy. Nie była w stanie znieść wyrzutu, który na pewno tam na nią czekał. Jak mogła jej to wytłumaczyć?

„Nie zdawałam sobie sprawy tamtego pierwszego dnia - głupie, zgadzam się, ale go nie znałam. Nie myślałam. Był taki czarujący i seksowny i między nami zaskoczyło, a kiedy on w końcu powiedział, że nadal jest z żoną, ale nie z nią, cóż, zdążyłam już wpaść po uszy...”

- Izzie, ty chyba sobie żartujesz! Co się z tobą dzieje? Powinnam się zorientować - szalała Carla. - Wiedziałam, że coś jest nie tak i miałam nadzieję, że mi powiesz co, ale przez myśl mi nawet nie przeszło, że chodzi o mężczyznę. Żonatego! Porąbało cię? Ileż znamy kobiet, które poszły tą drogą i zawsze kończyło się to źle?! Zawsze. Jediną osobą, która wygrywa, jest facet.

- Posłuchaj, jest żonaty, ale oni nie są razem... - zaczęła Izzie, myśląc, że trochę to śmieszne, że jej sekret wyszedł na jaw teraz, kiedy w końcu postanowiła, że między nią a Joem koniec.

- Błagam cię!

- To nie tak, jak się mogłoby się wydawać - warknęła Izzie. - Znasz mnie, Carla: nie jestem typem kobiety, która szuka sobie faceta z listy pięciuset najbogatszych z „Fortune”, by wydrzeć go z ramion żony, wyrzucić bilet miesięczny na metro i już nigdy nie pracować. Myślałam po prostu, że jest facetem, że mnie lubi, spotykaliśmy się i...

- ... i on ci powiedział, że z żoną wszystko skończone?

- Że prowadzą osobne życie. Są razem dla dobra dzieci. Carla uderzyła się ręką w czoło, w międzynarodowym geście oznaczającym „ale z ciebie kretyńka”.

- I ty mu uwierzyłaś?!

- Tak! On nie jest kłamcą, naprawdę.

- Dlaczego mi w takim razie o nim nie powiedziałaś? Ani słówka na temat pana Wall Street. Dlaczego? Ponieważ wiedziałaś, że coś nie gra, prawda? I wiedziałaś, że będę cię od tego odwozić.

Izzie posłała przyjaciółce udęczone spojrzenie.

- Sądziłam, że to coś prawdziwego, Carla. Nie da się udawać miłości, a on mnie kochał. I ja kochałam jego.

- Czemu więc mi nie powiedziałaś?

- To wszystko było takie skomplikowane. On kocha swoje dzieci i chce dla nich jak najlepiej. To nie jest drań, naprawdę. Mówił poważnie i wiedziałam, że potrzebuje czasu - odparła nieprzekonująco.

- Czasu? Taa, czasu, by zabawić się na boku, a potem wrócić do żonki.

Izzie wybuchła płaczem, co zaskoczyło je obie.

- Jezu - rzekła Carla.

- To i tak już skończone - wyszlochała Izzie. - Uwierzyłam mu, że potrzebuje czasu, a potem się dowiedziałam, że idzie na przyjęcie razem z żoną i to nie wyglądało tak, jakby wiedli osobne życie, więc z nim skończyłam.

- Dobrze i to - stwierdziła Carla.

- Wcale nie - chlipnęła Izzie. - Ponieważ nigdy w życiu nie czułam się gorzej. Nadal mu wierzę, ale to już za wiele, za bardzo skomplikowane. Nie mogę być dłużej w to zaangażowana i musiałam się uwolnić, zanim...

Nie była w stanie dokończyć zdania. „Zanim zakocham się w nim tak mocno, że zostałabym bez względu na wszystko” - to właśnie chciała powiedzieć. Tyle że wyglądało na to, że już to zdążyła zrobić. Nie obchodziło ją, co się dzieje w ży-

ciu Joego, po prostu pragnęła być jego częścią. Jej kompas moralny zepsuł się i miała to gdzieś.

- Izzie! - zawołał głos ze środka. - Pilny telefon z Irlandii. Jakiś nagły wypadek...

Izzie z wdzięcznością wzięła kubek kawy, który podała jej Carla, i otoczyła go dłońmi. W biurze Perfect-NY nie było zimno, ale jej się zrobiło lodowato w środku z powodu otrzymanych wiadomości. Kochana babcia, jedyna stała w tym chwiejnym świecie, leżała w szpitalu w Tamarin i możliwe, że nie przeżyje.

Wiadomość ta usunęła z głowy wszystkie myśli o Joem.

Zamiast tego myślała o Lily, kruchej i szczuplutkiej, z tymi wyblakłymi niebieskimi oczami, przyglądającymi się mądrze światu. Emanowała z niej życzliwość: życzliwość i mądrość.

Izzie nie była w stanie znieść myśli, że mądrość jej babci odejdzie na zawsze, podczas gdy ona tak bardzo jej potrzebowała.

Było tak wiele rzeczy, których musiała się jeszcze dowiedzieć, tak wiele rzeczy, które pragnęła powiedzieć babci - i możliwe, że nie dane jej będzie tego zrobić.

A tego jednego, czym desperacko pragnęła się podzielić, tego, co czuła do Joego, nigdy nie byłaby w stanie powiedzieć. Dla kobiety pokolenia jej babci nie mogło być nic gorszego niż niewierność, a Izzie nie zniosłaby widoku babci zachmurzonej z powodu tego, że jej wnuczka ma romans z żonatym mężczyzną. Jeśli Carle, która była na tyle liberalna, na ile się dało, nie będąc radykalną feministką i jednocześnie lesbijką, zaszokowała ta wiadomość, to jak zdruzgotana byłaby babcia. Zgoda, powodem gniewu Carli było poczucie, że Izzie jest oszukiwana, ale to szczegół.

- Och, babciu - modliła się Izzie, jakby swoimi myślami była w stanie włąć zdrowie w staruszkę, oddaloną o tysiące kilometrów - proszę, proszę, nie odchodź.

- To był rozległy wylew - powiedział jej tata przez telefon. -
Znaleziono ją na dziedzińcu przed kościołem. Na szczęście osunęła się na oparcie ławki, inaczej rozbiłaby głowę o płyty i wtedy, no wiesz... -
urwał.

Jej ojciec nie potrafił powiedzieć „na pewno by umarła”. Odsuwanie od siebie trudnych spraw było mocną stroną Brendana. Izzie wiedziała, że nieprzypadkowo zakochała się w samcu alfa, pełnym wigoru, odwagi i umiejącym mierzyć się z życiem.

Zauważalne różnice pomiędzy mężczyzną, którego kochała, a jej ojcem niewątpliwie chętnie roztrząsano by podczas pierwszego dnia zajęć z psychologii.

- Kiedy to się stało?

- Dziś rano po mszy.

- Co mówią lekarze?

- Niewiele... Jest na oddziale intensywnej terapii i robią jej te wszystkie badania, ale nikt mi właściwie niczego nie mówi...

Izzie wyobraziła sobie swego ojca, wyższego od niej, ale pozbawionego jej energii, rozglądającego się po oddziale za lekarzem, ale niezdolnego nikogo o to zapytać, ponieważ wszyscy się gdzieś spieszyli, a on nie chciał nikomu zawracać głowy.

Uroczo było wieść słodkie i delikatne życie, ale to się nie sprawdzało w pełnej napięcia i pośpiechu atmosferze, panującej na ostrym dyżurze.

- Jest ktoś z tobą? Na przykład Anneliese albo Edward? Wujek Edward był znacznie bardziej energiczny od jej

ojca i z całą pewnością by się wszystkim zajął. Kochana Anneliese była w tym jeszcze lepsza: zachowywała spokój w przypadku każdego kryzysu i teraz na pewno też tak by było.

Kuzynka Beth zginęłaby, gdyby jej matka nie była tak silną osobą.

- Nie. - Ojciec wypowiedział to słowo tak, jakby miało dwie sylaby.

Izzie czekała.

- Anneliese jest już w drodze. Widzisz, zadzwoniłem do Edwarda i powiedziałem, by przekazał to Anneliese, a on wtedy zamilkł i odparł, że skoro jest to nagły wypadek, to tak zrobi, co brzmi dziwnie, ale nie miałem czasu, by go pytać...

- Ale Anneliese już jedzie? - Izzie niecierpliwiły te szczegóły. Musiała wiedzieć, że jej ciotka tam będzie, troszcząc się o wszystko, troszcząc się o Lily.

- Tak. Chyba. Wiesz, jak Anneliese kocha twoją babcię.

- To ja powinnam tam być - oświadczyła Izzie.

- Nawet bym nie śmiał prosić cię o to, byś przyjechała. Jesteś taka zajęta w pracy - rzekł pospiesznie ojciec.

Izzie zasmucił jego pomysł, że jej praca, tylko cholerna praca, była ważniejsza od ukochanej babci. Czy wszyscy tak myśleli? Że Perfect-NY znajduje się na jej liście priorytetów wyżej niż rodzina?

- Przyjeżdżam - oświadczyła z mocą. Do diabła z tą cholerną pracą. Jeśli będzie musiała przepłynąć Atlantyk, by znaleźć się przy łóżku babci, tak właśnie uczyni. - Babcia mnie potrzebuje.

Nie dodała natomiast: „I ja potrzebuję jej, ponieważ mam złamane serce”.

- Idź do domu - poradziła jej Carla. - Wyglądasz na wykończoną. Połóż się i trochę ochłoń, i zadzwoń do mnie, gdybyś czegoś potrzebowała, zgoda?

Izzie kiwnęła głową.

- Zgoda. Dzięki. Za wszystko. - Co znaczyło: Dzięki, że nie wspomniałaś już o Joem.

Zamiast tłoczyć się w metrze, do domu wróciła taksówką, i przez całą drogę zastanawiała się, czy Bóg jest taki mściwy, że wylew babci to kara za jej romans.

Nie bądź głupia, powiedziała sobie. To tak, jakby tylko ona była ważna, a Bóg karał innych ludzi, by odegrać się na niej. Niemniej jednak myśl ta waliła głośno w jej głowie

z intensywnością oglądanego nocą horroru. Zawsze w żartach określała siebie jako podwodną katoliczkę - taką, która wypływa na powierzchnię tylko wtedy, gdy ma kłopoty. Teraz uświadomiła sobie, że to prawda. Kłopoty sprawiły, że jej wiara przesączała się przez pory skóry i kazała wszystko kwestionować.

W domu sprawdziła rozkłady lotów i stwierdziła, że tego wieczoru nie zdoła odlecieć do Dublina, ale że są wolne miejsca na następny dzień.

Dokonała rezerwacji, ogarnięta dziwnym uczuciem ulgi, że nie może tak od razu opuścić Nowego Jorku. Czowała, że jeszcze nie może tego zrobić, że zbyt wiele nici jej życia fruwa tu jeszcze na wietrze.

Zabrała się za pakowanie i przyłapała na tym, że nie jest się w stanie skoncentrować. Ważnym pytaniem podczas pakowania była jak zawsze pogoda, ale to główne - na jak długo wyjeżdża - pozostawało bez odpowiedzi. To zależało od stanu jej babci.

Och, babciu.

Panująca w mieszkaniu cisza przytłaczała ją. Izzie rzadko przebywała w domu po południu w środku tygodnia; zawsze była Dziewczyną z Nowego Jorku, zajęta i pędzącą gdzieś. I po co? - pomyślała z goryczą. Aby być samą i w pojedynkę radzić sobie z tą straszną wiadomością i przygotować się do samotnej podróży do domu.

Gdzie był jej kochanek, kiedy go potrzebowała? Ze swoją żoną, oto gdzie.

Izzie usiadła na sofie i rozplakała się. W tym momencie cały jej romans i ekscytacja w ogóle się nie przydawały. Mogła sobie mówić, że nie ma znaczenia to, iż nie ma męża, dwójki dzieci oraz rujnującej ich hipoteki, ale w chwilach takich jak ta było jednak inaczej.

Wiedziała, że nie jest jedyną kobietą, która się zakochała w żonatym mężczyźnie, ale tak właśnie się czuła - nale-

zała do klubu z jednym członkiem, spektakularnie głupim członkiem. A jednak kiedy zadzwonił jej telefon, doskoczyła do niego, mając nadzieję, że to może on. Oczywiście miała zbyt zażawione, by skupić się na numerze.

- Halo?

- Hej, dziewczynko, jak sobie radzisz? - Głos Carli, miłośniczki Marlboro Lights, był ciepły i zatroskany.

Izzie oparła się o ścianę obok telefonu.

- Okej - mruknęła.

- Przepraszam, że kazałam ci jechać do domu. Przyszło mi do głowy, że pewnie chodzisz teraz po ścianach.

Izzie zaśmiała się.

- Skąd wiedziałaś?

- Instynkt.

- Nieważne co, ale ważne, że trafiłaś w sedno. Kusi mnie teraz stołek barowy. Wszyscy ci ludzie, o których myślałam, że to ofiary losu, ponieważ siedzą w barach popołudniami - teraz ich rozumiem.

- Może wieczorem siądziesz obok mojego stołka barowego? Najpierw coś zjemy, a potem zajrzemy do jakiegoś klubu. Może choć na chwilę o wszystkim zapomnisz.

- Piszę się na to - rzekła Izzie. Gdyby została w domu, wiedziała, że płakałaby, dopóki by nie zasnęła.

Ustały, że spotkają się w SoHo o ósmej i kiedy chwilę później zadzwonił telefon, odebrała go, nie patrząc na ekranik, myśląc, że to jeszcze raz Carla.

- Cześć - powiedziała ciepło.

- Witaj.

To on. Głos był chłodniejszy niż kiedykolwiek wcześniej, ale z całą pewnością należał do Joego.

Natychmiast w jej myślach pojawił się zacinający deszcz, smagający ją po twarzy przed wejściem do muzeum. Pomyślała o tym, jak obejmował ramieniem żonę, olśniewającą

blondynkę WASP z nogami konia wyścigowego i obojętnym wyrazem twarzy, gdy patrzyła na Izzie.

- Przepraszam - powiedziała, zaczynając płakać. - Przepraszam, Joe. To straszne, moja babcia w Irlandii jest chora: miała wylew i nie wiadomo, czy z tego wyjdzie, i to jest okropne...

- Och, moja kochana - wymruczał. Lodowatość zniknęła z jego głosu.
- Zaraz u ciebie będę.

Zjawił się po dziesięciu minutach. Gdy otworzyła drzwi, nie powiedział ani słowa, a jedynie rozłożył ramiona i zatopił ją w mocnym, czułym uścisku.

- Maleńka - powtarzał raz za razem, głaszcząc ją czule, jakby była dzieckiem.

Wreszcie bezpieczna, płakała tak długo, aż twarz miała całą czerwoną i była zbyt zmęczona, by stać.

Zaprowadził ją na sofę i usiadł, Izzie skulona na jego kolanach. Czerpała niesamowitą pociechę z faktu, że czuła się mała i kochana.

- Dziękuję ci - westchnęła, opierając głowę o jego tors.

Przytulona do niego, opowiadała o babci: o tym, jak praktycznie mieszkała w domu Lily po śmierci mamy, i jak babcia była jedyną osobą, która nie uchylała się od mówienia o jej mamie.

- Tata nie wiedział, co robić. Sądził, że jeśli będziemy rozmawiać o mamie, to ja będę się denerwować, więc lepiej, żebyśmy tego nie robili. To było dobre przez pierwszy rok, kiedy nie byłam w stanie mówić o mamie, ale później, kiedy już chciałam, on szybko zmieniał temat. Może także nie potrafił o niej mówić.

- Jaka ona była? - zapytał Joe.

- Bardzo podobna do mojego ojca: roztargniona i z artystyczną duszą. Malowała. Chodziła z plamami farby na ubraniach i twarzy i nawet tego nie zauważała. Zdarzało jej się pójść

do supermarketu w kapciach i śmiać się, kiedy ktoś jej o tym powiedział. Taka trochę cyganka. Miała raczej ciemną cerę, nie tak jak ja, i uwielbiała słońce. Na plecach miała znamię, które zrobiło się bardzo ciemne, i w ogóle o nim nie myślała. Kiedy się okazało, że to nowotwór, zostało jej tylko kilka tygodni życia.

Joe nie odezwał się ani słowem, a jedynie dalej delikatnie głaskał jej włosy.

- Tata stracił głowę, tak jak dzisiaj - westchnęła. - Nic nowego. Wkroczyła babcia i przejęła pałeczkę. Wychowywała mnie.

- Opowiedz mi o niej - rzekł, przesuwając się, tak że teraz razem leżeli na kanapie. Jego długie nogi zwisały z jej końca, a Izzie jak zawsze czuła się przy nim krucha.

Tak więc opowiadała: o babci przecierającej szlaki w Tamarin, gdy wyjechała, by uczyć się zawodu pielęgniarki w Londynie podczas wojny, o jej opowieściach o dwudziestoletniej dziewczynie w obcym kraju i tym, jak sobie radziła.

- Pewnie dlatego pragnęłam podróżować, kiedy skończyłam szkołę - powiedziała Izzie. - Dorastałam, słuchając opowieści babci o świecie poza Tamarin, i czułam, że muszę zrobić to, co ona.

- Ale ona wróciła do Irlandii, prawda? Izzie kiwnęła głową.

- Wróciła po wojnie, wyszła za mojego dziadka i tam już została.

- Wiem, że jedziesz do domu, ale nie na stałe, prawda? Nie chcę, byś wyjechała z Nowego Jorku - wymruczał. - Babcia cię teraz potrzebuje, ale nie na stałe. Ja ciebie potrzebuję jeszcze bardziej, Izzie.

Oderwał rękę od jej włosów i delikatnie przesuwał po talii i biodrze, aż wreszcie zatrzymał ją na krągłości pośladków.

Strach i śmierć sprawiają, że ludzie myślą o miłości - tak kiedyś powiedziała jej babcia. Ta myśl przemknęła przez głowę Izzie, gdy poczuła, że jej ciało reaguje na głód Joego.

Wiedziała, że ludzie regularnie wracają do domu z pogrzebów i kochają się, by zapomnieć o zimnych, twardych realiach śmierci. Babcia nie umrze, nie może umrzeć. Tak jakby dzika namiętność ich seksu była w stanie utrzymać bicie serca jej babci, Izzie Silver oddała swemu kochankowi pocałunek z jeszcze większym ogniem niż zazwyczaj.

Życie i miłość nie mogły się skończyć, po prostu nie mogły.

Ostatecznie wylądowali w łóżku, ponieważ sofa była za mała dla nich dwojga. Joe wziął Izzie na ręce i zaniósł ją do sypialni, zrzucił z łóżka zdobiące je poduszki, by mieli dla siebie więcej miejsca, po czym przyspilił ją do łóżka swym ciężarem, podziwiając jej ciało, całując, ssąc, liżąc. Ten drugi raz był delikatniejszy, bardziej czuły i mniej dziki.

Kiedy znajdował się w niej, ujął w dłonie jej twarz i wpatrywał się w oczy z taką miłością, że Izzie chciało się płakać, ale on nie odezwał się ani słowem, a jedynie wykrzyknął jej imię, gdy osiągnął spełnienie.

Po wszystkim leżał przy niej, oddychając głęboko. Izzie była pewna, że śpi i przytuliła się do niego.

Gdy tak leżała, pozwoliła sobie na snucie marzeń. A co by było, gdyby powiedział, że czas na to, by wyprowadził się z domu i przeniósł do niej?

„Potrzebujesz mnie teraz, Izzie. Mam zamiar cię wspierać. Ja także jadę do Tamarin”.

A Izzie, która wiedziała, że nigdy, przenigdy by go o to nie poprosiła, ponieważ nie należała do kobiet, które same próbowałyby go odciągnąć od żony, powiedziałyby:

„Dziękuję ci, miałam nadzieję, że tak powiesz, ale nigdy bym cię o to nie poprosiła”.

Gdyby to zrobiła, nie byłaby ani odrobinę lepsza od kobiet, których nie znosiła: zawodowych dziewczyn, które wybierały sobie żonatych mężczyzn z okazałymi kontami i wykorzystywały sztuczki kasiarzy, by położyć łapę na pieniądzach. Izzie taka nie była.

Ale gdyby przyszedł teraz do niej, byłoby naprawdę cudownie. Lepiej by sobie dawała radę, gdyby był razem z nią, trzymając za rękę i siedząc obok niej w szpitalu u babci.

- To jest mężczyzna, którego kocham, babciu - wyszeptała i gdyby nawet, Boże uchroni, babcia już się nie obudziła, Izzie sprowadziłaby Joego, by ją poznał. Tak bardzo pragnęła aprobaty babci odnośnie do ukochanego mężczyzny. Mimo że to wszystko było takie niekonwencjonalne i trudne, jakoś by się ułożyło, ponieważ miłość zwyciężała wszystko, prawda?

Miłość jej życia przeciągnęła się i zmieniła pozycję tak, że teraz leżała wsparta na łokciu i wpatrywała się w nią.

Popatrzyła na niego radośnie, przesuając spojrzeniem po znajomych zakamarkach jego twarzy i kochając to, co widzi.

- Izzie, muszę wiedzieć, dlaczego wczoraj wieczorem zjawiałaś się przed muzeum - oświadczył.

- Co takiego? - zapytała, a jej marzenia roztrzaskały się o podłogę. - Nie przychodzi ci do głowy powód?

- No właśnie nie.

Tym razem usiadła i ochronnym gestem przykryła kołdrą piersi.

- Daj spokój, Joe. To żadna filozofia. Jesteś jednym z najbystrzejszych ludzi, jakich znam. Jestem pewna, że potrafisz odgadnąć.

- Chciałaś przyjrzeć się mojej żonie?

Nie potrafił wypowiedzieć jej imienia: nie potrafił powiedzieć „Elizabeth”. Tak jakby wypowiedzenie go tutaj, w mieszkaniu Izzie, splamiło jej dobre imię. To Elizabeth trzeba było chronić, a nie odwrotnie.

Izzie zadrzała na myśl o tym, co to znaczyło.

- Mogłam ją sobie obejrzeć w dowolnym magazynie, Joe - powiedziała spokojnie. - Chciałam zobaczyć was razem, czy tego nie rozumiesz? Ciebie i ją, razem. Czy ty nie chciał-

byś zobaczyć jego i mnie razem, gdybym to ja była zameżna?

- zapytała z niedowierzaniem.

- Gdybyś była zameżna, to nie bylibyśmy ze sobą - odparł otwarcie

Joe.

- Co takiego?

- Nie chciałbym się tobą dzielić. - Wzruszył ramionami.

- To nie wchodziłoby w rachubę. Nigdy nie spotykałbym się z kimś, kto jest w związku z inną osobą.

Wezbrała w niej wściekłość.

- Ty draniu! - syknęła. - Ja muszę się tobą dzielić, ale ty nie zgodziłbyś się dzielić mną. Ale z ciebie hipokryta.

- Ja, hipokryta? Nie sędzę. - W oczach Joego widniała zimna stal.

Izzie zaszokowała ostrość jego spojrzenia.

- Nie przyszło mi do głowy, że możesz pojawić się jak jakiś prześladowca, by obserwować mnie i moją żonę razem z przyjaciółmi.

Jego słowa zraniły ją fizycznie. Wcześniej nie wiedziała, że coś takiego jest w ogóle możliwe.

- Nie mogę uwierzyć, że to mówisz - oświadczyła. Nie czuła już gniewu, była jedynie mocno przerażona i mocno zaszokowana. Nie tak to wszystko powinno być. Gdzie się podział ten Joe, który gdy się kochali, patrzył na nią z miłością tak, jakby chciał to czynić bez końca? Następne słowa wymknęły się z jej ust, nim zdążyła się nad nimi zastanowić:

- Sądziłam, że mnie kochasz.

Cisza rozciągała się niczym jedna z dolin w pobliżu pueblo w Nowym Meksyku, gdzie była zaledwie kilka dni temu. Słyszeć było syreny gnających po ulicach radiowozów.

- Myślałam, że ty i Elizabeth jesteście ze sobą wyłącznie dla dobra dzieci. Tak właśnie mi powiedziałeś. To prawda czy nie?

- Izzie... - zaczął. - Naprawdę cię kocham, ale to nie jest takie proste.

I wtedy już wiedziała na pewno. Carla miała rację. On jej nie kochał. Kochał się z nią kochać, pewnie, ale jeśli chodzi o Prawdziwe Uczucie to było ono obecne tylko po jednej stronie. Jej stronie.

- Nic nie mów.

Wygramoliła się z łóżka, ciągnąc za sobą prześcieradło, owijając się nim jak egipska mumia. Nie chciała, by jeszcze kiedykolwiek oglądał jej nagie ciało. Tak bardzo jej było wstyd: czuła się upokorzona i głupia. Wykorzystał ją. Kochała go, sądziła, że on też ją kocha. Ale się myliła.

- Nie kłóćmy się - rzeki łagodnie. - Nie po to tu przyszedłem.

Reszta godności nie pozwoliła Izzie postawić pytania: „W takim razie po co?”. Ponieważ odpowiedź była prosta: by się z tobą pieprzyć, moja pożyteczna dziewczyno. Tym tylko była. Całodobowym sklepem - dostępną, jeśli chodziło o wieczorne drinki, kolacje i darmowy seks. Po raz pierwszy w życiu odczuwała szacunek wobec cynicznych, szablonowych, nowojorskich dziewczyn żonatych mężczyzn. One przynajmniej rozumiały zasady gry i traktowały to jako profesję. Zdobyć mężczyznę i wyciągnąć coś od niego. Ona uważała się za kogoś innego: za jego prawdziwą miłość. Byli sobie równi, a ona nie była kobietą, która by chciała jakichś rzeczy od mężczyzny. Jej nie chodziło o prezenty, lecz o miłość. Tyle że jemu chodziło o coś zupełnie innego. Brawo, Sherlocku.

- Nie - rzekła, odnajdując w sobie jedną, ostatnią nitkę spokoju. - Nie kłóćmy się. Muszę się spakować.

Spakować? Jeśli o nią chodziło, nie dbała o to, czy poleci zupełnie bez bagażu, jedynie w tym, co ma na sobie. Niemniej jednak to była dobra wymówka.

- Oczywiście.

Wstał z wdziękiem z łóżka. Był takim przystojnym samcem, pomyślała, przyglądając mu się. Wszystko jej się podobało: zero tłuszczu, a jedynie twarde mięśnie i twardy biz-

nesowy umysł. A teraz się przekonała, że jeszcze serce ma twarde.

- O której masz lot? - mruknął.

- Jutro o siedemnastej czterdzieści - odparła.

- Nic wcześniej nie było? -Nie.

- Jeśli chcesz, to mogę ci załatwić lot prywatnym samolotem - rzekł.

Jak w komputerze, w końcu ładującym duży e-mail, litania zjadliwych rzeczy, które wcześniej planowała mu powiedzieć, pojawiła się mózgu Izzie. Nić spokoju zniknęła.

- Ale nie samolotem firmowym, prawda? Bo wtedy ludzie naprawdę mogliby sobie pomyśleć, że mnie posuwasz. Nie, musiałbyś poprosić kogoś o przysługę albo zapłacić, bym mogła polecieć do domu, ponieważ Boże uchroni, by któryś z twoich pracowników dowiedział się o mnie, dziwce szefa.

- Izzie. - Oczywiście, że zraniły go te słowa. - Nigdy nie zrobiłem niczego, byś tak się czuła, nigdy nie miałem takiego zamiaru.

- Wiem, ale mimo to właśnie tak się czuję - odparła.

- A więc chyba się jednak kłócimy.

- Nie, ty wychodzisz - oświadczyła. - Prawdę mówiąc, ja też. Muszę kupić parę rzeczy. - Wyjęła z szafy bluzę i spodnie od dresu i udała się do maleńkiej łazienki. Dwadzieścia sekund później wyłoniła się z niej ubrana w dres, z potarganymi włosami. A co się miała przejmować włosami. - Wychodzę. Sam się później odprowadź do drzwi.

- Nie idź - rzekł niecierpliwie.

- Niestety, idę. Nie chcę tu czekać i wysłuchiwać twoich kolejnych kłamstw.

- To nie są kłamstwa, Izzie. Kocham cię, teraz jest po prostu trudna sytuacja. Skomplikowana...

- W takim razie ujmę ci nieco komplikacji - warknęła. - Uznaj, że nie ma mnie już w twoim życiu. Ułatwia to sprawę?

Chwyciła torbę, klucze i wyszła.

Zbiegła po schodach na ulicę, na wypadek gdyby ją gonił, a potem przebiegła dwie przecznice do kafejki, w której nigdy razem nie byli, także na wypadek, gdyby ją gonił.

Ale on tego nie zrobi. Zdała sobie z tego sprawę, gdy stała przy ladzie i próbowała zebrać myśli na tyle, by coś rzeczywiście zamówić.

- Eee... poproszę latte z odtłuszczonym mlekiem - powiedziała do baristy.

Joe by za nią nie pobiegł. Nie chciał uczuciowej dziewczyny, która miała oczekiwania: on chciał mieć łatwą laskę, która nie sprawiałaby kłopotów. Czy rzeczywiście? Zaufała mu, była pewna, że mówi prawdę. Ale jeśli tak było, jeśli ją kochał, czy nie przyszedłby teraz, by z nią być?

Usiadła przy stoliku i zamieszała kawę. Co za paskudny dzień. Najpierw kochana babcia, teraz to.

- Och, babciu - powiedziała do siebie. - Tak bardzo cię zawiodłam. Właściwie to zawiodłam nas obie. Pewnie myślałaś, że lepiej mnie wychowałam, co?

Matka z małym dzieckiem w wózku i kilkoma torbami zakupów siadła zmęczona przy sąsiednim stoliku. Izzie przyglądała się ze smutkiem matce i dziecku. Ona nigdy nie będzie tego miała. Macierzyństwo coraz bardziej się od niej oddalało. Kiedyś uważała, że to coś właściwego, nieuchronnego. Kobiety wychodziły za mąż i rodziły dzieci. Później stało się to wyzwaniem: czymś trudniejszym, niż początkowo sądziła, ale wciąż możliwym. A teraz... teraz wyglądało to na coś niemożliwego, chyba że by się zdecydowała na samotne macierzyństwo.

Nagle zaczęła rozumieć kobiety, które po przekroczeniu czterdziestki szukały dawcy spermy. Skoro nie było na horyzoncie mężczyzny, który mógł się stać tatusiem twojego dziecka, a bomba zegarowa pod postacią pustoszejącego zasobu jajeczek tykała coraz głośniejsze, cóż innego można było

zrobić? Czekać jak Śpiąca Królewna na nieistniejącego księcia? Albo samej się uratować.

Dziecko poruszyło się w wózku i Izzie uważnie się mu przyjrzała. Śliczną buźkę z puciołowatymi policzkami i wielkimi ciemnymi oczami otaczały afroamerykańskie loczki. W brzoskwiniowo-różowych śpioszkach dziewczynka wyglądała jak laleczka.

- Jest śliczna - rzekła Izzie do zmęczonej mamy, która natychmiast się rozpromieniła.

- Prawda? Moja mała księżniczka.

- Dobrze sypia?

To, co Izzie wiedziała na temat małych dzieci, dałoby się zapisać na główce od szpilki i jeszcze by zostało tam miejsce na orędzie o stanie państwa, ale wiedziała, że dla matek cykl snu dziecka jest równie ważny, jak dla niej Nowojorski Tydzień Mody.

- Jest już lepiej - odparła matka. - Zeszłej nocy spała całe sześć godzin, prawda, kochanie? - zagruchała do córeczki. - Ma pani dzieci?

Izzie poczuła w oczach szczypanie.

Pokręciła głową.

-Nie.

- Nie każdy chce je mieć - przyznała kobieta.

Izzie kiwnęła głową. Nie ufała sobie na tyle, by się odezwać. Odsunęła od siebie ledwie tkniętą kawę.

- Do widzenia - bąknęła i wybiegła z kafejki. Pomyślała z ogromnym smutkiem, że dla niej jest już za

późno na dziecko. Nie chodziło o to, że jej jajeczka są zbyt stare albo że ciało zbyt niedołażne: po prostu jej serce było wyschniętą łupiną, a nie da się mieć innej żywej istoty, jeśli w tobie nic nie zostało.

- Nie odchodź jeszcze, babciu - wyszeptwała ku niebu na Manhattanie. - Proszę, nie odchodź jeszcze. Muszę cię zobaczyć ten jeden ostatni raz, proszę cię.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pozorną kontrolę nad sytuacją Izzie zachowała przez cały lot, ostre turbulencje podczas schodzenia do lądowania w Dublinie i długi marsz przez szklane korytarze lotniska po odbiór bagażu.

Tak często podróżowała służbowo, że bez problemu była w stanie wczuć się w rolę kobiety-podróżniczki. Z różową jedwabną przepaską na oczy, by spać w samolocie, kremem nawilżającym zwalczającym skutki suchego powietrza w kabinie, i butami na płaskim obcasie (skarpetki w bagażu podręcznym) latanie samolotem miała opracowane do perfekcji.

Dopiero kiedy rozsunęły się podwójne drzwi na lotnisku i nagle nie znajdowała się już na międzynarodowej ziemi niczyjej, ale w kraju swych narodzin, wszystko uderzyło w nią z pełną siłą.

To nie była rutynowa podróż służbowa ani nawet zaplanowany przyjazd do domu: to była nagła wizyta spowodowana tym, że jej ukochana babcia może właśnie umierać.

Zaraz za drzwiami, stojąc przed ruchliwą ulicą, przez którą przechodziło całe mnóstwo ludzi, Izzie Silver przestała pchać wózek i rozszoła się.

Nieco ponad sto pięćdziesiąt kilometrów dalej Anneliese siedziała przy łóżku ciotki i cicho opowiadała o swoich uczuciach i o tym, że po prostu nie jest w stanie płakać.

- Zupełnie jakby ziała we mnie czarna otchłań - wyszeptała, mimo że nie było takiej potrzeby.

Na oddziale, na który rano przeniesiono Lily, panował spory ruch. Potrzebne było łóżko na intensywnej terapii, a jako że stan starszej pani nie uległ zmianie ani nie zanosilo się na żadną zmianę, mały szpital nie mógł sobie pozwolić na to, by trzymać ją na kluczowym łóżku na tym właśnie oddziale.

- Płacz byłby lepszy - kontynuowała Anneliese. - Działanie terapeutyczne czy coś w tym rodzaju. Ale nie jestem w stanie. Zupełnie jakbym pełna była nicości. Nieważne, co robię ani jak bardzo się staram dodać sobie otuchy, nic nie ma sensu. Szara ponura pustynia i wszędzie czerń. Och, Lily

- westchnęła, patrząc na nieruchomą, milczącą postać na łóżku. - Chciałabym, żebyś tu była, żebym ci mogła to powiedzieć... To znaczy jesteś, ale nie w taki sam sposób.

Błada, poorana zmarszczkami twarz Lily nawet nie drgnęła.

Anneliese nie wiedziała, czy jest ona obecna, czy nie. Czy ludzie w śpiączce mieli jakąś świadomość? Tak czy inaczej rozmowa z niemal nieobecną Lily i tak była lepsza od rozmowy z kimkolwiek innym.

- Docierają do mnie naprawdę dziwne rzeczy. Na przykład fakt, że Neli była tak rozgoryczona - wyszeptała Anneliese. - Powiedziała, że musiałam wiedzieć o niej i Edwardzie. To było prawie najgorsze ze wszystkiego. Upierała się, że wiedziałam i pozwalałam, by się to ciągnęło. Ale ja nie wiedziałam. Przysięgam na Biblię, Lily, nie wiedziałam. Jak mogłabym pozwolić Edwardowi na romans i nie powiedzieć mu na ten temat ani słowa? Nie pozwoliłabym, i na pewno nie z Neli. Była moją przyjaciółką. Była - powtórzyła z goryczą.

- Nikt mi nie uwierzy, skoro to moja najlepsza przyjaciółka, a ona powie, że o wszystkim cały czas wiedziałam. Nie będą mi wierzyć, a jeśli wszystkiemu zaprzeczę, to ona powie, że je-

stem po prostu mściwą eks. Mogła nawet powiedzieć Edwardowi, że ona i ja o tym rozmawialiśmy. Mogła powiedzieć mu wszystko, a przecież na pewno uwierzy jej, a nie mnie.

Opowiadanie o tych wszystkich strasznych rzeczach nie przyniosło ulgi. Kiedy o nich mówiła, bolały tak samo, jak kiedy o nich myślała. Ból samotności jej nie opuszczał.

Gorsze było to, w jaki sposób została sama.

Poprzedniego wieczoru siedziała na werandzie i wpatrywała się w morze, starając się nie myśleć o pięknym, uwięzionym wielorybie, nadal krążącym ze smutkiem po porcie, i zamiast tego myślała o Najgorszych Scenariuszach.

To była taka jej sztuczka, kiedy czuła krążącą nad sobą depresję: myśleć o najgorszych rzeczach, jakie się mogły wydarzyć, i wyobrażać sobie, jak by sobie z nimi poradziła. Wiedziała, że człowiek jest w stanie poradzić sobie ze wszystkim: wystarczyło pomyśleć o ludziach, którzy przeżyli każdy możliwy ból, bo byli torturowani albo patrzyli, jak mordowani są ci, których kochali.

Śmierć Edwarda była jednym z jej Najgorszych Scenariuszy.

Przypomniała sobie, jak oglądała wywiad z kobietą, która owdowiała w wyniku ataków na World Trade Center, i to że czuła wtedy niemal fizyczny ból. Cierpienie tej kobiety było tak silne, tak otwarte, kiedy mówiła o tym, jak się zmieniło jej życie i że teraz spodziewała się już tylko najgorszego.

Jej słowa pozostały w pamięci Anneliese z dwóch powodów: ponieważ mówiła ona o wdowieństwie, a Anneliese знаła zbyt wiele wdów w swoim wieku, by się tego nie bać, a po drugie dlatego, że ona odczuwała tego rodzaju strach przez całe swoje życie: że ból znajduje się tuż za rogiem, czekając na dogodny moment. Od zawsze się tak czuła. Czekając na cios.

Była taka rozważna, dbała o serce Edwarda, zapewniała mu zdrową dietę i naciskała, by co roku wykonywał bada-

nia krwi. Gotowała wielkie porcje brokułów, kupowała mu tabletki z olejem rybim, w lodówce zawsze można było znaleźć jagody. Robiła wszystko, by utrzymać go przy sobie, by oddalić ryzyko choroby.

A on i tak został jej zabrany. Równie dobrze mógł nie żyć. W pewien sposób było to tak, jakby rzeczywiście nie żył.

- Jak sobie poradziłaś, Lily? - zapytała Anneliese. - Jak sobie poradziłaś po śmierci Alice i Robby'ego? Wybacz, ale wciąż sobie myślę, że śmierć jest łatwiejsza. Można odprawiać żałobę. Jak ja mam to robić?

Wtedy przyhamowała: Lily żałobę odprawiała prywatnie, we własnym sercu, ponieważ musiała zachować spokój ze względu na Izzie.

- Wybacz mi, Lily - rzekła teraz. - To było okropne z mojej strony. Nic nie mogło być gorsze od utraty Alice. Przepraszam. Nie ma co przyrównywać mojej straty do twojej. Siedzę tutaj i ci się użalam, a przecież mnie nie zabrano tak wiele, jak tobie. Ale nic nie mogę poradzić na to, że czuję się zdruzgotana. Tak bym chciała, żebyś tu była. Mogłabyś mi to wszystko wytłumaczyć, zanim do końca nie oszaleję.

- Dzień dobry. Jak się panie mają? - rozległ się młody, radosny głos.

Anneliese uniosła głowę, zaskoczona tym, że ktoś jej przerwał. Nad nią stała pielęgniarka i z jej wyjątkowo przyjaznego wyrazu twarzy Anneliese wywnioskowała, że usłyszała ona końcówkę jej monologu. Była zbyt smutna, by czuć zakłopotanie. Podejrzewała, że pielęgniarki są przyzwyczajone do tego, że ludzie szepczą przy szpitalnych łózkach swe głęboko skrywane myśli.

- Chcę jedynie sprawdzić stan pani teściowej - rzekła pielęgniarka, nadal się uśmiechając.

Anneliese kiwnęła głową i odsunęła się, nie zwracając sobie głowy poprawianiem jej.

- Długo to potrwa? - zapytała.

- Trochę na pewno. Powinna iść pani na spacer - odparła, niezmiennie radosna. - Mamy śliczny dzień.

- Tak - rzekła Anneliese. Śliczny dzień na rzucenie się z urwiska. Co by zrobiła ta biedna dziewczyna, gdyby wypowiedziała te słowa na głos? Prawdopodobnie poszukała natychmiast psychiatry i powiedziała mu, że jest tu szalona kobieta, dla której powinni znaleźć łóżko, kaftan bezpieczeństwa i strzykawkę benzodiazepamu.

Wzięła torebkę i wyszła na korytarz, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. W końcu wylądowała w niewielkiej szpitalnej kawiarni, gdzie zamówiła filiżankę kawy z mlekiem i babeczkę, która wyglądała na tak twardą, że rzucona o ścianę, daleko by się odbiła. Nie była ani trochę głodna, ale posmarowała babeczkę masłem i ugryzła.

Przypomniała sobie, jak ktoś jej kiedyś powiedział, że trzeba wlewać w siebie paliwo. Ale po co? Stare i zużyte samochody oddawało się na złom. Dlaczego starych, zużytych ludzi nie można także złomować? Po co zawracać sobie głowy wlewaniem paliwa, skoro nie ma już silnika?

Odsunęła od siebie babeczkę i aby się czymś zająć, włączyła telefon komórkowy. Dostała SMS-a od Brendana. Był beznadziejny, jeśli chodzi o obsługę telefonów, tyle czasu zabierało mu napisanie najprostszej wiadomości, że już znacznie bardziej opłacałoby mu się po prostu zadzwonić.

Kiedyś ona, Beth i Izzie delikatnie się z tego podśmiewywały. Teraz Anneliese zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie się z czegoś śmiać. Jak to było się śmiać? Czy dane jej będzie jeszcze tego doświadczyć?

„Wspaniała wiadomość. Przyleciała Izzie. Zjawi się w szpitalu przed czwartą”.

Brendan nie stosował skrótów.

Anneliese pomyślała o Izzie, która była na zewnątrz silna, w środku zaś miękka jak ptasie mleczko, i która będzie płakać na widok swej kochanej babci na szpitalnym łóżku.

Potem pomyślała o Beth, która rozplakała się, kiedy się dowiedziała o wszystkim przez telefon, ale mogła przyjechać dopiero w weekend.

- Oczywiście, nie spiesz się - uspokajała ją Anneliese. W uspokajaniu córki była najlepsza. - Z babcią będzie dobrze.

Kolejne kłamstwo. Kto wiedział, czy z Lily naprawdę będzie dobrze czy też wprost przeciwnie? Ale w jej szaleństwie tkwiła metoda: im dłużej Beth pozostanie daleko, tym później Anneliese będzie musiała przekazać jej tę straszną wiadomość o rozstaniu rodziców.

To było absurdalne, że nadal nie powiedziała Beth o sobie i Edwardzie, doprawdy absurdalne. Beth będzie na nią wściekła, ale Anneliese po prostu nie miała serca tego zrobić. Tak jakby powiedzenie o wszystkim córce jeszcze bardziej to urzeczywistniło.

Anneliese wiedziała, że nie wystarczy jej siły i dla Izzie, i dla Beth.

To właśnie pragnęła powiedzieć Lily, nim przerwała im pielęgniarka.

- Beth mnie nie potrzebuje - wyszeptała do siebie w szpitalnej kawiarni. - Ma Marcusa, który się nią opiekuje i który ją uwielbia. Nikt mnie już nie potrzebuje. Nie muszę tu być. Po raz pierwszy nie muszę tu być.

To uczucie ją zarazem wyzwalało i przerażało.

Nie musiała tu być. Nigdzie. Mogła skoczyć z urwiska czy wejść do morza i iść przed siebie i nie miałyby to tak naprawdę znaczenia.

- Jak sobie poradziłaś, Lily? - zapytała na głos.

Częściowo знаła odpowiedź: Lily pochłoneło wychowywanie Izzie. Musiała odłożyć na bok własny smutek i zająć się wnuczką. Ale Anneliese nie miała się kim zająć. Miała tylko siebie, a akurat teraz nic ją nie obchodziło, co się dzieje z Anneliese Kennedy.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła Izzie po wejściu na oddział, była Anneliese. Siedząca przy łóżku z robótką na kolanach i nieobecny wyrazem twarzy wydała się tak cudownie znajoma, że Izzie musiała zagryźć wargę, by się ponownie nie rozplakać i nie zniszczyć makijażu, nad którego nakładaniem trzymała się w drodze do szpitala.

Wtedy zobaczyła babcię, drobną i kruchą jak dziecko, bez śladu tej energicznej kobiety, jaką znała całe życie. Izzie pobladła, a jej uczuciowa zbroja rozpadła się na kawałki.

- Anneliese - wydyszała, chwytając z przerażeniem dłonie ciotki i zatrzymując się przy łóżku. - O Boże, biedna babcia, moja biedna babcia.

Anneliese mogła jedynie klepać Izzie po ramieniu, gdy ta pochylała się nad drobnym ciałem na łóżku i szlochała.

Anneliese pomyślała, że to moment zasługujący na prywatność i zaczęła się odwracać, mając nadzieję, że nie pojawi się nikt inny i Izzie będzie mogła w spokoju rozpaczać.

- Anneliese! Ona mówi!

- Co takiego? - Anneliese podbiegła do łóżka z drugiej strony. - Ona się nie obudziła, Izzie, od czasu... Powinnyśmy wezwać lekarza.

- Tak, babciu. - Izzie nie słuchała Anneliese. Pochylała się ku twarzy babci, próbując rozszyfrować urywane słowa.

Usta Lily poruszały się, a oczy miała otwarte i jaśniejące pełnym blaskiem.

- Jesteśmy tu, Lily - powiedziała łagodnie Anneliese. - Jesteś w szpitalu. Miałaś wylew, kochana, ale wszystko będzie dobrze.

Lily wpatrywała się w sufit, tak jakby patrzyła na kogoś, kogo żadna z nich nie widziała.

- Jamie - wyszeptała głosem tak cichym jak papier szeleszczący na wietrze. - Jamie, jesteś tam?

Izzie i Anneliese popatrzyły na siebie ponad łóżkiem. Jamie?! Żadna z nich nie znała żadnego Jamiego.

- Babciu, to ja, Izzie.

Pogłaskała delikatnie policzek babci, ale oczy Lily powoli się zamknęły i z jej twarzy zniknęły objawy życia.

- Nie rozumiem - odezwała się Izzie. - Tata mówił, że babcia jest nieprzytomna...

- Była. Nadal jest - odparła Anneliese. - To nie było prawdziwe wybudzenie, prawda? Usłyszała twój głos, to pewne, ale nie mówiła do nas. Widziała kogoś innego...

- Jamiego. - Izzie usiadła ciężko na krześle przy łóżku. - Kim, u licha, jest Jamie?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Październik 1940 roku

Lily Kennedy oparła odzianą w pończochy nogę o podstawę kremowego piecyka Aga w ogromnej kuchni w Rathnaree i piła herbatę z porcelanowej filiżanki w kwiatki. Był wczesny ranek, a ciszę burzyło tylko tykanie ściennego zegara i sporadyczne pianie koguta na podwórzu.

Lily zmarzła podczas dziesięciominutowej drogi z Kuźni do Rathnaree - razem z mamą szły szybko w ciężkich trzewikach, a chłód wczesnego poranka szczypał je w policzki, zaś nisko wiszące słońce wydłużało ich cienie w ciemnej alei. Lily nie bała się ciemności: dziewczyna wychowana na wsi nie czuła lęku przed cieniami, choć krążyło mnóstwo opowieści o straszydłach i duchach, które kazały jej szybciej pedałowac, gdy wieczorami wracała rowerem od koleżanek z Tamarin. Ale złowieszcze, ciemne kształty w pobliżu drogi najczęściej okazywały się po prostu krową albo niewinnymi krzakami tarniny.

Tommy wcześniej pisał w swych listach o miejskich światłach w Londynie i o tym, że na niebie nad domami widać od nich niemal poświatę. Teraz wszystkie zniknęły: nikt nie chciał poświaty, która mogła stać się sygnałem dla pana Hitlera. Lily nie była sobie w stanie wyobrazić miasta wielkości Londynu: największe, w jakim miała okazję być, to Dunga-

rvan, choć widziała Londyn, Paryż i Nowy Jork dzięki filmowej magii w kinie w Ormonde.

A teraz za kilka dni zobaczy go na własne oczy. Bawiła się tą myślą, podekscytowana i odrobinę niespokojna. Nie będzie tam na nią czekał Tommy, który pomógł jej w zdobyciu informacji na temat studiów dla pielęgniarek w szpitalu Royal Free. Jego pułk Królewskich Fizylierów Irlandzkich został wysłany za morze, ale brat nie mógł powiedzieć dokąd.

Tata przeczytał ostatni list Tommy'ego, po czym zmiął go i rzucił w stronę ognia.

- Tommy odszedł, dlaczego ty także chcesz to zrobić, Lily? - zapytał ją szorstko. - Mielśmy wystarczająco dużo własnych wojen. Nie potrzebujemy posyłać naszych dzieci, by walczyli za innych.

Lily nie odpowiedziała. Wiedziała, że ból jej ojca spowodowany jest utratą ukochanego syna, który postanowił zostać żołnierzem, a nie jest diatrybą przeciwko wojnie, w której Wolne Państwo Irlandzkie zajęło pozycję neutralną.

Mama rozumiała ją lepiej. Wiedziała, że Lily bardzo pragnie innego życia, z dala od Rathnaree.

- Człowiek nigdy by nie uwierzył, jak zimno jest w tym domu, gdyby nie doświadczył tego na własnej skórze - oświadczyła teraz jej matka, wchodząc żwawym krokiem do kuchni, odziana w strój gospodyni. - Łóżka są całe wilgotne i znajdziemy się w niezłych tarapatach, jeśli wszystko nie zostanie naszykowane przed przyjazdem jaśnie pani.

Lily zeskoczyła z krzesła i nalała herbatę do drugiej filiżanki ze spodkiem. Jej matka zazwyczaj ich nie używała, ale Lily uwielbiała delikatność porcelany.

- Nalałam ci herbaty, mamo. Usiądź.

- Nie mam czasu na siedzenie - odparła Mary, ale wzięła do ręki filiżankę i przełykała z wdzięcznością herbatę, stojąc przy wielkim wyszorowanym drewnianym stole. - W czerwonej sypialni czuć wilgocia i nie wiem, czy nawet otwarte

okna sprawia, że zapach zniknie do jutra. Czemu, na Boga, powiedziałam wszystkim, że mogą przyjść dziś później, skoro jest tyle roboty - martwiła się.

- Usiądź ze mną - poprosiła Lily, ponieważ wiedziała, że nie ma sensu mówić matce, by przestała biegać i sprzątać dla ludzi, których akurat tu nie było i którzy i tak by tego nie docenili.

- Usiądę na chwilę.

Na twarzy Mary pojawił się smutek. Jutro jej córka wyjeżdżała z domu, ale ona będzie zajęta przygotowaniem do wielkiego przyjęcia. Rodzina od tygodnia przebywa w Dublinie i jutro wraca do domu wraz z grupą przyjaciół.

Normalnie o tej wczesnej godzinie panowałby tutaj ruch. Eileen Shaw, kucharka, psioczyłaby na zimną, wilgotną pogodę, przez którą kaszel się jej wzmacniał. Sean, który podczas ostatniej wojny służył jako ordynans majora, a teraz pracował jako kamerdyner, paliłby fajkę i rzucał pełne irytacji spojrzenia Norze, najmłodszej stażem pokojówce, która miała dwie lewe ręce i biedziła się nad naszykowaniem tacy ze śniadaniem dla lady Irene. Sean był generalnie wyrozumiały, ale ostatnio miała miejsce spora fluktuacja wśród pokojówek i Nora, która była młoda i zachwycona wspaniałością Rathnaree, nie spełniała standardów kamerdynera.

No i byłyby jeszcze Vivi, najlepsza przyjaciółka Lily: stałaby na dworze, piła szybką herbatę i wypalała papierosa przed rozpoczęciem pracy. Lily kochała Vivi: były jak ogień i woda, tak mówiła mama, ale przyjaźniły się od czasów szkolnych, choć Vivi opuściła szkołę w wieku trzynastu lat, by zacząć pracować dla Lochravenów.

Mama uparła się, by Lily została w szkole, dopóki nie ukończy siedemnastu lat, co było niemal niespotykane.

- Głupia jesteś, że siedzisz z nosem w książkach - mówiła jej Vivi. - Pomyśl o tym, jak będziemy mogły się bawić, gdy będziesz mieć w kieszeni trochę grosza, Lily.

Vivi była niska, miała krągłe kształty i niedawno wybrała się do salonu fryzjerskiego Silvia's Hairdressing Emporium, by dać sobie zrobić platynową płukankę i wyglądać choć trochę jak Jean Harlow, jej idolka.

- Ale będę musiała pracować dla tej cholерnej lady Irene - stwierdziła Lily.

To był minus posiadania pieniędzy. Jeśli trzeba było je zarobić w Rathnaree, to wolała ich nie mieć. Niestety nie było dla niej innych możliwości w Tamarin. Rodzina Kennedych nie miała pieniędzy, by posłać ją do któregoś z dużych szpitali, gdzie mogłaby się kształcić na pielęgniarkę, co stanowiło jej marzenie. Więc i tak wylądowała w Rathnaree, co oczywiście uradowało Vivi.

Lily pomyślała ze smutkiem, że jedną z najtrudniejszych rzeczy związanych z wyjazdem do Londynu będzie rozstanie z przyjaciółką.

Dzisiejszy ranek był resztką wakacji dla służby. Niewiele było dni, gdy mogli leżeć rano w łózkach i odpoczywać. Jutro będzie już normalnie, czyli gorączkowe ścieranie kurzu, sprzątanie i polerowanie, zaś zlna potem Eileen będzie szykować bażanta na przyjęcie, swoją wyjątkową zupę z leśnych grzybów i piec delikatne ciasto do *creme millefeuilles*, na których przygotowanie nalegała lady Irene.

Fakt, że cała rodzina wyjechała, był jedynym powodem, dla którego Lily zjawiała się w Rathnaree razem z matką.

Nie była tutaj od Bożego Narodzenia, kiedy odeszła, by pracować ze starym doktorem Raffertym w jego przychodni we wsi. Kiedy córka doktora Rafferty'ego wyszła za mąż, Lily skorzystała skwapliwie z szansy, by przejąć jej pracę, polegającą na sprzątaniu po doktorze i pomaganiu mu czasem, w nadziei, że prędzej znajdzie sposób, by szkolić się na pielęgniarkę, jeśli tylko będzie już mieć jakieś doświadczenie.

Lady Irene była wściekła, choć skryła to za zwyczajowymi pozorami braku zainteresowania.

- Skoro chcesz resztę życia spędzić na pracy z chorymi ludźmi, Lily, to życzę ci powodzenia - oświadczyła, kiedy Lily wręczyła jej formalne wypowiedzenie.

Do swej ostatniej pokojówki lady Irene zwracała się po nazwisku - Ryan - ale Lily, ponieważ była córką gospodyni i pojawiała się w Rathnaree, odkąd była małym szkrabem, nie była nazywana Kennedy. Zadowolona mama Lily mówiła, że to dobry znak.

- Ona cię bardzo lubi, skarbie - rzekła z dumą, kiedy Lily awansowała, po zaledwie sześciu miesiącach w Rathnaree, na pokojówkę lady Irene. - A zresztą czemu miałyby być inaczej? Jesteś taka schludna i bystra i jak nikt inny potrafisz ułożyć jej włosy.

Lily miała świadomość, że umiejętność układania rzednących włosów starszej pani niekoniecznie gwarantuje jej uprzejmość. Pięćdziesiąt lat spełniania każdego kaprysu zrobiło swoje.

Wszyscy wiedzieli, że lady Irene była dumna i dorastała otoczona świtą znacznie większą niż teraz. W jej rodzinnej posiadłości w Kildare byli francuscy szefowie kuchni i włoska pokojówka, nie wspominając o dwóch tysiącach akrów doskonałej ziemi uprawnej i ogrodzie w stylu włoskim, który rozciągał się przed ogromną rezydencją w stylu georgiańskim. Wszystko to składało się na fakt, że nie była przyzwyczajona do tego, by jakiś szeregowy członek służby psuł jej szyki.

- Zaskoczona jestem tym, że chcesz odejść - dodała wtedy lady Irene swym niebezpiecznie cichym głosem, zaś na bladej, arystokratycznej twarzy pojawił się niecodzienny rumieniec. Głębokie zmarszczki palacza wokół jej zaciśniętych ust, przykryte warstwą pudru, wyglądały jak bruzdy gniewu. - Sądziłam, że jesteś tu szczęśliwa.

- Jestem, proszę pani - odparła spokojnie Lily. Kiedy przyszło jej zastąpić Ryan, nauczyła się mówić w spokojny i wyważony sposób. Pani była zmienna i jej nastrój potrafił zmienić się w mgnieniu oka. Jej córka, Isabelle,

była dokładnie taka sama. Na szczęście Isabelle rzadko bywała w domu. Kształcono ją za granicą, uczęszczała w Szwajcarii do prywatnej szkoły dla dziewcząt przygotowującej do życia w wielkim świecie, a teraz wraz z kuzynostwem odbywała wycieczkę wokół włoskich jezior. Wojna wybuchła zaledwie cztery miesiące wcześniej i ani major, ani lady Irene nie widzieli w tym powodu do zmartwienia. Nikt nie dostrzegwał zagrożenia w ganianiu po Włoszech w hispano-suizie z osobami takimi jak Monty Fitzgerald i Claire Smythe-Ford. Niepisanym prawem, o którym Lily miała okazję słyszeć, było to, że pieniądze i klasa społeczna wybawiłyby dziewczynę pokroju Isabelle Lochraven z każdych tarapatów.

- Dlaczego w takim razie odchodzisz?

Przez głowę Lily przebiegło całe mnóstwo odpowiedzi: ponieważ nie chcę spędzić reszty swego życia na spełnianiu wszystkich twoich zachcianek, jak moja biedna matka - tak brzmiała główna. Podejrzewała, że lady Irene o tym wie. Lily nie miała ochoty na tę rozmowę.

- Od dziecka marzyłam, by zostać pielęgniarką - odparła zgodnie z prawdą.

- Dla którego doktora mówiłaś, że masz zamiar pracować? - naciskała lady Irene.

Znajdowały się w niewielkim salonie sąsiadującym z sypialnią jaśnie pani. Ulubionym pokoju Lily. Jej własny dom był wygodny i znajdowały się w nim solidne, lubiane przez wszystkich meble, zaś Rathnaree przypominało wiejski dom bez falbanek i ozdóbek, ale ten mały salon był jedynym pomieszczeniem, które zostało urządzone w taki sposób, by odzwierciedlić gust lady Irene: był małą oazą kobiecości. Na wysokich oknach wisiały jedwabne zasłony ozdobione jasnoróżowymi i niebieskimi kwiatami; ciężki stary kominek zastąpiono marmurowym, gdzie rzymskie nimfy figlowały z faunami, meble zaś były delikatne i pozłacane.

- Doktora Rafferty'ego - odparła Lily.

- Och, nie znam go.

Rodzina Lochravenów nie zaszczycała swoją obecnością miejscowego lekarza z Tamarin. Gdy zachodziła taka potrzeba, przyjeżdżał doktor z Waterford.

- Rób, jak uważasz, Lily - rzekła lady Irene, sygnalizując, że przesłuchanie zakończone.

Lily z wdzięcznością czmychnęła z salonu. Tak bardzo nie lubiła lady Irene i ostatnimi czasy coraz trudniej było jej skrywać tę niechęć.

Lily nie była pewna, kiedy straciła szacunek dla swej pracodawczyni: prawdopodobnie wtedy, gdy miała czternaście lat i jej matka spadła z roweru w drodze do domu z Rathnaree późno w nocy, po tym jak czekała do drugiej nad ranem, aż rozjadą się ostatni zaproszeni na kolację goście.

Nazajutrz pojawiła się w pracy o siódmej, tak jak zawsze, cała posiniaczona i obolała po upadku. Lady Irene bąknęła, że poszuka dla niej arniki - czego zresztą nie uczyniła - i jednym tchem oświadczyła matce Lily, że major urządza wieczorem nieplanowane przyjęcie z polowaniem.

- Tylko siedem strzelb, pani Kennedy, naprawdę nic wielkiego.

Lady Irene nazywała matkę Lily panią Kennedy, tak jakby darzenie szacunkiem polegało na właściwym tytułowaniu, a nie rzeczywistej trosce o tę osobę.

Ona nie dbała o nikogo. Nawet o swe cenne rzeczy - ubrania rzucała po prostu na podłogę. Ubrania lady Irene były śliczne - bielizna z krepdeszynu i najlepszego jedwabiu, w brzoskwiniowo-koralowych odcieniach, w których się wyglądało korzystnie, w żadnym wypadku grube wełniane podkoszulki i obszerne koszule o grubym splocie, noszone przez kobiety z rodziny Kennedy, poszarzałe od prania, obcierające skórę i totalnie nietwarzowe.

Lily przysięgła sobie, że jeśli będzie mieć kiedyś pieniądze, też sprawi sobie jedwabne halki i peniuary, spływające

lekko na podłogę. I jeśli rzeczywiście będzie miała te pieniądze, zatrudni kogoś, kto pomagałby jej w domu, ale będzie traktować taką osobę z prawdziwym szacunkiem. Pomyślała ponuro, że Irenę Lochraven mocno wierzy w to, iż urodzenie uczyniło ją kimś lepszym od Mary Kennedy.

Niestety mama Lily także w to wierzyła. Dlaczego nie dostrzegą tego, że jedyne, co różniło Lochravenów od Kennedych, to pieniądze?

- Będiesz pisać, prawda? - zapytała teraz, pijąc szybko herbatę. Wszystko robiła szybko.

- Oczywiście, że tak, mamo - odparła Lily. - To, że Tommy jest beznadziejny w pisaniu listów, nie znaczy od razu, że ja też taka będę. Wszystko wam będę opisywać.

- Będzie mi ciebie brakować - dodała jej matka. - I będę się za ciebie modlić.

- Ja za ciebie też, mamo.

Z powodu wyjazdu czuła wyrzuty sumienia, ale była także podekscytowana. Kiedy stało się jasne, że wojna to nie drobne nieporozumienie, jakupierali się Lochravenowie, lecz coś znacznie poważniejszego, ona i doktor Rafferty rozmawiali o możliwości zostania pielęgniarką w Londynie. Kiedy Tommy zaciągnął się do wojska, Lily to zmobilizowało. Gdzieś tam na odkrycie czekał cały świat i nie mogła się doczekać, by stać się jego częścią.

Dwa dni później Lily usiadła na skraju twardego łóżka i poklepała spraną, miękką narzutę. Czuła ulgę, że pokój w bursie dla pielęgniarek musi dzielić tylko z dwiema innymi studentkami. Formalne pismo ze szpitala Royal Free w Hamstead nie zawierało wielu szczegółów dotyczących zamieszkania, z wyjątkiem ich nowego adresu: przerażająco dwuczłonowa bursa dla pielęgniarek Langton-Riddell.

Na promie do Holyhead Lily wyjęła pismo i rozłożyła je na kolanach, zastanawiając się, czy dobrze robi. Kiedy jednak dotarła do Londynu, wiedziała już, że tak.

To było jej trzecie duże miasto w ciągu tyluż dni: Waterford, Dublin, a teraz Londyn, i zamiast czuć przerażenie na zatłoczonych ulicach tak różnych od wzgórz Tamarin, była pełna energii, podekscytowana, szczęśliwa.

Jak mogła się wcześniej bać? Bardzo jej się wszystko podobało: wszyscy ci ludzie, ruchliwe ulice, samochody i tramwaje oraz ogromne, eleganckie budynki, przy których Rathnaree wyglądało jak nora.

Teraz, kiedy już zakwaterowana była w bursie, Lily cieszyła się, że jej wyobrażenie o ściśniętych razem studentkach nie okazało się prawdziwe. Z ulgą obejrzała ten uroczy, choć niewielkich rozmiarów pokój. Jak na razie przyjechała tylko jedna współlokatorka, dziewczyna, która miała pewnie tyle samo lat, co ona - dwadzieścia jeden - jednak wyglądała na znacznie bardziej wyrafinowaną. I znacznie mniej ucieszoną z ich lokum.

W pokoju znajdowało się wszystko, czego potrzeba było Lily: ciężkie zasłony dla ochrony przed chłodem, toaletka z kwiecistą misą i takim samym dzbanem, dość wysłużona komoda, na której stało pordzewiałe lustro, a obok każdego z trzech łóżek z żelaznymi ramami i schludnymi narzutami znajdował się mały taboret, naprędce przekształcony w nocny stolik. Po obu stronach drzwi powbijane były gwoździe do wieszania ubrań.

Lily zdarzało się spać w znacznie gorszych warunkach.

Ale jaśnie pani Dianie Belton, która rozglądała się teraz po pokoju z czymś zbliżonym do szoku, najwyraźniej nie.

Vivi, która była impulsywna, na pewno zaczęłaby się cackać z Dianą i pytać ją, czy wszystko w porządku. I kiedyś Lily zrobiłaby tak samo. Ale dzisiaj się powstrzymała.

Wychowała się w cieniu wielkiej rezydencji i nauczyła jeszcze jako mały brzdąc, że ludzie w wielkich rezydencjach są inni.

- Wyjątkowi - mawiała jej matka, kiedy siedziała i psuła wzrok, naprawiając koronki dla lady Irene. - Czyż to nie

śliczne, Lily? Dotknij tylko. Nie czułabyś się jak księżniczka, gdybyś mogła coś takiego nosić?

Dlaczego pieniądze, ziemia i delikatne koronki czyniły ich innymi? Czyż wszyscy nie byli takimi samymi dziećmi Boga?

Tutaj, w Londynie, nie była córką Toma i Mary Kennedych, która dobrze się spisywała jako pokojówka jaśnie pani. Tutaj była taka sama jak jaśnie pani Diana: przyszła pielęgniarka. Nie miała zamiaru zaczynać rozmowy ani przeproszać za warunki mieszkaniowe tej dziewczyny w tweedowej garsonce, perłach na szyi i futrzanym kołnierzu. Jaśnie pani Diana najpewniej odrzuciłaby do tyłu swe nieprawdopodobnie jasne włosy i zlekceważyła Lily: lekceważenie osób o niższej pozycji było bez wątpienia czymś, w czym miała duże doświadczenie.

Wcześniej Diana zachowała chłodne milczenie, kiedy dziewczęta powitała surowa Siostra Jones.

- Pobudka o szóstej, śniadanie szósta dwadzieścia, a o siódmej na oddziale - odczytała spokojnie Siostra Jones. - W pomieszczeniach w piwnicy będą się odbywać wykłady ze szkolenia wstępnego i jutro otrzymacie rozkład zajęć. Przez pierwsze dwa miesiące będziecie pracować do ósmej wieczorem z jednym dniem wolnym raz na dwa tygodnie. Od uczennic oczekuje się, że będą w bursie przed dziesiątą, kiedy to zamykane są drzwi. Późniejszy powrót jest możliwy za pozwoleniem Siostry Przełożonej, ale wyłącznie w przypadku wyjątkowych okazji: wtedy będzie wam wolno pozostać poza bursą do jedenastej. Nie wolno zapraszać gości. Zrozumiano?

- Tak, Siostrze - mruknęły zgodnie.

Następnie odczytano przydziały do poszczególnych pokoi. Lily i Diana w milczeniu weszły po schodach, niosąc swoje torby i od tamtej pory Diana nie odezwała się ani słowem.

Jak sobie chce, pomyślała z irytacją Lily.

Wstała i zdjęła swój bardzo prosty płaszcz z wełny czesankowej, który nigdy nie układał się na niej tak, jak garsonka Diany, nawet kiedy był nowy. A daleko mu było do nowości. Lily kupiła go trzy lata temu w sklepie tekstylnym Quilian w Tamarin, co samo w sobie wydawało jej się aktem niezależności, jako że wcześniej kupowała odzież pod nadzorem matki w sklepie McGarry. Czuła zadowolenie za każdym razem, gdy widziała ten płaszcz, zadowolenie z tego symbolu dorosłości i ze swego pierwszego zakupu, wybranego przez siebie i zapłaconego własnymi pieniędzmi. Ale teraz, w sąsiedztwie olśniewającej Diany w cudownie skrojonym tweedzie, czuła się w nim gamoniowata i brzydka.

Powiesiła płaszcz i zaczęła rozpakowywać swą małą walizkę.

Kiedy Diana odezwała się cichym, pełnym wahania głosem, Lily była tak zaskoczona, że aż podskoczyła.

- Jestem Diana Belton. Strasznie mi przykro, że wcześniej nie zostałyśmy sobie należycie przedstawione. Pewnie uważasz mnie za wyjątkowego gbura, ale czuję się tu bardzo nieswojo.

Diana w formalny sposób wyciągnęła rękę, nadal odzianą w zamszową rękawiczkę.

- Lily Kennedy - powiedziała Lily, sztywno także wyciągając dłoń.

- Jesteś z Irlandii! Och, uwielbiam Irlandię, wspaniałe polowania.

Polujesz?

- Nie - odparła spokojnie Lily.

- Nie, przepraszam, oczywiście, że nie - mruknęła Diana.

- Dlaczego „oczywiście”? - zapytała ostro Lily. - Dlaczego nie powinnam polować?

Siedziała raz na koniu do polowań lady Irene, olbrzymim dereszem o imieniu Abu Simbel. Przejechała się na nim tylko wokół dziedzińca, a i tak przez cały czas sztywna była z przerażenia. Bóg jeden wiedział, jak ludzie potrafili prze-

skakiwać na koniach nad krzakami i rowami, galopując dziko za jakimś biednym lisem. Ją to przerastało.

- Obraziłam cię. - Diana przyłożyła dłonie do swych idealnie czerwonych ust. - Tak bardzo cię przepraszam. - I rozplakała się. - Musi mi się tutaj udać. Mój ojciec mówi, że zachowuję się jak niemądre dziecko i że się bardzo na mnie gniewa. Nie potrafi zrozumieć, dlaczego nie zostałam w domu i nie poszłam do Pomocniczej Służby Wojskowej, mówi, że obetnie mi kieszonkowe i, och, różne straszne rzeczy, więc muszę to zrobić. Muszę tu wytrzymać. Tego właśnie chcę, zrobić coś ze swoim życiem.

Lily usiadła obok Diany. Przekonała się, że są niemal równego wzrostu i postury. Diana miała wąskie biodra, długie nogi i całkiem spory biust, dokładnie tak, jak ona. Uświadomiła sobie teraz, że błędnie oceniła Dianę. Ta chłodna pewność siebie skrywała koszmarnie zdenerwowanie.

- Mój ojciec też nie chciał, żebym tu przyjeżdżała - wyznała. - Chce wiedzieć, dlaczego mam zamiar opatrywać ludzi podczas wojny, która według niego w ogóle nie powinna była wybuchnąć. Nie lubi wojny: wystarczająco dużo mieliśmy jej u siebie. Ale to jest jedyny sposób na to, bym mogła porządnie wyszkolić się na pielęgniarkę, i ja także chciałam coś zrobić.

- Boże drogi, tatuś uważa, że wojna to jedyne wyjście - oświadczyła Diana. - Jest dosłownie wściekły na to, że przez chorą nogę nie mógł zaciągnąć się do dawnego pułku. Należy do obrony cywilnej. Nie wierzy, że sprawdzę się jako pielęgniarka. Jednak nie wydziedziczy mnie - bo nic nam nie zostało.

Nagle obie zaczęły się śmiać, a Diana jedwabną chusteczką otarła Izy.

Otworzyły się drzwi i do środka zajrzała mała, piegowata twarz z mnóstwem jasnych loków.

- Jestem we właściwym miejscu? - zapytała z silnym cockneyowskim akcentem.

- To pokój numer piętnaście - odparła Lily.

- W takim razie oto ja - oświadczyła dziewczyna i weszła do pokoju, ciągnąc za sobą walizkę, która wyglądała na większą od niej. Dziewczyna była drobna, jak starsza wersja Shirley Tempie z tymi loczkami, ale jej śmiech i kocie oczy sprawiły, że wyglądała nieco doroślej. - Maisie Hig-gins - przedstawiła się. - Rety, już płaczesz! - Wpatrywała się w mokre od łez policzki Diany. - Słyszałam, że Siostra Przełożona to herod baba, ale nie sądziłam, że od razu zaczniesz strzelać z bicza.

Pierwsze tygodnie w wielkim starym szpitalu na Grays Inn Road były trudne i wyczerpujące. Lily i Maisie były przynajmniej przyzwyczajone do porannego wstawania - Maisie pracowała wcześniej jako praktykantka w salonie fryzjerskim - ale dla Diany to był prawdziwy koszmar. Jedzenie było dobre, pomimo racjonowania żywności. Ale najtrudniejsze było przyzwyczajenie się do kontaktu z prawdziwymi pacjentami. Każdy, kto wcześniej sądził, że przed pracą na oddziale będzie mnóstwo teorii i lekcji, przeżył szok.

Chociaż dopiero się uczyły, od razu je rzucono na głęboką wodę.

- Mamy wojnę - oświadczyła im jedna z opiekunek tego pierwszego dnia, kiedy prowadziła je od oddziału do oddziału, pozwalając poznać wielkość szpitala. - Mówię to ze smutkiem, ale to doskonały czas na naukę, ponieważ zobaczycie rzeczy, których nie widziałyście nigdy wcześniej. Jedna czwarta zeszłorocznego naboru odpadła, nie dała sobie z tym rady. Tak więc, drogie panie, wszystko zależy od was.

Jedna z ich grona zwymiotowała, widząc zmianę opatrunków poparzonego. Lily czuła, że zaraz do niej dołączy. Ale wytrzymała. Jeśli miała dobrze wykonywać tę pracę, będzie się musiała nauczyć radzić sobie z gorszymi widokami. Nie miała zamiaru odpaść.

- Wszystko w porządku? - wyszeptała do Diany, której twarz pod wykrochmalonym pielęgniarzkim czepkiem zrobiła się zielona.

- Nie bardzo - mruknęła Diana, chwając się.

- Pomyśl, jak ciężko będzie temu biednemu człowiekowi, jeśli wszystkie pouciekamy, gdzie pieprz rośnie - rzekła Lily ze wzrokiem utkwionym w twarz pacjenta. Obserwowała straszliwie zwęglone krawędzie poparzeń i znajdującą się pod spodem żywą, różową skórę.

- Tak jest - przełknęła ślinę Diana. - Rozumiem.

- Uśmiechnęła się do mężczyzny.

- Dobra robota, siostrzo Belton - rzekła opiekunka.

- Myślałam, że na chwilę panią straciliśmy.

- Nie ma mowy - odparła Diana, ściskając mocno dłoń Lily.

Lily z zaskoczeniem i zadowoleniem odkrywała, że w Royal Free są także studentki medycyny.

- Ciekawe, czy tak jak my dostają najbrudniejszą robotę? - zapytała w zamyśleniu Maisie.

- W żadnym, kurczę, razie - odparła inna z prakrykantek. Przyszłym pielęgniarzkom przypadały bez wątpienia

najgorsze prace na oddziałach, głównie bieganie z basenami i mycie pacjentów. Jedna z bardziej sadystycznych sióstr oddziałowych zapalała natychmiastową niechęcią do Diany i przydzielała jej najokropniejsze zadania, włącznie ze zmianą opatrunku zranionego krocza.

Tego wieczora w niewielkiej świetlicy opowiedziała pozostałym dziewczętom, że prawie umarła z zakłopotania.

- Nie wiem, kto z nas był bardziej czerwony - westchnęła Diana. - On czyja. Biedny chłopiec.

- Biedny chłopiec! - powtórzyła jak papuga Cheryl, twarda dziewczyna z Walthamstow, która nigdy nie przegapiła sposobności, by dogryźć Dianie z powodu jej wytwornego akcentu. - Cholerna paniusia - rzekła Cheryl. - Za kogo się

ona uważa, za wielką damę? Powinna zostać w domu z kamerdynerem. Nie chcemy tutaj takich, jak ona.

To był kolejny długi dzień i Lily padała z nóg. Ale mimo to dotarło do niej, że trzeba zareagować.

Podniosła zmęczone ciało z krzesła, wstała i położyła dłonie na biodrach.

- Masz niewyparzony język, Cheryl - oświadczyła zimno.

- Diana nie patrzy na ciebie z góry, więc ty powinnaś przestać patrzeć z góry na nią.

To przystopowało Cheryl.

- Ja patrzę na nią z góry?

- Na mnie też patrzysz z góry? - kontynuowała Lily.

- Jestem dużą, tępą Irlandką, kiedy nie słyszę?

- Nie - odpowiedziała szybko Cheryl. - Ty jesteś inna...

- Każda z nas jest inna - rzekła ostro Lily. - Pora, żebyś się do tego przyzwyczaiła.

- Bo inaczej co? - Na twarzy Cheryl pojawił się twardy wyraz.

Lily wyprostowała się.

- Wychowywałam się na gospodarstwie. Mój ojciec jest kowalem, a moja matka służącą, a ja potrafię wyprać delikatną halkę równie łatwo, jak pomóc przy podkuwaniu konia. Zebrałam w życiu sporo cięgów przed przyjazdem tutaj i nie mam zamiaru znosić ich ani trochę więcej od kogoś takiego, jak ty, damusiu. Nie jestem zwolenniczką podnoszenia pięści, ale gdybym to zrobiła, wysłałabym cię na tamten świat, możesz mi wierzyć. Zostaw więc Dianę w spokoju.

- Dzika Irlandka! - zawiwatował ktoś.

- Świetnie - warknęła Cheryl i nabzdyczona opuściła świetlicę.

- Tak bardzo ci dziękuję - wyrzuciła z siebie Diana, chwytając Lily za ramię. - To najmiłsza rzecz, jaką ktokolwiek dla mnie zrobił.

Miała w oczach łzy. Lily uświadomiła sobie, że na pewnym etapie będzie musiała wytłumaczyć Dianie, że kiedy czuła się niepewnie, przybierała lodowatą postawę, która sprawiała zupełnie odmienne wrażenie.

- Myślę, że nasza trójka powinna się trzymać razem - dodała Maisie. - Lily potrafi poradzić sobie ze wszystkimi kłopotami, Diana może nas wprowadzić do wytwornych restauracji, a ja mogę robić nam fryzury. Co wy na to, dziewczęta?

We trzy popatrzyły się na siebie i uśmiechnęły szeroko.

- Mnie pasuje - rzekła Lily.

Kto by pomyślał, że jedną z jej nowych przyjaciółek będzie ktoś równie arystokratyczny jak lady Irene? Niech no tylko opowie o tym Vivi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Izzie, Anneliese i Brendan siedzieli przy kuchennym stole, a przed nimi stała nietknięta herbata. To właśnie dzięki herbacie do Izzie dotarło, iż jest w domu: jedynie tam, gdzie przyszła na świat, wszyscy byli przekonani, że kiedy zawodzi wszystko inne, zaparzenie herbaty pomaga.

Ojciec siedział naprzeciwko niej i wyglądał znacznie starszej niż ostatnim razem. Nie było jej w domu od ponad roku - jak to się działo, że wizyty stawały się tym rzadsze, im dłużej mieszkało się za granicą?

Plusem emigracji było to, że człowiek nigdy nie przebywał w domu na tyle długo, by irytowały go wszystkie drobne, denerwujące dziwactwa twojej rodziny, które przy bliskich kontaktach bywały mocno męczące. Minusem było natomiast to, że podczas nieobecności emigranta rodzina tak bardzo się starzała.

Za każdym razem, kiedy Izzie przyjeżdżała, miała wrażenie, że ogląda kolejną klatkę w przyspieszonym fragmencie filmu.

Tata miał sześćdziesiąt siedem lat i kiedy mówiła to szybko, wcale nie kojarzyło się to ze starością, dopóki nie przytulili się w szpitalu. Wtedy poczuła, że nie jest już jej postawnym tatą, lecz kimś szczupłym, skurczonym i starszym. No ale ona także nie robiła się coraz młodsza.

Starsza, ale nie mądrzejsza, pomyślała z goryczą. Joe zostawił dwie wiadomości na jej poczcie głosowej. Izzie słu-

chała jego głosu i żałowała, że nie ma w sobie tyle siły, by je wykasować przed odtworzeniem. Nie potrafiła jednak. Niczym osoba uzależniona musiała usłyszeć jego głos, na wypadek gdyby powiedział to, co nade wszystko pragnęła usłyszeć:

„Kocham cię i potrzebuję. Przyjeżdżam, by być z tobą, Izzie”.

Ale nie takie słowa wypowiedział. Wybrał bezpieczną wiadomość, która w zasadzie nie mówiła niczego:

„Wiem, że jesteś zdenerwowana, ale oddzwoń, proszę. Nie chcę, żebyś była tak daleko i żebyśmy ze sobą nie rozmawiali. Zadzwoń”.

Zadzwoń.

Izzie wiedziała, co chciała od niego usłyszeć: „Myliłem się, kocham cię, w pełni rozumiem, czego ode mnie chcesz, a w Nowym Jorku grałem na zwłokę”.

Ale chociaż odeszła, mówiąc, że nie chce go już widzieć, on nie wypowiedział tych słów.

Po raz pierwszy zaczęła łączyć ze sobą dwóch Joe - tego, którego kochała, który był zabawny, ciepły i seksowny i jego wersję biznesową. Ten Joe z całą pewnością nie osiągnął bogactwa i władzy, będąc Panem Naiwniakiem. Czyżby popełniła klasyczny kobiecy błąd, sądząc, że pod maską bezwzględного biznesmena kryje się miś, którego widzi tylko ona? A przez cały ten czas pod maską bezwzględного biznesmena skrywał się bezwzględny mężczyzna.

- Naprawdę cię kocham, ale to nie takie proste - tak powiedział.

Wiedziała, że to nie jest proste. I robiła, co mogła, by o tym zapomnieć, ponieważ uderzył w nią piorun miłości taki silny, iż wydawało się, że bycie razem jest ich przeznaczeniem. To nie była brudna, napędzana fizycznym pożądaniem przygoda, lecz coś prawdziwego. Prawdziwa miłość, ważniejsza niż małżeństwo, będące nim zresztą wyłącznie z nazwy, nieprawdaż? A przynajmniej taką miała nadzieję.

„Nadzieja matką głupich” - tak ktoś kiedyś powiedział. Izzie Silver może i była tępą babą, ale nikt nie uczyni jej głupcem dwa razy.

- Tak sobie myślałem - odezwał się jej ojciec, desperacko pragnąc przerwać panującą w kuchni ciszę - czy to możliwe, że ten Jamie jest bratem Lily, kimś, kto zmarł, gdy była młoda i dlatego nigdy o nim nie słyszeliśmy? Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt lat temu śmiertelność wśród noworodków była ogromna. Jeśli Jamie rzeczywiście był jej młodszym bratem, to wszystko miałyby sens... - Brendan urwał. - Może Edward coś wie, a może jest coś w rodzinnych dokumentach.

Izzie czuła się wykończona i zmagala się z jet lagiem, ale nawet w takim stanie była na tyle spostrzegawcza, by wyczuć, że Anneliese wierci się zażenowana. Uznała, że to dlatego, że tata wypowiedział imię wujka.

Kiedy tata zadzwonił do Nowego Jorku, wspomniiał coś o tym, że Edward sprawiał wrażenie dziwnie niechętnego do rozmowy z żoną. Tata nie wiedział, co się dzieje, ale Izzie owszem - nikt nie musiał jej mówić, że coś jest nie tak pomiędzy jej ciotką a wujkiem.

- Gdyby Edward wiedział o jeszcze jednym wujku, który zmarł, powiedziałby nam o tym wiele lat temu - od razu wyczuła, że Anneliese nieco się odprężyła. - Wiecie, jak bliskie byliśmy sobie z babcią. Ona z pewnością by mi powiedziała o młodszym bracie, który zmarł w dzieciństwie, prawda? Jestem pewna, że była tylko ona i Tommy.

- No cóż - odezwała się posepnie Anneliese. - Nie wiemy, kim jest ten jakiś Jamie, więc może nie wiemy tyle, ile nam się wydawało. Nawet jeśli bardzo dobrze się kogoś zna, można odkryć, że ten ktoś skrywa przed tobą jakieś tajemnice.

- To prawda - przyznała Izzie, myśląc o Joem i o tym, jak została przez niego oszukana. A może on jej wcale nie oszukał. Może tak bardzo pragnęła z nim być, że sama to zrobiła.

Niemniej jednak poznanie kogoś w pełni okazywało się trudniejsze, niż z pozoru można by sądzić. I z jakiegoś powodu kochana Anneliese czuła to samo.

- Sądźcie, że Lily wróci jeszcze do nas? - zapytała apatycznie Anneliese.

- Nikt tego nie wie, skarbie - odparł tata. - Teraz to zależy tylko od Boga.

We trójkę zostali w szpitalu przez godzinę, a po tej krótkiej chwili przytomności, kiedy Lily zawołała „Jamie!”, nie wydarzyło się nic nowego. Babcia leżała, nadal nieobecna. Nie otworzyła oczu, nie poruszyła się ani nic nie powiedziała. Cała nadzieja, którą Izzie czuła podczas lotu do domu, teraz uleciała.

Młoda lekarka, która z nimi rozmawiała, naprawdę nie wiedziała, co powiedzieć.

- Przykro mi, ale w tej chwili nie ma prostych odpowiedzi.

Izzie pomyślała, że ta kobieta jest przynajmniej szczerą. Wołała to niż nastawienie typu „Jestem lekarzem, wiem wszystko”.

- Wykonaliśmy tomografię komputerową, podajemy jej heparynę, by zahamować progres lub zapobiec pojawieniu się kolejnych udarów, ale obawiam się, że w mózgu państwa babci miał miejsce rozległy krwotok. A w przypadku, gdy po wylewie następuje śpiączka, nie wróży to dobrze. Nie wszystko jest przesądzone, równie dobrze może nastąpić samorzutna odnowa neurologiczna, ale naprawdę nie mamy pojęcia, czy tak właśnie się stanie. Obawiam się, że pozostaje jedynie czekać. Dodatkowym problemem, spowodowanym wiekiem państwa babci, są inne przypadłości, takie jak problemy z sercem i zapalenie płuc. I obawiam się, że w ciągu ostatniej doby praca jej serca była dość nieregularna. To nas w tej chwili niepokoi najbardziej.

- Z sercem także nie jest za dobrze? - Izzie skryła twarz w dłoniach. Robiło się coraz gorzej. - Myślałam, że skoro się

odezwała to możliwe, że z tego wyjdzie. To z pewnością jest dobry objaw, prawda? Znaczy, że ona wraca, tak?

- Przykro mi, ale to nie jest wcale takie proste - odparła lekarka. - Kto wie, co państwa babcia widzi teraz lub w co wierzy. Ludzie w jej stanie potrafią w pewien sposób reagować na głosy, więc to najzupełniej naturalne, że pani głos poruszył w niej coś, ale jeśli chodzi o to, co ona teraz myśli, to nie mam pojęcia. Nie wiemy także, czy obudzi się ze śpiączki. Sprawujemy nad nią nadzór i staramy się, by funkcje życiowe były stabilne.

- A jeśli się już nie obudzi? - Anneliese zadała pytanie, do którego nie mogła się zmusić Izzie.

- Każdy przypadek jest inny. Będę z państwem szczerą: jeśli osoba w jej stanie nie odzyska pewnej sprawności neurologicznej w ciągu pierwszych trzech tygodni do miesiąca, to rokowania nie są dobre. Będziemy musieli poczekać i się przekonać. Na chwilę obecną chcemy pilnować stabilności jej stanu i zobaczymy, co będzie dalej.

Pierwsze trzy tygodnie do miesiąca? Izzie czuła się chora na samą tę myśl. Opuszczała szpital, dotkliwie czując pustkę.

Dwadzieścia siedem lat temu czuła się tak samo, kiedy zmarła jej matka. Izzie pamiętała, że wydawało jej się, że część ziemi usunęła się spod nóg, pozostawiając ogromną, ziejącą otchłań.

Różnica była taka, że przed śmiercią mamy było trochę czasu, jakieś ostrzeżenie. Za mało rzecz jasna, ale Izzie miała przynajmniej szansę się pożegnać.

Na myśl o tym pożegnaniu ścisnęło się jej serce. No dalej, pomyśl o czymś innym, nakazała sobie w duchu.

Anneliese przesunęła krzesło, by usiąść obok Izzie. Boże, ona miała taką intuicję, zawsze tak było. Ona i babcia okazały się wspaiałe, kiedy zmarła mama. To nie było to samo, co mieć mamę, do której można się zwrócić, ale wspierały ją, tworząc razem z jej ojcem coś na kształt trójkąta rodzicielskiego. To była swoista nowa rodzina: niekonwencjonalna, niezdarnie sklecona, ale rodzina.

Teraz zaczynała się rozpadać i pojawiła się następna ziejąca otchłań. Ale to wszystko wydarzyło się tak szybko. Nie było czasu na to, by się przygotować, powiedzieć to, co nie zostało wypowiedziane. Możliwe, że babcia umrze, nie uśmiechnąwszy się więcej do Izzie czy nie powiedziawszy jej, że wszystko będzie dobrze, że jest kochana...

Izzie nie mogła tego znieść.

Zacisnęła powieki. Nie rozplacze się znowu, bo jeśli zacznie, nie zdoła powstrzymać wylewającego się z niej smutku, a to za mocno bolało. Anneliese objęła Izzie, nie mówiąc ani słowa, jedynie mocno przytulając.

- Księgi parafialne - odezwał się nagle tata. - Moglibyśmy poszukać w dawnych księgach parafialnych narodzin i zgonów, by sprawdzić, czy pojawi się gdzieś Jamie albo James.

- Tak, tato.

Izzie wyplątała jedną rękę z uścisku swej ciotki, by ująć jego dłoń i siedzieli tak, tworząc nieporadne, nieregularne trio wokół starego kuchennego stołu. Czasami zwyczaj taty, by skupiać się na niezbyt ważnych szczegółach, irytował Izzie. Ale teraz zrozumiała, co to takiego: taktyka przetrwania.

Jego teściowa przeszła razem z nim najciemniejsze momenty życia, a teraz może jest umierająca. Zamiast stawić czoło temu zinnemu, gołemu faktowi, tata postawił sobie za cel coś innego.

- Czy to ważne, kto to taki? - zapytała Anneliese z nutką irytacji w głosie. - Słyszałeś tę lekarkę: nikt nie wie, co się dzieje w głowie Lily. Jamie może być kimś ważnym, ale równie dobrze może to być jej listonosz.

- Listonosz ma na imię Calum - odparł uparcie Brendan.

- W takim razie nie listonosz - wtrąciła szybko Izzie. Takie rozdrażnienie nie było w stylu jej ciotki. Uścisnęła Anneliese po raz ostatni, by jej pokazać, że wszystko już dobrze. Anneliese przesunęła z powrotem krzesło i kubek. - Beth

przyjeżdża? - zapytała, by odwrócić jej uwagę i natychmiast poczuła wyrzuty sumienia, ponieważ Anneliese odwróciła wzrok, jakby mogła w ten sposób ukryć niepokój, który pojawił się w jej spojrzeniu.

- Nie, teraz nie może przyjechać i nie chcę jej martwić - odparła.

- Oczywiście - rzekła Izzie pogodnym tonem, jakiego używała podczas kontaktów telefonicznych z klientami, którzy jej mówili, że nie chcą którejs z modelek z jej stajni.

Niemartwienie Beth było mantrą towarzyszącą jej dorastaniu. W ich rodzinie to Izzie była osobą, która miała wszystko poukładane, która wiedziała, dokąd zmierza w życiu. Beth była tą młodszą, delikatną, czasami niefrasobliwą, tą, której może się nie powieść na tym świecie. Jakże to wszystko okazało się mylne. Beth była teraz szczęśliwą żoną Marcusa, zaś Izzie zakończyła właśnie kolejny nieudany związek. Właściwie to nawet nie porządny związek: związek z mężczyzną żonatym. I która z nich była teraz tą kruchą i niefrasobliwą?

Cholera, musiała przestać tak myśleć. Gonila w piętke i miała otępiały mózg. Powinna myśleć o babci, a nie o cholernym Hansenie.

Nagle poczuła się strasznie zmęczona. To był smutny, samotny powrót do domu, któremu towarzyszyło jedynie przygnębienie. Pragnęła, by wszystko było tak, jak wcześniej, nim babcia zachorowała; nim dotarło do niej, że tata się starzeje; nim przekonała się, że coś jest nie w porządku pomiędzy Anneliese a Edwardem. Nim wszystko się pochrzaniło z Joem.

Wstała szybko od stołu.

- Przepraszam - powiedziała. - Chyba dopadło mnie zmęczenie po podróży. Idę się położyć.

- Oczywiście. - Anneliese wstała i przytuliła ją raz jeszcze. Izzie wtuliła się w ramiona ciotki i zdusiła w zarodku łzy.

- Później zadzwonię do ciebie - wyszeptała Anneliese.

- Fajnie.

Gdy Izzie się obudziła, przez kwieciste zasłony do pokoju przesączało się światło. Miała wprost niesamowity sen i pragnęła go opowiedzieć Joemu. Byli gdzieś razem na wakacjach, w jakimś słonecznym zakątku, możliwe że w Meksyku, i czuła, jak słońce brązowi jej skórę. Potem lecieli gdzieś małym samolotem, teraz zaś znaleźli się z powrotem w ich ślicznym, pełnym światła apartamencie w lofcie. Czuła, jak przepęnia ją ogromne zadowolenie i przekręciła się na łóżku, by dotknąć Joego. I dopiero wtedy rozbudziła się do końca. W łóżku nie było Joego. Nagle dotarło do niej, że właściwie nigdy ze sobą nie spali. To wszystko było tylko snem. Ich wspólne spanie ograniczało się do krótkich drzemek po tym, jak się kochali: poprawka - po tym, jak uprawiali seks.

Nigdy nie zamieszkaliby razem w przestronnym i widnym lofcie w Nowym Jorku; najpewniej w ogóle by mu się tam nie podobało. Nie była pewna, co mu się podoba, jeśli chodzi o domy i mieszkania. Nigdy nie widziała miejsca, w którym mieszkał. Zamiast tego leżała sama w swoim starym łóżku w Tamarin, w pokoju z jasną tapetą, którą sama wybrała, kiedy miała osiemnaście lat, a w którego okno uderzały poruszane wiatrem gałęzie jabłoni. Joe nigdy tego nie zobaczy, nigdy nie pozna miejsc związanych z jej dzieciństwem, nigdy tu nie przyjedzie, najpewniej nigdy nie pozna babci.

- Izzie, jesteś kretynką - powiedziała głośno.

Przetarła oczy, usuwając z nich resztki snu, odrzuciła kołdrę i wstała. Nie ma co patrzeć wstecz: pora patrzeć przed siebie. Było po jedenastej. Spała piętnaście godzin, a teraz była głodna i chciało jej się pić.

W T-shircie i spodniach od piżamy poszła na dół. Taty nie było, ale zostawił jej kawę w dzbanku, a obok leżała kartka.

„Izzie, w lodówce masz coś do jedzenia. Mam nadzieję, że Medy wstaniesz, kawę da się jeszcze wypić. Jestem pod komórką i później wpadnę do szpitala. Zadzwoń, jeśli będziesz chciała, żebym cię podrzucił, w przeciwnym razie zjawię się o pierwszej”.

Wypiła kawę, zjadła dwie kromki pieczonego irlandzkiego chleba sodowego z gorzką marmoladą, wzięła prysznic, a potem sprawdziła wiadomości na BlackBerry. Była jedna od Carli - przyjaciółka życzyła jej wszystkiego dobrego i miała nadzieję, że wszystko w porządku, kilka wiadomości od ludzi z pracy, i jedna od Andy'ego, który mieszkał dwa piętra pod nią: dzwonił, a teraz pyta, czy chciałaby się wybrać do kina z nim i kilkorgiem znajomych.

Później będzie do niego musiała zadzwonić i powiedzieć mu, że jest w Irlandii. Była też wiadomość od Stefana, dotycząca konkursu SupaGirl! Przekaze to Carli. Ani słowa od Joego. Co nie znaczy, by wcześniej wysyłał do niej jakieś e-maile - pomyślała zjadliwie, że był zbyt sprytny, by pozostawiać elektroniczne dowody ich przygody. Ale posiadał jej adres e-mailowy, więc mógł do niej napisać, gdyby rzeczywiście desperacko pragnął się z nią skontaktować.

Wyglądało na to, że kiedy zaczynały się kłopoty, twardziele znajdowali sobie inne towarzyszki miłosnych zabaw. Wielkie dzięki, Joe, cudownie się przekonać, że odległość okazała się dla ciebie za duża.

Pozostawiła na blacie wiadomość dla taty - „Idę do szpitala, pewnie tam się spotkamy. Jeśli nie, to wracam po południu” - i wyszła z domu. Zdążyła już zapomnieć, jak małe jest Tamarin. Jedną z przyjemności życia na Manhattanie było to, że jest on funkcjonalnie urządzony i stosunkowo niewielki w porównaniu na przykład z Los Angeles, ale Tamarin było tak cudownie małe, a ona o tym zapomniała. W pół godziny mogła przejść przez całe miasteczko, a pewnie z dziesięć razy musiałaby przystanąć, by porozmawiać z kimś znajomym.

Po drodze złapała się na roztrząsaniu, jak by to było mieszkać znowu w Tamarin. Może to właśnie było rozwiązanie: uciec od Nowego Jorku i tych wszystkich toksycznych facetów, których tam poznawała, zamieszkać w jakimś spokojniejszym miejscu, do którego czuła przynależność. Ale z kolei

Nowy Jork był idealny do mieszkania, jeśli ktoś nie miał poczucia, że jego miejsce jest gdzie indziej. W Nowym Jorku wszyscy odnajdywali swoje miejsce.

Babcia nigdy nie naciskała na nią, by wróciła do domu. Nie należała do ludzi, którzy wpędzają innych w poczucie winy. Ani razu, przez wszystkie te lata, gdy Izzie mieszkała daleko, babcia nie narzekała, że wnuczka nie dzwoni, nie pisze, nie odwiedza jej czy nie przeprowadza się do domu.

Idąc przez miasto, w którym jej babcia spędziła większą część swego życia, Izzie żałowała, że nie mogą o tym porozmawiać.

Dlaczego gdy ktoś był chory, myślało się o wszystkich tych rzeczach, których się nie powiedziało? Aż do dziś Izzie była przekonana, że powiedziała wszystko, a jednak istniały pewne luki w ich rozmowach, luki, których niestety nie mogła teraz wypełnić.

- Babciu, przykro mi, że nie wyszłam za mąż i nie urodziłam dzieci. Wiem, że bardzo byś chciała mieć prawnuki, i że świetnie się dogadujesz z dziećmi. Ze mną szło ci wspaniale. Ale tak się po prostu nie stało.

Co jeszcze powinna powiedzieć?

- Jak się znajduje miłość, babciu? Ty tak bardzo kochałaś dziadka. Ale skąd wiadomo, że to miłość i jak się ją zdobywa? Za czasów twojej młodości było łatwiej? Szybciej się brało ślub? Czy teraz jest inaczej dlatego, że spotykamy się z ludźmi, uprawiamy seks, odchodzimy od nich i nie musimy brać z nimi ślubu?

Izzie pomyślała, że gdzieś kiedyś przeczytała, iż związki, w których ludzie byli przez wiele lat razem przed ślubem, częściej kończyły się rozwodem niż w sytuacji odwrotnej. To nie miało sensu.

Poznanie kogoś dzięki wspólnemu zamieszkaniu wydawało się czymś właściwszym, ale babcia nie mogła zamieszkać z dziadkiem Robbym przed ślubem. Firanki w Tamarin z obu-

rzeniem odsuwano by na bok, gdyby coś takiego działo się pięćdziesiąt pięć lat temu. Mimo to żyli razem, choć przejście od samotności do małżeństwa musiało być wielkim krokiem w czasach, gdy kobiety stawały przed ołtarzem jako dziewice, zaś małżeńskie łóżce było miejscem okrytym tajemnicą.

Czy przed laty ludzie trwali ze sobą, ponieważ było to lepsze od rozstania?

Izzie dotarła do Harbour Square i westchnęła radośnie na widok jego piękna. To naprawdę było prawdziwe serce Tamarin, było nim już wieki temu, kiedy odbywał się tu lokalny targ, gdzie słony zapach świeżo złowionych ryb mieszał się z zaduchem dochodzącym z kojców, w których trzymano zwierzęta na sprzedaż. Teraz pod nogami nie było ani odrobiny słomy, a jedyne zwierzęta to miejscowe psy, zbierające się przed kafejką *U Doroty* razem ze swymi właścicielami, ale atmosfera pozostała ta sama. Przysadziste palmy przypominały Izzie o tym, że kiedyś w porcie cumowały statki, przyplływające z egzotycznych krajów. Szeroki Harbour Square, przypominający bulwar, pozostał Tamarin w spadku po dziewiętnastowiecznym burmistrzu Emmanuelu Kavanagh, który przybył statkiem z Argentyny, został, by poślubić miejscową dziewczynę i zaprojektował elegancki, szeroki plac, który miał konkurować z otwartymi przestrzeniami jego ukochanego Buenos Aires.

Po niebie śmigają mewy, nawołując się nawzajem i zastanawiając, gdzie by tu przysiąść i obserwować łodzie rybackie, rozładowujące połów.

Panował tu ruch, ale nigdy nie było gorączkowości. Tamarin miało na ludzi uspokajający wpływ: tak jakby cegły, z których zbudowane były tutejsze domy, szeptały informację, że w ciągu dnia wystarczy czasu na wszystko, a jeśli nie, to wszystko spokojnie może poczekać do następnego dnia.

Izzie postanowiła, że w wolnej chwili wróci, usiądzie w kafejce i poobserwuje roztaczające się przed nią miasto,

tak jak czyniła to kiedyś, gdy była uczennicą i siadywała tam z przyjaciółkami, by plotkować i udawać, że nie widzą, iż chłopcy ze szkoły robią to samo. Na razie miała czas tylko na to, by kupić *U Doroty* mocną, kolumbijską kawę na wynos. Babcia uwielbiała tę akurat kawę i Izzie pomyślała, że jeśli siądzie z nią przy łóżku chorej, ta poczuje znajomy aromat. Skoro wczoraj obudził ją sam głos Izzie, to może dzisiaj uda się to głosowi Izzie i tej cudownej woni.

Nie miała okazji sprawdzić słuszności swej teorii, ponieważ kiedy zjawiała się w szpitalu z kubkiem w dłoni, w niewielkim przyszpitalnym ogrodzie zobaczyła swoją ciotkę. Siedziała na ławce po prawej stronie zatoczki dla karetki. Anneliese jej nie widziała: wyglądała tak, jakby miała nie zauważyć nawet meteorytu, o ile nie wylądowałby bezpośrednio na niej. Szpital wybudowano wysoko po wschodniej stronie miasta i górował on nad portem. Anneliese tępo wpatrywała się w morze.

Patrząc na nią, Izzie walczyła z pragnieniem, by wejść do środka i nie stawać twarzą w twarz z tym, co trapiło Anneliese. Nie miała energii na zajmowanie się cudzym bólem. Ale to było wyjście godne tchórza.

- Dzień dobry - powiedziała, siadając na ławce obok swej ciotki.

- Cześć, Izzie - odparła z przygnębieniem Anneliese, po czym skierowała wzrok z powrotem ku morzu.

- Pięknie tutaj - kontynuowała Izzie. W przypadku wątpliwości najlepsza jest rozmowa o niczym.

Anneliese kiwnęła głową.

- Pięknie - powtórzyła.

Izzie pociągnęła duży łyk kawy, mając nadzieję, że doda jej ona moralnej odwagi. Wcześniej wywnioskowała, że istnieje jakiś problem w małżeństwie Edwarda i Anneliese. Miała nadzieję, że to nic poważnego. W Nowym Jorku małżeństwa miały turbulencje każdego dnia i coś takiego było najzupeł-

niej normalne. Ale tutaj było inaczej. Jakby przysięga „dopóki nas śmierć nie rozłączy” nie mogła zostać złamana.

- Co się stało, Anneliese? - zapytała delikatnie. – Chcesz o tym porozmawiać?

Spodziewała się, że Anneliese uczyni pauzę, a potem odpowie jej powoli. Tak się jednak nie stało. Nadal patrząc na morze, głosem pełnym emocji i gniewu, jej ciotka oświadczyła:

- Edward odszedł ode mnie do Neli. Pamiętasz Neli, moją najlepszą przyjaciółkę?

- Co takiego? - zawołała Izzie. - Nie mogę w to uwierzyć. Kiedy?

- Prawie tydzień temu - odparła rzeczowo Anneliese.

- Powiedziałabym ci dokładnie, ile minęło dni i godzin, ale za bardzo przypominałabym wówczas palacza, który liczy, ile czasu minęło od wypalenia ostatniego papierosa, więc tego nie zrobię.

- Odszedł od ciebie do Neli? - powtórzyła Izzie.

- Wróciłam do domu z mszy i zastałam ich razem; nie w łóżku, choć równie dobrze mogli tam być. To zabawne

- dodała, niemal w zamyśleniu - że spanie z kimś innym jest traktowane jako akt najwyższej zdrady. Za najgorsze uważa się pieprzenie kogoś innego, prawda?

Izzie skrzywiła się, słysząc, jak jej łagodna, zawsze kulturalna ciotka używa takiego ostrego, ordynarnego języka. Nigdy dotąd nie słyszała, by Anneliese mówiła w taki sposób.

- Ale wiesz co, pieprzenie nie jest najgorsze - ciągnęła Anneliese. - Intymność, bliskość, dzielenie myśli: to jest najgorsze

i o tym właśnie myślę w każdej minucie każdego dnia. Wciąż myślę o tym, co oni robili. Czy Edward dzwonił do niej albo wysyłał SMS-y w nocy o treści „Co u ciebie, kochanie? Nudzi mi się, żałuję, że nie jestem teraz z tobą.”? I wiem, że to dlatego, że nie był wystarczająco zainteresowany mną, a ja nim. - Odwróciła się twarzą do Izzie. - Wyobrażasz sobie, jak ja się czuję?

Izzie zastanawiała się, czy na jej twarzy widnieje rumieniec spowodowany poczuciem winy. Nie miała pojęcia, co powiedzieć, by ulżyć Anneliese w jej bólu. Niewiele mogła zresztą powiedzieć. Ale nie miała do tego prawa. Gdzieś w Nowym Jorku mieszkała zameężna kobieta taka, jak Anneliese, a jej mąż zdradzał ją z Izzie. Może i się upierał, że nie żyje już z żoną, ale jego czyny udowodniły coś przeciwnego.

- A co powiedział Edward? - zapytała Izzie, pragnąc pomóc, ale wiedząc, że nie jest do tego najwłaściwszą osobą.

- Nie wiedział, co powiedzieć. Poprosiłam go, by się wyprowadził, a potem, kiedy wyszedł z pokoju, ta cholerna Neli upierała się, że ja przez cały czas o wszystkim wiedziałam. Ponieważ każdy głupi wiedziałby, gdyby jego mąż był zakochany w kimś innym - odparła z goryczą. - I o to właśnie chodzi, Izzie: ja nie wiedziałam. Naprawdę. Po trzydziestu siedmiu latach małżeństwa sądzisz, że znasz tę drugą osobę. Oczywiście to kolejna trudna sprawa, jedna z wielu. - Anneliese niemal się roześmiała.

Izzie pomyślała, że zabrzmiało to nieco szaleńczo.

- Na świecie dzieje się tyle strasznych rzeczy, trudno określić najgorsze, ale z całą pewnością w tej całej sytuacji alarmujące jest to, że tak naprawdę nikogo się nie zna. Sądziłam, że mnie kocha. Tym większy ze mnie głupiec. - Anneliese zamilkła na chwilę. - Boże, Izzie, mam nadzieję, że ciebie nikt tak nigdy nie zdradzi. Nie życzyłabym tego nawet najgorszemu wrogowi. Naprawdę myślałam, że Edward mnie kocha. Sporo razem przeżyliśmy i sądziłam, że będziemy razem do samego końca. A teraz jest tak, jakby nic nie było prawdą, jakby wszystko, co razem robiliśmy, było jednym wielkim kłamstwem. Ja postrzegałam nasze życie w jeden sposób, a on w inny. Być może stąd właśnie się wzięło powiedzenie o różowych okularach - rzekła nagle. - Ja miałam je na nosie. Patrzyłam na prawdę i po prostu jej nie widziałam. Musiał być znudzony, mieć dość i mnie nienawidzić. W przeciwnym razie po co miałby chcieć Neli?

Izzie pospiesznie przekopła się przez pamięć w poszukiwaniu Neli. A tak. Neli nie była ani trochę tak atrakcyjna jak Anneliese. Jej ciotka miała wielkie niebieskie oczy, eleganckie rysy twarzy i niesamowite włosy w odcieniu srebrzystoblond, dzięki którym wyglądała jak jasnowidz, ktoś bujający w obłokach. Tak jakby była zdolna do tańczenia na ulicy i zniknięcia w wodzie niczym syrena. W porównaniu z nią Neli była szokująco zwyczajna. Co takiego miała Neli, czego pragnął wujek Edward? To w ogóle nie miało sensu.

- Powiedziałaś Lily? - zapytała Izzie.

Wiedziała, jak blisko Anneliese była z jej babcią. Może to właśnie tak bardzo zaszokowało babcię, że doprowadziło do wylewu. Ale Anneliese najwyraźniej także podążała tym torem myślowym.

- Nie powiedziałam. Byłam za bardzo zawstydzona, zakłopotana, po prostu taka, jak każda kobieta, którą mąż zostawia dla jej najlepszej przyjaciółki. Teraz jest mi przykro, że tego nie zrobiłam. To właśnie robię za każdym razem, kiedy ją widzę: siadam, ujmuję jej dłoń i mówię o tym, ponieważ w niej jest ciepło i mądrość. Rozumiesz, Izzie: wiesz, że możesz powiedzieć jej wszystko. Na pewno niewiele jest dziesięćdziesięcioletnich kobiet, które są tak pozbawione uprzedzeń. Wiem, że Lily nie miałyby problemu z przyjęciem do wiadomości faktu, że ja i Edward się rozstaliśmy, i powiedziałyby mi, co mam dalej zrobić ze swoim życiem. Ale ja milczałam, ze wstydu, a teraz może już nigdy jej tego nie powiem.

Tym razem to Izzie milczała. Poczucie winy przytłoczył wstyd. Poczucie winy było zbyt słabym uczuciem, by określić to, co czuła: był to czysty wstyd.

Przez całe życie przeciwna była umawianiu się z żonatym mężczyzną, a jednak Joemu udało się precyzyjnie, nim zdążyła opuścić szlabany, tak że kiedy w końcu dotarło do niej, jak bardzo to wszystko jest skomplikowane, zanim jej kompas moralny zaczął działać, jej serce znalazło się w potrzasku.

Kochała go i żadna inna opcja nie wchodziła w grę.

Słuchanie historii Anneliese było niczym przyłożenie lustra powiększającego do największych skaz na jej twarzy. Widziała wszystkie olbrzymie pory i pryszcze. Historia Anneliese przedstawiała historię Izzie w bardzo okrutnym świetle.

Dokładnie tak, jak w przypadku Anneliese, żona Joego mogła nadal uważać, że mąż ją kocha. Że wspiera ją, że nie chce z nikim innym dzielić swych myśli i marzeń.

Jedyną różnicą było to, że Edward zostawił Anneliese dla Neli. Miał tyle odwagi cywilnej, by odejść i związać się z kobietą, którą najwyraźniej darzy uczuciem. Natomiast Joe nie miał. To był prosty przekaz, płynący dla niej z tej historii - Joe nie kochał jej na tyle mocno. Nieważne było to, czy kłamał, kiedy powiedział, że on i Elizabeth nie są już razem: nie chciał być z Izzie, kiedy ona go potrzebowała.

Pomimo poczucia winy i wstydu czuła, że zaraz się może rozplakać.

Anneliese patrzyła się na nią i czuła niesamowite wyrzuty sumienia, że o wszystkim jej powiedziała. Wydawało się takie absurdalne to, że kochana Lily leżała w szpitalu, a ona musiała ujawniać smutne szczegóły swego życia.

Biedna Izzie, nic dziwnego, że była taka zaszokowana, milcząca i bliska łez. A skoro Izzie była zaszokowana, Anneliese nie chciała nawet myśleć o tym, co zrobi Beth, kiedy się o wszystkim dowie. O Boże, Beth. Anneliese wiedziała, że wstrzymywanie się z powiedzeniem córce jest tchórzostwem, ale po prostu nie była w stanie się z tym zmierzyć.

Przypomniała sobie, jak jej matka wyjaśniała, czym jest więź matki i dziecka, gdy była w ciąży z Beth:

- To największa miłość - rzekła jej wtedy. - Największa z możliwych. Nie jestem ci w stanie tego wytłumaczyć, nikt nie jest. Za kilka miesięcy będziesz mieć to dziecko, które jest całkowicie od ciebie zależne i nikt inny nie będzie się liczył, nikt, nawet Edward.

- Mamo, nie bądź niemądra - zaśmiała się Anneliese.

- Nie, mówię poważnie - upierała się jej matka. - Poczekaj, to się przekonasz.

No i się przekonała. Anneliese nigdy nie sądziła, że jej instynkt macierzyński jest silnie rozwinięty, dopóki nie przyszła na świat jej córka. Wcześniej uważała się za osobę kompetentną i niemal męską w swych umiejętnościach. Zawsze uwielbiała fizyczną stronę ogrodnictwa - kopanie, sadzenie. Miała w sobie tyle siły i energii. Sądziła więc, że jest jedną z tych kobiet, których instynkt macierzyński nie jest jakoś szczególnie mocno rozwinięty. A potem pojawiła się Beth i ona poczuła się, jakby ktoś ją zdzielił w głowę łopata.

Nagle się zakochała bez reszty w tym maleńkim, głośnym, miauczącym niemowlaku, który dużo krzyczał. Przez pierwsze pół roku Anneliese prawie w ogóle nie spała.

O mało nie oszalała, myśląc, że siłą woli mogłoby jej się udać wypchnąć depresję ze swej głowy. Gdyby to tylko było możliwe.

Jej matka miała rację: Beth stała się jej życiem. A teraz musiała powiedzieć tej słodkiej, wrażliwej osobie, że jej rodzice się rozstali.

Miała tylko nadzieję, że Beth nie spojrzy na nią i nie powie: „Musiałas wiedzieć!”.

Anneliese pomyślała o polityku, o którym czytała kiedyś w gazetach. Powiedział żonie o tym, że jest gejem na godzinę przed konferencją prasową, podczas której ogłosił to całemu światu. Żona stała obok niego przed kamerami i dziennikarzami, trzymając go za rękę i to właśnie o niej mówiono potem najwięcej. „Jak mogła? Z całą pewnością o wszystkim wiedziała.”

Ta sprawa nie dotyczyła już jego. Sprowadzała się do pytania: „Jak to możliwe, że o niczym nie wiedziała?”.

Po latach kobieta ta przedstawiła własną wersję wydarzeń i nadała sens tym dziwnym wydarzeniom z tamtego dnia. Nie wiedziała. Byli małżeństwem, mieli dziecko, czemuż miała w niego wątpić?

Kiedy jej o tym powiedział, czuła oszołomienie i czuła je nadal godzinę później, kiedy razem stali przed kamerami.

- Anneliese - odezwała się Izzie.

Anneliese była pewna, że biedna Izzie zaraz się rozpłacze.

- Myślałam, że mam ochotę na tę kawę, ale chyba jednak nie. Idę do kawiarni po wodę. Przynieść ci coś?

- Nie, dzięki - odparła Anneliese. Ostatnio w ogóle nie chciało jej się jeść ani pić. W środku czuła jedynie wielką, czarną dziurę.

Po odejściu Izzie mogła dalej się zadrećzać i myśleć o przeszłości. Miała w głowie szpulę z filmem, którego nie mogła wyłączyć. Wciąż cofała się myślami do ich wspólnego życia, analizowała wszystko, próbowała odgadnąć, kiedy Edward mówił prawdę, a kiedy nie.

Na Boże Narodzenie przyjechali do nich Beth i Marcus i dom w zatoce Milsean pełen był śmiechu i radości. Anneliese bardzo się podobały te święta. Trochę przesadziła, szukając idealnej choinki, ubierając ją, przekształcając cały dom w bożonarodzeniową altankę z mnóstwem ostrokrzewu, jemioly, błyszczących złotych kul i Mikołajów. W pierwszy dzień świąt przygotowała obiad dla siedmiu osób: dla niej i Edwarda, Bren-dana, Lily, Neila, Marcusa i Beth. Neli przyniosła na deser swoją słynną bezę z ciemnej czekolady, którą zjedli z malinami.

Tak często Neli, zapraszana z jakiejś okazji, mawiała z wdzięcznością:

- Dziękuję za to, że mnie zaprosiliście.

A w tamte święta tego nie powiedziała. Anneliese dobrze to zapamiętała, ponieważ wtedy uznała z zadowoleniem, że Neli w końcu zaakceptowała fakt, że są przyjaciółmi, że nie musi im za każdym razem dziękować za życzliwość. Jakże się myliła.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytała wtedy Beth, wchodząc do kuchni. Wyglądała jak bożonarodzeniowy duszek z błyszczącymi, ciemnymi lokami, okalającymi jej twarz,

ubrana w piękny sweter w kolorze mchu i szarą aksamitną spódnicę, która wirowała wokół jej nóg.

- Nie, kochanie - odparła Anneliese, podnosząc głowę znad kuchenki.

Po kościele zdjęła odświętny strój, a do kuchni włożyła dżinsy i starą koszulę. Przebierze się zaraz, jak tylko obiad będzie gotowy. Natomiast Neli włożyła duży fartuch. Anneliese pomyślała czule, że przyjaciółka świetnie wygląda. To Edward i Anneliese kupili jej te piękne, ręcznie wykonane kolczyki w kształcie małych kropli w kolorze fuksji i naszyjnik z wisiorkiem do kompletu. Neli nosiła je z dumą.

- Jak tam indyk? - zapytała. Neli była ekspertem od indyka.

- Jeszcze ze dwadzieścia minut, tak dla pewności - odparła Neli tonem profesjonalistki.

- Dobrze, otworzę piecyk, a ty wstaw go do środka. Kiedy skończyły, do kuchni wszedł Edward.

- Jak sobie radzą moje dwie ulubione kucharki? - zapytał wesoło.

- Bardzo dobrze - odparła Anneliese, mieszając w rondlu, w którym gotowała się brukselka.

- Wszystko idzie doskonale - uzupełniła Neli. - Pachnie niesamowicie, prawda? Wiem, że umierasz z głodu, Edwardzie, ale lepiej poczekać ciut dłużej, by wszystko było idealne.

- To ty jesteś ekspertem, Neli - rzekł.

I obiad rzeczywiście był idealny. Każda minuta. Anneliese rozpierała dumą na myśl, że tyle ludzi kłóci się ze sobą podczas świątecznego obiadu, podczas gdy jej rodzina i przyjaciele mogli się cieszyć tym ciepłym, cywilizowanym posiłkiem, śmiejąc się z różnych żartów i wspominając minione Boże Narodzenia.

Tego wieczoru, kiedy wszyscy poszli do domu, a Marcus i Beth siedzieli na dole i oglądali coś w telewizji, Anneliese i Edward położyli się do łóżka i przytulili.

- To był cudowny dzień, prawda? - zapytała Anneliese.

Była wykończona. Całe to stanie w kuchni bardzo ją męczyło, a chciała, żeby wszystko się udało doskonale. I udawało się, ale ona i tak czuła potrzebę, by wszystko obserwować. Trochę to przypominało pasażerów samolotu, którzy nie zasypiają, jakby ich otwarte oczy mogły utrzymać samolot na niebie. Tak właśnie się czuła w Boże Narodzenie i inne święta.

- Było cudownie, kochanie - odparł Edward, całując ją niewinnie w czoło i przekręcając się na łóżku. - Jesteś zmęczona - dodał wielkodusznie. - Chodźmy spać.

Kiedyś kochali się wieczorami po ważnych okazjach, takich jak rocznice i urodziny. Anneliese pamiętała teraz, że stało się to nierozzerwalną częścią ich małżeństwa. Powinno do niej dotrzeć, że coś jest nie tak, gdy Edward nie chciał jej tulić i delikatnie rozbierać, kochać się z nią namiętnie, a jednocześnie z łagodnością, jaka się pojawiała po trzydziestu siedmiu latach małżeństwa. Powinna była wiedzieć, że coś jest nie w porządku. Ale nie wiedziała, ponieważ zajęta była koncentrowaniem się nie na tym, co trzeba.

Czy takie właśnie będzie jej epitafium? „Anneliese miała oczy otwarte, tak by samolot nie runął na ziemię, ale pilnowała niewłaściwego samolotu?”

Bez względu na to, jak bardzo zła była na Edwarda, Anneliese uświadomiła sobie, że jeszcze bardziej zła jest na siebie. Nie widziała tego, co się dzieje, i nie potrafiła sobie tego wybaczyć.

Niedobrze: nie była w stanie zmierzyć się z ponownym spotkaniem z Izzie i oglądaniem szoku na jej twarzy, za bardzo chciało się jej krzyczeć. Później wróci, by posiedzieć z Lily. Lepiej, by udała się teraz do domu, a Izzie przez chwilę zastanawiała się, gdzie się podziała jej ciotka, niż rozpaść się na jej oczach na kawałki.

W domu mogła się poddać i zażyć jeden ze środków uspokajających, który jej został sprzed lat. Miała ich jeszcze kilka

w niewielkiej fiolce w stoliku nocnym, tyle by wystarczyło jej, nim się wybierze do lekarza. Tego także nie było sensu odkładać. Walczyła z tym, pełna determinacji, by nie wracać do tych cholernych antydepresantów, ponieważ przyjmowanie ich traktowała jako symbol porażki. Ale nadszedł czas na wyciągnięcie cięższego oręża: jeśli doktor Whelan dysponuje czymś, co usunie ponurą ciemność z jej głowy, ona to przyjmie. Całe mnóstwo tego czegoś. W przeciwnym wypadku nie wiadomo, co się stanie.

Była siódma wieczorem, kiedy wróciła do szpitala wyciszona dzięki środkowi uspokajającemu. Miała nadzieję, że Izzie dopadło jeszcze zmęczenie po podróży i zdążyła już wrócić do domu, ale nawet jeśli tak się nie stało, to trudno, jakoś z tym sobie poradzi.

To niesamowite, jak jedna mała tabletką potrafiła poprawić jej samopoczucie. Cóż, może niezupełnie poprawić, ale na pewno zaleczyć. Tak jakby się znajdowała w maleńkiej szalupie pośrodku ogromnego, głębokiego oceanu, a dzięki tej małej tabletkie nie musiała wyglądać poza krawędź szalupy, by widzieć pod sobą bezkresny błękit. Nadal tam był, wiedziała o tym. Ale nie musiała na niego patrzeć. Mogła żyć i nie patrzeć, a zdecydowanie wolała to niż zmuszać się do patrzenia w ten bezkres i bać się go.

W szpitalu było mnóstwo odwiedzających. Pędzili tam i z powrotem, nieśli swym bliskim kwiaty, butelki wody mineralnej i gazety. Anneliese uśmiechała się pogodnie do nich wszystkich. Ludzie naprawdę byli tacy mili.

Kiedy znalazła się na oddziale Lily, zaskoczył ją widok siedzącej przy łóżku Lily kobiety. Trzymała starszą panią za rękę. To nie była Izzie: ta kobieta była młodsza, miała jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat. Długie jasne włosy miała związane na czubku głowy w luźny węzeł, ubrana zaś była w luźne spodnie i japonki, które Anneliese zawsze się kojarzyły ze studentami podróżującymi po Tajlandii.

- Dzień dobry - odezwała się z zaciekawieniem.

- Och, dzień dobry.

Dziewczyna zerwała się natychmiast z krzesła, a na jej lekko opalonej twarzy malował się niepokój.

- Jestem Anneliese, krewna Lily.

- Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać. Mam na imię Jodi i nie jestem przyjaciółką ani znajomą.

Anneliese zamrugwała ze zdumieniem oczami. Piegi tej dziewczyny wyglądały irlandzko, ale akcent miała wyraźnie australijski.

- Tak naprawdę to nigdy nie poznałam osobiście pani Shanahan, ale rozmawiałyśmy przez telefon. Przyszłam ją odwiedzić, ponieważ czuję się... - Zagryzła wargę. - Czuję się odpowiedzialna.

Anneliese wpatrywała się w jej przyjazną, otwartą twarz. Miała nadzieję, że ten lek uspokajający jej nie ogłupiał, bo naprawdę niczego tu nie rozumiała.

-Jak to?

- No bo zadzwoniłam do niej - kontynuowała Jodi jeszcze bardziej niespokojnie - i pytałam ją o historię Rathnaree, a ona powiedziała, że spotka się ze mną, natomiast Yvonne, moja sąsiadka, mówi, że pani Shanahan od wielu lat nie była w Rathnaree, ale ja i tak ją pytałam, a potem miała wylew i to wszystko moja wina!

- Biedactwo - rzekła Anneliese. - Nie bądź niemądra. To nie twoja wina.

- Ależ tak! - upierała się Jodi. - To starsza pani i wiedziałam, że powinnam porozmawiać o tym z kimś innym. Wytrąciłam ją z równowagi, na pewno, ponieważ jednego dnia rozmawiam z nią przez telefon i umawiam się na spotkanie, a następnego Yvonne mi mówi, że leży w śpiączce.

- Nie spowodowałaś tego wylewu - uspokajała ją Anneliese. - Widać, że nie znasz mojej ciotki. Lily umiała sobie poradzić z każdą przekazywaną jej informacją, a fakt, że jest starszą

panią, nie ma tu nic do rzeczy. Jest młoda duchem i ma najbardziej otwarty umysł ze wszystkich ludzi, jakich znam. Gdyby nie chciała się z tobą spotkać albo byś ją zdenerwowała, na pewno powiedziała ci o tym. Powiedz mi, czego konkretnie chciałaś się dowiedzieć? - zapytała z ciekawością Anneliese.

- Wszystkiego o Rathnaree. Znalazłam starą fotografię i powiedziałam o niej pani Shanahan...

- Czy był na niej ktoś o imieniu Jamie? - wtrąciła Anneliese.

- Nie, znam imię tylko jednej osoby, lady Irene. A dlaczego?

- No bo Lily od czasu wylewu nie odzyskała świadomości, z wyjątkiem krótkiej chwili, kiedy zawołała „Jamie”. Nikt z nas nie zna żadnego Jamiego w jej życiu, a, no cóż, jej zięć uważa, że to może być ważne. Teraz, gdy ty mi mówisz, że rozmawiałaś z nią o przeszłości, to przychodzi mi do głowy, że może ona dużo o niej myślała. Mógł to być ktoś, kogo znała, gdy jej rodzice pracowali w Rathnaree.

- Mogłabym spróbować się tego dowiedzieć - rzekła Jodi. - To znaczy, jeśli tego chcecie, jeśli nie byłoby to z mojej strony wtrącanie się. Tyle że... - urwała.

- Byłoby wspaniale - odparła Anneliese. - Myślę, że Izzie, wnuczka Lily, i jej tata chcieliby wiedzieć, kim był Jamie.

- Och, Izzie, to ta z Nowego Jorku, prawda? - W głosie Jodi słychać było podekscytowanie. - Yvonne mi o niej opowiadała niesamowicie ciekawe rzeczy.

- Owszem - odparła Anneliese, która nie sądziła, by kiedykolwiek jeszcze uznała coś w swoim życiu za ekscytujące. No ale ekscytacja była przereklamowana. Lepszy był spokój. - Problem w tym - dodała - że lekarze nie wiedzą, czy to, co mówi Lily, jest ważne, ani co to jest. Podejrzewam, że to coś na kształt snów, nikt nie wie, co one znaczą. To, kim jest Jamie, może być przydatne, ale równie dobrze może nic nie znaczyć.

- Ale to mogłoby połączyć ze sobą części układanki i pozwolić jej odejść szczęśliwej - oświadczyła Jodi.

Anneliese przyjrzała się tej przejętej Australijce z życzliwym spojrzeniem i otwartym sercem. Dla Jodi to było bardzo proste. Lily prawdopodobnie miała umrzeć i najlepsze, co można było dla niej zrobić, to pozbierać części układanki, tak by mogła odejść szczęśliwa, ze spokojem. A przecież, pomyślała z goryczą Anneliese, niczyje życie nie jest nigdy poukładane.

Gdyby ona teraz umarła, nikt nie byłby w stanie zebrać części jej układanki, a gdyby nawet to zrobił, wyglądałaby ona naprawdę dziwnie.

Dzięki farmakologicznemu spokojowi Anneliese czuła, że jest w stanie przyjrzeć się swemu życiu z oddali i dojrzeć, jak pozbawiono je nagle kontroli.

- Mogłybyśmy sprawdzić miejscowe akta i spis ludności - rzekła z podekscytowaniem Jodi. - Na studiach miałam zajęcia z metodologii prowadzenia badań historycznych i wiem, jak robić to we właściwy sposób. To fascynujące, kiedy już się w to wejdzie. Czuję, że jest tu tak wiele historii, tak wiele do opowiedzenia. Myślisz, że pani Shanahan nie miałaby nic przeciwko temu?

Anneliese zastanowiła się nad tym. W normalnych okolicznościach czuła, jakby znała odpowiedzi na większość pytań, ale w tej akurat chwili nie miała pojęcia, czego chciałaby od niej Lily - czy Lily chciałaby, aby delikatnie przyjrzeć się przeszłości, czy też wolałaby, aby zostawić ją w spokoju. Nikt z nich nigdy nie słyszał o tym całym Jamiem, więc być może Lily skrywała jednak jakieś tajemnice.

Być może Izzie chciałaby poznać tożsamość tego mężczyzny. Izzie łączyły z Lily więzy krwi. Tak, to miało sens: niech ona podejmie decyzję. Anneliese miała już tego dość. Te decyzje, które podjęła, nie okazały się słuszne, prawda?

- Jodi - rzekła teraz. - Porozmawiajmy z Izzie. Jeśli ona uzna, że to dobry pomysł, to się tym zajmiemy. Ale może

dobrze byłoby odczekać kilka dni, a dopiero potem poruszyć ten temat. Teraz jest chyba nieco za wcześnie. Wiem, że uważasz, iż to pomogłoby jej wyjść ze śpiączki, ale zaczekajmy jeszcze kilka dni.

- Oczywiście - zgodziła się Jodi. - Nie chciałabym zrobić niczego, co mogłoby ją zdenerwować. Przez telefon wydawała się taka urocza. To smutne myśleć o tym, że kogoś wołała, a my nie wiemy, kim jest ta osoba. To tak jak w filmie, prawda? Jest tyle rzeczy, których nie wiemy o innych.

Anneliese kiwnęła głową. Nie ufała sobie na tyle, by się odezwać.

- Musisz być wykończona - dodała życzliwie Jodi. - Miałabyś ochotę wyjść gdzieś na kawę, herbatę albo sok? Szpitale potrafią być męczące. Mój dziadek zmarł przed dwoma laty i było naprawdę ciężko.

Pomysł napicia się zwykłej herbaty, bez potrzeby prowadzenia pełnej napięcia rozmowy i myślenia o tym, że osoba siedząca naprzeciwko niej zastanawia się, dlaczego Edward ją zostawił i co ona teraz robi, nagle wydal jej się bardzo nęcący.

- Byłoby miło - rzekła. - Posiedzę przy Lily jakieś dziesięć, piętnaście minut, a potem mogłybyśmy pójść, dobrze? Możemy się wybrać do miasta i tam gdzieś sobie usiąść.

Tamarin lśniło niczym mały klejnot osadzony wśród wzgórz, gdy dwadzieścia minut później wyszły ze szpitala i schodziły w stronę miasteczka. Anneliese przyjrzała mu się oczami Jodi i pomyślała, że jest naprawdę piękne.

Droga zaprowadziła je na Plunkett Street, gdzie wszyscy mieszkańcy pomalowali swoje domy na ładne pastelowe kolory. Teraz budynki wyglądały jak na ilustracji w książeczce dla dzieci. Dzień wcześniej padał ulewny deszcz i połączenie jego oraz kilku wcześniejszych słonecznych dni działało cuda, jeśli chodzi o skrzynki na oknach i przydomowe ogródki. Różowe i czerwone geranium przyglądało się im wraz z niewielkimi kępkami jasnioletowych lobelii.

Wszystko było takie spokojne i piękne i po raz pierwszy od odejścia Edwarda Anneliese odkryła, że jest w stanie czerpać przyjemność z tej pocztówkowej urokliwości.

- *U Doroty?* - zaproponowała Jodi, kiedy dotarły do Harbour Square.

Anneliese już miała się zgodzić, ale przypomniała sobie, że ostatnio unika tego miejsca, na wypadek, gdyby miała wpaść na Edwarda i Neli. Tylu miejsc unikała, włączając w to supermarket, chyba że późnym wieczorem, ponieważ wiedziała, że nie poradzi sobie z przypadkowym spotkaniem z mężem czy z Neli.

Przewaga moralna nie mogła się równać z depresją i podwójną zdradą. Anneliese wiedziała, że bez względu na to, jak bardzo by chciała patrzeć się na nich wyniośle podczas takiego spotkania, bardziej prawdopodobne było to, że upadłaby na ziemię cała we łzach.

- A może poszłybyśmy do *Nooka?* - zaproponowała.

Nook był niewielkim barem i restauracją w jednym, z kameralną nazwą*, lecz nowoczesnym wystrojem. Anneliese nie przepadała jakoś szczególnie za minimalizmem, ale mieli tam zawsze duży wybór ciastek z Kuchni Omy, austriackiej cukierni, znajdującej się po sąsiedzku. Choć Anneliese nie czuła ostatnio głodu, na myśl o słodkich ciastkach z mnóstwem migdałów i miodu napłynęła jej ślina do ust. Poza tym Edward nie znosił tego miejsca. Idealnie.

Ruszyły powoli w stronę *Nook* i kiedy już się tam znalazły, Anneliese pchnęła drzwi. A w środku, przy stole nakrytym do kolacji, i rozmawiając z dwojgiem ludzi, siedziała Neli.

Anneliese stanęła jak skamieniała.

Dzięki późnym zakupom i uważnemu wybieraniu miejsc w Tamarin, nie widziała Neli od tamtego dnia, kiedy Edward odszedł. Po tak długim zadreczaniu się jej osobą dziwnie było

* **Nook (ang.) - zakątek.**

rzeczywiście spotkać Neli i przekonać się, że nie ma ona rogów ani rozwidłonego ogona, lecz nadal jest kobietą w średnim wieku z puszącymi się włosami i jasnymi rzęsami. Przy stole obok Neli siedziała Geraldine, znajoma ich obu, oraz jej mąż, Benny.

Na twarzach całej trójki malował się jednocześnie szok i poczucie winy, więc Anneliese podejrzewała, że rozmawiali o niej.

Poczuła ostre ukłucie kolejnej zdrady. Geraldine nie zadzwoniła do niej, by wyrazić swoje współczucie czy choćby porozmawiać, choć było jasne, iż o wszystkim wiedziała. Bez wiedzy Anneliese Geraldine stałą się byłą przyjaciółką. Wybrała już, po której stoi stronie.

- Wychodziłam, właśnie wychodzę - powiedziała pospiesznie Neli, a w jej oczach malował się szok i skrepowanie.

- Ależ urocze miejsce - odezwała się Jodi, która weszła do *Nooka* tuż za Anneliese i teraz rozglądała się po lokalu.

- Tak tu ładnie. Spójrz tylko na te fioletowe siedzenia z zamszu. Są fantastyczne!

Nikt jej nie odpowiedział.

- Anneliese, miałam zadzwonić - powiedziała Geraldine, wstając z krzesła, wyraźnie jeszcze bardziej skrepowana od Neli. Próbowała uścisnąć Anneliese, ale tą ją zignorowała. Zniknął z niej cały stateczny konserwatyzm i działanie tabletki musiało nagle ustąpić, ponieważ czuła, że płonie z wściekłości. Kogo obchodzi, co sobie inni o niej pomyślą? Chyba była szalona, że unikała swych ulubionych miejsc - Neli zasługiwała na to, by mierzyć się z jej wściekłością.

- Nie dotykaj mnie! - warknęła na Geraldine. - Wybrałaś już stronę i założę się, że siedziałaś tutaj i wysłuchiwałaś wersji Neli.

- To nie tak - odparła uspokajającym tonem Geraldine.

- Martwimy się o ciebie.

- Martwicie się o mnie? - prychnęła Anneliese. - Nie na tyle, żeby podnieść słuchawkę i zapytać, jak się czuję, kiedy mój mąż zostawił mnie dla tej krowy! A ona - pokazała z wściekłością na Neli - ona raczej się o mnie nie martwi, bez względu na to, jak bardzo się stara przedstawić tę sytuację w korzystnym dla siebie świetle. Czyż nie tak, Neli?

Coś w głębi duszy mówiło Anneliese, że nie powinna tego robić, że pożałuje, że stała w barze i wykrzykiwała wszystko, co jej przyszło do głowy. Ale nie mogła się powstrzymać, pragnęła to powiedzieć. Nic nie mogło jej zatrzymać, podobnie jak nie dawało się zatrzymać wody morskiej wlewającej się do portu, poruszanej prawami przyływu i odpływu.

- Prawdę powiedziawszy, wiele bym oddała, by się dowiedzieć, co Paskudna Neli ci naopowiadała. Przedstawiła ci okrojona wersję „biedna ja i biedny Edward” czy też taką zgodną z prawdą? Hmm, zastanówmy się: sądzę, że tę okrojona.

Neli jeszcze bardziej się zaczerwieniła.

- Nie muszę tego słuchać - oświadczyła. - To nie jest odpowiednia pora ani miejsce.

- Ostatnio jesteś ekspertem od wszystkiego, jaka pora i miejsce są w takim razie odpowiednie? - zapytała ostro Anneliese. - Myślę, że stare zasady zostały pogwałcone, kiedy zabrałaś mi Edwarda. Owszem, zabrałaś go. Nie udawaj, że było inaczej. Niedobrze mi się zrobiło tamtego ranka, kiedy próbowałaś udawać, że musiałam wiedzieć o tobie i Edwardzie. Cholernie dobrze wiesz, że nie miałam pojęcia o tym, co się dzieje za moimi plecami. Przez cały czas uważałam cię za swoją przyjaciółkę.

W pubie panowała absolutna cisza: wszyscy słuchali. Nawet kelnerzy, który nie mówili po angielsku, stali w bezruchu z otwartymi ustami, próbując śledzić rozmowę.

- Znałaś niemal każdą myśl, jaka pojawiała się w mojej głowie, Neli, i gdybym sądziła, że Edward ma romans, to ty byłabyś osobą, której bym się zwierzyła. Cieszę się, że nie

wiedziała, no bo wyobraź sobie tylko, że dzielę się z tobą podejrzeniem, iż Edward ma romans, a ty siedzisz, uśmiechasz się i mizdrzysz, i wzdychała „och, nie!”, a potem by się okazało, że to z tobą ma ten romans.

Od strony pozostałych stolików słychać było pomruki pełne oburzenia.

- Wychodzę - oświadczyła gniewnie Neli i próbowała przecisnąć się obok Anneliese.

- A właśnie, że nie! - syknęła jej była przyjaciółka. Była wyższa od Neli i silniejsza. I tak rozgniewana, że miała ochotę ją uderzyć i zetrzeć ten wstrętny uszmiokowany uśmiech z jej głupiej twarzy.

- Anneliese - rzekł Benny, odzywając się po raz pierwszy. Mąż Geraldine był łagodnym olbrzymem. Wstał powoli, by interweniować.

Nim zdążył cokolwiek uczynić, do akcji wkroczyła Jodi.

- Anneliese - rzekła - proszę.

Anneliese poczuła na sobie ręce Jodi, uspokajające ją jak zwierzątko.

- Nie chcesz tego robić, nie teraz.

Jodi była silniejsza, niż można by sądzić z pozoru i jakoś zdołała odsunąć Anneliese od drzwi. Neli natychmiast je pchnęła i wybiegła na ulicę.

Geraldine stała przez chwilę, wpatrując się w Anneliese.

- Przepraszam - powiedziała bez przekonania. - Przepraszam.

- Jasne - mruknęła Anneliese.

Jodi zaciągnęła ją do części barowej i znalazła kąt jak najdalej od drzwi i jej dawnych przyjaciół. Tam Anneliese osunęła się na jeden z fioletowych zamszowych foteli i skryła twarz w dłoniach, nie przejmując się tym, jak wygląda ani kto ją widzi. Niech jej brudy się piorą publicznie, proszę bardzo. Neli i tak wszystkim opowie własną wersję.

Jodi nie czekała na kelnerkę, ale podeszła do stolika, gdzie stały kubki i dzbanek z kawą dla personelu.

- Proszę - powiedziała, stawiając na stole parujący kubek. - Napij się. Usiadła jak najbliżej Anneliese i objęła ją ramieniem.

- Wiem, że jesteś w stanie szoku, ale napij się kawy, da ci kopa.

- Sądziłam, że na szok najlepsza jest brandy - odparła Anneliese, otaczając dłońmi parujący kubek.

- Szkodzi na serce - powiedziała dziarsko Jodi. - Nie chcę ciągnąć cię na noszach z powrotem do szpitala.

Anneliese roześmiała się słabo.

- Dziękuję - rzekła. - Przykro mi, że musiałas to oglądać. Pewnie nie jesteś podłączona do plotkarskiej siatki Ta-marin, inaczej wiedziałabyś, że mąż zostawił mnie dla niej, mojej dawnej najlepszej przyjaciółki.

- Nie wiedziałam. Nie mieszkamy tu na tyle długo, by podłączyć się do siatki. Yvonne wie? - zapytała, mając na myśli swoją sąsiadkę i koleżankę Anneliese ze sklepu Lifeboat.

- Nie wiem. - Anneliese wzruszyła ramionami. - Jeszcze jej o tym nie powiedziałam, nie potrafiłam się przełamać. Choć jest dobrą koleżanką i prawdopodobnie byłaby po mojej stronie. Boże, dlaczego rozpadowi małżeństwa musi towarzyszyć obieranie stron?

- Większość ludzi nie chce tego robić - odparła Jodi. Ale Anneliese nie słuchała.

- Prawdę mówiąc to nie jest rozpad małżeństwa. To wybuch, eksplozja czy coś w tym rodzaju. Rozpad jest zbyt niewinnym słowem. Rozstanie sugeruje, że coś się przeczuwało, a ze mną tak nie było. Nie miałam o niczym pojęcia. Jak głupio teraz wyglądam? Nie popełnij tego błędu, Jodi. Miej w swoim małżeństwie oczy szeroko otwarte. Wybacz mi - przeprosiła. - Niepotrzebne ci moje rady. Wy, młodzi ludzie, lepiej sobie radzicie w kwestii związków niż moje pokolenie. My sądzi-

my, że musimy pozostać w związku bez względu na wszystko; odejście jest oznaką słabości. Może oznaką słabości jest pozostanie, kiedy wszystko jest beznadziejne. Ja nie wiedziałam, że jest beznadziejnie, myślałam, że jest dobrze. Wybacz mi - powtórzyła. - Nie chcesz, bym zwracała ci tym głowę. Żałosne szczegóły małżeństw innych ludzi. Nie miałam zamiaru cię zaszokować.

- W ogóle mnie nie zaszokowałaś - odparła Jodi, wzruszając ramionami. - Rozstania to coś powszechnego. Moi rodziciele są rozwiedzeni.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Tak jest lepiej. Kiedy byłam małą, na okrągło się kłócili, kiedy ja i moi bracia leżeliśmy już w łóżkach, a rano udawali, że wszystko jest idealnie, tak jakbyśmy byli głusi i nie słyszeli ich krzyków. Teraz jest lepiej. Oboje są szczęśliwi, tyle że nie razem.

- I to nie zniechęciło cię do małżeństwa? - zapytała Anneliese.

- Nie, zniechęciło mnie do kłótni. Dan i ja nie kłócimy się. Kiedyś myślałam, że z nami jest coś nie tak. Wszyscy mówią, że w małżeństwie potrzebne są ogniste kłótnie, ale u nas nigdy tak nie było. Zdarzają się różnice zdań i źle się wtedy z tym czujemy. Nie sądzę, byśmy choć raz na siebie głośno krzyczeli. Nie chciałabym, by do tego doszło.

- Ja też nie - rzekła Anneliese, myśląc, że powinna była użyć czasu przeszłego, ponieważ nie zanosilo się na to, żeby jakakolwiek małżeńska kłótnia jeszcze jej groziła. - Nie lubiłam głośnych kłótni - poprawiła się. - Nigdy tego nie robiliśmy. Edward i ja dobrze się dogadywaliśmy. Nie mówię, że zawsze było łatwo, ale mieliśmy Beth i musieliśmy się starać przebrnąć przez te gorsze czasy.

- Beth to wasza córka? Co ona sądzi o tym wszystkim?

- Nic nie wie.

- Nie powiedziałaś jej?

- Nie powiedziałam. Będę musiała, ponieważ przyjeżdża do Tamarin odwiedzić Lily i wpadnie w szal, kiedy się dowie, że jej tata i ja nie jesteśmy już razem.

- Dlaczego jej nie powiedziałaś? - zapytała Jodi.

- Nie wiem - westchnęła Anneliese. Pomyślała o tym, jak przez całe życie starała się kryć przed Beth różne rzeczy. Aby wszystko było idealne. Wiedziała, że to nadopiekuńczość, ale zawsze czuła, że tak właśnie powinna robić. Beth była taka delikatna i wrażliwa, że nie poradziłyby sobie z towarzyszącym życiu cierpieniem. Zadaniem Anneliese jako matki było chronienie Beth przed bólem, a teraz nie było innego wyjścia, jak umieścić ją dokładnie pośrodku tego wszystkiego.

- Będę musiała jej powiedzieć. Nie wiem tylko, jak mam to zrobić.

- Powiedz to wprost - poradziła Jodi. - Tego właśnie bym chciała, gdybym była twoją córką. Izzie wie, prawda?

- Tak, powiedziałam Izzie. Właściwie to powiedziałam jej o tym dzisiaj i była mocno zaszokowana. - Anneliese skrzywiła się na myśl o tej rozmowie. - Izzie jest bardzo silna i obyta w świecie i fakt, że tak ją to zaszokowało, naprawdę wytrącił mnie z równowagi. Zaczęłam się zastanawiać, jak mam przekazać córce tę samą wiadomość. Nie sądziłam, by cokolwiek mogło zaszokować Izzie, ale tak właśnie się stało.

- Może to dlatego, że mieszka za granicą - powiedziała z namysłem Jodi. - Kiedy nie mieszka się w domu, złe wiadomości napawają cię wyrzutami sumienia, że jesteś daleko. Najpierw masz wyrzuty sumienia, a potem ciutkę cię cieszy to, że mieszkasz daleko, ponieważ to oznacza, że nie musisz zbyt dużo mieć z tym do czynienia. Paskudnie to brzmi, prawda?

- Nie - odparła Anneliese. - Jedynie szczerze. Żałuję, że sama nie jestem teraz daleko, bo wtedy nie musiałabym radzić sobie z niczym okropnym. Ale to nie wchodzi w grę. Muszę tu być dla Lily, Beth, Izzie. Polubisz je obie. Beth nie

zostanie tu długo, ale Izzie ma bilet otwarty, więc zostanie przynajmniej jeszcze tydzień.

Anneliese wpadł do głowy pewien pomysł. Bezczyność nie była czymś normalnym dla Izzie, a całkiem możliwe, że stan Lily w najbliższym czasie nie ulegnie zmianie, więc Izzie nie miałyby do robienia nic oprócz siedzenia przy łóżku babci.

Wyszłoby jej na dobre, gdyby spotkała się z Jodi, przeprowadziła razem z nią małe śledztwo na temat Rathnaree i Jamiego. Choć na chwilę oderwałoby to jej myśli od Lily. A Anneliese zaczynała się zastanawiać, czy ciotka w ogóle do nich jeszcze wróci.

- Mogłaby pomóc przy zbieraniu informacji. Jest bardzo bystra, a przebywanie tutaj, gdy Lily jest tak bardzo chora, będzie dla niej trudne. Tak dawno temu stąd wyjechała i na pewno utraciła kontakt z tym miejscem. Dzięki temu może znowu poczułaby się częścią tego wszystkiego - rzekła Anneliese.

- Byłoby wspaniale - odparła Jodi. - Bardzo bym chciała. Myślisz, że nie będzie miała nic przeciwko temu, by mi pomóc?

- Nie, Izzie jest bardzo praktyczna i bystra. Jeśli chcesz, by ktoś ci pomógł w rozwikłaniu tej zagadki, to ona nadaje się do tego idealnie. Dzięki urokowi osobistemu potrafi wydobyć informacje z każdego i z determinacją dąży do postawionego sobie celu, dlatego właśnie udało jej się osiągnąć sukces zawodowy. Tak naprawdę chyba zawarła z tą pracą związek małżeński. Szkoda - dodała Anneliese. - To piękna dziewczyna. Ale każdy sam dokonuje wyboru, a wyborem Izzie jest najwyraźniej życie w pojedynkę.

- Będzie jej ciężko, jeśli Lily nie wyjdzie z tego - rzekła Jodi.

Anneliese pokiwała ze smutkiem głową.

- Wszystkim nam będzie ciężko, ale najbardziej Izzie. To byłoby jak ponowna utrata matki.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Po kilku dniach pobytu w Tamarin Izzie uświadomiła sobie, że rozstanie z kochankiem praktycznie położyło kres dwóm uzależnieniom. Raptownie odstawiła Joego, a dzięki łączącej się z tym rozpaczy nie sprawdzała już na BlackBerry piętnaście razy dziennie, czy przypadkiem nie ma jakichś wiadomości.

Wcześniej na własnej skórze przekonała się, dlaczego to małe urządzenie nazywano „CrackBerry” - było niemal równie uzależniające jak kokaina. Ale w chwili obecnej praca, Nowy Jork i Joe byli razem wymieszani w jej głowie i spoglądała na swojego BlackBerry nieufnie, jakby mógł przekazać kolejne wiadomości, mogąc ją zranić.

Zamiast tego czekała na nią wiadomość od Carli, jak zawsze krótka i rzeczowa.

Stefan z Jacobmana ciągle się dopytuje, kiedy wrócisz. Wszyscy tutaj szaleją w związku z konkursem na dziewczynę SupaGirl! - to będzie milionowa sprawa. Najlepsza wiadomość jest taka, że Flip i Flap nie będą nad tym pracować.

Izzie uśmiechnęła się szeroko. Stefan to łobuz. Oboje dostaliby po łapach, gdyby ktoś ich usłyszał. Była pewna, że istnieje prawo zakazujące przezywania irytujących współpracowników.

Mówi, że mogą go pocałować w tyłek, ma to gdzieś, chce z powrotem ciebie. Jakież to słodkie. Rzekłabym, że to musi być miłość, gdyby tylko nie był takim psem na baby.

Ona i Carla często rozmawiały o jego uganianiu się za spódniczkami.

Rozmawiałaś ze swoim Wysoko Postawionym Mężczyzną? Mam nadzieję, że nie, ale cokolwiek by się działo, to masz moje wsparcie. Trzymaj się, daj znać, gdybyś czegoś potrzebowała, Carla.

Wiadomość była zwięzła, na temat i bardzo w stylu Carli. Emanowała ciepłem i przyjaźnią, skrywała się w niej także pełna troski rada: „Trzymaj się z dala od Joego, on nie jest dla ciebie”. Jasne, no cóż, to akurat Izzie zdążyła już sama wydedukować.

Cześć, Carla, super, że napisałaś. Cieszę się, że radzisz sobie ze wszystkim - jeśli Stefan będzie sprawiał jakieś kłopoty, to po prostu traktuj go jak psa. To chyba jedyny na niego sposób. Wydawaj mu proste polecenia, a on się będzie przewracał na plecy! Zero wiadomości od Wysoko Postawionego. Nie kontaktowałam się z nim i tak właśnie pozostanie.

To znaczy, o ile wystarczy jej silnej woli. Czuła się tak krucha emocjonalnie, że pragnęła usłyszeć jego głos, wiedziała jednak, że nie może do tego dopuścić. Nie chodziło wyłącznie o to, że Joe był niedobry dla niej, on był niedobry dla każdej kobiety w swoim życiu. Odkąd Anneliese opowiedziała jej o Neli i Edwardzie, w jej głowie nieustannie pulsowała rzeczywistość: wujek Edward zostawił kogoś tak cudownego, jak

Anneliese, ponieważ się zakochał, ale cholerny Joe Hansen nie potrafił zostawić dla niej żony - żony, z którą rzekomo nic go już nie łączyło.

A zatem nie kochał jej, wbrew temu, co mówił. Ona zaś nie była już wcale pewna tego, czy wierzy w zapewnienia o końcu jego małżeństwa - mimo że wcześniej była taka pewna, że Joe mówi prawdę. Jeśli rzeczywiście jego małżeństwo istniało już tylko na papierze, to dlaczego nie mógł po prostu odejść?

Alternatywa była taka, że rzeczywiście ją kochał, niemniej jednak nie potrafił postawić jej na pierwszym miejscu. Co było gorsze?

Skończyłam z nim, napisała. SKOŃCZYŁAM.

Z babcią nie jest dobrze. Jej stan się nie zmienia, a tata mówi, że zrozumie, jeśli zechcę wrócić do Stanów. W takim stanie babcia może pozostać przez długi czas, nikt tego nie wie.

Jednak nie chcę wyjeżdżać. Pragnę jeszcze raz z nią porozmawiać i choć tata twierdzi, że mogłabym wskoczyć szybko do samolotu i przylecieć do domu, gdyby jej stan się poprawił, mam wrażenie, że wracając do pracy, porzuciłabym ją. Ale ma trochę racji. Jedyne, co mogę tu zrobić, to siedzieć z nią i trzymać ją za rękę a...

Izzie nie powiedziała tego ojcu ani Anneliese

...mam wrażenie, że jej tu nie ma. Że już odeszła.

Samo pisanie tych słów przyprawiło ją o dreszcz. Nie bardzo umiała sobie wyobrazić świat bez swej babci, a jednak świat dalej istniał. Choć codziennie siedziała przy łóżku babci, nie wyczuwała już kobiety, którą kochała przez całe życie. Nie, nie była w stanie o tym myśleć.

Zmykam, Buziaki, Izzie

Szybko odpisała na e-mail Stefana. To naturalne, że byli podekscytowani. Zaangażowanie się w ogromną kampanię, mającą na celu znalezienie następnej modelki SupaGirl!, zapewni agencji zarówno prestiż, jak i rozgłos. Rozgłos sprawi, że staną się numerem jeden dla początkujących modelek. A w ramach bonusu mieli zaklepane wszystkie dobre kandydatki z konkursu.

Dziewczyna, która wygra konkurs SupaGirl!, musi mieć specyficzny wygląd, ale pojawi się także mnóstwo innych, które Perfect-NY będzie mogła wziąć pod swoje skrzydła. Dobrze rozreklamowane konkursy, o których pojawiały się wzmianki w wiadomościach telewizyjnych, przyciągały dziewczęta z potencjałem znacznie bardziej niż zwykle poszukiwania modelek, polegające na przeczesywaniu miast i rozglądaniu się za potencjalnymi gwiazdami wybiegu. Wszyscy w branży mówili o tym, jakim powodzeniem cieszy się seria „America's Next Top Model”. Izzie wiedziała, że wiele z tych dziewcząt nie zgłosiłoby się, gdyby nie bonus w postaci występu w telewizji i podekscytowania, które generował ten konkurs.

Carla mówiła, że wybierzesz nam dobrą ekipę do współpracy
dodała, uśmiechając się szeroko. Nie śmiała użyć słów Flip i Flap.

Naprawdę nie mogę się już doczekać pracy z Tobą, pogadamy, gdy wrócę, dzięki, Izzie.

Otrzymała także e-mail od Loli, pracującej w Perfect-NY razem z nią i Carłą. Zdziorna Latynoska, która zaczynała

w branży jako makijażystka, pracowała w Perfect-NY od tak dawna, że praktycznie wchodziła w skład zarządu. Niedawno przekroczyła czterdziestkę, ale wyglądała młodziej, była drobna, miała zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu i przy niej Izzie czuła się jak olbrzymka.

Cześć, Izzie, tak się tylko chciałam dowiedzieć, co u Ciebie i jak się czuje Twoja babcia. Wszyscy myślimy o Tobie i mamy nadzieję, że będzie dobrze. W pracy na razie spokojnie. Jest tylko jedna łyżka dziegciu w beczce miodu, ale za to bardzo duża. Znasz Shawnee, tę dziewczynę z Florydy z uroczą szparą między zębami i krótką platynową fryzurką? Jest bardzo chora i czuję, że to wszystko moja wina. Zawsze była bardzo szczupła i często robiła edytoriale. Miała ten androginiczny, nadąsany look, ale ostatnio nie wybrano jej do paru zleceń i kiepsko to przyjęła. Wczoraj zemdląła, ponieważ nic nie jadła. Jest teraz w szpitalu cała opleciona rurkami i sprawdzają, czy nie ma problemów z sercem, oczywiście za mało potasu w organizmie.

Czuję, jakby to była moja wina, powinnam była lepiej ją obserwować. Jest taka młoda, mimo pozy „świetnie dam sobie radę”. Przepraszam, nie chciałam zrzucić tego na ciebie, chyba po prostu musiałam się komuś wygadać. Próbowałam powiedzieć o tym Natalie...

Natalie była szefową firmy

...ale ona nie postrzega tego w taki sposób, jak ja.

Cholera, Izzie, to twarda branża.

Mam nadzieję, że u Ciebie okej, zadzwoń do nas.

Lola

E-mail od Loli podziałał na Izzie otężeźwiająco. Jej babcia może i leżała w szpitalu, wyglądaając jak kruche skupisko kości pod bladą, pergaminową skórą, ale ona przynajmniej była starszą panią, która miała naprawdę długie życie. Izzie wiedziała dokładnie, która modelka to Shawnee. Miała niemal fotograficzną pamięć, jeśli chodzi o modelki z ich agencji, dzięki czemu była taka dobra w swoim fachu - nigdy nie zapominała twarzy i dlatego zawsze była w stanie określić, która modelka pasuje do danego zlecenia.

Nigdy by nie powiedziała, że Shawnee skończy w szpitalu. Sprawiała wrażenie takiej zorganizowanej, takiej szczęśliwej: miała lekko opaloną cerę i niesamowite jasnozielone oczy, które nadawały jej ten wygląd, o którym mówiła Lola. A teraz była chora, ważąc nie wiadomo ile, a wszystko dlatego, że czuła, iż nie dostała kilku ostatnich zleceń, bo nie jest wystarczająco chuda.

I cała ta branża opierała się na byciu chudą. Uroda była także ważna, ale chudość była niezbędna.

Kiedy Izzie zaczęła pracować w branży, irytowali ją ludzie, którzy twierdzili, iż szaleństwem jest, by te niezwykle szczupłe kobiety przechadzały się po wybiegach, prezentując ubrania.

„Dlaczego one są takie chude? Czemu nie wykorzystujecie prawdziwych kobiet?” - takie słyszała skargi, a ona przewracała wtedy oczami i szukała kogoś, kto ją wesprze w wyjaśnianiu, jak to wszystko działa.

- One muszą być chude, by w jak najlepszy sposób zaprezentować ubrania - mówiła cierpliwie. - Tym sposobem widzi się stroje, a nie ich ciała. Byłoby inaczej, gdyby wszystkie miały krągłości i wyglądały jak J-Lo. Patrzyłoby się na nie, a nie na ubrania. Częściowo dlatego supermodelki wyszły z mody: wszystko zaczęło się kręcić wokół nich, a nie noszonych przez nie ubrań.

Czasami do ludzi to docierało.

- Rozumiem, co ma pani na myśli. Czasami nie.

- Bzdura - oświadczyła jej pewna kobieta na imprezie w Waszyngtonie. Izzie była tam razem z przyjaciółką z Irlandii, Sorchą, która mieszkała w DC. Wzięły udział w promocji książki z przemowami polityków. Towarzystwo bardzo różniło się od ludzi, w których gronie Izzie zazwyczaj się obracała, i została przyparta do muru przez kobietę z kiepską fryzurą, która ubrana była w skrojony po męsku garnitur i T-shirt.

- Świat mody tyranizuje kobiety, by uczynić je bezsilnymi - oświadczyła.

- Noś to, jedz to, nie jedz tego, bądź chudsza. Wszystkie te bzdury są po to, by sprzedawać ubrania. Chudość to problem feministyczny. Prawdziwe kobiety nie mają płaskich brzuchów i zerowego biustu. Świat mody sprzysiągł się, by przekształcić prawdziwe kobiety w bezsilne dziewczątka. Wy, ludzie z branży, powinniście pracować od wewnątrz, by to zmienić.

Izzie wzdrygnęła się na myśl o swej ówczesnej reakcji.

- Nie ma pani pojęcia, o czym mówi - warknęła, mając dość tego opętanego polityką miasta, w którym nikt nie mówił nigdy o niczym innym niż Kapitolu. - Chodźmy, Sorcha - rzuciła do przyjaciółki. - Właśnie nakrzyczała na mnie ta wariatka w garniturze. Ja tylko pracuję w tej branży, a nie jestem jej rzecznikiem. Czasami sukienka to tylko cholerna sukienka.

Teraz pomyślała ze smutkiem, że tamta kobieta miała rację. Wtedy zlekceważyła jej słowa, zakładając, że kobieta bez wyczucia stylu nie jest w stanie pojąć, o co chodzi w tej całej branży, gdy tymczasem doskonale udało jej się opisać problem.

Tak naprawdę modelki wcale nie musiały być aż tak chude. Ludzie nie byli głupi, umieli dostrzec, jak dane ubrania wyglądają na prawdziwych kobietach. Poza tym na ogół prawdziwe kobiety kupowały ubrania, grupa osób, dla których chude jest piękne, była niszą. Warto byłoby się przekonać, jak dane ubrania poruszają się i wyglądają na podobnych figurach, a nie na tyczkowatych pięknościach, noszących rozmiar zero.

Nawet te piękności nie były w stanie na zawsze pozostać aż tak chude, dlatego właśnie dziewczęta takie jak Shawnee lądowały na szpitalnych łóżkach, podłączone do aparatury monitorującej pracę serca.

Izzie było wstyd, kiedy myślała o Agencji SilverWebb, którą ona i Carla tak bardzo się wcześniej ekscytowały. Przez kilka ostatnich miesięcy nie było w niej już tego podekscytowania, a wszystko z powodu zaangażowania się w związek z Joem.

Gotowa się była założyć, że on nie zaprzestał w tym czasie pracy nad rozwijaniem swojej firmy. Ale ona zachowała się jak głupia kobieta i kiedy była z nim, nie liczyło się nic innego. Zaniedbała także przyjaciół: z Sorchą nie widziała się już od kilku miesięcy, mimo że ta dzwoniła do niej i prosiła o spotkanie.

Izzie naturalnie nie była w stanie wytłumaczyć, dlaczego nie może przyjechać.

- Urwanie głowy w pracy - rzekła.

- Daj spokój - jęknęła w odpowiedzi Sorcha. - Nie jesteś przecież zajęta non stop. Gdyby tak rzeczywiście było, to powinnaś już być właścicielką tej firmy. A może to firma jest twoją właścicielką?

Izzie obiecała, że w niedalekiej przyszłości wybierze się do Waszyngtonu, tyle że jeszcze nie w tej chwili, ponieważ nie potrafiła powiedzieć przyjaciółce, że nie chce wyjechać z Nowego Jorku na wypadek, gdyby miała przez to stracić schadzkę ze swym nie-do-końca-żonatym kochankiem.

No i byli też Laura i Jacob, przyjaciele z jogalates. Ich trójka przyjaźniła się od wieków. Laura i Jacob przez wiele lat wymieniali się historiami o swoich randkach, aż

w końcu pewnego dnia spojrzeli na siebie inaczej i trafiła ich strzała Amora. Pobrali się w Boże Narodzenie, a Izzie ze wstydem uświadomiła sobie, że od tamtej pory widziała się z nimi tylko raz.

Joe Hansen zawładnął jej całym życiem, a ona nic z tego nie miała. Kolejną ofiarą Joego była Tish. Ile czasu minęło, odkąd Izzie zajrzała do niej i jej maleństwa?

Postanowiła, że to się zmieni. Kiedy wróci do domu, obdzwoni wszystkich tych, których tak strasznie zaniedbała. Skończyły się czasy Joego.

Droga Lolu, strasznie mi przykro z powodu Shawnee. To naprawdę okropne. To coś, czego nie znoszę, jeśli chodzi o tę branżę - i to już od dość dawna. Każe Ci się zastanawiać, co się dzieje, kiedy ktoś taki, jak Shawnee patrzy w lustro i czuje odrazę do tego, co widzi. Wiem, że wszystkie robimy, co w naszej mocy, by opiekować się naszymi dziewczętami, ale czyha na nie wielki świat i nie jesteśmy ich w stanie przed nim ustrzec, chyba że spróbujemy zmienić ten świat. Po powrocie do Nowego Jorku bardzo bym chciała o tym z Tobą porozmawiać.

Nie śmiała napisać więcej; bądź co bądź ten e-mail był wysyłany na służbową skrzynkę.

Ale czymś niewłaściwym jest to, że ktoś tak piękny jak Shawnee uważa się za niewystarczająco dobrego. Zastanawiasz się wtedy, co się dzieje na tym świecie, skoro dziewczęta takie jak ona patrzą w lustro z nienawiścią. Nie powinno tak być. U mnie nie dzieje się zbyt dobrze. Moja babcia miała wylew i nie odzyskała jeszcze przytomności. Czekaemy, a im dłużej pozostaje w śpiączce, tym mniejsze są szanse

na to, że wyjdzie z niej bez uszkodzeń neurologicznych. Myślę, że to moje pożegnanie z babcią.

Izzie otarła łzy, które nagle napłynęły do jej oczu.

Tak sobie jednak pomyślałam, nim napisałam ten list, że babcia przynajmniej swoje przeżyła. Tak wiele udało jej się dokonać, nie tak jak biednej Shawnee. Odezwę się niedługo, Izzie

Izzie nie była tak do końca pewna wszystkiego, czego dokonała jej babcia, ale wiedziała, że jej życie było intensywne, bo inaczej nie byłaby takim mądrym człowiekiem. Anneliese wspomniała coś o tym, że Jodi, ta Australijka, zaoferowała się, że się dowie, kim był Jamie. Może Izzie także powinna z nią porozmawiać.

- Nic się nie dzieje bez powodu - tak zawsze mówiła babcia.

Powiedziała tak, kiedy Izzie ominęła szansa na pracę w Londynie i postanowiła, że czas wyruszyć do Stanów.

Być może babcia zawołała imię „Jamie”, tak by Izzie zajrzała do jej przeszłości i czegoś się z niej nauczyła. Im dłużej o tym myślała, tym większy widziała w tym sens. Zerknięcie do przeszłości babci byłoby najbliższe prawdziwej rozmowy. Ta krótka chwila przytomności musiała być wiadomością dla nich wszystkich.

A ten e-mail od Loli to następna wiadomość.

„Pamiętaj o swoich marzeniach” - to właśnie mówiła. Przed Joem Izzie marzyła o założeniu agencji, gdzie dziewczęta nie będą musiały się głodzić, jak biedna Shawnee, by odnieść sukces.

Perfect-NY było dobrą i cenioną agencją. Szefostwo nigdy nie zgodziło się na stosowanie praktyk sprawdzania szczupłości dziewcząt poprzez mierzenie ich palców. Sprawdzało się to

lepiej niż mierzenie nadgarstków, ponieważ niektórzy mieli po prostu grube kości; ale na podstawie palców można było całkiem dokładnie określić, czy ktoś jest chudy, czy nie.

W szanowanych agencjach nie robiono tego rodzaju rzeczy. Nikt nie chciał mieć u siebie chorych modelek i większość firm miała naprawdę dobre relacje ze swymi dziewczętami, jednak sama branża miała ciemną, okrutnie komercyjną duszę, której obca była życzliwość.

Żeby tę ciemność pokonać, trzeba było podjąć walkę od środka. Izzie miała nadzieję, że uda się to SilverWebb. Ale najpierw musiała pozbyć się Perfect-NY. I Joego Hansena.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Anneliese naszykowała czystą pościel dla Beth i Marcusa. Wysprzątała dom i nawet kupiła świeże kwiaty, by jakoś rozweselić to miejsce. Jedynym problemem, jeśli chodzi o ich rodzinny dom, było to, że tata Beth już w nim nie mieszkał.

Zabrakło jej energii, by przeciwzyć rozmowę z córką. A naprawdę się starała.

„Kochana Beth, twój ojciec i ja postanowiliśmy...”

To odpadało, ponieważ nie było prawdą.

Ona niczego nie postanawiała, decyzję podjęto za nią. Choć się starała, nie przychodziło jej do głowy, jak to przedstawić w delikatny sposób.

„Twój ojciec rzucił mnie, wdawszy się w romans z moją tak zwaną najlepszą przyjaciółką” za bardzo kojarzyło się z telewizyjnym show. Brakowało tylko widowni w studiu i gorliwej gospodyni z mikrofonem i fałszywą troską. A więc nie, to także by się nie udało.

Jedynym rozwiązaniem będzie w takim razie szczerść. Kiedy zjawi się Beth, spragniona spotkania z rodzicami, nieobecność jej ojca zapoczątkuje rozmowę. Anneliese żałowała, że Edward nie jest typem człowieka, który sam by o wszystkim powiedział ich córce. Wszystkie trudne rozmowy w tym domu zawsze zrzucał na żonę.

Beth i Marcus mieli się zjawić w Tamarin w porze lunchu, Anneliese naszykowała więc dla nich kurczaka na zim-

no i sałatkę. Próbowwała zebrać się w sobie i przygotować na łzy córki. Kiedy jednak tuż po pierwszej usłyszała w drzwiach klucz Beth, pożałowała, że nie może po prostu uciec.

Czemu ten cholerny Edward nie zdobył się na odwagę i nie zadzwonił do córki?

- Mamo!

Beth stanęła w drzwiach kuchni. Jej twarz otaczały ciemne włosy i Anneliese domyśliła się od razu, że jej córka o wszystkim wie.

- Tata powiedział mi dziś rano.

- Ach - odparła Anneliese. - Przykro mi, kochanie, chciałam ci powiedzieć i nie wiedziałam jak.

- Mamo, to się stało dziesięć dni temu, a ty nie pisnęłaś na ten temat ani jednego słowa. Dlaczego nie powiedziałaś mi, gdy zadzwoniłaś, by przekazać, że Lily jest w szpitalu?

Anneliese nie miała na to pytanie odpowiedzi. Chyba strach: strach, że się rozklei, gdy opowie o tym Beth, i strach przez tym, że jeśli się zacznie rozklejać, to już nie przestanie. Dla kobiety, która w życiu nie unikała wyzwania, ta taktyka stosowania uników była dziwna, ale jednocześnie stanowiła jedyne rozwiązanie.

Beth szalała.

- Gdybym rano nie zadzwoniła do niego na komórkę i nie zapytała, czy chce coś z Dublina, nadal o niczym bym nie wiedziała. Dowiedziałam się przez przypadek! Tata zakładał, że wiem i że celowo do niego nie dzwoniłam. Czy w ogóle zamierzałaś mi powiedzieć? Jesteście moimi rodzicami, kocham was. Mogłam przyjechać, potrzebowałam mnie, oboje mnie potrzebowaliście, zwłaszcza że Lily leży w szpitalu i w ogóle.

Anneliese się uśmiechnęła: Beth zawsze była sprawiedliwa. Nawet teraz, choć cała była zagniewana, w delikatny sposób przekazywała matce, że tatę także kocha, że nie będzie pionkiem w prowadzonej przez nich grze.

- Nie martw się - powiedziała do córki - nie ma żadnych stron, Beth, wiesz, że nie dopuścilibyśmy do tego. Nie ma żadnej batalii, walki o twoje uczucia. Takich wieści nie przekazuje się przez telefon, prawda?

- Oczywiście, że przekazuje. Mogłaś mi o tym powiedzieć, kiedy zadzwoniłaś z wiadomością o chorobie Lily - odparła ostro Beth. - Natychmiast bym przyjechała.

Anneliese już-już miała powiedzieć, że nie chciała jej martwić, ale Beth była zbyt rozgniewana, by dać sobie wejść w słowo.

- Nie mogę uwierzyć, że nie powiedziałaś mi o waszym rozstaniu. Jesteście moimi rodzicami, mam prawo wiedzieć. Zawsze myślisz, że jestem słaba i głupia i że nie jestem w stanie radzić sobie z niczym, i że nie można na mnie polegać.

Wyglądała na tak wściekłą, że zaszokowana Anneliese zatoczyła się do tyłu.

- Nie chciałam ci po prostu sprawiać bólu.

I wszystko bolało mnie w środku, dodała w myślach Anneliese.

- Życie to nie bajka, mam! - wrzasnęła Beth. - Myślisz, że masz nad tym kontrolę, ale wcale tak nie jest. Mnóstwo rzeczy mnie boli i muszę sobie z nimi radzić, a ty nie masz nad nimi kontroli. Masz pojęcie, jak boli mnie to, że ty i tata rozstaliście się, a nikt mi o tym nie powiedział? Założę się, że nie masz. Ale wiem dokładnie, dlaczego czekałaś na mój przyjazd, by dopiero wtedy mi powiedzieć. Ponieważ zastanawiałaś się, w jaki sposób to zrobić, prawda?

- Beth... - odezwał się Marcus. Stał w drzwiach kuchni, jakby czekał z wejściem na koniec tej kłótni.

- Przykro mi, Marcus, muszę to powiedzieć - odparła Beth. - To się ciągnie już zbyt długo. Przestań mnie kontrolować, mam. Nie jestem dzieckiem.

- Przepraszam - wyjąkała Anneliese, czując się tak, jakby ziemia usunęła jej się spod nóg. Beth zdawała się nie rozumieć

tego, że jej matka była w szoku i czuła ból. Nie, Anneliese, która zawsze sprawowała kontrolę, w oczach Beth była wciąż taka sama. Jakimś sposobem stała się głównym winowajcą. To nie ona zniszczyła ich rodzinę; uczynił to Edward, ale to na nią teraz krzyczano. Wcześniej miała nadzieję na odrobinę współczucia ze strony córki. - To nie było dla mnie łatwe.

- Mogłam przecież pomóc! - zawołała Beth.

Nie pomagasz, krzycząc na mnie, miała ochotę zawołać Anneliese, jednak nie uczyniła tego. Nigdy nie krzyczała na swoją córkę.

- Ale ty nie dałaś mi szansy na to, bym mogła cię wesprzeć. Jesteś taka kontrolująca!

- Nie próbowałam wszystkiego kontrolować - oświadczyła szczerze Anneliese. W zasadzie to próbowała jedynie zachować choć odrobinę kontroli nad własnym życiem, tak by się cała nie rozsypała.

- A właśnie, że próbowałaś - przerwała jej Beth. - Chodziło ci o to, by kontrolować to, co mi mówisz, mamó. Proszę, daj mi szansę, bym mogła cię zrozumieć, okej? I gdybyś mi powiedziała od razu, gdy to się stało, byłoby lepiej, ponieważ wtedy nie musiałabym ci tego wszystkiego mówić w tym samym dniu, w którym chcę ci powiedzieć coś bardzo wyjątkowego. Ale ty to popsułaś.

- Co takiego? - wyszeptała Anneliese.

- Jestem w ciąży - oświadczyła Beth. - W czwartym miesiącu. Marcus i ja będziemy mieć dziecko. - Zaśmiała się, ale w jej śmiechu nie było radości. - Nic ci nie mówiłam, ponieważ nie chciałam cię martwić, dopóki nie miną pierwsze trzy miesiące i wszystko nie będzie dobrze. Widzisz, mamó, doskonale mnie wychowałaś! Ty nic mi nie mówisz, bo nie chcesz mnie martwić, a ja ci nie mówię, bo nie chcę martwić ciebie. Cóż za cudowna rodzina. Nic dziwnego, że tata odszedł.

Dla Anneliese było to niczym strzał. Nigdy nie czuła w sobie kuli, ale wyobrażała sobie, że tak właśnie musi boleć i że

czuje się wtedy słabość i ma się wrażenie, że krew odpływa z twego ciała i wszystko ogarnia ciemność. Jak Beth mogła powiedzieć coś takiego o Edwardzie? Jakby to wszystko było winą Anneliese. To on ją zostawił, czy do Beth to nie docierało? Czy powiedział, że to ona go od siebie odepchnęła? Robiło jej się niedobrze na myśl o tym, co Edward mógł powiedzieć, próbując ograniczyć szkody, ale nie mogła się załamać, nie tutaj, nie w obecności Beth. Nie po usłyszeniu tej nowiny. Wygrzebała w sobie każdy dostępny gram siły.

- Tak bardzo się cieszę razem z wami - rzekła. - To najwspanialsza wiadomość. Kocham cię, skarbie, będziesz fantastyczną matką.

- Dziękuję.

Jakaś magiczna szmatka starła gniew z twarzy jej córki i teraz Beth wyglądała na pogodnie szczęśliwą.

Jako dziecko była taka sama: potrafiła przełączać się pomiędzy uczuciami. To właśnie tak bardzo różniło Beth od jej matki. Nastroje Beth zmieniały się w mgnieniu oka i Anneliese zawsze jej tego zazdrościła. Zupełnie jakby umysł jej córki mówił: „No dobrze, to akurat jest paskudne, nie zajmujmy się tym teraz, przejdźmy do czegoś przyjemniejszego”.

- Marcus, strasznie się cieszę - powiedziała Anneliese i objęła Beth, nakazując sobie nie zemdleć. Będzie mieć wnuka, to naprawdę cudowna wiadomość. Ale w jej wnętrzu nadal skrywał się ból, ponieważ na jej relacji z Beth pojawiła się rysa i to było straszne. Córka winiła ją za wszystko i w gniewie nawet nie zauważyła cierpienia matki. Przecież nie naprawi tego miłość ślicznego, małego dziecka, prawda?

- Dziękuję, Anneliese - odparł z dumą Marcus. - To wspaniała wiadomość, ale także przerażająca!

- Nie od razu udało mi się zajść w ciążę. Staraliśmy się przez prawie rok, a potem, kiedy myśleliśmy, że lepiej będzie się udać po jakąś pomoc, stało się! Byłam na USG, mam ze sobą zdjęcia - rzekła Beth.

Dumni przyszli rodzice i babcia oglądali ujęcia z USG. Anneliese obejmowała ramieniem Beth i niepewnie dotknęła lekko zaokrąglonego brzucha córki. Jej przyszły wnuk jeszcze nie kopał. Pomyślała o tym, jak często marzyła o tej nowinie. Cóż za ironia, że usłyszała ją akurat dzisiaj.

Mimo to była szczęśliwa na myśl o tym, że jej córka doświadczy tej ogromnej miłości macierzyńskiej, co ona. Tyle że kiedy dziecko jest małe, nikt nie mówi, że ta miłość potrafi nieść ze sobą także cierpienie.

- Tak mi przykro, kochanie - rzekła. Całe życie tłumienia własnych potrzeb znowu dało o sobie znać. - Przykro mi, że dzisiaj musiałaś się dowiedzieć o mnie i o tacie, ale zapomnijmy o tym, to nie jest ważne. Ważne jest to - ponownie dotknęła brzucha Beth - to nowe życie. Jestem taka szczęśliwa, skupmy się właśnie na tym. Może twojemu tacie i mnie lepiej będzie osobno, kto wie?

Proszę bardzo, znowu to robiła: dla Beth czyniła wszystko miłym i bezpiecznym, i okrojonym, a jej to się chyba podobało.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, mamó - rzekła. - Nie rozumiem, co się dzieje w głowie taty... - Urwała. - Nie musimy o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz. Przepraszam, że nakrzyrzałam na ciebie. Chodzi o to, że najpierw Lily, a teraz to... Chciałam, by wszystko było idealne, kiedy ci powiem o dziecku.

- Zapomnijmy o wszystkim innym - upierała się Anneliese. - Wszystko się ułoży. Teraz liczy się twoja wiadomość.

Beth uśmiechnęła się szeroko.

- To takie ekscytujące. Przyjedziesz do nas na trochę, kiedy dziecko się już urodzi? No bo będzie ciężko, a sama wiesz, że ja nie mam pojęcia o małych dzieciach. Mówiłam już moim przyjaciółkom, że są szczęściarami, mając starsze rodzeństwo, no bo dzięki temu mają siostrzeńców i bratanków. Ale jako jedynaczka, cóż, nie mam tego doświadczenia.

Ale się pewnie nauczę! - roześmiała się. - Tak sobie myślałam, że może być mi trudno powiedzieć o tym Izzie - kontynuowała Beth - ponieważ tak naprawdę to nigdy nie wiedziałam, czy ona chce mieć dzieci, czy nie, a w jej życiu nie ma nikogo wyjątkowego, więc... - urwała i westchnęła. - Przez jakiś czas myślałam, że kogoś takiego ma. Robiła w e-mailach aluzje na temat jakiegoś faceta, ale brzmiało to raczej mgliście, a ja nie chciałam być wścibska.

- Nie mówiła mi o nikim - odparła zaskoczona Anneliese.

Ona i Izzie dużo ze sobą rozmawiały. No ale w końcu ona także nie chwyciła za telefon i nie przekazała jej wieści o zmianach w swoim życiu, prawda?

- Bała się pewnie powiedzieć tobie i babci, ponieważ od razu zaczęłybyście planować wesele, a, no cóż, czasy się zmieniły - stwierdziła cierpko Beth.

Tak, pomyślała Anneliese, to właśnie ja - zagorzała orędowniczka małżeństwa.

Kiedy zaczęła mówić o ciąży, Beth ciągnęła już tylko ten temat. Marcus zaniósł na górę ich torby i przyniósł żonie wody, gdy tymczasem ona opowiadała swej matce, jak bardzo zmęczona czuje się w nocy, że właściwie nie ma porannych mdłości, ale często jest jej niedobrze, choć to się już poprawia. A w zeszłym tygodniu poczuła prawdziwy przypływ energii. Wyjaśniła, że u niektórych kobiet tak bywa po zakończeniu pierwszego trymestru.

- Tak dużo wiesz - uśmiechnęła się Anneliese. - Na pewno mnóstwo czytasz na ten temat.

- Całe tony. Prawdę mówiąc, wczoraj wieczorem czytałam miesięcznik o dzieciach i wymieniono tam nową książkę o pierwszym roku z dzieckiem. Bardzo bym chciała ją mieć - rzekła Beth. - Może zajrzyłybyśmy do tutejszej księgarni?

- Oczywiście - odparła Anneliese. - Tylko pobiegnę na górę i przejadę grzebieniem po włosach.

W sypialni poszukała środków uspokajających i zażyła jeden. Potrzebowała teraz pomocy, a jako że ta niebiańska jakoś się nie kwapiła, będzie musiała wystarczyć farmakologiczna.

Kiedy kupili kilka książek - za które zapłaciła Anneliese - we troje udali się do *U Doroty*, gdzie pili ziołową herbatę i przyglądali się zatoce. Anneliese uznała, że już się nie boi tego, iż może się tu natknąć na Neli czy Edwarda. Neli nawet nie śmiałyby się pojawić, a gdyby uczynił to Edward, dałaby mu radę, zarówno dzięki swej małej pigułce, jak i obecności Beth i Marcusa.

Po jakimś czasie Marcus wszedł do środka, by zamówić kolejną herbatę.

- Jak się czujesz? - zapytała Beth, ujmując dłoń matki i klepiąc ją. Anneliese uśmiechnęła się do ciężarnej córki.

- Dam sobie radę - skłamała.

- Tata mówi, że w porcie utknął wieloryb - rzekła Beth, kiedy wrócił jej mąż. - Biedactwo, jak to się stało? Czy wieloryby się gubią?

- Nikt dokładnie nie wie - odparła jej matka, patrząc na morze. Był taki piękny, pogodny dzień, jednak po prawej stronie na horyzoncie rysowały się ciemne chmury, zwiastujące letnią burzę. - Mamy tu eksperta od morskiej fauny i on twierdzi, że ma to związek z uszkodzeniem wielorybiego systemu hydrolokacyjnego. Zostają uwięzione i nie potrafią się wydostać. Często wtedy umierają.

- Od jak dawna jest tu ten wieloryb?

- Już prawie dwa tygodnie, nie sądzę, by jeszcze długo wytrzymał. Podobno jest słaby.

- Och, biedny wieloryb - rzekła Beth. - Dlaczego nie można go po prostu uśpić, czy też jest to niemożliwe?

- Chyba można to zrobić, jeśli wieloryb zostaje wyrzucony przez morze na brzeg, ale w tym przypadku tak nie jest

i jeszcze bardziej by cierpiał, gdyby próbowano się do niego zbliżyć.

- Och - westchnęła Beth.

- Ekipa płetwonurków próbowała zwabić go na głębsze wody, ale to była ryzykowna próba, która się nie powiodła.

Anneliese obserwowała tę akcję ze wzniesienia pomiędzy dwiema zatokami. Wielu ludzi znajdowało się wtedy w porcie, w milczeniu przyglądając się i trzymając kciuki.

Anneliese zabrała ze sobą lornetkę i dzięki niej wyłowila w tłumie tego specja od morskiej fauny, Maca Petersena. Teraz, gdy już wiedziała, kim on jest, dotarło do niej, że już go widywała na plaży w pobliżu Chatki Delfinów. Miał niewielką łódkę, jakiej używali kiedyś rybacy, i zdarzało mu się wypływać nią w morze. Miał także psa, kudłacza, który świetnie do niego pasował. Widywała go z nim na plaży.

Kiedy dostrzegła go podczas spaceru, ruszyła w przeciwnym kierunku. Nie potrafiła już być uprzejma wobec nieznajomych.

Dzięki lornetce zobaczyła, jak zwiesił głowę na piersi, kiedy plan się nie powiódł, i zrobiło jej się smutno, że była dla niego taka paskudna w dniu, w którym się poznali. Jemu leżało jednak na sercu dobro tego wieloryba.

- Wiecie co, chyba zjem jeszcze jedną muffinkę - oświadczyła Beth. - Czytałam o odżywianiu się w czasie ciąży i okazuje się, że muffinki są świetne, jeśli chodzi o przywracanie energii. Mleko jest także dobre, dużo go piję. A potem może poszlibyśmy odwiedzić Lily. Nie chcę zostać tam zbyt długo - przyznała Beth. - Nie wiem, czy sobie z tym poradzę. Pewnie ze względu na dziecko nie powinnam się denerwować, ale muszę się z nią pożegnać.

- Dobrze - odparła Anneliese, czując, jak pęka jej serce. Nie chciała, by Lily odeszła. Ale wszystko w jej życiu zmieniało się i wyglądało na to, że nie była w stanie niczemu zapobiec.

Pomyślała o uwięzionym w zatoce wielorybie i o uchodzącym z niego życiu. I o tym, że całkiem przyjemnie byłoby zanurkować i opaść na dno morza razem z nim.

- Pani Kennedy - rzekł doktor Whelan, podnosząc głowę znad biurka, kiedy weszła do gabinetu. - Co mogę dla pani zrobić?

- Lobotomię - odparła lekko Anneliese. - Przydałaby mi się. Małe podcięcie, że tak powiem. Byłoby miło, gdyby potrafił pan zrobić to z mózgiem, wyciąć te trudne, sprawiające kłopoty kawałki, tak jak obcina się rozdwojone końcówki.

Lekarz odłożył długopis. Był młodszy od niej, co odpowiadało Anneliese. Młodszy lekarze zawsze byli bardziej chętni do stosowania najnowszych metod leczenia. Stara doktor Master-son był koszmarem, kiedy chciało się z nią porozmawiać na temat depresji. Pomimo „dr” przed nazwiskiem była zwolenniczką „wzięcia się do kupy” i uważała, że depresję można doskonale kontrolować dzięki radosnym myślom. Anneliese wolała już chodzić do innego lekarza w centrum miasteczka, niż do niej, ale wtedy pojawił się doktor Whelan. W Tamarin przyjmował już od dziesięciu lat i przez ten czas Anneliese odwiedziła go dwukrotnie w sprawie depresji. Był przyjacielski, pomocny i życzliwy. Ale Anneliese to wcale nie ułatwiało omawiania problemów.

Jeśli czuła się jak nieudacznik, ponieważ jej umysł przytłaczała ta ciemna chmura w głowie, to trudno jej było przekonać samą siebie, że będzie się czuć inaczej.

- Ostatnimi czasy nie ma wielkiego zapotrzebowania na lobotomię - odparł, przybierając ten sam lekki ton. - Z całą pewnością nie w przypadku pacjentów leczonych ambulatoryjnie - dodał. - Co się dzieje, pani Kennedy?

Anneliese zamknęła oczy. Nie znosiła tego, nie znosiła. Przychodzenia do gabinetu z błagalną prośbą o pomoc.

- Dopadła mnie depresja - wydusiła z siebie. Pragnienie wybuchnięcia płaczem zostało stłumione przez środek uspokajający, który zażyła przed wyjściem z domu. Była to jej ostatnia pigułka. - Muszę wrócić do antydepresantów.

Cholerny Edward i ta dziwka - to przez nich musi to robić.

- Istnieje jakiś szczególny powód? - zapytał doktor Whelan. Jego głos już nie brzmiał żartobliwie.

Mała biała pigułka przegrała z duchem i pojawiły się łzy.

Pół godziny później Anneliese była w posiadaniu recepty na antydepresanty, które pomogły jej w przeszłości, a także na środek uspokajający, który miał jej pomóc, nim te pierwsze zaczną działać.

- W każdej chwili może się pani u mnie zjawić, by porozmawiać - rzekł doktor Whelan, gdy wychodziła z gabinetu, ocierając czerwone oczy.

- Dziękuję - odparła Anneliese, wiedząc, że tego nie zrobi.

Czuła się tak, jakby nic nie było w stanie jej pomóc, nawet pigułki, które jej przepisał. One były dobre na krótką metę. Pragnęła gwarancji szczęścia i nie wiedziała, czy coś takiego jest jeszcze możliwe.

W domu zaparzyła sobie herbatę, połknęła jedną tabletkę uspokajającą i położyła się na łóżku. Od płaczu bolała ją głowa. Być może gdyby nieco odpoczęła, miałyby energię, by wstać i naszykować kolację dla siebie, Beth i Marcusa. Jutro rano wracali do domu, natomiast dziś po południu wybrali się do szpitala do Lily, dzięki czemu Anneliese mogła się udać z sekretną wizytą do doktora Whelana. Nie powiedziała Beth o tym, jak się czuje, a córka nie pytała.

To było zrozumiałe: Beth pragnęła chronić swe nienarodzone dziecko przed stresem. Każda matka postępowałaby tak samo. Niemniej jednak Anneliese bolał ten dowód na to, że jej córka potrafi się zamknąć na cierpienie innych ludzi.

Beth nie miała ochoty mieć do czynienia ze łzami i samotnością matki, więc po prostu tego nie robiła.

Leżąc pod kołdrą, w otoczeniu mnóstwa poduszek, Anneliese rozejrzała się po pokoju. Może powinna sprzedać ten dom. Był piękny, ale teraz skrywał w sobie zbyt wiele wspomnień. Nie bardzo mogła zmienić wystrój i uczynić go innym. Jako dom plażowy był idealny w obecnym stanie: rozjaśnione drewno, białe ściany i jasnoniebieskie detale. Nie, nie mogła zmienić wystroju. Jedynym wyjściem była sprzedaż. Powinna porozmawiać o tym z Edwardem - cóż, porozmawiać z prawnikiem Edwarda. To pewnie będzie kolejny krok: jego prawnik rozmawiający z jej prawnikiem. Do tej pory nie potrzebowała w życiu porad prawnych, ale teraz owszem. Oczywiście nie będzie to prawnik z Tamarin. Nawet gdyby był uosobieniem dyskrecji, Anneliese i tak krzywiła się na myśl, że ktoś miejscowy dowiedziałby się wszystkiego o rozstaniu jej i Edwarda.

Już to sobie wyobrażała. Neli siedzi w kancelarii niczym wiedźma i mówi: „Nie, Edwardzie, upewnij się, że dostaniesz połowę wszystkiego, więcej niż połowę.”

Anneliese zadrżała na tę myśl. Poszuka sobie prawnika w Waterford. Powie, że chce załatwić to jak najprościej i jak najczyściej. Tak jak w przypadku amputacji: obciąć kończynę, kauteryzować, a potem odejść. Ale dokąd wtedy odejdzie? Zostanie w Tamarin? Pewnie nie, jeśli nie będzie tu Lily.

Minął już ponad tydzień od wylewu i pora była stawić czoło faktom. Możliwe, że Lily już się nie obudzi, a im częściej Anneliese ją odwiedzała, tym więcej myślała o tym, że na szpitalnym łóżku Lily robi się coraz starsza, bardziej krucha i odległa.

Mogłaby się przeprowadzić do Dublina, by być bliżej Beth i Marcusa, i swego ślicznego wnuka, ale coś takiego jej córka mogłaby odebrać jako formę nacisku; to nie byłoby fair.

Jej dom rodzinny znajdował się po drugiej stronie Waterford, ale rodzice już od dawna nie żyli, zaś rodzeństwo rozpiezchło się praktycznie po całym świecie. Jedynym

miejszem, które mogła nazywać teraz swoim domem, było Tamarin. Uczyniła je domem w dniu, w którym wyszła za Edwarda.

Boże, te tabletki są świetne, pomyślała sennie. Pozwalały jej myśлом zapuszczać się w miejsca, które wcześniej sama pozamykała. Co musiało być dobre - a może złe?

Zamknęła oczy, pozwoliła sobie przestać myśleć o tym, co następnie zrobi, i jakoś udało jej się zapaść w sen.

Obudził ją odgłos zatrzymującego się na zwirowanym podjeździe samochodu. Wróciła Beth. Powinna była coś ugotować, a ona zasnęła. Do licha.

Odrzuciła kołdrę i wyjrzała przez okno. Tyle że przed domem zaparkowały dwa samochody, Beth i Marcusa oraz Edwarda.

Anneliese poczuła ucisk w klatce piersiowej. Nie była w stanie poradzić sobie teraz z obecnością Edwarda. Najpewniej Beth wpadł do głowy pomysł, by sprowadzić go tutaj i zmusić do rozmowy z Anneliese. Ale Edward i Anneliese nie chcieli ze sobą rozmawiać. Mieli na to dwa tygodnie i żadne z nich nie podniosło słuchawki, by porozmawiać z tym drugim. Nie zostało po prostu nic do powiedzenia i zbyt wiele bólu pojawiłoby się podczas mówienia tego niczego.

Anneliese niespokojnie włożyła bluzę i dzinsy.

- Mamo. - W drzwiach sypialni pojawiła się Beth.

- Mamo, wiem, że nie spodoba ci się ten pomysł, ale...

- Widziałam samochód twego ojca - przerwała jej Anneliese. - Beth, to nie jest dobry pomysł.

- Mamo, proszę. - Weszła do pokoju i siadła na łóżku.

- Proszę.

- Nie jestem w stanie tego zrobić.

- Ale rozmowa jest dobra, mamo, a wy nie rozmawialiście ze sobą, odkąd on odszedł. Tata mi o tym powiedział.

- No i? - warknęła Anneliese, czując nagły gniew.

- O czym mielibyśmy rozmawiać? Że jest mu przykro i czy

moglibyśmy pozostać wszyscy przyjaciółmi i załatwić to po przyjacielsku? Podejrzewam, o czym on chce ze mną porozmawiać, ale ja nie chcę słuchać. Kiedyś mówił mi, że mnie kocha, a przez cały ten czas romansował z Neli. Więc jeśli mam być szczerą, to nie jestem zainteresowana tym, co twój ojciec ma mi do powiedzenia.

Beth wyglądała na zaskoczoną. Anneliese wiedziała, że powinna przeprosić. To nie była wkońcu wina jej córki, poza tym nigdy nie mówiła do Beth w taki sposób, ale dość miała stawiania uczuć innych ludzi przed własnymi. To była dawna Anneliese.

- Beth - oświadczyła stanowczo. - Nie chcę rozmawiać z twoim ojcem. A teraz wyproś go z mojego domu.

- Proszę, mamó. - Oczy Beth napełniły się łzami. Wyglądała tak żałośnie i Anneliese wiedziała już, że pójdzie na dół porozmawiać z Edwardem.

- Jak go tutaj ściągnęłaś? - zapytała.

- Powiedziałam, żeby zrobił to dla mnie. Nie chciał przyjechać, ale wiem, że rozmowa okaże się pomocna.

Anneliese wzniosła oczy ku niebu. Wiedziała, że Edward, tak jak i ona, nigdy nie odmówiłby niczego córce. Nawet teraz, kiedy nie mogła znieść myśli, że będzie przebywać w tym samym pomieszczeniu, co on, wiedziała, że to przetrwa, ponieważ to uszczęśliwi Beth.

Nikt inny nie byłby w stanie tego dokonać. Nie znajdowali się na etapie mediacyjnym, chyba że za mediację uznać można było rzucanie talerzami i darcie się wniebogłosy. No cóż, porozmawia z nim przez pięć minut i tyle. Anneliese przejrzała się w lustrze. Włosy miała potargane, a twarz zmęczoną. Wyglądała jak wtedy, gdy wracała z długiego spaceru po smaganej wiatrem plaży, tyle że wtedy miewała zarumienione policzki, a teraz wyglądała na wycieńczoną. Nie było sensu stroić się i upiększać. Edward odszedł. Mało prawdopodobne, by wrócił dlatego tylko, że ona pomaluje usta szminką.

- Jestem gotowa - rzekła.
- Ale twoje włosy... - zaczęła Beth.
- Moje włosy są także gotowe - odparła ponuro Anneliese.

Gdy zeszły, zobaczyła, że Edward stoi niedaleko drzwi i wygląda na niespokojnego. Na jednym z foteli siedział Marcus i wyglądał na jeszcze bardziej niespokojnego. Anneliese bardzo lubiła swego zięcia. Był życzliwy i łagodny, a także bystry i troskliwy. Prawdopodobnie lękiem napawała go perspektywa przyglądania się, jak jego teściowie krzyczą na siebie, ale Marcus był kolejną osobą, która dla Beth zrobiłaby wszystko. Bez wątpienia jego także przyparła do muru, by wziął udział w tym zwariowanym planie.

- Chcesz wejść? - zapytała Anneliese swego męża.
 - Chciałem poczekać, aż mnie zaprosisz do środka - odparł sztywno Edward.
 - Chyba czas na ceremonie się skończył - warknęła. Edward przysiadł na skraju fotela naprzeciwko Marcusa.
 - Chodź, kochanie, przejdziemy się po plaży - rzekła Beth, łapiąc Marcusa za ramię i ciągnąc do góry.
 - Jasne. Będziemy niedaleko, gdybyście nas potrzebowali - Marcus posłał pełne udręki spojrzenie Edwardowi i Anneliese.
- Na ustach Anneliese pojawił się lekki uśmiech.
- Nie zamierzam go zabić - powiedziała uspokajająco.
 - Tylko go trochę poturbuję, dobrze?
- Nim Marcus zdążył coś odpowiedzieć, Beth wypchnęła go na dwór.
- Naprawdę cię przepraszam za to najście, Anneliese
 - rzekł Edward, nadal w sposób oficjalny. - Ale Beth nalegała.
 - Wiem. Rozumiem, że to nie twoja wina.
 - Jesteś bardzo wielkoduszna.

- W ogóle taka nie jestem - odparła Anneliese. - Jestem po prostu zmęczona i nie mam energii na wyklócanie się. Jesteśmy tutaj, ponieważ kochamy Beth, ona jest w ciąży i nie chcemy jej denerwować.

- To wspaniała wiadomość, prawda? - rzekł z przejęciem Edward, po czym urwał, tak jakby nagle przypomniał sobie, że nie są normalnymi przyszłymi dziadkami, rozmawiającymi o swym wnuku.

Anneliese pomyślała o tym samym. W przeszłości pozwalała sobie myśleć o tym, jak ona i Edward zareagują na wiadomość, że Beth spodziewa się dziecka, ale ten scenariusz przeszedł jej najśmielsze wyobrażenia.

- To cudowne - kontynuował Edward - że w tym wszystkim dzieje się coś dobrego.

- Mówisz tak, jakby wydarzyła się jakaś klęska żywiołowa i żadne z nas nie było za nią odpowiedzialne - warknęła Anneliese. - Nie ma w tym nic naturalnego. Zdradziłeś mnie, zostawiłeś dla Neli. Neli! Na litość boską, jak mogłeś to zrobić, Edwardzie? Neli była naszą przyjaciółką. Miałam nawet wyrzuty sumienia, że tak ją ciągle zapraszam, na wypadek gdybyś ty miał dość tego piątego koła u wozu podczas kolacji. Jaka ja byłam głupia, ty przecież byłeś zachwycony tym, że ją gościmy. To ja byłam prawdopodobnie tą, której chciałeś się pozbyć.

- Nie, to nie było tak - zaprotestował Edward.

- No a jak? Wiesz, skoro już tu jesteś, to możesz odpowiedzieć na kilka pytań.

Usiadła na skraju jednego z foteli i wpatrywała się w niego gniewnie.

- Kiedy zacząłeś pieprzyć moją przyjaciółkę? Proszę, powiedz mi. Co nie znaczy, bym się spodziewała, że powiesz mi prawdę - kontynuowała.

- Ponieważ nie powiesz, no nie? To jedna z zasad niewierności, prawda?

-Nie.

- Tak - spierała się. - Mówisz to tak, jakbyście byli ze sobą dopiero od pięciu minut, a potem w końcu się dowiem, że trwało to miesiące, lata, że wszystko, co uważałam za prawdziwe, w ogóle takie nie było. To świetny przepis na to, by doprowadzić kogoś do obłędu. To właśnie bez przerwy czynię, Edwardzie: myślę o przeszłości i o tym, które jej fragmenty były prawdziwe, a w których udawałeś szczęście, tak byś mógł spędzać więcej czasu z Neli.

Anneliese usiadła wygodniej. Wcześniej miała zamiar siedzieć na samym brzegu, na wypadek gdyby chciała wybiec z pokoju i nie musieć już na niego patrzeć, ale ponownie dopadło ją znużenie.

- Byliście razem na przykład podczas ślubu Beth?

- Nie! - zawołał.

- Cóż, w takim razie kiedy? Boże Narodzenie? Nie odpowiedział.

- Okej - rzekła Anneliese. - W takim razie Boże Narodzenie: byliście wtedy razem. A więc kiedy przed świętami to się zaczęło? Po prostu mi powiedz, tak bym mogła odkreślić linią czas, kiedy byłeś z nią i pamiętać wspomnienia sprzed tego okresu, ponieważ były prawdziwe. Mam nadzieję, że były prawdziwe.

W jej głowie zaświtała kolejna myśl. Czy były także inne kobiety? Mężczyzna, który raz zdradził, równie dobrze mógł zdradzać wcześniej.

- Czy przed Neli był ktoś inny?

- Nie - odparł. - Nigdy nie było żadnej innej. Szkoda, że tak o mnie myślisz...

- Twierdzisz, że szkoda, że tak o tobie myślę - przerwała mu Anneliese. - A jak mam inaczej myśleć, Edwardzie? Zdradziłeś mnie. Skoro nasze małżeństwo było takie okropne, powinieneś mi być o tym powiedzieć. Mogłeś dać mi wybór. Ale ty tego nie zrobiłeś. Ty bawiłeś się w grę, w której zostałeś ze mną i czekałeś, aż pojawi się ktoś inny.

Ze zdumiewającą jasnością dotarło do niej, że to właśnie była jedna z największych krzywd. Zamiast zakończyć ich małżeństwo, on czekał, zapobiegliwie się rozglądając.

- To właśnie uczyniłeś? - zapytała ostrym tonem. - Czekałeś i jednocześnie rozglądałeś się za inną? I tak się akurat złożyło, że Neli się doskonale do tego nadawała?

- To nie było tak - odparł Edward. Pochylił się i skrył twarz w dłoniach. - To wcale tak nie było. Ty byłaś...

- Och, jasne, znowu moja wina - oświadczyła z goryczą Anneliese. - Zachowywałam się tak, a nie inaczej albo nie byłam tym, czego pragnąłeś, i dlatego musiałeś rozejrzeć się za kimś innym.

- Nie. - Jego ton stawał się ostrzejszy. - Nie mówię, że to twoja wina. Mówię, że my, my jako para, oddaliliśmy się od siebie i tyle. Byłem bezbronny.

- Bezbronny wobec czego? - zapytała ostro. - Bezbronny wobec Neli głaszczącej twe ego, mówiącej ci, jaki to jesteś wspaniały?

Zarumienił się i Anneliese wyczuła, że trafiła w samo sedno.

- To nie jest związek, Edwardzie. Tak postępują dzieci. „Jesteś taki cudowny, Edwardzie, dlaczego nie zostawisz swojej nudnej żony, by być ze mną?” Wiesz co, życzę wam szczęścia.

Zerwała się z fotela. Nie miała już ochoty przebywać w tym samym pomieszczeniu, co on, to nie miało sensu. Nie miał zamiaru odpowiedzieć na żadne z pytań, na które potrzebowała odpowiedzi. Robiła to dla Beth, a prawda była taka, że gdyby ich córka rozumiała ich lepiej, w ogóle ich by do czegoś takiego nie nakłaniała.

- Edwardzie, idź już sobie. Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Posłusznie wstał.

- Tak bardzo mi przykro z powodu Lily - rzekł. - Wiem, że musi to być dla ciebie straszne. Wiem, jak bardzo ją kochałaś.

- Nie mów o niej tak, jakby już nie żyła - warknęła Anneliese -
ponieważ wcale tak nie jest.

W jego oczach zobaczyła litość. Odwróciła się i udała na górę do sypialni, po czym zatrzasnęła za sobą drzwi. Usłyszała trzaśnięcie drzwi, a potem odgłos kół na podjeździe, gdy Edward odjeżdżał.

Dwa tygodnie temu Edward był dla niej wszystkim. Spędzali razem całe godziny, szczęśliwi, zadowoleni we własnym towarzystwie, albo przynajmniej tak jej się wydawało. Tyle że najwyraźniej nie byli szczęśliwi. Gdyby nie migrena, która zmusiła ją do nieoczekiwanego powrotu do domu, mogłaby jeszcze tego nie wiedzieć. Ponownie uderzyła ją przypadkowość i bezsilność życia. Czemu była taka głupia i sądziła, że posiada kontrolę nad swym życiem, skoro było dokładnie na odwrót?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Jesteśmy na miejscu - oświadczyła Jodi, gdy samochód zatrzymał się na podjeździe, na którym niczym konfetti leżały płatki koralowych azalii.

- O rety - westchnęła Izzie na widok domu. Było wczesne popołudnie i ostre słońce malowało dostojną fasadę budynku na połyskujący, złoty kolor. Otoczone przez drzewa i zarośnięte ogrodem Rathnaree wyglądało niczym elegancka panna młoda w dniu swego ślubu: bez względu na to, jak pięknie wyglądali inni, spojrzenia wszystkich i tak kierowały się tylko na nią. - Jest przepiękny.

Zaparkowały obok samochodu agentki nieruchomości i Izzie ruszyła na obchód ogrodu. Dotykała krzewów i małych posągów, podziwiając wszystko, zaskoczona otaczającym ją pięknem i tym, że dorastała tak niedaleko, a nigdy tu nie trafiła.

Pod klonem japońskim, wśród zarośli skrywała się marmurowa bogini z błakającym się na twarzy półuśmiechem. Izzie przesunęła palcami po gładkim kamieniu. Rathnaree było z zupełnie innego świata, a jednak rodzina Izzie stanowiła jego część. Pomyśleć tylko, że jej rodzina pracowała tutaj, w tym niezwykłym domu, jej babcia i prababcia. I przez te wszystkie lata pozostał nienaruszony, przetrwał, jakby czekał, aż ona się tu pojawi.

- Chodź, Izzie - rzekła Jodi, która miała już okazję widzieć ogród i teraz pragnęła jak najszybciej wejść do środka.

Ostatecznie to Izzie udało się nakłonić agentkę nieruchomości do tego, by pozwoliła im obejrzyć Rathnaree. Osiągnęła to dzięki połączeniu uroku osobistego oraz faktu, że ona i agentka chodziły kiedyś razem do szkoły.

- Aggie, my chcemy jedynie rozejrzeć się z powodu tej historii, którą pisze Jodi. Spójrz na to w ten sposób: każdy, kto ma chęć wyłożyć tyle kasy, by kupić coś tak wielkiego jak Rathnaree, na pewno jest na tyle dużym egoistą, by chcieć, aby to miejsce miało spisana swoją historię. Bogacze mają ego wielkości Marsa, no nie, a fakt, że istnieje już spisana historia ich nowego domu... cóż, to z pewnością podniesie jego atrakcyjność. Mogłabyś to umieścić w waszych broszurach reklamowych. Rozumiesz, do czego zmierzam? To nie jest jedynie wielka, stara angielsko-irlandzka rudera, która potrzebuje odnowienia...

- Sądziłam, że przedstawisz ją w pozytywnym świetle - mruknęła Aggie, agentka nieruchomości.

- ...to piękny przykład klasycznej irlandzkiej architektury, z fantastyczną historią, która wiąże Rathnaree z Tamarin i wszystkimi ważnymi wydarzeniami w historii Irlandii.

- Jak na przykład? - zapytała Aggie.

- No cóż, jeszcze nie wiem. Dlatego właśnie chcemy zajrzeć do środka, no nie? - odparła Izzie. No naprawdę, ciężko się współpracowało z Aggie.

- Nie powiem o tym Peterowi - zmięknęła Aggie.

Peter Winters był właścicielem Winters i Synowie, agencji nieruchomości, próbującej sprzedać Rathnaree. Motto firmy było mniej więcej takie: „Jeśli chcesz sprzedać przepiękną rodzinną rezydencję w sposób stylowy i godny, bez nieprzyjemnych nowoczesnych reklam, to Winters i Synowie jest agencją dla ciebie.”

Tego rodzaju sztuczka może i zadziałałaby przed laty, ale nie teraz. Rathnaree stało puste od czterech lat i nie zanosilo się na to, by w najbliższym czasie zmieniło właściciela.

- Peter nie musi wszystkiego wiedzieć - stwierdziła Iz-zie. - My mu nie powiemy, słowo harcerki.

- Byłaś w ogóle harcerką? - zapytała Aggie.

- Raz pojechałam na obóz dla zuchów. Aggie wzruszyła ramionami.

- No dobrze - rzekła. - Ostrzegam was, że Rathnaree potrzebuje naprawdę mnóstwa pracy - kontynuowała, gdy już znalazła klucze do domu. - Jeśli z sufitu odpadnie kawałek tynku i was zabije, to ja za to nie odpowiadam, jasne?

Obecnym właścicielem był niejaki Freddy Lochraven, daleki siostrzeniec pierwotnej rodziny. Według słów Aggie dzielił swój czas między Londyn a Dubaj, a w Rathnaree był tylko raz, krótko po tym, jak je odziedziczył.

- Peter nie przejmuje się tym, że Rathnaree nie zostało jeszcze sprzedane, ponieważ ceny nieruchomości cały czas rosną i zarobi więcej pieniędzy, kiedy w końcu do tego dojdzie.

- I jestem pewna, że bardzo by go ucieszyła szczegółowa historia tego miejsca - wtrąciła Izzie.

- Pewnie tak - odparła Aggie. - No dobrze, wpuszczę was do środka i zostawię, ale nie zabierzcie stamtąd niczego, proszę.

- Och, Aggie, na litość boską - burknęła Izzie. - Nie bądź niemądra. My chcemy jedynie pooddychać atmosferą tego miejsca. Poza tym znasz mnie praktycznie od zawsze, a Jodi, żona wicedyrektora, raczej nie zacznie odrywać kominków od ścian, prawda? Prawda. Wyświadczamy ci przysługę.

- Musimy wejść przez kuchnię - rzekła teraz Aggie, pobrzękując kluczami - ponieważ główne drzwi są koszarne. Kiedy poprzednio tu byłam, ledwo udało mi się je otworzyć.

Obeszły dom i znalazły się przed wielką bramą wiodącą na dziedziniec, przez którą wcześniej zaglądała Jodi. Była niesamowicie podekscytowana i w myślach popędzała Aggie, ale

agentka się nie spieszyła, powoli wkładając do zamka klucz za kluczem, aby znaleźć ten właściwy.

Jodi miała ochotę ją pogonić, ale nie śmiała. Gdyby Aggie zmieniła zdanie, nie byłyby w stanie dostać się do środka, a ona po prostu musiała zobaczyć wnętrze tego domu.

Wreszcie zacinający się zamek ustąpił. Aggie pchnęła skrzypiącą bramę. Pierwsza wbiegła Jodi, rozglądając się, starając się zapamiętać każdy szczegół. Zdjęcia! Lepiej by było, gdyby robiła zdjęcia.

Na jednym końcu dziedzińca znajdowały się stajnie z łukowatymi bramami i porozwieszanymi wszędzie podkowami na szczęście. Jodi pragnęła zajrzeć wszędzie, ale chciała także wejść do środka.

Przed kuchennymi drzwiami miało miejsce kolejne niekończące się czekanie i dopasowywanie kluczy. A potem drzwi otworzyły się i we trzy weszły do środka.

- Jasna cholera, ale bałagan - rzekła z westchnieniem Aggie.

Jodi i Izzie uśmiechnęły się do siebie. Izzie pomyślała, że w szkole jej koleżanka nigdy nie należała do osób o bujnej wyobraźni i widać, że to nie uległo zmianie. Ona widziała jedynie pajęczyny, natomiast Jodi i Izzie wiele lat historii.

- Jeśli zechcesz mi zostawić klucze, Aggie, za parę godzin pozamykam wszystko i podrzucę ci je - powiedziała Izzie.

- No dobrze - odparła niechętnie Aggie. - Mam mnóstwo pracy.

Izzie kiwnęła głową, jakby rzeczywiście tak było. Kiedy były w biurze Aggie, telefon nie zadzwonił ani razu. W agencji Winters i Synowie raczej nie panował ożywiony ruch.

- Oczywiście, że jesteś zajęta - oświadczyła dziarsko Izzie. Boże, cóż za koszalki-opałki plotła. - Zajmę się tym. I bardzo ci obie dziękujemy. Nie masz pojęcia, ile to dla nas znaczy.

Kiedy Aggie sobie poszła, mogły zabrać się w końcu za oglądanie. Izzie niemalże nie wiedziała, od czego zacząć. Obe-

szła wielką kuchnię z ogromną kuchenką Aga i przypomniała sobie, jak kiedyś babcia opowiadała komuś o gotowaniu na takiej bestii. Podobno trudno było rozgryźć jej wszystkie kaprysy, a już absolutnym koszmarem było rozpalanie w niej od nowa, kiedy ogień wygasł.

W jednej części kuchni wysoko na ścianie wisiały dzwonki z nazwami każdego pomieszczenia: biblioteka, salon, gabinet, sypialnia jeden, sypialnia dwa i tak dalej. Takich dzwoneków były trzy rzędy i Izzie wyobraziła sobie, jak służba ekspresowo reagowała, gdy rozbrzmiewał któryś z nich.

Na prawo od kuchni znajdowało się duże pomieszczenie gospodarcze z dwoma wielkimi zlewami i mnóstwem starych drewnianych skrzynek na podłodze. Leżały tam także gazety, rzucone niedbale, jakby ich celem było wytarcie jakiejś plamy. Za drzwiami znalazły źródło gazet: stosy starannie powiązanych dzienników. Izzie pomyślała, że muszą się tam skrywać całe roczniki.

Pomieszczenie to było kiepsko oświetlone i Izzie oczami wyobraźni widziała dziewczynę z dłońmi ppopcieranymi od szorowania ziemniaków czy obierania całych stert warzyw. Nigdy wcześniej nie myślała o sobie jako o osobie z jakimiś szczególnymi zdolnościami parapsychologicznymi, ale tutaj, w tym starym domu, ściany zdawały się być przesiąknięte całymi pokoleniami, które ręce miały obtarte do żywego mięsa.

- Izzie, popatrz, schody - dobiegł do niej głos Jodi. - Chodź.

Wyszła z pomieszczenia gospodarczego i znalazła się w niewielkim korytarzu. Na podłodze ułożone były zwykle kamienne płyty, zimne, wręcz lodowate pomimo ciepłego, wiosennego dnia. Z korytarza odchodziło mnóstwo małych drzwi i Izzie szybko otworzyła kilkoro z nich, odkrywając pomieszczenie z butami, pokrytymi warstwą kurzu i starości, winnym zaś jedynie półki z pustymi butelkami i słoikami oraz

dziwne urządzenie w kształcie ustawionej pod skosem beczki na drewnianym podeście, z wielką rączką po jednej stronie. Dotarło do niej, że to maselnica. Bardzo była z siebie zadowolona, że ją rozpoznała. Kiedy była mała, babcia opowiadała jej o robieniu masła: o tym, jak przyjemnie rozdzielało się świeże mleko na śmietanę i mleko odtłuszczone, a potem godzinami ubijało się je w maselnicy, aż nadchodził ten magiczny moment i zaczynały pojawiać się grudki złotego masła. - Idziesz? - zapytała Jodi.

Wbiegły po wąskich schodach i przez niewielkie drzwi wyszły na przestronny i widny korytarz. To był zupełnie inny świat od tego na dole. Izzie starała się wszystko rejestrować.

Ściany miały odcień bledziutkiej zieleni i pokryte były jedwabną tapetą, która wyglądała niemal tak, jakby ktoś ręcznie namalował na ścianach egzotyczne ptaki. Lecące z rozpostartymi skrzydłami ptaki miały tęczowe ubarwienie: intensywnie żółte, szkarłatnoczerwone i intensywnie niebieskie. Pod nogami Izzie i Jodi miały drewnianą podłogę przykrytą długim, wytartym dywanem. Choć był stary, widać było, że kiedyś musiał być bardzo piękny: na jego skraju widniał wymyślny wzór, zaś na środku tuliły się do siebie wielkie róże.

Jodi niemalże podbiegła do wielkich, podwójnych drzwi na przeciwnym końcu korytarza i pchnęła je. Izzie udała się za nią i znalazły się w przestronnym, jasnym salonie z wielkimi, otwieranymi pionowo oknami i ciężkimi zasłonami z jedwabiu. W pomieszczeniu znajdowały się oryginalne meble, niektóre przykryte płóciennymi pokrowcami w kolorze złamanej bieli. Przed pięknym kominkiem stały dwa połączane krzesła. Na białym marmurze wyrzeźbione były figlujące rzymskie boginie. Izzie odgadła, że to musi być osobisty salon pani domu. Tutaj jaśnie pani mogła siedzieć i odpoczywać, w przeciwieństwie do kobiet uwijających się piętro niżej w pomieszczeniach gospodarczych.

Następne w kolejności były dwie duże sypialnie, jedna dla pana, druga dla pani: jego z niewielką garderobą i męsko wyglądającymi półkami z książkami; jej z olbrzymich rozmiarów łóżkiem z baldachimem pośrodku. Izzie dostrzegła, że masywne kolumny są grawerowane, ale szkarłatno-złoty baldachim zdążyły już zaatakować mole i znajdował się teraz w opłakanym stanie. Jakaż szkoda. Szafy i pozostałe meble nie pasowały do hinduskiego łoża. Szafy wykonano w stylu lat trzydziestych: były proste i klasyczne. Miały pochylane drzwi i czuć od nich było stęchlizną. Na niewielkim bambusowym stoliku obok łóżka widniały plamy wosku i Izzie oczami wyobraźni ujrzała ostatnią z Lochravenów jako drobną staruszkę, udającą się do łóżka ze świecą, by oszczędzić na prądzie. Od Jodi dowiedziała się, że Isabelle Lochraven zmarła w podeszłym wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat. Nigdy nie wyszła za mąż i spędziła w tym domu całe swoje życie. Izzie wiedziała, że jej babcia musi pamiętać Isabelle, ponieważ była młodą kobietą, kiedy Lily pracowała w Rathnaree, miała jednak pewność, że potem już się nigdy nie spotkały, mimo że były w podobnym wieku. Z pewnością miały wiele wspólnych wspomnień, ale przepaść pomiędzy państwem a służbą była tak ogromna, że nawet w podeszłym wieku nie przyszło im do głowy, by ją pokonać.

Izzie cofnęła się myślami do swego dzieciństwa w Tamarin. Nie przypominała sobie, by słyszała coś na temat rodziny Lochraven, z wyjątkiem może sporadycznych uwag na temat tego, że Isabelle przyjechała do miasta jednym ze swych starych samochodów. Wszyscy twierdzili, że przedstawia sobą zagrożenie na drodze. Jeździła tak, jakby była właścicielką całej drogi, którą zresztą dawno temu była.

Jakie smutne życie, pomyślała Izzie, czując empatię w stosunku do tych ludzi. Mieli tak wiele, a jednak z powodu swej pozycji odcinali się od otaczających ich ludzi. Stanowili część kraju i jednocześnie nie. Jakie to smutne.

Na następnym piętrze znajdowały się sypialnie dzieci i olbrzymi pokój dziecienny z jaskrawożółtymi ścianami i porozrzucanymi na podłodze starodawnymi zabawkami: lalkami z porcelanowymi głowami, perukami i zaciętymi minami; rowerek na trzech kółkach, który musiał mieć co najmniej sto lat, z niemal zupełnie zdartą farbą; książeczki z innej epoki, Kipling i Noddy w porwanych okładkach.

W dalszej części korytarza znajdowały się kolejne drzwi, które wychodziły na wąską i krętą klatkę schodową, prowadzącą do pomieszczeń dla służby na poddaszu. Tutaj znajdowały się pokoje pokojówek: małe pomieszczenia oddzielone od siebie cieniutkimi ścianami. W niektórych stały żelazne stelaże łóżek, ale tylko w jednym znajdował się niewielki kominek. Być może dzięki niewielkim oknom na poddaszu nie było aż tak zimno, jak w pozostałej części domu, ale skoro było tu tyle kominów, czymś bezdusznym wydawało się to, że te dziewczęta, po całym dniu rozpalania ognia dla Lochravenów, będą się wspinać na poddasze i marznąć.

Ponownie Izzie zaczęła rozumieć, dlaczego jej babcia tak bardzo nie znosiła Lochravenów. Kobięcie tak dumnej i inteligentnej jak Lily musiało być trudno usługiwać tym ludziom z poczuciem wyższości i przysługujących im przywilejów. Lily, która uważała, że na szacunek trzeba sobie zasłużyć, ciężko było podziwiać ludzi, którzy byli przekonani, że należy im on się tylko dzięki temu, że w ich żyłach płynie arystokratyczna krew. Spędzali czas w pięknym salonie ze złoceniami i jadali na najlepszej porcelanie, gdy tymczasem ich służbie nie były dostępne żadne wygody.

W końcu Izzie poszła na dół. Główne schody były szerokie na co najmniej metr osiemdziesiąt i zbudowano je z jasnego marmuru, przetykanego szarymi żyłkami. Po jednej stronie przytwierdzono solidną mosiężną poręcz. U podnóża schodów znajdował się wielki korytarz wyłożony wzorzystymi, czarno-białymi wiktoriańskimi płytkami i ozdobnymi

kolumnami, na których stały donice z zakurzoną ziemią, bez śladu paproci, które kiedyś z pewnością były tu posadzone. O jedną ze ścian opierał się zdobiony zegar szafkowy. Nad nim górowały wypchane łby jeleni, patrzące zakurzonymi oczami, pozbawionymi życia już od wielu dziesięcioleci.

- Tu jest! - zawołała Jodi.

Znalazła pokój ze swej cennej fotografii: pokój, w którym dostojni mężczyźni i olśniewające kobiety pozowali do zdjęcia, upamiętniającego urodziny lady Irene. Bez aury tajemniczości, jakiej nadawała sepia, pokój wydawał się smutny i zmęczony, pomimo eleganckich proporcji, dużych okien i ogromnego kominka z osłoną paleniska, dokładnie takich, jak na zdjęciu.

Ale w kominku nie palił się ogień. Zniknęły stoliki z pięknymi bukietami, a także poczucie, że w tle gra muzyka, zaś śmiejący się ludzie dobrze się bawią, unosząc do aparatu kryształowe kieliszki.

- Cudownie, prawda? - zapytała oczarowana Jodi. Izzie zaś zastanawiała się, co jest z nią nie tak, ponieważ

wyczuwała tu jedynie smutek. Może brakowało jej genu archeologa. A może była bardziej podobna do swej babci, niż do tej pory sądziła. Nie ciągnęło jej wcale do tego, by mieszkać w tym wielkim domu i bawić się w bycie jaśnie panią, do której służące biegną za każdym razem, gdy rozlegnie się dźwięk dzwonka.

Wyczuwało się tu brak równowagi. Tak jakby wcześniej coś nienaturalnie utrzymywało Rathnaree przy życiu, a teraz, kiedy cykl się skończył, została jedynie ta piękna, smutna skorupa, która była świadkiem tylu wydarzeń. W tym domu mieszkało wielu ludzi, mimo to słyszało się historie jedynie o tych bogatych mieszkańcach. Biedni ludzie z Tamarin, którzy im służyli, popadli w zapomnienie. Izzie uważała, że nie powinno tak być.

- Szkoda, że nie wiemy więcej o ludziach, którzy tu pracowali - oświadczyła. - To dopiero jest interesująca historia, prawda?

- Zgadzam się, obie historie są interesujące - odparła Jodi, czym ją zaskoczyła. - To tak, jakby istniały tu dwa odrębne światy, niezależne od siebie, a jednak przeplatające się ze sobą: arystokracja i służba. Dwie różne historie rozgrywające się w tym samym czasie, niesamowicie to interesujące! Och, tak się cieszę, że udało nam się tu wejść. Dziękuję ci, Izzie, że to załatwiłaś.

- Masz w takim razie zamiar opisać tę historię z dwóch różnych punktów widzenia? - zapytała Izzie.

Jodi skinęła głową.

- Uwielbiam odkrywanie przeszłości, a ty nie? - zapytała radośnie. - Mówi nam ona wiele o nas samych, a przynajmniej tak nam właśnie przedstawiali to na studiach.

Izzie stanęła przed wielkim kominkiem w taki sposób, jak ludzie na fotografii Jodi i próbowała sobie wyobrazić siebie w ich świecie. Kiedyś czytała powieść o podróżowaniu w czasie, w której kobieta z dwudziestego wieku została przeniesiona do siedemnastego. Coś takiego fascynowało Izzie. Co by ze sobą wniosła do przeszłości, gdyby dokładnie teraz cofnęła się do roku 1936? Czyjej mądrość na coś by się wtedy przydała? Czy też okazałoby się, że to przeszłość jest jej nauczycielką?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kiedy Lily była starsza, przekonała się, że pory roku przypominają jej o różnych częściach jej życia. Wiosna to zawsze Tamarin, kiedy na drzewach dopiero zaczynały pojawiać się listki, a łąki zmieniały odcień na zielony i pojawiały się na nich młode owce na drżących nogach. Jesień to Rathnaree, kiedy służba mozolnie przygotowywała dom na zimę, a sir Henry zapraszał swoich kolegów na polowania albo połowy ryb. Na dworze drzewa przybierały rudobrunatne i złote odcienie jesieni, w domu w kominkach płonęły polana jabłoni, zaś w kuchni unosiła się para od przygotowań do wieczornych przyjęć.

Ale lato: lato zawsze będzie się kojarzyć z Londynem podczas wojny, kiedy słońce przygrzewało mocniej niż kiedykolwiek, zaś życiu towarzyszyła niewyobrażalna pasja i zacięcie.

Maj 1944 roku był jednym z najgorętszych w historii i podczas tych rzadkich okazji, kiedy nie pracowały, Lily, Diana i Maisie uwielbiały siedzieć na maleńkim balkonie na trzecim piętrze bursy pielęgniarstwa na Cubitt Street, opierając się o wyblakłe i postrzępione poduszki, pozwalając, by gorąco wsączało się w ich zmęczone kości.

Nie miały zbyt wielu okazji, by wygrzewać się na słońcu: czas wolny był nagrodą dla studentek trzeciego roku, a Siostra Przełożona święcie wierzyła w powiedzenie, że beczynność prowadzi do grzechu.

Byłaby zgorszona, gdyby zobaczyła, jak siedzą na balkonie bez pończoch i wystawiają gołe stopy do słońca. Ale to był trudny tydzień, pomyślała Lily, a to, czego Siostra Przełożona nie widziała, nie mogło jej zranić. Na oddziale położniczym Lily brała udział w narodzinach siedemnaściorga dzieci, i to tylko w ubiegłym tygodniu.

Zasługiwała na odpoczynek. Tego wieczoru ona i dziewczęta wybierały się na podwieczorek do Lyons Corner House, potem zaś do Odeonu na *Gasnący płomień*. Uwielbiała chodzić do kina i zanurzać się w świecie filmowych fantazji. Jej ulubioną gwiazdą była niezmiennie Joan Crawford, dostrzegała jednak także urok Ingrid Bergman. Maisie, którą często ponosiła wyobrażenia, twierdziła, że Lily ma takie same oczy jak Ingrid.

- Tajemnicze - upierała się Maisie. - Jakbyście myślały o wyjątkowym mężczyźnie, gdzieś tam daleko.

- Kiedy nasza Lily patrzy w taki właśnie sposób, myśli o tym, co jest na kolację - zaśmiała się Diana, która była znacznie bardziej prozaiczna i, podobnie jak one wszystkie, często myślała o jedzeniu.

Lily pamiętała obfitość jedzenia w domu, świeże jajka każdego dnia i pachnący chleb swej matki. Nie zdawała sobie wtedy sprawy z tego, jak wielką jest szczęściarą. Obecnie braki w zaopatrzeniu dotarły także do Irlandii, gdzie mąka stała się towarem trudnym do zdobycia. „Wszyscy jemy teraz ciemny chleb” - napisała w swym ostatnim liście jej matka. „Według mnie smakuje jak torf. Lady Irenę bardzo schudła z tego powodu”.

Gdy popołudniowe słońce ogrzewało jej twarz, Lily zastanawiała się, jak w ogóle mogła mieszkać w miejscu innym niż Londyn. To nie tylko jedzenie przywołało jej myśli do Tamarin i Rathnaree: jej matka, która ciężko pracowała i przez całe życie oglądała tylko tę cholerną rodzinę Lochravenów, i nigdy nie myślała o niczym innym. Sama Lily

widziała już tak dużo - pomagała na sali operacyjnej, kiedy w szpitalu brakowało personelu, i wytrzymała tam pomimo smrodu porzuconych łubków i opatrunków mężczyzn, którzy odnieśli rany na kontynencie. Wiele nocy podczas nalotów spędziła w piwnicy, uspokajając pacjentów, gdy tymczasem sama próbowała zachować spokój, mówiąc im, że wszystko będzie dobrze, że na szpital nigdy dotąd nie spadła żadna bomba i że teraz też tak się nie stanie, choć wcale tego nie wiedziała.

Zupełnie sama odebrała dwa porody i poczuła przyływ dumy, kiedy usłyszała, że Królowa oświadczyła, iż cieszy się, że Pałac Buckingham został zbombardowany, ponieważ dobrze teraz widzi East End. Lily lubiła Królową: przejmowała się i trzymała małe księżęta przy sobie w Londynie pomimo nalotów. Rodzina królewska także podlegała racjonowaniu żywności, co było jak najbardziej sprawiedliwe. Lily gotowa się była założyć o ostatniego szylinga, że gdyby to Lochrave-nowie rządili tym krajem, nadal jadaliby jaja siewki i homary.

- Czy to źle, że nie chce się wracać do domu? - zapytała Lily.

- To zależy od tego, co cię czeka w tym domu - odparła pragmatycznie Maisie. - Na mnie w domu nie czeka nikt z wyjątkiem żony Terry'ego, a ona raczej mnie nie powita z otwartymi ramionami.

Matka Maisie zginęła podczas serii nalotów, gdy otworzyła drzwi mieszkania, by pobiec do metra. Z ich małej rodziny pozostał jedynie jej brat, Terry, a on rok temu ożenił się, kiedy jego dziewczyna, platynowa blondynka o imieniu Ruby zaszła w ciążę. Ruby i Maisie niezbyt dobrze się dogadywały.

- No tak, przepraszam - rzekła Lily, zła na siebie, że myślała na głos. - Ale kiedy wojna się skończy, to co wtedy?

- A więc masz wtyczki w Ministerstwie Wojny? - zapytała Maisie. - Skąd wiesz, że ona się skończy?

- Nie może trwać bez końca.
- Kto tak twierdzi? - Maisie zapaliła papierosa.
- Herbata gotowa, dziewczęta.

Diana postawiła obok nich trzy parujące kubki, po czym wystawiła swe długie nogi do słońca, by je ogrzać.

- Dzięki.

- Dzięki, Diano. - Lily sączyła herbatę, niezmiennie marszcząc na początku nos. Brakowało jej cukru, ale uznała, że lepiej oszczędzać kartki na samą herbatę.

Diana całkowicie wyrzekła się kawy.

- Nie mogę znieść smaku Camp - oświadczyła, wzdrygając się na myśl o tym substytucie kawy. Opowiadała im kiedyś o pysznej kawie, którą piła przed wojną w Juan Les Pins na południu Francji, gdzie udała się wraz z rodzicami i siostrą, Sybil, i zatrzymała się w przepięknej willi z własnym basenem i niebiesko-białymi parasolami, chroniącymi przed słońcem.

- Lily wpadła w ckliwy ton, Di - rzekła Maisie. - Chce wiedzieć, co będziemy robić po wojnie.

Diana zmarszczyła swój idealny nos.

- Kochanie, któż to wie. Tatuś pewnie będzie chciał mnie wydać za mąż, by mieć mnie z głowy, tak jak Sybil. Według niego na tym właśnie polega wojna: obronie kraju po to, by twoje córki nadal mogły brać ślub w rodzinnej kaplicy.

- Nie mówiłaś, że macie kaplicę - wyprostowała się Maisie. - Sądziłam, że Sybil bierze ślub w zwykłym kościele.

- To tylko mała kaplica - zapewniła skruszona Diana.

- Wielu ludzi je ma. Nie tylko my.

- Nie denerwuj się, Księżniczko - westchnęła Maisie.

- Jeszcze nigdy nie widziałam domu z własną kaplicą. Chryste Wszchemogący, pewnie będę musiała mieć nienaganne maniery podczas tego cholernego ślubu.

Nie ty jedna, pomyślała Lily. Nadal czuła się niepewnie na myśl o uczestniczeniu w ślubie siostry Diany. Łatwo było

zapomnieć, że Diana pochodzi z innego świata, ze świata pełnego przywilejów. Dzieliły razem pokój i widziały, jak śpi z otwartymi ustami i jak wpycha do buzi kanapkę z serem po dwunastogodzinnym dyżurze, kiedy nie było czasu, by spokojnie zjeść. Ale jej rodzina to zupełnie inna sprawa. Miały już okazję poznać Sybil, która krańcowo różniła się od Diany: była dumna, wiecznie nadąsana i przekonana o konieczności zachowania podziałów klasowych.

W przeciwieństwie do Maisie, która wprost się nie mogła doczekać, by zobaczyć, jak żyje ta druga połowa", Lily - która zdążyła się już świetnie o tym przekonać - myślała o tym weselu z wielką niechęcią. Dla Diany była przyjaciółką. Dla Bel-tonów, którzy mieli prywatną kaplicę i wielki dom w Londynie, zaś przed wojną spędzali wakacje na Riwierze, będzie służącą. Wojna może i wiele zmieniła, ale nie aż tyle.

- Będzie uroczko - westchnęła radośnie Maisie.

Miała dwadzieścia jeden lat, była najmłodsza z ich trójki, ale to ona próbowała wszystkiego jako pierwsza. Pierwsza umówiła się z amerykańskim żołnierzem.

- Bardzo uprzejmy, przez cały czas opowiadał mi o swojej matce - oświadczyła żałośnie, kiedy wróciła do bursy i pozostałe dziewczęta pragnęły poznać szczegóły. - Powiedział, że Angielki to damy. Wszystkie byłybyśmy damami, gdyby nikt nas nigdy nie dotknął.

- Byłabyś wściekła, gdyby czegoś próbował - stwierdziła Diana, która po niemal trzech latach wspólnego mieszkania zdążyła już sobie wyrobić opinię o Maisie.

- Trzy godziny słuchania o jego matce podziało na mnie zniechęcająco - prychnęła Maisie, nie zwracając sobie głowy odpowiedzią na uwagę Diany. Świetnie się czuły we własnym towarzystwie: jak siostry sprzeczały się, ale zawsze godziły. Razem przeżyły pożar. To stworzyło nierozzerwalną więź. - Czułam się, jakby razem z nami siedziała moja babcia, skrzeczająca: „Jeśli pozwolisz mi na zbyt wiele, skończy

się to łzami, moja panno! Najpierw zdobądź pierścionek!" A skoro już mowa o pierścionkach, to mam nadzieję, że ktoś nam zrobi zdjęcia na tym weselu - dodała Maisie. - Chcę mieć dowód na to, że potrafię się stroić.

- Oczywiście, że będą zdjęcia - odparła Diana. - Dla potomności.

Lily nie wiedziała, w co by się ubierały, gdyby nie szczodrość Diany. Miała skrzynie pełne ciuchów: suknie wieczorowe i stroje dzienne, które przekazała Fundacji Zubożałych z Hampstead, jak to nazywały. Jako że Diana i Lily miały niemal takie same figury, nie trzeba było wielu poprawek, jedynie podłożenia o kilka centymetrów.

Dzięki pojemnym kufrom Diany na wesele Sybil Maisie ubierze się w szarą garsonkę z lnu i jedwabiu, na głowie zaś będzie miała szykowny srebrny kapelusik ozdobiony piórami. Diana miała być druzną w jednej ze starych sukien swej matki. Była ona w odcieniu morskiego błękitu i sprawiała, że jej angielska kremowa cera wyglądała jeszcze piękniej, natomiast Lily miała mieć na sobie granatową suknię z krepde-szynu z chińskim kołnierzykiem, zwężaną talią, dzięki której wyglądała jak bardzo szczupła klepsydra, i z rozkloszowanym dołem. Jediną drobnostką psującą tę odzieżową przyjemność był brak butów. Stopy Diany były znacznie większe od stóp Lily, więc Lily będzie musiała założyć buty szpitalne: brązowe wiązane trzewiki, tak solidne, że można w nich było obejść cały Londyn.

- I tak będziesz wyglądać fantastycznie - orzekła lojalnie Maisie, kiedy przymierzyły swoje stroje.

W nefrytowych kolczykach odziedziczonych przez Dianę po jednej z ciotek, a podkreślających kasztanowy odcień jej gęstych, błyszczących loków, Lily wiedziała, że będzie wyglądać świetnie. Ale wiedziała, że zdradzą ją nie tylko buty.

Służący byli znacznie większymi snobami od swych panów i nie mylił się ten, kto twierdził, że dobry kamerdyner na

pierwszy rzut oka rozpozna klasę społeczną. Lily wiedziała, że jej pochodzenie stanie się natychmiast oczywiste dla wszystkich służących w Beltonward.

- Chodźcie, dziewczęta - rzekła teraz, wstając. - Idziemy na podwieczorek. Umieram z głodu.

Beltonward okazało się spełnieniem najgorszych koszmarów Lily. Od chwili, gdy stara furgonetka, która po nie wyjechała, wspięła się na wzgórze i Diana zawołała: „Patrzcie, to tam!” z dumą przebijającą uprzejmość, dzięki której wcześniej pomniejszała znaczenie rodzinnego bogactwa, Lily poczuła, że zamiera jej serce. Beltonward było ogromną rezydencją, wybudowaną w pobliżu wielkich domów zarekwizowanych przez wojsko, marynarkę i lotnictwo wojskowe jako bazy dla swych operacji. Beltonward pozostawiono w prywatnych rękach wyłącznie z powodu odległej lokalizacji. Było idealne jako miejsce rekonwalescencji dla rannych żołnierzy: na wielu akrach ziemi ci ludzie mogli się waleśać i próbować zapomnieć o tym, co przyszło im widzieć.

- Chryste Wszchemogący - odezwała się Maisie. - Musisz być cholerną księżniczką, skarbie, no bo twój ojciec musi chyba być królem, by zarządzać czymś takim.

- Och, Maisie, zamknij się - warknęła Diana z niezwykłą jak na nią irytacją, która powiedziała Lily, że nie tylko ona denerwuje się tym weselem.

Maisie się zamknęła.

Kiedy furgonetka zatrzymała się przed głównym wejściem, pojawiło się dwóch starszych panów.

- Tatusiu! - zawołała Diana, ściskając tego mniej reprezentacyjnego.

Miał on co najmniej siedemdziesiąt lat, kilka pasm siwych włosów na głowie z plamami wątrobowymi, ubrany był w pocerowaną, zrobioną na drutach kamizelkę, jasnoniebieską koszulę i jedwabny fular. Na jego pomarszczonej twarzy malowała się życzliwość.

- Maisie i Lily, to jest tatuś, sir Archibald Belton, a to Wilson.

Choćby i się starała, Lily nie była w stanie nazywać mężczyzny starszego od swego ojca tylko po nazwisku. Wilson. Nie, nie mogła tego zrobić.

- Dzień dobry, sir Archibaldzie, jak się pan ma, panie Wilson - rzekła.

Twarz sir Archibalda nawet nie drgnęła, Wilson jednak wyglądał na lekko zaszokowanego.

No cóż, pomyślała Lily, jeśli powiedziało się A, należy powiedzieć i B.

Podniosła swoją małą walizkę.

- Wilson może zabrać wasze bagaże, moje drogie - rzekł sympatyczny sir Archibald.

- Ależ nie trzeba - odparła pogodnie Lily. - Sama sobie poradzę.

Beltonward może i zostało pozbawione większości dzieł sztuki (to, co cenne przechowywano w ogromnej piwnicy razem z malejącą kolekcją wina - sir Archie podobno był niepokieszony, że nie ma już jego cennego wina reńskiego), ale sam budynek także był piękny. Gdy sir Archie wprowadził je do środka, gawędząc radośnie z córką i obejmując ją ramieniem, Maisie i Lily mogły rozejrzeć się po westybulu - zbyt okazałym, by nazywać go korytarzem, uśmiechnęła się do siebie Lily - z szerokimi, rozciągającymi się elegancko schodami. Na wyblakłych ścianach pokrytych czerwonym adamaszkiem nadal wisiało kilka portretów. Mężczyźni z długimi nosami jak sir Archie i upudrowane kobiety o końskiej twarzy jak biedna Sybil wpatrywali się w nich, mówiąc: „Tak, jesteśmy bogaci i możni i panujemy nad wszystkim, co widzą nasze oczy”.

Tynki ozdobione zniszczonymi złotymi liśćmi odbijały światło, zaś na wielkim sklepionym suficie widniały malowidła przedstawiające figlujących cherubinów i boginie baraszkujące pośród oświetlonych słońcem chmur.

Przy schodach stały dwie olbrzymie popękane bialo-nie-bieskie wazy ozdobione małymi Chinkami, a Lily wystarczająco dużo naoglądała się w Rathnaree, by wiedzieć, że przedstawiają sobą sporą wartość.

- Chryste Wszchemogący - wyszeptała Maisie, gdy wchodziły po marmurowych schodach. - Nigdy nie interesowało mnie poślubienie kogoś z wyższych sfer, ale teraz widzę dobre tego strony.

- Chyba że musiałabyś sama szorować te schody - odszepnęła Lily, myśląc o całych połaciach marmuru w Rathnaree i wiedząc, że bez względu na to, jak wiele by miała pieniędzy, i tak z niechęcią zatrudniałaby innych do czyszczenia jej podłóg.

- Celną uwagę.

Maisie i Lily miały dzielić ze sobą pokój i kiedy zostały same, Lily usiadła na jednym z łóżek. Pikowana bawelniana narzuta była śnieżnobiała. To była najnowsza rzecz w tym pokoju. Wszystko inne było bardzo stare i wyblakłe, łącznie z ciężkimi zasłonami w kwiaty i przetartym dywanem.

- O rety, trudno to nazwać Ritzem, no nie? - odezwała się Maisie.

- Pokoje dla rodziny - wyjaśniła Lily. - W nich zatrzymuje się rodzina i przyjaciele dzieci. Prawdziwe apartamenty gościnne wyglądają lepiej, ale nie są przesadnie pretensjonalne. Zbyt ni przepych jest w złym guście.

- Ja bym nie miała nic przeciwko niemu, gdybym tu mieszkała - westchnęła Maisie, otwierając szuflady i myszkując po pokoju.

- Dlatego właśnie ty i ja nigdy nie byłybyśmy odpowiednimi żonami dla arystokratów - zaśmiała się Lily. - Chciałybyśmy mieć non stop ciepło, pragnęłybyśmy jedwabnych narzut jak Greta Garbo i Rolls Royce'a, natomiast nasz ele-gancik pragnąłby starych zasłon, zero ogrzewania i cerowanych przez nas skarpetek. Bogaci nie muszą się popisywać faktem, że mają pieniądze.

- Są dziwni, to pewne - orzekła Maisie. Doprowadzały się do porządku, by poznać matkę Diany i pozostałych gości.

- Mamusia jest w małym salonie - oświadczyła Diana, gdy we trzy schodziły ponownie szerokimi schodami. - Nie może się doczekać, by was poznać.

Zdażyła się przebrać i teraz wyglądała jakoś tak młodziej w starych bryczesach i cienkim sweterku. Lily miała uczucie, jakby odkrywała nową stronę przyjaciółki, znajdującej się w swoim domu. Ponownie pomyślała o własnym domu w Tamarin. Wyobraziła sobie, że zabiera tam Dianę i Maisie i pokazuje im te wszystkie miejsca, gdzie się bawiła jako dziecko. Las, w którym ona i Tommy bawili się w chowanego, strumień, gdzie kładli się na brzuchach i machali palcami w zimnej wodzie. Pomyślała o tym, jak by je przedstawiła swej matce, jak by natychmiast ją polubiły. Wszyscy uwielbiali mamę; była taka ciepła i życzliwa. Tyle że jej matka zachowywałaby się inaczej w stosunku do Diany, ponieważ Di była jedną z Nich. Dlaczego to miało znaczenie?

Niewielki salon znajdował się po lewej stronie domu, gdzie mieszkała rodzina, w przeciwieństwie do wschodniego skrzydła, które obecnie pełniło funkcję sanatorium.

Gdy tylko matka Diany je zobaczyła, wstała i wyciągnęła ramiona.

- Jak cudownie! - zawołała z autentycznym zachwytem. Była starszą wersją Diany, z taką samą słodką twarzą, serdecznym uśmiechem i włosami przetykanymi siwizną.

- Dzień dobry, lady Belton - przywitała się oficjalnie Lily.

- Naprawdę czuję, jakbym was znała, dziewczęta. Tak wiele o was słyszałam i o tym, jak bardzo miłe jesteście dla Diany. Nie wiem, jak mam wam za to dziękować.

Uśmiechała się do nich tak ciepło, że Lily wreszcie poczuła, iż się odprężyła. Być może nie będzie jednak tak źle.

Sir Archie pomimo swej życzliwości był dżentelmenem w dawnym stylu: czarującym, owszem, ale bez wątpienia w pełni świadomym swej pozycji. Natomiast lady Belton była jak Diana: serdeczna wobec wszystkich, bez względu na pochodzenie społeczne. Lily pomyślała z rozbawieniem, że lady Irene ani trochę by jej nie polubiła.

Obiad był „tylko dla rodziny”, jak to prostolinijnie określiła Diana. Do Lily, Maisie, Diany, lady Evangeline i sir Ar-chiego dołączyli Sybil oraz jej narzeczony, rzadko odzywający się kapitan Philip Stanhope.

Sybil, dwa lata młodsza od Diany i oddalona o milion lat od swej siostry, jeśli chodzi o temperament, chciała rozmawiać jedynie o swym jutrzejszym ślubie, i martwiła się o suknię, kwiaty i o to, że z powodu tej paskudnej starej wojny nie mogą mieć porządnego, arystokratycznego wesela.

Lily pomyślała o ludziach, którzy rzeczywiście doświadczali tej paskudnej starej wojny - ludziach takich, jak Maisie, która straciła matkę, i młodych mężczyznach z drugiej części domu, rannych na ciele i duszy z powodu tego, co przyszło im widzieć na linii frontu. Tutaj, w idyllicznym świecie Belton-ward, wojna wydawała się bardzo odległa. Sybil pracowała w kobiecej służbie rolnej i Lily mimowolnie zastanawiała się nad tym, jak wywiązywała się ona z opieki nad dziewiętnastoletnimi, tęskniącymi za domem dziewczętami, które postanowiły wspomóc akcję ludności cywilnej na rzecz wojny i wylądowały wiele kilometrów od rodzinnych domów, a tu musiały wstawać o piątej, by doć krowy czy jeździć traktorem.

- Pochodzisz z gospodarki. Powinnaś przyłączyć się do akcji - powiedziała Sybil ostro do Lily, tak jakby była w stanie odczytać jej myśli.

- Trochę by było szkoda mojego wykształcenia - odparła spokojnie Lily.

- Tak, ale zaczęłaś w Irlandii - oświadczyła Sybil, tak jakby samo to czyniło jej szkolenie bezużytecznym.

Lily poczuła, jak wzbiera w niej znajomy gniew. Zdusiła go w sobie.

- Prawdę mówiąc nie - rzekła. - W Irlandii w ogóle nie zajmowałam się pielęgniarstwem. Pracowałam dla miejscowego lekarza.

- Sibs! Lily jest lepszą pielęgniarką niż ja - wtrąciła Diana.

- Skoro tak twierdzisz - mruknęła Sybil, rzucając Lily oschłe spojrzenie znad swego długiego nosa.

- Skąd mówiłaś, że pochodzisz, moja droga? - zapytał sir Archie.

Lily poczuła, że cała sztywnieje. Umarłaby, po prostu umarłaby, gdyby się okazało, że on zna Lochravenow. Nie była w stanie znieść rozmowy o nich, takiej, która ujawniłaby, że Lily pracowała jako pokojówka jaśnie pani w Rathnaree.

- Waterford - rzekła, co było prawdą. Tamarin należało do hrabstwa Waterford.

- No tak - odparł sir Archie.

Po obiedzie wszyscy przeszli do niewielkiego salonu, gdzie lady Evangeline siadła przy zgaszonym kominku, by zająć się gobelinem przedstawiającym jednorożca w lesie, zaś Diana, Sybil, sir Archie i Philip grali w karty. Maisie i Lily, które nie przepadały za kartami - Lily powiedziała tak tylko dlatego, że była pewna, iż gry, które znała z domu, z całą pewnością nie były tymi, o które chodziło Sybil - usiadły na sofie pod oknem i rozmawiały, wyglądając jednocześnie na zewnątrz.

Wilson, Philip i sir Archie poznosili wcześniej wszystkie krzesła ogrodowe na niewielki taras obok ogrodu różanego na jutrzejsze przyjęcie. Plan zakładał otwarcie drzwi na taras, tak by goście mogli swobodnie wchodzić i wychodzić. Sybil dąsała się, ponieważ na jej wielki dzień z sali balowej nie usunięto rekonwalescentów.

- Myślisz, że ona i kapitan już to zrobili? - wyszeptała teraz Maisie.

- Sybil? - Lily wzruszyła ramionami. - Nie wiem. Nie wyglądają na takich, co to nie mogą myśleć o niczym innym, nie sądzisz?

Philip i Sybil znali się od dziecka i Lily nie dostrzegała między nimi ani odrobiny namiętności. Widziała, jak niektóre z pielęgniarek wracały do bursy z wychodnych wieczorów zarumienione, z rozmazaną szminką i potarganymi włosami. Zawsze wślizgiwały się niepostrzeżenie - to by dopiero było, gdyby nakryła je Siostra Przełożona. Lily zawsze się zastanawiała, jak to jest czuć tak ogromne pożądanie wobec jakiegoś mężczyzny. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek tego doświadczy. Spotykała się z mężczyznami, to oczywiste, ale nigdy nie poczuła ani odrobiny pożądania.

- Przespałabym się ze swoim narzeczonym, gdybym była zaręczona - oświadczyła nagle i zaskakująco Maisie. Lily zawsze uważała Maisie za najbardziej moralną z ich trójki. Pomimo wzywania imienia Boga Wszechmogącego i żartów na temat baraszkowania z żołnierzami wtylnych rzędach wki-nie została wychowana tak, by przestrzegać surowych zasad moralnych. - Mógłby pójść na front i już nigdy nie byłibyście razem. A gdybyście byli zaręczeni i zaszłabyś w ciążę, miała-bys przynajmniej coś jego, gdyby on nie wrócił.

- Pewnie tak - odparła Lily, wzruszając ramionami. - Nie mogłoby chyba być nic gorszego, prawda? Kochać kogoś, kto zostaje wysłany na kontynent nie wiadomo nawet gdzie. Nie zmrużyłabym oka.

- Może dlatego my trzy przyjaźnimy się ze sobą - dumiała Maisie. - Bo nie mamy ukochanych za wielką wodą. Nie snujemy marzeń o naszych mężczyznach, nie tak, jak te dziewczyny, które nie umieją rozmawiać o niczym innym, jak o swych ukochanych w Afryce czy jeszcze gdzieś indziej.

Lily roześmiała się.

- To prawda - rzekła. - Poza tym mężczyźni wszystko komplikują. Musiałybyśmy opuścić szpital, gdybyśmy wyszły

za mąż, a gdybyśmy zaszły w ciążę to zostałybyśmy stamtąd wyrzucone na zbity pysk. - W przypadku Lily obie te kwestie były mało prawdopodobne. Miłość znajdowała się bardzo nisko na liście jej priorytetów; najbardziej liczyła się praca. Poza tym pracowała tak dużo, że czymś niemal niemożliwym było posiadanie życia poza szpitalem, choć innym pielęgniarcom jakoś się to udawało. Zarówno Diana, jak i Maisie chodziły z mężczyznami na kolacje i do kina, ona jednak rzadko. - Widzimy zbyt wielu chorych i zbyt dużo śmierci. To zniechęca do miłości.

- Mów za siebie - roześmiała się Maisie. - Ja nadal szukam. Może poznam tu jutro jakiegoś uroczego pana, dla którego zupełnie stracę głowę.

- Już prędzej jakiś stary matoł dozna udaru słonecznego i przez całe popołudnie będziesz musiała wycierać go gąbką.

- Znajac moje szczęście, to całkiem możliwe.

Dzień ślubu był spełnieniem marzeń każdej panny młodej: słoneczne, bezchmurne, błękitne niebo, ale nie upał, przez który zwiędłyby kwiaty wyblagane w każdym ogrodzie po sąsiedzku. Lily wstała wcześniej i przeszła się na długi spacer po ogrodzie i polach za domem, gdzie z zadowoleniem pasło się niewielkie stado krów, leniwie odpędzających ogonami muchy. Gdy Lily zamknęła oczy i oddychała głęboko, niemalże była sobie w stanie wyobrazić, że znajduje się teraz na łące koło domu, z otaczającymi ją znajomymi zapachami ziemi i bydła. Poczowała ukłucie tęsknoty za domem.

W domu od rana panował chaos. Słysząc było Sybil, zawodzącą na temat swoich włosów i tego, że ktoś zabrał jej perfumy.

- Została tam tylko odrobina i oszczędzałam ją na dzisiaj! - ryknęła. - Jak mogło mi się przytrafić coś takiego?

Lily i Maisie ubrały się szybko i ułożyły sobie nawzajem włosy.

- Twoje są takie błyszczące - rzekła Maisie, odstepując krok w tył, by móc podziwiać kasztanowe loki Lily, które podpięła po bokach dwoma szylkretowymi grzebykami. - Płukałaś je w piwie czy co?

- Nie w piwie - uśmiechnęła się szeroko Lily. - W perfumach!

- Żartujesz? - zachichotała Maisie.

- Pewnie, że żartuję.

- Ten mały potwór miałby nauczkę. Nie wiem, jak Diana ją znosi.

- Och, nie jest aż taka zła - stwierdziła Lily. - Jest po prostu zepsuta i niezbyt wiele miała okazji widzieć. Gdyby pomieszkała przez jakiś czas z nami, już my byśmy ją ustawiły do pionu. Kilka dni jako pomoc w szpitalu sprowadziłoby ją na ziemię.

- Sądziłam, że jej nie znosisz. Lily pokręciła głową.

- Nie, my się tylko lekko ścierałyśmy, to wszystko. A ja swoje wiem. Tak naprawdę to tylko dziecko.

- A ty jesteś mądrą, starą sową - oświadczyła Maisie. - Dajmy w takim razie szansę panie zadzierającej nosa.

- Od czwartej - pani zadzierającej nosa - poprawiła ze śmiechem Lily.

Kaplica okazała się rzeczywiście bardzo mała i prosta, z niemal purytańskim kamiennym ołtarzem i kamiennymi ławkami, gdzie jedynie klęczniki wyłożone były starym aksamitem. Lily poczuła lekki dreszcz niepokoju: wiedziała, że katolicy nie powinni brać udziału w uroczystościach w innych kościołach, ale to był przecież ślub. Bóg chyba nie miał nic przeciwko czemuś takiemu? Wspomni o tym na spowiedzi, a w liście do matki nie będzie się zagłębiać w szczegóły.

Do czwartej zgromadziło się około czterdzieścioro gości, łącznie z pastorem i siwowłosą staruszką przy organach

po prawej stronie. Diana im powiedziała, że w przeciwieństwie do przedwojennych ślubów większość przyjaciół rodziny nie będzie mogła się dzisiaj zjawić, a ci, którym się to uda, wpadną dosłownie na kilka godzin. Dlatego też Sybil nie wolno się było spóźnić. W efekcie już dziesięć po czwartej pojawiła się panna młoda, prowadzona przez dumnego ojca, zaś zgromadzeni w kaplicy goście wydali wspólne westchnienie. Nie dla niej suknia ślubna z jedwabiu na czasie spadochronowe: suknia Sybil uszyta była z brukselskiej koronki i przerobiono ją ze stroju dworskiego jej matki. Nie miała jasnej cery i uroku starszej siostry, ale mimo to wyglądała pięknie w dniu swego ślubu.

Pan młody najwyraźniej też tak uważał; jego twarz złagodniała, gdy się odwrócił, by spojrzeć na swą przyszłą żonę. Po raz pierwszy Lily dostrzegła twarz jego drużby, również oficera marynarki. Był wyższy od Philipa i na chwilę spojrzenia jego i Lily skrzyżowały się. Poczula, jakby w jej ciele ktoś rozpałił ogień. Wtedy on oderwał spojrzenie, a ona mogła mu się spokojnie przyjrzeć i nieco uspokoić oddech.

Ceremonia była krótka i prosta, zupełnie niepodobna do ślubów katolickich, do których przyzwyczajona była Lily. Po jej zakończeniu młodzi przeszli od ołtarza do drzwi, ona z triumfującą miną, że ma już męża.

- Zawsze płaczę na ślubach - rzekła Maisie, ocierając oczy małą chusteczką wykończoną koronką, kiedy wychodziły z kaplicy. - Nie wiem czemu. Moja mama zawsze mówiła, że mam fioła na punkcie płaczu. Chciałabym, żeby mnie mama mogła teraz zobaczyć. - Zdawało się, że Maisie na chwilę opuścił jej wieczny optymizm, zaś jej oczy podejrzanie błyszcząły.

- Ja też bym chciała, żeby mnie moja widziała - powiedziała Lily, obejmując ramieniem przyjaciółkę. Kłamała. Jej matka byłaby kłębkiem nerwów, gdyby zobaczyła, jak jej córka brata się z arystokracją. - Twoja mama byłaby z ciebie

dumna jak nie wiem co - wyszeptała do Maisie. - Co ona zawsze mówiła? A niech mnie... i co dalej?

- A niech mnie i mojej anielskiej dobroci ciotkę - zaśmiała się Maisie. - Biedna mama nigdy nie przeklinała, nie tak jak ja. Powiedziałyby: „A niech mnie i mojej anielskiej dobroci ciotkę, Maisie, patrzcie no, pijesz dzin z wermutem razem z jaśniepaństwem”.

- Mogę podać pani nowego drinka? - Obok nich pojawił się Wilson, niezmiennie sztywny, jakby do pleców miał przytwierdzony pogrzebacz.

Lily czuła na sobie ciężar jego dezaprobaty. Wszyscy inni byli mili dla koleżanek Diany ze szkoły pielęgniarzkiej; nawet sir Archie był czarujący na swój roztargniony sposób. Jedyne Wilson zachowywał się tak, jakby były dwiema żebraczkami, które jakimś cudem znalazły się w sali tronowej po to tylko, by uciec z rodzinnymi srebrami.

- Czemu nie? - Masie dopiła swego drinka. Czysty dzin ze sporą dozą włoskiego wermutu, jej ulubiony koktajl. - Dzięki, kochany.

Uśmiechnęła się promiennie do Wilsona, wyraźnie nieporuszona jego surowością. Lily jej zazdrościła. Jak cudownie byłoby nie przejmować się Wilsonami tego świata; być wolnym od poczucia, że się nie przynależy do danego miejsca. Maisie czuła się dobrze wszędzie, gdzie przebywała, tak samo jak Diana. Obie miały wrodzone poczucie bezpieczeństwa, które oznaczało, że nigdy nie zastanawiały się, co ktoś o nich myśli. Lily robiła to praktycznie bez przerwy.

Jakimś cudem lady Belton udało się zdobyć na wesele więcej niż tylko kilogram gotowanej szynki na kartki. Mimo że sir Archie był bardzo w tym względzie surowy, nawet on jedynie trochę pomruczał, kiedy Evangeline dostarczyła na weselną ucztę kotlety schabowe i prawdziwe jajka bantamek. Od kilku tygodni odkładała na ten cel także wszystkie jajka swoich kur.

W ogrodzie za kuchnią hodowała cztery kury i sama ich doglądała.

- Nie wyobrażam sobie mamy opiekującej się kurczakami przed wojną - wyznała im kiedyś Diana. - Jest bardzo odporna. Potrafi zrobić wszystko, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Goście jedli teraz delikatne kanapki z jajkiem i rzeżuchą, zaś jajka bantamek ugotowano na twardo i podano na sałacie z własnego ogrodu. Nie było nadziei na tradycyjny tort weselny, więc wykorzystano mnóstwo małych galaretek i kwiatów do dekoracji, był także niewielki, jednowarstwowy torcik. Wszystko wyglądało naprawdę ślicznie i choć raz nawet Sybil nie miała się do czego przyczepić.

Lily przyglądała się jej, jak robi się mniej sztywna po wypiciu cennego szampana sir Archiego. To był uroczy dzień i goście powychodzili na taras, gdzie mogli się cieszyć majowym słońcem.

Sybil i Philip zatańczyli najpierw kilka walców z myślą o starszych gościach, następnie rozbrzmiały dźwięki jazzowych płyt Philipa.

- Uwielbiam tę muzykę - rzekła marzycielsko Sybil, wirując w ramionach świeżo poślubionego męża.

Ich szczęście nagle ukłuło Lily. Przez cały dzień w jej myślach i sercu było Tamarin i poczuła się strasznie samotna. Co ona tutaj robiła? Wzięła swój kieliszek i wyszła powoli na taras.

Kiedy skończy się wojna, pojedzie do domu. Bez względu na to, czego szukała, nie znajdowało się to tutaj. W domu byłaby przynajmniej wśród swoich, a gdyby czuła się przy nich obco... cóż, zdążyła się już przekonać, że wszędzie czuje się obco.

- Dzień dobry - usłyszała.

Odwróciła głowę i zobaczyła obok siebie drużbę Philipa, tego oficera marynarki. Nie była pewna jego szarży: nie potrafiła tak jak Diana odczytywać emblematów i wstęg.

- Też uciekasz? - Miał łagodny akcent, z lekką szkocką naleciałością.

Lily wpatrywała się w niego przez chwilę. Stała się ekspertem w mówieniu właściwych rzeczy - częścią nauki, jak żyć w obcym kraju była umiejętność kameleona do wtapiania się w tło. Ale w tej dokładnie chwili miała dość wtapiania się w tło. Myśl o domu wyolbrzymiła poczucie alienacji.

- Tak - odparła szczerze. - Czuję się tak, jakbym nie należała do tego miejsca. Nie znam tu nikogo z wyjątkiem Diany i Maisie. Nie chcę rozmawiać o dawnych rejsach po Morzu Śródziemnym - dodała ze spojrzeniem utkwionym w pannie młodej, która przepływała akurat obok wiodących na taras drzwi.

- Wojna sprawia, że trudno rozmawia się o drobiazgach - zgodził się. On też spojrzął na drzwi i rozpromienił się na widok nowej pani Stanhope. - Ciężko jest przejmować się błahostkami, kiedy... kiedy dzieje się tak wiele.

Lily przyjrzała mu się z nowym zainteresowaniem. Wcześniej częściowo się spodziewała, że powie: „Rozchmurz się, staruszek. Jeszcze jednego drinka?”. Tak jakby wymazywanie wszystkiego dżinem stanowiło właściwą odpowiedź na wszystkie życiowe problemy. Ale ten mężczyzna nie był pogodny i wytworny, jak reszta przyjaciół Diany, oficerów, którzy żartowali z tym swoim brytyjskim urokiem charakterystycznym dla wyższych sfer, nawet stojąc przed plutonem egzekucyjnym. On był grubiej ciosany, taki jakiś surowszy. Nawet jego szeroka, kwadratowa twarz z płaskim nosem zawodowego boksera i głęboko osadzone oczy bardziej nadawały mu wygląd chłopca, który został watażką, niż arystokraty.

- Moją wymówką jest bycie osobą z zewnątrz, ale ty z pewnością znasz tutaj wszystkich? - zapytała badawczym tonem.

- Wielu - przyznał. - Philip i ja przyjaźnimy się od czasów szkolnych. - Wyciągnął wielką dłoń. - Kapitan Jamie Hamilton - rzekł oficjalnie.

Lily wpatrywała się w niego. Ujęła jego dłoń i poczuła ten sam przyływ adrenaliny, jak w kaplicy, kiedy spojrzął jej prosto w oczy.

- Twoje imię oraz akcent mówią mi, że nie pochodzisz z tych okolic - rzekła, by ukryć to, jak czuje się wstrząśnięta.

- Pochodzę ze Szkocji, z Ayrshire - odparł. - A ty jesteś siostra Lily Kennedy z Irlandii.

- Tak - uśmiechnęła się. Z jej akcentu łatwo było wywnioskować, że jest Irlandką, ale zastanawiała się, skąd zna jej imię i nazwisko.

- Trudna praca - rzekł.

- Tak - zgodziła się, patrząc na niego. - Bardzo trudna.

- Porusza cię to? - zapytał. - Oglądanie ran, śmierci.

Niewielu ludzi zadawało Lily takie pytania. Być może dlatego, że wszyscy w Londynie mieli okazję oglądać skutki wojny na własne oczy. Poza tym większość ludzi wolała rozmawiać o czymkolwiek innym. Nawet kiedy ktoś umierał, okres żałoby zdawał się coraz krótszy, tak jakby ludzie bali się myśleć o śmierci. To było zbyt przygnębiające; jedyną rozsądną możliwością przetrwania było stawienie odważnie czoła dniu jutrzejszemu i życie dalej.

- Tak - rzekła teraz do Jamiego Hamiltona. - Porusza mnie. Zwłaszcza dzieci. W zeszłym tygodniu trafili do nas dwaj mali chłopcy, bracia, nie mogli mieć więcej niż dziesięć, jedenaście lat. Ubrani byli w biało-niebieskie pasiaste piżamki i wyglądali tak, jakby śpiących zabrano ich z łóżek. A zginęli w bombardowaniu. Wciąż o nich myślę. Minęły cztery lata, odkąd zaczęłam naukę, i myślę, że gdybym wtedy wiedziała to, co teraz, nie zostałabym pielęgniarką. Miałam mgliste pojęcie o tym zawodzie, że polega on na pomaganiu ludziom, pocieszaniu, uśmierzaniu bólu. A wcale tak nie jest: ta praca polega na desperackim utrzymywaniu ludzi przy życiu, na gorączkowym tempie, przyglądaniu się, jak umierają straszną śmiercią, i wszechobecnym poczuciu bezsilności... Nie wiem, jak to opisać - dodała. - Ale otrzymuje się także

potężne zastrzyki adrenaliny, kiedy pracuje się na sali operacyjnej albo na oddziale w wyjątkowo pracowity dzień i trzeba mieć ciągle energię, ponieważ w przeciwnym wypadku ktoś może ucierpieć. - Urwała, czując, że po wypowiedzeniu tych wszystkich słów brakuje jej tchu.

- Przyjęcia pomagają ci się odprężyć czy też tylko wszystko pogarszają? - zapytał.

Lily roześmiała się.

- Trochę jedno i drugie - odparła. - Miło jest zapomnieć na chwilę o wszystkim i tańczyć, ale potem czuję, że nie powinnam była zapominać.

Odwróciła się, by spojrzeć na tańczących ludzi.

- Też się tak czuję - rzekł jej towarzysz. - Kiedy jesteś w samym środku wojny, chcesz od niej uciec, a kiedy jesteś od niej daleko, chcesz tam znowu być.

- Gdzie służysz? - zapytała.

- Jestem kapitanem, zastępcą dowódcy na okręcie podwodnym.

Miesiąc temu zostałem ranny.

Zauważyła, że nie powiedział jej, gdzie na świecie ani w jaki sposób doznał obrażeń. Słyszała, że marynarze z okrętów podwodnych muszą być bardzo tajemniczy.

- Pracujesz z Dianą, prawda, w Royal Free? Kiwnęła głową. Oboje mogli być tajemniczy.

- Skąd pochodzisz? - zapytał.

- Z małej miejscowości Tamarin na południu Irlandii. Na pewno o niej nie słyszałeś, leży na wybrzeżu, bardzo ładna, bardzo spokojna, bardzo różna od Londynu.

- Dlaczego wyjechałaś?

- Ponieważ chciałam zostać pielęgniarką, a w kraju nie stać mnie było na czesne w szkole. Mój ojciec jest kowalem, a matka gospodynią w rezydencji podobnej do tej, tylko nie tak dużej - odparła. „Jestem inna”, to miała na myśli. Taka właśnie jestem. Jeśli ci się to podoba, to zostaniesz. Ale nie będę udawać. Nie pochodzę z twojego świata.

Ze środka dobiegł ich głos Maisie, śpiewającej *Doing the Lambeth Walk*. To był jej popisowy numer. Miała piękny głos i wkrótce wszyscy zaczną tańczyć. To był dar, dar uroku i tego, że ludzie ją lubili. Lily wiedziała, że ona nie posiada tego daru. Była zbyt nieufna, zbyt ją ciągnęło do tego, by stać z boku i obserwować.

Jamie przyglądał jej się teraz. Poczwała, jak pod wpływem tego spojrzenia coś w niej zatrzepotało.

- Chyba jesteśmy tu jedynymi ludźmi, którzy nie śmieją się i nie żartują - powiedziała nagle, kiedy ze środka dobiegły ich wybuchy śmiechu. - Jestem zaskoczona tym, że Sybil nas stąd nie wyrzuciła. Bardzo zależy jej na tym, żeby całe wesele było doskonałe.

Jamie przysunął się, tak że stał teraz tuż przy niej.

- Nie wiem wiele o tobie - rzekł - ale dobrze się bawię.

- Naprawdę? - zapytała. - Mam nadzieję, że dalej będziesz się dobrze bawił, kapitanie. A teraz przepraszam.

Udała się do toalety, gdzie spryskała wodą zarumienioną twarz, po czym próbowała naprawić szkody za pomocą pudru Angielska Róża, którego odcień tak naprawdę jej nie pasował, ale nie miała niczego innego. Jej cenna szminka w odcieniu Chińskiej Czerwieni została zużyta do samego końca i nawet użyła spinki do włosów, by wydobyć resztki i rozsmarować je na swych pełnych wargach.

Zobaczyła w lustrze błyszczące oczy i załała ją niezwykła jak na nią fala dumy z wyglądu. Cerę miała kremową bez ani jednego piega, kontrastującą z kasztanowymi włosami, odsłaniającymi owalną twarz. Błysk inteligencji w jej migdałowych oczach czynił ją nie jedynie ładną, ale wręcz piękną.

Po tym, jak przygadała Cheryl, pozostałe pielęgniarzki zaczęły nazywać ją Dziką Irlandką. Podejrzewała, że to komplement, pokazujący, że postrzegają ją jako opanowaną, silną i pewną siebie. Za jedną rzecz mogła być wdzięczna Lochravenom. Obserwowanie lady Irenej nauczyło ją opanowania,

zaś determinacja Lily, by być inną od pozostałych członków służby Rathnaree, nadało jej królewską postawę.

- Nie wyglądasz źle, siostrze Kennedy - powiedziała do swego odbicia.

Kiedy wróciła do salonu, gramofon odtwarzał właśnie płytę Glenna Millera i wszyscy tańczyli, z całych sił starając się wycisnąć z tego dnia jeszcze odrobinę zabawy. Była prawie ósma i Lily wiedziała, że wielu gości wkrótce będzie odjeżdżać, by zdążyć przed nocą do koszar czy na swoje posterunki. Przyjęcie chyliło się ku końcowi.

Wcześniej Diana wyszeptała do Lily, że urlop pana młodego został odwołany: nikt nie wiedział dlaczego, ale była mowa o jakiejś wielkiej ofensywie. Sybil jeszcze o tym nie wiedziała.

- Będzie musiał wyjechać dziś wieczorem. Miesiąc miodowy musi poczekać. Nie chciałabym być w jego skórze, biedny chłopak.

Lily stanęła i przyglądała się tańcom, kołysząc się w rytm muzyki. Próbowwała odsunąć od siebie spekulacje na temat ofensywy, która zabierała stąd mężczyzn. Tak czy inaczej wkrótce się dowiedzą, co to takiego, kiedy do szpitala zostaną przywiezione ofiary, zaś dwunastogodzinna zmiana przeciągnie się na całą dobę.

- Zatańczysz?

Stał obok niej, wyższy od niej, i nagle Lily nie przychodziło do głowy nic, czego mogłaby pragnąć bardziej.

- Chętnie - odparła. - Nie jestem w tym zbyt dobra... Była zbyt wysoka, a większość partnerów zdawała się preferować niższe kobiety.

- Ja też nie - stwierdził Jamie z uśmiechem, który rozjaśnił surowe rysy jego twarzy.

Kłamał. Od chwili, gdy ujął jej dłoń, Lily czuła, jak jego poczucie rytmu i energia współgrają z jej. Było tak, jakby ktoś ich obsypał magicznym tańczącym pyłem. Muzyka była głośna, górująca nad wszystkim i gładko się wpasowali pomiędzy pozostałych tancerzy. Lily zastanawiała się, czy wszyscy widzą to napięcie

między nimi. Musieli chyba widzieć. Jamie przyciskał dłoń do jej pleców, a jej wydawało się, że dotyka jej ciała, gładząc zmysłowo skórę, a nie jedwabisty krepdeszyn. Drugą ręką mocno trzymał jej dłoń, zaś pod palcami Lily wyczuwała twarde mięśnie ramion. To nie było jak taniec: to było niczym kochanie się.

Muzyka ucichła i przestali tańczyć i stali, wpatrując się w siebie.

- Posłuchajmy tego raz jeszcze! - zawołała Sybil jak dziecko i ktoś przesunął igłę gramofonu na płycie.

Lily nie zdawała sobie sprawy z tego, że wstrzymywała oddech aż do momentu, gdy muzyka ponownie rozbrzmiała.

- Nie chcę, żeby ta piosenka się kończyła - rzekł z ustami blisko jej ucha.

Lily zamknęła oczy i pozwoliła sobie przysunąć się bliżej. Pary wokół nich tańczyły żywiołowo, natomiast ona i Jamie poruszali się jakby do innej, wolniejszej muzyki.

Wpatrywała się w jego ciemne oczy, mówiące jej, że on pragnie jej równie mocno, jak ona jego.

Okrzyk za nimi kazał im się odwrócić. Zobaczyli Maisie z jednym z amerykańskich przyjaciół Philipa, jasnowłosym kapitanem, który dorównywał jej w tańczeniu jitterbuga, obracając ją niczym lalką.

Na widok Maisie czar prysł. Lily potrzęsnęła sobą w duchu. Co ją naszło? Co jej kazało flirtować z przystojnym mężczyzną w mundurze? Nie taki miała plan. A Jamie, bez względu na to, jak bardzo jej się wydawał atrakcyjny, pochodził z innego świata, ze świata Diany.

- Jeśli nie masz nic przeciwko, to ja chyba usiądę - powiedziała szybko, próbując nie widzieć rozczarowania, które na krótko pojawiło się na jego twarzy.

- Mogę ci przynieść coś do picia? - zapytał, przywdziewając maskę grzeczności.

Lily wołałaby, żeby powiedział: „Co ci się stało?”. Ale tego typu człowiek nigdy by tego nie zrobił. To była zaleta

ludzi pochodzących z wyższych sfer: znosili wszystko po męsku. Chłopak z Tamarin chciałby się natychmiast dowiedzieć, dlaczego przestała z nim tańczyć.

- Nie, dziękuję - odparła równie uprzejmie. - Nieco mnie poniosło podczas tych tańców. - „I w twojej obecności”, miała ochotę dodać. - Chyba przeczekam następną piosenkę. - Dostrzegła Dianę, stojącą na skraju grupy, przyglądającą się z uśmiechem. - Diana jest świetną tancerką.

- Wiem - odparł.

- To dobrze, w takim razie wiesz także, jaka cudowna z niej dziewczyna - dodała Lily.

Nie była pewna, dlaczego to robi: popycha Jamiego ku Dianie. Ale on reprezentował sobą wszystko, czego Diana pragnęła od mężczyzny, a Lily kochała ją jak siostrę. Diana pragnęła się zakochać, a Jamie był, westchnęła w duchu, wyjątkowy.

- Wysyłasz mnie, żebym zatańczył z Dianą? - zapytał z lekkim rozbawieniem.

Lily poczuła iskrę gniewu z powodu jego rozbawienia. Z czego on się śmiał?

- Jest prawdopodobnie bardziej w twoim typie - odparła. Cholera, to niewłaściwie zabrzmiało. - To znaczy pochodzicie z tej samej...

- Warstwy społecznej? - podpowiedział.

- Tak - warknęła.

Zdążyli się odsunąć od tańczących par i stali teraz na drugim końcu pomieszczenia, gdzie ludzie siedzieli na sofach i fotelach, rozmawiając i pijąc.

- Czy to dla ciebie ważne? - zapytał. - Pochodzenie?

- Założę się, że dla ciebie owszem.

- Nieszczególnie. Nie w przypadku tej właściwej osoby.

- Powodzenia w znalezieniu tej osoby - oświadczyła słodko, po czym udała się, by usiąść obok niezamężnej ciotki Diany, Daphne, która była głucha jak pień.

To mu da nauczkę, pomyślała, wykrzykując powitania do ciotki Daphne i jednocześnie obserwując Jamiego, który nadal stał w pobliżu, uśmiechając się do niej w sposób, jaki mogła określić jedynie jako szelmowski. Napotkał jej spojrzenie i jedna ciemna brew uniosła się nieznacznie, jakby mówiąc: „Przejrzałem cię, moja droga”.

- Piękna muzyka! - zawołała do ciotki Daphne, po czym zwymyślała się w duchu, ponieważ biedna Daphne nie bardzo słyszała cokolwiek, nie mówiąc o muzyce.

- Co takiego? - zaskrzeczała staruszka, przykładając dłoń do jednego ucha, podczas gdy w drugiej trzymała szklanekę z dżinem i wermutem.

Spędziwszy pół godziny w towarzystwie Daphne, obserwując kątem oka Jamiego, Lily poczuła, że opuszczają powoli napięcie, gdy zobaczyła Sybil całą we łzach. Skoro Philip musiał wyjechać dziś wieczorem, zakładała, że Jamie pojedzie razem z nim. Kiedy on zniknie, będzie się w stanie odprężyć.

Piętnaście minut później Sybil z zaczerwienionymi oczami i reszta gości weselnych zebrała się w wielkim korytarzu, by się pożegnać.

- Nie mogę rzucić bukietu - jęknęła Sybil do matki, która skakała wokół niej, próbując otrzeć chusteczką jej twarz.

- Głowa do góry, kochanie - rzekła lady Evangeline.

- Nie potrafię!

- Och, kochanie, niedługo urządzimy drugie przyjęcie weselne, obiecuję - oświadczył Philip.

- Naprawdę? - pociągnęła nosem panna młoda.

- Naprawdę.

- Biedny chłopak, szkoda mi go - wyszeptała Maisie do Lily. Była wyraźnie podchmielona i od koktajli miała zaróżowione policzki. - Chyba nie wie, w co się wpakował. Niedługo się dowie.

- Rzucam! - zawołała Sybil.

- Dziewczęta, uwaga! - zapiszczała Diana.

Bukiet poszybował wysoko i kiedy Lily podniosła głowę, ujrzała, że spada prosto na nią. W ostatniej sekundzie chwyciła Maisie i postawiła ją na jego drodze.

- A niech mnie! - pisnęła Maisie, kiedy kwiaty wylądowały dosłownie na jej głowie.

Wszyscy się roześmiali, zwłaszcza Lily. Wtedy na swej talii poczuła silną dłoń, której ciepło wręcz paliło jej skórę przez granatowy krepdeszyn.

- Chciałem się pożegnać, siostrzyczko Kennedy - oświadczył Jamie. Twarz nachylił ku niej tak nisko, że znajdowała się zaledwie centymetry od jej twarzy.

Tłum ludzi popchnął ich ku sobie. Ich usta się spotkały, dzikie i gorące. I w tej samej chwili on się odsunął.

- Do zobaczenia?

Jedyne, co mogła zrobić Lily, to patrzeć na niego, gdy razem z panem młodym zmierzali ku drzwiom. Przyjaciele i krewni tłoczyli się wokół nich.

- „Oto nadchodzi panna młoda” - zanuciła fałszywie Maisie, wymachując bukietem i obejmując ramieniem Lily. - Pięknie było, prawda? - westchnęła.

Wzrok Lily nie odrywał się od drzwi, za którymi przed chwilą zniknął Jamie.

- Pięknie - odparła bez tchu i dotknęła ust. Bywała już całowana, ale nigdy w taki sposób. Dlaczego bawiła się z nim w te głupie gierki? Dlaczego przerwała ich wspólny taniec?

Była na siebie wściekła. Te wrodzone kolce w jej charakterze ponownie ją zawiodły. A teraz jego już nie było i kto wie, kiedy ujrzy go ponownie.

Wrzesień 1944

Sybil wypruwała z siebie żyły dla przyjęcia weselnego numer dwa, ale okazało się ono mniej huczne i wytworne niż obraz w jej marzeniach.

Zamiast oficjalnego przyjęcia z tańcami musiała się zadowolić niewielką kolacją w domu babci Philipa na South Audley Street, okazałej rezydencji, która pozostawała zamknięta od 1942 roku i każdy w niej mebel przykrywały pokrowce. Po kolacji przyjęcie przeniosło się do 400, olśniewającego klubu nocnego, gdzie Diana bywała często, a Lily nigdy.

Lily była przekonana, że Sybil zgodziła się ją zaprosić tylko dlatego, że potrzeba było dodatkowej pary rąk do gotowania i sprzątania. Wyobrażała sobie, jak Sybil wzdragała się przed wpisaniem Lily na listę gości i niemalże słyszała zaszokowaną i stanowczą Dianę, upierającą się, że nawet nie przyszłoby jej do głowy poprosić przyjaciółki o pomoc, gdyby nie została zaproszona.

- Będzie świetnie - oświadczyła beztrąsko Sybil w dniu przyjęcia, gdy ona, Diana i Lily obchodziły dom babci Philipa i próbowały ustalić, od czego zacząć. Sybil przebywała tu już od poprzedniego dnia i Lily uznała, że przez ten czas nawet nie ruszyła palcem, by coś sprzątnąć, sądząc po zalegającej wszystkim warstwie kurzu.

- Kiedy już uda nam się doprowadzić ten dom do porządku, będziemy wykończone - warknęła Diana, która wraz z matką była wściekła na Sybil, że w ogóle chce wyprawiać to przyjęcie.

- W Londynie nie jest już bezpiecznie, Sibs - mówiła. - Nawet Philip twierdzi, że nie jest tu bezpiecznie z powodu rakiet V-2. Nie rozumiem, dlaczego nie posłuchałaś mamy i nie poczekałaś na Boże Narodzenie, by urządzić wtedy przyjęcie w domu.

Od dnia „D” nawet Londyńczycy obeznani z odgłosami nalotów zaczęli się bać pisku zbliżających się pocisków. A teraz istniało nowe, jeszcze bardziej przerażające zagrożenie w postaci rakiet V-2, które zjawiały się bez ostrzeżenia i siały straszliwe spustoszenie.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia wojny Lily musiała się zmagać z permanentnym uczuciem strachu.

- Wystarczy, że ominął mnie miesiąc miodowy, nie mam zamiaru pozwolić, by ten głupi Baby Blitz¹ zrujnował moje przyjęcie - prychnęła.

Lily przerwała to, czym się akurat zajmowała.

- Posłuchaj, Sybil - rzuciła przez zaciśnięte zęby. - Spędzam tu mój wolny dzień z powodu Diany, nie ciebie. Więc proszę nie wypowiadaj się na temat „Baby Blitz”, ponieważ nie nazywałabyś go tak, gdybyś codziennie w szpitalu musiała oglądać jego skutki.

Choć raz Sybil się zamknęła.

- Przepraszam - mruknęła Diana do Lily, kiedy Sybil udała się do innego pomieszczenia, rzekomo po to, by poszukać wazonu na późne róże z ogrodu. - Ona nic nie rozumie.

- Nie wiem dlaczego - odparła gniewnie Lily. - Wiem, że jest odizolowana w Beltonward, ale Diano, przecież z pewnością widzi, przez co inni muszą przechodzić. Opowiadasz jej, co oglądasz każdego dnia, jak może jej to nie ruszać?

Diana wzruszyła ramionami.

- Sibs jest jak tata: rozumie tylko to, co dotyczą w sposób bezpośredni. Nie pozwól, by zniszczyło ci to dzisiejszy wieczór, wszystkim nam potrzeba trochę zabawy. Proszę, Lily? Spodoba ci się w 400.

Lily pozwoliła sobie na uśmiech. Pragnęła zapytać, czy kapitan Jamie Hamilton widnieje na liście gości, ale nie śmiała. Od tamtego pamiętnego wieczoru ani razu nie wymieniła jego imienia. Nie chciała, by ktokolwiek, nawet Diana, dowiedział się, co do niego czuje.

Poza tym jeśli tam się zjawi, to ona będzie go ignorować. Skoro tak bardzo chciał ją ponownie zobaczyć, dlaczego nawet nie próbował się skontaktować? Operacja, która uniemożliwiła miesiąc miodowy Sybil, już dawno się zakończyła; miał trzy miesiące, by nawiązać z nią kontakt, ale tego nie uczynił.

¹ Niemiecka operacja wojskowa, zwana także operacją Steinbock

Nie, jeśli się zjawi, ona się do niego nawet nie odezwie, to pewne.

- Witaj, Lily - rzekł wieczorem o ósmej.

Głos miał dokładnie taki, jaki zapamiętała. On sam był natomiast bardziej opalony i wyglądał wspaniale, stojąc przed nią w mundurze. .

Należał do ostatniej grupy gości: wszyscy inni stali już wokół stołu w salonie i dopijali swoje drinki. Dzięki kwiatom Sybil i umiejętnościom nakrywania do stołu Lily wszystko wyglądało idealnie. Wcześniej Diana mozoliła się przy gotowaniu potrawy z kurczaka - do Lily szepnęła, że to tak naprawdę chyba królik, którego Sybil przywiozła ze sobą ze wsi.

- Witaj, Jamie - odparła.

- Miałem nadzieję, że będziesz tu dzisiaj. -No i jestem.

Nie miała zamiaru niczego mu ułatwiać. Kiedy po przeczytaniu planu rozsadzenia gości wiedziała już, że się zjawi, czuła, jak jej ekscytacja przybiera na sile.

- Pragnęłam się z tobą skontaktować - zaczął.

- Naprawdę? - zapytała lekko Lily. Kiwnął głową.

Lily przyglądała się, jak przebiega wzrokiem po karteczkach z imionami gości, po czym zamienia dwie, tak by siedzieć obok niej.

- Możemy teraz zająć nasze miejsca - mruknął.

- Sybil będzie na ciebie bardzo zła.

- Przeżyję - odparł. - Jestem tutaj z jednego tylko powodu i nie ma on nic wspólnego z Sybil.

Ponownie przeszył ją dreszcz, jaki zapamiętała z tamtego wieczoru, i musiała usiąść, by nie upaść.

Wystarczająco dobrze znała zasady obowiązujące podczas eleganckich przyjęć, by wiedzieć, że podczas jednego da-

nia powinna rozmawiać z Jamiem, a podczas drugiego odwrócić się uprzejmie i prowadzić rozmowę z mężczyzną po swej drugiej stronie. Ale Jamie nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Nie zwracajmy sobie tym głowy - rzekł błagalnie, kiedy skończyli letnią zupę minestrone, którą podawał jeden z dawnych służących babci Philipa, pan Timms, słabowity, siwowłosy staruszek z trzęsącymi się dłońmi. Lily z ogromną niechęcią patrzyła, jak im służy. Miała ochotę zawołać, że jest za stary.

Przy pierwszym daniu rozmawiali o trzech ostatnich miesiącach wojny i szansach na jej rychły koniec. Teraz, kiedy jej język i serce rozluźniły się dzięki kieliszkiwina i koktajlowi przed obiadem, Lily pragnęła zapytać Jamiego, dlaczego do niej nie napisał. Ale coś ją przed tym powstrzymywało.

Zamiast tego rozmawiali o czasach dzieciństwa i choć raz Lily mówiła całą prawdę. Inni goście nie liczyli się, podczas gdy oni rozmawiali i rozmawiali. Opowiedziała mu cicho o Tamarin i Rathnaree.

- Jesteś kobietą godną podziwu, Lily Kennedy - oświadczył poważnie Jamie, gdy skończyła.

- Dlaczego „godna podziwu” nie brzmi jak komplement? - zapytała ostro Lily.

W odpowiedzi Jamie ujął pod stołem jej dłoń i spojrzał jej prosto w oczy.

- No dobrze, jesteś piękną kobietą i odkąd poznałem ciebie, nie jestem w stanie myśleć o niczym innym - powiedział tak cicho, że usłyszała go tylko ona.

Serce Lily zamarło na chwilę.

Gdzieś na dole rozległ się przeraźliwy hałas upadających naczyń. Lily zerwała się na równe nogi. To na pewno biedny pan Timms. Nikt inny się nie ruszył. Wino płynęło strumieniem, gramofon grał głośno w tle i pozostali zbyt dobrze się bawili podczas tej chwili wytchnienia od wojny, by przejmować się tym, co się przytrafiło wynajętej pomocy.

Lily znalazła pana Timmsa, pochylającego się nad obolałym kolaniem, zaś cały deser cytrynowy z winem i śmietanką leżał na parkiecie.

- Panie Timms, proszę mi pokazać to kolano - poleciła zawodowym tonem.

- Proszę tu usiąść - odezwał się Jamie.

Wyszedł za nią z salonu i teraz prowadził starszka w stronę stojącego na korytarzu krzesła.

Podczas gdy Lily oglądała nogę pana Timmsa, Jamiemu udało się zebrać z podłogi większość deseru.

- Zabandażuję ją teraz, a potem będzie pan musiał dać tej nodze trochę odpocząć - wyjaśniła Lily.

- Mógłbym 'się położyć w pokoju kredensowym. Jest tam stara leżanka po ostatnim kamerdynerze. Miał problemy z plecami i musiał mieć gdzie leżeć - rzekł pan Timms, po czym wziął się w garść. - Ale co z następnym daniem?

- Nic im się nie stanie, jeśli nie dostaną następnego dania - oświadczyła z werwą Lily.

Jamie zaniósł kawę śmiejącej się i gawędzącej grupie zgromadzonej w salonie i wyjaśnił im, że będą się musieli pożegnać z deserem.

- Plan jest taki, by za kilka minut wyruszyć do 400 - rzekł, wracając na dół do kuchni, gdzie Lily myła ręce w starym zlewie Belfast.

- Czy nasza gospodyni zapytała chociaż o tego biednego człowieka? - spytała ostrym tonem Lily.

Pan Timms leżał już na leżance w pomieszczeniu na końcu korytarza.

Jamie ujął lekko jej dłoń, jakby chciał ją zaprowadzić z powrotem na górę.

- Obawiam się, że nasza droga Sybil nie przejmuje się zbytnio dołą innych ludzi.

- Jakbym tego nie wiedziała - odparła ponuro Lily.

Nagle dzieliły ich od siebie zaledwie centymetry i trzymali się za ręce. Jamie zamknął drzwi do kuchni, oparł się o nie i wyciągnął ręce do niej. Lily podeszła do niego i uniosła obie dłonie, by dotknąć jego twarzy, gdy tymczasem on mocno przytulał do siebie jej ciało.

Bez słowa ich ciała połączyły się ze sobą. Lily czuła, jak jej twarde piersi napierają na guziki munduru i niczego nie pragnęła bardziej, jak rozebrać się i leżeć nago tuż przy nim. Włosy miał krótko obcięte i jedwabiste wdotyku. Palcami dotykała ich, pieściła, muskała, po czym przesunęła je po jego szyi aż do guzików.

On znalazł wrażliwe miejsce za jej uchem i muskał je nosem, sprawiając, że jęczała z rozkoszy, a potem silnymi palcami otoczył wzniesienie jej piersi, odnajdując guziki przy kołnierzyku jej sukni, pociągając je niecierpliwie, by dotknąć nagiego ciała. Poruszali się lekko i dłoń Jamiego wślizgnęła się pod satynowy materiał jej biustonosza, by dotknąć stwardniałej brodawki, płonącej od jego pieścizot. Lily wciągnęła gwałtownie powietrze i poddała się jego dotykowi.

Żaden mężczyzna nigdy jej nie dotykał w tak intymnych miejscach.

Rozpiął z przodu jej sukienkę, tak że widział teraz jedną ciężką pierś. Zamknął usta na różowym wzniesieniu.

- Och, Jamie - jęknęła i wygięła się w łuk.

Nagle zaciągnął ją do kuchennego stołu: wielkiego, drewnianego i odrapanego. Posadził ją na nim i wsunął się między jej nogi, tak że był teraz uwięziony pomiędzy jej udami. Na delikatnej skórze nad pończochami czuła szorstką wełnę jego spodni. Jego ciało napierało na nią, tak że nogami niemal otaczała go w pasie.

Jamie był silny, tryskający energią i niezwykle męski: czuła na swym ciele jego twardość, jego pierwotną reakcję. I ona także go pragnęła.

- Jesteś taka piękna - jęknął, ponownie odnajdując jej usta. - Chcesz, żebym przestał? - zapytał z powagą.

- Nie, nie - odparła. - Nie chcę. Chcę, żeby to trwało wiecznie. Przez sekundę wpatrywali się w siebie, a czar na chwilę prysł.

- Nie chcę, by tak to wyglądało - rzekł łagodnie. - Na kuchennym stole w obcym domu. Ale, och, tak bardzo cię pragnę, Lily.

- Gdzie w takim razie? - zapytała, pozwalając swym palcom instynktownie go pieścić, a włosom ocierać się o jego twarz, gdy tymczasem ustami błędziła po jego brodzie.

Jęknął cicho.

- Nie wiem. Nie będę w stanie przestać - odparł - jeśli ty natychmiast nie przerwiesz tego, co robisz.

- Nie musimy przestawać - powiedziała, nie mogąc uwierzyć, że to mówi. Ona, dziewczyna, która nigdy nie była z żadnym mężczyzną, nigdy nie pozwoliła na coś więcej niż pocałunek, teraz tuliła się do Jamiego i ciężko dyszała.

- Musimy. - Przytulił ją mocniej i trzymał tak, jakby dzięki bezruchowi mógł powstrzymać zwierzęcą reakcję swego ciała. - Nie tutaj. Zaufaj mi.

- Dobrze - odparła i rzeczywiście mu ufała. - Jeszcze nigdy tego nie robiłam.

Ważne dla niej było, by o tym wiedział, ponieważ wojna nadszarpięła morale wielu ludzi, nie wspominając o gumkach w ich majtkach.

- Wiem.

- Skąd wiesz? Uśmiechnął się szeroko.

- Po prostu wiem. Philip opowiedział mi o przyjaciółkach siostry Sybil na długo przed tym, nim cię poznałem. Dzika Irlandka z krążącym w żyłach lodem i ogniem. I widzę to. W tobie nie ma ani odrobiny fałszu. Czuję to.

Zaśmiała się głośno, rozbawiona tą sytuacją.

- Z całą pewnością czujesz mnie teraz - rzekła czule, kręcąc biodrami i czując, jak jego ciało natychmiast na to reaguje.

- Jamie, Lily, mam nadzieję, że nie zjadacie wszystkich czekoladek. Zostawcie trochę dla nas, łakome świnię! - To była Sybil.

- Jezu!

Lily próbowała odsunąć się od niego gwałtownie na dźwięk wysokich obcasów Sybil, zmierzającej w stronę kuchni.

- Nikt inny nie chce czekoladek z likierem, wszyscy chcą tańczyć - kontynuowała Sybil - ale ja muszę po obiedzie zjeść coś słodkiego.

Znajdowała się coraz bliżej kuchni. To byłoby straszne, gdyby zastała ich na wpół rozebranych.

Lily pospiesznie zapięła guziki sukni i przygładziła włosy. Uniosła dłoń i otarła z ust Jamiego ślad czerwonej szminki.

- Już idę, Sybil! - zawołała głośno. - Nie mogę znaleźć tych czekoladek.

Położyła dłoń na klamce, chcąc ją otworzyć. Oboje wyglądali ponownie przyzwoicie, byli jedynie nieco zarumienieni.

- Lily... - w głosie Jamiego słychać było nagły ton.

Lily nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. Cztery lata strachu przed Siostrą Przełożoną sprawiły, że denerwowała się tym, że ktoś może ją przyłapać na robieniu czegoś niewłaściwego. Cokolwiek Jamie miał jej do powiedzenia, będzie to musiał zrobić później.

- Jest coś, o czym ci muszę powiedzieć. Sybil była już za drzwiami.

- Tu jesteście - rzekła, uśmiechając się.

- Przepraszam, Sybil - powiedziała Lily, ze wszystkich sił starając się, by zabrzmiało to niefrasobliwie. - Musiałam zabandażować kolano biednego pana Timmsa.

- Naprawdę - rzekła Sybil i Lily z tonu jej głosu od razu odgadła, że ta doskonale wie, co tu się działo. Poczwała na

twary rumieniec zakłopotania. Sybil ujęła Lily pod ramię, a drugą rękę wyciągnęła do Jamiego. - Już się nie mogę doczekać tańców - wyznała. - Spodoba ci się w 400, Lily, tam jest naprawdę świetnie. Nie była tam jeszcze, Jamie. Wyobrażasz to sobie? Jamie i Philip kiedyś niemalże tam mieszkali, prawda, skarbie?

Doszli teraz do schodów i Sybil puściła ramię Lily, by móc wchodzić z Jamie, ponieważ nie było tam miejsca, by szli we trójkę.

Lily poczuła niepokój, słysząc ten pogodny, a jednocześnie zjadliwy głos Sybil.

- Niektórzy wolą Florydę albo dobrą starą Cafe de Paris, ale ja wprost uwielbiam 400 - kontynuowała Sybil fałszywie tęsknym tonem. - A Miranda? - zapytała. - Jaki klub lubi najbardziej?

Niepokój Lily przybrał na sile. Jamie się nie odzywał; szedł obok Sybil tak sztywno, jakby brał właśnie udział w pogrzebie.

- Miranda to żona Jamiego, Lily. Jest naprawdę kochana, wszyscy ją uwielbiamy. Taka szkoda, że musiała zostać w Szkocji, prawda?

Lily potknęła się na schodach i Jamie obejrzał się na nią, wyciągając rękę, ale ona odsunęła się gwałtownie.

Jamie był żonaty. Nie był wolny, by móc się z nią kochać, zdradzał swoją żonę i zdradził także i ją, Lily.

Lily poczuła w gardle zółć. Bez względu na to, jak to wyglądało ani jak bardzo Sybil będzie triumfować, musiała uciec od niego.

- Przepraszam - rzekła. - Zaraz wrócę.

Odwróciła się i zbiegła na dół do toalety, zatrzasnęła za sobą drzwi i osunęła się na zakurzony parkiet obok starej, popekanej ubikacji. Nawet gdy już zwymiotowała, nie przyniosło jej to żadnej ulgi. Wciąż czuła mdłości. Miała w głowie mętlik i jednocześnie pustkę. Wcześniej trafił ją piorun.

Nigdy dotąd nie czuła czegoś takiego, a teraz równie szybko jej to odebrano. Tyle że teraz wiedziała już, jak to jest czuć cały wulkan emocji i nie była w stanie tego zapomnieć.

Nadal czuła mrowienie w swym ciele tam, gdzie dotykały ją jego usta, a jednak siedziała tutaj skulona na podłodze toalety, sama i z poczuciem, że została wykorzystana. Pragnęła umrzeć. Nie; pragnęła, żeby to on umarł. Pragnęła, by cierpiał te same katusze, co ona.

Stał przed drzwiami, kiedy kilka minut później wyszła. Była pewna, że się okaże zbyt wielkim tchórzem, by na nią czekać, a jednak stał tam: wysoki i zatroskany, nie wyglądając na oszusta, którym był.

- Lily, błagam, pozwól mi wytłumaczyć...

- Nie dotykaj mnie! - syknęła z wściekłością.

- Chciałem ci powiedzieć...

- Odsuń się. Już nigdy więcej nie chcę cię widzieć. Wbiegła po schodach na górę i weszła do salonu, gdzie

czekała na nią Diana, kochana Diana. Nie było śladu po Sybil. Reszta gości musiała już zejść głównymi schodami w stronę drzwi.

- Przepraszam, Diano, nie czuję się dobrze. Wracam do bursy.

- Co takiego?

Diana była zdumiona. Uzgodniły z kierowniczką bursy, że mogą zostać na noc na South Audley Street: była to wyjątkowa dyspensa, wymagająca tygodnia kadzenia i pochlebstw. A teraz Lily chciała wrócić do ich maleńkiego pokoju na Cubitt Street.

- Proszę - błagała Lily, wyglądając na udręczoną. - Przepraszam.

Chwyciła swą małą torebkę i pobiegła do jeszcze innych drzwi, dziękując swej szczęśliwej gwiazdzie, że ten dom jest wielki niczym pałac. Udała się na górę do pokoju, który miała dzielić z Dianą, po czym zamknęła drzwi na klucz. Nie

włączyła światła, a jedynie siadła na łóżku w ciemnościach, czekając, na wypadek gdyby Jamie przyszedł jej tu szukać. Na szczęście jeśli zapyta Dianę, ona mu powie, że Lily wróciła do bursy. Będzie więc tutaj bezpieczna. Będzie mogła leżeć na łóżku, czując płonący wstyd i ból, pozwalając, by po jej policzkach spływały łzy. Usłyszała trzaśnięcie głównych drzwi. A więc to koniec: odszedł z jej życia na zawsze, a ona mogła spróbować zapomnieć ten płomień pożądania i to, co do niego czuła. Już nigdy więcej nie musiała myśleć o kapitanie Jamiem Hamiltonie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nie było nic piękniejszego niż widok nowojorskich drapaczy chmur, wbijających się w niebo w słoneczny poranek, uznała Izzie, siedząc na tylnym siedzeniu taksówki. Uwielbiała Nowy Jork, uwielbiała nawet tę pachnącą paczuli taksówkę z dyndającymi koralikami, które przez całą drogę stukotały niczym małe kastaniety.

W tym mieście wyczuwało się nowy początek - każdy, kto tu trafił, musiał zacząć od początku. W Nowym Jorku mogło się być każdym, kim się tylko chciało.

Izzie przyrzekła sobie, że od tej pory będzie zupełnie inną osobą od tej Izzie Silver sprzed trzech tygodni.

Pomyślała o długim locie nad Atlantykiem, podczas którego siedziała obok dwóch gadatliwych młodych Niemek, udających się do Ameryki po raz pierwszy.

Miały zamiar tyle zobaczyć, tyle zrobić, i Izzie naturalnie pomyślała o sobie sprzed dziesięciu lat i swoich planach. O tym, co by zrobiła przez tych dziesięć lat, gdyby nie utknęła w bagnie, takim samym jak na całym świecie - próby dopasowania się do reszty, próby zarabiania pieniędzy, próby dogonienia jakiegoś niemożliwego do spełnienia marzenia. Czyniąc to, straciła z oczu wszystko to, co jest ważne, i stała się ofiarą, ciskaną na różne strony przez nawałnicę.

Wszystkich zawiodła: kochaną mamę, która pragnęła, by jej córka była szczęśliwa; tatę, który zawsze miał o niej jak

najlepsze zdanie; i babcię, która nauczyła ją być silną, uczciwą i odważną. Kochana babcia. Ciężko było myśleć sobie, że leży teraz na szpitalnym łóżku, a jej oczy są zupełnie pozbawione wyrazu. Po trzech tygodniach spędzonych w Tamarin i czekaniu na jej przebudzenie, do Izzie dotarło, że ukochana babcia może się już nigdy więcej nie obudzić.

Ale pomimo bólu spowodowanego tymi wszystkimi rzeczami, które nie zostały wypowiedziane, Izzie wiedziała, że teraz nie może zawieść babci. Rozpocznie wszystko od nowa i tym razem zrobi to właściwie, jak należy. Otrzymała drugą szansę i nie chciała jej zmarnować. Pierwszą zmianą będzie Joe. Wcześniej miała nadzieję na to, co nigdy się nie mogło wydarzyć, i płakała do poduszki, kiedy się rzeczywiście nie wydarzyło. Dosyć tego. Między nimi koniec, ale nie w taki sposób, że ona będzie pokrzywdzoną bohaterką, pełną bólu. Zostanie to zakończone w sposób pełen godności.

Kiedy otworzyła drzwi, okazało się, że w jej mieszkaniu jest jak w lodówce. Znowu szwankowała klimatyzacja. Wyłączyła ją, zadzwoniła do gospodarza domu, by przyszedł i na nią zerknął, po czym otworzyła okna, by wpuścić nieco ciepłego, porannego powietrza.

Zanim pojawił się gospodarz, zdążyła się rozpakować, naszykować dużą torbę brudnych rzeczy do pralni i przebrać w spodnie od dresu i T-shirt.

- Hej, Tony, dzięki, że się tak szybko zjawiłeś.
- No problemo - odparł Tony i zabrał się za pracę.
- Chcesz kawy?
- Jasne, z mlekiem, bez cukru.

Podczas gdy kawa się parzyła, Izzie włączyła automatyczną sekretarkę, by sprawdzić wiadomości.

Kilka było od znajomych, których nie zdążyła powiadomić o swoim wyjeździe, chłodny telefon od telemarkete-ra i jedna wiadomość od Joego. Przestał dzwonić na jej komórkę, gdy była w Irlandii po tym, jak jego pierwszych pięć

telefonów pozostało bez odpowiedzi. Ta wiadomość została nagrana wczoraj wieczorem.

- Cześć, Izzie. Słyszałem, że jutro wracasz... Skąd on się tego dowiedział?

- Chciałem się przywitać i powiedzieć, że myślę o tobie, skarbie. Proszę, zadzwoń do mnie, gdy już wrócisz.

- Muszę iść po jeszcze jedno narzędzie - rzekł Tony, wychodząc na korytarz. - Zaraz wracam.

- Jasne - odparła z roztargnieniem.

Wcześniej usunęła numer komórki Joego z przycisków szybkiego wybierania, ale i tak znała go na pamięć. Wystukała jego numer i zastanawiała się nad wciśnięciem zielonego przycisku.

Co by powiedziała: „Żegnaj i miło było cię poznać?”.

Nie. Odłożyła słuchawkę i naląła sobie kawy.

O wpół do dziesiątej w drodze do pracy zajrzała do niej Carla z ciastkami z delikatesów na Dwudziestej Dziewiątej i kilkoma plotkarskimi magazynami.

- Jedzonko - oświadczyła, stawiając wszystko na ławie.

- Uznałam, że jeszcze nie wyszłaś do sklepu po zaopatrzenie.

- Uściskała mocno przyjaciółkę. - Jak się czujesz?

- Dobrze - odparła Izzie i rozplakała się.

- Och, płacz, dziewczynko - westchnęła Carla. - Wiedziałam, że podczas ostatniej rozmowy wydawałaś się zbyt radosna. Co u twojej babci?

- Nadal w śpiączce - wyszlochała Izzie. - Po prostu tam leży. W przyszłym tygodniu przeniosą ją do domu opieki. Im dłużej przebywa w śpiączce, tym mniejsze są szanse na to, że się jeszcze obudzi. To jedyne, co jej teraz zostało i nie mogę znieść myśli o tym. To taki straszny koniec życia. Zasluguje na coś lepszego...

Zadzwoił telefon domowy i Carla odruchowo wstała, by go odebrać.

- Tak? Okej, kto mówi? - Gwałtowny wdech Carli kazał Izzie podnieść głowę. - Nie, nie możesz rozmawiać z Izzie,

ty palancie. Teraz poradzi sobie bez ciebie. Potrzebowała cię trzy tygodnie temu, a ty ją zawiodłeś, więc nie myśl sobie, że możesz się tym razem wepchnąć do kolejki...

Joe. Nikt inny tak bardzo nie rozwścieczyłby Carli.

- Pozwól mi z nim porozmawiać - rzekła Izzie, wyciągając rękę po słuchawkę. - Nic mi nie jest, poważnie - dodała.

Carla niechętnie podała jej telefon.

- Halo - rzuciła do słuchawki Izzie.

- Witaj - odparł głosem słodkim jak miód.

Jego głos był taki kojący, a ona wiedziała, że będzie musiała odrzucić to ukojenie. W przeciwnym wypadku to ją zabije. Jaki miało sens życie w połowiczny sposób z mężczyzną, który nigdy nie będzie jej? Niekończące się poświęcenia, samotność podczas każdego Bożego Narodzenia, kradziony czas podczas urodzin, wyjazdy do miejsc, gdzie nikt ich nie zna, chodzenie do restauracji położonych na uboczu, by przypadkiem nie spotkał ich tam ktoś znajomy i nie podszedł, by w znaczący sposób powiedzieć dzień dobry. Wiedziała, jaka byłaby ich przyszłość, gdyby Joe dalej prowadził to swoje poplątane życie. Nie chciała takiej przyszłości.

Wiedziała, że w końcu by ją to zniszczyło. I ich.

- Czego chcesz, Joe? - zapytała zmęczonym głosem, tak jakby wypowiedziała na głos swe wcześniejsze myśli i była tym teraz wyczerpana.

- Spotkać się z tobą i przytulić - odparł.

- Wiesz, co jest z tobą nie tak? - zapytała. - Mówisz te wszystkie właściwe rzeczy we właściwym czasie, i to mnie dobija, Joe. Dlaczego nie możesz być zwykłym draniem i pozwolić, bym cię znienawidziła? Tak byłoby mi łatwiej.

- Uważasz, że jestem draniem?

- Tak - odparła szczerze. - Tak właśnie uważam. Rozpocząłeś tę grę, mając w ręku najlepsze karty, a ja mogę winić tylko siebie za to, że wzięłam udział w tej grze. Żałuję, że to zrobiłam.

- Mogę wpaść do ciebie?

Od razu do sedna sprawy - doświadczony biznesmen, który wiedział, że zaczyna przegrywać i że pomogłoby mu spotkanie w cztery oczy.

Izzie nie miała energii na walkę.

- Tak - westchnęła i rozłączyła się.

- Pozbyłaś się go? - zapytała Carla.

- Niezupełnie...

- Mam nadzieję, że nie jedzie teraz tutaj. Ponieważ jeśli tak, to już mnie ten sukinsyn popamięta...

- Spokojnie, Carla. Mam mu zamiar powiedzieć, że to koniec.

- Mam nadzieję. Nie zasługuje na to, by walczyły o niego dwie kobiety, a do tego właśnie dojdzie, Izzie. Mężczyźni jego pokroju chcą jednocześnie mieć ciastko i je zjeść. Pragnie i ciebie, i Pani Charytatywnej Suki.

Izzie się zaśmiała.

- Dziękuję ci - rzekła.

- Za co?

- Za to, że nienawidzisz jego żony, mimo że nic złego żadnej z nas nie zrobiła.

- Trzymam się po prostu scenariusza - uśmiechnęła się Carla. - Przyjaciółki dziewczyny muszą obrażać jego żonę i mówić, że to dziwka bez serca, której zależy tylko na jego pieniądzach, zaś przyjaciółki żony mówią dokładnie to samo.

- Och. A ja myślałam, że jesteśmy nowatorskie i robimy wszystko w wyjątkowy sposób - stwierdziła Izzie.

- Przykro mi, mała, w tej historii nie ma nic nowatorskiego. Myślisz, że najstarszą na świecie grą jest prostytutka? Nie, kochana, to trójkątny miłosny.

- Jestem banalna, no nie?

- Obawiam się, że tak. Powiedz mi, czy Wysoko Postawiony Mężczyzna ma klucz, czy też możemy wyskoczyć do spożywczaka i spokojnie wrócić?

- Nie ma klucza.

- Super. Niech sobie w takim razie poczeka.

Kiedy wróciły, Joe siedział w jej mieszkaniu i gawędził spokojnie z Tonym, gospodarzem domu.

Izzie na jego widok mocniej zabiło serce i nawet pełna dezaprobaty obecność Carli i jej własne przyrzeczenie, że już go nie dotknie, nie powstrzymały jej przed tym, by podejść do niego i go pocałować.

- Skarbie, tęskniłem za tobą - mruknął, przytulając ją mocno.

Na krótko Izzie pozwoliła sobie na odprężenie się, czerpiąc pociechę z jego obecności. Następnie odsunęła się. Nie powinna była pozwolić mu przyjechać. Nigdy nie była w stanie mu się oprzeć.

- Ty jesteś z pewnością Joe - odezwała się Carla.

- A ty jesteś Carla, miło cię poznać - rzekł Joe z czarującym uśmiechem.

Izzie miała już okazję widzieć, jak czaruje ludzi, ale zdążyła zapomnieć, jaki jest w tym dobry.

Tony skończył z klimatyzacją i wyszedł. Joe rozsiadł się na sofie. Siedział z rozłożonymi nogami i był wyraźnie zrelaksowany.

Pogawędził z Carłą na temat Perfect-NY, a kiedy ona zaczęła mówić o pomysle utworzenia własnej agencji, Izzie uciszyła ją groźnym spojrzeniem. Rozmawiała już o tym z Joem, ale teraz, kiedy miała go zamiar odprawić, nie chciała poruszać tego tematu. Jeszcze by próbował zainwestować w ich firmę i wtedy już nigdy by się od niego nie uwolniła.

W końcu Carla wstała.

- Praca: przekleństwo klasy robiącej zakupy, no nie? - rzekła. - Odezdziesz się później? - zapytała Izzie.

Kiwnęła głową. Wymieniły spojrzenia. Carla wzruszyła ramionami; wiedziała, że nie ma sensu nakłaniać przyja-

ciółki, by odprawiła Joego do domu. Izzie musiała zrobić to po swoimu.

- Tylko jej już więcej nie krzywdź - powiedziała Carla do Joego. - W przeciwnym razie będziesz miał ze mną do czynienia.

- Nie skrzywdzę jej - odparł.

Carla popatrzyła na niego, a potem na Izzie. Jej mina mówiła, że mu nie wierzy.

Ponownie byli sami i kiedy Joe przysunął się do niej i zaczął pieścić jej obojczyk przez bawełniany T-shirt, Izzie mu pozwoliła. Pomyślała, że to ostatni raz.

Przesunął ustami delikatnie po jej jedwabistej skórze i poczuła, jak jej ciało wygina się w łuk pod wpływem tych pieszczot.

Ostatni raz.

Jego palce objęły jej pierś, ona zaś cała zmieniła się w pożądanie.

Ostatni raz.

Potem tulił ją mocno do siebie. Nie ruszył się, by zapalić papierosa, a jedynie tulił, tak jakby wiedział, co się dzieje w iei głowie.^J

- Nie chcę już tego - odezwała się, przerywając ciszę - Chcę ciebie, to oczywiste, ale nie tego, co otrzymuję razem z tobą.

- Możemy jakoś to poukładać - rzekł Joe, nadal ją tuląc.

- Nie możemy. Dużo o tym myślałam podczas wyjazdu. Właściwie to jedyne, co tam robiłam - przyznała. - I chcę tego, czego chciałam od samego początku, Joe: porządnego prawdziwego związku. Ty nie możesz mi tego dać, a ja byłam głupia, że się z tobą w ogóle związałam.

Wiedziałam że coś jest nie tak.

Proszę, w końcu to powiedziała: to, co aż do tej pory ledwie śmiała przyznać sama przed sobą. Od początku miała

dziwne wrażenie, że coś jest nie tak, a mimo to miała nadzieję, że wszystko może się ułożyć.

- Gdy ktoś choruje albo umiera, wtedy zawsze zaczynamy się zastanawiać nad własnym życiem, ale możemy to jakoś zorganizować... - zaczął.

- Nie chcę - przerwała mu Izzie. - Kocham cię, Joe, ale proszę cię o to, byś mnie zostawił. Daj mi spokój, przestań się ze mną kontaktować.

- Nie mówisz tego poważnie. Delikatnie wyplątała się z jego objęć.

- Mówię - rzekła ze smutkiem.

Nachyliła się i objęła dłońmi jego twarz, twarz, którą tak bardzo kochała. Gdyby się teraz rozpląkała, nie byłaby w stanie tego zrobić, a musiała. Przez jakiś czas będzie czuć ogromny ból, ale w końcu dojdzie do siebie.

Gdyby tego nie zakończyła, ból ciągnąłby się przez całe lata i w końcu by ją zniszczył. Kochała go i wiedziała, że z tego powodu godziłaby się na wszystko. Wszystko.

Tak więc teraz, dopóki miała w sobie jeszcze dość siły, pragnęła, by zostawił ją w spokoju.

- Proszę, odejść, mój kochany. Po prostu odejść. Przyglądał jej się. Twarz miał pozbawioną wyrazu.

- Ty mówisz poważnie?

- Tak. Nie ma dla nas przyszłości.

- Mylisz się, Izzie. To, co mamy, jest wyjątkowe. To się nie zdarza często, proszę, nie odrzucaj tego. Potrzebuję jedynie więcej czasu...

- To się zrobiło za mało wyjątkowe - rzekła ze smutkiem. - Skoro to takie wyjątkowe, to dlaczego jest mi tak smutno?

Nie odezwał się ani słowem, gdy brał prysznic i ubierał się, choć kilka razy Izzie przyłapała go, że się jej przygląda, jak siedzi na łóżku i patrzy na niego. Obserwowanie mężczyzny, którego kochała, szykującego się do odejścia z jej życia,

było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie dane jej było zrobić, ale Izzie wiedziała, że nie ma innego wyjścia. To był jej prezent dla samej siebie, ale, o Boże, to tak bolało.

Kiedy Joe był już ubrany, odwrócił się i zbliżył do łóżka.

- Do widzenia, Izzie - rzeki i pochylił głowę, by pocałować ją po raz ostatni.

Gdy musnął ustami jej wargi, Izzie poczuła, jak jej postanowienie słabnie i wyrzuciła z siebie:

- Proszę, odejdz, Joe. Zostaw mnie samą.

- Skoro tego właśnie chcesz.

- Tego chcę.

Wyszedł. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, mieszkanie wydało się nagle dwa razy mniejsze. Z nim było centrum wszechświata. Bez niego było klatką.

Zobaczyła, że zapomniał granatowego, jedwabnego szala, który miał na szyi. Wzięła go do ręki, podniosła do twarzy i wdychała jego zapach, po czym ułożyła go na kolanach niczym talizman ich wspólnego życia. Dopiero wtedy pozwoliła sobie na łzy.

Jutro zacznie nowe życie, ale dzisiaj był czas żałoby.

Miesiąc później przechadzała się po olbrzymim lofcie, delektując się jego przestronnością i podziwiając wysokie sufity, podłogi z jasnego dębu i cegły na ścianach. To największy loft, jaki widziała, i wyglądał tak, jakby po jednej stronie powinien się w nim znajdować dżaz do baletu, a po drugiej lustro, albo też powinny w nim wisieć olbrzymie, niedokończone obrazy, a przed nimi stać bosy facet w poplamionych farbą dżinsach i papierosem w ustach.

- Rany, wyobraź to sobie jako mieszkanie - westchnęła Carla, wyglądając na znajdującą się poniżej Trzydziątą Czwartą ulicę.

- Nikt nie mógłby sobie pozwolić na takie mieszkanie - roześmiała się Lola, która znalazła to miejsce na casting i za-

jęta teraz była ustawianiem wszystkiego na wielkim biurku obok starego sprzętu grającego. - Kiedyś tu była galeria...

- Wiedziałam - wtrąciła Izzie, uradowana tym, że miała rację. Wyczuła tu w powietrzu sztukę.

- A jakiś facet wykorzystywał to jako studio jogi. A sztangi? Nieważne, nie wiem, mylą mi się te wszystkie typy jogi. Zresztą to jest za duże jak na mieszkanie. Pośrednik mówi, że zastanawia się nad tym jakaś agencja reklamowa.

- Jasne - rzekła Carla, wracając od okna, by położyć swoje rzeczy obok stołu. - Już widzę stado dupkowatych re-klamiarzy, jak kłócą się o to, kto dostanie największe biurko i gdzie zawiesić obręcz do koszykówki, ponieważ muszą ją mieć, żeby wyglądać na bezpretensjonalnych luzaków, choć jedyne, co ich łączy z koszykówką, to buty Air Jordan.

- Czyżbym wyczuwała nutkę goryczy w stosunku do mężczyzn z branży reklamowej? - zapytała znacząco Lola.

- Goryczy? Skąd - zaśmiała się Carla. - Ale jeśli ta zainteresowana agencja nazywa się Worklt Ads, powiedzcie mi o tym, żebym mogła kupić parę steków z tuńczyka i ukryć je pod podłogą w miejscu, gdzie siedzi facet o imieniu Billy. Och tak, i złożę jeszcze zlecenie stale z lokalnego sklepu z filmami porno, by każdego dnia przysyłano filmy sadomaso. Askorojużotymmowa... - Urwała.- Billy jest pewnie na tyle dziwny, że mu się spodobają. Skreślamy filmy porno.

Roześmiały się zgodnie.

- Szkoda, że nie stać nas na wynajęcie tego loftu na dłużej niż jeden dzień - westchnęła Izzie.

W duchu pokręciła głową, by wyrzucić z niej Joego Han-sena. Daremny trud. Zajmował jej myśli wkażdej chwili ibo-lało to bardziej, niż sobie wcześniej była w stanie wyobrazić. Gdyby nie miała na głowie nowej agencji i wszystkich związanych z nią prac organizacyjnych, chyba by oszalała.

Tak wiele się wydarzyło w ciągu minionego miesiąca. Ona i Carla wręczyły swym przełożonym wymówienia, Lola

oświadczyła, że chce do nich dołączyć i nagle zajmowały się gromadzeniem funduszy, szukaniem lokalu i przygotowaniem do skompletowania modelek.

Właśnie podpisały umowę na wynajem pierwszego biura Agencji SilverWebb. Było ono urocze, ale miało tak doskonałą lokalizację, że jakaś wada była nieuchronna, a okazał się nią metraż.

Było tam wystarczająco miejsca na recepcję, niewielką salę konferencyjną i gabinet z czterema biurkami, a także na niewielki aneks kuchenny. Ale na pewno nie mógł się tam odbyć casting, stąd ich obecność w studio jogi.

- Jeśli jest ktoś jeszcze, od kogo możesz wydebić kasę, Izzie, to mogłybyśmy to wynająć - rzekła Lola. - Gdzie się podziało tych pięciuset najbogatszych z listy „Fortune”?

Carla posłała Izzie współczujące spojrzenie. Obu przychodził do głowy konkretny bogacz z listy pięciuset, ale żadna z nich nie miała zamiaru dzwonić do niego i prosić o czek.

- Kiedy odpowiedzią na twoje pytanie jest mężczyzna, to znaczy, że zadajesz niewłaściwe pytanie - zażartowała Carla, sprawdzając, czy ich polaroid działa.

Normalnie podczas castingu modelki przychodziły z własnymi portfolio. Dzisiejszy casting był wynikiem umieszczenia w mediach wielu reklam, poszukujących modelek w rozmiarze „plus” - Izzie nie znosiła tego określenia, ponieważ przywoływało obraz kobiet zbyt dużych, by były w stanie samodzielnie chodzić - tak więc wiele potencjalnych modelek nie będzie mieć własnych zdjęć. Izzie i Carla lubiły polaroidy za to, że potrafiły natychmiast odświeżyć pamięć.

Izzie naszykowała papier i długopisy, tak by każda dziewczyna mogła zapisać swoje dane kontaktowe.

- Mam nadzieję, że frekwencja okaże się dobra - rzekła z niepokojem do Loli. - Nikt się jak na razie nie pojawił.

- Zostało pół godziny do czasu podanego w anonsach - odparła Lola. - Jest dopiero dziewięta trzydzieści.

- No tak, ale byłam na takich castingach, gdzie dziewczyny stały w kolejce przez całą noc.

- Tak jest w przypadku zwykłych modelek - wzruszyła ramionami Lola. - To zupełnie inna bajka. Zbyt dużo kofeiny i nikotyny sprawia, że są roztrzęsione i stremowane. Bycie normalnym czyni cię mniej zdesperowanym.

Izzie roześmiała się.

- Mam nadzieję, że to prawda - rzekła. To było takie proste i generalnie miało sens.

Cofnęła się myślami do swych pierwszych castingów, kiedy była po uszy zakochana w świecie mody i przyglądała się niekończącemu się sznurowi przypominających gaze-le dziewcząt wchodzących i wychodzących z pokoju, a każda była piękniejsza od swej poprzedniczki.

Kiedy jedna z dziewcząt zalała się łzami, gdy popatrzyli na nią i komisja zgodnie uniosła brwi, wybiegła z pokoju, a Izzie za nią.

- To ten pryszcz, prawda? - zapytała dziewczyna, trzęsąc się ze zdenerwowania i smutku. Pokazała na niemal niewidoczne zgrubienie na policzku, które wprawnie zakryła korektorem. - Wiedziałam, że go zauważą, wiedziałam. I jestem taka gruba. Popatrz!

Próbowała uchwycić między dwa palce nieistniejący tłuszcz wokół swego wklęsłego brzucha. Ubrana była w obcisłe, nisko opuszczone dzinsy, które odsłaniały jej sterczące kości.

Podczas profesjonalnej sesji zdjęciowej ze starannie rozwianymi włosami i opalenizną jakby prosto z Wyspy św. Bartłomieja, wyglądałaby nieziemsko. Ze łzami spływającymi po niezwykle chudej twarzy wyglądała niczym krucha dziewczynka. Izzie była przerażona wyraźną niechęcią tej dziewczyny do własnego ciała oraz łatwością, z jaką pozostali ludzie z komisji ją odprawili.

- Ale ona jest taka zdenerwowana, Marla - jęknęła Izzie do swej koleżanki z Perfect-NY podczas przerwy na kawę.

- Dlatego właśnie już się z nią nie spotkamy - wyszeptała Marla. - Skoro płacze na naszych oczach, co zrobi przy kliencie? Chodzi o coś więcej niż wygląd, Izzie. Musi się zahartować, jeśli chce się przebić.

Wtedy Izzie po raz pierwszy zderzyła się z twardą rzeczywistością świata mody. Dla niej może i była to ekscytująca, przyjazna kobietom branża, gdzie ceniono kobiece piękno. Ale ten świat potrafił być także okrutny.

Nim wybiła jedenasta w dniu pierwszego castingu Silver-Webb, Izzie wiedziała, że uczyniła właściwy krok. To był naprawdę zupełnie inny casting od wszystkich, w których brała udział do tej pory. Kojarzył się z przebywaniem w towarzystwie bogiń, wśród których Zeus próbował znaleźć idealny przykład kobiecości.

Na jednym końcu loftu stały tłumnie kobiety o każdej figurze i kolorze skóry, i podczas gdy na normalnych castingach wszechobecna była rezerwa i nieufność, te kobiety piszczały, śmiały się i gawędziły ze sobą.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jestem! - pisnęła właśnie jedna.

- Na to właśnie czekałam całe życie! - zawołała inna.

- Nigdy nie będę mieć rozmiaru 0, ale mój tata twierdzi, że jestem super! - zaśmiała się trzecia.

- Idę po kawę. -1 ciastka?

- Najlepiej przynieś trochę dla wszystkich.

Izzie i Carla wymieniły szeroki uśmiech. Podczas normalnych castingów królowała dietetyczna woda, czarna kawa i papierosy. Tutaj lepiej sprawdzały się muffiny, latte z tłustym mlekiem i cukierki.

Siedem godzin później miały pod swoimi skrzydłami osiem modelek i ostatnia z nich była dosłownie niezwykła. Steffi, mierząca metr osiemdziesiąt posągowa blondynka, była w szkole gimnastyczką i cheerleaderką, ale zawsze była zbyt duża jak na „normalną” modelkę.

Poruszała się z wdziękiem lwicy, zaś jej twarz była czystą poezją - miała seksowny uśmiech, który potrafił rozświetlić całe pomieszczenie. Kiedy skończyli, Steffi oświadczyła, że aby to uczcić, chciałyby zaprosić je wszystkie na drinka. Miał się też zjawić jej chłopak, by świętować razem z nią.

- Dobry pomysł - rzekła Lola, masując zeszywniały kark.

- Jasne - stwierdziła Izzie.

Nie miała żadnych innych planów. To był bardzo owocny dzień, a jutro czekał je kolejny casting: Agencji SilverWebb należała się odrobina relaksu.

- Za rogiem jest fajny bar - rzekła Carla.

Steffi, Lola, Izzie i Carla stanęły po kilku minutach w jego drzwiach.

- Hej, podoba mi się to miejsce - oświadczyła z zachwytem Steffi.

Izzie pomyślała, że ta dziewczyna jest naprawdę olśniewająca i wszyscy w barze wyraźnie się z nią zgadzali, ponieważ przerwali to, co akurat robili i wpatrywali się w wysoką blondynkę z długimi nogami i szerokim uśmiechem.

- Gdzie siądziemy? Może pod oknem, gdzie będziemy miały świetny widok na to, co się dzieje?

Ruszyła w stronę sofy pod oknem i usiadła, uśmiechając się promiennie do wszystkich, zadowolona ze świata. Jej szczęście było zaraźliwe. Uśmiechając się szeroko, Izzie usiadła obok niej.

- Zdajesz sobie sprawę, że każdy obecny tu mężczyzna pożera cię wzrokiem? - zapytała.

Steffi zaśmiała się: był to seksowny, gardłowy śmiech.

- Wiem - odparła szelmowsko. -1 podoba mi się to! Hej, dziewczyno, uczcijmy moją nową karierę, nie mogę uwierzyć, że będę modelką!

- Powinnaś w to uwierzyć - oświadczyła Lola, siadając przy niej. - Fantastycznie wyglądasz.

- Mówicie naprawdę same mile rzeczy. - Steffi radośnie uścisnęła ramię Loli. - Ale będzie fajnie razem pracować i nie mogę się wprost doczekać, kiedy poznacie Jerry'ego. Polubicie go!

Carla podeszła do nich z tacą z czterema kieliszkami i butelką białego wina.

- Ta chwila zasługuje na szampana, ale tutaj mieli jedynie to - rzekła. - Mam także orzeszki. Wino i orzeszki to ta sama grupa pokarmowa, prawda?

- Prawda - kiwnęła głową Izzie.

- Fantastycznie - oświadczyła Steffi, biorąc do ręki paczkę orzeszków. - Umieram z głodu.

Trzy kobiety z SilverWebb wymieniły spojrzenia i roześmiały się.

- Tak bardzo się różnisz od większości znanych nam modelek - stwierdziła Lola.

- Chodzi ci o to, że jem? - zapytała Steffi, przetykając orzeszki. Izzie pomyślała z podziwem, że ta dziewczyna nawet je w seksowny sposób. - Nie znoszę dziewczyn, które się głodzą. No bo czemu miałyby to robić?

Kiedy zjawił się Jeny, chłopak Steffi, wraz z kilkorgiem przyjaciół, dziewczęta zdążyły już skończyć butelkę wina i zastanawiały się, czy nie zamówić drugiej.

- Jerry! - zapiszczała Steffi na jego widok.

Był wysoki, przystojny, jakieś sześć, siedem lat starszy od Steffi i wyraźnie w niej zadurzony. Przywitawszy się krótko z pozostałymi, chwycił ją w objęcia i mocno przytulił, obracając dokoła, nie przejmując się, czy ktoś ich widzi.

- Jestem z ciebie taki dumny - oświadczył.

- Skarbie, cała jestem twoja - uśmiechnęła się promiennie Steffi i pocałowali się powoli z prawdziwą namiętnością.

- Nieźle, chłopie - rzekł jeden z jego przyjaciół, klaszcząc.

- Ona jest niesamowita, prawda? - zapytał Jerry, nadal tuląc do siebie Steffi.

Wtedy właśnie do Izzie dotarły emocje dzisiejszego dnia. Olśniewająca Steffi zdawała się symbolizować wszystko to, za czym się opowiadała Agencja SilverWebb: piękne prawdziwe kobiety, które w pełni akceptowały siebie.

Ajednak znalezienie Steffi dla ich agencji tylko podkreśliło to, jak wielkim się Izzie czuła outsiderem i jak bardzo się wszystko w jej życiu pogmatwało. Steffi przytulała się w tym wyjątkowym dniu do mężczyzny swojego życia, Izzie natomiast siedziała tam, uśmiechając się, pijąc wino i wiedząc, że kiedy kieliszek będzie pusty, ona wróci do pustego mieszkania.

Izzie podejrzewała, że między Steffi a Jerrym jest taka sama różnica wieku, jak między nią a Joem Hansenem, ale on nigdy nie przytulał jej z dumą z powodu jej osiągnięć ani nie popisывał się przed swoimi przyjaciółmi mówiąc: „Ona jest niesamowita, prawda?”.

Zamiast tego zabierał ją do spokojnych, leżących na uboczu restauracji, żeby przypadkiem nie wpaść na kogoś znajomego. Była celowo skrywana, gdy tymczasem Steffi była publicznie adorowana i uwielbiana.

Cóż za ironia, że jako jedna z szefowych nowej Agencji SilverWebb powinna być tą mądrą, bystrą, zarządzającą karierami modelek, a jednak w chwili obecnej czuła się jak nowicjuszka, która nie wie dosłownie nic. Przed Joem była taka przenikliwa i rozsądna, ale teraz już nie. Trzeba było Joego i wylewu babci, by jej pokazać, że nie ma o niczym zielonego pojęcia.

- Muszę lecieć - powiedziała, sięgając po torebkę.

- Nie! - zapiszczały zgodnie Carla, Lola i Steffi.

-Nie możesz- oświadczyła Lola. - Nie uczciłyśmy tego dnia w sposób wystarczający. Ale jeśli musisz gdzieś jeszcze iść...

Izzie pomyślała o tym, dokąd musi iść: dom, może pralnia. Musiała zrobić małe zakupy. Skończyły jej się muesli i filtry do kawy.

- Nie musisz się spieszyć, prawda? - zapytała łagodnie Carla, przyglądając się z troską przyjaciółce.

Carla wiedziała, że Izzie nie ma żadnych pilnych spotkań z wyjątkiem tego z pilotem od telewizora.

- Okej - rzekła Izzie. - Zostanę na jeszcze jedną kolejkę. Godzinę później Carla świetnie dogadywała się z jednym

z kumpli Jerry'ego i nawet Lola, która nigdy tak do końca nie zdecydowała, czy woli mężczyzn, czy kobiety, rozmawiała z ożywieniem z jego drugim kolegą.

Izzie wylądowała na miejscu w rogu i czuła się jak bezludna wyspa na morzu zakochanych par. Nie była już w stanie prowadzić rozmowy o niczym: straciła wprawę wraz z poczuciem humoru i świadomością tego, na czym polega życie.

Po dwóch kieliszkach wina rozboleła ją głowa i pomyślała, że może pomógłby jej sok pomarańczowy. Wyślizgnęła się ze swego miejsca, zabierając ze sobą torebkę, po czym udała się do baru, gdzie barman zdawał się ją ignorować.

- Hej - odezwała się głośno - skoro już jestem niewidoczna, to powinnam wykorzystać swoje supermoce dla dobra tego świata albo po to, by zdobyć nad nim władzę. Jak sądzisz?

Barman odwrócił się i Izzie dostrzegła w beznamiętny, wyćwiczony przez lata pracy z modelkami sposób, że jest całkiem przystojny. Był oczywiście od niej młodszy: teraz wszyscy już tacy byli. Miał trzydzieści parę lat i atletyczną budowę ciała. Kiedyś może i by oczekiwała, że będzie z nią lekko flirtował, ale nie teraz. Już nikt nigdy nie będzie z nią flirtować, ponieważ ona nie mogła tego znieść, a inni zdawali się to wyczuwać.

- Supermoce, co? Którą jesteś bohaterką? - zapytał, opierając się o bar.

- Nie wiem, może Kobieta z Paskudną Grypą - odparła Izzie. - Albo Kobieta z Tarczą, ponieważ posiadam niewidzialną tarczę, która nie dopuszcza do mnie ludzi. Jest trochę

w stylu *Gwiezdnych wojen*, bardzo nowoczesna i zaawansowana technologicznie.

- Aha - rzekł barman, przeciągając to słowo w kilka sylab.

- Tak - kontynuowała Izzie. - To niewidzialna tarcza i ludzie się od niej odbijają, jeśli się za bardzo zbliżą, więc wkońcu przestają podchodzić. Kobieta z Niewidzialną Tarczą to właśnie ja. A tak w ogóle to mogę prosić o sok pomarańczowy?

- Mam dosypać do niego xanax? - zapytał.

- A co mi tam, dosyp też i xanax.

Przysiadła na stołku barowym. Tak właśnie od teraz będzie wyglądać jej życie: żadnych związków, ale mnóstwo interesujących, aczkolwiek dziwnych rozmów z barmanami i kelnerkami w kawiarniach. Uznała, że to właśnie przytrafia się samotnym kobietom. Dużo rozmawiają z nieznajomymi.

- Nie masz nastroju na zabawę? - zapytał barman, nalewając do szklanki sok.

- Nie - westchnęła Izzie. - Mam także tarczę antyzaba-wową. Czy zdarza ci się, że siedzisz, patrzysz na bawiących się ludzi i po prostu nie jesteś w stanie do nich dołączyć?

Mężczyzna uniósł brwi.

- Jestem barmanem - odparł. - Tak właśnie zarabiam na życie: obserwuję bawiących się ludzi i nie dołączam do nich.

- No tak, przepraszam. - Wypiła szybko swój sok.

- Mógłbyś posłać jeszcze jedną butelkę wina tej rozbawionej grupie wrogu? - zapytała. - Ja zapłacę. Lepiej sobie stąd pójdę, nim zupełnie popsuję atmosferę.

- Przyjęcie służbowe? - zapytał.

- Coś w tym rodzaju - odparła Izzie, po czym dodała, skuszona wyznaniowym charakterem stołka barowego:

- Prowadzimy agencje modelek i właśnie miałyśmy pierwszy casting. Steffi - pokazała na piękną blondynkę - to nasz najnowszy nabytek.

- Taa, niezły z niej kociak - stwierdził barman. Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że Izzie poczuła się, jakby była stuletnią staruszką. Patrzył na Steffi z czystym podziwem. Wcześniej na Izzie tak nie patrzył. Kiedyś mężczyźni w barach przyglądali się Izzie, jej krągłościom i pięknym włosom, podziwiając jej zadziorność. A teraz już nie. Cała jej zadziorność i atrakcyjność zostały wysane przez Joego. Położyła pieniądze na barze.

- Reszty nie trzeba - rzekła głucho, po czym wyszła szybko z baru, by nikt nie zdążył jej zobaczyć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Końcówka września w Tamarin okazała się oszałamiająco piękna. Latem pogoda była zmienna, często padało, tak jakby rządząca latem bogini miała paskudny nastrój, wyrzuciła swoje zabawki z wózka i popsuła szyki tym, którzy brali ślub, urządzali grille i przyjęcia. We wrześniu jej nastrój uległ zmianie, przynosząc wspaniałe, gorące dni. Po drodze z Waterford przecinało się pasmo wzgórz i nagle przed oczami rozciągało się Tamarin.

Jodi pragnęła, by jej matka siedziała z przodu obok Dana, by mogła w pełni podziwiać piękno Tamarin, ale ponieważ przyjechała z nią także ciocia Lesley, mama Jodi zaproponowała, by to ona usiadła z przodu.

- Bardzo wam się tu spodoba - oświadczył celowo radośnie Dan, zerkając do tyłu i mrugając do teściowej.

Karen uśmiechnęła się do niego, lecz ciocia Lesley minę miała jak zawsze kwaśną.

Kiedy jej matka podczas rozmowy telefonicznej zasugerowała, że przywiezie ze sobą Lesley, Jodi jęknęła.

- Mamo, proszę, nie. Od tak dawna chciałam, żebyś mnie odwiedziła, a Lesley nic się nie będzie podobać.

Trzy tygodnie z matką byłyby dla Jodi przyjemnością, ale trzy tygodnie z ciotką czymś wprost przeciwnym.

- Wiesz, że twoja ciocia jest bardzo przygnębiona, odkąd odszedł wujek Philly - powiedziała Karen.

Jodi zaskoczona była tym, że jej wujkowi zabrało to tak dużo czasu. Ten człowiek zasługiwał na medal za to, że był z nią przez tyle lat.

- Muszę ją jakoś rozweselić, Jodi. To w końcu moja starsza siostra. Będziemy dobrze się bawić, nie martw się.

Jodi uznała, że zabawa i ciocia Lesley to nie są słowa, które można wypowiedzieć w jednym zdaniu.

- Przepraszam cię za to - mówiła później do Dana.

- Drobiazg - odparł jej mąż, który do wszystkiego podchodził ze spokojem. - Będzie super. Jeśli moi rodzice także przyjadą na tydzień, będziemy się świetnie bawić. Ostatni raz widzieliśmy się wszyscy razem na naszym weselu.

- No tak - odparła Jodi.

Wcześniej planowała, że pokaże mamie Rathnaree i porozmawia z nią o wszystkim, począwszy od poronienia, a skończywszy na opisywanej przez siebie historii, ale nie sądziła, by było to możliwe w towarzystwie Lesley.

Ciotka potrafiła zawsze zdeptać wszystkie marzenia i pomysły. Jodi nie wyobrażała sobie, by mogła szlochać w ramionach matki z powodu poronienia i jednocześnie słyszeć, jak Lesley tupie niecierpliwie. A bardzo chciała o tym porozmawiać; rozmowa pomagała.

Ona i Dan wzięli kilkakrotnie udział w zebraniach grupy wsparcia dla par po poronieniach i naprawdę bardzo im to pomogło. Jodi uważała, że pomagała już sama świadomość, że nie jest się samemu.

Ale w obecności tej cholernej Lesley mogła zapomnieć o jakiegokolwiek rozmowie na ten temat.

I wtedy w jej głowie pojawił się pewien pomysł: biedna Anneliese nadal była w kiepskim stanie, mimo że wszystkim wmawiała, iż jakoś sobie radzi. Gdyby poprosiła Anneliese,

by zajrzała do niej, mamy i Lesley, mogłoby się okazać, że będzie całkiem znośnie.

Anneliese byłaby idealną osobą do dotrzymania im towarzystwa - byłaby niejako katalizatorem dla smutku Lesley, a gdyby towarzyszyła ich trójce, wtedy nie miałyby tyle czasu na przesiadywanie na plaży i spoglądanie ze smutkiem na morze, na co obecnie poświęcała większość swych dni.

Jodi martwiła się o nią, ale nie miała pewności, co w związku z tym zrobić.

- Nie bardzo mogę zadzwonić do Izzie i oświadczyć: „Twoja ciotka oszalała i straciła chęć do życia”, no nie? - rzekła do Dana.

- Powiedz Yvonne - odparł. - Pracują razem w sklepie Lifeboat i ona już będzie wiedziała, co zrobić.

Jodi pomyślała o ich gadatliwej, roztrzepanej sąsiadce, a potem o Anneliese, która nie zwierzyła się wielu osobom. Jodi czuła się wyróżniona tym, że Anneliese tak dużo z nią rozmawiała. Od tamtego okropnego wieczoru, kiedy natknęły się na kobietę, dla której zostawił ją mąż, przyjaźniły się ze sobą.

- Widziałaś mnie w moim najgorszym wydaniu - tak to ujęła Anneliese.

Pomimo tej zażyłości Jodi wiedziała, że jej przyjaciółka umarłaby z zakłopotania, gdyby konsultowała z Yvonne jej zachowanie.

Ale coś przecież musiała zrobić. W ciągu paru ostatnich tygodni wpadała do Anneliese, zdając jej relację z niezbyt szybkich postępów, jakie czyniła przy spisywaniu historii Rathnaree i za każdym razem Anneliese wydawała się coraz bardziej chaotyczna i odległa.

Jedynym pozytywem w życiu Anneliese było to, że wróciła do pracy w centrum ogrodniczym za miastem: przynajmniej w taki sposób miała kontakt z ludźmi. Ale Jodi miała nieprzyjemne uczucie, że to za mało.

Zycie wszystkich wróciło do normalności z wyjątkiem życia Lily i Anneliese. Izzie była w Nowym Jorku, Beth oczekiwała w Dublinie przyjścia na świat dziecka i nawet Neli i Edwarda widziano pewnego wieczoru, jak przechadzali się za rękę po Tamarin, co oburzyło sporą część mieszkańców miasteczka.

Lily przebywała obecnie w Laurowych Ogrodach, dużym domu opieki przy Waterford Road, który podobno był bardzo dobry. A jeśli chodziło o Anneliese - cóż, Jodi wydawało się, że utkwiała w miejscu. Jej życie było zamrożone, nie posuwało się do przodu, nie cofało się, a jedynie stało w pustym bezruchu.

- Wiem, że zabrzmiało to banalnie, ale czyż nie jest tu niesamowicie zielono? - zapytała radośnie mama Jodi.

- To jednak bardzo małe miasteczko, prawda, Karen? - wtrąciła Lesley. - Opowiadałaś o Tamarin w taki sposób, Jodi, że sądziłam, że to coś dużego. A tu są raptem trzy domy na krzyż.

Jodi nie spojrzała na matkę, ale wiedziała, że gdyby to zrobiła, mama posłałaby jej udęczone spojrzenie, mówiące „Przepraszam, ale ona cierpi z powodu Phila”.

Gdy Dan jechał uliczkami Tamarin, Jodi pogodziła się z faktem, że na jej ciotce nie zrobi ono wrażenia. Było takie odmienne od ich rodzinnych stron, od poczucia przestrzeni w Brisbane. Tamarin było małe, domy tuliły się do siebie w sposób tak bardzo europejski, taki irlandzki, jakby razem chciały się oprzeć wiatrowi i deszczowi. A teraz w promieniach słońca spora część miasteczka wydawała się staroświecka i niedzisiejsza. Znajdowały się tu całe rzędy domów z początku dziewiętnastego wieku oraz wielka rezydencja majątnego kupca. Dalej zaś, bliżej portu, mieściły się domki rybaków, maleńkie, stłoczone, a jednak takie ładne z tymi swoimi błękitnymi drzwiami.

Jodi uwielbiała teraz to miejsce. Znalezienie tego zdjęcia z Rathnaree podziało niczym katalizator. Do tamtego mo-

mentu stała na skraju miasteczka i nie angażowała się. A potem pojechała do Rathnaree, biedna pani Shanahan miała wylew, Jodi poznała Anneliese i Izzie i doszło do tego, że zaangażowała się w ich życie i życie innych miejscowych. Miała tutaj przyjaciół, życie i pokochała dziwny urok tego miejsca. A jeśli Lesley nie, to jej strata.

- No i jesteśmy na miejscu - rzekła pogodnie Jodi, kiedy Dan zatrzymał się przed Hotelem Portowym.

Tamarin chlubiło się dwoma hotelami, kilkoma domami do wynajęcia i całkiem sporą liczbą pensjonatów. Hotel Portowy był niewątpliwie najbardziej okazały ze wszystkich tych miejsc, mimo że z całą pewnością nie należał do tej samej ligi, co Intercontinental w Sydney, który z kolei Lesley uważała za swój ulubiony.

Początkowo nosił nazwę Hotelu Kolejowego Tamarin, w czasach gdy jeździły tędy jeszcze pociągi. Był to radosny budynek z dużymi, szerokimi oknami, wejściem z dwiema wielkimi kolumnami i mnóstwem kwiatów w donicach, poustawianych na schodach od frontu.

Lesley obrzuciła hotel twardym spojrzeniem.

Krowa, pomyślała gniewnie Jodi.

Ona sama uwielbiała Hotel Portowy. Miał cudowne wnętrze, będące połączeniem stylu Laury Ashley z żeglarskim, co oznaczało mnóstwo roślinnych, kwiatowych wzorów i żeglarskich dekoracji, łącznie z olbrzymią rybą wiszącą nad kominkiem w sali barowej. Dan i Jodi nie mieli do końca pewności, czy to prawdziwa ryba, pomimo twierdzącego tak podpisu, czy też gipsowa kopia. Zawsze wyglądała na zbyt żywą i wesołą, by być prawdziwym morskim stworem.

Kiedy już się zameldowały, Lesley oświadczyła, że chce pójść do swojego pokoju i się położyć. Jodi i Karen wymieniły kolejne spojrzenie. Jodi miała ochotę usiąść i porozmawiać z matką, ale wiedziała, że najpewniej nie będzie to możliwe, ponieważ Karen będzie próbowała zająć się Lesley, która bez

wątpienia chciała się udać na górę i obejrzeć pokój, a potem ponarzekać, że nie czegoś takiego się spodziewała i że jest zmęczona po podróży i że co u licha podkusiło Jodi, by utknąć na takim zadupiu w jakimś zapomnianym przez Boga miasteczku, które nawet nie miało własnego lotniska.

Brak lotniska w Tamarin stanowił źródło ogromnej irytacji, ponieważ Lesley przywiązywała ogromną wagę do latania. Co wcale nie znaczyło, że je lubiła; Jodi wiedziała, że lot z Australii będzie koszmarem, że jej ciotka będzie warczeć nieustannie na stewardesy, ponieważ bez względu na to, co zrobią, i tak nie będzie zadowolona. Spojrzała na ciotkę spode łba. Podekscytowanie, jakie czuła przez kilka ostatnich tygodni, gdy czekała na swoją matkę, malało z każdą sekundą spędzaną w towarzystwie Lesley.

- Lesley, musisz to zobaczyć. Wiem, że bardzo interesujesz się łodziami - oświadczył nagle Dan i pociągnął ją do ściany, na której wisiało kilka oprawionych w ramki zdjęć dawnych łodzi wpływających do portu w Tamarin. Kochany Dan, pomyślała Jodi, tak dobrze ją znał. Wiedział, że ciotka nieziemsko ją irytuje.

- Wybacz, skarbenku - wyszeptała jej mama, przytulając ją do siebie. - Jest po prostu zmęczona. Jutro będzie już dobrze. Przyda nam się porządny sen. Ta podróż była zabójcza. Powinniśmy się były zatrzymać w Hong Kongu, ale nie chciałam marnować ani chwili z dala od ciebie.

- Ja też nie chcę marnować ani chwili, mamó. Wiem, że z Lesley będzie lepiej, kiedy trochę odpocznie - odparła Jodi, co nie do końca było prawdą. - Tak strasznie się cieszę, że tu jesteś. Spędzimy tu razem cudowny czas i chcę, byś poznała moich wszystkich nowych przyjaciół. Naprawdę polubisz Anneliese. Prawdę mówiąc, jest dokładnie w twoim wieku.

- To ta, o której mi opowiadałaś, ta kobieta, którą zostawił mąż? - zapytała Karen. - Jak sobie radzi?

- Cóż - zawahała się Jodi - nie tak źle z pozoru, ale może tobie uda się wyciągnąć z niej nieco więcej, mamó. Może porozmawia z tobą. Nie sądzę, by radziła sobie pod tą twardą maską, i czuję się za nią w pewien sposób odpowiedzialna.

- Ty szalona dziewczyno - rzekła z czułością Karen. - Zawsze wychodzisz naprzeciw innym ludziom i troszczysz się o nich, prawda?

Kiedy wrócili do domu na Delaney Street, Dan usiadł przy stole w kuchni, by zająć się pracą, którą miał wykonać na następny dzień do szkoły, gdy tymczasem Jodi udała się do niewielkiego pokoju, pełniącego funkcję jej gabinetu. Gdyby z wizytą przybyła tylko jej matka, mogłaby zatrzymać się tutaj, ale Jodi nie wyobrażała sobie, by mogła mieć do czynienia z ciotką rano, w południe i wieczorem.

Usiadła przy biurku i popatrzyła na swoje notatki na temat Rathnaree i Tamarin. Jodi właśnie skończyła redakcję książki z mitami rzymskimi dla swego dawnego pracodawcy, co zabrało jej dużo czasu, więc Rathnaree zostało na chwilę odłożone na bok. Ale nie mogła się teraz oprzeć ponownemu przejrzaniu notatek. Rzymskie mity zostały zakończone i Jodi nie miała teraz niczego do roboty z wyjątkiem spędzania czasu z matką. Bez problemu powinna dać radę trochę jeszcze poszperać.

Co nie znaczy, by było to czymś prostym. Proste do opisanie okazały się jedynie lata II wojny światowej - znalazła materiały, które przedstawiały, jak wyglądało wtedy życie w Tamarin. Wszystko inne okazało się trudne: prawdę mówiąc, na myśl przychodziło jej, że szuka igły w stogu siana.

Początkowo sądziła, że dowiedzenie się wszystkiego na temat Rathnaree będzie prostym zadaniem: że wskazówki będą wyłożone na tacy, trochę jak w przypadku Nancy Drew, wydobywającej informacje na światło dzienne z ogromną prędkością i przy minimalnym wysiłku. W tym przypadku było jednak inaczej. Zamiast znaleźć całe mnóstwo informa-

cji, znalazła tylko sporadyczne wzmianki o Rathnaree w dostępnych w bibliotece elektronicznych dziennikach i periodykach. Nie wspomiano o nim w żadnej książce na temat wojny o niepodległość czy lat jeszcze wcześniejszych.

Nie powiodło jej się także, jeśli chodzi o odnalezienie tego tajemniczego Jamiego. W księgach parafialnych znajdowało się wielu mężczyzn o imieniu James, ale bez nazwiska czy jakiejś innej wskazówki, łączącej go z Lily czy Rathnaree, taki ślad papierowy prowadził donikąd.

Fakt, iż pierwsza osoba, z którą próbowała przeprowadzić wywiad, doznała wylewu, tak zaszokował Jodi, że zdecydowała się korzystać wyłącznie z zasobów Internetu, ale po jakimś czasie dotarło do niej, że nie uniknie zdobywania informacji w sposób tradycyjny. Musiała jednak rozmawiać z ludźmi.

Przy pomocy Dana sporządziła plan działania.

- Doktor McGarry wchodzi w skład Rady Szkolnej, a przed nim jego ojciec - rzekł Dan. - Jego ojciec musi mieć koło osiemdziesiątki, ale nie sądzę, by wiele mu umknęło. Dobrze by było z nim porozmawiać.

Jakoś do tej pory do niego nie zadzwoniła. Ale dzisiaj, skoro nie miała nic innego do roboty, postanowiła w końcu to zrobić.

Doktor McGarry senior był uradowany, kiedy usłyszał, że Jodi chciałaby z nim porozmawiać o przeszłości.

- Nikt nie chce znać przeszłości - oświadczył. - Wszyscy tylko przyszłość to, przyszłość tamto, ale z przeszłości także można się wiele nauczyć.

- Ja też tak uważam - odparła Jodi. - Moglibyśmy się umówić na spotkanie? - zapytała, rozkładając przed sobą terminarz.

- Teraz jestem wolny - rzekł ochoczo doktor McGarry. Mieszkał przy bulwarze nadmorskim w wysokim wąskim domu z poddaszem przebudowanym tak, by mógł tam

siedzieć i spoglądać na morze. Jodi udała się za nim na górę, niosąc tacę z herbatą i ciasteczkami. Po schodach wdrapał się także bardzo stary spaniel, a potem padł na podłogę, ciężko dysząc.

Doktor nalał herbaty do filiżanek i rozsiadł się w swoim fotelu.

- Medycyna była inna podczas II wojny światowej - oświadczył i Jodi wyobraziła go sobie przed czterdziestu laty, opierającego się na krześle na sali wykładowej, gdzie studenci słuchali jego każdego słowa. Widać było, że lubi opowiadać historie. Nic dziwnego, że taki był chętny do rozmowy z nią. - Wojna wszystko zmieniła. Wcześniej nie mieliśmy penicyliny. Trudno to sobie teraz wyobrazić, prawda? Był sulfamid, a niech mnie, stary, dobry sulfamid. - Westchnął i zapatrzył się w dal. - Kładliśmy go na rany, by zwalczać infekcje bakteryjne. Niestety, nie zawsze się udawało. Kiedy pojawiła się penicylina, często myślałem o ludziach, których mogła wcześniej uratować. To był naprawdę cudowny lek. Wszyscy o niej słyszeliśmy i wszyscy na nią czekaliśmy, pewnie tak, jak dzisiaj na lekarstwo na AIDS. Dla nas to był cud. Zmniejszyła podczas wojny liczbę zachorowań na gruźlicę, mimo że przez pierwsze lata trudno ją było dostać poza szpitalami wojskowymi. Można powiedzieć, że do Irlandii dotarła w latach pięćdziesiątych.

- Jak tu było w czasie wojny? - zapytała Jodi.

- Nie mieliśmy tu wojny jako takiej - odparł. - Irlandia nie przyłączyła się do niej. Byliśmy neutralni, albo też bezpłciowi, jak mówili niektórzy. Opisywano to jako „stan wyjątkowy”. Cholerna nazwa. Wybacz mi to przekleństwo, moja droga. Po zakończeniu wojny, kiedy dowiedzieliśmy się o wszystkim i wysłuchaliśmy opowieści, czymś nieadekwatnym było nazywanie tej wojny cholernym stanem wyjątkowym. Zginęły miliony ludzi, a my mieliśmy stan wyjątkowy. Bardzo to irlandzkie. Do nas także dotarło racjonowanie

żywności, ale tutaj, na terenach wiejskich, nie było to jakoś szczególnie odczuwalne. Wybacz mi. - Wziął się w garść. - Jak zwykle przeskoczyłem na inny temat. O czym to mówiliśmy?

- Rozmawiał pan kiedyś z Lily o jej pracy pielęgniarki podczas wojny?

- Trochę - odparł. - Pani Shanahan nie była moją pacjentką, ale Tamarin to przecież małe miasteczko i zdarzało nam się spotkać. Medycyna nie zmieniła się aż tak bardzo od czasów I wojny światowej i ciekawiło mnie to, co ona widziała w Londynie. Choć jeśli mam być szczerzy, niezbyt chętnie o tym mówiła. Już wcześniej miałem z tym do czynienia: ludzie, którym przyszło brać udział w okrutnych zdarzeniach, nie chcą o tym mówić, natomiast tym, co stali na uboczu, nie zamykają się buzie. Pracowała jako pielęgniarka na sali operacyjnej i wtedy to była naprawdę ciężka praca. Trzeba było mieć końskie zdrowie, by sobie dać radę. Radzenie sobie z pacjentami stanowiło zaledwie połowę pracy. Niełatwo współpracowało się z chirurgami. Byli niczym królowie. Mawialiśmy kiedyś, że pielęgniarki z sal operacyjnych miały plecy ze stali. - Zastanawiał się przez chwilę, cofając myślami do czasów, gdy Jodi nie było jeszcze na świecie. - Pamiętam, jak rozmawialiśmy kiedyś o tym, że czasami chirurdzy używali ludzkich włosów do szycia. Dokonywali wtedy naprawdę niezwykłych rzeczy. Szpitale były oczywiście doskonale prowadzone. Nie było mowy o zatruciach czy zakażeniach, z którymi borykamy się teraz. Ani o gronkowcu, mogę cię zapewnić. Surowo przestrzegano zasad higieny. Te dawne siostry przełożone, które zarządzały szpitalami, kiedy byłem studentem medycyny, cóż, wszyscy się ich strasznie baliśmy. Co nie znaczy, byśmy dawali to po sobie poznać, o nie. Przekomarzaliśmy się z nimi. Żarty pomagały nam dać sobie radę. Mój ulubiony dowcip mówi o tym, że operacja się udała, ale pacjent zmarł. Obawiam się, moja droga, że to humor wisielczy. Lekarze za

nim przepadają. Powiedz mi - rzeki nagle. - Co te młodziki w szpitalu o niej mówią? Jest jakaś nadzieja?

- Nie bardzo - odparła ze smutkiem Jodi. - To bardzo smutne. Izzie Silver, jej wnuczka, jest zdruzgotana. Nie zanoszą się na to, by Lily miała się jeszcze obudzić.

- Jaka szkoda - rzekł doktor McGarry. - Miła z niej była kobieta. I piękna w swoim czasie, mogę cię zapewnić. Kiedy wróciła do domu po wojnie, narobiła zamieszania w miasteczku. Mnóstwo mężczyzn chętnie by jej włożyło obrączkę na palec, ale ona nie była tym zainteresowana. A potem wyszła za Robby'ego Shanahana. Miły facet, choć spokojny. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego wyszła akurat za niego. Mogła mieć każdego, zarówno z miasteczka, jak i Ra-thnaree. Ludzie potrafią jednak zaskakiwać, a to zaskoczyło nas wszystkich.

Mówił jeszcze przez chwilę, ale nie miał żadnych więcej informacji. Nie przypominał sobie nikogo o imieniu Jamie, a już na pewno nie w związku z Lily.

- Mam nadzieję, że nie powiedziałem niczego, czego nie powinienem - rzekł wreszcie doktor McGarry. - Moja żona mówi, że pies nie powinien nosić kagańca, ale ja owszem. - Zaśmiał się głośno z własnego żartu.

- Nie, nie powiedział pan niczego takiego - zapewniła go Jodi. - Jeszcze tylko jedno pytanie: dlaczego ludzi zaskoczyło to, że Lily wyszła za Robby'ego Shanahana?

- A nie wiem, tak mi się tylko wydawało - odparł. - Mnie się ten wybór wydawał dziwny. Już wiem: powinnaś porozmawiać z Vivi Whelan. Ma jakieś dziewięćdziesiąt pięć lat i jeśli jest w pełni władz umysłowych, to na pewno dużo by ci powiedziała. W swoim czasie nikt lepiej od Vivi nie wiedział, co się dzieje w Tamarin. No bo wiesz, była żoną rzeźnika, a rzeźnik wie wszystko, ponieważ całe miasteczko przychodzi do niego po mięso na obiad. - Postukał się w nos. - Sklep mięsny, poczta i apteka: to miejsca, gdzie wiedzą wszystko, co

się dzieje w małym miasteczku. Myślę, że to Vivi mogłaby ci najbardziej pomóc w rozwiązaniu tej zagadki.

W drodze do domu Jodi myślała o tym, czego się dowiedziała. Wszystkie historie z całą pewnością przedstawiały bardzo różne twarze Lily Shanahan. Dzięki Izzie Jodi oczami wyobraźni widziała pełną życia, silną i nade wszystko macierzyńską osobę, która opiekowała się swoją rodziną z serdecznością i odwagą. Doktor McGarry naszkicował obraz kobiety robiącej karierę, która podczas wojny, gdy liczba ofiar była trudna do wyobrażenia dla współczesnego człowieka, świetnie dała sobie radę. Jakie jeszcze oblicza miała Lily?

Jodi zamknęła plik w komputerze. Jutro zabierze mamę i Lesley z wizytą do Anneliese i być może będzie z nią mogła porozmawiać o Lily. I upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, jak powiedziała by Dan.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Anneliese znalazła kępę trawy na wydmie i opadła na nią, po czym wyprostowała nogi. Była zmęczona, tak strasznie zmęczona. Normalnie chodzenie pobudzało w niej energię, ale teraz działało na nią wyczerpująco. Bez przerwy bolały ją mięśnie i problemem było nawet wejście po schodach na piętro. Zastanawiała się, czy szok potrafi doprowadzić do choroby. Pewnie ludzi, którzy zostali emocjonalnie poturbowani, dotyczyły jakieś choroby autoimmunologiczne? Może powinna poszukać czegoś na ten temat w Internecie.

Chociaż po co w ogóle zawracać tym sobie głowę?

Pamięta, że kiedy miała trzydzieści pięć czy sześć lat, dopadła ją bardzo głęboka depresja, która zbiegła się z najgorszym nastoletnim czasem Beth. Anneliese jakoś udało się ukryć własne smutki, by zająć się problemami córki.

Jakimś cudem rodzinie udało się wydostać z dołka, podejście do życia Beth zmieniło się, kiedy zakochała się w swoim pierwszym chłopaku, Jeanie Paulu, Anneliese zaś miała wystarczająco dużo czasu, by zatroszczyć się o siebie. Depresja dopadła ją niczym cios nie wiadomo skąd. Była znacznie bardziej intensywna niż kiedykolwiek wcześniej i jej intensywność napawała Anneliese paniką.

Strach, poczucie beznadziejności i ogromna otchłań - to wszystko obecne było w jej głowie. Teoretyzowanie nie pomagało. Nie było sensu wmawiać sobie, że za tyle rzeczy

powinna być wdzięczna, że ma cudownego męża i córkę, że to w końcu minie. Jej umysł rozważał te wszystkie frazesy, a wielka ciemna przepaść je połykała. Nic nie działało, nawet tabletki.

Każdego ranka odprowadzała Beth do szkoły, jechała do pracy i przez cały dzień towarzyszyło jej przerażenie. Uznała, że może jej pomóc słuchanie muzyki, więc włożyła do walkmana kasetę z Vivaldim. Nie pomogło.

Może uda się to książkom o szczęściu: pochłaniała każdy poradnik, jaki zdołała znaleźć. Nie pomogło.

A może odpowiedzią było szukanie ukojenia w Bogu: siadywała w kościele i błagała o pomoc, ale żadna nie nadchodziła. Przez witraże nie przesączyły się żadne niebiańskie promienie, które mogłyby być odpowiedzią. Pozostawała zagubiona i samotna.

W końcu zaczęła spacerować. Robiła całe kilometry, próbując usunąć ze swego serca ból, ponieważ NATYCHMIAST chciała się poczuć lepiej.

I wreszcie powoli coś w jej wnętrzu zaczęło się naprawiać.

Problemem było to, że wszystkie te lekarstwa potrzebowały sporo czasu, by zacząć działać, a Anneliese go nie miała. Pragnęła poczuć się lepiej już teraz. Minęło pięć miesięcy, odkąd zostawił ją Edward, a ją nadal każdego dnia przytłaczała fala ciemności.

To był strach przed samym życiem. Bezimienny, niemal niewytłumaczalny strach przed tym, co się wydarzy.

Strach ten oznaczał, że lepiej pozostać na uboczu, trzymać się z dala od ludzi i miejsc, tak by nie dać się zranić.

Tak wielu ludzi próbowało jej pomóc.

Kochany Brendan kilka razy w tygodniu zapraszał ją na kolację.

- Powiedziałem Edwardowi, że jest strasznym głupcem - oświadczył jej - i że nie życzę sobie widzieć Neli w moim domu, bez względu na to, jak długo są parą.

- To bardzo miłe z twojej strony, Brendanie - rzekła Anneliese - ale wcale nie musisz tego robić.

Podejrzewała, że jako osoba, która zawsze broniła kobiet, powinna powiedzieć, że zdradził ją zarówno Edward, jak i Neli, czemu więc kara ma być wymierzona wyłącznie w Neli? Ale Anneliese nie umiała być aż tak wielkoduszną. Solidarność kobiet nie okazała się zbyt silna w drugą stronę, prawda?

Yvonne dzwoniła każdego dnia, by się przywitać, a w te dni, kiedy Anneliese pracowała w sklepie Lifeboat, nalegała, by razem jadły lunch.

- Trzeba cię nieco odkarmić - powtarzała za każdym razem Yvonne. - Jesteś za chuda, Anneliese. W twoim wieku trzeba wybierać pomiędzy twarzą a figurą, wiesz, a jeśli figura jest aż tak szczupła, to twarz staje się wynędzniała. Ja wcale nie mówię, że twoja taka jest i w ogóle, ale...

Kochana Yvonne, tak bardzo się starała.

Nawet Stephen z centrum ogrodniczego z nią rozmawiał, a to nie było co jak na kogoś, kto z nieśmiałości uczynił formę sztuki.

Ucieszył się, kiedy go zapytała, czy mogłaby wrócić do dawnej pracy.

- Świetnie, brakowało nam ciebie - oświadczył, co jak na niego było niemal przemową.

Anneliese uświadomiła sobie, że odeszła na emeryturę tylko dlatego, że Edward męczył ją o to od dłuższego czasu.

- Nie musisz już pracować, skarbie, wystarczająco się w życiu napracowałaś - powtarzał jej przez kilka lat.

To zabawne, że kiedy w końcu wręczyła wypowiedzenie, nie wydawał się już taki zadowolony. Najpewniej z powodu Neli.

Beth zaprosiła ją do siebie do Dublina i ta wizyta okazała się od początku do końca katastrofą. Beth ogarnięta była dzieciomanią, wszystko obracało się wokół jej ciąży i tego, co

nastąpi później. Pioruny mogły wałać we wszystkie domy wokół jej ładnego szeregowca, a ona w ogóle by się tym nie przejęła - z wyjątkiem zamartwiania się, czy osmalone piorunem cegły nie będą niebezpieczne dla jej dziecka.

W chwili gdy Anneliese przyjechała do Beth, wiedziała, że popełniła błąd. Czuła zbyt wielki smutek, by radzić sobie jeszcze z córką.

- Widzisz, deweloperzy uznali, że będzie prościej, jeśli nie zrobią osobnych ogrodów - westchnęła Beth, kiedy wraz z matką patrzyły na kawałek trawy przed domem. Kilka lat temu, kiedy ona i Marcus kupowali ten dom, to nie wydawało się wcale złym pomysłem. - Teraz nam to oczywiście nie odpowiada - dodała Beth. - Potrzebny nam ogród z tyłu domu dla dziecka, nawet jeśli będzie tyci, po to tylko, byśmy mogli wyjść na dwór. Tyle trudu trzeba będzie włożyć w sprzedaż tego domu, no wiesz, sprzątać go co wieczór dla oglądających i w ogóle.

- Wiem, to irytujące, prawda? - odparła automatycznie Anneliese.

Reagowała w taki sposób na wiele oświadczeń swej córki. Odkąd Beth odebrała ją z dworca, prowadziła nieustanny monolog na temat problemów wiążących się z posiadaniem dziecka. Po pierwsze dom im nie odpowiadał. Były w nim tylko dwie sypialnie, a oni tak naprawdę potrzebowali trzech, dla osób takich, jak Anneliese, które będą do nich przyjeżdżać w odwiedziny po narodzinach dziecka. Za każdym razem, kiedy jej córka wspominała o tym tak lekko, Anneliese modliła się w duchu, by do czasu narodzin wnuka odzyskać choć część dawnej energii i chęci do życia. Bo na razie nie wyobrażała sobie opieki nad dzieckiem. Małe dzieci potrzebowały serdeczności i miłości, a Anneliese czuła się jak wielka bryła lodu.

Samochód Beth także trzeba będzie sprzedać: troje drzwi nie sprawdzało się w przypadku fotelika z dzieckiem na tylnym siedzeniu. Praca także stanowiła problem. Beth była dy-

plomowaną księgową i nie był to typ pracy, którą można wykonywać na pół etatu, a przynajmniej nie w jej firmie.

Choć się starała, Anneliese nie była w stanie wykrzesać z siebie entuzjazmu i zainteresowania zmartwieniami Beth. Dziwne. Od czasu narodzin Beth Anneliese interesował każdy szczegół jej życia, żaden nie wydawał się zbyt błahy. Ani trema małego dziecka przed publicznym czytaniem podczas Dnia Książki, ani niepokój związany z wynikami testu na księgową. Ale teraz Anneliese czuła się nieoczekiwanie tak odległa od swej córki.

To nie była wina Beth, tylko jej. Nagłe odejście Edwarda podzieliło ich rodzinę na trzy różne przegródki. Zupełnie jakby czyniąc Anneliese zbędną jako żonę, uczynił ją także zbędną jako matkę.

No i jeszcze ta okropna depresja. Anneliese nie znosiła tego uczucia oddalenia od swej ukochanej Beth i, do diaska, nienawidziła Edwarda za to, że jej to zrobił.

- Dobrze się czujesz, mamó? - zapytała Beth, gdy weszły do domu.

Dopiero teraz zadała to pytanie, choć Anneliese przeczuwała jego nadejście. Wiedziała to od razu, gdy na dworcu zobaczyła Beth i uświadomiła sobie, że jej córka zauważyła, na jak zmęczoną i wycieńczoną wygląda, i że nie wystroiła się jak zawsze, kiedy się wybierała w odwiedziny do córki do Dublina.

Przez chwilę już-już miała wygłosić swoją standardową formułkę „Tak, czuję się naprawdę świetnie” - co by niezawodnie zrobiła dawna Anneliese. Potem jednak zmieniła zdanie.

- Nie, Beth - odparła. - Nie czuję się dobrze. Jestem zrozpaczona.

- Szkoda, że nic nie mogę dla ciebie zrobić - rzekła ze smutkiem Beth.

- Nie sądzę, bym była ci bardzo pomocna, mamó, przepraszam.

- Jesteś wielką pomocą - odparła żarliwie Anneliese. - Ale po prostu nic nie możesz zrobić. Nikt nie może. Sama się muszę z tym uporać.

- Ale gdyby tata się opamiętał i wrócił do domu, to wszystko byłoby znowu dobrze, prawda?

Anneliese pomyślała, że jej córka jest jak dziecko. Dziecko mające nadzieję, że mamusia i tatuś do siebie wrócą i wszystko będzie tak samo, jak dawniej.

- To nie takie proste - odpowiedziała. - Nawet gdyby wrócił teraz do domu, nie mogłabym go przyjąć z powrotem. Nie byłoby tak samo. Nadużył mojego zaufania, a sama wiesz, że niełatwo je odbudować.

- Jest mu jednak przykro. Wiem, że tak jest - upierała się Beth.

- Powiedział ci to? - zapytała Anneliese.

- Cóż, może nie ubrał tego w takie słowa.

- Nie ubrał w żadne słowa. To nie jest coś, co można łatwo naprawić, Beth. To koniec. Będziemy się z tym musieli po prostu pogodzić. Trudno jest mi z tym sobie radzić, ale to moja walka, nie twoja. A teraz możemy porozmawiać o czymś innym?

- Jasne.

Beth wyglądała na lekko zaszokowaną, ale nie powiedziała na ten temat już ani słowa, gdy zaprowadziła Anneliese do pokoju gościnnego i zaczęła przedstawiać plany, które przygotowała na dwa dni pobytu matki w Dublinie.

Kiedy Anneliese siedziała przy łóżku Lily i patrzyła, jak jej ciotka znika, pomysł odwiedzenia Beth wydawał się całkiem dobry.

Teraz, kiedy już tu była i czekało ją mnóstwo specjalnie przygotowanych rozrywek, czuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwa. We własnym domu mogła być przynajmniej smutna, kiedy miała na to ochotę. Tutaj będzie się zmuszała do uśmiechania i udawania, że daje sobie radę.

Jakoś przetrwała tę wizytę i po powrocie do domu wślizgnęła się z powrotem do swego spokojnego życia, pracy dwa razy w tygodniu w sklepie Lifeboat, a podczas weekendów ze Stephenem w centrum ogrodniczym.

Wrzesień był tam zawsze interesującym okresem. Skończyło się letnie szaleństwo ludzi, do których docierało, jak bardzo zaniedbali swoje ogrody na tyłach domu. Wszyscy zdążyli już pokupować piaskownice, baseny nadmuchiwane i krzewy w donicach w celu upiększenia swych ogrodów. Wrzesień stanowił nowy początek.

To był czas na to, by posprzątać po lecie, a także na to, by posadzić rośliny cebulkowe z myślą o Bożym Narodzeniu. Przez wiele lat Anneliese sadziła ich całe mnóstwo na bożonarodzeniowy jarmark, natomiast w zeszłym roku w ogóle tego nie zrobiła. Przez cały wczorajszy dzień siedziała za wielką szklarnią z workami kompostu i torfu, a także ogromnymi torbami z hiacyntami posegregowanymi według kolorów. Było coś kojąco znajomego i monotonnego w ustawianiu ładnych, glinianych doniczek, a potem napełnianiu ich torfem, ziemią i kompostem i ostrożnym wkładaniu cebulek. Najbardziej lubiła białe hiacynty. Uwielbiała połączenie jasnej, subtelnej zieleni z intensywnie pachnącymi małymi białymi kwiatkami. W domu zawsze sadziła cebulki w dwóch niebieskich porcelanowych misach i na Boże Narodzenie zawsze miała piękne hiacynty. Stanowiły część jej świątecznych dekoracji. W tym roku nie zwracała tym sobie głowy.

Bolały ją kości i wstała teraz z trawy, by przejść się trochę.

Po piasku powinno się chodzić sprężystym krokiem, ale ona nigdy jakoś nie miała na to ochoty. Być może w czasach młodości obejrzała zbyt wiele kiepskich filmów, gdzie ruchome piaski wciągały ludzi, którzy topili się w nich zamiast w wodzie. Dla niej piasek nie był taki łagodny, za jaki wszyscy go uważali.

Spoglądając z wydmy na port pomyślała o tym biednym wielorybie. Ten człowiek od morskiej fauny, który próbował go uratować, nadal mieszkał w Chatce Delfinów. Anneliese unikała go, kiedy widziała, jak spaceruje z tym swoim kudłatym, czarnym psem. No ale dla wieloryba zrobił, co mógł.

Smutno było patrzeć, jak takie piękne morskie stworzenie umiera tylko dlatego, że zaszwankował jego system hydrolokacyjny i nie mogło odnaleźć drogi powrotnej na pełne morze. To zupełnie jak ja, pomyślała Anneliese. Dla mnie takim systemem byli Edward i Beth, a teraz oni odeszli i nie zostało mi nic. Ani poczucie bezpieczeństwa, ani powód do życia.

Zastanawiała się, czy wieloryb utonął. Podobno topienie się było całkiem kojące, kiedy już się sobie na to pozwoliło - ale skąd ludzie o tym wiedzieli? Przecież jeśli się już utopiło, to nie mogło się nikomu o tym powiedzieć, no nie?

Anneliese poczuła, że piasek pod jej stopami zmienił się. Spojrzała w dół i uświadomiła sobie, że idzie teraz po piasku podlewanym morską wodą. Był odpływ, ale nagle pojawiła się duża fala. Anneliese nie poruszyła się, pozwalając, by woda zalała jej buty. Normalnie by się cofnęła, a teraz tego nie zrobiła, i poczuła dreszcz zaciekawienia. Słona woda powoli sączyła się przez jej cienkie tenisówki.

To był zimny, szary dzień po tygodniu wspaniałego wrześnieowego słońca, a mimo to chłód nie był dla niej szokujący. Wprost przeciwnie, czuła ukojenie płynące z logiki przyrody. Stałeś w wodzie morskiej i było ci zimno, jak w równaniu matematycznym $x + y = z$, tak było, jest i będzie. Nic innego w życiu nie działało z taką logiką.

Aby się przekonać, jak to jest, Anneliese weszła nieco głębiej. Woda ochlapwała teraz jej kostki, dotykając nagiej skóry pod džinsami. Poczowała gęsią skórę na nogach i było to czymś dziwnie właściwym.

Morze było takie samo jak zawsze: ogromne i jakoś już meprzerazające. To reszta świata napawała ją przerażeniem.

Od świata natury otrzymywało się to, czego się spodziewało. To od tak zwanej cywilizacji obrywało się najboleśniej.

Anneliese zatrzymała się i pograżyła w myślach nad tym, jak woda porusza się wokół jej kostek.

Czy morze przytuliłoby ją do siebie? Czy zimno by ją sparaliżowało, tak że nie czułaby już niczego, a jedynie unosiła się w wodzie? Tak, tak właśnie by zrobiło, tak by ona zrobiła. Ludzie byli w końcu zwierzętami, materią organiczną, cóż więc mogło być normalniejszego od powolnego zanurzania się w czymś mniej organicznym, w pochłonięciu przez planetę? To tak jak ten biedny wieloryb, umierający powoli w porcie. To miało naprawdę sens.

Ludzie zasmucają się, kiedy się o tym dowiedzą. Śmierć była smutna. Ale jakoś z tym sobie poradzą. Mieli inne sprawy w swoim życiu, innych ludzi.

Beth miała dziecko. Anneliese próbowała powstrzymać się przed myśleniem o dziecku, o swoim wnuku. Dziecko było częścią przyszłego życia, a ona nie chciała o tym myśleć. Nie było dla niej miejsca w przyszłości. Wszystko, co miała, oddała innym i teraz nie zostało jej już nic.

To był jej wybór.

Wchodziła głębiej do morza, aż woda podeszła do jej tułowia. Fale moczyły jej ubranie i sięgały do ramion. Było zimno. Wchodzenie do wody w taki sposób w niczym nie przypominało wbiegania, kiedy się chciało popływać, albo delikatnego wślizgiwania coraz dalej, wydawania okrzyków z powodu zimna i śmiania się razem z ludźmi, którzy cię nakłaniali do wejścia głębiej. Tak właśnie robiła w dzieciństwie.

Tym razem było inaczej, a jednak się nie bała. Dzięki temu przestanie myśleć, a właśnie tego tak bardzo pragnęła. Jej umysł przez cały czas pracował na pełnych obrotach: nigdy się nie zatrzymywał.

Budził ją w nocy, zadrećzając tymi samymi pytaniami i tym samym uczuciem beznadziejności i pragnęła położyć

temu kres. Nie mogły tego zrobić żadne tabletki. Nic nie mogło, chyba że tak by się nafaszerowała lekami, że nie zdołałaby utrzymać oczu otwartych, ale jaki był sens takiego życia? To było bezpieczniejsze.

Morze się nią zaopiekuje. Nagle nie czuła już piasku. Przebierała nogami w wodzie, a przecież musiała przestać, czyż nie? Bo jeśli nie przestanie, to się nie utopi. A może jednak, tylko musi po prostu poczekać, aż się zmęczy, tak jak wieloryb. Nie miała pewności. Było tak zimno, że spróbowała przestać i zamknęła oczy. Ciężar jej ubrań i butów pociągnął ją w dół i jej głowa wślizgnęła się pod wodę.

Zimno na twarzy zaszokowało ją. Czuła, jak jej włosy unoszą się wokół niej, niczym wodorosty. Co dalej musiała zrobić? Miała misję, plan, prawda? Każda myśl była powolna, tak jakby znajdowała się w innym wszechświecie, gdzie czas rzeczywisty znacznie się wydłużał.

Zamknie oczy, nie otworzy ich i po prostu będzie. To wszystko, czego pragnęła: po prostu być. Nie musieć myśleć, nie musieć się ruszać, nie musieć płynąć w miejscu. Po prostu być i pozwolić morzu zdecydować, co się z nią stanie, ponieważ ona miała już dość podejmowania decyzji.

- Już dobrze, mam cię - rozległ się głęboki, gorączkowy głos.

Ktoś ją chwycił i pod wpływem szoku Anneliese zaczerpnęła tchu, nabierając do płuc morskiej wody. Zakaszła, zaczęła się krztusić i nagle ogarnął ją strach. Znajdowała się w wodzie, aż po szyję, Jezus. Następnie chwycił ją mocno ktoś bardzo silny. Tak mocno kaszłała i czuła się słaba, ale ktoś inny wyciągał ją z wody na plażę, gdzie zawładnęło nią lodowate zimno.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Izzie wiedziała, że nie powinna się tak starać na lunch ze swoim byłym kochankiem, ale nie mogła się powstrzymać.

Kiedy Joe zadzwonił do niej z zaproszeniem, by się ostatecznie pożegnać, zgodziła się i zdumiała samą siebie tym, że natychmiast zaczęła się zastanawiać, co na siebie włoży, tak by on uważał, że wygląda naprawdę świetnie.

- Mam nadzieję, że nie idziesz - rzekła Carla.

Miała okazję usłyszeć tę rozmowę, ponieważ Izzie odebrała telefon w biurze przy biurku. W Agencji SilverWebb brak przestrzeni czynił prywatność jedynie zabawnym pojęciem.

- Traktuję to jako zakończenie - odparła Izzie.

Zakończenie w pięknym stroju, uznała, wybierając opinającą jej ciało suknię-tubę, podobną do tej, jaką miała na sobie w dniu, gdy się poznali. To koniec, wiedziała, że to koniec, ale to nie znaczyło wcale, że nie chciała dobrze wyglądać, prawda?

Poza tym on jako miejsce spotkania zaproponował restaurację Amber Room, co stanowiło jeszcze jedną oznakę tego, że ich związek definitywnie się zakończył. Amber Room położony był w dzielnicy finansjery i pełno w nim będzie znanych mu ludzi. Tylko idiota zabrałby tam na lunch kogoś, z kim miał romans, a Joego Hansena nie można było nazwać idiotą. To był ostateczny dowód na to, że Izzie i Joe nie są już parą.

W taksówce nałożyła warstwę czerwonej szminki, a na nią jeszcze błyszczący: barwy wojenne jako nowoczesna zbroja. „Jestem gotowa” - tak mówiły.

A potem nałożyła jeszcze dodatkową warstwę tuszu do rzęs, ponieważ żadna kobieta raczej się nie rozpłacze, wiedząc, że potem będzie mieć czarne smugi na policzkach. Izzie Silver nie miała dzisiaj zamiaru płakać. Nakazała sobie w myślach opanowanie, gdy wchodziła do restauracji, wysoka w swoich szpilkach. Maitre d' zaprowadził ją do stolika Joego. Czekał już na nią i na pierwszy rzut oka rozpoznała, że niedawno musiał mieć do czynienia ze słońcem, ponieważ skórę miał opaloną, kontrastującą z lodowatą bielą koszuli. Jak zwykle był nienagannie ubrany, ale pod tą całą kaszmirową elegancją wyczuwało się uczestnika walk ulicznych.

- Izzie - odezwał się oficjalnym tonem i wstał, po czym złożył na jej obydwu policzkach spokojny, nowojorski pocałunek, taki, jakim wita się przyjaciela.

- Joe, przepraszam za spóźnienie - powiedziała, choć wcale nie było jej przykro. Prawdę mówiąc, spóźniła się z premedytacją.

Gawędzili przez chwilę o niczym, podczas gdy kelner odbierał od nich zamówienie na coś do picia, po czym starannie rozłożył serwetkę Izzie na jej kolanach.

- Dobrze wyglądasz - rzekła do Joego. - Byłeś na Cape?

- Tak, spędziłem kilka dni na żaglach - odparł swobodnie. - Pogoda była fantastyczna.

Izzie pomyślała o tym, jak bardzo wcześniej zabolaloby ją to nawiązanie do rodzinnego domu letniego na Cape Cod. I tak poczuła ukłucie, tyle że teraz było inaczej; teraz nie pozwalała na to, by ją raniono. On miał żonę i dzieci i bez względu na kondycję jego małżeństwa, ona nie stanowiła już części jego życia. Mógł sobie jeździć, gdzie tylko chciał: żeglować, opalać się, lecieć do Acapulco i tańczyć na plaży, jeśli miał na to ochotę. Z nią nie miało to już nic wspólnego.

Proszę bardzo, potrafiła to zrobić: przeboleła go.

- To był uroczy weekend - zgodziła się. - Ja z kolei poleciałam do Waszyngtonu spotkać się z przyjaciółką, przemiła dziewczyna, pracuje na Kapitolu jako dziennikarka. W tym samym czasie wyjechałyśmy z Irlandii.

Kiedy Sorcha zadzwoniła do niej, Izzie zżerały wyrzuty sumienia, ponieważ minęło wiele miesięcy od ich ostatniego spotkania. Plan odwiedzin u Sorchy, który ustaliła w Tamarin, nie wypalił z powodu zamieszania związanego z zakładaniem SilverWebb. Na szczęście Sorcha nie należała do osób, które dają się lub żywią urazę.

- Dobrze cię w końcu słyszeć, ty szalona kobieto, a wiadomość o twoim nowym biznesie jest po prostu świetna. Wcześniej podejrzewałam, że w tym, że tak długo cię nie widziałam, maczał palce jakiś mężczyzna - rzekła Sorcha, kiedy Izzie zadzwoniła do niej, by przeprosić i wyjaśnić, jak bardzo zajęta była przy zakładaniu SilverWebb.

- Cóż - zawahała się Izzie - zanim zabrałam się za agencję, rzeczywiście był pewien facet...

- Jeśli chcesz przyjechać i popłakać sobie razem ze mną, to zapraszam. Wiesz na pewno, że na każdych osiemdziesięciu dziewięć mężczyzn w Waszyngtonie przypada setka kobiet. To paskudne dane. Ja też sobie popłaczę.

- Nie będę płakać - odparła Izzie z pewnością w głosie. - Już go przebolełam.

Sorcha nic nie powiedziała. Było to bardzo głośne nic.

- No to się cieszę, Izzie - rzekła wreszcie. - Nie wierzę ci, ale po głosie słysząc, że mówisz poważnie. Blefuj tak długo, aż sam w to uwierzysz, no nie?

- Waszyngton, wspaniałe miasto - rzekł teraz z zachwytem Joe. - Zdarza mi się prowadzić tam interesy.

Wyobraziła go sobie na spotkaniach w eleganckich waszyngtońskich hotelach, rozdającego karty razem z innymi potentatami, co dla bogaczy stanowiło odpowiednik paintballu.

Maitre d' w końcu się oddalił.

- Wyglądasz pięknie - oświadczył Joe. Jego głos brzmiał teraz inaczej. Izzie spiorunowała go wzrokiem.

- No więc opowiedz mi raz jeszcze o tym swoim nowym biznesie - rzeki takim tonem, jakby z trudem rezygnował z kolejnych komplementów.

Izzie uśmiechnęła się szeroko. Wiedziała, że niewielu ludzi potrafi zbić z tropu Joego Hansena.

- No cóż - zaczęła - mamy naprawdę śliczne biuro; działamy we trzy: Carla, którą poznałeś - była pewna, że Joe nigdy nie zapomni Carli i tego dnia, kiedy nakrzyczała na niego za to, że złamał Izzie serce. - Jest jeszcze Lola Monterey, której najpewniej nie znasz. Pracowała z nami w Perfect - NY. No a trzecia jestem ja. Przeprowadziłyśmy już pierwsze castingi, które poszły wspaniale, i czeka nas teraz mnóstwo pracy. W piątek zaczyna się Nowojorski Tydzień Mody i bierzemy udział w dwóch pokazach, co jest raczej niezwykle jak na agencję z większymi modelkami. Ale powoli zmieniają się nurty, jeśli chodzi o wymiary modelek. To dla nas ekscytujący czas. Poza tym przed wyjazdem do Irlandii pracowałam nad tym wielkim kontraktem z ludźmi od kosmetyków SupaGirl! i późną jesienią mamy już z nimi umówionych kilka spotkań, by porozmawiać o możliwości wykorzystania modelek SilverWebb do promowania ich niektórych produktów. Byłoby fantastycznie, gdyby się udało.

- A może się udać? - zapytał.

- Jak najbardziej. Parę firm wykorzystuje normalne kobiety do reklamowania swoich kosmetyków. Głównie tych do pielęgnacji skóry, a nie tych bardziej lukratywnych do makijażu, ale wystarczy, że ktoś się zdobędzie na stanowczy krok. Wielu ludzi nie zgadza się z tym, by korzystać dalej z usług super chudych modelek, ale chude, piękne dziewczyny sprzedają te produkty od wielu lat i większość firm nie chce zabu-

rzać tego status quo. My oferujemy coś innego i choć ludzie mogą się z nami zgadzać na poziomie intelektualnym, najważniejsza pozostaje kwestia zasadnicza.

- Uważam, że to się w pewnym stopniu zmienia - rzekł z zamyśleniem Joe. - Jest coraz więcej firm, które zarobiły wystarczająco pieniędzy, by móc sobie pozwolić na etyczne myślenie.

- To jednak smutne, że pomysł wykorzystywania normalnych modelek jest postrzegany jako swego rodzaju akcja afirmacyjna czy krok etyczny, prawda?

- Tylko nie zapominaj o swojej kwestii zasadniczej

- ostrzegł ją. - Jeśli wasza firma upadnie, nic już dla nikogo nie zrobisz. - Przeskoczył na inny temat. - Znaleźliście już jakieś olśniewające przysze supermodelki? - zapytał.

Izzie uśmiechnęła się do niego chłodno.

- Czemuż wiedziałam, że będziesz tym zainteresowany?

- zapytała. - *Cherchez lafemme*, tak? Musi chodzić o jakąś dziewczynę, że tak się tym interesujesz.

- Nie chciałem, by tak to zabrzmiało - odparł Joe. - Nie szukam żadnej innej kobiety.

Zjawił się kelner z napojami i przez chwilę panowało zamieszanie z kieliszkami i przekładaniem sztućców.

- Miałem jedynie na myśli biznesowy punkt widzenia

- rzekł Joe, kiedy kelner ponownie zniknął. - Nie wiedziałem, że to będzie taki trudny lunch. - Jego słowa były chłodne, ale spojrzenie wprost przeciwnie.

- Nie powinien być przecież trudny - stwierdziła. - Powinien dotyczyć zakończenia. Staram się w cywilizowany sposób pożegnać z tobą, zamknąć to wszystko. - Wydawało się, że opuścił ją cały spokój, zaś westchnienia wymykające się jej czasami, gdy była zestresowana, nagle wydały się bardzo głupim sposobem na uspokojenie się. Obecność Joego strasznie wytrącała ją z równowagi. Chyba była szalona, kiedy myślała, że uda jej się z nim zjeść cywilizowany lunch, gdy tymczasem

już sama jego obecność sprawiała, że czuła się jednocześnie oszalała i samotna. Pragnęła go jak szalona i wcześniej chyba karmiła się złudzeniami, sądząc, że go przeboleła. Ale choć tak nie było, wiedziała, że musi to zakończyć, w przeciwnym wypadku ponownie da się wessać. Pora nałożyć wieko na to pudełko. - Wiesz co, Joe, nie winię cię wcale za wszystko, nie zrozum mnie źle. Weszłam w to, teoretycznie, z szeroko otwartymi oczami. Tyle że tak naprawdę one nie były otwarte i wcale nie myślałam. Byłam taka głupia, że tak naprawdę nie zarejestrowałam faktu, iż nadal jesteś żonaty i tego, co to oznacza - mówiła bardziej do siebie niż do niego. - Być może dlatego, że ja nigdy nie byłam zameżna ani nie mam dzieci; nie rozumiałam, co się z tobą dzieje. Sądziłam - westchnęła ciężko nad tym dowodem własnej głupoty - że jakoś to wszystko poukładasz, dzieci będą szczęśliwe, będziesz mógł zacząć od początku. Głupia jestem czy co?

Otworzył usta, by jej przerwać, ale ona mówiła dalej.

- Poleciałam do Irlandii, a tam moja ciotka Anneliese wyznała mi, że ona i wujek rozstali się, ponieważ on ją zdradził. Odszedł do innej kobiety. Kiedy mi to powiedziała, czułam się, czułam się... och - uniosła palce, by to zademonstrować -jakbym miała pięć centymetrów. Nie, dwa. Ona była zdruzgotana. Wcześniej nie miała pojęcia o tym, co się dzieje, aż pewnego dnia nakryła go z tą kobietą w ich domu. Odszedł i trzydzieści siedem lat poszło na marne. Uświadomiło mi to dwie rzeczy, Joe. Po pierwsze, że mój wujek miał odwagę, by stawić czoło bałaganowi, jakiego narobił. A po drugie, zaczęłam myśleć o trzeciej osobie w tym trójkącie: twojej żonie. Wcześniej w ogóle o niej nie myślałam. Zakładałam, że między wami koniec, więc ona się nie liczy. Ale to nie był koniec, prawda? Więc się liczyła.

- To nie było takie proste - rzekł powoli Joe. - To była skomplikowana sytuacja, Izzie, wiesz o tym. Pomiedzy mną a Elizabeth było skończone, nadal jest, ale wszystko się roz-

bijało o wyczucie czasu: kiedy mógłbym powiedzieć o tym Elizabeth i chłopcom...

- Taa, wyczucie czasu jest najważniejsze, jasne - wtrąciła Izzie.

- Poważnie, o to właśnie chodzi. Pragnę być z tobą, Izzie. Potrzebuję po prostu więcej czasu.

Izzie nie słuchała.

- Kiedy zaczęłam myśleć o Elizabeth, zaczęłam się też zastanawiać, dlaczego jest tak, że żona zawsze czepia się kochanki, a nigdy faceta, który popełnił cudzołóstwo. Osobą, która je zdradziła, był ich mąż, ale to nie jego winią najbardziej. To tak, jakby mężczyźni byli dzikimi zwierzętami, których się nie da ujarzmić czy im zaufać, a jeśli pobłądzą, należy winić kobietę, która ich do tego nakłoniła. - Urwała i wzięła głęboki oddech. - Zdradziłeś nas obie, Joe. Mnie powiedziałaś, że nasz związek ma szansę powodzenia, ale nie zdobyłeś się na to, by powiedzieć jej, że to koniec. Nigdy nie sądziłam, że będę się spotykać z mężczyzną, który jest oszustem. Skoro facet oszukuje żonę, by być z tobą, równie dobrze może oszukiwać ciebie, by być z kimś innym.

- Nie oszukiwałem mojej żony - oświadczył niskim głosem. - Mówiłem ci, że między nami koniec. Czy ty mnie nie słuchasz?

- A ty mnie? - warknęła. - Mój problem polega na tym, że mnie okłamałeś. Chciałeś mieć nas obie, a mnie nie obchodzi to, czy twój związek z Elizabeth był zakończony czy nie, to się nie sprawdza. Nie można kochać jednocześnie dwóch osób. Nie kupuję tej całej gadki, że mężczyźni są w stanie rozczłonkować swoje życie uczuciowe czy też że ewolucja uczyniła ich niezdolnymi do monogamii. Nie sądzę, by można się dzielić mężczyzną, a ja musiałam to robić każdego dnia. Nie chcę się dzielić osobą, w której się zakochałam.

Ta przemowa była niezdarnym uzewnętrznieniem wszystkiego, co sobie przemyślała, ale nawet jeśli nie do końca miała sens, to Izzie i tak musiała to wszystko powiedzieć.

- Nie chcesz się w takim razie dzielić mną z moimi dziećmi?

- Tu nie chodzi o dzieci - odparła gniewnie. Jak śmiała sugerować, że skoro ona nie ma dzieci, to nie rozumie miłości, jaką żywi do nich rodzic. Nigdy nie powiedziała, że nie chce mieć dzieci, do diabła. Chciała. Prawdę mówiąc chciała jego dzieci. Pragnęła mieć jego dzieci, ale on o tym nie wiedział. - Jeśli jesteś choć w połowie taką osobą, za jaką cię uważałam, chciałbyś je zawsze wspierać - rzekła cicho. - Gdybym nie rozumiała, że stanowią ogromną część twojego życia, byłabym Idiotką Roku. Nie o to chodzi. Ty miałeś wybór: mogłeś zostać po cichu w domu, prowadzić z żoną oddzielne życie i być blisko dzieci. Nie chciałeś tego. Ty chciałeś mieć dom, dzieci i mnie, wszystko naraz. Co uważam, że nie jest uczciwe wobec nikogo z nas.

- Uważasz mnie w takim razie za gnojka? - zapytał. Napił się swego koktajlu. Był przezroczysty i pływała

w nim oliwka. Izzie wiedziała, że Joe mało pije, ale ze swego miejsca wyczuwała od niego zapach dzinu z martini.

- Tak, jeśli chcesz wiedzieć, to uważam cię trochę za gnojka. Nie myślałeś o nikim z wyjątkiem siebie.

- Nie kłamałem, kiedy ci mówiłem, że nasze małżeństwo jest skończone. Ani razu nie próbowałem wciskać ci kitu w rodzaju „żona mnie nie rozumie”, ponieważ uważałem, że zasługujesz na coś więcej. Ja zasługiwałem na coś więcej. Oboje byliśmy warci więcej niż te głupie frazesy. Ale moje małżeństwo to fikcja - oświadczył żarliwie. - Kiedy brałem ślub sądziłem, że to na całe życie, okazało się jednak, że jest inaczej. Nie jestem święty, miałem po drodze kilka romansów, ale one tak naprawdę nic nie znaczyły, to był - spojrzał jej prosto w oczy, gdy wypowiadał te słowa - tylko seks.

Izzie wzdrygnęła się.

- Wiem, że słuchanie tego nie jest dla ciebie przyjemne, ale tak właśnie było: tylko seks, dla przyjemności, jaką mężczyzna czerpie z seksu. Ale z tobą, Izzie, było inaczej. Kiedy

cię poznałem, poczułem, jakby do mojego życia wróciło światło, światło, które zgasło już dawno temu. Sądziłem, że jakaś część mnie umarła. Sądziłem, że kochanie i serdeczność, pragnienie, by skulić się obok drugiej osoby w łóżku i nie ruszać się, i pozwalać, by dzień uciekał, sądziłem, że mam to już za sobą. Uznałem, że tak się dzieje, kiedy ma się dwadzieścia pięć lat, a potem mija bezpowrotnie. Ale z tobą, Izzie Silver, odzyskałem to wszystko. A więc to właśnie mi dałaś. I pewnie masz rację, nie byłem wystarczająco silny, by coś z tym zrobić. Nie miałem odwagi, by powiedzieć Elizabeth to, o czym oboje wiemy, że nasze małżeństwo już od wielu lat istnieje tylko na papierze. Nie umiałem znieść tego, co by to uczyniło naszej rodzinie, ponieważ wiedziałem, że będzie ostro i nieciekawie. Elizabeth nie chciałaby rozwodu, a już na pewno nie prostego i bezproblemowego. Wziąłem więc sobie od ciebie to, co chciałem, nie dając w zamian tego, czego ty chciałaś. Ale teraz... - zawahał się. - Teraz chcę dać ci to wszystko.

Wpatrywał się w nią z taką intensywnością, że aż trudno było na niego patrzeć. Zupełnie jakby znajdował się w sądzie, wygłaszając żarliwą przemowę przed ławą przysięgłych, która go miała posłać na krzesło.

- Co powiedziałeś? Co chcesz mi dać? - zapytała z konsternacją Izzie.

- Chcę być z tobą. Zamrugowała oczami.

- Nie, ty nie możesz tego robić, Joe. Nie baw się ze mną. Nie jestem jakąś idiotką, którą można zbyć pięknymi słówkami, a potem minie dziesięć lat, a ja nadal będę siedzieć tutaj jako twoja dziewczyna i nic się nie zmieni.

- Nie robię tego - odparł. - Mówię, że chcę odejść od Elizabeth. Powiedzieć jej, że nie możemy się już dłużej bawić w tę całą separację. Jestem gotowy na to, by odejść.

Wyciągnął rękę i ujął jej dłonie. I z powodu tego właśnie gestu Izzie mu uwierzyła. Jej umysł nie był w stanie przetwo-

rzyć jego słów, ponieważ były one takie niewiarygodne, ale wzięcie jej za rękę w tej właśnie restauracji, restauracji odwiedzanej przez jego znajomych - wzięcie jej za rękę wiele znaczyło. To była deklaracja.

„Jestem z tą kobietą” - tak mówił, głośno i wyraźnie.

- Joe, nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz tak - odparł spokojnie. - To jedyne, co musisz zrobić.

Powiedz, że chcesz być ze mną.

Miesiąc temu zalałaby się łzami, słysząc z jego ust takie słowa, ponieważ były wszystkim, co pragnęła usłyszeć. Ale teraz, po tym wszystkim, co się wydarzyło...

Zawahała się. Tak strasznie ją zawiódł, kiedy go potrzebowała. Wciąż pamiętała swój lot do Irlandii, kiedy była zrozpaczona i tak przeraźliwie samotna bez jego wsparcia. Pamiętała smutek, jaki czuła, odwiedzając babcię po tym, jak usłyszała, że mężczyzna, którego kocha, nie może z nią być.

Miejsce przy łóżku jej babci zdawało się być niczym kościół: Izzie chodziła tam, by wyspowiadać się ze swych grzechów, by czuć miłość babci, ale nie czuła tam upragnionej ulgi. Babcia nie obudziła się, a Joe ją porzucił.

Jego zdrada pozostawiła ranę tak głęboką, że pomimo świeżej blizny w środku była nadal rozdrapana.

- Joe, nie wiem, czy potrafię to zrobić - rzekła. - Myślę, że jest już za późno.

Trzeba mu przyznać, że nie wciągnął gwałtownie powietrza ze zdumieniem.

- Nie myślałem, że będzie to dla ciebie proste - rzekł - po tym, jak cię wcześniej zawiódłem.

Kiwnęła głową, po czym uśmiechnęła się powoli.

- Czy dlatego właśnie zaprosiłeś mnie tutaj: aby zapędzić mnie w róg, tak że jutro pojawimy się we wszystkich plotkarskich kolumnach i już żadne z nas nie będzie się mogło wycofać?

Joe uśmiechnął się szeroko, a w jego oczach pojawiła się ta seksowna iskra, którą Izzie nadal uwielbiała. Poczwała

jego magnetyczne przyciąganie. Jakże by łatwo było powiedzieć „tak”.

Joe Hansen pragnął jej. Chciał opuścić dom, by z nią być. A żeby to zrobić, będzie musiał powiedzieć Elizabeth, powiedzieć ich dzieciom, spakować walizkę i zostawić swój klucz na stoliku w korytarzu czy też w miejscu, które służyło za taki stolik w jego rezydencji na Upper East Side. A może już powiedział Elizabeth? Nie, pomyślała, nie zrobiłby tego, poczekałby, żeby się przekonać, co będzie dalej. Joe był pragmatyczny. Zaczeka, by się przekonać, czy Izzie się zgodzi.

- Powiedz mi - rzekła, trzymając nóżkę kieliszka z wodą - Elizabeth już wie, że odchodzisz?

- Pytanie za milion dolarów, co? - odparł Joe. - Nie, jeszcze jej o tym nie powiedziałem. Czekałem, żeby zobaczyć, co będzie dzisiaj. To nie oznacza, że ona i ja będziemy razem, jeśli ty powiesz nie, ponieważ między nami koniec i nie ma sensu dłużej tego ciągnąć. Ta separacja trwa już od kilku lat.

- Mówisz te wszystkie właściwe rzeczy - rzekła. Pamiętała, że już raz mu tak powiedziała. On naprawdę

mówił to, co należy. Zupełnie jakby potrafił zajrzeć w głąb jej myśli i przekonać się, co dokładnie chce usłyszeć. Tyle że pewnego razu nie powiedział właściwej rzeczy i tego właśnie Izzie nie umiała zapomnieć. Nie miała zamiaru dać się ogłupić po raz drugi. Musiała wiedzieć wszystko.

- No więc powiedz mi, to prawdziwe bycie razem: są jakieś zasady?

- Zasady?

- Zasady drugiej rodziny - odparła. Nadal patrzył na nią z konsternacją.

- Zasady w rodzaju, że chcesz być ze mną, ale żadnych obrączek, żadnych dzieci...

Urwała; mówienie o tym było czymś niemal bolesnym. Dzieci. Jej dziecko. Cholera, ale zegar biologiczny miał na-

prawdę potężną moc. Nie tyle zegar, co bomba zegarowa. Dzieci wciąż pojawiały się w jej myślach, a teraz także i w tej rozmowie.

Ona i Joe nigdy nie omawiali kwestii dzieci. Cóż, no bo i kiedy? To nie był związek, w którym mieli okazję rozmawiać o tego typu sprawach. Niczym auta wyścigowe, zbyt szybko dochodzili do setki jak na tego rodzaju dyskusje. Zerknęła na jego twarz i zobaczyła, że maluje się na niej zaskoczenie.

- No co, uważałeś mnie za twardą karierowiczkę, która woli torebkę Fendi od dziecka? - zapytała, jakoś skrywając ból.

Roześmiał się.

- Nie, niezupełnie. Ale nie sądziłem, że jesteś typem macierzyńskim.

- Typem macierzyńskim - powtórzyła głucho.

- Nie miałem zamiaru...

- Nie, w porządku - rzekła szybko. Zbyt szybko. Zrozumiał, że popełnił błąd.

- Nigdy nie wspominałaś o dzieciach - oświadczył. - Skąd mogłem wiedzieć?

- Czy Elizabeth rozmawiała z tobą o dzieciach, zanim wzięliście ślub? Myślał przez chwilę.

- No, nie...

- Ale to było coś oczywistego, prawda? Miała zostać matką twoich dzieci?

-Tak.

- O to mi właśnie chodzi, Joe. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale ty z kolei nie uznałeś, że coś takiego jest możliwe. Co mówi to o nas i naszej przyszłości?

- Tak naprawdę to nie chcę już mieć więcej dzieci - odparł bezradnie. - Muszę być szczery. Dzieci wszystko komplikują. Gdybyś je miała, to byś mnie rozumiała. A dla moich chłopców rozstanie rodziców byłoby jeszcze trudniejsze, gdy

byśmy ty i ja mieli więcej dzieci. Dodatkowa presja. Bardzo bym nie chciał, żeby sądziły, że nie są najważniejszymi osobami w moim życiu.

Kiwnęła głową. Robiła się bardzo dobra w kiwaniu głową w ważnych momentach, kiedy czuła, że jej serce rozpada się na kawałki.

- Ale możemy o tym porozmawiać - rzekł. - To znaczy ja nigdy nie myślałem... Nie chodzi mi o to, że nie możemy mieć dzieci, ja tylko...

- Myślę, że doszliśmy do punktu przełomowego - oświadczyła cierpkim tonem Izzie. - Nie chcę wchodzić w związek, gdzie nakreślone są pewne granice, ponieważ ty już czegoś doświadczyłeś. Przykro mi.

- Nie odchódź, Izzie - błagał. - Możemy o tym porozmawiać.

- Bye - rzekła. Nachyliła się, pocałowała go szybko w policzek, bardzo szybko, aby nie zdążył jej chwycić, bo wtedy byłaby naprawdę stracona, ponieważ Joe Hansen jej pragnął, a kiedy on czegoś pragnął, to sobie to brał. Nie zamierzała pozwolić mu na to, by całował ją namiętnie w tej restauracji, gdzie wszyscy by na nich patrzyli. Odsunęła się więc szybko.

- A więc jak mówią w najlepszych kręgach biznesowych, „daj sobie spokój” - dodała i wstała z gracją z krzesła. - Zadzwoń do ciebie.

Z tymi słowami odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia, świadoma tego, że teraz towarzyszy jej znacznie więcej spojrzeń niż wtedy, gdy tu wchodziła. Patrzyła prosto przed siebie, jakby myślami była już przy następnym spotkaniu, ale tak naprawdę przez jej głowę przebiegała tylko jedna myśl: i co ona ma teraz zrobić?

Istniało tylko jedno rozwiązanie: telefon do Carli. Siadła na tylnym siedzeniu taksówki, mając nadzieję, że kierowca nie mówi po angielsku, ponieważ nie chciała dzielić z nikim tego akurat bólu. Zadzwoiła.

Jej przyjaciółka miała dziś mnóstwo telefonów, mało kawy i sprawiała wrażenie zirytowanej.

- Kiedy wracasz do biura, Izzie? - zapytała. - Mamy dzisiaj szalony dzień, a na dodatek zepsuł się ekspres do kawy.

- On ma zamiar od niej odejść.

- Co takiego? - zapytała Carla.

- Powiedziałam, że on ma zamiar od niej odejść - powtórzyła Izzie. - Joe ma zamiar odejść od żony.

- No to pomaluj mnie na różowo i wyślij pocztą do Guam - odparowała Carla. - Tego akurat nie przewidziałam. Sądziłam, że spotykasz się z nim, by stylowo to wszystko zakończyć.

- Bo tak było. Naprawdę. Wszystko sobie zaplanowałam i byłam w połowie wyćwiczonej mowy, kiedy on powiedział, że chce ze mną być.

- Chce być z tobą uczciwie, na pełen etat, czy tylko połowicznie? - zapytała cynicznie Carla. - Na przykład, czy planuje zostać z żoną, a tobie dawać lepszej klasy prezenty, by cię uszczęśliwić?

- Nie - westchnęła Izzie. - Po pierwsze to on mi nigdy nie dawał prezentów. To nie był tego rodzaju związek, dobrze o tym wiesz.

- Hm, taa. Wtedy bym to wszystko lepiej rozumiała. Związki interesowne mają swoje zasady, a ja lubię zasady. Cóż, skoro ma zamiar ją zostawić, to cudownie. Tego właśnie chciałaś, prawda? Ale nie sprawiasz wrażenia jakoś szczególnie uradowanej. Dlaczego?

- Nie chce mieć dzieci, nie chce ich ze mną - odparła beznamiętnie Izzie.

-Ach.

- No właśnie. Ach.

- Tak powiedział?

- Mniej więcej. Większa ilość dzieci zaboląaby jego synów i stwierdził, że dzieci zmieniają wszystko i że gdybym je miała, to bym o tym wiedziała.

- Uroczo - orzekła Carla. - Uroczo jest mówić coś takiego kobiecie, która ich nie ma. Taktownie.

- Tak też i ja pomyślałam.

- Co masz zamiar zrobić?

Izzie potarła oczy. Nie miała pojęcia, co zamierzała zrobić.

- Chyba się nad tym zastanowię.

Zastanowi nad tym, co oznaczałby powrót do niego. Pomyśli także o Anneliese. Jej myśli często uciekały ku niej: jak sobie teraz radziła bez Edwarda.

- Kochasz go na tyle mocno, by być z nim, ale nie mieć dzieci? - zapytała Carla.

- To pytanie za milion dolarów, prawda?

Izzie żałowała, że nie ma kryształowej kuli, w której mogłaby znaleźć odpowiedź. Czy kochała Joego wystarczająco mocno, by być z nim, wiedząc, że traci przez to szansę na macierzyństwo? Powiedział, że mogą o tym porozmawiać, ale wiedziała, że mówił szczerze, kiedy stwierdził, że nie chce więcej dzieci. Kto chciałby mieć dziecko z osobą, która nie chce go mieć z tobą?

- No i?

- No i nie wiem - odparła Izzie. - Wiesz, Carla, za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że znam wszystkie odpowiedzi, zmieniają się te cholerne pytania.

- Nie wiem, co ci powiedzieć, Izzie. Z wyjątkiem tego, żebyś do nas przyjechała. Ja też nie znam odpowiedzi, ale po-będziesz przynajmniej wśród przyjaciół. Co ty na to?

- Zaraz się zjawię - odparła z przygnębieniem Izzie.

Kiedy wieczorem wróciła do domu, na automatycznej sekretarce migąło światelko. Przez chwilę sądziła, że to może Joe z informacją, że zmienił zdanie, że ją kocha i chce zostać ojcem jej dzieci.

Ochoczo wcisnęła guzik.

- Witaj, Izzie, skarbie. - To był jej ojciec, a jego głos wydawał się bardzo zmęczony i stary. - Przykro mi, że muszę ci znowu przekazać przez telefon złe wieści...

Dłoń Izzie pofrunęła do ust. Babcia?

- ... ale twoja ciotka Anneliese próbowała się dzisiaj zabić. Konkretnie to utopić. Ktoś w porę wyciągnął ją z wody. Jest w szpitalu. Edward i ja właśnie od niej wyszliśmy. - Słyszała szok w jego głosie. - Zadzwoń do mnie, kiedy odsłuchasz tę wiadomość. Kocham cię, pa.

Izzie zadrżała. Biedna, kochana Anneliese. Zaledwie dzisiaj myślała o niej i o tym, jak sobie radzi bez męża. Starła się nie myśleć o tym za często, ponieważ nie chciała porównywać Anneliese z własną historią. Nie chciała umieszczać Anneliese i Elizabeth w tej samej roli. Nie była tego w stanie zrobić. W związku jej i Joego nie było nic, co odzwierciedlałoby związek Neli i Edwarda, prawda?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Dzień po tym, jak Anneliese Kennedy próbowała się utopić, Jodi kupiła test ciążowy i kiedy Dan wyszedł do szkoły, udała się do łazienki, by go wykonać. W ogóle nie przyszłoby jej to do głowy, gdyby nie jej matka, która oświadczyła, że przeżyła szok i że zamiast zwiedzania mogłyby nazajutrz we trzy zająć się czymś relaksującym, na przykład zabiegami w hotelowym spa.

- Świetny pomysł, mamó - odparła Jodi. - Pójdę do recepcji i nas umówię.

Wcześniej piły akurat kawę w hotelowym holu i czyniły plany na najbliższy dzień, kiedy znajoma Dana i Jodi, która akurat weszła do hotelu, powiedziała im o tym, co się stało.

- Próba odebrania sobie życia nie jest rozwiązaniem wszystkiego - tak to w nadęty sposób skomentowała ciotka Lesley. - Bardzo dobrze, że ostatecznie jej nie poznałyśmy. Nie lubię przebywać w towarzystwie ludzi negatywnie nastawionych do życia.

W tym momencie matka Jodi oświadczyła wreszcie Lesley, że jest niegrzeczna, i że skoro nie zamierza okazać więcej serca, to może zostawi je same.

Lesley, nieprzyzwyczajona do tego, by siostra jej się stawiała, oddaliła się z wściekłością, dzięki czemu Jodi i jej matka mogły spokojnie porozmawiać.

I w końcu Karen zaproponowała zabiegi w spa.

- Przyda ci się coś takiego, by się zrelaksować - oświadczyła. - Uwielbiam te masaże z pachnącymi olejkami, naprawdę potrafią odprężyć całe ciało. Lesley by to się jednak nie spodobało. Ona preferuje zabiegi w rodzaju manicure.

W recepcji Jodi przełączono do spa, gdzie telefon odebrała miła terapeutka. Wymieniła oferowane w gabinecie zabiegi.

- W tym tygodniu mamy promocję na zabieg dla przyszłych mam - dodała - jeśli dotyczy to oczywiście którejs z pań.

Jodi już-już miała odpowiedzieć, że nie, nie dotyczy, kiedy w jej głowie pojawiła się pewna myśl. Bardzo dobrze pamiętała, jak siedziała U Doroty z Anneliese i musiała pobiec do toalety, ponieważ zaczął się jej okres. Skurcze, które zawsze pojawiały się w ekspresowym tempie, były tak nieprzyjemne, że musiała iść do domu, a Anneliese udała się do apteki po jakieś środki przeciwbólne.

To się działo sześć tygodni temu - półtora cyklu miesięczkowego. Dwa plus dwa równa się dziecko. Ogarnęło ją to samo podekscytowanie, co poprzednio, tyle że tym razem czuła także strach. Wtedy poroniła. Nie zniosłaby, gdyby musiała przejść przez to po raz drugi.

- Po zastanowieniu czy mogłabym zamówić zabiegi dla dwóch osób zamiast trzech? - rzekła do terapeutki. - Zabieg kosmetyczny na twarz, manicure i pedicure dla mojej ciotki, Lesley Barker, która mieszka w tym hotelu, zaś masaż aro-materapeutyczny i zabieg na twarz dla mojej mamy. O jedenastej obie? Świetnie.

- Mamo, zaklepałam zabiegi dla ciebie i Lesley, ale wiesz co, zupełnie zapomniałam, że jutro mam się spotkać z tą panią z domu opieki, to część moich badań w związku z historią Rathnaree.

To nie do końca było prawdą. Jodi już od kilku dni planowała odwiedzić Vivi Whelan, ale jakoś nie mogła się ze-

brać. Niemniej jednak miałyby wymówkę, by uciec od cioci Lesley. W tej akurat chwili, kiedy z jednej strony podekscytowana była możliwością ciąży, a z drugiej czuła smutek z powodu biednej Anneliese, musiała znaleźć się jak najdalej od swej ciotki. Jeśli rzeczywiście była w ciąży, nie chciała, by jej dziecko wychowywał ktoś inny dlatego, że jego matka odsiaduje w więzieniu wyrok za zabójstwo.

Siedziała w łazience na skraju wanny z zamkniętymi oczami, po czym je otworzyła i spojrzała na małe okienko. Dwie grube, niebieskie kreski. Dwie kreski oznaczały ciążę. Ciążę. Jodi siedziała z dłońmi przyciśniętymi do ust i oswajała się z tą myślą. Gdyby tylko mogła dostać gwarancję, że tym razem wszystko będzie dobrze, wtedy mogłaby sobie pozwolić na bycie szczęśliwą. Ale tego akurat nikt nie mógł jej zapewnić.

Podczas spotkań grupy wsparcia przekonała się, że niektóre kobiety kilkakrotnie doświadczały poronień, nim w końcu udało im się donosić ciążę. Nie sądziła, by ona była na tyle silna, by poradzić sobie drugi raz z tak wielkim bólem.

- Tylko bez paniki - powiedziała do siebie i schowała starannie test do szuflady z bielizną. - Bez paniki. Zajmij się czymś i nie panikuj.

Spakowała do torby notes i dyktafon. Spotkanie z Vivi Whelan będzie dobrym sposobem na to, by wszystko powoli ułożyło się w jej głowie.

Laurowe Ogrody były długim, dwupiętrowym budynkiem otoczonym przez pięknie utrzymany ogród. Jodi wiedziała, że Anneliese pojawiała się tu co kilka dni, by odwiedzić Lily.

- Chciałabym odwiedzić panią Vivi Whelan - rzekła Jodi w recepcji, zastanawiając się, czy dom ten ma jakiś system bezpieczeństwa, chroniący jego mieszkańców, i mając w zanadrzu wyjaśnienie swojej obecności.

- Świetnie. Ona uwielbia gości - odparła pogodnie kobieta za biurkiem. - Proszę wejść, skrócić w lewo, zejść po schodach prowadzących do ogrodu i zadzwonić. Tam ktoś panią wpuści.

- Eee, dobrze.

Jodi była zaskoczona. Anneliese mówiła jej, że to urocze miejsce, ale nie wspominała o swobodnym podejściu do odwiedzających.

W środku Laurowe Ogrody okazały się miejscem, gdzie można było doskonale odpocząć. Ściany miały kojący jasnozielony odcień, gdzieś z radia sączyła się muzyka klasyczna, w powietrzu roznosił się zapach pieczonego ciasta i nie było słyhać żadnych krzyków niezadowolonych ludzi. Zamiast tego drzwi otwierały się na duży ogród i mieszkańcy domu siedzieli tam na fotelach albo w cieniu parasoli. Personel ubrany był na biało, ale nie biegał wokół, tak jak w szpitalu: tutaj pracownicy siedzieli obok swych pacjentów, rozmawiając, uśmiechając się, i co rusz klepiąc kogoś po ramieniu lub przytrzymując kubek.

- Szukam pani Whelan - rzekła Jodi do jednej z pielęgniarek.

- Jest tam, siedzi przy ostatnim stoliku na słońcu. Vivi Whelan była zaokrągloną staruszką, której twarz

okalały siwe loki. Uśmiechała się promiennie do świata. Właśnie jakaś pielęgniarka karmiła ją kawałkami owoców i kiedy tylko Jodi usiadła obok, pani Whelan rzekła:

- Sarah! Cudownie! - I uśmiechnęła się do niej z nieobecną dobrotliwością kogoś, kto już dawno stracił kontakt z rzeczywistością.

Brak wypytywania w recepcji nagle stał się dla Jodi jasny: musiała użyć dzwonka, by dostać się do ogrodu, który otoczony był wysokim murem. Nie było takiej możliwości, aby rezydenci stąd wyszli i wkrótce stało się jasne, że w sumie niewiele osób tutaj wchodziło. Ogród starannie zamykano, ponieważ większość tych ludzi żyła we własnym świecie.

Jodi żałowała teraz, że ani razu nie odwiedziła tu Lily: nie chciała być wścibska, ale teraz zrozumiała, że w miejscu takim jak to goście byli ważni, stanowili dowód na to, że ci ludzie nie zostali zapomniani.

- Nie, to nie Sarah - odezwała się łagodnie pielęgniarka. - Sarah była jej siostrą - dodała tytułem wyjaśnienia.

- Dzień dobry, pani Whelan, jestem Jodi Beckett - rzekła równie łagodnie Jodi. - Przyszłam tutaj, by z panią porozmawiać, ponieważ doktor McGarry mówił, że może byłaby mi pani w stanie pomóc.

Pani Whelan pokiwała radośnie głową.

- Nie chcę wdzierać się tu podstępem - rzekła Jodi, kierując swe słowa do pielęgniarki. - Próbuję spisać historię Rathnaree. Doktor McGarry, to znaczy stary doktor McGarry, powiedział, że powinnam zobaczyć się z panią Whelan, ponieważ ona zna całą historię Tamarin, ale jeśli nie jest to dobry pomysł, to sobie pójdę.

- Vivi uwielbia opowiadać o przeszłości - odparła pielęgniarka. - Nie odwiedza jej wiele osób poza najbliższą rodziną, więc miło jej będzie zobaczyć nową twarz i mieć okazję porozmawiać. W żaden sposób nie robi jej tym pani krzywdy. Przeszłość to dla niej miejsce, gdzie jest jej dobrze. Problemy znajdują się w terażniejszości i niedalekiej przeszłości. Ale jeśli potrzebuje pani jakichś informacji, to może mogłaby pani pomóc Gloria, jej córka. Dam pani jej numer telefonu.

Gdy Jodi zadzwoniła do niej, Gloria wydawała się mieć taki zły humor, że na początku Jodi założyła, iż jej rozmówczyni jest zirytowana tym, że ona odwiedziła w Laurowych Ogrodach jej starą matkę.

Wkrótce stało się jasne, że taka irytacja to dla niej stan najzupełniej normalny.

- Mamy mnóstwo papierzyk mojej matki, wszystkich jej drobiazgów. Mam dość ciągnięcia ich wszędzie z nami. Widzi pani, w ciągu ostatnich pięciu lat przeprowadzaliśmy się

trzy razy - poinformowała ją cierpko Gloria. - Z powodu pracy męża. Kiedy zeszłej jesieni wróciliśmy do Waterford, oświadczyłam mu, że jeśli jeszcze raz będzie chciał pakować manatki, zrobi to sam.

- Może mogłabym kiedyś zajrzeć do pani i porozmawiać? - zapytała z wahaniem Jodi.

- Niewiele wiem - kontynuowała Gloria - ale mogłaby sobie pani zerknąć na rzeczy mamy. Jestem teraz w domu.

- Teraz? - Waterford dzieliło od Tamarin czterdzieści minut jazdy samochodem.

- Jestem zajęta osobą.

- Proszę podać mi adres, a zjawię się jak najszybciej. Raz kozie śmierć. A poza tym musiała oderwać jakoś

myśli od tych dwóch niebieskich kresek na teście ciążowym. Pomoże jej w tym z pewnością jazda do Waterford.

Zanim dojechała do domu Glorii, Jodi bardzo żałowała, że w ogóle wsiadła do samochodu, ponieważ jedyne, o czym była w stanie w nim myśleć, to dziecko i poronienie. Była szalona, że chciała to robić akurat teraz. Trop do Rathnaree był nikły i dreszcz podekscytowania, jaki czuła na początku, zaczynał słabnąć. Z całą pewnością istniało wiele historii kryjących się w tym pięknym starym domu, historii otaczających ludzi na tej wyblakłej fotografii. Ale najwyraźniej ich przeznaczeniem było pozostanie w ukryciu.

Gloria mieszkała w bliźniaku usytuowanym przy ruchliwej drodze niedaleko pałacu biskupa i irytacja Jodi odnośnie tego całego projektu tylko przybrała na sile, kiedy musiała trzy razy objechać okolicę, by znaleźć miejsce do parkowania, a potem iść bez końca w poszukiwaniu parkometru.

Chyba jestem szalona, pomyślała, gdy w końcu pchnęła furtkę prowadzącą do domu. Kiedy Gloria otworzyła drzwi, wyglądając na zadowoloną na jej widok, Jodi poczuła lekkie zaskoczenie.

- Nie uwierzy pani, co właśnie znalazłam - oświadczyła Gloria, wpuszczając Jodi do środka.

- Co takiego? - zapytała Jodi bez nadziei, że będzie to coś związanego z jej poszukiwaniami. Gloria zdążyła już jej się wydać lekko ześwirowana.

- Wiedziałam, że mamy różne papierzyska, ale to głównie stare rachunki za lekarza, zdjęcia rentgenowskie i tego typu rzeczy. Matka nigdy nie miała dobrego zdrowia. Ale proszę spojrzeć na to: pudełko ze starymi listami i innymi podobnymi drobiazgami. Nie ma tu nic cennego. Sprawdziłam. Miałam nadzieję na diamentowy naszyjnik! - Zapiszczała zachwycona własnym żartem. - Proszę się o to wszystko zatroszczyć.

- Och, oczywiście - odparła Jodi.

Podskoczyło jej serce, gdy spojrzała na pudełko z papierami i dokumentami. Nagle powrócił dreszcz podekscytowania, związany z odkrywaniem przeszłości.

- Ale wie pani, chcę mieć to wszystko z powrotem. A jeśli napisze pani książkę, to wspomni w niej o tym, że te wszystkie rzeczy były ode mnie?

- Oczywiście - powtórzyła Jodi, która w tej akurat chwili gotowa była zaoferować własną nogę, byle tylko móc się zapoznać z zawartością pudełka. - To niesamowite - powiedziała, biorąc delikatnie do ręki stary wycinek z gazety. Gloria ustawiła to wszystko na podłodze i Jodi szybko uznała, że najlepiej będzie, jak to stąd zabierze, zawiezie do domu, gdzie usiądzie i przejrzy wszystko uważnie. Czuła się jak Carter, zamykający grobowiec Króla Tut i mówiący, że wróci później, kiedy będzie mieć więcej czasu. - Obiecuję, że sporządzę dla pani szczegółową listę wszystkiego, co znalazłam w tym pudełku - oświadczyła. - Potem skseruję to sobie, sfotografuję i zwrócę pani wszystkie oryginały.

Wiedziała, w jaki sposób dokumentować znaleziska archeologiczne.

- To może być mnóstwo starych śmieci - rzekła Gloria - ale przecież właśnie tego typu rzeczy pani szuka, prawda?

- Właśnie tego szukam - zgodziła się Jodi.

Gdy dotarła do domu, udała się do swego gabinetu i ostrożnie wyjęła z pudełka wszystkie papierzyska, oznaczyła je i próbowała poukładać w kolejności chronologicznej. W papierze listowym leżały zawinięte listy - listy od Lily Kennedy do jej najlepszej przyjaciółki, Vivi McGuire.

Jodi rozsiadła się wygodnie na krześle i zabrała za czytanie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Październik 1944

Lily uklękała na gołych deskach w swej cienkiej bawełnianej koszuli nocnej i przez szparę w zaciemniającej zasłonie wyglądała na rozciągające się przed jej oczami upiorne miasto. Było przeraźliwie zimno; nawet na oddziale chirurgii, gdzie ciepło było gwarantowane, ona dzisiaj zmarła.

Na oddziale odczuwano brak personelu i oprócz trzymania ręki mężczyzny, który wrócił z sali operacyjnej po koszmarnej operacji na raka okrężnicy, Lily zajmowała się także opróżnianiem basenów.

Pacjent, kapral, biorący udział w walkach w Afryce, zaczął płakać, gdy widziała go po raz ostatni.

- Nie odchódź - rzekł, chwytając ją słabo za rękę.

Pod pustynną opalenizną był poblady i choć rankiem przed operacją nalegał na to, by go ogolono, na jego twarzy widać już było lekki zarost, przez co wyglądał jeszcze bardziej bezbronne.

Lily wiedziała, że nie można być dobrą pielęgniarką, jeśli się nie potrafi zachować dystansu, ale ten człowiek, senny i targany mdłościami po narkozie, zdawał się desperacko potrzebować jej uwagi.

Z kruczoczarnymi włosami i smutną twarzą przypominał jej ojca: dobrego człowieka w trudnym położeniu. Kiedy

majaczył po operacji, jęczał ciągle o hałasie robionym przez działa czołgów.

- Może napiszę do twojej rodziny i przekażę im, jak się czujesz, Arthurze? - zapytała. Jego córka pracowała w fabryce samolotów niedaleko Slough, żona zaś przebywała w domu w Liverpoolu, opiekując się dwójką ich młodszych dzieci. - Na pewno chcieliby się dowiedzieć, że dałeś sobie radę i że jest już coraz lepiej.

- Dziękuję, siostrze Kennedy - odparł, połykając Izę.

Lily widziała, że w drzwiach oddziału stoi Siostra Przełożona, obejmując surowym spojrzeniem każdego pacjenta i każdą pielęgniarkę. Była już prawie pora kolacji i Lily czekały jeszcze inne obowiązki, ale kiedy spojrzenia dwóch kobiet skrzyżowały się, Lily odczytała z nich zgodę Siostry Przełożonej na to, by została przy Arthurze.

Siostra Przełożona była kobietą, której nikt nie śmiał się przeciwstawić, ale Lily ją lubiła. Nauczono ją pracować szybko i wydajnie i tak właśnie robiła bez względu na powierzone jej zadanie. Co więcej, nigdy nie truchlała pod groźnym spojrzeniem Siostry Przełożonej.

Jej ulubionym powiedzeniem było: „To, co robisz najlepiej, nie jest wystarczające, siostrze, chcę, żeby to było robione tak, jak ja to robię najlepiej”.

Nigdy nie mówiła tak do Lily.

Lily potrafiła zrobić wszystko: zarówno opiekować się pacjentami, jak i wykonywać obowiązki chłopca na posyłki.

Diana miała zdecydowanie gorzej. Siostra Przełożona starała się ze wszystkich sił, by mieć pewność, że jej kilka nowych pielęgniarek nie cieszy się żadnymi specjalnymi względami.

Po raz pierwszy Lily miała okazję przekonać się, że pochodzenie z wyższej klasy społecznej może działać na niekorzyść: od niej nikt niczego nie wymagał z powodu tego, skąd pochodziła, natomiast od Diany spodziewano się wyniosło-

ści dziedziczki. To nie było sprawiedliwe, ponieważ nikt nie wywyższał się mniej niż jej przyjaciółka. Począwszy od dzielenia się ubraniami aż do dzielenia się domem swej matki chrzestnej, Diana dawała wszystko, co miała, łącznie ze swą miłością i przyjaźnią.

Plus bycia na ostatnim roku studiów był taki, że Lily, Diana i Maisie otrzymały niechętną zgodę na to, by mieszkać poza zatłoczoną bursą pielęgniarstwa. Dwa tygodnie temu przeprowadziły się do niewielkiego domu na końcu uliczki zaraz przy Bayswater Road, który należał do matki chrzestnej Diany, pani Vernon. Choć pustawy - pani Vernon przewiozła sporą część mebli do swego domu w Gloucestershire - dom ten był prawdziwym błogosławieństwem dla trzech pielęgniarek. Rodzice Diany byli właścicielami wielkiej rezydencji miejskiej w Kensington, w którą trafiła bomba i nie nadawała się teraz do zamieszkania: dziewczęta udały się tam, by ocalić parę drobiazgów i uczynić swój nowy dom bardziej wygodnym. Diana zastanawiała się, czy nie poprosić babci Philipa o pożyczenie kilku mebli z jej wielkiego domu na South Audley Street, ale Lily skrzywiła się i nie zgodziła się na to.

- Mamy tu wszystko, czego nam trzeba - rzekła.

Martwiła się, że Diana domyśli się, z jakiego naprawdę powodu nie chciała z tamtego domu absolutnie niczego. South Adley Street oznaczała Jamiego, a Lily nie chciała, by cokolwiek jej o nim przypominało. I tak często gościł w jej myślach, nie musiała dodatkowo patrzeć na krzesło czy stół z tamtego cholernego domu.

Pokój Lily w ich nowym domu mieścił się na jego tyłach i jego okna wychodziły na niewielki, kwadratowy ogród, gdzie nawet przez chwilę chciała hodować warzywa. Skoro pobliski Hyde Park stał się domem dla świń i warzyw, ona mogła uzupełniać ich racje żywnościowe produktami z małego ogrodu pani Vernon. Ale po przeprowadzce Lily zmieniła zdanie. Wszystkie trzy bardzo dużo pracowały i ich czas

wolny był zbyt cenny. Znacznie przyjemniej było spędzać go na leżeniu na sofach w salonie, słuchaniu gramofonu i czasami, kiedy udawało im się dostać trochę węgla, rozpalaniu w kominku.

Pani Vernon miała całkiem sporą kolekcję płyt z muzyką orkiestrową i Lily uwielbiała leżeć na sofie z zamkniętymi oczami i oddawać się słuchaniu.

Diana już dawno temu uświadomiła sobie, że Lily bardzo odczuwa swój brak wykształcenia, i z ogromną chęcią rozmawiała z nią o sztuce i literaturze. Lily była bardzo chętna do nauki. Skarby National Gallery dla bezpieczeństwa zostały pochowane w podziemiach, ale raz czy dwa razy miały okazję wziąć udział w koncertach w galerii, gdzie za jednego szylinga mogły słuchać wspaniałych muzyków.

Czasami Diana opowiadała o czasach swego dzieciństwa. Wcześniej niezbyt często to robiła, ponieważ wyczuwała, że ogromna różnica pomiędzy ich stylem życia była dla Lily krępująca. Teraz jednak, w tym domu, gdzie mogły się odprężyć, i po tym, jak tyle już razem przeżyły, szczerze opowieści o swym życiu wydawały się czymś bardziej stosownym.

- Moją najlepszą przyjaciółką, gdy Sibs była mała, była córka kucharki, Tilly - oświadczyła Diana. - Bawiłyśmy się w chowanego w sadzie i przesiadywałyśmy w pokoju dzieciennym i bawiłyśmy się moim domkiem dla lalek. Miałam guwernantkę, ale nie mogę powiedzieć, żebym się dużo nauczyła. Mademoiselle Chamoix była z nich najlepsza, ale została tylko przez rok. Potem, kiedy miałam dziesięć lat, mamusia i żona proboszcza uknuły plan, żebyjej siostra, która dochodziła do siebie po zawodzie miłosnym, przyjechała mnie pouczyć. Nazywała się panna Standing i trochę z niej była sawantka, ale miła. Zachęcała mnie, żebym bawiła się z Tilly: była gorącą zwolenniczką reformy społecznej. Tatuś rzecz jasna mało nie umarł, kiedy się dowiedział, że panna Standing popiera fabianizm. No i niestety kazał jej się spakować. Po tym wszystkim

biednej Tilly dokuczano z powodu przyjaźni ze mną i nie bardzo chciała się już ze mną bawić, więc została mi Sybil. Nie miałam wielu przyjaciół, dopóki nie zaczęłam wychodzić.

- Jakie to było? - zapytała Lily. - Wychodzenie i w ogóle?

Pytanie to wcale nie było takie obojętne, jak by się mogło wydawać: od czasu ślubu Sybil Lily z zapalem nastawiała uszu, czyjej przyjaciółka nie wspomni o Mirandzie Hamilton, czy też jak tam się nazywała, nim wyszła za Jamiego. Miranda Hamilton. To było dziwne, że imię kobiety, której nigdy nie miała okazji poznać tak mocno na nią oddziaływało. Myślała o niej niemal bez przerwy.

Jej myśli zajmował głównie Jamie, a zaraz za nim jego tajemnicza żona, kobieta ze świata Diany.

- Z kimś się przyjaźniłaś? - zapytała pewnego dnia Dianę, mając nadzieję na jakąś wzmiankę na temat Mirandy.

Może gdyby dowiedziała się czegoś więcej o niej i Ja-miem, to czar by prysł. Ale nie mogła wspomnieć przyjaciółce ani słowem o tym, co się wydarzyło pomiędzy nią a Jamie. Chociaż pracowała w szpitalu, Diana w głębi duszy pozostała niewinna.

- Wciąż słyszę o tym, że przed wojną było zupełnie inaczej, aleja przyjechałam z Irlandii i nie umiem orzec, co się zmieniło, a co nie.

- O kurczę, wszystko się zmieniło - westchnęła Diana. - Przed wojną to był praktycznie inny świat, Lily. Nie wiem, od czego zacząć...

Poproszona gorąco, Diana zaczęła jednak opisywać świat, który dla Lily rzeczywiście był obcy. Opowiadała o tym, jak ubraną w sztywną satynową sukienkę i z kwiatami we włosach przedstawiono ją na dworze, o tym, jak tańczyła przez całą noc na balu debutantek w Claridges i nocnych klubach pokroju „400”. Na wspomnienie tego klubu Lily zrobiło się niedobrze: to właśnie tam wybierali się owego pamiętnego wieczoru.

- Nie powinniśmy byli chodzić do nocnych klubów - wyznała Diana. - Ale i tak wszyscy to robiliśmy. Najbardziej lubiłam Florydę. Tak świetnie się tam bawiłam.

Niewinny pocałunek - tylko do tego Diana posuwała się z mężczyzną, i to nawet teraz. Lily pamiętała, jak na początku studiów uważała, że to dziwne, iż pielęgniarka tak mało wie na temat seksu. Dorastając w otoczeniu zwierząt gospodarskich, Lily posiadała praktyczną znajomość tego, co musi się dziać pomiędzy mężczyzną a kobietą. Diana z kolei zdawała się nie mieć o niczym pojęcia.

- Nikt nie mówił o tym, no wiesz, o czym - rzekła. - Powiedziano nam jedynie o mężczyznach, którzy byli NWT: niebezpieczny w taksówkach.

Była po imieniu z brytyjskimi i zagranicznymi księżętami, spędziła rok w szkole z internatem w Paryżu, gdzie jej oraz dziesięciu innych młodych dam pilnowano, by przypadkiem nie uciekły z internatu, ćwiczyły swój francuski i spędzały wiele godzin w paryskich muzeach. Jako młoda dziewczyna uczyła się tańca w szkole Madame Vacani, gdzie poznała inne młode brytyjskie arystokratki w podobnym wieku.

Lily nie miała wątpliwości co do tego, że jej przyjaciółka poślubi kiedyś bogatego, utytułowanego mężczyznę ze swego świata, ale była ona wyjątkowym stworzeniem: całkowicie wyzbytym snobizmu. Diana autentycznie nie dbała o różnice w ich wychowaniu.

A jednak dla Lily było jasne, że stary świat się zmienia - urodzenie i przywileje nic nie znacząły dla osoby leżącej w kałuży krwi po tym, jak spadła bomba. Bomby nie odróżniały biednych od bogatych, choć bogata kobieta mogła zostać przyniesiona do szpitala w poplamionym krwią futrze, natomiast ta biedniejsza w starym, pocerowanym płaszczu z wełny narzuconym na koszulę nocną.

Lily ponownie zadrżała z zimna. Była taka zmęczona, ale sen nie wchodził w rachubę.

Noce były najgorsze, kiedy Lily, wyczerpana, kładła głowę na poduszkę i zamiast spać, odtwarzała w myślach każdą bolesną chwilę, raz za razem: tę, w której myślała, że Jamie jest jej, aż do tej, kiedy się dowiedziała, że nie jest to możliwe.

Wielokrotnie odtwarzała w myślach scenę w kuchni.

Czy miał jej właśnie zamiar powiedzieć...

- Lily, jest coś, o czym ci muszę powiedzieć...

I widziała zjadliwość w spojrzeniu Sybil. Dziwne, ale Sybil nie powiedziała o niczym Dianie. Czy sprawiło to poczucie winy, że zachowała się jak jędza, czy też wołała, by Lily cierpiała w milczeniu? Lily nie miała pojęcia.

Tak czy inaczej lepiej było właśnie tak, lepiej, że nikt inny o tym nie wiedział.

Kiedy prześladowała ją twarz Jamiego, nie było mowy o śnie. Od tamtego wieczoru, ponad miesiąc temu, było wiele takich nocy, kiedy Lily siedziała w oknie albo tutaj, albo w ich dawnym pokoju w bursie, rozchyłała zaciemniające zasłony i patrzyła na ciemne ulice Londynu.

Dzisiaj czuła się taka samotna, że niemalże chciała, by rozległo się wycie syren alarmu lotniczego, a potem odgłos zbiegania po schodach do schronu w ogrodzie. Wtedy przynajmniej czułaby solidarność z pozostałymi zamiast tego okropnego osamotnienia.

Syreny zaczęły wyc i Lily wstała powoli z podłogi, zziębnięta od długiego klęczaniu przy oknie.

Podczas nocy takich jak ta nie miała nic przeciwko syrenom: przerywały one płonący ogień w jej myślach i ból w sercu. Ale zastanawiała się, zerkając przez okno na rozświetlające niebo reflektory, czy Jamie jest bezpieczny. Miała taką nadzieję.

Na początku listopada Philip zjawił się w Londynie i Sybil szybko sobie zaplanowała, że w czwartek wieczorem przyje-

dzie, by się z nim spotkać. Nie minęło dużo czasu, a zdążyła zorganizować przyjęcie, które miało się zacząć od koktajli, potem była przewidziana kolacja i przy odrobinie szczęścia jakiś klub.

Diana powiedziała, że spotka się z Sybil w Haymarket, leżącym w centrum.

- Sibs mówi, że chce się wybrać na koktajle do Savoya. Głupia dziewczyna, mówiłam jej, że nie można się dostać do Savoya, że jest pełny amerykańskich pułkowników, którzy wymachują dolarami. „No i bardzo dobrze”, ona na to. „Uwielbiam Amerykanów!”. „No, naprawdę, Sibs”, mówię jej ja, „jesteś zamężna, a poza tym wojna to nie jest jedno wielkie przyjęcie z koktajlami. Goring jest znacznie ładniejszym miejscem, i w dodatku takim przytulnym...” ale ona się uparła. Proszę, powiedz, że też pójdziesz, Lily. Będzie naprawdę wesoło. Philips zaprosił mnóstwo swoich kolegów.

Ale Lily nie mogła ryzykować. Wiedziała, że jeśli Jamie przebywał jeszcze w Anglii, to bardzo prawdopodobne, że będzie jednym z gości. Równie dobrze mogło go nie być, może udał się już na swój okręt podwodny, odpłynął gdzieś tam, gdzie znajdował się ten ważny teatr wojny. Głupie określenie: teatr wojny. Tak jakby to było przedstawienie. Gdyby to zależało od kobiet, nie byłoby żadnego przedstawienia. Kobiety nie chciały tracić bliskich.

Nawet gdyby był tam cały tłum przyjaciół Philipa, Jamie był tylko jednym z wielu rozmawiających i pijących, musiałyby wyjść. Nie mogłaby siedzieć w jego obecności z poczuciem, że została tak strasznie zdradzona, i ze świadomością, że Sybil triumfuje złośliwie gdzieś w tle.

- Nie, Diano - rzekła. - Jestem zbyt wykończona. Na mnie nie licz.

Maisie spotykała się z amerykańskim żołnierzem, którego poznała w Cafe de Paris i wyszła z nim dzisiaj na kolację. Bez nich dom wydawał się taki pusty i Lily próbowała po-

prawić sobie humor kąpielą w przepisowych dziesięciu centymetrach wody. Choć dołała do niej czajnik gorącej wody, kąpiel i tak była zbyt chłodna. W końcu ubrała się i wyszła na spacer. Postanowiła udać się w stronę Hyde Parku i pooddychać powietrzem najbardziej zbliżonym do wiejskiego, jakie mogła znaleźć w tym mieście.

Zmierzchało już, gdy ruszyła w drogę powrotną. Te ciężkie buty ją dobijały. Wcześniej miała parę tenisówek, w których czuła cudowną ulgę po godzinach spędzanych w butach roboczych, ale były już zbyt znoszone, a kupno butów zawsze stanowiło niezwykle trudne zadanie. Jej stopy były bardzo wąskie i miały wysokie podbicie. Często myślała, że ma teraz takie problemy z butami dlatego, że tak często chodziła boso w dzieciństwie, biegając po kamieniach po drodze prowadzącej do Rathnaree. Gdy Lily zamknęła oczy, wciąż czuła łaskotanie trawy na stopach, gdy biegła przez łąki, rozgarniając rękami sitowie.

Na Bayswater Road przejechał z rykiem autobus, zaledwie kilka centymetrów od niej. Lily otworzyła oczy i uświadomiła sobie, że prawie że wyszła na ulicę.

- Uważaj, skarbie. Prawie po tobie przejechał. - Te słowa wypowiedział mały, skurczony staruszek z laską.

- Dziękuję - odparła wstrząśnięta Lily.

To było absurdalne; mogła przecież zginąć, a w najlepszym wypadku wylądować w swoim szpitalu.

Ale ulica nadal odpływała z jej myśli, zastępowana przez obraz hotelu Savoy, wbiegającej pospiesznie Diany z rozwianymi włosami i otoczona zapachem Arpege, mówiącej: „Przepraszam za spóźnienie”. Lily pomyślała z czułością, że Diana zawsze się spóźnia.

Teraz na pewno była już tam, skupiając pełne podziwu spojrzenia, siedząc w towarzystwie ukochanej siostry i przyjaciół szwagra. Lily była raz w Savoyu razem z Dianą, upajając się atmosferą pięknego pałacu w stylu art deco i świadomością, że to właśnie tu się wszystko działo.

Żałowała teraz, że nie mieszka już w bursie: tam przynajmniej miałyby zawsze z kim porozmawiać w świetlicy albo posłuchać radia. W tej akurat chwili czuła się taka odizolowana i samotna.

I wtedy usłyszała ten dźwięk: niskie wycie syreny. Instynktownie podniosła głowę, próbując wypatrzeć na niebie śmiertelne rakiety V-2, tak jakby mogło ją to uchronić przed nimi.

Przecież kiedy je się widziało, to już się było bezpiecznym, prawda? Nieprawda: na oddziałach szpitala Royal Free pełno było ludzi, którzy je widzieli, a i tak zostali trafieni odłamkami.

Syrena stawała się coraz głośniejsza. Mimo że był to znajomy dźwięk, od czasu pojawienia się V-2 nabrał nowego, przerażającego charakteru. Waliło jej mocno serce, gdy próbowała sobie przypomnieć, gdzie się znajduje najbliższy schron. Oczywiście: stacja metra Lancaster Gate.

Dołączyła do rzeki ludzi, płynącej w stronę schodków prowadzących na stację i po chwili połknął ją tłum, z którym tłoczyła się przed wejściem, gdzie wisiał stary, odklejający się plakat „Łataj dziury”.

Zazwyczaj Lily trzymała się z dala od metra. Niektórzy uwielbiali poczucie koleżeństwa, płynące ze wspólnego spędzania nocy na peronach, dołączając do śpiewów i ciesząc się z herbaty, dostarczanej o świcie. Ale nie ona. Myśl o byciu pogrzebaną żywcem w tym wąskim, pozbawionym dostępu powietrza tunelu czynił dla niej to miejsce dalekim od bezpiecznej kryjówki.

Nowa fala paniki zalała ją, gdy dotarła do hali biletowej. Jedyna droga prowadząca w dół to windy. Nie znosiła wind, zwłaszcza teraz, kiedy będą wypełnione po brzegi ludźmi. Uwięziona w rzece ludzi, musiała walczyć o każdy oddech. Gdyby zbombardowano wejście, zostałaby zakopana żywcem w małym, metalowym pudełku na dnie szybu. Wiedziała, że musi się stąd wydostać.

Nawet V-2 nie mogły być tak okropne jak powolna śmierć w pozbawionej tlenu trumnie.

- Wypuście mnie! - zapiszczała.

Odwróciła się, napierając na tłum ludzi, próbujących wejść do środka. Brakowało jej tchu i wiedziała, że teraz już się nie uda zawrócić.

- Lily!

Wydawało jej się, że usłyszała swoje imię, ale nie była pewna: to wszystko było niczym koszmar, nie wiedziała, co jest prawdziwe, a co nie.

- Lily!

To był głos, który słyszała w swych snach. Należał do ostatniej osoby, którą spodziewała się tutaj spotkać. Jamie.

Znajdował się w tłumie za nią, wyciągał rękę i próbował dosięgnąć jej palcami.

- Muszę stąd wyjść! - zawołała dziko. - Nie mogę zjechać na dół windą.

- Trzymaj się! - odkrzyknął. - Wyciągnę cię. Wiedziała, że szaleństwem jest wracać na ulicę, ale nie

obchodziło jej to. W głowie miała tylko jedną szaleńczą myśl: kiedy już znajdzie się przy Jamiem, będzie bezpieczna.

Wykorzystując resztkę energii, dosięgła najpierw jego palców, a potem jego silna dłoń chwyciła jej rękę i pociągnęła ku sobie. Jej twarz uderzyła w gryzącą wełnę jego żołnierskiego munduru. Oddychała głęboko, chłonąc jego zapach. Miała poczucie, że jest bezpieczna.

Tłum się nieco przerzedził i wyszli razem na ulicę.

Minęło zaledwie kilka minut, odkąd usłyszała wycie syren, a wydawało jej się, jakby to były całe godziny. Ulice były niemal zupełnie wyludnione, niczym w mieście duchów: tylko rzykanci nie szukali schronienia.

- Tutaj. - Pchnął ją w stronę drzwi wielkiego, imponującego domu z ogromnym portykiem nad nimi. - Jest tu tak samo bezpiecznie, jak w każdym innym miejscu na ulicy.

Otaczał ją ramionami i Lily tuliła się do niego mocno. Od wschodu słychać było niskie pomruki bomb. Tak jak pod-

czas liczenia trzasków pioruna, kiedy była mała, Lily poczuła pełną poczucia winy ulgę, że bombowce obrały sobie za cel jakieś inne miejsce.

- Co tutaj robisz? - zapytała.

- Przyszedłem się z tobą zobaczyć - odparł.

Lily spojrzała na jego twarz. Jego oczy miały niezwykły kolor: intensywnie szary, który wydawał się, że jest rozświetlany jakąś wewnętrzną mocą. To nie były oczy, które potrafiły kłamać. Patrząc w nie, widziała jedynie prawdę.

- Dlaczego?

- Wiesz dlaczego - odparł niskim głosem.

Dalej na niego patrzyła, zastanawiając się, jak to możliwe, że tak dobrze zna jego twarz, skoro oni sami prawie w ogóle się nie znają. Ciemne brwi, przecinająca jedną z nich blizna, której pragnęła teraz dotknąć.

- Trzymałem się z daleka od ciebie - rzekł. - Powiedziałem Philipowi, że nie będę mógł się z nim spotkać. Ale nie mogłem się powstrzymać. Musiałem cię zobaczyć. Kiedy poszedłem do Savoya i Diana mi powiedziała, że ciebie nie będzie, wiedziałem, że muszę się z tobą spotkać.

- To jest niewłaściwe - powiedziała.

Nie była w stanie na niego patrzeć. Przyszedł, by ją znaleźć, a ona tak bardzo go pragnęła, ale to było niewłaściwe. Miał żonę. Według Bożych zasad nie wolno mu było zdradzić tej żony. Ona nie mogła zdradzić jego żony. Gdyby się temu poddali, popełniliby cudzołóstwo, grzech śmiertelny.

Czy Bóg by to wybaczył?

Owszem, jej wiara uległa zachwianiu podczas wojny z powodu tego wszystkiego, czego była świadkiem. Jak Bóg mógł pozwolić na tyle bólu i śmierci?

Jamie ujął jej jedną dłoń i podniósł do ust. Słyszała, jak jego oddech przyspiesza. Potem będą myśleć o Bogu, teraz nie był na to odpowiedni czas.

Zaprowadziła go do domu, gdzie po schodach weszli do jej sypialni. To był duży i ciemny pokój ze szkarłatną tapetą, szerokim łóżkiem i drewnianą szafą, bez żadnego dywanu na drewnianej podłodze.

Jamie zamknął drzwi, przekręcił klucz, po czym chwycił ją w objęcia. Trudno powiedzieć, które z nich było bardziej zachłanne: Lily pragnęła połączyć się z nim i wydawało się, jakby on chciał ją pochłonąć ustami, smakując ją, wsuwając głęboko język. Jej palce rozpięły guziki jego munduru. Na chwilę się rozdzielili: Jamie rozpiął marynarkę, po czym zdarł z niej sweter.

Nie miała czasu się zastanawiać, co ma na sobie: nagle była naga i przyciśnięta do niego. Osunęli się na łóżko, ciało przy ciele.

Lily jeszcze nigdy nie czuła męskich dłoni na swej nagiej skórze i wygięła plecy w łuk, rozkoszując się dotykiem jego ust na swych brodawkach, ust, które gryzły, lizały, ssały. Na gładkiej skórze uda czuła twardość jego erekcji i zastanawiała się, jak mogła kiedyś myśleć, że seks to dziwna sprawa, sądząc po zwiotczalych ciałach mężczyzn na szpitalnych łóżkach. Oni byli chorzy, pogrążeni w letargu; Jamie był silny i płonęła w nim dzika energia.

Wściekła, intensywna, namiętna, agresywna, dzika.

Pogładziła długą, intensywnie czerwoną bliznę na jego biodrze, bliznę, która sprowadziła go do domu tego pierwszego razu, gdy się poznali. Teraz już prawie w ogóle nie utykał, choć podczas wesela Sybil było to całkiem wyraźne.

- Boli cię? - zapytała.

- Już nie - wydyszał, po czym ponownie przyssał się ustami do jej piersi.

Lily zamknęła oczy i poddała się temu, co czuła.

- Nie chcę cię ranić - rzekł, oddychając ciężko.

- Nie obchodzi mnie to.

- Ale mnie tak. Chcę, żebyś znowu mnie pragnęła.

- Pragnę.

-1 żebyś nie czuła bólu.

Jeden długi palec wsunął do jej wnętrza i Lily poczuła, jak przez jej ciało przebiega dreszcz najczystszej rozkoszy.

- Nie musimy...

- Musimy.

Pomyślałaby, że umarłaby, gdyby teraz tego nie dokończyli.

Wyślizgnęła się spod niego i usiadła na nim okrakiem, sięgając ręką w dół, by go dotknąć i zachwycając się wrażliwością jego ciała, gdy westchnął z rozkoszy.

- Powiedz mi jak...

Posadził ją na sobie i ich spojrzenia skrzyżowały się, gdy tymczasem ciała powoli się poruszały. Wtedy poczuła, jak wsuwa się do jej wnętrza i nagle zabrakło jej tchu. Przez cały czas wpatrywał się w nią intensywnie i wyczuwała, że dla niej powstrzymuje się od dalszych ruchów.

Wtedy to ona się poruszyła, tak że wsunął się w nią cały. Czując to, wydała głośny okrzyk.

- Och, Lily - jęknął, a potem poruszali się razem, tuląc do siebie mocno, a jego dłonie ścisnęły miękką krągłość jej pośladków, aż Lily poczuła powoli zbliżającą się rozkosz, rozlewającą się po jej ciele. Wciągnęła gwałtownie powietrze i wygięła się nad nim w łuk, a po chwili on także poczuł to, co ona.

Po wszystkim leżeli przytuleni. Zastony były nadal rozsunięte. Na ciemnym niebie księżyc jawił się niczym elegancki łuk.

- Nie masz pojęcia, ile nocy spędziłam, wyglądając przez okno i myśląc o tobie - odezwała się Lily, wtulona w jego ramię. - Zastanawiałam się, czy oglądasz ten sam księżyc, gdzie jesteś, co robisz i czy... czy w ogóle o mnie myślisz.

- Nie myślałem o niczym innym - odparł z iskierką humoru w głosie. - Nie są ze mnie zbyt zadowoleni w Ministerstwie Wojny. Chyba niedługo znowu wrócę na okręt.

Zapadła cisza. Niemówienie tego, dokąd jedzie, było częścią życia oficera okrętu podwodnego i teoretycznie Lily doskonale to rozumiała. Niemniej jednak to bolało. Skoro musiał już jechać, chciała wiedzieć dokąd, tak by mogła to śledzić w gazetach, w radiu i na kronikach filmowych. Przynajmniej tym sposobem mogłaby być blisko niego.

Tak mało wiedziała na temat okrętów podwodnych, tyle tylko, że w przeciwieństwie do pancerników, jeśli już zostały trafione, to szanse na uratowanie załogi bliskie były zeru. Morze było okrutne i nieubłagane. Tak łatwo mógł zginąć, uwięziony pod wodą w tej klaustrofobicznej tubie. Poczowała przerażenie na myśl o takiej śmierci.

- Nie powinniśmy byli tego robić - rzekła. - Obawiam się, że zostaniemy za to ukarani. Ty jesteś żonaty, a w mojej wierze ślub bierze się na całe życie. Jakaż może nas czekać przyszłość?

- Mam dość koncentrowania się na przyszłości - odparł niskim głosem. - Całe życie opiera się na przyszłości. Jeśli wygramy tę kampanię, jeśli alianci wygrają tu, jeśli państwa Osi przegrają tam... A co z terażniejszością? Co z tym, co teraz czujemy? Co ze mną, człowiekiem, który popełnił błąd siedem lat temu, kiedy wziął ślub, i musi radzić z tym sobie każdego dnia, odkąd cię poznał?

- Popełniłeś błąd? - To właśnie pragnęła usłyszeć. Jamie ożenił się z niewłaściwą kobietą. Ale ona była katoliczką. W kwestii małżeństwa pomyłki się nie liczyły. Ślub się brało na całe życie. Bóg się przyglądał i wszystko rejestrował. Jeśli Lily złamie zasady, zapłaci za to jej nieśmiertelna dusza. To była prawda absolutna: w przypadku Boga wszystko było albo białe, albo czarne. - Opowiedz mi o tym - rzekła.

Trzymając Lily w ramionach, opowiedział jej o Mirandzie, dziewczynie, z którą dorastał i którą traktował niemal jak najlepszą przyjaciółkę. Ich matki były druhami na swoich ślubach. W 1937 roku pobrali się.

- Już wtedy wiedziałem, że popełniłem błąd - rzekł Jamie. - Podczas naszej nocy poślubnej...

Lily wzdrygnęła się na te słowa.

-... Miranda zamknęła się w łazience i płakała. Nie chciała wyjść. Powiedziałem jej, że nie musimy niczego robić, że jej nie dotknę, ale ona odmawiała wyjścia.

- Dlaczego?

- Bała się mnie, kochanie się napawało ją przerażeniem. Do tamtej pory żyła pod kloszem i nie miała pojęcia, co się stanie. Przerazało ją to, co musiała jej powiedzieć matka. Zachowywała pozory, aż znaleźliśmy się sam na sam i wtedy coś w niej pękło.

Lily jeszcze mocniej się do niego przytuliła.

- Co zrobiłeś?

- Przespałem się na podłodze - odparł. - Nie można tego nazwać idealną nocą poślubną, ale nie tym się martwiłem, lecz myślą o przyszłości. Kobiety, która tak bardzo się ciebie boi, nie da się łatwo przekonać. W ciągu dnia kochała mnie, owszem, ale nocami napawałem ją przerażeniem.

Lily słyszała w jego głosie ból.

- Sprawiono, że uwierzyła w to, iż mężczyźni są jak bestie, że po zamknięciu drzwi nie są w stanie kontrolować swojej żądz. Później mi o tym powiedziała.

- Nie mogłeś z nią o tym porozmawiać? - zapytała Lily. - Albo z jej matką...?

- To jej matka stanowiła problem - odparł Jamie. - To ona wmówiła Mirandzie, że mężczyźni to bestie. Nie miałem kogo poprosić o pomoc. Musieliśmy jakoś z tym sobie poradzić.

- I poradziście? - zapytała cicho Lily.

- Nie. Nie poradziliśmy. Moja matka i, co doprawdy jest ironią, matka Mirandy wciąż pytają, kiedy usłyszą tupot małych stóp i kiedy zaczniemy meblować pokój dla dziecka. Przed wojną myślałem o rozwodzie, ale potem wstąpiłem do

marynarki i łatwiej było nie robić nic. Rozwód wydawał się porażką, a ja nigdy wcześniej nie doznałem żadnej porażki. Wtedy poznałem ciebie... - Odwrócił się do niej twarzą.

- Walczyłem z tym, Lily, ponieważ czymś niewłaściwym było flirtowanie z tobą, podczas gdy nadal byłem żonaty. Dlatego właśnie nie napisałem do ciebie po weselu. Zaslługujesz na kogoś, kto jest wolny, zasługujesz na to, co najlepsze. Ale...

- Pocałował jej twarz, przesuwając usta od czoła do powiek, wzdłuż nosa aż do miękkości jej warg. - Nic nie byłem w stanie na to poradzić. Dlatego właśnie postanowiłem porozmawiać z tobą dzisiaj, by ci powiedzieć, że mogę się rozwieść. Miranda nie okazała się jednak porażką: nasze fikcyjne małżeństwo oznaczało, że czekałem na ciebie. Ty jesteś moją przyszłością.

Lily poczuła, jak jej serce przeszywa ból.

- Przykro mi, Jamie. Dla nas nie może być żadnej przyszłości. Nawet gdybyś rozwiódł się z żoną, nie mogłabym za ciebie wyjść. Katolikowi nie wolno wziąć ślubu z rozwodnikiem. Zostałabym ekskomunikowana. Nie mogę tego zrobić, nie mogę żyć bez mojej wiary.

Jamie przez chwilę nic nie mówił i Lily poczuła gniew z powodu tego, że nie chciał jej zrozumieć.

- Musisz wiedzieć, czym jest to dla mnie - oświadczyła.

- Zostałam tak wychowana, moja wiara stanowi część mnie, część mojej rodziny. W twoim przypadku jest inaczej. Bóg jest dla mnie ważny.

Gdy wypowiedziała te słowa, oczami wyobraźni ujrzała swoich rodziców na niedzielnej mszy, modlących się, wierzących z całego serca. Ujrzała siebie w dziewiczej bieli w dniu swej pierwszej komunii, gdy serce pękało jej z dumy z powodu tej wyjątkowej okazji. Czy on nie rozumiał, że ona nie może za niego wyjść, ponieważ wtedy już nigdy nie byłaby częścią swojego kościoła? Bóg może wybaczyć jej to, co zrobiła teraz, ale nie więcej, nie ślub z rozwodnikiem.

- Czy ty naprawdę w to wierzysz? - zapytał ostrym tonem. - Że Boga obchodzi to, z kim bierzesz ślub? Jak to rozróżnia? Pamiętam, że kiedy się poznaliśmy, opowiedziałaś mi o tych małych chłopcach, których widziałaś w szpitalu, wyglądających, jakby spali w piżamkach. Kto zdecydował o tym, że zginą? Bóg? Dokonał dobrego wyboru? Nie sądzę i założę się, że ich rodzice myślą podobnie jak ja. Kto zdecydował, że wojna to dobry pomysł? Mówisz mi, że chcą jej zwykli ludzie? - Niemalże krzyczał. - Zwykli ludzie w Niemczech, czy oni chcą, by ich synowie zostali zabici, a córki zginęły pod bombami? Nie.

Lily poczuła się zaszokowana. Często kwestionowała sens wojny. To dlatego, że musiała ścierać krew i pocieszać pacjentów, którzy się obudzili i przekonali, że czeka ich życie osoby po amputacji. Ale wątpliwości zachowywała dla siebie. Kwestionowanie byłoby niełojalne, tak jakby podważała wysiłki włożone w tę wojnę.

- Jeśli to Bóg rządzi tym całym światem, w takim razie mnie się to nie podoba - rzekł ponuro Jamie. - Wojna niczego nie rozwiązuje. Gdyby dawno temu alianci zrobili z Hitlerem to, co trzeba, nie byłibyśmy tu teraz. Zachowujemy się jak owce, Lily. Ktoś inny to rozwiąże, ktoś taki, jak Bóg czy rząd. Jeśli przez cały czas zrzekasz się władzy na rzecz kogoś innego, wtedy otrzymujesz to, na co zasługujesz.

- Nadal wierzę w Boga.

- Ale dlaczego musi istnieć tylko twój konkretny Bóg? Dlaczego Bóg kogoś innego jest niewystarczająco dobry? To strach, wiesz? Nie lubię religii, którymi rządzi strach. Wierz w nas, inaczej spłoniesz w piekle. To nie jest religia miłości. Obecnie wszyscy żyjemy w strachu i nie mogę uwierzyć, że to właściwy sposób na życie. Powinienem dodać, że nie mówię tego po to, by wsadzić ci rękę pod spódnicę, Lily - rzekł miękko.

Lily uśmiechnęła się, wdzięczna za to, że jego gniew minął.

- Wsadziłeś ją nie tylko pod spódnicę - odparła.

- Naprawdę? Hm, może będę to musiał zrobić jeszcze raz. Zaczął ponownie ją pieścić i Lily poczuła, jak jej krew wrze. Nie mieli dla siebie dużo czasu.

- Diana i Maisie niedługo wrócą do domu.

- Zniknę przed ich powrotem, obiecuję - rzekł, po czym uciszył ją pocałunkiem.

Lily leżała pod nim, upajając się ciężarem jego ciała na swoim, i żałowała, że nie może uciszyć swych galopujących myśli z taką łatwością, z jaką on uciszył jej usta. To jest niewłaściwe, tak bardzo niewłaściwe, krzyczało w jej głowie, ale mimo to nie była w stanie przestać. Teraz nie było już powrotu.

Wyszedł o północy, oddalając się ciemnymi ulicami, oświetlając sobie drogę jedynie latarką. Lily nie pytała, czy znowu się spotkają: wiedziała, że tak będzie.

Weszła po schodach i wślizgnęła się do łóżka, które nadal było ciepłe od jego ciała, i otuliła się kołdrą, która wcześniej ogrzewała Jamiego. Czowała się wykończona i zaspokojona, sen jednak nie nadchodził. Potrafiła myśleć jedynie o tym, co właśnie uczyniła.

Będąc z Jamiem, zdradziła swoje wychowanie, swoją religię. Nie musiała nikomu o tym mówić, by wykluczono ją z Kościoła; Wszechmogący już o wszystkim wiedział.

Pomyślała o obrazie Najświętszego Serca Pana Jezusa, który wisiał w każdym katolickim domu w Irlandii. Pod Najświętszym Sercem zawsze paliła się czerwona lampka, obok niego wisiało oprawione w ramkę zdjęcie papieża Piusa XII, pod nim zaś pieczęć papieska.

Widziała swoją matkę, żegnającą się za każdym razem, gdy to mijała, i ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

Ale nie dawało jej spokoju jedno pytanie: skoro ich miłość była tak potężna i sprawiła, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie czuła, w takim razie jak mogła być czymś złym?

Nigdy dotąd nie kwestionowała swojej religii, nawet po tym, co dane jej było oglądać w szpitalu. Kwestionowanie było

wrogiem wiary. Ale czy pradawne instynkty były tak bardzo złe, te potężne instynkty, które rządziły jej kobiecością?

W jej głowie rozległ się silny głos drobnej staruszki.

- Ufaj temu - rzekł ten głos, kładąc małą, powyginaną artretyzmem dłoń na swym sercu. - Serce nigdy nie kłamie, *mo chroi*. - *Mo chroi*, „moje serce” w języku gaelickim. Tak jakby się mówiło „moja kochana”.

Babcia Sive, matka taty. Lily już od wielu lat o niej nie myślała. Nie żyła, niech spoczywa w pokoju, umarła, kiedy Lily miała zaledwie dziewięć czy dziesięć lat. I choć Lily była wtedy jeszcze dzieckiem, wiedziała, że śmierć jej babci był jak koniec pewnej epoki. Odejście historii, tak powiedział jej tata.

Rzeczywiście, babcia Sive - Lily sepleniła jej imię, kiedy była mała, ledwie umiała je wymówić: Sii, a potem Va, złączone w jedną sylabę - była jedną z ostatnich „starych ludzi”, jak to nazywał tata, i nie chodziło mu wcale o wiek.

Babcia Sive chodziła do kościoła i kłaniała się księdzu, ale w jej przypadku chrześcijaństwo znajdowało się po sąsiedzku z dawną religią matki ziemi ludów celtyckich.

Znała godzinę bez patrzenia na zegar kuchenny, wiedziała, jaka będzie pogoda, obserwując lecące do gniazd ptaki, i uważnie obserwowała fazy Księżycy.

Babcia Sive opowiadała Lily historie o walecznej bogini Brigid, która miała moc uzdrawiania chorych. Wyjaśniła, że dla starych ludzi zapalenie świeczek dla Brigid pierwszego lutego było równie ważne, jak Wielkanoc dla księdza. Imbolg, święto celtyckie towarzyszące dniu Brigid, obwieszczało narodziny wiosny, pory owiec i zapowiedź ciepła. Przed jej domem rósł jarzab pospolity i głóg: magiczne drzewa, tak babcia mówiła Lily.

Opowiadała także historie o matce wszystkich irlandzkich bogiń, Danu lub Danie. Lily na drugie imię miała Dana. Mama wołała Lily, imię jednej z sióstr lady Irene, ale babcia

Sive uparła się przy Danie. Ostatecznie poszły na kompromis. Została Lily Daną Kennedy.

Co babcia Sive powiedziała na Jamiego? Odwoływałyby się do krzyża i wiecznego potępienia? Czy też przyłożyłyby swoją starą dłoń do serca Lily i rzekła: „Ufaj temu”?

Lily żałowała, że nie jest bardziej podobna do babci Sive.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Oddział psychiatryczny szpitala w Tamarin był niewielki i składał się z sali z czterema łózkami oraz czterech sąsiadujących z nią pomieszczeń. Był tam pokój telewizyjny z oknami wychodzącymi na morze, „pokój spokoju”, stanowisko pielęgniarek i gabinet lekarski.

Anneliese przebywała tam od pięciu dni i dość miała pytania głównego psychiatry, doktora Eli, czy może już iść do domu. Po raz kolejny ją zbywał.

- Nic mi nie jest - upierała się. - To była pomyłka spowodowana tym, że czułam się otepiała po środkach uspokajających - dodała, gdy siedzieli w niewielkim gabinecie.

Doktor Eli obdarzył ją poważnym, aczkolwiek przyjaznym spojrzeniem.

- Próba utopienia się to nie byle co - powiedział głosem tak spokojnym i wyważonym, że Anneliese chętnie walnęłaby go czymś w głowę, gdyby tylko w gabinecie znajdował się jakiś tępy przedmiot, który nie byłby przybity. Wyglądało na to, że ludzie przed nią już tego próbowali. Na oddziale psychiatrycznym noże i krzesła były plastikowe. Nie było jak wyładować złości.

- Pomyłka w osądzie sytuacji - nie dawała za wygraną. - Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam. Nie jestem szalona, naprawdę. Poza tym choć nie byłam szalona przed zjawieniem się tutaj, teraz taka się robię. Nie znoszę, po prostu nie zno-

szę przebywać w pomieszczeniach, z których nie mogę się wydostać, a nie ma tu nic do roboty i nikogo, z kim by można porozmawiać. To tak, jakby tkwiło się w reality show bez kamer czy możliwości wyboru jedzenia. Proszę mnie wypuścić do domu.

- Wie pani, że leży na oddziale zamkniętym tylko dlatego, że na żadnym innym nie mamy akurat wolnych miejsc - odparł doktor Eli. - Chcę mieć tu panią jeszcze przez kilka dni, by się upewnić, że rzeczywiście czuje się pani tak dobrze, jak twierdzi.

- Czuję się dobrze - jęknęła Anneliese. - Nie da się tego udawać, próbowałam i proszę mi uwierzyć, znam różnicę pomiędzy dobrym a złym samopoczuciem. Chcę wrócić do domu, pooddychać świeżym powietrzem i ponownie poczuć się zdrowa.

Pragnęła stąd wyjść, ponieważ panująca na oddziale atmosfera smutku była trudna do zniesienia. W porównaniu z nastolatkiem zamkniętym we własnym świecie z powodu uzależnienia od narkotyków oraz młodej kobiety z pustym spojrzeniem i zabandażowanymi nadgarstkami po tym, jak próbowała sobie podciąć żyły, Anneliese wiedziała, że generalnie nie jest z nią źle. Jej obecność tutaj była głupią pomyłką. W przypadku tych dzieciaków chodziło o coś znacznie, znacznie więcej i wiedziała, że wyzdrowieje dopiero wtedy, gdy znajdzie się poza tym oddziałem.

- Poza tym - dodała - już nigdy więcej nie chcę mieć do czynienia ze środkami uspokajającymi. Nie chcę czuć otumanienia. Postanowiłam, że wolę, by było tak, jak jest. To właśnie otumanianie było moim problemem. Zbyt intensywnie to robiłam i przestałam jasno myśleć.

- Jak się pani czuje rozmawiając o tym? O tym, co pani zrobiła? - zapytał.

Anneliese gorąco żałowała swego wejścia do morza. Najgorzej było wytłumaczyć swoje działanie Beth, ale z dok-

torem Eli było niewiele łatwiej. Ten człowiek był cholernym monolitem spokoju, nic nie mogło wytrącić go z równowagi i zadawał te same pytania raz za razem, tak jakby ich powtarzanie mogło sprawić, że ona się w końcu podda i udzieli prawdziwej odpowiedzi.

Tyle że Anneliese udzieliła już tej odpowiedzi: „Naprawdę nie wiem, dlaczego wchodziłam coraz głębiej do wody, to wszystko jest mocno mgliste. Nie myślałam jak należy, ale wiem, że nie chcę tego powtórzyć. Popełniłam błąd, naprawdę to był błąd”.

- Och, doktorze Eli - rzekła teraz ze znużeniem - jaka jest właściwa odpowiedź na to pytanie? Jaką odpowiedź chce pan usłyszeć? Że w mojej głowie mieszkają kształty rodem z obrazów Dalego, które wykrwawiają się na podłogę? Że pod T-shirtem mam gigantyczne karaluchy? Wie pan, co było ze mną nie tak? Życie! Moje życie było beznadziejne. Nie odebrało mi rozumu, nie miałam halucynogennego snu, w którym całowałam się z Noddym albo zmieniałam się w konia i chciałam stratować swoją matkę lub poślubić ojca. Nie chcę trafić do referatu dotyczącego freudowskiej analizy kobiety w średnim wieku. Mój problem jest prosty: sięgnęłam dna, próbowałam otumanić swoje myśli i skończyło się to tak, że radośnie ruszyłam na plażę i szłam coraz dalej i dalej.

Przez chwilę panowała cisza, po czym lekarz zapytał gładko:

- Jak się pani czuje, mówiąc o tym?

Śmiech wezbrał we wnętrzu Anneliese, po czym wy dostał się na zewnątrz. Ten dźwięk zaszokował ją na chwilę, ponieważ minęło tak dużo czasu, odkąd po raz ostatni się śmiała. „Jak się pani czuje, mówiąc o tym?” Uznała, że tego nie dałoby się wymyślić. Czowała się, jakby została uwięziona w odcinku *Fra-siera* skrzyżowanego z *Lotem nad kukulczym gniazdem*.

- Ogląda pan czasem *Frasiera*, doktorze Eli? - zapytała. - No wie pan, ten serial komediowy o psychiatrze, którzy ma radiowy talk show w Seattle.

- Nieszczególnie - mruknął lekarz. - Rzadko oglądam telewizję.

- Jest bardzo zabawny. Powinien pan to oglądać. Spodobałby się panu, mimo że trzeba umieć śmiać się z samego siebie, a to nie zawsze jest łatwe...

- Wracając do pani...

- Nie, nie wracając do mnie - przerwała mu Anneliese. - Nie staram się być teraz niegrzeczna, doktorze EU, ale chciałabym wrócić do domu i skończyć z tym. Czy może mnie pan wypisać?

- Jeszcze jeden dzień? - zapytał.

Anneliese pomyślała, że Beth byłoby łatwiej, gdyby jej matka została wypisana w sposób należyty, a nie wyszła na własne żądanie. Anneliese wiedziała, że zgodnie z prawem może opuścić szpital, ale miała wyrzuty sumienia, że sprawi ból ciężarnej córce, i postępowanie zgodnie z zasadami wydawało się jej dobrym rozwiązaniem.

- Jeszcze jeden dzień - zgodziła się. - Teraz leci właśnie *Kocham Lucy*, przydałaby się wam tutaj telewizja satelitarna, doktorze Eli. Komedia wielu z nas pomogłoby szybciej dojść do siebie.

- Tak pani myśli? Kiwnęła głową.

- Terapia z zastosowaniem seriali komediowych powinna stanowić powszechną formę analizy, częściowo kognitywno-behawioralną, częściowo zabawową. A ja uśmiecham się na samą myśl o tym, czyż to nie postęp?

Po wyjściu doktora Eli Anneliese udała się do pokoju telewizyjnego i usiadła przy jednym z okien z widokiem na morze. Okna miały od zewnątrz kraty. Aby szaleńcy pozostawali w środku albo reszta świata na zewnątrz - Anneliese nie wiedziała, która odpowiedź jest właściwa. To dziwne, ale przyzwyczaiła się już do krat. Przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny, kiedy leżała otepiała w łóżku, nienawidziła ich i tego, co sobą reprezentowały. Jej upadek.

To było natychmiastowe: w jednej chwili stała na plaży, nadal będąc Anneliese, matką Beth, jeszcze żoną Edwarda, oddaną pracownicą sklepu Lifeboat. Ułamek sekundy później była kobietą, która próbowała się utopić w zdradliwych wodach zatoki. Wystarczył cień wątpliwości i jej całe życie uległo zmianie.

Edward zjawił się w szpitalu po tym, jak ją przywieziono, a jej było wszystko jedno, że ją widzi.

- Idź sobie stąd! - krzyknęła na niego schrypniętym głosem. Ubrana była w szpitalną koszulę nocną, ponieważ jej całe ubranie było przemoczone. - Idź stąd.

Odszedł i choć Anneliese wiedziała, że był zdruzgotany tym, co się stało, miała gdzieś jego ból. Niech sobie cierpi. Niech się przekona, jak to jest.

Z Beth było inaczej.

- Jedzie tu twoja córka, by cię odwiedzić, Anneliese, miło, prawda? - rzekła nazajutrz rano jedna z pielęgniarek, ta wysoka z ciemnymi włosami.

Wtedy właśnie przeszło ją poczucie wstydu. Jej kochana ciężarna córka jechała, by się z nią zobaczyć, a wczoraj wieczorem najpewniej zadzwoniono do niej z wiadomością, jakiej nikt nigdy nie miałby ochoty usłyszeć. Anneliese wyobraziła sobie konsternację i ból na twarzy Beth; wyobraziła sobie, jak oparła się plecami o ścianę, trzymając rękę na brzuchu, i pytała: „Nie, to nie może być prawda?”.

Ona to zrobiła. Jej. Kobieta, która przez całe życie opiekowała się Beth, w spektakularny sposób przestała to robić. Beth mogła przecież z szoku zacząć rodzić, i to byłaby tylko i wyłącznie wina jej, Anneliese.

Po raz pierwszy, odkąd dzień wcześniej przyjęto ją do szpitala w Tamarin, Anneliese wyszła ze swej skorupy i zaczęła płakać. Wcześniej sądziła, że mogłaby po prostu zniknąć z tej planety i nikogo by to nie obeszło. Myliła się.

Beth pojawiła się w porze lunchu. Z łóżka, na którym siedziała oparta o poduszki, ponieważ czuła się tak straszli-

wie zmęczona, Anneliese widziała, jak Marcus i Beth wchodzą na oddział. Nawet napięcie na twarzy jej córki nie było w stanie zetrzeć blasku rychłego macierzyństwa. Skóra Beth naprawdę promieniała, a jej włosy opadały lśniąca falą na ramiona. Wyglądała jak z reklamy w magazynie o ciąży. Tyle że w magazynach o ciąży nie umieszczano zdjęć zrobionych na oddziałach psychiatrycznych.

Anneliese przełknęła głośno ślinę, po czym się rozszlochała.

- Mamo! - Beth gestem pokazała Marcusowi, by został z tyłu, po czym podbiegła do matki i przytuliła ją. - Tak strasznie się martwiłam, mamo. Nie mogłam uwierzyć...

- Wiem: że zrobiłam coś tak głupiego. Przepraszam, tak bardzo przepraszam - zaszlochała Anneliese.

- Mamo, jak mogłaś myśleć o zrobieniu czegoś takiego? Jak mogłaś?

Anneliese tuliła się do swej córki i obietnicy pierwszego wnuka, i ponownie zalała ją falą wstydu. Proszę, co najlepszego zrobiła.

Anneliese wiedziała, że istnieje tylko jeden sposób na to, by to naprawić i uczyniła krok w stronę swego dawnego życia.

- To był błąd, skarbie, nie myślałam jasno. Tak mi przykro, nie masz nawet pojęcia, jak bardzo. Wzięłam zbyt wiele proszków uspokajających i zrobiłam coś, czego już zawsze będę żałować. Popęłam głupi błąd, uwierz mi.

- Och, mamo.

Anneliese poczuła, jak ciało Beth opuszcza część napięcia i wiedziała, że zrobiła to, co należało.

- Tak bardzo się martwiłam, nie masz nawet pojęcia. Tata zadzwonił i w pierwszej chwili to do mnie nie dotarło. No bo przecież... ty byś nigdy...

- Przepraszam - rzekła miękko Anneliese. - Bardzo przepraszam.

Nade wszystko pragnęła powiedzieć Beth prawdę o tym, jak się czuje, ale nie mogła. Nie teraz, gdy jej córka była w ciąży. Prawdopodobnie nigdy. Dawno temu podjęła decyzję o niewysyłaniu córki na pierwszą linię.

Powie Beth to, co musi ona usłyszeć, i będzie się modlić o to, by wyznanie, że to był błąd, zmyło z niej ten straszny wstyd z powodu tego, że skrzywdziła swą córkę. A więc nie była uczciwa. Ale mogłaby umrzeć z bólu, gdyby powiedziała prawdę. A teraz, gdy Beth ją przytulała, Anneliese uświadomiła sobie, że jednak nie chce umierać.

- Wszystko będzie dobrze - rzekła uspokajająco i ze zdumieniem się przekonała, że rzeczywiście tak będzie.

W tej dokładnie chwili, kiedy powinna się czuć gorzej niż kiedykolwiek wcześniej, ona poczuła dziwny przyływ ulgi, ponieważ znalazła się na samym dnie, od którego udało jej się odbić i nadal tu była, nadal oddychała. Pomimo strachu udało jej się przetrwać. Była w stanie przetrwać wszystko. Myśl ta zapewniła jej promyk prawdziwego spokoju.

Zupełnie jakby wskoczyła do przepaści i zamiast spadać bez końca, opadła na trampolinę - czy też bambolinę, jak mówiła Beth, gdy była mała - i odbiła się od niej.

„Nie chcemy cię, więc lepiej jakoś z tym sobie poradź” - oświadczył z irytacją tamten świat.

- Wszystko będzie dobrze - powtórzyła i tym razem naprawdę tak uważała.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie i nie powiedziałaś, jak się czujesz? - kontynuowała Beth. - Mamo, moim zadaniem jest wspieranie cię, wiesz o tym.

- Przepraszam - powtórzyła, przytulając ją mocno.

W końcu zbliżył się Marcus i przysiadł na skraju łóżka. Nie poruszał tematu, dlaczego jego teściowa wylądowała na oddziale psychiatrycznym. Kochany Marcus, dobry był z niego człowiek.

Powiedziała mu to, kiedy on i Beth zbierali się do wyjścia.

- Dbaj o nią - wyszeptała mu do ucha. - Przepraszam za to wszystko, Marcus. Ale wszystko będzie dobrze. Nie zamierzam próbować ponownie.

Marcus kiwnął głową i w jego oczach dostrzegła znamieny błysk.

Beth wróciła następnego dnia i Anneliese zebrała w sobie tyle energii, by wyglądać dziarsko i oświadczyć córce, by wróciła do domu, i że nic jej nie będzie.

- Jesteś pewna? - zapytała Beth.

Anneliese, zamieszkująca już strefę posiadania kontroli, kiwnęła głową.

- Oczywiście, że tak - rzekła z mocą. - Jedź do domu i zajmij się tym dzieckiem. Ja sobie poradzę. Za kilka dni mnie wypuszczą i już się nie mogę doczekać powrotu do domu i zostawienia tego wszystkiego za sobą.

Udało jej się powiedzieć to z taką werwą, jakby to, co się wydarzyło, było drobną usterką, a nie próbą samobójczą.

- Cóż... - zawahała się Beth.

- Kochanie. - Anneliese użyła tonu takiego, jak wtedy, gdy Beth chodziła do podstawówki i w zimowe poranki nie chciała wyjść z łóżka. - Nic mi nie będzie.

- No dobrze, mamó - odparła Beth, akceptując ten fakt.

Anneliese poczuła ulgę, że udało jej się przekonać Beth, iż czuje się dobrze, mimo że tak nie było. Ale razem z ulgą czuła też pewną dozę smutku, że córka tak ochoczo jej uwierzyła.

Anneliese nigdy nie знаła sekretów swej matki, tak samo, jak nie znała sekretów kochanej Lily. Ale kiedyś sądziła, że ona i Beth będą się dzielić wszystkim. Tak się jednak nie stało. Ta silna jak stal więź między matką a dzieckiem nie zawierała także tego. Być może w przeciwnym wypadku uległaby osłabieniu.

Matki miały być matkami, a nie osobami, które zwierzają się dzieciom ze wszystkiego, co siedzi w ich duszach.

Beth nie musiała wiedzieć, że Anneliese miała teraz dwie bliźny, które nigdy się nie zagoją. Pierwsza była za to, jak bardzo skrzywdziła Beth, próbując się zabić. Druga związana była z dotarciem do punktu, gdzie śmierć wydawała się najlepszym rozwiązaniem. To było niczym punkt w mitycznej podróży, miejsce, które zmienia kogoś tak bardzo, że już nigdy nie jest taki sam, jak przed jego odwiedzeniem.

Kiedy Beth wyszła, Anneliese pozwoliła, by odpłynęło uczucie, że jest kontrolującą matką. Jeśli trzeba, mogła je z powrotem przywołać, ale aby wyostać się stąd, musiała pozbyć się dawnej Anneliese.

- Anneliese.

Podniosła głowę. Siedziała przy oknie w sali telewizyjnej. To była jej ulubiona pielęgniarka, ta z ciemnymi włosami.

- Witaj, Michelle - rzekła.

- Masz gościa, Anneliese - powiedziała Michelle.

- Kogo?

- Mnie, osobę, która cię wyciągnęła.

Wcześniej sądziła, że ta potężna postać kryjąca się za Michelle, to inny pacjent, tak jednak nie było. To był ten facet od morskiej ekologii. Mac, mężczyzna, którego starała się unikać na plaży, mężczyzna, który wyciągnął ją z wody.

- Zostawię was samych - rzekła Michelle i oddaliła się. Anneliese patrzyła na Maca z uczuciem zakłopotania.

Był tam tamtego dnia: to zupełnie, jakby widział ją naga.

- Jak się tu dostałeś? - zapytała ostro. Nie miała ochoty na uprzejmości.

- Odwiedzałem kogoś i pomyślałem, że zajrzę i się przywitam.

Chciałem sprawdzić, jak się czujesz. To w końcu ja wyciągnąłem cię z wody.

- Wcale o to nie prosiłam - odparła z irytacją Anneliese. Nie do końca było to prawdą, ponieważ chciała tego. Uratował jej życie. - Przepraszam - powiedziała nagle. - Rzeczy-

wiecie mnie wyciągnąłeś, dziękuję ci. Chodzi po prostu o to, że w tej akurat chwili nie mam zbyt ochoty na kontakty towarzyskie - dodała. - To nie jest miejsce na udawanie i uprzejme uśmiechy. Wygląda na to, że utraciłam zdolność ukrywania prawdy.

Także nie do końca prawda. Wcześniej dla Beth udawała, że wszystko jest dobrze. Ale nie miała zamiaru robić tego dla nikogo innego. Koniec z udawaniem, że nie bolało jej to, że Edward ją zostawił. Koniec z udawaną uprzejmością i szczęściem. Jakież to wyzwalające.

- Masz ochotę iść napić się kawy? - zapytał. Anneliese spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- To oddział zamknięty - odparła.

- Czas wolny za dobre zachowanie. Miałem już tu okazję być i znam zasady. Mogę cię stąd wyprowadzić, jeśli masz ochotę wypić ze mną kawę. Oczywiście jeśli nie przyprowadzę cię z powrotem w umówionym czasie, to wyślą za nami psy. Ale my będziemy mieć nad nimi przewagę.

Anneliese roześmiała się. Wspaniale było znowu naprawdę się śmiać.

Siedzieli przy stoliku, pijąc kawę. Dobrze było znaleźć się poza oddziałem, gdzie Anneliese spędziła pięć ostatnich dni. Z prawdziwą przyjemnością obserwowała poruszający się wokół nich świat.

- Dzięki za kawę - rzekła. - Choć to ja powinnam ci ją postawić. Jestem w końcu twoją dłużniczką.

- Niczego nie jesteś mi winna - odparł. - Tak się akurat złożyło, że znalazłem się tam we właściwym czasie.

- Jesteś bardzo wyluzowany, jeśli chodzi o tę całą akcję „ratujmy kobietę przed utopieniem się” - rzekła z zaciekawieniem.

Jakoś sobie nie wyobrażała, że pierwsza z brzegu osoba siedziałaby z takim spokojem w towarzystwie kogoś, kogo wyciągnęła z morza. Mac nie obserwował jej czujnie, tak jakby

spodziewał się, że zacznie zawodzić i rzuci się ze smutkiem na stolik.

- Sam byłem kilka razy na krawędzi, więc trochę to rozumiem - stwierdził. - Na tym właśnie polega życie: balansowaniu na krawędzi.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Po prostu - odparł.

- Byłem, zrobiłem, dostałem T-shirt, co? Uśmiechnął się powoli.

- Kupiłem fabrykę produkującą te T-shirty.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła.

- Nie masz ochoty wysłuchiwać historii mojego życia. Uśmiechnęła się szeroko.

- Właściwie to mam. Przed Morzem - powinnam może używać skrótu, PM, co? - nigdy nie byłam taka szczera, teraz Po Morzu, owszem. Nowa i ulepszona Anneliese mówi wszystko tak, jak jest. Bez owijania w bawełnę.

Wypili po jeszcze jednej kawie, gdy tymczasem on opowiedział jej swoją historię alkoholizmu, nieudanego małżeństwa i dwóch dziewczynek, na których wybaczenie po dziesięciu latach trzeźwości miał nadzieję. Nie mógł im jednak zwrócić dzieciństwa, tak samo jak jego rodzice-alkolicy nie mogli zwrócić go jemu.

- Zastanawiasz się czasami, dlaczego ci się to przytrafiło? - zapytała Anneliese.

Miała problem z poukładaniem właśnie tego w swojej głowie: dlaczego wszystko się zepsuło? Człowiek, który miał predyspozycje do uzależnień musiał to chyba rozumieć?

- Pewien mądry człowiek powiedział mi kiedyś, że kiedy ktoś wpada w dziurę, myśli: „Jak się z niej wydostać?”. Ale kiedy w dziurę wpada alkoholik, myśli sobie: „Dlaczego wpadłem do tej dziury?”.

Anneliese zaśmiała się.

- To ma sens, no nie? - zapytał Mac.

Kiwnęła głową.

- Dla mnie tak. Właściwie to nawet bardzo. Przez całe życie za każdym razem, gdy wpadałam w dziurę, zastanawiałam się dlaczego, zamiast się z niej po prostu wydostać.

- „Dlaczego” dla niektórych jest zabójcze - wzruszył ramionami. - Czemu nie można czegoś po prostu zaakceptować? Przestać pytać dlaczego, pójść dalej i starać się odnaleźć spokój.

- Ja odnalazłam spokój - oświadczyła z pewną dozą dumy. - Wcześniej szukałam wszędzie znaku, że wszystko się uda. Czytałam książki, próbowałam medytować, słuchałam płyt, a w końcu siedziałam w kościele i modliłam się o jakiś znak, tyle że żaden się nie pojawił. Ale szukałam go nie tam, gdzie trzeba. Znakiem jestem ja sama. Wciąż tu jestem, więc pewnie takie jest moje przeznaczenie. To mój znak. Wiesz co, to uczucie spokoju jest bardzo dziwne. Ośmielę się powiedzieć, że to dar. Prosiłam o pomoc i oto nadeszła. Praktycznie w ostatniej chwili - dodała cierpko. - Nie dało się już później, ale nadeszła. Ty nadszedłeś. Anioły, Bóg, sama nie wiem, kto za tym stoi. Ale bez względu na to, kto to taki, czuję wdzięczność.

- Cieszę się, że tam byłem.

Znajoma Anneliese zobaczyła ją i pomachała ręką, po czym znieruchomiała. Jej ręka opadła, a mina zrzędła. Anneliese uśmiechnęła się i odmachwała.

- Biedactwo - rzekła życzliwie. - Pewnie zapomniała na ułamek sekundy, że jestem tu, ponieważ próbowałam się zabić, i teraz nie wie, jak się zachować. Może nie udało mi się zabić, ale prawdopodobnie popełniłam samobójstwo towarzyskie. - Roześmiała się. - Powinniśmy się ze sobą spotykać, Mac. Pasowałoby, nie? Ty jesteś alkoholikiem, a ja niedoszłą samobójczynią. - Uśmiechnęła się do niego promiennie. - Tworzylibyśmy uroczą parę. Ludzie baliby się zapraszać nas do swoich domów: martwiliby się tym, że ty zobaczysz

butelkę wina i stracisz nad sobą panowanie, a także tym, że ja spróbuję wbić w siebie kuchenne noże.

- A przy każdej wzmiance na temat plaży czy morza milkliby, bojąc się, że zaczniesz płakać.

To było takie absurdalne, że oboje zaczęli się śmiać. Anneliese wiedziała, że inni ludzie pewnie patrzą na nich, ale nie przejmowała się tym. Udało jej się wyjść z otchłani. Nie lada wyczyn, prawda?

- Jak doszło do tego, że pracujesz w ratownictwie morskim? - zapytała.

- Woda morska była jedynym płynem, którego nie próbowałem pić - odparł z udawaną powagą.

Anneliese zaśmiała się głośno.

- Okej, dlaczego nie rozważyłeś kariery komika?

- Nie mam aż takiej depresji.

- Miałeś kiedyś depresję? - zapytała powoli.

- Nie. Kiedyś niczego nie czułem. Jak tylko zaczynałem, uciszałem to alkoholem. Nie zostały mi żadne uczucia, odnośnie do których mógłbym czuć depresję. A ty?

- Tak, przez większą część mego życia. To niezupełnie coś, co spada na ciebie i już, jak twierdzą niektórzy. Dla mnie depresja jest czymś niezwykle subtelnym, co wślizguje się niczym kolonia termitów, zjadających ci wszystko w domu, przegryzających się przez... Jak się nazywają te najważniejsze części?

- Belki?

- Właśnie. Belki. Te termyty zjadły wszystkie belki. Zniszczyły mnie, przekształciły w osobę lubiącą rządzić innymi, a przynajmniej tak twierdzi moja córka. - Anneliese skrzywiła się na wspomnienie Beth, oskarżającej ją o to, że próbuje wszystko kontrolować. - I... - Urwała.

-I?

Westchnęła.

- Czy mogę ci wszystko powiedzieć? Czuję, że tak, ale czy mogę?

- Powiedz wszystko - odparł. - Mnie nie da się zaszokować.

- Myślę, że prawdopodobnie zniszczyłam swoje małżeństwo. - Proszę, wypowiedziała to na głos, tę straszną myśl, która prześladowała ją przez kilka ostatnich dni. Że ponosiła większą odpowiedzialność za odejście Edwarda niż ta głupia Neli. Że to jej wycofanie się w smutek odepchnęło go od niej. - Nie wiem, czy wiesz, ale wcześniej tego roku mój mąż zostawił mnie dla mojej najlepszej przyjaciółki. Częściowo właśnie to pchnęło mnie na samą krawędź. Ale zaczynam sobie uświadamiać, że życie ze mną wcale nie było łatwe. Zgoda, nie trzaskałam drzwiami ani nie rzucałam talerzami, ale na mój własny cichy sposób było ciężko. Sama z tym sobie chciałam radzić, więc odepchnęłam od siebie Edwarda i nie rozmawiałam z nim o tym, co czuję. W ciągu ostatnich pięciu dni więcej opowiedziałam tutejszym lekarzom o tym, co się dzieje w mojej głowie niż Edwardowi przez nasze całe małżeństwo.

Mac nie odzywał się. Słuchał. Uznała, że dobry z niego słuchacz: jego uwaga nie słabła ani na chwilę.

- Z olbrzymią niechęcią przyznaję się do tego, że to była moja wina. To jest jak porażka, a ja nie znoszę porażek, ale muszę wziąć na siebie winę, czy też jej większość. Odrzuciłam go i gdyby to było odwrotnie, gdybym to ja była żoną kogoś, kto by mnie wyrzucił z tej części swego życia, też chciałabym odejść. Kiedy nasza córka dorosła, odrzuciłam go jeszcze bardziej.

Anneliese czuła, jak na myśl o Beth ściska ją w gardle. To nie wina jej ukochanej córki, ale kiedy Beth była młodsza, potrzebowała ochrony i Anneliese jej ją zapewniała; jeśli to oznaczało śmiech i śpiewanie na cały głos rankiem, robiła to, robiła wszystko, co trzeba było, by uczynić ich świat szczęśliwym i normalnym.

Kiedy Beth odeszła, nie trzeba już było nikogo ochraniać. Ogień w kominku miłości do męża dawno wygasł, pod-

czas gdy Anneliese zajęta była dokładaniem do ognia miłości do córki.

- Neli powiedziała mi, że już się nim nie interesowałam - rzekła powoli. - I miała rację. Kochałam go, troszczyłam się o niego, zgoda. Ale nie tak, jak kiedyś.

Było coś niezwykle oswabadzającego w wypowiedzeniu na głos swych myśli. W głowie te słowa posiadały taką ciemną moc, ale kiedy wypowiedziała je do drugiego człowieka, a ten nie wzdrygnął się z przerażeniem, ogarnęła ją obezwładniająca ulga.

Anneliese nie miała pewności, czy niekończące się rozmawianie o problemach pomaga - jej nigdy nie pomagało. Ale z całą pewnością pomagało to, że bez oporów wypowiedziała na głos tę absolutną, nieposkromioną prawdę.

- Przyjęłabyś go z powrotem?

Anneliese nie wiedziała dlaczego, ale temu pytaniu nie towarzyszyła śmiała bezpośredniość wszystkich poprzednich.

- Nie - odparła. - Wątpię zresztą, by choć jedno z nas było w stanie cofnąć się. Zmieniłam się. Teraz jest inaczej. Nie łam, by wszystko było jak dawniej, marzyłam o tym. Trudno było pojąć to, że przez cały czas wierzyłam w pewną rzeczywistość i się myliłam. Edward mnie oszukiwał, Neli także. Sądziłam, że świat był płaski, a przecież był okrągły.

- A teraz?

- Teraz wiem, że ja sama także się oszukiwałam, ponieważ żyłam tak, jakby nasze małżeństwo było cudowne, a to nieprawda. Pod koniec żadne z nas nie dzieliło z tym drugim swych najgłębiej skrywanych myśli. Ja zachowywałam swoje dla siebie, a on swoje dzielił z Neli. Raczej nie można nazwać tego szczęśliwym, podręcznikowym małżeństwem.

- Moja żona i ja rozstaliśmy się w drugim roku mojej trzeźwości - powiedział niepytany Mac. - Wytrzymała ze

mną, gdy piłem, wytrzymała koszmar pierwszego roku bez alkoholu, a potem ja odszedłem. Nigdy mi tego nie wybaczy, ale za bardzo się zmieniłem. Nadszedł czas, by zostawić za sobą przeszłość i ruszyć dalej.

Anneliese rozumiała. Powrót byłby cudowny, ale nie istniała taka opcja.

- Nie znaczy to, że Edward prosi, bym przyjęła go z powrotem, ale nawet gdyby tak się stało, nie byłabym w stanie tego zrobić. Lubię wolność, jakiej teraz doświadczam.

Mac uśmiechnął się do niej szeroko.

- Jestem wolna, by być sobą - kontynuowała. - To daje takie poczucie swobody. Mogę mówić to, co chcę.

- Na przykład?

- Mam ochotę powiedzieć kochanej Corinne, z którą pracuję w sklepie Lifeboat, że jeśli jeszcze raz zamacha mi przed nosem jakimś śmierdzącym słoiczkiem i oświadczy, że on zmieni moje życie, uduszę ją jej naszyjnikiem z kamieni księżycowych.

- Kamienie księżycowe?

- Dobrze dla przepływu życiowej energii.

- Jest energiczna?

- Nie, biedactwo, to najmniej energiczna osoba, jaką znam - zaśmiała się Anneliese. - Jej idea ćwiczeń to siedzenie na krześle i opowiadanie innym ludziom, co robią nie tak.

- A więc te kamienie księżycowe się nie sprawdzają?

- Nie, ale nie umiałam jej tego powiedzieć - jęknęła Anneliese. - Nie chcę jej ranić.

- Sądziłem, że mówisz to, na co masz ochotę? A więc ostatecznie jesteś miłą osobą.

- Tak - westchnęła. - Jestem miła. Nie chcę ranić innych.

- W takim razie komu innemu? - zapytał. - Komu innemu możesz powiedzieć to, co myślisz, nie martwić się, że go zranisz?

- Bardzo bym chciała powiedzieć Neli, że to całe układanie włosów, malowanie ust szminką i zastawianie sieci na męża swej rzekomo najlepszej przyjaciółki nie stanowi przepisu na długie i szczęśliwe życie. Prawdę powiedziawszy to ona nie jest odpowiednia dla Edwarda.

- Czy ta rada pochodzi z twojej głowy czy serca? - zapytał. - Przemawia przez ciebie gorycz czy rozsądek?

- Podoba mi się w tobie to, że niczego nie lukrujesz

- odparła.

- Lukrowanie jest dla mięczaków. Nie zapisze się na spotkania AA, jeśli jest się mięczakiem.

- A posypywanie cukrem pudrem?

- W żadnym wypadku. Żadnych posypek, koniec kropka. Spotykamy się nadzy. Trudno jest coś ukrywać, gdy jest się nagim.

- Jakiż straszny obrazek to przywołuje - roześmiała się Anneliese. - Ta rada pochodzi z głowy, nie z serca - dodała po chwili zastanowienia. - Edward jest złożony, choć może się wydawać prostym człowiekiem, i potrzebuje kogoś, kto to rozumie. Sama Neli jest dość nieskomplikowana: wszystko na talerzu. To znaczy z wyjątkiem ukradzenia mi męża. Ale generalnie Neli to Neli. Żadnych dodatków, żadnych ukrytych gratisów. Edward lubi te ukryte gratisy, choć myślę, że moich miał w końcu dosyć.

- Ty masz nie tyle ukryte gratisy, co ukryte labirynty

- stwierdził Mac.

- To nieco bezczelne ze strony osoby, która dopiero co mnie poznała - rzekła lekko. Ale nie poczuła się urażona, co to, to nie.

- Kiedy stąd wychodzisz? - zapytał, gdy wracali schodami na oddział.

- Czy też planujesz odegrać szpitalne załamanie?

- Jutro, o ile wieczorem nie stracę nad sobą kontroli i nie oszaleję.

- W takim razie jutro. Zjawi się ktoś po ciebie? Wzruszyło ją to. Było jasne, że sam się oferuje, że może to zrobić.

- Mam zamiar poprosić moją przyjaciółkę, Yvonne. Znamy się od niepamiętnych czasów i jest ona jedną z niewielu osób, których nie spieszy zjawienie się tutaj.

- No to do zobaczenia - rzeki i w ramach pożegnania dotknął przelotnie jej dłoni.

Leżąc w łóżku, Anneliese zamknęła oczy.

Pozwolenie na odejście. Mac mówił o tym, by pozwolić odejść przeszłości. To był całkiem przyjemny pomysł: jak odcięcie wszystkich starych więzów, tak by była wolna i mogła zacząć od początku.

Pozwolenie na odejście: tak, podobał jej się ten pomysł, bardzo jej się podobał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Izzie zawsze uwielbiała Nowojorski Tydzień Mody. Dwa razy w roku piękny Bryant Park na Szóstej Alei przekształcano w centrum mody, gdzie na pokazach zjawiali się najlepsi światowi projektanci, modelki, miłośnicy mody i pieski sław - plus właściciele. W piątkowy ranek, dzięki ogromnemu nakładowi pracy, pośrodku tego ładnego placu stało wiele ogromnych białych namiotów. Wszystkie żelazne stoliki i krzesła zostały przeniesione pod drzewa.

Była pora lunchu, wrześniowy dzień był duszny i parny i ludzie ochoczo skrywali się pod rozłożonymi nad stolikami parasolami, chroniąc się przed słońcem. Pili kawę i wodę, czekając jednocześnie na rozpoczęcie kolejnego pokazu. Po opuszczeniu tkwiącej w korku taksówki na Czterdziestej Drugiej i przejściu pieszo ostatnich kilkuset metrów, Izzie miała wrażenie, jakby Bryant Park stanowił oazę spokoju, drzemącą pod czujnymi spojrzeniami otaczających go wysokich budynków.

Ten spokój był jednak pozorny. Izzie miała w ręku harmonogram pokazów na wiosnę/lato, wiedziała więc, że rozpoczynają się o dziesiątej rano i trwają aż do piątej po południu, nowy pokaz o każdej pełnej godzinie. Poza tym nie wszyscy projektanci korzystali z namiotu - niektórzy mieli pokazy w pobliskich hotelach i restauracjach i ludzie pracujący w branży modelingowej musieli się sporo nabiegać od miejsca do miejsca, w nadziei, że wszystkie modelki się po-

jawiły, gorączkowo dzwoniąc po zastępstwo, jeśli nie, i generalnie starając się nie panikować.

Bookerki brały w tym wszystkim udział tylko wtedy, gdy udało im się zdobyć od projektantów cenne bilety, i kiedy Izzie pracowała w Perfect-NY, oglądała corocznie całkiem sporo pokazów.

To był jej pierwszy Tydzień Mody jako szefowej własnej agencji i choć tak naprawdę nie musiała się tutaj zjawiać, modelki SilverWebb brały udział w jednym z pokazów, więc Izzie postarała się zdobyć na dzisiaj bilety i akredytacje uprawniające do wejścia za kulisy. Najbardziej liczący się projektanci prawie nigdy nie korzystali z usług większych modelek, ale Seldi Drew, nowa żywiołowa firma designerska, prowadzona przez parę z Florydy, zaprojektowała całą linię dla zwykłych kobiet. Pokaz odbywał się w głównym namiocie o drugiej, ale przed nimi był inny pokaz, co oznaczało, że za kulisami mnóstwo będzie ludzi od makijażu, fryzur, ubierania modelek i produkcji.

W pokazie brało udział osiem dziewcząt Izzie i zdążyły już mieć próbę z producentem Seldi Drew, który chciał się upewnić, że poruszają się w odpowiednim tempie do pulsującego, rytmicznego beatu. Czasami po pokazach Izzie bolała głowa od muzyki, ale modelki zawsze twierdziły, że łatwiej się idzie po wybiegu, gdy słyszeć głośnie uderzenia, więc uwielbiały basy.

O wpół do drugiej wszystkie dziewczęta SilverWebb miały już zrobiony makijaż i fryzury, pojawiły się wszystkie modelki i nastąpiła tylko jedna pomniejsza katastrofa, kiedy Feliz Guadalupe, jeden ze stylistów Seldi Drew, znalazł modelkę w czarnych stringach zamiast cielistych.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zaskrzeczał na zaskoczoną dziewczynę. - Może być je widać przez ubrania!

Izzie poczuła ulgę, że winowajczynią nie jest żadna z modelek z SilverWebb.

- Feliz, uspokój się - poleciła mu. - To jeszcze nie koniec świata. Proszę - rzekła do dziewczyny, wyciągając z torby

nowy trójpak stringów Gap. Może i nie spędziła szczególnie dużo czasu za kulisami podczas pokazów, ale wiedziała dość, żeby być przygotowaną.

- Prawdziwa z ciebie harcerka - zaśmiała się modelka.

- Zgadza się - przyznała Izzie i uściskała szybko Feliza, by przerwać to pasmo grozy. Oparł się o nią, drżąca masa ujędrnionego na siłowni, ubranego w ciuchy Hediego Slima-ne'a miłośnika mody.

- Nic mi nie jest, nic mi nie jest - rzekł, wachlując twarz dłonią. - Szok, wiesz?

- Wiem - odparła Izzie.

Kryzys został zażegnany, Feliz powrócił do stylizowania modelek. Zaczęła dzwonić komórka Izzie, którą wsadziła do kieszeni spodni, by czuć wibracje.

- Hej, jak idzie? - zapytała Carla.

- Świetnie.

- Ktoś dzwonił i cię szukał - kontynuowała przyjaciółka. - Jakaś Caroline Montgomery-Knight.

- Nic mi to nie mówi - wzruszyła ramionami Izzie. - Zostawiła swój numer?

-Tak.

Carla podyktowała go jej, a Izzie szybko zapisała. Pomyślała, że naprawdę musi zrobić porządek w swojej torbie, ponieważ pełno w niej było małych karteczek i numerów, a jeśli dodać do tego wizytówki agencji umieszczone starannie w zewnętrznej kieszeni, nie wspominając już o takich niezbędnych rzeczach, jak stringi, noszenie jej było niczym dźwiganie worka z kartoflami.

Wystukała zapisany numer i została połączona z pocztą głosową. Odezwał się wytworny, kobiecy głos i Izzie nie miała pojęcia, czy to linia prywatna, czy służbowa. Zostawiła swoje nazwisko i numer komórki. Jeśli ta Caroline będzie chciała z nią rozmawiać, to zadzwoni.

Izzie jakoś specjalnie na tym nie zależało. Trudno jej się było ostatnio skupić na czymkolwiek. Nie pozbierała się jesz-

cze po lunchu z Joem. Nie zadzwonił do niej od tamtej pory, z czego była zadowolona. Zadowolona, ponieważ wciąż nie wiedziała, co ma zamiar zrobić.

Ona i Carla prowadziły na ten temat niekończące się rozmowy.

- Jak bardzo pragniesz mieć własne dzieci? - pytała ją przyjaciółka w stylu adwokata diabła. - Mogłabyś się pogodzić z tym, że ich nie będziesz mieć?

Za każdym razem Izzie udzielała tej samej odpowiedzi: nie wiem. Kochała Joego, ale oczami wyobraźni widziała ich przyszłość z prześladowającym ją tym pytaniem. Czy obudzi się pewnego dnia, kiedy będzie już za stara na dzieci, i będzie żywić urazę do Joego za to, że powstrzymał ją od ich urodzenia? A gdyby namówił go na wspólne dziecko, to czy on miałby żal do niej, że ma to wpływ na jego relacje ze starszymi dziećmi?

I czy jego dzieci kiedykolwiek by ją zaakceptowały? Czy Josh, Matt i Tom pokochaliby ją kiedyś?

Na te pytania nie było odpowiedzi i dlatego też Izzie nie potrafiła zaznać spokoju.

Kiedy ponownie odezwał się jej telefon, emocje za kulisami wielkiego namiotu sięgały zenitu. Ktoś krzyczał w jednym kącie, jakaś modelka wołała, że nie rozumie, dlaczego nie wolno jej palić tylko dlatego, że wszędzie wiszą cholerne znaki zakazujące palenia, zaś szum suszarek i głośne rozmowy uniemożliwiały wszelkie rozmowy telefoniczne.

- Izzie Silver?

- Tak? - ryknęła Izzie.

- Caroline Montgomery-Knight - przedstawiła się kobieta. Izzie nadal nic to nie mówiło. Jej rozmówczyni coś powiedziała, ale krzyki osiągnęły crescendo i niczego nie było słychać.

- Przepraszam, nie usłyszałam. Panuje tu spory hałas - zawołała Izzie.

- Jestem na Tygodniu Mody w Bryant Park.

Zapanowała cisza i Izzie pomyślała, że połączenie musiało zostać przerwane, ale wtedy ta kobieta ponownie się odezwała.

- Czy jeśli się tam zjawię, to będziemy mogli się spotkać?

- Izzie! Moje włosy, popatrz! - Belinda, wysoka dziewczyna z Idaho, stała przed nią bliska łez. - Popatrz! - zapiszczała ponownie.

Między palcami trzymała jasny pukiel, który Izzie wydawał się najzupełniej w porządku, ale od którego czuć było lekko spalenizną.

- Zaraz zacznie się pokaz i powinien się skończyć dwadzieścia po drugiej. Pasuje pani wpół do czwartej? - Miałyby dwadzieścia minut na pokaz i ponad godzinę na jego analizę. - Możemy się spotkać w Bryant Park Grill, wie pani, gdzie to jest? Restauracja z zieloną markizą i zwisającymi z góry płożącymi roślinami.

- W takim razie o czwartej.

Izzie nagryzmoliła kilka słów w rogu kartki w notesie. Caroline Montgomery-Knight. Nazwisko było jakby znajome, ale to wszystko. Niemniej jednak okropnie byłoby stracić szansę na biznes tylko dlatego, że cierpiała na chwilową amnezję i nie mogła sobie przypomnieć, kim jest ta kobieta. Caroline musiała ją znać, w przeciwnym razie zapytałaby o jej wygląd.

Pokaz odniósł niesamowity sukces: ubrania wyglądały wspaniale, modelki także, dziennikarze zaś wydawali pełne podziwu okrzyki, które mówiły, głośniejsz niż byłby to w stanie uczynić jakikolwiek nagłówki na pierwszej stronie, że w Sel-di Drew stworzono przełomową kolekcję.

Kojarzeniu z takim sukcesem towarzyszył spory prestiż i Izzie promieniała zadowoleniem, kiedy o wpół do czwartej dotarła do restauracji i zamówiła butelkę lodowatej pellegrino. Akurat gdy przyniesiono jej wodę i już-już miała pociągnąć łyk, ktoś zwrócił się do niej:

- Izzie Silver?

Podniosła głowę i ujrzała wpatrującą się w nią zimnym wzrokiem wysoką blondynę. Domyśliła się, że to Caroline Montgomery.

Izzie nie wiedziała dlaczego, ale w spojrzeniu tej kobiety było coś, co przyprawiło ją o zimny dreszcz.

- Tak - odparła z pewnością siebie, której nie czuła. Nie znała tej kobiety, to pewne. Pani Montgomery była

wysoka, szczupła w stylu kobiet z Park Avenue, zaś włosy w odcieniu nordyckiego blond miała obcięte na pazia. Wśród tłumu miłośników mody wyróżniała się jako elegantka w bliźniaku w kolorze kawy, prawdziwych perlach, spodniach Capri i baletkach. Izzie nigdy wcześniej nie miała okazji jej widzieć, ale... zaraz, wyglądała trochę jak...

- To ty jesteś tą suką, która sypia z moim szwagrem

- oświadczyła beznamiętnie.

Zbyt późno do Izzie dotarło, że ta kobieta wygląda dokładnie jak żona Joego, Elizabeth Hansen.

I chyba po raz pierwszy w życiu zabrakło jej słów.

- Chcesz tutaj? - zapytała Caroline Montgomery. - Czy na zewnątrz?

- Na zewnątrz - wyksztusiła Izzie.

Wyszła za Caroline z restauracji, jedną ręką ściskając torebkę, a drugą próbując torować sobie drogę wśród ludzi, jakby była ślepa. To był prawdziwy koszmar, znaleźć się twarzą w twarz ze szwagierką kochanka. Jak mogło do tego dojść? Izzie wiedziała, że zawsze zdoła uciec, ale to nie było w jej stylu. Od tego nie dało się uciec, trzeba było wypić piwo, którego się nawarzyło. Kilka metrów od wejścia do restauracji Caroline odwróciła się i zatrzymała, skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała lodowato na Izzie.

- Podejrzewam, że nie pierwszy raz robisz coś takiego

- oświadczyła ostrym tonem. - Zapewne trudno znaleźć odpowiedniego bogatego faceta. A może wręcz przeciwnie, może

wcale nietrudno. Trudniejsze jest z całą pewnością nakłonienie ich, aby zostawili swoje żony. Tak sobie myślę, że skoro nadal pracujesz w tej swojej agencji... - wypowiedziała to takim tonem, jakby praca Izzie była jedynie minimalnie lepsza od bycia ulicznicą - to nie zdobyłaś jeszcze odpowiedniego faceta. A Joe nie jest dla ciebie.

Izzie wpatrywała się w nią i było jej niedobrze na myśl, że jest obiektem tak czystej nienawiści.

- Moja siostra nie zniżyłaby się do tego, by się z tobą spotkać. Nie wie, że tu teraz jestem. Coś ci powiem, jest warta tyle, co dziesięć takich, jak ty.

Izzie nadal nie odzywała się ani słowem.

- Joe nie jest złym człowiekiem - kontynuowała Caroline. - Jest jednak głupi. Na tyle głupi, by sądzić, że będzie mógł mieć wszystko, jeśli zostawi Elizabeth. Ale tak się nie da: ojcowie nie mogą mieć wszystkiego, gdy odejdą. Sądzą, że pieniądze mogą wszystko naprawić, ale nie da się naprawić tego, że taty nie ma w domu wieczorami. Pieniądze nic tu nie pomogą. Elizabeth i ja dorastałyśmy z czymś takim. Nasi rodzice się rozwiedli i wiedz, że ona nie pozwoli, by coś takiego dotknęło jej chłopców. Mają udane małżeństwo i trójkę wspaniałych dzieci, wspominał ci o tym? Założę się, że nie. Mężczyźni nigdy tego nie robią, kiedy chcą kogoś zaciągnąć do łóżka.

Izzie wzdrygnęła się, słysząc jad w głosie Caroline. Ale choć było to bolesne, czuła, że w pewien sposób zasłużyła sobie na ten jad. Skrzywdziła siostrę tej kobiety, nie ze złośliwości czy chęci położenia ręki na jego pieniądzech, ale wierząc, że Joe nie mógłby się nią zainteresować, gdyby jego małżeństwo było udane.

Teraz Caroline mówiła coś innego.

- Wiesz, Elizabeth uważa, że jeśli on chce odejść, to powinien to zrobić. - Caroline obrzuciła Izzie gniewnym spojrzeniem. - Nie podaję ci go na tacy, o nie. Musisz wysłuchać

tego wszystkiego. On już to robił, to znaczy pieprzył się z kim popadnie.

- Muszę ci w tym momencie przerwać - wtrąciła Izzie. - Owszem, spotykałam się z Joem przez jakiś czas - dodała, wiedząc, że najprawdopodobniej złamała zasadę numer jeden trudnych rozmów, przyznając się do winy w pierwszych pięciu minutach, ale musiała, nie miała innego wyjścia. Sypiała z mężem siostry tej kobiety i potrafiła zrozumieć, że to skłoniło ją do konfrontacji.

- Chętnie się tym, co? - zapytała Caroline i po raz pierwszy jej skorupa zaczęła pękać. Jej oczy były podejrzenie błyszczące.

- Nie, w żadnym razie - odparła Izzie. - Nie ma sensu udawać, że to się nie stało. Żeby postawić sprawę jasno, Joe mi powiedział, że jego małżeństwo jest skończone, a ja mu wierzę: nie zmyślił sobie tego. To, co się wydarzyło pomiędzy nimi, to ich sprawa i proszę nie próbować mnie za to obwiniać.

- Jak możesz mówić... - zaczęła Caroline. Izzie przerwała jej:

- Związek twojej siostry z jej mężem to nie moja sprawa. Ale Caroline nie dała się tak łatwo zbyć.

- Och, a więc przez to odebranie go jej wydaje się właściwe, tak? Nie myśleć o niczym innym, po prostu zabrać sobie faceta. Nienawidzę kobiet takich, jak ty. Chodzi wam tylko o jedno: pieniądze. Próbujecie tego najpewniej z każdym facetem w Nowym Jorku, a potem, kiedy botoks nie działa już tak dobrze, postanawiacie skraść faceta innej kobiecie. Gdyby nie był bogaty, nie mów mi, że spojrzalabyś na niego dwa razy.

Gdy skończyła, rozplakała się: był to smutny, powolny szloch.

Izzie sięgnęła do torebki i poszukała w niej chusteczki. Najpierw stringi, teraz chusteczki.

- Proszę - rzekła, podając chusteczkę.

- Dzięki - mruknęła Caroline.

- Chcesz usiąść? - zapytała Izzie. Ona chyba oszalała. Powinna uciekać teraz od tej kobiety, a nie podawać jej chusteczki.

Znalazły dwa krzesła niedaleko namiotów i Caroline opadła na jedno ze znużeniem kogoś, kto zdobył się na tyle energii, by dokończyć okropne zadanie, a potem osłabł, kiedy to zadanie jednak zostało zakończone.

Izzie pomyślała ponuro, że to ona była tym zadaniem. To ona była potworem, którego Caroline przyszła zabić. Kiedy jej gniew zamienił się we łzy, jej towarzyszka wyglądała normalnie, jak szczupła, zmęczona kobieta ze zmarszczkami wokół oczu, kobieta, która zjawiała się tu, by walczyć w imieniu ukochanej siostry.

- Przykro mi, jeśli to zabrzmiało jak frazes, ale Joe to pierwszy mężczyzna, z którym się związałam, a który nie był wolny lub nie miał w szufladzie papierów rozwodowych - wyjaśniła Izzie. - I to, co czuję... przepraszam, czułam do Joego nie miało żadnego związku z pieniędzmi.

Caroline nic nie odpowiedziała.

- Skończyłam z nim - kontynuowała Izzie - ponieważ nie chciałam związku, w którym Joe nadal żyłby z twoją siostrą, choć mnie powiedział, że to skończone.

- Joe nigdy by czegoś takiego nie powiedział - zaprotestowała słabo Caroline. - On kocha Elizabeth.

Izzie pomyślała, że to przypomina odbijanie piłeczki: on powiedział, ona powiedziała. Co zresztą mogła zrobić Caroline, jak nie bronić swej siostry?

- Posłuchaj, to nie moja sprawa, ani też twoja, czy ich małżeństwo jest idealne czy nie. Kto wie, kto mówi prawdę? Próbowałam porozmawiać o tym z Joem?

Caroline pokręciła głową.

- Dlaczego w takim razie najpierw ze mną? To jego znasz; to on jest żonaty z twoją siostrą i to on ją zdradzał, jak to uję-

łaś. Czy to nie on powinien być osobą, z którą spotykasz się w pierwszej kolejności i błagasz, by przestał, a nie ja?

Po raz kolejny jej rozmówczyni nic nie odpowiedziała.

- A co z Elizabeth? Może ich małżeństwo jest okropne...

- Izzie przerwała i uniosła dłoń, gdy Caroline otworzyła usta

- ale bez względu na to, jak jest naprawdę, ty i ja nie ponosimy za to odpowiedzialności. To od nich zależy, czy to naprawią czy się rozstaną.

- Jesteś inna, niż myślałam - rzekła Caroline. - Jesteś starsza.

- Dziękuję ci bardzo.

- Nie o to mi chodzi - dodała szybko. - Sądziłam, że jesteś jedną z tych kobiet, które usidlają żonatyh mężczyzn, ale tak wcale nie jest.

- Kim są te kobiety, które zastawiają pułapki na mężczyzn? - zapytała Izzie. - Nie twierdzę, że nie istnieją kobiety popaprane na tyle, by niszczyć małżeństwa dla zabawy, ale ja takiej nie spotkałam. Sądząc po tym, co się o nich mówi, można by sądzić, że Nowy Jork jest ich pełny, a wcale tak nie jest. Jaka kobieta o zdrowych zmysłach by to robiła? To nic fajnego zakochać się w kimś, kto tak się akurat składa, że jest żonaty. Nie zakochujesz się w nim, ponieważ jest żonaty, a jedynie zakochujesz się, a potem odkrywasz, że jednak nie ma on w szufladzie papierów rozwodowych i wszystko staje na głowie.

- Mogłaś wtedy odejść, kiedy się okazało, że to nie jest taka prosta sytuacja - zauważyła cicho Caroline, a Izzie nie miała absolutnie nic na swoją obronę, ponieważ mogła odejść, ale tego nie zrobiła.

To było sedno sprawy. Coś w niej się upierało, że to, co czuje do Joego, jest takie niezwykle, takie wyjątkowe, tak inne od tego, co miała okazję czuć wcześniej, że to jest prawdziwe. Mogło być prawdziwe tylko wtedy, gdyby on też ją kochał, a kochałby ją tylko wtedy, gdyby jego małżeństwo istniało

już wyłącznie na papierze. Nie zabijała czegoś, co już było martwe. Ale nie było sensu wyjaśniać tego teraz. Nie chciała się kłócić.

- Nie powinnam tu była przychodzić - rzekła Caroline, wstając z krzesła. - Ale cieszę się, że to zrobiłam. Nie jesteś suką, widzę to. Ale dla dobra ich rodziny daj mu spokój.

- Już to zrobiłam - odparła gniewnie Izzie. Sądziła, że wszystko jej wyjaśniła.

- Poważnie, oni kochają tych chłopców. Kochają się nawzajem, naprawdę.

Izzie kiwnęła głową. Pragnęła, by Caroline sobie poszła. Czowała się taka zmęczona. Związek z Joem przypominał jakąś wielką pogoń, pełną bólu i cierpienia, a ona nie była już do niej zdolna.

- Nie, naprawdę - upierała się Caroline. - Zaledwie miesiąc temu Elizabeth wystraszyła się ciąży. Sądziła, że może być w ciąży z ich czwartym dzieckiem. „W moim wieku!”, powiedziała do mnie. Tak przy okazji to ma czterdzieści dwa lata. Wiele kobiet ma dzieci w jej wieku, ale tak się składa, że jednak nie jest w ciąży. Niemniej jednak zaczęli dzięki temu myśleć, no wiesz, o kolejnym dziecku. Czy gdyby się nie kochali, to prowadziliby takie rozmowy?

Izzie nie odpowiedziała na to pytanie: czuła w sobie zbyt wielki ból. Nigdy nie pytała Joego, czy nadal sypia z żoną czy nie. Coś takiego było poniżej godności i jej, i jego. Na początku zakładała, że nie, skoro on i Elizabeth żyli osobno. Potem, po pewnym czasie, miała nadzieję, że tak nie jest. Myślała o tym, jak dwoje ludzi mieszkających w tym samym domu mogło się zbliżyć do siebie dzięki butelce wina i wspólnym doświadczeniom.

Ale nie to bolało najbardziej, tylko dziecko.

Niemniej jednak zaczęli dzięki temu myśleć, no wiesz, o kolejnym dziecku. Tak powiedziała Caroline.

I kolejne dziecko wchodziłoby w grę. Mieli trzech ukochanych synów. Tak wiele ze sobą dzielili: kolejne dziecko

nie stanowiłoby katastrofy, jaką by było w przypadku, gdyby to Izzie była matką.

W tej sytuacji kolejne dziecko mogłoby się okazać klejem, który pozlepiłby małżeństwo Hansenów.

- Caroline, muszę już iść - rzekła Izzie oficjalnym tonem.

- Oczywiście. - Caroline kiwnęła głową.

Stały przez chwilę w niezręcznej ciszy. To nie była odpowiednia pora ani miejsce na uścisk dłoni.

- Jesteś dobrą siostrą - wyrzuciła z siebie Izzie. - Do widzenia.

Odwróciła się i ruszyła w kierunku wielkiego namiotu, a jej głowa pełna była obrazów Joego, Elizabeth i ich dziecka. Wciąż widziała dziecko w swej głowie, tyle że nie było ono dzieckiem Elizabeth, lecz jej własnym.

- Hejka! - zawołał ktoś.

Rozejrzała się. To był ktoś z innej agencji, komu najwyraźniej także udało się dostać na pokazy.

- Cześć - odparła, starając się wyglądać tak, jakby była szalenie zajęta.

Nie chciała z nikim rozmawiać. Nie było takiej potrzeby, by wracała do namiotu na kolejny pokaz, ale musiała pobyć sama z własnymi myślami, a w chwili obecnej to było jedyne bezpieczne miejsce.

W namiocie nadal panował chaos, ale jakimś sposobem Izzie udało się wyłączyć.

Dziecko. Ona nigdy nie będzie mieć dziecka, ani z Joem, ani z nikim innym.

Wymknęła się przez wyjście awaryjne i znalazła zaciszne miejsce za namiotem, gdzie usiadła, wyjęła BlackBerry i zaczęła pisać e-mail. Godzinę trwało, nim go napisała, absurdalnie długo, jak na tak krótką wiadomość.

W temacie wpisała „prywatne”, ponieważ chociaż Joe jej powiedział, że ten adres jest prywatny, jeszcze nigdy nic do

niego nie wysyłała i nie miała pewności, czyjego sekretarka nie przegląda wszystkich e-maili, prywatnych i służbowych.

Witaj, Joe,

Zadzwoiła do mnie Caroline Montgomery. Nie wiedziałam, kim ona jest, dopóki nie spotkałyśmy się na Tygodniu Mody. Byłam tam służbowo, a zjawiała się tam Twoja szwagierka, by mi powiedzieć, że małżeństwo Twoje i Elizabeth jest udane, i że zaledwie miesiąc temu Elizabeth myślała, że spodziewa się kolejnego dziecka.

Wybieram tchórzliwy sposób, ponieważ nie potrafię raz jeszcze z Tobą porozmawiać. Przepraszam.

Wracaj do nich wszystkich. Zostaw mnie w spokoju. To nie miało szans. Tak będzie lepiej.

I.

Nie chciała podpisać się jako *Izzie*. To by było zbyt osobiste. Przeczytała wiadomość raz jeszcze, dodając gdzieś przecinek czy jakąś poprawkę.

- Pieprzyć to - powiedziała na głos.

Po co zawracać sobie głowę gramatyką? Musiała jedynie przekazać prostą wiadomość. Wcisnęła „Wyślij”. Wiadomość zniknęła, tak jak Joe, z jej życia.

Zostawiła za sobą Bryant Street i szła bez celu chodnikiem, zatrzymując się po drodze w kafejce, by kupić latte, której prawie nie tknęła. Była prawie szósta, kiedy dotarła do biura. Ich asystentka, Sasha, zdążyła właśnie wyjść po ostatnią na dzisiaj partię kaw - ekspres nadal był zepsuty. Zarówno Lola, jak i Carla rozmawiały przez telefon.

Carla uniosła w powitalnym geście rękę, ale potem zarejestrowała wyraz twarzy przyjaciółki. Choć Izzie próbowała to ukryć, wiedziała, że ból jest oczywisty.

- Co się stało? - zapytała bezgłośnie Carla.

Izzie pokręciła głową, bojąc się odezwać, by się nie rozpłakać. Nie będzie płakać: dość łez zmarnowała na Joego. Już nigdy nie będzie płakać z jego powodu. Jeśli będzie musiała udać się do szemranej części miasta i kazać jakiejś ha-itańskiej królowej odprawić czary voodoo z wykorzystaniem kurzych wnętrzności i łapek królika, by wyrzucić go ze swych myśli, uczyni to. Już nigdy więcej nie zamierzała się z nim widzieć czy rozmawiać.

- Hej, co się dzieje? - zapytała Carla, odkładając słuchawkę.

-I...

Izzie wiedziała, że teraz się rozpłacze. Odwróciła się i pobiegła w stronę toalety, a zaraz za nią Carla.

- Co się stało?

- A jak myślisz? - zapytała łamiącym się głosem Izzie. - Joe Hansen, to się stało.

- Co tym razem?

- Ta kobieta, która próbowała się ze mną skontaktować, ta cholerna Caroline Montgomery, to jego szwagierka. Spotkałam się z nią w Bryant Park Grill.

-I...? - zapytała złowrogo Carla.

- Powiedziała mi, że małżeństwo Joego i jej siostry jest w doskonałej kondycji i że... - Izzie ledwie była w stanie wypowiedzieć te słowa - że Elizabeth miesiąc temu myślała, że jest w ciąży.

- Och. - Carla podciągnęła się do góry i usiadła na szafce przy umywalce, opierając się o lustro. - Skarbie, wiedziałam, że ten facet to nic dobrego od razu, gdy się o nim dowiedziałam.

- Mylisz się - odparła Izzie, zaskakując tym przyjaciółkę. - To dobry człowiek; zbyt dobry. Teraz widzę, że nie konkurowałam z jego żoną, ale z jego rodziną, jego dziećmi. A nie tego chcę czy chciałam: rywalizować z nimi o jego mi-

łość. Nie byłby człowiekiem, którego kochałam, gdyby ich nie uwielbiał. A uwielbia.

Ponownie wydmuchała nos.

- Nie ma dla nas wspólnej przyszłości i to wcale nie dlatego, że nadal sypiał ze swoją żoną. On nie jest gotowy na to, by porzucić rodzinę, bez względu na to, co mu się wydaje. Gdyby tak zrobił, wisiałoby to nad nami do końca życia.

- Widmo pierwszej rodziny? - zapytała Carla.

- Tak, trzy osoby, które kocha najbardziej na świecie, a które by myślały, że je porzucił. Nie zniósłby tego, i ja też nie.

- Więc to koniec? Powiedziałaś mu?

- Wysłałam e-mail. Carla skrzywiła się.

- Prawdopodobnie najlepszy sposób. Wykrwawiłabyś się na śmierć, gdybyś musiała się z nim spotkać.

Izzie uśmiechnęła się blado.

- Wiek ma jednak znaczenie, prawda? - rzekła tego wieczoru Izzie do Carli, kiedy wracały razem taksówką.

Izzie jakoś udało się dotrzeć do końca dnia, ledwie funkcjonując i nie odbierając telefonów, na wypadek gdyby dzwonił Joe.

- Nie, oczywiście, że nie ma - odparła Carla, tak jak zawsze.

Ale Izzie jej przerwała.

- Mylisz się, ma. Ma znaczenie dla kobiety, ponieważ nie można mieć dzieci.

- A Madonna? - zapytała Carla. - Ile miała lat, kiedy urodziła ostatnie dziecko? Jest całe mnóstwo innych gwiazd filmowych, które późno rodzą dzieci.

- Jasne, a na każdą gwiazdę filmową, której udaje się urodzić dziecko, przypada czterysta innych kobiet, którym nie wychodzi. Słyszysz się tylko o sukcesach, Carla, nie porażkach. Większość tych kobiet ma w swoim życiu mężczyzn: mężów, kochanków, nieważne. A co mam ja? Nic. Jeśli już miałyby się przejść przez tę farmaceutyczną drogę walki o dziecko,

powinno się mieć przynajmniej przy sobie kogoś, komu można by się na to żalić i z kim można by płakać z tego powodu. Ja tego nie mam. Nie mam nic.

- Nie nazywaj swoich przyjaciół niczym - oświadczyła Carla, udając urażoną, by jakoś rozweselić Izzie.

- Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało - odparła pospiesznie Izzie. - Ale jeśli już chcesz rozpocząć starania o dziecko, musisz mieć kogoś, kto będzie ci towarzyszył. Przynajmniej kogoś, kto zapewni ci spermę, w przeciwnym razie co masz zrobić, udać się do banku spermy?

- Wiele kobiet tak robi - odparła Carla.

- Jasne, i to akurat jest właściwy sposób. Z całym szacunkiem, ale to nie jest wcale łatwe wyjście. Co powiesz dziecku? Atak przy okazji, kochanie, to twoim tatusiem jest Probówka numer 453? Przykro mi, ale to tylko wszystko utrudnia. Jeśli jest to jedyne wyjście, w porządku, aleczyniebyłobyprościej mieć faceta, którego kochasz i z których chcesz mieć dziecko? Nie byłoby to lepsze niż te wszystkie dylematy moralne, co kiedyś powiesz dzieciom? „Probówka i ja naprawdę się kochaliśmy, dzieci”.

- To, co mówisz, brzmi tak defetystycznie. Nigdy nie sądziłam, że zrobi się z ciebie jedna z tych szalonych na punkcie dzieci kobiet, które są wiecznie nieszczęśliwe i najbardziej żałują tego, że nie mają dziecka. Ty nadal możesz je mieć, jeśli chcesz.

- Ty nie masz takich uczuć, prawda? Carla pokręciła głową.

- Nie, i naprawdę się z tego cieszę, ponieważ widziałam już, jak to potrafi zjadać. Nie myślałam, że w tobie jest taki głód, Izzie.

- Bo nie było - odparła ze smutkiem Izzie. - Zawsze sądziłam, że na wszystko jest odpowiedni czas. Czas na zakochanie się, czas może i na dziecko, myślałam, że jestem młoda, no a popatrz, już nie jestem.

- Trzydzieści dziewięć lat to nie starość.

- Czterdzieści za dwa miesiące - poprawiła ją Izzie. - To wszystko przez Joego. Chyba jestem w żałobie. On i ja, i czterdzieste urodziny bez dziecka, to wszystko stanowi koniec czegoś, a kiedy dociera się do końca czegoś, trzeba przejść okres żałoby. To koniec mojego romansu i szans na dziecko, wiem, że tak jest. Trudno się z tym pogodzić.

Taksówka zatrzymała się przed domem Carli.

- Zapomnij o nim - rzekła stanowczo. - On nie zasługuje na ciebie. Tyle się teraz u ciebie dzieje. Zobacz, mamy firmę, mamy tyle planów, to dla nas ekscytujący okres.

Izzie pokiwała głową. Carla miała rację, wszystko, co powiedziała, było prawdą. SilverWebb coraz lepiej sobie radziło. Na poziomie zawodowym w świecie Izzie Silver wszystko było jak należy. Ale na poziomie osobistym ziemia właśnie usunęła jej się spod nóg.

Wszystko to, co było pewne - obecność jej babci i świadomość, że pewnego dnia znajdzie miłość i być może założy rodzinę - teraz się rozpląnęło.

- Tak, masz rację - rzekła, starając się z myślą o przyjaciółce, by zabrzmiało to pogodnie. - Wszystko będzie dobrze. Tak długo udawaj, aż w to uwierzysz.

- Długa droga przed tobą - odparła Carla. - Tak długo udawaj, aż w to uwierzysz: święte słowa.

Dopiero gdy taksówka odjechała, Izzie zauważyła Joego, siedzącego na schodku przed jej budynkiem.

O Boże. Nie była sobie z tym w stanie poradzić, nie z jego obecnością. Rozplacze się i nie będzie mogła przestać...

- Izzie?

Jego głos był taki żaloszny, już nie należał do Pana Potentata.

- Nie mogę z tobą rozmawiać, Joe - odparła. - Proszę, zostaw mnie w spokoju.

- Nie chcę zostawić cię w spokoju - upierał się. - Przepraszam, przepraszam cię za Caroline i za dziecko, i za to, co ci powiedziałem...

Izzie mu przerwała. Wiedziała, co musi zrobić i żadne jego słowa nie mogły tego zmienić. To koniec. Jedyne, co musiała teraz zrobić, to pozwolić mu odejść, kazać mu odejść.

- Joe - rzekła, walcząc ze łzami. - Mówię ci, żebyś odszedł, rozumiesz? Nie bylibyśmy razem szczęśliwi. Ciebie zjadałoby poczucie winy z powodu twoich dzieci, mnie zjadałby żal, że nie mam własnych. Nie rozumiesz? To by się nigdy nie udało. Skrzywdzilibyśmy tylko siebie i ich. Nigdy byś mi tego nie wybaczył. Zostaw mnie więc w spokoju. Wracaj do nich. Tego przecież tak naprawdę chcesz.

- Wcale nie - rzekł gorączkowo.

- Tak. - Izzie było go żal, ponieważ on nadal z tym walczył. Nie tak jak ona: ona już przestała. Pragnął tej rodziny bardziej niż jej. Błędem Joego było myślenie, że może mieć jedno i drugie. - Pozwalam ci odejść, Joe, dla dobra nas obojga. Dlaczego po prostu nie odejdziesz? - zapytała błagalnie.

Zawahał się i w tej właśnie chwili Izzie wiedziała już, że zarazem przegrała i wygrała. -Ale...

- Żadnych ale - rzekła.

Odsunął się na bok, gdy wchodziła po schodach. Drżącymi palcami znalazła klucze i wsunęła je do zamka.

- Żegnaj, Joe - rzekła i pchnęła drzwi, nie odwracając się. W środku czekała, aż pojawią się łzy, tak się jednak nie

stało. Może później. Miała przecież całe mnóstwo czasu. Całe mnóstwo czasu, by płakać w samotności.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

W drodze do domu Yvonne plotła trzy po trzy, jakby ciągłą rozmową mogła je uchronić przed koniecznością mówienia o tym, że jej przyjaciółka próbowała popełnić samobójstwo. Anneliese czuła, że tak samo musiało być, kiedy ktoś był chory na raka; wszyscy desperacko starali się nie rozmawiać o „tym”, gdy tymczasem chore osoby nie miały nic przeciwko temu; akceptowały raka jako dużą część swego życia i nie było od niego ucieczki. Nie miały takiej możliwości, by go ignorować.

Yvonne powiedziała, że było sporo zamieszania w sklepie Lifeboat, kiedy ktoś przekazał im autentyczną torbę Kelly od Hermesa.

- Ja sama nie rozpoznałabym torebki od Hermesa, nawet gdyby mnie ktoś nią zdzielił w tyłek - kontynuowała Yvonne - ale ta była prawdziwa. Daliśmy ją na wystawę.

Anneliese coś tam pamiętała, że kiedyś słyszała, iż takie torebki kosztują tysiące euro.

- Za ile ją sprzedajecie? - zapytała.

- Czteryście euro - odparła Yvonne. - Chyba nic nigdy nie sprzedaliśmy za taką kwotę, cóż, z wyjątkiem może tamtej kosiarki.

Kolejnym tematem, jaki Yvonne uznała za odpowiedni do poruszenia, był zbliżający się jarmark jesienny na Harbour Square. Miał się odbywać przed dwie kolejne soboty. Córka Yvonne już od kilku tygodni robiła kryształowe kolczyki i zaabsorbowa-

na była swoim stoiskiem. Yvonne ją wspierała, choć tak naprawdę uważała, że Catriona lepiej by zrobiła, gdyby się nauczyła czegoś praktycznego w college'u niż całe godziny poświęcała na bawienie się maleńkimi paciorkami i żyłką jubilerską.

- No ale co mogę zrobić? Mogę najwyżej powiedzieć: „To świetnie, Catriona. Rób, co chcesz, skarbie”. Moja matka trzepnęłaby mnie po głowie i nakazała poszukać sobie porządnej pracy, gdyby zobaczyła, że w taki sposób marnuję swoje wykształcenie - Catriona miała pięć piątek na maturze! - ale w dzisiejszych czasach bycie rodzicem jest zupełnie inne.

Ostatnim poruszonym przez nią tematem okazało się to, że kochana, słodka Jodi jest w ciąży.

- To cudownie - powiedziała z radością Anneliese. Jodi odwiedziła ją raz, przynosząc gazety i czekoladki

i była jedną z niewielu osób, które nie wydawały się skrepowane jej obecnością na oddziale zamkniętym.

Inni, starsi przyjaciele, przysłali jej kartki i liściki, ale najwyraźniej bali się przyjść, tak jakby choroba psychiczna była zaraźliwa i tak niezrozumiała, że obawiali się postawić tam swoją stopę.

- Jest niesamowicie uradowana - oświadczyła Yvonne.

- Jej mama, Karen, zamierza wrócić do Australii dopiero po narodzinach dziecka. Uczy jogi, wyobrażasz to sobie? Wiem, że Jodi chciała przekazać ci tę dobrą wiadomość, kiedy poszła cię odwiedzić, ale jej powiedziałam, że powinna być ostrożna...

- Yvonne urwała. - Nie chcieliśmy cię denerwować i w ogóle.

Anneliese zbyt lubiła Yvonne, by pozwolić na to, aby jej przyjaciółka dalej się tak zadreślała.

- Posłuchaj, Yvonne - zaczęła - życie toczy się dalej i jestem z tego powodu szczęśliwa. Mogę jedynie powiedzieć, że przechodziłam bardzo trudny okres i zrobiłam coś, czego żałuję. Opowiadanie mi o prawdziwym świecie nie powstrzymałoby mnie przed zrobieniem tego po raz drugi, gdybym tego chciała. A nie chcę - dodała pospiesznie. - Jeśli ktoś chce się zabić, to się zabije, znajdzie jakiś na to sposób. Wydaje mi się, że być

może to, co zrobiłam, było wołaniem o pomoc, i pokazało mi, że naprawdę chcę dalej żyć. Opowiedz mi więc o wszystkim, Yvonne, o wszystkim, co się wydarzyło w miasteczku. Nie ukrywaj przede mną żadnych informacji w obawie, że mogłabyś mnie zasmucić, ponieważ tak się nie stanie, naprawdę.

- Och, Anneliese - jęknęła Yvonne i skręciła gwałtownie kierownicą. - Przepraszam, przepraszam - pisnęła, wracając na swój pas.

- Jezu, kiedy mówiłam o zabiciu się, nie miałam na myśli tej minuty, w twoim samochodzie - zażartowała Anneliese i obie wybuchnęły śmiechem.

- Nie przyszłoby mi do głowy, że będziemy się zaśmiewać z czegoś takiego - stwierdziła Yvonne. - Bardzo się tego bałam, wiesz, myślałam, że będę chodzić wokół ciebie na paluszkach, nie wiedząc, co mówić. Powiedziałam do Franka, że będzie inaczej, ponieważ idealnie odbierając cię osobą byłby Edward, ale... - ponownie zamilkła, tak jakby dotarło do niej, że znowu coś palnęła.

- Edward rzeczywiście zaoferował się, że po mnie przyjedzie - rzekła Anneliese. - Co, mając na uwadze okoliczności, było naprawdę miłe z jego strony.

- Jestem pewna, że ta krowa, Neli, pieniałaby się, gdyby przyjechał po ciebie. Co nie znaczy, by miała jakieś argumenty przeciwko, to znaczy zważywszy na to, co się stało... - ciągnęła Yvonne.

- Naprawdę jestwporządku - powiedziała Anneliese. - Nie ma nic lepszego niż bliskość śmierci, co kazałoby ci się pogodzić ze światem, Yvonne, i ja tak właśnie uczyniłam. Powiedziałam Edwardowi, że to naprawdę miłe z jego strony, ale że musimy żyć dalej i że nie chcę wpaść w pułapkę polegania na nim, tak jakby wszystko było jak kiedyś, ponieważ nie jest. Jesteś taka dobra, że przyjechałaś tu po mnie. Naprawdę to doceniam.

Dobroć Yvonne widoczna była także w domu. Wcześniej zjawiała się tu razem z Jodi, porządnie wszystko posprzątała i pozostawiła inne oznaki życzliwości: świeże kwiaty na dwóch stolikach, a w kuchni na blacie butelkę wina.

- Nie wiedziałam - powiedziała ostrożnie Yvonne - czy alkohol będzie stosowny. Pomyślałam, o Boże, możesz brać przecież lekarstwa i wino mogłoby cię rozstroić. Ale Frank powiedział, że przesadzam i że jedna kropla cię nie zabije.

Anneliese uśmiechnęła się.

- Na pewno nie - odparła. - Poza tym nie biorę żadnych leków z wyjątkiem jakichś nowych antydepresantów, które można spokojnie łączyć z alkoholem.

Yvonne była wyraźnie zafascynowana.

- A więc nie bierzesz niczego na uspokojenie, wyciszenie czy coś w tym rodzaju? - zapytała. - Moja matka za nimi szalała, prawdę mówiąc, była uzależniona. To było w czasach, kiedy lekarze rozdawali je jak słodycze, „mali pomocnicy matek”. A może chodziło o dżin?

- Rzeczywiście próbowali dawać mi leki, kiedy byłam w szpitalu - przyznała Anneliese. - Kiedy dotarło do nich, że nie chcę niczego zapominać ani być otepiała, że jest dobrze, to przestali. Ich cel jest taki, żeby pacjent poczuł się lepiej, a nie stanie się tak, jeśli będzie wiecznie przebywał w Krainie Szczęśliwości. Nie znaczy to, by Kraina Szczęśliwości była czymś złym - dodała - ale mnie po prostu nie odpowiadała. Więc żadnego chemicznego przytępienia, ale butelka wina będzie jak najbardziej na miejscu, dziękuję ci bardzo.

W tej chwili rozległ się dzwonek i Yvonne wstała, by otworzyć drzwi. To była Corinne ze sklepu Lifeboat, otoczona silną wonią olejków zapachowych i wymachująca wielką torbą, która zawierała, bez wątpienia, wszelkiego rodzaju organiczne, śmierdzące prezenciki, dzięki którym Anneliese poczuje się idealnie, naturalnie, szczęśliwie.

Razem z nią zjawił się Stephen z centrum ogrodniczego, ukryty za mnóstwem roślin w starym kartonowym pudle.

- Pomyślałem, że sadzenie roślin dobrze ci zrobi, Anneliese - rzekł, wręczając jej pudło.

Uśmiechnęła się szeroko. To było z jego strony naprawdę przezię. Yvonne otworzyła wino.

- Te sklepowe sikacze są paskudne - oświadczyła Co-rinne. - Moje domowe wino z dzikiego bzu...

- Tak, wiem - przerwała jej Yvonne - jest w stu procentach naturalne. Ale, Corinne, i tak smakuje jak kocie siki. Nie będziemy go pić, nawet jeśli masz w bagażniku trzy pełne butelki.

Corinne zachichotała.

- To była tylko propozycja - rzekła. - W domowym winie jest znacznie mniej wolnych rodników.

- I więcej alkoholu - dodał Stephen.

- Właśnie. Dlatego tak je lubisz, Corinne - stwierdziła Yvonne. - Jeden kieliszek i wszyscy leżą nawaleni na podłodze.

Corinne przyniosła ze sobą wielkie ciasto z makiem. Pokroiła je i zabrali się za jedzenie. Cokolwiek by mówić o jej winie, ciasta Corinne były legendarne.

- Prawdziwe jedzenie - westchnęła Anneliese. - Powiem wam, że nie mam pojęcia, dlaczego ludzie jeżdżą do ośrodków odnowy biologicznej, by schudnąć. Wystarczy, że trafią na oddział psychiatryczny naszego szpitala. Jedzenie jest tam paskudne. Każdy by zgubił kilka kilo.

- Myślisz, że mogłoby to się stać nową dietą? - zaśmiała się Yvonne, wesolutka i głośna po jednym kieliszku wina.

- Ach nie, to trochę radykalne - odparła Anneliese.

- Zawsze jest jeszcze liposukcja? - zasugerował Stephen.

Trzy kobiety spojrzały na niego z bezbrzeżnym zdumieniem. Stephen tak zawsze bujał w obłokach, że jego jakakolwiek wiedza na temat liposukcji była równie dziwna, jak wizja, że jego imiennik, Stephen Hawking, mógłby się wdać w dyskusję na temat implantów piersi.

- Cóż, któregoś dnia w centrum pojawiła się pewna kobieta. Właśnie się przeprowadziła do Tamarin i odnawia jeden z domów niedaleko portu i, cóż, no wiecie, trochę pogadaliśmy.

Poczerwieniał na twarzy i Anneliese życzliwie zmieniła temat.

Byłoby cudownie, gdyby Stephen się w końcu zakochał. Od zawsze był samotny. Gdyby zaczęło się z nim teraz przekomarzać, nie wspomnieliby już nigdy ani słowem na ten temat.

Uratował ją dzwonek do drzwi.

- Dobry Boże, ruch tu jak na dworcu głównym - rzekła radośnie Corinne, częstuując się jeszcze jednym kawałkiem ciasta z makiem.

Anneliese otworzyła drzwi i zobaczyła stojącego za nimi Maca i nagle coś jasnego i puchatego uderzyło w nią, przecisnęło się między nogami i wbiegło do domu. Odwróciła się, czując wyraźny zapach mokrego psa.

- Myślałam, że twój pies jest wielki i czarny?

- Bo jest - odparł, wyglądając na nieco zmieszanego. - To nie jest mój pies. To twój pies, a właściwie suka.

- Jak to mój pies?

- To pies, który został uratowany, pomyślałem, że mogłabyś go wziąć, będąc sama, no wiesz...

Anneliese popatrzyła na niego.

- Ty uratowałeś mnie, więc ja mam mieć uratowanego psa, a może chodzi o to, że potrzebuję dalszego ratowania i uratowanie go uratuje mnie czy...

Wzruszył ramionami.

- Tak, wszystko to, co wymieniłaś.

- Mac, nie chcę psa - zaczęła Anneliese. - Ja... Urwała, ponieważ nie istniał powód, dla którego nie

mogłaby mieć psa, chodziło po prostu o to, że gdyby już go chciała, sprawiłaby go sobie wtedy, gdy miałaby na to ochotę, a nie wtedy, gdy pojawiłby się z nim ktoś inny. Zajrzała

do salonu, gdzie stał pies, trzęsąc się i pociągając nosem. Nie należał on do psów, które się jej podobały. Lubiła psy średniej wielkości i z gładką sierścią, a ten zwierzak był - cóż, wielki i miał jasne futro, któremu bardzo potrzebna była kąpiel. Z całą pewnością od bardzo dawna nie widział ciepłej wody z mydłem i Bóg jeden wie, jak go włożyć do wanny. Pies popatrzył Anneliese w oczy i zamrugał niewinnie. Duże, psie oczy w kolorze miedzi wpatrywały się w jej oczy.

- No cóż - rzekła Anneliese. - Może uda nam się uratować się nawzajem. Jak ona ma na imię?

Mac wzruszył ramionami.

- Nie chciała powiedzieć.

Anneliese posłała mu jedno ze swych zabójczych spojrzeń, ale on się jedynie szeroko uśmiechnął.

W końcu zniknęło całe ciasto, podobnie jak wino, i wszyscy pomachali radośnie na pożegnanie Anneliese i psu.

Pies popatrzył lekko nerwowo na Anneliese i skulił się koło kanapy, kiedy próbowała go pogłaskać.

- Proszę, nie wzdrygaj się za każdym razem, gdy się do ciebie zbliżam - rzekła błagalnie Anneliese.

Nadal przyglądał jej się podejrzliwie.

- No dobrze: zasady domowe. Skoro już się wprowadziłaś, musisz dać mi się czasami pogłaskać i pozwolić na to, bym cię wykapała. Ach, a więc rozumiesz ludzi. - Pies zdecydowanie zadrżał, gdy wypowiedziała słowo „wykapała”. - No to jednak się rozumiemy.

Kiedy Anneliese skończyła, łazienka zasłana była przemoczonymi ręcznikami i wszędzie znajdowała się piana. Znalazła starą butelkę szamponu przeciwłupieżowego i uznała, że nada się do tego zadania. Mocno się pienił i Anneliese musiała użyć całej swej siły, by utrzymać psa w wannie, gdy próbowała zmyć z jego sierści całą pianę. W końcu wyskoczył z wanny, czysty, ale mokry, i zaczął radośnie biegać po domu, wszędzie się otrząsając.

- Zachowujesz się jak szczeniak - powiedziała ze śmiechem Anneliese.

Tak cudownie móc się śmiać, pomyślała nagle, i podziękowała psu za tych kilka chwil wesołości.

- Dziękuję ci, szczeniaczku. Ale ty już nie jesteś szczeniakiem, prawda?

Mac powiedział, że wziął go od miejscowego weterynarza, który uważał, że pies ma pięć lub sześć lat. Dokładniej nie dało się określić. Suka wyglądała na dość zadbaną, aczkolwiek była nieco chuda.

Skoro się kuliła, to ktoś ją musiał skrzywdzić. Anneliese powiedziała jej stanowczo, że tutaj nikt jej nie zrobi nic złego.

- Pewnie mogłabym cię nazwać Neli, ponieważ będąc samicą psa, jesteś teoretycznie suką - rzekła Anneliese, patrząc na psa, który przestał biegać i ułożył się w nogach swej nowej pani, wiercąc się i ocierając plecami o jej kostki, tak jakby próbował zrobić sobie masaż pleców. - Nie, imię Neli byłoby dla ciebie zbyt okrutne, poza tym niegodne mnie - uznała Anneliese. - Jak chcesz się nazywać, kochanie?

Skończywszy się wiercić, pies usiadł, oparł plecami o nogi Anneliese i przechylił głowę do tyłu, tak że jedwabiste uszy zwisały, a oczy wpatrywały się błagalnie w Anneliese.

Anneliese pomyślała, że kiedy był mokry, przypominał fokę albo silkie. Silkie było mitycznym stworzeniem, które podobno zamieszkiwało wyspy przy zachodnim wybrzeżu, w połowie człowiek, w połowie foka.

- Jesteś Silkie - rzekła. - To ładne imię. Silkie zamachała mokrym ogonem.

- Chyba jesteśmy na siebie skazane - oświadczyła Anneliese. - Pewnie będziesz chciała spać w mojej sypialni?

Silkie oparła się o nią wygodniej.

- Dobrze. Mam tylko nadzieję, że nie chrapiesz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Pół roku później

Izzie wyciągnęła nogi i w duchu podziękowała za to, że Silver-Webb tak świetnie sobie radzi, w przeciwnym wypadku nadal liczyłaby każdy grosz i leciała klasą ekonomiczną. Nigdy dotąd nie leciała do Irlandii klasą biznes i wspaniale było nie gnieść się na środkowym miejscu w rzędzie dla czterech osób.

Nie pozwalała sobie myśleć o lotach w towarzystwie Joego. Były one częścią szaleńczej serii wydarzeń z zeszłego roku i symbolizowały okres w jej życiu, do którego nie miała ochoty wracać. Siedzenie w samolocie na miejscu, za które sama zapłaciła, stanowiło nieodłączny element jej obecnego życia. Luksusowe wycieczki z Joem nie wchodziły już w grę.

Joe. Zamknęła oczy i pozwoliła, by przepłynął przez jej myśli. Nieczęsto to ostatnio robiła, ponieważ kiedy już wślizgiwał się do jej myśli, przejmował nad nimi kontrolę. Izzie pomyślała z żalem, że nawet wyimaginowany Joe ma tyle charyzmy, że przesiania sobą wszystkich i wszystko.

Jego prawdziwa wersja dzwoniła pięć razy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, ale jakimś cudem zdołała nie odbierać tych telefonów. Pozwalała, by zostawił wiadomość, a potem ją odsłuchiwała.

„Chciałem się przywitać i powiedzieć, że myślę o tobie. Tak się składa, że dużo o tobie myślę, Izzie. Zadzwoń do mnie”.

Wykasowała tę ostatnią wiadomość po odsłuchaniu jej trzy razy, ale i tak pamiętała każde słowo. „Zadzwoń do mnie”.

Pragnęła to właśnie zrobić. Po to, by się przekonać, o czym chciał z nią porozmawiać, czy nadal jest z żoną, czy dotarło do niego, jak bardzo ją zranił i jak wielkim poświęceniem było dla niej odejście od niego...

- Ma pani ochotę na szampana lub sok pomarańczowy?

- zapytał ją steward, pchając przed sobą niewielki wózek.

Izzie uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Wzięła sok pomarańczowy i kieliszek szampana na później.

Joe należał do przeszłości - teraźniejszością była ta podróż do Irlandii, by po raz pierwszy zobaczyć Mitzi, córeczkę kuzynki, i babcię.

Miała cichą nadzieję, że nie po raz ostatni. Babcia nadal przebywała w śpiączce, żyjąc, ale nie żyjąc w domu opieki.

Anneliese ostrzegła Izzie, by przygotowała się na to, iż odwiedziny u niej nie będą łatwe.

- Wygląda teraz bardzo słabowicie, skarbie - wyjaśniła jej przez telefon. - To nadal Lily, ale nie ma jej tutaj, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Izzie mruknęła coś w odpowiedzi i udawała, że nie płacze. Wyglądało na to, że przez ostatnie miesiące nie robiła nic innego, tylko płakała. Z powodu Joego i z powodu babci. Dwie wielkie pustki w jej życiu.

- Mitzi jest słodkim maleństwem - kontynuowała Anneliese. - Będziesz nią zachwycona, Izzie. Wygląda dokładnie jak Beth, kiedy była w jej wieku, tyle że, co powtarzam Beth, Mitzi sypia.

Mitzi miała już prawie pięć miesięcy i z okazji jej chrzcin odbywał się wielki zjazd rodzinny. Jeśli Izzie miała być szczerą, to tak naprawdę nie miała ochoty lecieć do domu na ten chrzest. Narodziny Mitzi były dla niej trudnym momentem

- nie znaczy to, że zazdrościła kuzynce jej małej córeczki, ale tak bardzo bolała ją myśl, że nawet Beth udało się dokonać

tego, na czym ona poległa. Nikomu nie powiedziała, co czuje, ponieważ bardzo się tego wstydziła. Przecież tylko ktoś paskudny mógł sobie pozwolić na smutek z powodu braku dziecka, kiedy jego kuzynka je urodziła, prawda?

A potem, sześć tygodni po przyjściu na świat Mitzi, kiedy Izzie w próbie zagłuszenia wyrzutów sumienia wysłała pocztą śliczną wyprawkę i wielką żyrafę z FAO Schwarz, zadzwoniła do niej Beth.

W Nowym Jorku było już późno i Izzie leżała skulona na sofie w spodniach od dresu i swetrze, i skakała po kanałach w telewizji.

- Beth! - rzekła z zaskoczeniem. Od narodzin Mitzi nie rozmawiały jeszcze ze sobą. - Jak się masz?

- Jestem wykończona - westchnęła Beth. - Rytm snu Mitzi jest w totalnej rozsypce i bez względu na to, jak bardzo się staram zaprowadzić jaką taką rutynę, nie udaje mi się. Marcus jest taki zajęty w pracy i wszystko robię sama, karmienie w nocy, karmienie w dzień, wszystko.

Izzie zirytowała się lekko na kuzynkę za to, że nie uświadamia sobie, jaka z niej szczęściara, ale zachowała to dla siebie.

W końcu po dość długiej chwili rozmowy o tym, jakież wspaniały musi być Nowy Jork w porównaniu z nudnym, starym Dublinem, i tym, że Beth widziała w gazecie wywiad ze Steffi, najlepszym nabytkiem SilverWebb i jak to musi być cudownie pracować w modelingu, Beth przeszła do sedna sprawy.

- Marcus i ja chcielibyśmy, abyś została matką chrzestną Mitzi - oświadczyła.

- Ja? - Izzie nic nie mogłoby bardziej zaskoczyć.

- A znasz kogoś lepszego? - zapytała Beth.

- Ale ja nie wiem nic o dzieciach - odparła Izzie.

Już wypowiadając te słowa, wiedziała, że to głupie, ponieważ gdyby wszyscy chrzestni musieli być ekspertami w dziedzinie dzieci, to ich liczba z pewnością zmniejszyłaby się co najmniej o połowę.

- Nie trzeba odróżniać jednego końca dziecka od drugiego - rzekła pogodnie Beth. - To polega na wskazówkach moralnych.

Izzie skrzywiła się. W tym to już na pewno nie była ekspertem.

- Ale tak naprawdę bardziej chodzi o to, żebyś się zaopiekowała Mitzi, gdyby Marcusa i mnie przejechała ciężarówka. Co nie znaczy, byśmy to planowali. Powiedz, że się zgadzasz. Chrzcziny są w marcu w kościele w Tamarin. Postanowiliśmy zrobić je tam, ponieważ to taki ładny kościół, a poza tym mama się ucieszy. Może nie chodzi do kościoła tak często, jak kiedyś, ale jednak. Wszystkim nam się on podoba. Proszę?

- Oczywiście, to będzie dla mnie zaszczyt - odparła Izzie, ponieważ nie mogła przecież udzielić innej odpowiedzi.

Kiedy się rozłączyła, Izzie przyciągnęła kolana do piersi i rozplakała się. Czowała się taka niegodna tego, by zostać matką chrzestną tego maleńkiego dziecka. Mitzi oznaczała dla niej jedynie głuchy ból, towarzyszący pragnieniu posiadania własnego dziecka. Co w takich okolicznościach mogłaby zrobić dobrego dla tej kruszynki?

W końcu postanowiła, że zadzwoni do Beth i odmówi. Woląca już się narazić na rodzinną furję niż wziąć udział w tej wyjątkowej uroczystości z niewłaściwych powodów. Pojedzie na chrzcziny, ponieważ pragnęła odwiedzić babcię, ale nie będzie matką chrzestną.

A potem zmieniła zdanie z powodu Loli. Po wielu latach umawiania się zarówno z mężczyznami, jak i kobietami, Lola wreszcie dokonała wyboru i zamieszkała z duńską fotografką o imieniu Paula. Lola była filigranowa i ciemna, Paula wysoka i jasnowłosa i tworzyły uderzająco piękną parę. Zdecydowały się na adopcję.

Żadna z nich nie wydawała się przejmować tym, że są ze sobą dopiero od kilku miesięcy. Nie niepokoiły się także problemami, jakie mogą wynikać z tego, że są tej samej płci.

- A czemu mamy się przejmować? - wzruszyła ramionami Lola. - Zapewnimy naszemu dziecku wspaniały dom.

Izzie uświadomiła sobie, że w przypadku Loli nie ma czegoś takiego jak zwątpienie w siebie. Lola wiedziała, że będzie świetnym rodzicem i spełniała swoje marzenie, nawet jeśli połączenie biologii i orientacji seksualnej czyniło to trudnym. Zamierzała tego dokonać. Nie powstrzymywały ją żadne wątpliwości.

Izzie pomyślała o tym, co ona uczyniła, by spełnić swoje marzenia - poległa przy pierwszej przeszkodzie. Pogodziła się z faktem, że mało prawdopodobne jest, by urodziła dziecko w tym wieku i bez mężczyzny. Zamknęła więc ten temat i zaczęła rozpaczać.

- Jak trudno jest zaadoptować dziecko osobie samotnej? - zapytała Lole, która zaśmiała się w głos.

- O niebo łatwiej niż dwóm lesbijkom, zapewniam cię! To było jak promyk światła w ciemnościach, promyk,

który pokazał możliwość zostania matką. Izzie Silver mogła jednak zostać mamą. Wymagałoby to odwagi i mnóstwa wysiłku, niemniej jednak było możliwe. Nie wszystko stracone tylko dlatego, że Joe nie dzieli z nią radości.

Schowała ten pomysł na dnie swych myśli i odłożyła na nieco później.

Życie jednak było fajne. Robiła coś, w co wierzyła, pracując z kobietami, które kochały siebie: dobrze się z tym czuła, mimo że nigdy nie zrównoważyło to bólu w jej sercu, gdzie kiedyś byli babcia i Joe. Nie znaczy to, że babcia odeszła już na zawsze, ale nocą, kiedy Izzie leżała w łóżku i myślała o poranku nastającym w Tamarin, takie właśnie odnosiła wrażenie.

Koszmarne bóle, które czuła po rozstaniu z Joem, nieco słabły i coraz rzadziej pragnęła do niego zadzwonić i błagać, by do niej wrócił. Dokonała wyboru i teraz żyła z jego konsekwencjami. Być może nie miała wszystkiego, czego pragnęła, ale kto miał?

Anneliese czuła, jak mięśnie jej ramion napinają się z wysiłku.

- Nie wiem, jak długo uda mi się tak wytrzymać - wyszeptała, czując, jak drżą jej nogi.

To było dopiero jej trzecie stanie na głowie i Karen kręciła się w pobliżu, gotowa wkroczyć do akcji, gdyby Anneliese osłabła.

- Jeszcze trochę, świetnie ci idzie. Napinaj mięśnie ramion, Anneliese - poleciła ze swym miękkim australijskim akcentem.

Jak na kogoś tak łagodnego w codziennym życiu, Karen stawiała się dość bezwzględna podczas lekcji jogi. Ale to się sprawdzało: w ciągu czterech miesięcy, odkąd Anneliese chodziła na zajęcia, szybko robiła postępy, tylko i wyłącznie dzięki staraniom Karen, by dawała z siebie wszystko. Kiedy przyszła na pierwszą lekcję, jęczała przy każdej najprostszej pozycji, a teraz znajdowała się do góry nogami równolegle do ściany, opierając się na przedramionach i łokciach, z nogami w górze.

- W Pune każą to robić na marmurowej podłodze - kontynuowała Karen.

Pune w Indiach było centrum jogi dla miłośników Iyengar jogi, gdzie przeszła swoje szkolenie.

- Są w takim razie sadystami - wysapała Anneliese.

- Sądziłam, że w jodze chodzi o umysł, ciało i duszę, a nie walenie głową w marmurową podłogę.

Karen roześmiała się. Uwielbiała poczucie humoru Anneliese.

- Okej, możesz zejść na dół. Zaczęłaś od prawej nogi, więc teraz zrób to od lewej.

Z gracją, która ją samą zaskoczyła, Anneliese przeniosła lewą nogę na podłogę, a za nią płynnie podążyła prawa.

- O rany. - Uklękła na macie, oddychając ciężko. - Nie sądziłam, że uda mi się to zrobić bez opierania nóg o ścianę

- oświadczyła.

- Jesteś stworzona do jogi - odparła pogodnie Karen. - Shona, chcesz teraz ty spróbować?

Gdy Karen pomagała kolejnej uczestniczce piątkowych zajęć stanąć na głowie, Anneliese pławiła się w uczuciu sukcesu. To dziwne, jak bardzo joga była ożywcza, zarówno fizycznie, jak i intelektualnie. W przeciwieństwie do zajęć gimnastycznych z czasów młodości Anneliese, gdzie chodziło tylko o walkę ze swoim ciałem i szaleńcze podskoki w celu zachowania figury, ten rodzaj ćwiczeń miał na nią kojący wpływ. Bez względu na to, jak była rozdrażniona, godzina w studio jogi nad sklepem z artykułami dla artystów na Stone Street działała na nią uspokajająco.

Uznała, że dziesięciminutowa sesja medytacyjna na końcu zajęć jest lepsza niż jakikolwiek antydepresant. To był jej szczęśliwy dzień, a także wielu kobiet w Tamarin, kiedy matka Jodi postanowiła, że zostanie w mieście do narodzin swego wnuka. Teraz, gdy dziecko Jodi przyszło już na świat, mały urwis z puszkiem na głowie, który otrzymał imię Kyle i wyglądał zupełnie jak jego tata, Karen zaczęła przebąkiwać o zostaniu tu na stałe.

Po zajęciach dziesięć uczestniczących w nich kobiet udawało się zawsze do miasta na herbatę i drożdżówki U Doroty. Dzisiaj Anneliese i Karen szły razem. Anneliese miała doskonałe samopoczucie dzięki rozgrzaniu i rozciągnięciu mięśni i umysłowi, któremu udało się znieruchomieć na co najmniej dziesięć minut.

- Wszystko już przygotowane na jutro? - zapytała Karen.

- Mniej więcej - odparła Anneliese. - Cieszę się, że po ceremonii idziemy na lunch do Hotelu Portowego. Przygotowanie go u mnie w domu byłoby zbyt krepujące, pomimo tego, jak dobrze układają się sprawy między mną a Edwardem. Na chrzcinach trzeba tworzyć nowe wspomnienia, a nie przygniatać się starymi i złymi, tak więc najlepsze do tego jest miejsce neutralne.

- Wydajesz się zadowolona z tego wszystkiego - stwierdziła Karen.

Anneliese uśmiechnęła się szeroko. W ciągu kilku ostatnich miesięcy Karen stała się jedną z jej najbliższych przyjaciółek. Różnicę czynił fakt, że zaprzyjaźniły się z wyboru, a nie dlatego, że mieszkały niedaleko siebie czy też ich dzieci chodziły do tej samej klasy. Nawiązała się między nimi więź, choć - jak Karen raz zauważyła - „pomocne jest to, że ty także rozstałaś się z mężem”. Anneliese wiedziała, o co jej chodzi. Wśród kobiet w miasteczku dawało się zauważyć wyraźne kliki. Jedną kategorią to były wdowy, którym mężczyźni odebrano. Kolejną grupę tworzyły kobiety rozwiedzione lub w separacji. A zupełnie inna grupa zrzeszała kobiety szczęśliwie - albo i nieszczęśliwie - zameżne.

Anneliese przekonała się, że przyjaźnienie się z nimi stało się teraz większym wyzwaniem. Zameżne koleżanki, te obdarzone większą intuicją, martwiły się tym, że mówiąc o swoim szczęśliwym pożyciu małżeńskim, mogą zasmucić Anneliese, gdy tymczasem te mniej przenikliwe beztrudnie rozmawiały o swoich mężach, ich wadach i tym, z jaką ochotą by ich zamordowały, ani przez chwilę nie myśląc o tym, jak to brzmi w uszach kobiety samotnej.

Z Karen nie miało to żadnego znaczenia.

- Jestem zadowolona. Na tyle, na ile umiem - odparła teraz Anneliese.
- Może zabrzmie to paskudnie, ale łatwiej jest mi, odkąd Edward wyprowadził się z domu Neli. Mimo że nie chcę, by do mnie wrócił, trochę mi ulżyło, że Neli nie okazała się dla niego lepsza ode mnie, że jej się także nie powiodło. Jestem wstrętą krową, że tak mówię?

- Tak - odparła Karen z udawaną powagą. - Burmistrz stawia ci właśnie pomnik na Harbour Square i zostaniesz uwieczniona w marmurze jako wielka krowa. Nie - dodała poważnie. - Jesteś normalna. Bez względu na to, jak jesteś teraz szczęśliwa, i tak bolałby cię widok Edwarda i Neli, obnoszących się po mia-

steczku ze swoją cholerną szczeniacką miłością. Myślę, że zachowałam się w tej całej sytuacji wspaniale. Gdyby trafiło na mnie, myślę, że rzucałabym się z pięściami na Neli za każdym razem, gdy bym ją widziała. Albo - dodała po namyśle - nakleiałabym jej numer telefonu i słowa „Amatorka igraszek z bacikiem” we wszystkich budkach telefonicznych w hrabstwie Waterford. Anneliese wybuchła śmiechem.

- Ta myśl rzeczywiście przemknęła mi przez głowę - zażartowała. - Ale na poważnie, to jaki byłby tego sens? Jeśli ktoś chce cię zostawić, to tak właśnie zrobi. Trochę to potrwało, ale zrozumiałam wkońcu, że nie ma co wyładowywać się na osobie, do której tak się akurat złożyło, że odszedł. To się nieco mija z celem.

- Ale ona była twoją przyjaciółką.

- To prawda. To rzeczywiście zabolalo. Gdyby zostawił mnie dla kogoś, kogo nie znam, nie byłoby tak źle. Ale odejście właśnie do Neli okazało się strasznie dla mnie trudne. Nie uwierzysz, jak bardzo się zadreślałam myśleniem o tych wszystkich okazjach, kiedy spotykaliśmy się we trójkę, próbując dociec, kiedy byli razem, i czy nie rozmawiali o mnie za moimi plecami. „Anneliese jest dzisiaj nie w humorze”. Tego rodzaju rzeczy. - Wzdrygnęła się. - W każdym razie mam to już za sobą. Żal mi Edwarda.

- Odwołuję to, co powiedziałam wcześniej - oświadczyła Karen. - Burmistrz nie stawia pomnika krowy; zostaniesz przedstawiona jako święta. Święta Anneliese.

- Nie, naprawdę - odparła Anneliese. - Mówię poważnie. Kobiety lepiej sobie radzą z samotnością. Neli jest sama od wielu lat i mnie tak naprawdę nie jest z tym źle. Ale Edward będzie się czuł zagubiony.

To od Yvonne dowiedziała się o tym. Ona z kolei usłyszała to od Cariny, której powiedział Calum, listonosz.

- Edward mieszka kątem u Freddiego Pollocka. Jest tam już od tygodnia. Neli powiedziała Calumowi, żeby nie przynosił już do niej korespondencji do Edwarda - oświadczyła Yvonne.

Anneliese milczała przez chwilę.

- Cóż - rzekła wreszcie. - Raczej nie jestem tym zaskoczona. Nigdy nie uważałam, że są dla siebie stworzeni.

Ale być może wielu ludzi nie uważało tak również w odniesieniu do niej i Edwarda.

- Może będzie chciał wrócić - rzekła z nadzieją Yvonne.

Pomimo kłębiących się w niej emocji, Anneliese uśmiechnęła się. Yvonne była taka prostolinijna. Dla niej wszystko było proste: Neli stanęła na drodze małżeństwu Anneliese i Edwarda, i teraz, kiedy Neli zniknęła z pola widzenia, wszystko - prawie - mogło wrócić do dawnego stanu.

- Wątpię, Yvonne - rzekła. - Prawdę mówiąc, wcale nie chcę, by wrócił.

- Och. - Yvonne wydawała się zaszokowana.

- Lubię swoje obecne życie - wyjaśniła Anneliese. - Nie ma w nim miejsca dla Edwarda. Pozwoliłam odejść jemu i przeszłości.

- Chodzi o Maca, prawda?

Mac rzeczywiście był częścią nowego życia Anneliese, ale tylko jako przyjaciel. Bardzo go lubiła, ale ich związek nigdy nie przerodzi się w nic więcej. Jeszcze długo nie będzie gotowa na nową miłość w swym życiu. Z zewnątrz mogło to jednak wyglądać tak, jakby Mac znajdował się następny w kolejce do romantycznego związku.

- Nie chodzi - odparła stanowczo, pragnąc zdusić ten pomysł w zarodku. - To przyjaciel, nikt więcej. Jeśli się zakocham, Yvonne, obiecuję, że ci o tym powiem, ale nie zanosz się na to w najbliższym czasie.

- Ale przecież musisz być samotna, Anneliese. Martwię się o ciebie, że mieszkasz zupełnie sama i masz za towarzystwo tylko tego zwariowanego psa.

- Ten zwariowany pies jest wszystkim, czego mi trzeba - odparła ciepło Anneliese. - Jestem szczęśliwa, naprawdę.

- Przynajmniej nie musisz się martwić zapraszaniem Neli na chrzciny
- oświadczyła Karen.

Dotarły właśnie do kafejki U Doroty i mimo że ranek nie był zimny, grupa postanowiła usiąść w środku.

- To Beth się tym martwiła - wyszeptała Anneliese, gdy stały w kolejce, by złożyć zamówienie. - Kiedy wspomniałam jej o tym, zapiszczała przez telefon. W końcu powiedziałam jej, że nie stanowi to dla mnie problemu. Poza tym świat nie obraca się wokół mnie, tak jej jeszcze powiedziałam. Ustąpiła więc, ale teraz nie jest to już problemem. Biedna Neli. Jest odcięta od wszystkich. Yvonne i Corinne prawie w ogóle się do niej nie odzywają i nie ma także Edwarda.

- Nie jestem zbyt biegła w kwestiach religijnych, a więc pomóż mi. Co stoi wyżej od świętości? - zapytała Karen. - Ponieważ ty się z całą pewnością na to kwalifikujesz.

- Och, przestań - zbeształa ją Anneliese. - Trzeba myśleć pozytywnie.
- Popatrzyła na pyszności kryjące się w przeszklonej szafce. Jej spojrzenie przyciągnęło duże kremowe ciastko z migdałami na wierzchu.
- Zjem to coś, co wygląda jak milion kalorii i mam nadzieję, że pozytywne myślenie pomoże w spaleniu tłuszczu!

Beth i Jodi szły w przyjacielskiej ciszy wzdłuż muru w porcie, pchając wózki ze swymi maluchami i delektując się tym, że jedno i drugie akurat jest cicho. Mitzi miała prawie pięć miesięcy i robiła się z niej ciekawska dziewczynka, która wpatrywała się w ludzi swymi dużymi zielonkawo-niebieskimi oczami i uśmiechała się uroczo, ukazując dołeczki w obu policzkach. Nie zawsze była jednak taka spokojna i Beth przyzwyczaiała się do ataków nieukojonego płaczu, którego powodem, jak w końcu się domyśliła, były kolki. Powoli się wyluzowywała, jeśli chodzi o to całe macierzyństwo, i dlatego właśnie miło było pospacerować sobie z Jodi i malutkim Kyle'em.

Kyle miał dopiero dziesięć dni i wydawał się taki maleńki w porównaniu z Mitzi. Jodi powoli opuszczała strach przed jego upuszczeniem. Nadal była lekko zaszokowana faktem, że pozwolono jej zabrać go ze szpitala do domu.

- Skąd oni wiedzą, że ja będę wiedziała, co robić? - zapytała ze łzami w oczach Dana, kiedy dwa dni po narodzinach Kyle'a zabrali go do domu.

- Bo widzą, że jesteś świetną mamą - odparł pewnie Dan. Został dobrze przygotowany przez swoją teściową, która mu wyjaśniła, że depresja poporodowa jest znacznie gorsza od najgorszego nawet napięcia przedmiesiączkowego.

Dzisiaj Jodi także chciało się trochę płakać, ale kiedy zjawiała się Beth, by wyciągnąć ją na spacer, jej nastrój uległ poprawie.

- Dobrze jest wychodzić z domu, kiedy dziecko jest malutkie - stwierdziła jej matka, po czym zasugerowała, by wybrała się na spacer razem z Beth, która przyjechała na chrzest Mitzi.

Dzień wcześniej dwie młode matki zrobiły kółko od jednego końca Tamarin do drugiego i tak bardzo im się to spodobało, że umówiły się na powtórkę, i oto były teraz w porcie, planując zatrzymanie się na kawę, jeśli obydwie maluchy dalej będą spać.

Rozmawiały o spaniu, karmieniu i kolkach.

- Brzmi to strasznie - jęknęła Jodi, kiedy Beth opowiedziała jej o wszystkim.

- Nic mi nie mów - westchnęła Beth. - Sądziłam, że coś źle robię. Przez ostatnie trzy tygodnie codziennie o siedemnastej zaczyna płakać.

Leżąc w wózku Mitzi zaczęła się kręcić. Dwie kobiety popatrzyły na siebie.

- Idziemy na kawę, zanim się obudzi?

- Zgoda.

- Izzie doszła już do siebie po podróży? - zapytała Jodi, gdy szybkim krokiem szły w stronę kawiarni.

- Izzie to stara wyjadaczka, podróżowanie jej nie męczy - odparła Beth. - Mam zamiar ją poprosić, by wieczorem zajęła się Mitzi.

- W takim razie później do niej zajrzę. Nie pokazywałam jej jeszcze tego, co napisałam o Rathnaree. Planowałam przesłać jej to w e-mailu, ale to było takie nieuporządkowane i chciałam wszystko doprowadzić do perfekcji.

- Zapomniałam, że się tym zajmowałaś. Mama mi mówiła. Odkryłaś jakieś rodzinne tajemnice?

Jodi uśmiechnęła się z żalem. Listy i dokumenty, jakie otrzymała od córki Vivi Whelan, nie okazały się jakoś szczególnie użyteczne. Było tam tylko kilka listów od Lily do przyjaciółki i atrament zdążył tak wyblaknąć, że trudno je było odczytać.

Pamiętnik to była zupełnie inna sprawa. Jodi była pewna, że opowiadał on całą historię.

Znalazła go miesiąc przed urodzeniem Kyle'a, kiedy ona i Anneliese udały się do domu Lily, by znaleźć u niej coś, czym mogłyby ozdobić jej pokój w Laurowych Ogrodach.

Anneliese posprzątała trochę, z całych sił powstrzymując łzy, gdy poprawiała poduszki na sofie Lily, myśląc o tym, że Lily pewnie nie wróci już do domu, by na nich usiąść.

Jodi próbowała odwrócić jej uwagę, opowiadając, jak dużo przytyła.

- Jedenaście kilo - użalała się. - Przytyłam jedenaście kilo. Możesz w to uwierzyć?

- Szybko je zgubisz - odparła życzliwie Anneliese, a potem westchnęła ciężko. - Myślę o tym, jak Izzie przyjedzie i zobaczy gazetę Lily wciąż otwartą na stronie z krzyżówkami, i kubki na suszarce... - rzekła. - To takie smutne, jakby Lily tylko na chwilę wyszła ze swojego życia.

Anneliese udała się na górę, by zabrać dla Lily jakieś nocne koszule.

Jodi usiadła na wielkim, wygodnym fotelu i wierciła się, by się wygodnie umościć. Gdyby przesunęła fotel, mogłaby oprzeć nogi na małym taborecie. Fotel uderzył w kartonowe pudełko, które stało na

stercie starych gazet. Wieko spadło i jego zawartość wysypała się: pożółkłe kartki papieru, sepiowe fotografie i niewielki notes w sztywnej oprawie.

Zakłopotana swoją niezdarnością Jodi wstała pośpiesznie, by włożyć zawartość z powrotem do pudełka.

- Co to takiego? - zapytała Anneliese, schodząc z góry.

- Przewróciłam ten karton, próbując wygodniej usiąść - wyjaśniła Jodi. - Przepraszam.

Obie popatrzyły na notes. Anneliese schyliła się, by go podnieść. Otworzyła go i ich oczom ukazały się cienkie kartki pokryte pismem Lily.

- Jej pamiętnik - szepnęła Jodi.

- Jezu - rzekła Anneliese. - Nie wiedziałam, że Lily prowadziła pamiętnik.

Przesunęła palcami po linijce tekstu, tak jakby mogła w ten sposób poczuć Lily, po czym zamknęła notes.

- Nie chcę tego czytać - oświadczyła. - Należy przecież do Lily, a ona jeszcze nie odeszła. Jeśli już ktoś powinien go dostać to Izzie.

Jodi dotknęła pożądliwie okładki. Pragnęła przeczytać ten pamiętnik, pragnęła poznać historię Lily.

- Izzie powinna go dostać - powtórzyła Anneliese.

- Oczywiście - odparła Jodi. Siedząca w niej historyczka przegrała z poczuciem przyjaźni. - Izzie jest właściwą osobą.

Anneliese poklepała ją po dłoni. Jodi i Beth dotarły do kawiarni. Dzieci nadal pogrążone były w błogim śnie.

- Nie - odparła stanowczo, choć tak naprawdę nie miała co do tego pewności. - Żadnych rodzinnych tajemnic.

Jeśli nawet istniały, to do Izzie należało ułożenie ich do snu.

Izzie rozpakowała walizkę i powiesiła na wieszaku sukienkę na chrzciny. Wiedziała, że jutro będzie się sporo działo,

ale teraz już się nie mogła tego doczekać. Trzymanie w ramionach Mitzi okazało się niesamowite: wcześniej myślała, że tylko chwilę małą potrzyma i zdumiała się wczoraj wieczorem, kiedy poszła odwiedzić Anneliese i Beth po prostu wręczyła jej Mitzi, po czym na dwadzieścia minut zniknęła.

- Co ja mam...? - zaczęła Izzie, która została z budzącym się dzieckiem w ramionach i miękką szmatką, którą Beth pospiesznie położyła jej na ramieniu. Ale była sama.

- Tylko ty i ja, mała - rzekła do Mitzi, która zmrużyła zaspane oczka. - Nie płacz.

Do Mitzi dotarło w końcu, że nie leży już w znajomych ramionach mamy. Kim była ta kobieta?

- O Jezu - jęknęła Izzie, gdy Mitzi wydała z siebie ryk, który stał w opozycji do jej małego ciała.

Jak coś tak małego mogło robić tyle hałasu? Po ryku nastąpił odgłos chlupnięcia i Izzie wydało się, jakby w jej ramionach pojawiło się coś ciężkiego i ciepłego, a zaraz potem po całym pokoju rozszedł się bardzo nieładny zapach. Jak coś tak małego mogło wydzielać taki brzydki zapach?

Dziesięć minut trwało, nim Mitzi się uspokoiła, przez który to czas Izzie dwukrotnie przedstawiła swój repertuar rymowanek. Mruczała jedną z nich śpiewnym głosem, kiedy Mitzi wreszcie przestała płakać i uśmiechnęła się.

- Och, jesteś słodka - westchnęła z ulgą Izzie. - No to co, zmienimy tę paskudną, starą pieluchę?

Mitzi coś do niej gaworzyła.

Jedną zabrudzoną pieluszkę i co najmniej jedną czwartą paczki wilgotnych chusteczek później Izzie czuła się, jakby mogła już odpiąć plakietkę ucznia.

- Jak się sprawowała? - zapytała Beth, wchodząc beztrąsko do pokoju. Izzie uśmiechnęła się szeroko.

- Doskonale. Ale jest to męczące.

- Nie wiesz nawet połowy - westchnęła Beth, biorąc od Izzie córeczkę i przytulając ją mocno.

Sześć tygodni temu Izzie miałyby ochotę zamordować Beth za tak niefrasobliwe zachowanie w stosunku do swego dziecka. Teraz jednak była jedynie w stanie kiwnąć zgodnie głową.

- Jednak warto - rzekła z uczuciem.

- Jasne - odparła Beth.

Oddaliła się, by wykąpać małą i w tej samej chwili do domu wpadła Anneliese, zarumieniona po szybkim spacerze po plaży z Silkie.

- Witaj, piesku - Izzie radośnie tuliła się do Silkie. - Jest urocza. Jest choć cień szansy na to, bym mogła ci ją skraść?

Ciotka się zaśmiała.

- Tylko dzięki niej jeszcze nie zwariowałam, więc odpowiedź brzmi „nie”. Żartuję tylko - dodała, widząc w oczach Izzie niepokój. - Czuję się dobrze, Izzie.

- Widzę. Tata mówił, że tak właśnie jest.

- Rodzinna poczta pantoflowa nadal działa. Izzie uśmiechnęła się.

- W sposób najmilszy z możliwych - odparła. - Naprawdę wydajesz się szczęśliwa, Anneliese.

- Ty też. Nie byłaś taka podczas swojej poprzedniej wizyty w zeszłym roku.

Izzie wzdrygnęła się.

- To był kiepski okres w moim życiu - rzekła. - Pomijając nawet to, co przytrafiło się babci.

Obie milczały przez chwilę i jedynym słyszalnym dźwiękiem było radosne dyszenie Silkie na dywanie. Anneliese podrapała ją z roztargnieniem po uszach.

- Lily odchodzi, wiesz? Izzie zagryzła wargę.

- Wiem. O tym tata też mi powiedział. Idę do niej jutro rano.

- Tylko... - Anneliese urwała. - Chcę, żebyś była przygotowana, Izzie.
- Jestem.

- Nie, naprawdę przygotowana. Czas, by pozwolić jej odejść, Izzie.
Mam wrażenie, że trzymała się jakoś, czekając na twój powrót.

Izzie mogła jedynie kiwnąć głową, ponieważ płakała.

- Jodi nie dowiedziała się w końcu, kim był ten Jamie... -

kontynuowała Anneliese, by Izzie mogła w spokoju popłakać. - Znalazła jakieś listy od Lily do jej przyjaciółki, Vivi. Maje dla ciebie, ale kończą się przed końcem wojny. Musiała wtedy wrócić do Tamarin.

- Bardzo bym je chciała przeczytać - wykrztusiła Izzie.

- Ale Jodi i ja znalazłyśmy coś innego. Pudełko z różnymi drobiazgami, wśród których był notes. Myślimy, że to może pamiętnik. Pamiętnik Lily. Nie czytałam go. Czułam po prostu, że Lily by tego nie chciała. Albo może nie chciałyby, żeby ktokolwiek to przeczytał, ale...

Anneliese urwała. Długo o tym wszystkim myślała. Pudełko zostało wyjęte z jakiejś kryjówki i miała wrażenie, że Lily zrobiła to celowo, by je komuś pokazać. Tym kimś mogła być jedynie Izzie.

- Pudełko jest na górze - dodała. - Dam ci je, gdy będziesz wychodzić, dobrze?

- Dobrze - odparła Izzie.

Kłęcząca na podłodze, tuląc się do Silkie, by ukryć napływające do oczu łzy.

Anneliese wyciągnęła rękę i pomogła jej wstać.

- Jest zimno, ale wieczór jest i tak przyjemny. Chodź na werandę, posiedzisz ze mną i Silkie i popatrzysz na zatokę. To działa uspokajająco. Przypomina ci o tym, że jesteśmy na tym świecie tylko małymi plamkami i że wszyscy musimy pewnego dnia odejść.

Gdy Anneliese i Izzie wróciły do domu, zdążyła już zapaść noc.

- Dziękuję - rzekła Izzie, ponownie ściskając swą ciotkę. -

Wiedziałam, że nie będzie łatwo, ale obecność tutaj - zaszlochala - jest taka trudna.

- Wiem. - Anneliese przytuliła ją mocno. - Chcesz ten pamiętnik i pudełko? Nie chcę, byś jeszcze bardziej się denerwowała.

- O nie, oczywiście, że chcę. Anneliese kiwnęła głową.

- Po prostu przestań czytać, gdyby to było dla ciebie za dużo. Nie mam pojęcia, co się tam znajduje, ale jeśli pisała to Lily, to na pewno zawiera dużo mądrości.

Kiedy Izzie odjechała samochodem swego taty, cenne pudełko z pamiętnikiem leżało obok niej na fotelu pasażera.

Nie była pewna, czy będzie to w stanie przeczytać. Czytanie teraz pamiętnika Lily byłoby niczym jednoczesne powitanie się z nią i pożegnanie.

Niewielki pokój na parterze domu opieki Laurowe Ogrody był bardzo ładny, mimo że zajmowali go głównie pacjenci, którzy nie mogli otworzyć oczu i podziwiać tapety z czerwonymi różami. W oknach wisiały ciężkie kremowe zasłony, chroniące nocą przed zimnem, i choć samo łóżko było standardowym łóżkiem szpitalnym, pościel już nie miała odcień przydymionego różu, pasującego do ścian. Pokój ozdabiały różne drobiazgi z domu jej babci: na toaletce stał porcelanowy wazon, a w nim żonkile. Na stoliku przy łóżku znajdowało się kilka srebrnych ramek ze zdjęciami. Na jednym z nich Izzie przytuliła się do babci. Ozdobna poduszka ze słoniem, która w Kuźni leżała na fotelu obok kominka, teraz spoczywała na krześle przy łóżku, tak jakby czekała, aż Lily wstanie i usiądzie na niej.

Ale Izzie wiedziała, że jej babcia już nigdy nie siądzie na krześle ani nie będzie podziwiać, jak ładnie Anneliese i pielęgniarzki urządziły ten pokój. Gdy tylko tu weszła, poczuła oddech śmierci.

Nie zostało już nic z jej ukochanej babci. Lily może i była słaba podczas ubiegłorocznego pobytu w szpitalu, ale teraz była jedynie zjawą, tak jakby jej cielesność pomniejszała się z każdym upływającym dniem. Niegdyś piękna twarz była zapadnięta, wyglądała jak maska śmierci na twarzach faraonów, które Izzie widziała kiedyś w muzeum w Kairze.

Izzie przyłożyła dłoń do ust, by nie rozplakać się na głos. Tak dużo płakała zeszłej nocy, kiedy siedziała z pamiętnikiem Lily na kolanach, odszyfrowując pismo babci i czytając historię, której dotąd nie знаła.

- Przykro mi - odezwała się pielęgniarzka, klepiąc ją delikatnie po ramieniu. - Mówiłam pani, że jej stan znacznie się pogorszył.

Izzie kiwnęła głową. Nie była w stanie mówić. Pielęgniarzka, spokojna kobieta w średnim wieku, o imieniu Rhona, mówiła, że zapalenie płuc wyssało z jej babci sporo życia, ale nie spodziewała się, że aż tyle.

Izzie odwróciła się w stronę drzwi.

- Nie mogę - zaszlochala do Rhony.

Po przeczytaniu pamiętnika Lily była w jej głowie tak pełna życia - silna, pełna pasji, młoda Lily - w przeciwieństwie do tej słabiotkiej staruszki, z której uchodziło życie.

- Oczywiście, że może pani - oświadczyła dziarsko Rhona. - Słyszałam, że to babcia praktycznie panią wychowała. Proszę myśleć o niej, o tej kobiecie, a uda się pani.

Jakimś sposobem Izzie przestała płakać. Usiadła przy łóżku i ujęła dłoń babci. Oglądanie jej w takim stanie było czymś nie do zniesienia. Jakież to było z jej strony egoistyczne, że wcześniej pragnęła, by babcia pozostała w takim stanie, po to tylko, by ona nie musiała stawiać czoła prawdziwej śmierci. Ona wiodła własne życie, a jej ukochaną babcie łączyła z tym światem tylko cienka nić.

- Przepraszam, babciu - rzekła. - Proszę, wybac mi, że nie byłam tu z tobą.

Dotknęła babcinych brwi, myśląc o zdjęciach, przedstawiających ją jako młodą kobietą z błyszczącymi włosami i tymi bystrymi oczami, baczenie obserwującymi świat.

Izzie poczuła wobec siebie gniew za to, że śmiała myśleć, iż czas obchodzi się z tobą okrutnie, gdy ma się czterdzieści lat.

- Obiecuję, że nie będę już marnować życia - oświadczyła. - To właśnie tego się nauczyłaś, prawda? Czasami trzeba pozwolić odejść.

O tym właśnie opowiedział jej pamiętnik, o tym i o wielu innych sprawach. Zawierał tyle lekcji: lekcji, które będzie musiała przeczytać ponownie, by dobrze pojąć. Życie jej babci pełne było historii, o których Izzie w ogóle nie wiedziała, historii o życiu, śmierci i przetrwaniu.

Najsilniejszym jednak uczuciem po przeczytaniu pamiętnika była świadomość, że dokonała właściwego wyboru, pozwalając Joemu odejść. Zupełnie jakby babcia wyciągnęła do niej rękę, poklepała po dłoni i powiedziała: „Dobrze zrobiłaś, moje dziecko”.

Przez sześć ostatnich miesięcy Izzie zadreęczała się z powodu Joego, zastanawiając się, czy nie powinna była wytrzymać z nadzieją, że pewnego dnia będzie wolny.

Słowa babci pokazały jej, iż nie ma prostych odpowiedzi, nie ma czerni i bieli. Tak jak babcia wiedziała, że Jamie Hamilton nigdy nie będzie do niej należał, nie krzywdząc przy tym innych, tak Izzie zrozumiała, że Joego dotyczy ta sama zasada.

Zbyt dużą cenę musieliby zapłacić za swoją miłość i jedyne, co mogła zrobić, to odejść.

Izzie pomyślała o świecie, w którym ją wychowano - nowoczesnym świecie z wieloma prawami. Prawem do posiadania dziecka, prawem do kochania tego, kogo się chciało... a jednak to wcale nie było takie proste. Światem babci rządziły konwenanse, których Izzie nie była w stanie zrozumieć: ogromna władza Kościoła i bariera, jaką było pochodzenie. Nowoczesny świat może i odrzucił część tych struktur, ale

stworzył w ich miejsce nowe. Na przykład świadomość tego, jak rozwód wpływa na dzieci.

Odejście od Joego było najtrudniejszą rzeczą, jaką musiała zrobić, ale zeszłej nocy, czytając pamiętnik babci, Izzie czuła ukojenie, wiedząc, że jej ukochana babcia to rozumiała.

- Babciu - wyszeptała teraz. - Tak bardzo pragnęłam powiedzieć ci o Joem, ale sądziłam, że ty tego nie zrozumiesz. Teraz wiem, że nie miałam racji, że świetnie byś to wszystko rozumiała.

Gdyby tylko babcia mogła udzielić jej odpowiedzi.

- Wiem teraz o Jamiem - kontynuowała miękko. - Wiem wszystko. Dziękuję ci. Dziękuję, że zostawiłaś dla mnie ten pamiętnik. Chciałam ci powiedzieć, że bardzo mi on pomógł.

Izzie otarła łzę. Nie miała zamiaru płakać, jeszcze nie teraz.

- Tak wiele widziałaś, babciu, i przepraszam, że nigdy przy tobie nie usiadłam i nie zapytałam o to wszystko, o wojnę, o Rathnaree. Byłam młoda i egoistyczna, ale tak bardzo cię Kocham, mam nadzieję, że wiesz o tym.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, obserwując ukochaną twarz babci, mając nadzieję na jakąś reakcję. Ale wiedziała, że nie doczeka jej się. Musiała stawić temu czoło. Nie było sensu uciekać przed prawdą.

- Kocham cię, babciu - wyszeptała ponownie.

Gęste, siwe włosy Lily były w lekkim nieładzie i Izzie poszła poprosić Rhonę o coś do czesania. Babcia zawsze wyglądała pięknie; dzisiaj także powinna tak wyglądać.

Rhona wręczyła jej miękką dziecięcą szczotkę, jakiej używała przy pacjentach takich jak Lily.

- Dzięki - powiedziała Izzie i wróciła do pokoju. Delikatnie czesała siwe włosy.

- Lubisz mieć ładne włosy, babciu - mówiła, przyglądając odstające pasma.

Następnie wyjęła ze swej wielkiej torebki krem nawilżający i ogrzała w dłoni odrobinę. Powoli wtarła krem w pergaminową skórę twarzy jej babci, głaszcząc i klepiąc go jak najdelikatniej, jak tylko umiała. Następnie zabrała się za dłonie. Izzie miała wspaniały krem Avedy, który pachniał kwiatami.

- Ten krem jest najlepszy na świecie, babciu. Modelki go używają, wiesz, ale twoje dłonie są cenniejsze.

Ujęła delikatną dłoń i gładziła ją lekko, aż krem się wchłoniął, po czym to samo zrobiła z drugą dłonią. Myślała o czasach, kiedy te ręce ją trzymały, i o ukojeniu, które czerpała z ich dotyku. Bardzo trudne musiało być jednoczesne pełnienie roli matki i babci osieroconej dziewczynki, ale jej babci to się udało.

- Teraz perfumy. Nie mam Arpege, tych, które kochasz, ale mam to.

Perfumy miodowe firmy L'Occitane. Psiknęła je na własne dłonie i następnie potarła nimi lekko o nadgarstki i skronie babci.

- I co, teraz lepiej, prawda? - zapytała, po czym powąchała powietrze.

To dziwne: użyła perfum o zapachu miodu, a jednak wpo-koju głównie czuć było lawendę. Poniosło to jej myśli ku szafom jej babci i zapachowi lawendy, emanującym z jej ubrań. Wydawało się, że lawenda jest silniejsza niż wszystkie inne zapachy w tym pokoju, mocny, a jednocześnie łagodny zapach, który przypominał Izzie fioletowe krzewy przed Starą Kuźnią.

Babcia uwielbiała te zioła i bardzo o nie dbała, przycinając je starannie, usuwając zdrewniałe łodyżki i zastępując nowymi roślinami, gdy zachodziła taka potrzeba.

Izzie pociągnęła nosem, cofając się do czasów dzieciństwa. Skąd dochodził ten zapach?

Kwiecień 1945

W domu na Bayswater Road Diana tańczyła po pokoju, bardziej dumna w swej sukni niż kiedykolwiek wcześniej

w swych najlepszych strojach. Ta fioletowa suknia z jedwabiu była owocem umiejętności trzech kobiet i znaczyła dla niej więcej niż jakakolwiek inna, ponieważ to właśnie ją będzie miała na sobie podczas swego przyjęcia zaręczynowego.

Dzisiejszego wieczoru uczyni pierwszy krok, by zostać panią Smythe, i Diana jeszcze nigdy nie była taka szczęśliwa. Przyjęcie odbywało się w Claridges i zjawiali się na nim wszyscy, nawet jej rodzice z Beltonward, co samo w sobie było cudem.

- Wyglądasz ślicznie - oświadczyła Lily, uśmiechając się do przyjaciółki. Siedziała na podłodze z poduszczką ze szpilkami na nadgarstku, na wypadek jakichś ostatnich poprawek.

- Ty też, kochanie - uśmiechnęła się promiennie Diana. W stanie czystego szczęścia pragnęła, by wszyscy byli równie szczęśliwi, jak ona. - Powinnyśmy już iść, wicie? Tak bardzo wszystkich męczyłam o to, by byli punktualni, że sama po prostu nie mogę się spóźnić.

Lily skryła uśmiech. Anthony oświadczył, że wie, iż jego ukochana się spóźni.

- Kolejna rzecz, za którą ją kocham - rzekł wczoraj do Lily. Lily pomyślała, że jest on naprawdę kochany. Prawie tak

przystojny jak Jamie. Pozwoliła sobie zamknąć oczy i pomyśleć o nim przez jeden zaprawiony kroplą goryczy moment. Wojna była już prawie zakończona, wszyscy o tym wiedzieli.

Niedługo Jamie wróci do Anglii i będzie chciał porozmawiać o ich przyszłości i wtedy Lily po prostu umrze. Z tak wielu powodów nie istniała dla nich wspólna przyszłość.

Pierwszym była jej wiara. Zastanawiała się, jak będzie wstanie wyjaśnić Jamiemu, czym jest katolicyzm, jak to jest wychowywać się w świecie, gdzie wiara ma ogromne znaczenie.

Bez względu na to, jak bardzo pomstowała na Boga za to, co robił, pozwalając niewinnym ludziom umierać każdego dnia z powodu tej głupiej wojny, wierzyła w Niego. A w przypadku małżeństwa Bóg nie uznawał półśrodków: zawierało

się je na całe życie. Lily próbowała sobie wyobrazić, jak jej kochani matka i ojciec zareagowałiby na Jamiego, na wiadomość, że jest już żonaty i że kocha ich córkę.

Przede wszystkim liczyłyby się dla nich fakt, że Jamie nie jest katolikiem, a w dodatku jest rozwiedziony.

Niemalże słyszała swoją matkę: „Jeśli za niego wyjdiesz, Lily, zostaniesz ekskomunikowana. Na miłość Boską, nie rób tego!”.

Jamie może i był ją w stanie do tego nakłonić na poziomie racjonalnym, ale na poziomie duchowym wyglądało to inaczej. Miłość do Jamiego była sprzeczna ze wszystkimi zasadami jej religii i kiedy nie było go przy niej, kiedy nie rządziła nią dzika namiętność, czuła ciężar tej zdrady.

Diana nieumyślnie wbiła jej rapier w bok, kiedy mówiła o swym zbliżającym się ślubie.

Kochana Diana, co do której Lily miała pewność, że nic nie wiedziała o Jamie, omawiała listę gości weselnych. Zjawi się większość ludzi z wesela Sybil. Diana starała się nie popadać w obsesję, jeśli chodzi o szczegóły związane z jej ślubem, niemniej jednak nosiła przy sobie listę gości i robiła dopiski, kiedy o kimś sobie przypominała.

- Rety, muszę zaprosić kochanego Jamiego i Mirandę - powiedziała pewnego dnia i Lily, która zdążyła się już przyzwyczaić do wyliczanek nazwisk, znieruchomiła, bojąc się odezwać, by się przypadkiem w jakiś sposób nie zdradzić. - Trochę dziwna jest ta Miranda - kontynuowała niefrasobliwie Diana. - Nie taką dziewczynę widziałoby się jako żonę Jamiego. *Entre nous*, mamusia zawsze mówiła, że jest ona strasznie spięta. Ale niezwykle ładna. Mamusia była w Oksfordzie i mówi, że wpadła tam na Mirandę. Przebywa tam u babci Jamiego i on załatwił sobie przepustkę, by zobaczyć się z nimi obiema. Mamusia mówi, że Miranda wygląda olśniewająco.

Lily nie byłaby w stanie się teraz odezwać, nawet gdyby tego od niej wymagano. Jamie był z Mirandą w domu swej

babci w Oksfordzie. Nie wspomniał jej o tym ani słowem. I nie wspomni. Bez względu na to, co mówił, nadal łączyły go silne więzy z Mirandą.

Celem wizyty Jamiego nie było powiedzenie żonie o Lily: żadna kobieta nie wyglądałaby olśniewająco, gdyby mąż właśnie jej oświadczył, że kocha inną.

A potem Sybil, paskudna, okrutna Sybil wbiła w nią ostatni trujący sztylet i sprawiła, że Lily zrozumiała, iż to koniec jej i Jamiego: musiała mu po prostu pozwolić odejść.

Ona i Sybil ledwie tolerowały własne towarzystwo i Lily robiła, co tylko mogła, by jej unikać.

Ale Sybil przyjechała do Londynu na przyjęcie zaręczynowe i chociaż Lily symulowała wyczerpanie, kiedy Sybil pojawiła się, by zabrać siostrę na kolację, i tak musiała przetrwać pół godziny jej obecności. Sybil zaczęła, aż zostały same, kiedy Diana poszła przed ich wyjściem po płaszcz.

Zapalając papierosa, wpatrywała się twardym spojrzeniem w przyjaciółkę swej siostry.

- Tatuś był w twoim domu, wiesz? - rzekła.

- Słucham?

- Rathnaree, prawda? - kontynuowała Sybil. - Nigdy nie byłaś skora do rozmowy o tym, powiedziałaś nam, że pochodzisz z Waterford, ale zapytałam Dianę i powiedziała mi, gdzie dokładnie pracowała twoja matka, gdzie ty pracowałaś. Dla Lochravenów. - Na jej twarzy malowała się zaciętość. - Tatuś ich zna, pojechał tam kiedyś na wielkie przyjęcie urodzinowe lady Irene. Mówi, że jest ona niesamowicie kochana. Chodzi o to, że zastanawiam się, jak się będzie czuła rodzina Jamiego, kiedy się dowie, że sypia z pokojówką jaśnie pani? Raczej nie będą tym zachwyceni.

- Dlaczego to robisz? - zapytała ze znużeniem Lily, wiedząc, że Sybil ubiera jedynie w słowa jej najgorsze obawy. - Dlaczego tak bardzo chcesz mnie ranić?

- Bo ty patrzysz na mnie z góry, jakbym była jakimś rozpuszczonym dzieckiem! - wrzasnęła Sybil. - Cóż, to nie ja sypiam z mężem innej kobiety, prawda?

Nie było na to odpowiedzi. Potępienie Sybil było niczym w porównaniu z oskarżeniami, które sama wysuwała względem siebie. Szczęście jej i Jamiego było zakazane z tylu powodów. Każdy z nich pojedynczo przemawiał za zakończeniem związku. Razem czyniły go niemożliwym.

To, w połączeniu ze wzmianką Diany o spotkaniu Jamiego i Mirandy, sprawiło, że koniec stał się czymś nieuchronnym.

- Sybil, nie jesteś warta tego, by się z tobą kłócić - oświadczyła zmęczonym głosem Lily i wyszła z pokoju, by udać się do siebie i płakać.

To koniec pomiędzy nią a Jamiem, koniec, jeszcze nim się zdążyło na dobre rozpocząć. To ona musiała to zakończyć, nim ten związek zniszczy ich oboje.

Siedząc na łóżku, gdzie tyle razy się kochali, wspominała ostatni raz, kiedy spotkała się z nim w hotelu w Torquay. To była jedyna noc w ich całym związku, kiedy udało im się zostać razem aż do świtu.

Torquay było dla nich idealnym miejscem; na wybrzeżu panował tak wielki ruch wojsk, że nikt nie zwróciłby na nich uwagi, gdyby nawet zauważył kapitana Jamiego Hamiltona w towarzystwie nieznajomej kobiety.

Rozum jej mówił, że to, co robi, jest niewłaściwe. Świtało. Leżała z otwartymi oczami, czując przy sobie jego nagie ciało, ciepłe pomimo panującego w pokoju chłodu. Nigdy wcześniej nie spała nago, a teraz zastanawiała się, jak można to robić inaczej.

Oczywiście obok musiało znajdować się drugie ciało; ciało takie jak to, twarde od ćwiczeń fizycznych, umięśnione i szczupłe, bez grama tłuszczu, i tak niesamowicie silne.

A jednocześnie był wobec niej taki delikatny. Jego dłonie ze szczupłymi palcami pianisty robiły zeszłej nocy kółka na jej jasnej skórze, oczy błyszczały w łagodnym świetle słabej żarówki.

Pod tym dotykiem jej ciało stało się takie, jakim go wcześniej nie znała: skarbem stworzonym tylko po to, by on mógł je uwielbiać.

- Jesteś taka piękna. Chciałbym, aby ta chwila trwała wiecznie - rzekł do niej niskim głosem, który tak kochała.

Właściwie kochała w nim absolutnie wszystko.

Był idealny.

I nie należał do niej.

Ich wspólny czas był kradziony: kilka godzin tu, kilka godzin tam, uścisk rąk pod stołem podczas kolacji, ich przytulone ciała na szerokim hotelowym łóżku, niczym rozbitkowie na tratwie. Przez tych kilka godzin był jej, ale jedynie pożyczony.

Ponownie wezbrała w niej rozpacz powodowana rozstaniem. Fizyczny, rozdzierający ból.

Niedługo się obudzi. Będzie musiał wyjść przed siódmą, by zdążyć na pociąg.

Gdyby to ona była tą, która pierwsza musi opuścić hotelowy pokój, na pewno nie zdołałaby tego zrobić. Ale on tak. Wzywał go obowiązek.

W pokoju było ciemno i tylko wskazówki budzika zdradzały, że jest już rano. Wyślizgnęła się z łóżka i odchyliła ciężką zasłonę, by wpuścić do środka nieco szarego światła. Padał deszcz ze śniegiem, taki strasznie wychładzający całe ciało.

Z ulicy dochodziły poranne odgłosy. Trzaskanie drzwi, klaksonów, ulice budzące się do życia. Wokół nich toczyło się normalne życie: niczym mrówki robotnice harujące w mrowisku, nikt nie zwracał uwagi na życie osoby obok. Nikt nie zwracał uwagi na jej życie.

Poruszył się na łóżku, więc pospiesznie do niego wróciła, desperacko pragnąc wykorzystać tę ostatnią cenną godzinę ich wspólnego czasu. Jeśli zamknie oczy, zdoła poudawać, że nadal jest noc i że mają jeszcze sporo czasu.

Ale on już się budził, pocierając powieki i brodę z ciemnym zarostem.

Niedługo stąd wyjdzie.

Płakała, kiedy przysunął się do niej, a jego ciało było ciężkie i ciepłe.

- Nie smuć się - rzekł, opuszczając głowę i scałowu-jącjej słone łzy.

- Nie smucę - odparła, jeszcze bardziej płacząc. - To znaczy nie chciałam. Będę za tobą tęsknić, nie mogę tego znieść.

- Musisz, oboje musimy.

Nikt jej nigdy nie powiedział, że miłość może być jednocześnie tak radosna i tak bolesna. Każda pieśczoła przybliżała ich do rozstania. Za każdym razem, gdy ją dotykał, mimowolnie myślała: „Czy robimy to po raz ostatni? Czy jeszcze go kiedyś zobacze?”.

Nie umiała powstrzymać łez. Ale on tak, ponieważ musiał.

W końcu leżała w milczeniu na łóżku i patrzyła, jak on się szykuje. Tuż przed wyjściem usiadł obok niej, przytulił się mocno i pocałował tak, jakby była powietrzem niezbędnym mu do oddychania.

Otoczyła go dłońmi, jedną zarzuciła na szyję, drugą tuliła jego głowę. Całowali się z zamkniętymi oczami, by tego nigdy nie zapomnieć.

- Muszę iść. Kocham cię.

Nie odezwała się, żeby się znowu nie rozplakać.

- Do widzenia.

Nie obejrzał się, wychodząc, i zastanawiała się, czy taka jest właśnie różnica pomiędzy mężczyznami a kobietami. Mężczyźni patrzyli przed siebie, wojownicy skupieni na przyszłości. Kobie-

ty wodziły wzrokiem dokoła. Szukały, zastanawiały się, modliły się do jakiegoś boga, o bezpieczeństwo dla ukochanych.

Położyła się z powrotem w łóżku, nadal wypełnionym ciepłem jego ciała, i zastanawiała się, czy go jeszcze kiedyś zobaczy.

Lily mało spała tej nocy; zamiast tego leżała i myślała o tym, że ich związek nie miał żadnych szans. Jamie ją kochał, była tego pewna. Ale istniało zbyt wiele przeszkód dla ich miłości.

Bóg nie wybaczyłby jej, gdyby była z nim. Ani rodzina. Czy mogła wyrzec się dla niego wszystkiego i wszystkich? Czy naprawdę potrafili się nawzajem uszczęśliwić, czy też jedynie się oszukiwali, byli po prostu parą kochanków urodzonych pod nieszczęśliwą gwiazdą, połączonych wojenną namiętnością bez nadziei na wspólne życie w realnym świecie?

Poza tym ich światy i tak zbyt się od siebie różniły. On dość bezproblemowo mógł wkroczyć w jej świat, ale ona nigdy nie miałaby wstępu do jego. Bariery ustawione były zbyt wysoko. Ich naruszenie by go zniszczyło. Jamie miał obowiązki wobec swej rodziny, swych rodziców, swego świata.

Nie, to się musiało skończyć. I to ona musiała się okazać na tyle silną osobą, by pozwolić mu odejść.

- Skarbie, to przez ciebie się tym razem spóźnimy - oświadczyła radośnie Diana, wrywając Lily z jej zadumy. - Pierwszy raz by tak się stało! Wiesz, jak by na ciebie wszyscy patrzyli, gdybym z twojego powodu spóźniła się na własne przyjęcie urodzinowe?

- Przepraszam - odparła Lily.

Żałowała, że tam idzie. Nie miała dzisiaj nastroju do zabawy, nawet dla swej ukochanej Diany. Pragnęła zostać w domu razem ze swymi myślami: pragnęła opłakiwać swój związek z Jamiem.

Wiedziała, że nie będzie go tu dzisiaj. Ale tak bardzo pragnęła go zobaczyć, pragnęła mu powiedzieć, że między

nimi koniec. Może wtedy zdołałaby jakoś sobie poradzić z dalszym życiem.

Chciałaby mu o tym napisać, ale nie można było zawrzeć czegoś takiego w liście. A jednak musiała mu o tym powiedzieć, powiedzieć, że między nimi koniec, teraz, nim straci odwagę i zmieni zdanie. Nie istniała dla nich wspólna przyszłość. Jedno z nich musiało mieć na tyle odwagi, by to zakończyć i to ona będzie musiała być tą osobą.

Ona i Diana spóźniły się do Claridges.

- Przepraszam, to przeze mnie! - zawołała przeproszającym tonem Diana, kiedy się zjawiły.

Wszyscy stoczyli się wokół niej, podano drinki i Diana śmiała się i oświadczyła, że wypije koktajl, tylko jeden, by to uczcić.

- Lily - odezwał się jakiś głos. To był Philip, mąż Sybil.

Lily miała wrażenie, że nie zna go zbyt dobrze, choć brała razem z nim udział w wielu uroczystościach rodzinnych. Zazwyczaj jednak tak intensywnie unikała Sybil, że ostatecznie unikała także i jego. Ale był najlepszym przyjacielem Jamie-go i dlatego żywiła do niego ciepłe uczucia.

- Witaj, Philipie - rzekła, unosząc policzek do pocałunku, jednym okiem rozglądając się czujnie za jego żoną. Nie miała zamiaru zniżać się do rozmowy z Sybil, nie dzisiejszego wieczoru. Sybil nie dawała jej niczego oprócz bólu.

- Lily, muszę ci coś powiedzieć - rzekł Philip niskim głosem.

Lily od razu wiedziała, o co chodzi. Poczwała, że uginają się pod nią nogi.

Philip osłaniał ją swym ciałem przed resztą obecnych na przyjęciu osób. Lily patrzyła na czubki swych butów, nie mogła mu spojrzeć w oczy: wiedziała, co jej powie.

Pamiętała, że wyszłochała kiedyś Jamiemu, że jeśli coś mu się stanie, to ona się o tym dowie jako ostatnia.

- Wszyscy będą wiedzieli, że nie żyjesz, ona będzie wiedzieć, ale nie ja. Nie będę mogła cię opłakiwać, ponieważ będę na ciebie czekać! Czekać na twój powrót, który nie nastąpi! - płakała, uderzając go w klatkę piersiową pięściami, tak pełna bólu i cierpienia, że mogła go jedynie ranić za to, że tak bardzo go kocha.

- Moja kochana - powiedział i przyciągnął ją blisko siebie, także stulił jej pięści.

Siedzieli na jej łóżku, na którym wcześniej zrobili bałagan, a teraz nadeszła pora, by oboje wrócili do codziennego życia.

Ubrana tylko w krótką satynową koszulkę, którą zdarł z niej zaledwie kilka godzin wcześniej, Lily wtuliła się w niego i ukryła twarz na piersi.

- Ja już tak nie mogę, Jamie - płakała. - Nie mogę wszystkich okłamywać i udawać, że jestem szczęśliwa, że nie mam ukochanego, że nie cierpię za każdym razem, gdy słucham w radiu listy ofiar. Nie ma dla nas nadziei. Powoli zacznym wariować, martwiąc się o ciebie i starając się to ukrywać.

- Ktoś wie, przyrzekam, i jeśli coś mi się stanie, to przyjdzie, by ci o tym powiedzieć.

- Kto? - zapytała.

- Nie znasz go, ale on wie, kim jesteś i gdyby coś mi się stało, zjawi się. Obiecuję.

Następnie pocałował ją, całą moką od łez, ale musiał wyjść. A kiedy już poszedł, leżała skulona na łóżku i płakała gorącymi, rzewnymi łzami.

Teraz nadszedł ten dzień. Jamie zginął i to Philip przyszedł jej o tym powiedzieć: porządny, godny zaufania Philip, którego nigdy nie podejrzewała, że wie o wszystkim.

- Lily, proszę, popatrz na mnie - powiedział teraz miękko.

Lily nie była w stanie. Trzymała głowę opuszczoną i zagryzła wargę. Jeśli jej nie powie, to nie będzie to prawdą, no nie? Ale wtedy zaczęła się trząść. Nie była w stanie tego kontrolować, zupełnie jakby jej ciało nie należało już do niej. Nogi się pod nią ugięły i poleciała do przodu.

Philip chwycił ją i poczuła znajomy zapach marynarskiego munduru, ten sam zapach, jaki otaczał Jamiego. Pomyślała o tym, jak wiele razy leżała blisko piersi Jamiego, dotykając go, czując jego ciepło, uwielbiając czuć bicie jego silnego serca pod tym ciężkim, wełnianym mundurem. Ale jego serce już nie biło.

Leżał gdzieś martwy, może na bezludnej plaży, może w zimnej trumnie okrętu podwodnego, gdzie nikt nie ukołysze jego pięknej głowy i nie pocałuje go, nie zamknie mu oczu, nie pogłaszcze ten jeden, ostatni raz. Dlaczego nie mogła być tam z nim, powiedzieć mu, że wszystko będzie dobrze, tak jak to czyniła w przypadku tylu innych mężczyzn? Dlaczego nie mogła zrobić tego samego dla swojego mężczyzny?

Ludzie wokół nich śmiali się i wydawali radosne okrzyki. Lily potrafiła myśleć jedynie o Jamiem, zimnym w morzu, niekochanym na końcu, podczas gdy ona miała dla niego tak dużo miłości. Gdzie był teraz Bóg? Czym zajmował się Bóg, kiedy zginął Jamie? Była gotowa wyrzec się go dla Boga, więc dlaczego Bóg nie odpłacił się jej, opiekując się nim?

Pociąg z Euston do Holyhead był pełen. Ludzie musieli tłoczyć się na korytarzach, o miejscu siedzącym nie było co marzyć. Lily miała szczęście, ponieważ na stacji zjawiała się wcześniej i znalazła miejsce przy oknie, gdzie siedziała ściśnięta obok mężczyzny w mundurze kaprała, drzemiącego na jej ramieniu. Podróż do domu wydawała się czymś z lekka surrealistycznym. Podczas wojny była w Irlandii tylko raz - na pełnej napięcia dziesięciodniowej przepustce.

Mama robiła, co tylko mogła, by odkarmić Lily i znaleźć dla niej ubrania. W Irlandii nie było racjonowania odzieży i mama miała dla niej parę pięknych, używanych ubrań lady Irene, choć połączenie kartek żywnościowych i ciężkiej pracy oznaczało, że Lily była do nich zbyt szczupła.

- Panie nasz, popatrz tylko na siebie! Skóra i kości, nie masz ani odrobinki tłuszczu - zamartwiała się jej matka.

To były przemiłe odwiedziny, mały azyl pośrodku wojny. Lily wspominała je tak, jakby to był tylko sen, prawie tak, jakby przydarzyło się to komuś zupełnie innemu.

Teraz w podróży do domu nic nie kojarzyło się z azylem. Cały świat wydawał się taki szczęśliwy i wszędzie panowała atmosfera radości po zwycięstwie. Ale choć Lily tak bardzo pragnęła, by ten konflikt wreszcie się zakończył, to teraz nie była w stanie dołączyć do ogólnej radości. Nic się nie liczyło. Jamie zginął. Jej świat spowijała ciemność. Jak mogła być kiedykolwiek jeszcze szczęśliwa?

W szpitalu nie chcieli jej puścić.

- To, że wojna się skończyła, nie oznacza, że szpital nie potrzebuje pielęgniarek - oświadczyła surowo Siostra Przełożona. - Nie jestem pewna, dlaczego chcesz wrócić do domu, siostrzyczko Kennedy, ale bardzo byśmy chcieli, żebyś została.

Lily cofnęła się myślami do minionych trzech miesięcy, kiedy każdego ranka walczyła ze sobą, by wstać z łóżka, a potem pracowała do późnego wieczora, aż w końcu ogarniało ją zmęczenie. Za każdym razem, kiedy wyglądała przez szpitalne okna na ulice Londynu, jedyne, co widziała, to miejsca, w których była razem z Jamiem.

Ból nie ustępował. Nawet w łóżku leżała i myślała o nim, najczęściej płacząc tak długo, aż w końcu zasypiała.

W końcu uznała, że musi wydostać się z Londynu - w tym mieście za gęsto było od jej wspomnień. Pomyślała, jak kiedyś powiedziała niefrasobliwie Maisie, że nie wie, czy będzie chciała wrócić do Tamarin po wojnie. Myliła się: naprawdę chciała tam wrócić. Czuli się tam bezpieczni i może pewnego dnia poczuje się tam nieco szczęśliwsza. Albo przynajmniej jeśli już będzie nieszczęśliwa, to będzie nieszczęśliwa w miejscu, którego nie odwiedzała razem z Jamiem.

Statek pocztowy z Holyhead nie był już tak zatłoczony, jak podczas jej poprzedniej przeprawy, ale i tak było na nim mnóstwo ludzi i robiło się jej niedobrze, gdy siedziała na górnym

pokładzie w zbyt dużej kamizelce ratunkowej. Kiedy statek zamocował w Dun Laoghaire, dziwny wydał się jej widok pięknego miasta, które było całe rozświetlone, eleganckie i nietknięte przez bomby. Przyzwyczała się do Londynu, gdzie zniszczeniu uległo tyle pięknych budynków. Rozumiała te zrujnowane mury i zapadłe dachy: ona czuła się tak samo, zrujnowana i zapadła.

Tutaj wielu ludzi wyglądało na zdrowych, dobrze odżywionych. Nie chodzili w połatanych, pocerowanych ubraniach, wyglądali na zadowolonych i zamożnych. Lily poczuła irytację i urazę, że niektórych jej rodaków wojna w ogóle nie dotknęła. A potem poczuła gniew na całą ludzką rasę, ponieważ ona straciła człowieka, którego kochała.

Uznała, że to nie ich wina, że nie zostali rozdarci na kawałki przez tę wojnę. To nie ich wina. Nie, ten zaszczyt przypadał Bogu. Jej gniew przeciw Niemu był zażarty i silny, i dlatego też nie było dla niej ucieczki w modlitwy. Z wielkim trudem modliła się, kiedy była z Jamiem, ponieważ każda modlitwa przypominała jej o tym, że łamie Boże prawa. Teraz, kiedy nie istniał już powód łamania tych praw, nadal nie potrafiła się modlić. Tracąc Jamiego, straciła samą siebie.

Pociąg do Waterford był niemal pusty. Miała dla siebie całe siedzenie i patrzyła, jak zmienia się krajobraz, gdy zbliżała się do domu. Był piękny, sierpniowy dzień i musiała przestać myśleć, czy Jamiemu by się tu spodobało.

Wcześniej mówił o tym, że pojedą do jej domu, kiedy wojna się skończy, kiedy już powie Mirandzie, kiedy będzie wolny.

W Waterford dowiedziała się, że następny autobus do Tamarin odjedzie dopiero o siódmej wieczorem, zostawiła więc walizkę u bagażowego i udała się na nabrzeże, gdzie usiadła na ławce i wpatrywała się w morze.

Odbijające się w wodzie słońce sprawiło, że jej myśli pomknęły ku Torquay i temu, jak postanowiła, że pozwoli Jamiemu odejść. Całe szczęście, że nie powiedziała mu o tym i umarł w niewiedzy.

Ale teraz musiała bez tego przeżyć resztę życia. Nie miała poczucia, że ten rozdział jej życia został zamknięty.

Autobus opuścił Waterford i jechał przez piękną okolicę, której Lily praktycznie nie dostrzegała. Myślami nadal przebywała w Londynie, przemierzając pospiesznie zmęczone, szare ulice, spoglądając na przedzierające się przez chmury słońce, myśląc o Jamiem...

- Tutaj mam panią wysadzić? - rzekł głośno kierowca, wrywając Lily z rozmyślań.

Autobus zatrzymał się jak najbliżej Starej Kuźni. Patrzyła na znajomy krajobraz.

- Tak, dziękuję panu - odparła.

Po odjeździe autobusu Lily popatrzyła na walizkę, którą zabrała ze sobą z Londynu, i pomyślała, że ma to naprawdę gdzieś, czy zostawi ją na poboczu; naprawdę nie miała energii, by wlec ją prawie kilometr aż do domu. Wepchnęła ją w żywopłot i stanęła twarzą w kierunku swego domu.

Rathnaree skrywało się za drzewami po lewej stronie i Lily poczuła przyływ nienawiści do tego domu i tego, co sobą reprezentuje. To te bariery klasowe wbiły klin pomiędzy nią a Jamiego, nawet bez Sybil i jej jadu.

Lochravenowie, Beltonowie i Hamiltonowie pochodzili z innego świata i bez sensu było to, że nie można było przekraczać barier dzielących te dwa światy. Cóż, Lily nie miała zamiaru postawić już w Rathnaree swojej stopy. To by za bardzo ją bolało: od teraz będzie żyć tylko w swoim świecie.

Otarła łzę i po raz pierwszy pozwoliła sobie odetchnąć i poczuć czysty wiejski zapach pól, drzew i dzikiego czosnku. Towarzyszył temu jeszcze jeden zapach: lawenda. Stanęła przy murze i zajrzała na drugą stronę. A tam w rogu łąki rosło jakieś dwadzieścia krzaków lawendy. Pamiętała mgliście, że kiedyś był tam tylko jeden krzaczek, ale teraz lawenda rozrosła się tak, że tworzyła cały zagajnik, nasączający powietrze tym sugestywnym zapachem. Lily wspięła się na murek, ze-

skoczyła po drugiej stronie i zbliżyła do lawendy. Kierowana impulsem zdjęła buty i pończochy i poczuła pod stopami miękkość trawy. Następnie usiadła, podciągnęła kolana do piersi i zamknęła oczy. Pamiętała, jak babcia Sive mówiła, że lawenda to bardzo stare zioło i że ma jakiś związek z duszkami, czy też małymi ludkami, jak ich nazywała babcia.

Tutaj, w opiekuńczym sąsiedztwie małych ludków, Lily wygłosiła cichą modlitwę:

- Pomóżcie mi - powiedziała i rozplakała się.

Nie słyszała go, dopóki nie wspiął się na murek i nie podszedł do niej: potężny mężczyzna z opaloną twarzą, włosami koloru miedzi i najbardziej życzliwymi niebieskimi oczami, jakie w życiu widziała.

- Zobaczyłem panią z drogi - rzeki z troską w głosie. - Przyszedłem zobaczyć, czy wszystko w porządku.

Lily przyglądała mu się w milczeniu.

- Proszę się nie bać, panienko - dodał. - Nie mam zamiaru zrobić pani krzywdy, ja się tylko zaniepokoiłem. Nazywam się Robby Shanahan. Mogę odprowadzić panią do domu czy jakoś inaczej pomóc?

Otoczona swoją magiczną lawendą, w towarzystwie tego olbrzyma, patrzącego na nią z łagodnością, jakiej nie doświadczyła od tak dawna, Lily poczuła, jak jej ciało zalewa ciepło. Miała uczucie, że gdyby zamknęła teraz oczy, zasnęłaby kamiennym snem i na jakiś czas zapomniałaby o bólu i smutku. „Dziękuję”. Niebyła pewna, komu dziękowała, ale jakieś bóstwo wlało nieco spokoju do jej duszy po raz pierwszy od śmierci Jamiego.

Uśmiechnęła się do tego łagodnego olbrzyma.

- Jestem Lily Kennedy - rzekła. - Mógłby mi pan zanieść do domu walizkę.

W południe Rhona przyniosła Izzie kubek herbaty. Izzie czuła zapach podawanego obiadu, ale nie była głodna. Czuła się dziwnie, tak jakby czekała na coś, co lada chwila ma się wydarzyć.

- Czasami ludziom trzeba powiedzieć, że mogą odejść - odezwała się Rhona.

Izzie spojrzała na nią. Rhona nie wyglądała na kobietę zabobonną. To, co powiedziała, wydawało się takie dziwne; no ale czy Anneliese nie mówiła jej tego samego?

- Musi jej pani powiedzieć, że może odejść - kontynuowała pielęgniarka. - Czekala na kogoś, na panią, by móc odejść.

- Skąd to pani wie? - zapytała Izzie.

- Sporo się można nauczyć podczas dwudziestu lat pracy z umierającymi.

Izzie skrzywiła się, słysząc słowo „umierającymi”.

- Może to pani spokojnie powiedzieć - mówiła dalej Rhona. - Ona wie, że odchodzi. Czuje spokój. Niektórzy ludzie bardzo mocno z tym walczą. To mi przychodzi na myśl wiersz Dylana Thomasa, którego uczyłam się w szkole: „Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy”. Niektórzy ludzie nie wchodzą tam łagodnie, lecz naprawdę ostro walczą. Pani babcia jest szczęśliwa, mogąc odejść, nie walczy teraz, ale przytrzymała się resztek życia aż do teraz, do czasu, gdy pani przyjechała.

Izzie nie zdawała sobie sprawy z tego, że płacze, dopóki nie poczuła łez skapujących jej na koszulę. Podniosła rękę i zobaczyła, że policzki ma mokre. Rhona sięgnęła do kieszeni, znalazła chusteczkę i podała jej.

- Zostawię was. Izzie kiwnęła głową.

Usiadła na skraju łóżka i ponownie poczuła zapach lawendy.

- Babciu, kocham cię - rzekła - ale możesz już odejść. Nagle pomyślała o słowach w jej pamiętniku, napisanych

ponad sześćdziesiąt lat temu: „Wiem, że muszę pozwolić mu odejść. Nie chcę tego, ale to jedyne właściwe rozwiązanie. Skończylibyśmy, nienawidząc się nawzajem, a ja zbyt mocno go kocham, by do tego dopuścić”.

- Możesz odejść, babciu. Dziękuję, że podzieliłaś się tym ze mną, swoim życiem. Kocham cię, babciu. Tak bardzo będzie mi ciebie brakować.

Poczuła, jak po jej policzkach spływają łzy i otarła je chusteczką.

- Jest dobrze, wszyscy mamy się dobrze. Ja, tata, Anneliese, Beth, wszyscy. Nawet Mitzi. Pokochałabyś ją, jest taka słodka. Więc możesz odejść. Wszyscy cię kochamy, wiesz o tym. I dziękuję ci za wszystko. Bądź szczęśliwa tam, dokąd się udajesz, bądź szczęśliwa, zasługujesz na to. Kocham cię.

Nie będąc w stanie mówić dalej, Izzie położyła się obok kruchego ciała swej babci, przytulając się do niej po raz ostatni.

Lily zobaczyła, że ma na sobie starą sukienkę, tę którą miała w Londynie, kiedy wraz z przyjaciółkami mieszkała w domu matki chrzestnej Diany. Była z zielonego szyfonu, miała rozkloszowany dół i podkreślała kasztanowy odcień jej włosów.

- Gdzie się podziewałaś, sukienko? - powiedziała do niej.

Była znowu młoda; jakie to dziwne. Nie bolały jej kości, a skóra na łokciach nie była pomarszczona.

Zaraz, gdzie ona się znajdowała? Na łące, bo gdzieżby. Niedaleko Starej Kuźni, na łące, gdzie rosła lawenda, tam, gdzie poznała Robby'ego. Pośród lawendy stały leżaki z odpoczywającymi na nich ludźmi. Były tam też kochana Diana i Maisie.

Lily uśmiechnęła się do nich, ciesząc się na ich widok. Wydawało się, jakby zaledwie wczoraj pisały do siebie, wypełniając kilometry i lata listami.

Byli tam także lady Evangeline, Philip, Siostra Przełożona, a także Isabelle Lochraven. Tak wielu ludzi z jej przeszłości.

Była też mama - stała i uśmiechała się, a obok niej tata. Był także jej ukochany brat, Tommy, z Moirą, swoją żoną. Jakże cudownie ich widzieć.

Lily przebiegła obok nich wszystkich, machając ręką, pokazując, że zaraz wróci, że musi tylko coś załatwić.

Wtedy go zobaczyła: Jamie. Ubrany był w swój mundur i wyglądał równie przystojnie, jak zawsze. Za nim z oddali biegły ku niej dwie osoby: jedną był wysoki mężczyzna z miedzianymi włosami, a drugą szczupła kobieta z ciemnymi włosami i życzliwą twarzą swego ojca. Robby i Alice.

Lily uśmiechnęła się do nich promiennie.

- Jedną chwileczkę - wyszeptała. - Już idę. Odwróciła się do Jamiego i dotknęła jego dłoni.

- Dziękuję ci - powiedziała do niego. - Dziękuję, że nauczyłeś mnie kochać. Chyba nie umiałam tego, dopóki ty mnie nie nauczyłeś. I przykro mi, że musiałam pozwolić ci odejść, wiesz o tym.

Robby i Alice byli już blisko.

Dłonie Jamiego wysunęły się z jej rąk. Uśmiechał się i powoli znikał.

Lily przeniosła wzrok na swego męża i córkę.

Czekali na nią: zawsze się bała, że nie będą czekać, a jednak byli tutaj, uśmiechali się, wyciągali ku niej ramiona. I pobiegła do nich, do dwojga ludzi, których kochała najbardziej.

Cathy Kelly urodziła się w Belfaście, a dorastała w Dublinie. Zawsze marzyła, by zostać pisarką. Zanim wydała swoją pierwszą książkę, *Kobieta i kobieta* (Wydawnictwo Amber, 1999), pracowała jako redaktorka rubryki z poradami oraz jako recenzentka filmowa. Jej pierwsza powieść stała się bestsellerem i zapewniła Kelly miejsce wśród najlepszych autorek literatury kobiecej. Kolejne jej książki: *Niydy nie jest za późno* (Wydawnictwo Aral er, 2000), *Zawsze i na zawsze* (Wydawnictw m Sonia Draga, 2006), *Sekrety z przeszłości* (Wydawnictwo Sonia Draga, 2009) oraz *Przyjaciółki od serca* (Wydawnictwo Sonia Draga, 2007) kontynuowały świetną passę trafiając na liste bestsellerów już w pierwszych tygodniach sprzedaży. Książki Cathy Kelly zostały przetłumaczone na kilkanaście języków. Autorka mieszka w Wicklow w Irlandii wraz z partnerem i synami bliźniakami.